

NOWE OPowieści SPoD ZNAKU MAGII I MIECZA



# MIECZE i MRO CZNA MAGIA

GLEN COOK  
STEVEN ERIKSON  
SCOTT LYNCH  
MICHAEL MOORCOCK  
ROBERT SILVERBERG  
i inni

pod redakcją  
JONATHANA STRAHANA  
i LOU ANDERSA



REBIS

Nowe opowieści spod znaku magii i miecza  
pod redakcją  
JONATHANA STRAHANA  
i  
LOU ANDERSA

**MIECZE**  
i  
**MROCZNA**  
**MAGIA**

Przełożyli  
EWA i TOMASZ HORNOWSCY



DOM WYDAWNICZY REBIS

# Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Lou Anders i Jonathan Strahan WYLEGITYMUJ WŁADCĘ CIEMNOŚCI, NIM  
WPUŚCISZ GO ZA PRÓG

Steven Erikson KOZŁY OFIARNE

Glen Cook TIDES ELBA

Gene Wolfe KRWAWA GRA

James Enge ŚPIEWAJĄCA WŁÓCZNIA

C.J. Cherryh CZARODZIEJ Z WISCEZANU

K.J. Parker PRACOWITY I UROZMAICONY TYDZIEŃ

Garth Nix STOSOWNY PREZENT DLA MAGICZNEJ LALKI

Michael Moorcock CZERWONE PERŁY

Tim Lebbon APOTEOZA DALA BAMORE'A

Robert Silverberg CIĘŻKIE CZASY DLA NOCNEGO TARGU W BOMBIFALE

Greg Keyes NIESKALANI

Michael Shea MAJSTER TON

Scott Lynch MIĘDZY REGAŁAMI

Tanith Lee DWA LWY, WIEDŹMA I ZWYCIĘSKA OPOŃCZA

Caitlín R. Kiernan CÓRKA MORSKIEGO TROLLA

Bill Willingham ZUCHWALI ZŁODZIEJE

Joe Abercrombie PARSZYWA ROBOTA

O redaktorach

*Dla  
Roberta E. Howarda, Fritza Libera  
i Michaela Moorcocka,  
znakomitych literackich fehmistrzów,  
od których to wszystko się zaczęło.*

# Podziękowania

Podziękowania winni jesteśmy wielu osobom. Dianie Gill, naszej redaktorce w wydawnictwie Harper Eos, dziękujemy za to, że zawierzyła naszemu pomysłowi i podjęła się udziału w jego urzeczywistnieniu. Benjaminowi Carré – za okładkę. I wszystkim autorom, którzy zgodzili się zamieścić w antologii swoje fantastyczne opowiadania. Na wdzięczność zasłużyli także: Lev Grossman, Tim Holman, Katie Menick, Howard Morhaim, Erik Mona, Jason M. Waltz i Bill Schafer.

Na koniec, za to najgoręcej, dziękujemy naszym żonom: Xin C. Anders i Marianne Jablon, których bezgraniczna cierpliwość i wsparcie są nieocenionym składnikiem każdego takiego przedsięwzięcia jak ta antologia.

# WYLEGITYMUJ WŁADCĘ CIEMNOŚCI, NIM WPUŚCISZ GO ZA PRÓG

Magia i miecz. Nazwa mówi sama za siebie. Akcja i czary. O ile fantasy opowiada o wielkich armiach, które stoją po stronie jednej z wielkich sił – niewątpliwego dobra lub bezwzględного zła – o epickich bitwach przeciwko władcom ciemności chcącym podporządkować sobie cały świat, o tyle gatunek magii i miecza stanowi jej antytezę. Głównymi bohaterami są zwykle postacie drobnego kalibru, a ich bohaterstwo ogranicza się do ratowania własnej skóry i wykaraskiwania z kłopotów, w które w pogoni za łupami same się wpakowały. Opowiadając o losach samotnych fehmistrzów wędrujących po egzotycznych krainach i nieoczekiwanie wikłających się w lokalne konflikty, powieść magii i miecza zajmuje miejsce na styku fantasy i westernu. Podczas gdy fantasy skupia się na walczących narodach i rozstrzygających starciach, bohaterowie opowieści magii i miecza toczą osobiste bitwy, walczą w ciemnych zaułkach obcych miast, tajnych komnatach niezwykłych świątyń czy w głębi ciemnych lochów. Jeśli fantasy jest dzieckiem *Iliady*, to literatura magii i miecza wywodzi się z *Odysei*.

Ojcem epickiej fantasy jest bez wątpienia J.R.R. Tolkien [*należy też wspomnieć o poprzednikach Tolkiena, Williamie Morrisie, Lordzie Dunsanym i E.R. Eddisonie, którzy wywarli duży wpływ na autora Władcy pierścieni*]. Inspiracją dla niego były mitologia skandynawska,

własne przeżycia podczas pierwszej wojny światowej i *Pierścień Nibelunga* Wagnera (choć akurat tej inspiracji Tolkien stanowczo się wypierał). Opowieść o tytanicznej walce, od której zależą losy świata, dała początek fantasy jako osobnemu gatunkowi literackiemu i zrodziła tysiące naśladownictw. Bardzo znani dziś pisarze, między innymi Terry Brooks, Terry Goodkind, Robert Jordan, Roger Zelazny i Stephen R. Donaldson, mają wielki dług wobec tego oksfordzkiego profesora. Wcześniejszą formą literatury spod znaku magii i miecza były jednak książki Teksańczyka Roberta E. Howarda, który na kanwie dziejów swoich irlandzkich przodków i nieprawdopodobnych opowieści z Dzikiego Zachodu osnuł wiele tchnących okrucieństwem i pesymizmem powieści przygodowych. Howard, mierzący bez mała metr dziewięćdziesiąt, znany z wytrzymałości bokser rzadko przegrywający walki, splótł własne doświadczenia z fikcyjnymi awanturami, nadając im brutalnego realizmu. Jego opowiadania ukazywały się w wielu szmatławych czasopismach i nie inaczej, bo na łamach „Weird Tales”, zadebiutował najbardziej znany z ich bohaterów – Conan Barbarzyńca. Podobnie jak Tolkien Śródziemie, tak Howard stworzył mityczną, niby-prehistoryczną Hyperboreę, która istniała jakoby na Ziemi w epoce między upadkiem Atlantydy a nastaniem historii pisanej. Zawitał na nią z barbarzyńskiej północy Conan:

*Złodziej, rozbójnik, wojownik, zabijaka, równie często wesóły jak zadumany, przyszedł, aby swą obutą w sandał stopą zdeptać wysadzane klejnotami ziemskie trony.*

Opisując wyczyny Conana, Howard stał się pionierem nowego rodzaju fantasy, który równie wiele zawdzięcza awanturniczemu powieściom Aleksandra Dumasa czy Rafaela Sabatiniego, co bandytom

i renegatom Dzikiego Zachodu.

Conan był takim samym oportunistą i zapatrzonym w siebie poszukiwaczem szczęścia jak rewolwerowcy, których niesamowite wyczyny zawładnęły wyobraźnią młodego Howarda. Jak oni miał też fatalistyczne podejście do życia, chociaż cechowała go lojalność wobec przyjaciół, którymi pisarz obdarzał go niejednokrotnie po to, by przeprowadzić analizę psychologiczną postaci. Od 1933 do 1936 roku, czyli do śmierci Howarda, w „Weird Tales” opublikowano osiemnaście opowiadań o Conanie, które od razu odniosły sukces i wywarły wpływ na wielu autorów. Do pierwszych należeli Catherine L. Moore i Fritz Leiber. Moore już rok po ukazaniu się pierwszej opowieści o Conanie zaprezentowała Jirel z Joiry, notabene pierwszą kobiecą bohaterkę gatunku magii i miecza. Jirel, która była władczynią wymyślonej prowincji średniowiecznej Francji, wolała posługiwać się rozumem niż pięściami, choć nie stroniła od miecza i tarczy. W latach 1934–1939 Moore opublikowała sześć opowiadań o przygodach Jirel, poczynając od klasycznego już *Black God's Kiss* [Niedawno ukazał się nakładem wydawnictwa Paizo Publishing zbiór sześciu opowiadań o Jirel pod wspólnym tytułem *The Black God's Kiss (2002)*, który zawiera wcześniej nie publikowane opowiadanie *Quest Starstone*. Napisane wspólnie z mężem, Henrym Kuttnerem, przedstawia spotkanie Jirel z inną słynną postacią stworzoną przez Moore, pilotem kosmicznym i przemytnikiem *Northwestem Smithem*, pierwowzorem *Hana Solo* z *Gwiezdnych wojen*]. Fritz Leiber z kolei (wspólnie z przyjacielem Harrym Ottonem Fischerem) wymyślił pierwszy w dziejach gatunku duet, czyli Fafryda Barbarzyńcę oraz jego przyjaciela i współnika, drobnego złodziejzka o przezwisku Szary Kocur. Fafryd i Szary Kocur zadebiutowali w 1939 roku na kartach miesięcznika „Unknown”



i – co godne uwagi – powracali regularnie w kolejnych książkach aż do 1991 roku, by w ostatnim tomie serii się ustatkować i ożenić. W odróżnieniu od Howarda, Tolkiena i Moore, Leiber osadził ich przygody w całkowicie zmyślonym świecie wtórnym Nehwon, a nie w zapomnianych epokach fikcyjnej wersji historii ludzkości. Nie była to pierwsza w dziejach literatury wycieczka w obszar światów alternatywnych, ale z pewnością jedna z najbardziej znaczących [*Akcja wielu powieści Terry’ego Pratchetta o Świecie Dysku rozgrywa się w mieście Ankh–Morpork, którego nazwa jest ukłonem w stronę miasta Lankhmar z powieści Leibera, a w pierwszej książce cyklu o Świecie Dysku dochodzi do spotkania olbrzymiego barbarzyńcy Bravda z fehmistrzem–złodziejem zwanym Łasicą. Także Pratchettowski Cohen Barbarzyńca jest oczywistym odniesieniem do postaci stworzonej przez Roberta E. Howarda*].

Wartym wspomnienia w kontekście gatunku magii i miecza jest także współczesny Howardowi Clark Ashton Smith, między innymi twórca własnych opowieści hyperborejskich, które jak Howard, osadził w zapomnianej, mitycznej epoce. W jego wypadku Hyperborea była kontynentem leżącym za kręgiem polarnym, ostatnim skrawkiem cywilizacji u progu epoki lodowcowej. Zaludniając go czarownikami i osobliwymi bóstwami, Smith połączył światy Roberta E. Howarda i trzeciego wielkiego autora pisującego w tym czasie do „Weird Tales”, przyjaciela ich obu – H. P. Lovecrafta.

W latach sześćdziesiątych XX wieku gatunek magii i miecza stracił jednak na popularności, z wyjątkiem powieści o Fafrydzie i Szarym Kocurze Leibera, co trwało aż do ukazania się pierwszego udanego naśladownictwa sagi o Conanie Barbarzyńcy pióra Lina Cartera. Cykl o Thongorze rozpoczęty w 1965 roku powieścią *Czarnoksiężnik z*

*Lemurii* łączy elementy utworów Howarda i Edgara Rice'a Burroughsa. W rozgrywającej się na zaginionym kontynencie, Lemurii, akcji tej książki najważniejszą rolę odgrywa magia, latające maszyny i walka ludzi o wyzwolenie spod jarzma wężowej rasy Smoczycy Królów. Carter porzucił jednak cykl o Thongorze, gdy L. Sprague de Camp, współautor i kontynuator sagi o Conanie, zaprosił go do napisania kolejnych jej części.

W latach pięćdziesiątych także de Camp wniósł pewien wkład w rozwój gatunku. Akcję swojej serii pusadiańskiej umieścił, jak niektórzy pisarze przed nim, w czasach prehistorycznych, ale hyperborejskie realia próbował oprzeć na ówczesnej wiedzy o geologicznej przeszłości Ziemi. Pod koniec lat pięćdziesiątych de Camp podjął się wznowienia opowieści o Conanie oraz wydania po raz pierwszy tych, które nie ukazały się za życia ich autora. We wspomnianej już współpracy z Linem Carterem przerobił wiele opowiadań Howarda, w których słynny Barbarzyńca pierwotnie nie występował, na nowe przygody Cimmeryjczyka. Spowodowało to ogromny wzrost popularności Conana, który na nowo zaczął się pojawiać w książkach, komiksach, a nawet w filmie, choć opublikowana w 1983 roku biografia Howarda pióra de Campa zatytułowana *Dark Valley Destiny: the Life of Robert E. Howard* niespodziewanie dla autora zaowocowała wzrostem zainteresowania oryginalnymi opowiadaniem o Conanie kosztem przeróbek autorstwa de Campa i Cartera.

Nowy podgatunek fantasy przez długi czas nie miał własnej nazwy i dopiero w 1961 roku Michael Moorcock w liście do fanzinu „Amra” zauważył, że dla powieści awanturniczych, których pionierem był Howard, warto ukuć nowy termin. Ironią losu okazało się, że

Moorcock zaproponował nazwę „epicka fantasy”, którą z czasem zaczęto stosować do twórczości J.R.R. Tolkiena i jego następców, czyli przeciwieństwa gatunku zapoczątkowanego przez Howarda. Ostatecznie miano twórcy nazwy nowego podgatunku przypadło Fritzowi Leiberowi, który w lipcowym numerze „Amry” napisał:

*Coraz bardziej skłaniam się do przekonania, że ten obszar twórczości powinien nosić nazwę powieści magii i miecza. Trafnie wyznacza ona dla nich punkt styku horyzontu kulturowego z elementem nadprzyrodzonym, a także od razu odróżnia je od powieści płaszcza i szpady oraz (zupełnie przypadkowo) płaszcza i sztyletu (traktującej o międzynarodowym szpiegostwie)!*

W tym samym roku Moorcock napisał nowelę *Śniące miasto*, w której po raz pierwszy pojawił się jego antybohater Elryk z Melniboné, bez wątpienia jedyna postać z gatunku magii i miecza, która popularnością dorównała Conanowi. Pomyślany jako anti-Conan – albo raczej Conan w postaci podszytego strachem nastolatka – Elryk jest chorowitym, uzależnionym od leków albinosem, który aby przeżyć i wzmóc siły witalne, musi się karmić energią duchową, a dostarcza mu jej wysysający ją z żywych istot czarny miecz. Krótko mówiąc, wkład Moorcocka do literatury fantasy jest nie do przecenienia. W późniejszych latach był jednym z pionierów Nowej Fali, który na zawsze odmienił oblicze fantastyki naukowej, a ukute przez niego pojęcie „wieloświat” z literatury trafiło do języka współczesnej fizyki. Z naszego punktu widzenia za najważniejszy wkład Moorcocka do literatury fantasy należy jednak uznać zastąpienie walki Dobra ze Złem zmaganiem Prawa i Chaosu (łącznie z katastrofalnymi następstwami, jakie miałyby ostateczny triumf jednej ze stron). Jego bohaterowie, czy

to Elryk z Melniboné, czy Dorian Hawkmoon, czy to Jerry Cornelius, są wcieleniami Wiecznego Wojownika, którego przeznaczeniem jest ciągle utrzymywanie Kosmicznej Równowagi – przechylenie szali to w jedną, to w drugą stronę. Olbrzymi wpływ Moorcocka rozciąga się od gier fabularnych (i późniejszych gier narracyjnych na komputer lub konsolę toczonych z perspektywy osoby trzeciej) po rock and rolla i literaturę. Koło równowagi z gry *Dungeons & Dragons* to nic innego jak Prawo i Chaos oraz Dobro i Zło przedstawione na osiach XY. Nic więc dziwnego, że Michael Chabon swoją pierwszą awanturniczą powieść spod znaku magii i miecza *Gentleman of the Road* zadedykował wielkiemu mistrzowi fantasy. Bo to właśnie stworzona przez Moorcocka postać Elryka Albinosa w równej mierze co bohater Howarda zdefiniowała podgatunek miecza i czarów.

Warto wspomnieć także o Andre Norton, autorce serii *Świat Czarownic* rozpoczętej w 1963 roku powieścią pod tym samym tytułem i kontynuowanej aż po następne stulecie. Seria ta jest jednym z najważniejszych utworów zarówno gatunku magii i miecza (choć z wyraźnym naciskiem na magię), jak i romantycznej fantasy.

W latach 1960–1980 zadania promocji nowego podgatunku fantasy podjęło się kierowane przez Lina Cartera Amerykańskie Bractwo Rycerzy i Czarowników (Swordsmen and Sorcerer's Guild of America). Między 1973 a 1981 rokiem SAGA wydała pod redakcją Cartera pięć antologii z opowiadaniem członków bractwa pod wspólnym tytułem *Flashing Swords!* W 1974 roku zadebiutował Charles R. Saunders ze swoimi opowieściami o Imaro, które najpierw ukazały się w fanzinie „Dark Fantasy”, ale poprzez zbiór *Year's Best Fantasy Stories* (DAW Books, 1975) pod redakcją Lina Cartera trafiły w końcu do wydawcy Donalda A. Wollheima, który nakłonił autora, żeby przerobił je na

powieść, i wydał je w 1981 roku. Po niej ukazały się jeszcze *The Quest for Cush* (1984) i *The Trail of Bohu* (1985) [Imaro i *The Quest for Cush* ukazały się ponownie na rynku dzięki wydawnictwu *Night Shade Books*, a *The Trail of Bohu* wznowił ostatnio sam autor]. Twórczość Saundersa zasługuje na uwagę, gdyż autor jest pierwszym czarnoskórym pisarzem gatunku magii i miecza i pierwszy wprowadził do niego czarnego bohatera. Imaro, bo takie mu nadał imię, mieszka na „czarnym kontynencie” o nazwie Nyumbani, czyli w „alternatywnej Afryce” sprzed tysięcy lat, przypuszczalnie współczesnej z Hyperboreą Roberta E. Howarda.

Kolejną ważną datą w historii podgatunku magii i miecza jest rok 1984, w którym Marion Zimmer Bradley wydała pierwszy tom wieloczęściowej antologii *Sword and Sorceress*. Według Bradley podgatunek zdominowali mężczyźni – z chwalebny wyjątkiem C. L. Moore – którzy nadali mu łatkę negatywnie nastawionego do kobiet i przedstawiającego je w niekorzystnym świetle, dlatego jej dwudziestodwutomowa (dwa ostatnie tomy ukazały się po śmierci autorki) antologia miała zawierać opowiadania przedstawiające silne postacie kobiece i promować młodych pisarzy. Wielu z nich zyskało później spory rozgłos, by wymienić tylko Glena Cooka, Emmę Bull, Charlesa R. Saundersa, Charlesa de Linta, Pat Murphy, C. J. Cherryh, Jennifer Roberson i Mercedes Lackey. Po śmierci Bradley w 1999 roku zadania kontynuacji antologii podjęła się Diana L. Paxson (*Sword and Sorceress XXI*, DAW 2004), a potem Elisabeth Waters (Norilana Books 2007), redaktorka jak dotąd ostatniej wydanej w dwóch tomach części serii.

Trzeba jednak przyznać, że w ostatnich kilkadziesiąt latach magia i miecz wypadły z łask czytelników. Nakręcony w 1982 roku film

*Conan Barbarzyńca* co prawda rozślawił Arnolda Schwarzeneggera, ale zaowocował wysypem marnych sequeli i imitacji, które zszargały wizerunek podgatunku. Choć jego przedstawiciele nigdy całkowicie go nie porzucili, literaturę fantasy zdominowały odmiany posttolkienowskiej epiki. Krótkie literackie formy opowieści przygodowych, w których kiedyś brylował Robert E. Howard, wypadły z łask wielkich czasopism i zostały zesłane do prasy niszowej (w szczególności magazynu „Black Gate”, który od powstania w 2000 roku stał się ich najlepszym źródłem). Ostatnio jednak jesteśmy świadkami wielkiego renesansu opowieści z gatunku magii i miecza. W ślady George’a R.R. Martina, którego seria *Pieśń lodu i ognia* charakteryzuje się niespotykaną wcześniej dwuznacznością moralną i mrocznym realizmem, poszło wielu młodych pisarzy zdecydowanych na powrót wnieść do epickiej fantasy „emocjonalność magii i miecza”. Tacy pisarze jak Steven Erikson, Joe Abercrombie, Scott Lynch, Tom Lloyd, David Anthony Durham, Brian Ruckley, James Enge, Brent Weeks i Patrick Rothfuss stali się pionierami nowej fantasy, łączącej epickie zmagania z wręcz naturalistycznym realizmem, gdzie dobro i zło po równi panują nad realistycznie odmalowanymi postaciami, którymi targają rozterki moralne, a zmagania między narodami, inkrustowane przemyślnymi posunięciami politycznymi, nie są już wcale sztampowe. Owe bezkompromisowe opowieści działają ożywczo na fantasy, podczas gdy jej klasyczni twórcy znajdują nowych czytelników. Po raz pierwszy od wielu lat znów są w sprzedaży opowiadania zarówno Roberta E. Howarda, jak i Michaela Moorcocka, wydawane w nowej, pięknej szacie graficznej i opatrzone obszernymi notami historycznymi. Znów na półkach księgarni możemy znaleźć całą sagę o Fafrydzie i Szarym Kocurze, a także dzieła zebrane C. L.

Moore. Wielki sukces odniosła gra komputerowa *Age of Conan*, trwają też zdjęcia do nowych filmów o Conanie i Elryku. Howard zmarł w 1936 roku, ale Michael Moorcock napisał ostatnio kilka nowych opowiadań o Melnibonéanie, z których jedno ukazuje się w tej antologii. Szum, który wywołało pojawienie się świeżego zaciągu pisarzy, w połączeniu z niedawnym wzrostem zainteresowania ich historycznymi korzeniami ze wszech miar sprzyja wszechstronnej prezentacji nowej fantasy. Oto więc przedstawiamy siedemnaście opowieści spod znaku magii i miecza pióra nowych i starych mistrzów. Są to historie o drobnych sprawach, ale obfitujące w akcję, zgryźliwy humor i bezwzględną przemoc, ironiczny fatalizm w obliczu niesamowitej magii, przerażające potwory i bajeczne skarby, no i jak zawsze – mnóstwo walk na miecze. Przyjemnej lektury!

*Lou Anders i Jonathan Strahan*  
*Alabama i Australia*

**Steven Erikson** to pseudonim kanadyjskiego pisarza Steve'a Rune'a Lundina, autora głośnego cyklu fantasy Malazańska księga poległych, której pierwszy tom, Ogrody księżycy, ukazał się w 1999 roku i uzyskał nominację do World Fantasy Award. Erikson, z wykształcenia archeolog i antropolog, szlify pisarskie zdobywał na warsztatach literackich w Iowa. SF Site nazwała cykl malazański „najbardziej znaczącym osiągnięciem epickiej fantasy od czasów Kronik Thomasa Covenanta Donaldsona”. Cechą charakterystyczną pisarstwa Eriksona jest różnorodność postaci. Jak powiedział w wywiadzie udzielonym portalowi suite101.com: „Często mi się zarzuca, że moje postacie nie są ani czarne, ani białe, ale we wszystkich odcieniach szarości, a to przecież nie oznacza, że każda jest tak samo szara. Liczy się efekt ogólny, a nie szczegóły. Większość moich bohaterów ma silne poczucie dobra i zła, inaczej mówiąc, kręgosłup moralny, niezależnie od tego, czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie. Przedstawiając sprawy z różnych punktów widzenia, daję czytelnikowi wybór, po której stronie może się opowiedzieć”. Erikson mieszka obecnie w Kornwalii.

## **Steven Erikson**

### **KOZŁY OFIARNE**

Na przełęczy pięciu jeźdźców ściągnęło wodze. Zgarbieni w siodłach, badawczo przyglądali się leżącej przed nimi dolinie.



Środkiem szerokiego łożyska wiała się wstążka rzeki. Przecinał ją wąski, zniszczony drewniany mostek z zapadniętym przesłaniem, za którym stało kilka domów połączonych piaszczystymi drózkami.

Trochę dalej w górę rzeki, na tym samym brzegu co wioska, na wielkim, sztucznie usypanym wzgórzu wznosił się czworoboczny zamek z szarego kamienia. Wyglądał na opustoszały i porzucony. Nie łopotały nad nim chorągwie, tarasowe ogrody na wzgórzu zarosły chwastami, a okna w narożnych wieżach ziały czarną pustką.

Konie jeźdźców były znużone i wyczerpane. Stały ze zwieszonymi łbami pokryte plamami zaschniętego potu. Dwaj mężczyźni i trzy kobiety nie wyglądali dużo lepiej. Pokierszowane zbroje, plamy krwi i bandaże świadczyły o niedawno stoczonej walce. Każde z nich miało na sobie grafitowy płaszcz spięty na sercu srebrną broszą przedstawiającą z profilu łeb barana.

Przez chwilę stali obok siebie w milczeniu.

W końcu najstarsze z nich, barczysta kobieta z bladą twarzą pokrytą bliznami, spięła wierzchowca i ruszyła w dół po kamienistym zboczu. Reszta jeźdźców podążyła za dowódcą.

\* \* \*

Chłopiec przybiegł do Grabarza, wykrzykując coś o obcych, którzy nadjeżdżają od strony granicy. Pięciu konnych, wołał, w słońcu błyszczą łańcuchy, może i broń. Dowódca ma długie czarne włosy i bladą twarz. Na pewno cudzoziemiec.

Grabarz wychylił kufel piwa i wstał. Rzucił na kontuar dwa guziki, które Opój zgarnął wielkim łapskiem, zanim Grabarz zdążył się odwrócić. W głębi baru Szczapa nagle zarechotała, ale czasem się jej to zdarzało i tym razem także chyba nie miało szczególnego podtekstu. A

może miało? Kto wie, co siedzi w głowie stuletniej dziwki.

Chłopiec, którego Grabarz nazwał Smarkiem, zapewne z powodu stale zasmarkanego, brudnego nosa, pierwszy wybiegł na dwór, podskakując jak szczenię. Poszli główną ulicą do domu, w którym Grabarz mieszkał i rzeźbił płyty nagrobne. Raz na jakiś czas wyprawiał się ze Smarkiem do starego kamieniołomu po materiał.

Chłopiec wbiegł do małej stajni i zajął się zaprzęgnięciem do wozu muła, podczas gdy Grabarz zaczął otwierać drzwi do szopy, myśląc o tym, że powinien ścinać trawę zarastającą rynsztok. Wszedł do środka i choć oczy nie zdążyły mu się przyzwyczaić do ciemności, pewnie sięgnął na półkę po lewej od drzwi, gdzie leżały szpadle i kilofy.

Najlepszą łopatę wybrał dla siebie, dla chłopca wziął prawie tak samo dobrą. Zabrał jeszcze ciężki kilof.

Wyszedszy na dwór, spojrział ku słońcu, po czym ruszył do chłopca szykującego wóz. Trzy narzędzia wylądowały za kozłem, wzniesając tumany kurzu.

- Pięciu, mówisz.
- Pięciu! – zapewnił Smark.
- Przynies dla nas dwie bańki z wodą.
- Się robi.

Grabarz poszedł za szopę, gdzie ze sterty płyt wybrał pięć mniej więcej prostokątnych, z wygładzonymi krawędziami, długości ramienia i szerokości łokcia. Przykucnął i popatrzył w ich puste lico. „Lepiej poczekam”, powiedział do siebie, po czym wstał, słysząc, że Smark przyprowadza wóz.

- Uważaj na palce tym razem – ostrzegł chłopca.
- Się robi.

Grabarz przesunął narzędzia na sam przód skrzyni, aby zrobić

miejsce na płyty. Następnie ostrożnie położyli każdą z nich na wykrzywionych, ale solidnych deskach. Grabarz obszedł wóz dookoła i chwycił za uzdę. Poprawił nieco uprząż, aby nie podjeżdżała w górę na piersi zwierzęcia.

- Gotowe – powiedział chłopiec.
- Ciężki ładunek – stwierdził Grabarz.
- Ciężki. Co chcesz na nich wykuć?
- Zobaczymy.

Mężczyzna ruszył pierwszy, a chłopiec za nim, prowadząc muła ciągnącego skrzypiący wóz i uważając, by drewniane koła trzymały się kolein, które wiodły w stronę cmentarza.

Kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli Kwietną. Włóczyła się po pagórkach z rozwianymi włosami i zbierała kwiaty. Chłopiec przystanął i wlepił w nią wzrok. Grabarz wcisnął mu w dłoń łopate.

- Nawet o tym nie myśl – ostrzegł go.
- Wcale nie myślę – skłamał chłopiec, ale Grabarz wiedział, że niektóre kłamstwa należy puścić mimo uszu. Do czasu.

Przez chwilę wpatrywał się w nieszczęsne pagórki i coś obliczał w myślach.

- Zaczniemy nowy rząd – zdecydował.
- Z łopatami w ręku ruszyli w kierunku cmentarza.
- Pięciu, mówisz?
  - Pięciu – potwierdził chłopiec.

\* \* \*

Nim jeźdźcy dotarli do łożyska rzeki, minął prawie cały ranek. Trakt prowadzący w dolinę był rzadko uczęszczany i od lat nie naprawiany. Sezonowe wylewy wyrzeźbiły zdradliwe kanały dookoła ogromnych

głazów. Wszędzie roiło się od jam, w których gnieździły się węże, toteż konie co chwila potykały się i płoszyły.

Chłód na przełęczy w dolinie przemienił się w upalną duchotę. Kamienie ustąpiły miejsca krzakom jeżyn, ostrej trawie i kwitnącej szaławii. Na dnie doliny trakt wyszedł na otwartą przestrzeń. Wyznaczały go w większości pnie drzew, a potem rzadki las z przewagą olszyn, osik, a bliżej rzeki – także topól.

Droga rozwidlała się przed mostem. Starszy, szerszy trakt prowadził do sterty czarnych głazów, która wraz z podobnym gruzowiskiem po drugiej stronie rzeki wznosiła się nad wodą niczym korzeń wybitego zęba. Węższą drogę kończył drewniany most – tak wąski, że z trudem mieścił się na nim wóz. Zbudowany z przepołowionych kłód powiązanych konopnymi sznurami kołysał się niebezpiecznie, tak że jeźdźcy mogli przejechać przez niego tylko jeden za drugim.

Mężczyzna jadący tuż za dowodzącą kobietą był przysadzisty i krępy. Jego twarz stanowiła kolekcję znaków szczególnych – od garbatego nosa poprzez cofniętą szczękę po uszy, z których jedno wyglądało jak rozplaszczona główka kapusty, a drugie było przecięte na pół, przy czym obie połówki rosły w przeciwnych kierunkach. Brudne wąsy i brodę pokrywały resztki zaschniętej śliny i jakby piany. Wjeżdżając na most, obrócił głowę w lewo i zerknął w dół na rzekę. Spod warstwy unoszących się na wodzie glonów prześwitywały resztki kamiennych filarów starszego mostu.

Gdy koń znów znalazł się na twardym gruncie, mężczyzna skierował go w stronę dowódcy. Razem przyglądali się, jak pozostali jeźdźcy jeden po drugim przeprawiają się przez rzekę.

Kapitan Splukana miała płaską twarz, a jej oczy wyglądały jak dwie rysy na bazalcie.

– Rok temu – odezwał się mężczyzna – w pół dnia wszyscy byśmy doszli do tego mostu. Tysiąc baranów twardych jak skała.

Doszlusował do nich trzeci jeździec: wysoka, tyczkowata kobieta z karmazynowymi pasemkami pobłyskującymi w czarnych włosach.

– Znowu ciągnie cię do burdelu – parsknęła, słysząc słowa mężczyzny.

– Co? No nie... Co ty tam wiesz...

– Już nie jesteśmy baranami. Jesteśmy pieprzonymi kozłami ofiarnymi. Ot, co! – stwierdziła i splunęła.

Gdy dołączyli do nich Świstun i Pieszczocha, pięcioro najemników, marząc o wygodach, jakie obiecywała wioska – choć za nic by się do tego nie przyznało – pokłusowało traktem, który za mostem rozszerzał się w coś na kształt ulicy.

Minęli jakieś gospodarstwo: samotną chatę z bali i trzy otoczone kamiennymi murkami zagrody dla zwierząt. Cuchnęło od niego świńskim łajnem. Niczym czarny dym unosił się nad nim rój much. Zaraz za jedną z zagród las nagle się skończył. Po lewej dostrzegli kilka niewielkich pól uprawnych, a na wprost po prawej coś w rodzaju kapliczki. Kamienna budowla niewiele większa od kamienia ołtarzowego, który otaczała z trzech stron. Dookoła rozciągało się miejsce pochówku.

Na cmentarzu jeźdźcy zobaczyli chłopca i mężczyznę zajętych kopaniem dołów zaznaczonych wypłowiałymi gałgankami na ociosanych palikach. Pod ogromnym cisem stał wóz zaprzężony w muła.

– Cosik dużo tych grobów – mruknął sierżant Zwis. – Zaraza czy co?

Nikt nie skomentował jego słów, ale gdy przejeżdżali obok, skupili

uwagę na kopaczach, powoli licząc... do pięciu.

– Pięć gałganków. – Zwis pokręcił głową. – To chyba połowa tutejszych mieszkańców.

Na drogę przed nimi wyszła dziewczynka z nareczem dzikich kwiatów. Nad jej rozwianymi włosami krążyły pszczoły.

\* \* \*

Szczapa cofnęła się od drzwi i opierając się o kontuar, przysunęła się do Opoja.

– Daj mi jednego. Odwdzięczę się – powiedziała.

– Odkąd to jesteś taka dobra?

– To żołnierze, Opojku. Idą z wojny...

– Jakiej wojny?

– Tej za górami, to chyba jasne.

Opój wbił wzrok w wiekową dziwkę.

– Słyszałaś coś o wojnie? – zapytał. – Od kogo? Kiedy?

Szczapa poruszyła się niespokojnie.

– Wiesz przecie, że zeszły ze trzy roki, jak nikt tu nie zaglądał. A to żołnierze i mocno dostali po karku. Musi więc być wojna. Gdzieś tam. Przyszli od przełęcz, to pewnikiem za górami.

– Zgadza się, na Diabelskiej Równinie. Dokąd nikt nie chodzi i skąd nikt nie wraca. Wojna... na równinie. Pewnie masz rację, Szczapa. Niech ci będzie, ale nie dam ci nikogo, chyba że zapłacisz, a nie masz czym.

– Mam pierścień.

– Ale to twoje źródło utrzymania. Pozbędziesz się go i nie będziesz nic im miała do zaoferowania.

– Dam ci go, jak odjadą. A może nie, jak będę miała pracę.

– Nikt nie jest aż tak zdesperowany – powiedział Opój. – Przyglądałaś się sobie ostatnio? Powiedzmy w ciągu ostatnich trzydziestu lat?

– Jasne, że tak. Mam to srebrne lustro, to z mojego pokoju ślubnego.

Mężczyzna zaśmiał się pod nosem.

– No dobra, pokaż go. Chcę zobaczyć, czy czegoś nie kombinujesz i czy go czasem nie połknęłaś.

Szczapa otworzyła usta i pomagając sobie językiem, wypluła coś na otwartą dłoń. Wielki miedziany pierścień na nitce, której drugi koniec nikał w ustach. Prawdopodobnie był przywiązany do zęba.

Opój nachylił się, aby go lepiej obejrzeć.

– Wiesz, że pierwszy raz go widzę – powiedział.

– Naprawdę?

– Złożyłem przysięgę czystości.

– Po śmierci żony. A więc jesteś idiotą. To co, robimy interes?

– Nie ma mowy. Jest mniejszy, niż myślałem.

– Większość mężczyzn też ma mniejszego, niż im się wydaje.

Opój cofnął się i chwycił kufel.

Szczapa na powrót włożyła pierścień do ust i łapczywie wpatrzyła się w kwaśny napój spływający do naczynia.

\* \* \*

– Czy to karczma? – spytała Pieszczocha, zerkając na walącą się szopę bez żadnego szyldu, na którą pokazywał drogowskaz.

– Jeśli to dowcip, walnę tego szynkarza w łeb, przysięgam – mruknął Zwis, zsiadając z konia. – Zrobię z niego miazgę, zobaczysz. – Stał przez chwilę nieruchomo, po czym otrzepał płaszcz, spodnie i

nabijane ćwiekami rękawice. – To nie zajazd, tylko gospoda. Ma tylko jeden pokój na zapleczu, o ile mnie wzrok nie myli. Gdzie będziemy spali? Gdzie zostawimy konie? To miejsce to jakiś wrzód na dupie.

– Na starej mapie to miasto ma nazwę – odważyła się wtrącić Suszka.

– Miasto? Od tysiąca lat nie ma tu żadnego miasta, jeśli w ogóle kiedykolwiek było.

– Mimo to ma nazwę, sierżancie.

– No to jak się nazywa?

– Boguchwała.

– Jaja sobie robisz czy co?

Przywiedła pokręciła głową i wzięła wodze od kapitan Spłukanej, która zeskoczyła z konia, wznieczając tuman kurzu, i z grymasem na twarzy ruszyła w samych pończochach, bo buty straciła, do drzwi zajazdu.

Pieszczocha podeszła do Suszki, która starała się uwiązać konie do słupka.

– Boguchwała, mówisz? – odezwała się. – Boże, jak ja marzę o kąpieli. Powinno się to nazywać Smocza Paszcza, tak tu kurewsko gorąco. Słuchaj, Suszka, ten grot strzały wciąż sterczy mi z łopatki. Sama nie zdejmę płaszcza, a cała jestem pod nim mokra...

Wyższa kobieta odwróciła się w jej stronę i odpięła broszę spinającą płaszc.

– Stój spokojnie.

– Przylepił mi się do pleców. Od krwi.

– Tak, wiem. Nie ruszaj się, a jeśli cię zaboli, nie chcę o tym słyszeć.

– Dobra. Rób swoje i nie gadaj.

Suszka złapała za brzeg płaszcza i powoli, jednym pociągnięciem



oderwała grubą wełnianą tkaninę od wąskich pleców Pieszczochy. Strup puścił i pokazała się pikowana kurtka z czarną od zakrzepłej krwi dziurą po strzale. Suszka zajrzała przez otwór i zbadała ranę.

– Trochę się jątrzy, ale nie jest źle.

– To dobrze, dzięki.

– Na twoim miejscu nie kąpałabym się w tej wodzie, Pieszczocho. Ta rzeka pełna jest świńskiego łajna i pewnie co roku wylewa. A coś mi się widzi, że studni też nie kopią zbyt głęboko.

– Wiem. Pieprzona dziura.

Reszta najemników poszła za Spłukaną do zajazdu. Ze środka nie dobiegały żadne hałasy. Dobry znak.

Mniejsza, szczuplejsza kobieta, choć w biodrach dużo szersza niż Suszka, jednym szarpnięciem rozwiązała rzemienie kurtki.

– Przez ten pot wszystko mam obtarte pod cyckami – powiedziała.

– Szczęściara z ciebie, Suszko, że ich prawie nie masz.

– Taa, mam szczęście. Jak mówią kobiety podczas upałów: „Wycieraj je, gdy je masz”. Chodźmy się napić.

\* \* \*

Kobieta w stroju żołnierskim, która weszła do karczmy, nie wyglądała na taką, co lubi dużo wydawać. Ale wypić tak, ocenił Opój, zaryzykowszyszy przelotne spojrzenie na jej twarz. Na dodatek wygląda na taką, co lubi brać i nie płacić. Dwóch żołnierzy, którzy weszli za nią, Opój – uczciwy karczmarz próbujący tylko dobrze prowadzić interes – uznał za jeszcze gorszych.

Kobieta nie nosiła butów, przez co poruszała się jak kot.

– Mam piwo – oznajmił Opój, zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta i zamówić coś, o czym nie miał pojęcia. Kobieta zmarszczyła czoło

i karczmarz pomyślał, że może pochodzi z tak dalekiej zagranicy, że nie mówi tutejszym językiem.

Wtedy przemówiła z ciężkim akcentem, kalecząc słowa:

- Co to za miejsce?
- Boguchwała – odparł.
- Nie o to mi chodzi. Królestwo? Cesarstwo?

Opój zerknął na Szczapę, której szczęka opadała ze zdziwienia, po czym oblizwał usta i wzruszył ramionami.

Obca kobieta westchnęła.

- Dobra, nalej pięć kufli.
- Najpierw zapłać.

Ku jego zdziwieniu kobieta, zamiast wyciągnąć ręce i skrócić mu kark, sięgnęła do szyi, na której miała zawieszony skórzany worek. Wyciągnęła go spod zbroi i wysypała na kontuar pół tuzina prostokątnych monet.

Mężczyzna popatrzył w dół.

- To cyna? Ołów? – zapytał.
- Srebro.
- Nie mogę wydać reszty srebrem!
- To czym tu płacicie?

Opój sięgnął pod ladę i wyciągnął drewnianą kasetkę. W czterech wyżłobionych przegródkach leżało siedem guzików w różnych rozmiarach, kilka bryłek naturalnej miedzi, oszlifowany agat i trzy zwitki pożółkłych liści.

- Nie używacie monet? – zdziwiła się kobieta.
- Ostatnią widziałem wiele lat temu.
- Jak wyglądała?
- Była podłużna. Nie taka jak twoje. I miedziana.

– Co na niej było? – wtrącił się niski brodaty mężczyzna, który wsunął się między kobietę a Szczapę. – To znaczy jaka twarz? A może trzy twarze? Albo zamek na niebie, jak ten tutaj?

– Nie pamiętam. – Karczmarz wzruszył ramionami.

– W takim razie to wystarczy za nocleg dla nas wszystkich – powiedziała kobieta, popychając jedną srebrną monetę w stronę karczmarza.

– Starczy też na beczułkę piwa i posiłek – dodał człowiek za kontuarem.

Zauważył, że kobieta wie, iż została oszukana, ale widać nie miała ochoty na kłótnię.

Brodacz spoglądał na Szczapę, która odwzajemniała jego spojrzenia.

Drugi zwalisty mężczyzna, który opierając się o ladę, stał po drugiej stronie kobiety bez butów, miał tępy wyraz twarzy. Opój słyszał jego ciężki oddech. Pewnie w ogóle nie rozumiał, co się wokół niego dzieje, o czym świadczył pusty wzrok i rozdziawiona gęba, w której sterczały krzywe żółte zęby.

Opój napełnił trzy kufle i podał je przybyszom. Chwilę później do karczmy weszły jeszcze dwie kobiety w wojskowych kurtkach. Szczapa nachmurzyła się i skurczyła w sobie, jak zwykle na widok kogoś, kogo uważała za konkurencję, lecz w tym momencie przysunął się do niej brodac.

– Karczmarzu, jeszcze jedno piwo dla tej ślicznotki – zadysponował.

Opój rozdziawił gębę, ale skinął głową. I tak już napełniał dwa kolejne kufle dla nowo przybyłych kobiet. Na bogów, wszyscy pokiereszowani, posiniaczeni i zmaltretowani. Cała piątka. I chyba im rozum odjęło, uznał. Nazwać Szczapę ślicznotką! Ten kretyn musi być

ślepy!

Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy ciężko dyszący odezwał się i okazał nader rozmowny.

– Nie widzę tu żadnych stajni – stwierdził. – Musimy gdzieś przenocować. A i konie trzeba oporządzić. Potrzebujemy jakiegoś schronienia na noc, jedzenia na podróż i czystej, gorącej wody. Jest tu gdzieś jakiś sklep? Kowal? Rymarz? Płatnerz? Ktoś, kto sprzeda nam derki?

Opój pokręcił głową przy pierwszym pytaniu i przy każdym następnym.

– Nic nie macie?

– Nie. Drogi nas omijają. Raz na rok zagląda tu kupiec i pozwala nam obejrzyć to, czego nie sprzedał gdzie indziej.

Szczapa wypła piwo jednym długim haustem, beknęła i powiedziała:

– Wdowa Skórka ma chyba trochę wełny i coś utka od czasu do czasu. Może mieć jakieś pledy na sprzedaż. Stajnie się spaliły, zresztą i tak nie mamy koni. Mamy świnie i trochę owiec, które pasą się na południe stąd, po drugiej stronie doliny. Ale całą wełnę stamtąd sprzedają do miasta w następnej dolinie – do Miłosierdzia.

– Jak daleko do tego Miłosierdzia? – zapytał brodac.

– Cztery dni piechotą. Konno będzie ze dwa.

– No więc gdzie możemy się przespąć? – spytał dyszący.

Opój oblizał usta i powiedział:

– Jeśli wystarczy wam, żeby dach nie przeciekał, to na wzgórzu jest stary zamek.

\* \* \*

Jeden z grobów wykopali zbyt blisko kurhanu i ze ściany prostokątnego dołu wypadły kości zmieszane z błotem. Grabarz i Smark patrzyli na nie przez chwilę. Były połamane i wysrane ze szpiku. Wreszcie Grabarz zgarnął je łopata.

- Wykopiemy dół na pagórku – powiedział.
- Pić mi się chce – odrzekł Smark i wydmuchał nos.
- Dobrze, zrobmy przerwę.
- Czy oni pojedą do zamku?

Grabarz nabrał łopata ziemię z kośćmi i zrzucił to wszystko na stos po drugiej stronie.

– Pewnie tak – odparł. Wbił łopatę w ziemię i wygramolił się z dołu, po czym wyciągnął rękę do chłopca i pomógł mu zrobić to samo.

- Obserwowali nas, gdy przejeżdżali obok.
- Wiem, chłopcze. Nie przejmuj się.
- Nie przejmuję się, mówię tylko, jak było.
- Ja też się nie martwię.

Z drugiej bańki nalali wody do cynowego kubka i kilka razy na zmianę pociągnęli z niego po łyku.

- Nie powinienem był wcześniej pić tyle piwa – przyznał Grabarz.
- Przecież nie wiedziałeś, co się wydarzy.
- Prawda, zapowiadał się zwyczajny dzień.
- Zwyczajny dzień w Boguchwale. – Smark pokiwał głową.
- Tak sobie myślę – odezwał się znowu Grabarz – że niepotrzebnie przywiązałem gałganki do palików. Żołnierze umieją policzyć do pięciu, zwłaszcza jeśli im zależy. Ciekawe, czy to ich zastanowiło.
- Dowiemy się, jak wrócimy do karczmy.
- Może będzie już ciemno, jak skończymy, chłopcze.
- To żołdacy. Siedzą do późna. Piją i hulają.

- Hulają? – Grabarz się uśmiechnął. – Co też ci przyszło do głowy?
- No, hulają. Zabawiają się ze Szczapą, upijają pewnie i biją...
- Z kim?
- Ze sobą, a może i z Opojem.

– Opój nie biłby się, nawet gdyby musiał walczyć o życie, chłopcze. Będzie szczęśliwy, jak mu zapłacą za piwo. A jeśli nie, to i tak nic na to nie poradzi, prawda? – Urwał, zerkając w stronę miasta. – Zabawiają się ze Szczapą, mówisz? Być może. Ale musieliby być ślepi.

- Wystarczy, że pokaże im swój pierścień.

Grabarz obrzucił chłopca surowym spojrzeniem.

- Skąd o tym wiesz?

- Prezent, na zeszłe urodziny.

- Wątpię, żebyś...

- Przecież po to ma język, prawda?

– Jesteś za młody, żeby coś wiedzieć o tych sprawach. Co ta stara wiedźma, Szczapa, sobie wyobraża?

- Powiedziała, że to jedyny prezent, jaki może mi dać.

Grabarz odstawił kubek.

– Koniec przerwy. Nie chcemy, żeby nam wypili całe piwo, nieprawdaż?

- Tak, proszę pana. Byłoby źle.

\* \* \*

Słońce zachodziło, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł, gdy Zwis poszedł ze Szczapą do pokoiku na tyłach karczmy.

- Ten gość to ma gust – parsknęła Pieszczocha. – Niech skonam.

Suszka wzruszyła ramionami, dopiła piwo i z hukiem odstawiła kufel na ladę.

– Jeszcze jedno, karczmarzu – powiedziała i odwróciła się do Pieszczochy. – On zawsze taki był. Wybiera najbrzydszą lub najstarszą dziewczkę, a jeśli się taka trafi, to najbrzydszą z najstarszych.

– Tym razem ma jedno i drugie i nikogo innego do wyboru. Musi być najszcześliwszym facetem pod słońcem.

– Chyba tak.

Kapitan Spłukana usiadła przy jednym ze stolików i w samotności zajęła się opróżnianiem kufła z piwem. Świstun usiadł obok niej. Rozdziawił usta i patrzył w przestrzeń. Tydzień wcześniej dostał buzdycanem w głowę. Hełm pękł, ale czaszka pozostała cała. Cios w każde inne miejsce wyrządziłby mu więcej szkody, ale ponieważ była to tylko głowa, szybko wydobrzał i przestał zezować. Nic nie zapowiadało, żeby znowu zaczął. No, chyba żeby się wściekł. Tej nocy jednak, zdaniem Spłukanej, nie miał powodu się wściekać. W tej dziurze było tyle życia, ile u chłopca po trzech dniach bez snu, jedzenia i picia.

Nagle Spłukana i Pieszczocha podniosły głowy, bo do karczmy wszedł mężczyzna i zasmarkany chłopiec.

– Ten jest całkiem, całkiem. Myślisz, że da się namówić? – zapytała Pieszczocha.

– Spytaj go.

– Kto wie? Może to zrobię, ale najpierw trzeba będzie go umyć.

– To ci dwaj kopali doły.

– Masz rację – mruknęła Pieszczocha. – Czyżbyśmy znaleźli tych, co stoją za tymi wszystkimi zgonami?

– Wy dwaj, chodźcie no tutaj! – zawołała Pieszczocha. – My stawiamy.

Mężczyzna skłonił głowę.

– Bardzo dziękuję – odrzekł. – Chłopcu też?

– Cokolwiek zechce.

Jak można się było spodziewać, chłopiec podniósł się i stanął za Pieszczołą, wycierając nos brudnym rękawem. Uśmiechnął się, pokazując rząd równych białych zębów. Pieszczoła posłała Suszce porozumiewawcze spojrzenie. Sprawy idą ku lepszemu.

Życie w ciągłym marszu musi wybić człowiekowi z głowy zamiłowanie do wojaczki, pomyślała Suszka. Większość z tych wątłych sierot i bękartów, co włączą się za żołnierzami, nie ma nic do stracenia i żyje chwilą, toteż żołnierskie gusta szybko się wypaczają. Ale ten wygląda w miarę normalnie, uznała. Grabarz jak grabarz. Wielu ich widziała w życiu.

– Karczmarzu, nalej jeszcze piwa – poleciła.

Grabarz pił w milczeniu i widać było, że ma w tym wprawę.

Suszka przyglądała mu się przez chwilę, a w końcu spytała:

– Pięć grobów. Kto umarł?

Mężczyzna popatrzył na nią, dopił piwo i cofnął się.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję – rzekł. – Smark, idziesz?

– Zostanę jeszcze chwilę.

– Jak chcesz.

Mężczyzna wyszedł. Suszka odprowadziła go wzrokiem, po czym odwróciła się, by coś powiedzieć do Pieszczoły, ale zauważyła, że trzyma ona rękę na spodniach chłopca w okolicach członka, który był na tyle duży, by się podnieść.

Suszka westchnęła i zabrawszy kufel, dołączyła do Splukanej i Pieszczoły.

– Straszna dziura – powiedziała, ciężko opadając na krzesło. – Kapitanie, zerknęłaś na ten zamek na wzgórzu? Wygląda na to, że ma wewnętrzny dziedziniec. Może służyć za stajnię.



Świstun spojrział na nią.

– To gródek z czasów podbojów dżerańskich, Suszko – odezwał się.  
– Sprzed tysiąca lat. A od podpisania ugody dżerańskiej upłynęło przynajmniej pół tysiąca. Wątpię, żeby ocalał choćby skrawek dachu. A ponieważ znajdujemy się na granicy Diabelskiej Równiny, to znaczy, że został zdobyty podczas Wojen Wskreszenia. Pewnie cuchnie tam demonami i mordercami. Dlatego stoi pusty.

– Stoi pusty, bo ktokolwiek władał tymi ziemiemi, zapomniał o tej dolinie – odrzekła Suszka. – Nie ma tu po co tworzyć garnizonu ani czego strzec. Utrzymywanie takiej kupy gruzów to upierdliwa robota.

Świstun pokiwał głową.

– To także – przyznał. – W każdym razie dla nas wystarczy. Miło tu i spokojnie.

– Wreszcie jakaś odmiana.

Spłukana poruszyła się na krześle.

– Jeszcze jedna kolejka dla wszystkich – oznajmiła – i jedziemy na górę.

Suszka wstała.

– Powiem Pieszczoszce, żeby się pospieszyła. Chłopcy w tym wieku mogą często, ale krótko. Musi się z tym pogodzić.

\* \* \*

Pęknięty Księżyc wzniósł swoje odłamki ponad horyzont, rzucając smugi cienia na pustą ulicę, kiedy oddział dosiadał koni, żeby wyruszyć w stronę ruin.

Grabarz stał przygarbiony w cieniu między dwoma rudkami i obserwował przejeżdżających obok jeźdźców. Usłyszał hałas za sobą i się odwrócił. Stał za nim Śledzik, niewidomy szewc, oraz pół tuzina

mieszkańców wioski. W istocie połowa ludności.

– Co myślisz? – zapytał Śledzik.

Grabarz zmarszczył czoło.

– Wybieram pierwszy, jak zwykle.

Śledzik skinął głową.

– Ciągnęliśmy losy, kto będzie następny. Wygrałem. – Otworzył usta w bezzębnym uśmiechu. – Masz pojęcie? Nigdy dotąd mi się nie poszczęściło! Ani razu! A dziś wieczorem wygrałem!

– No to szczęściarz z ciebie. Teraz wszyscy idźcie iść spać i pamiętajcie, żeby zatkać sobie uszy. Wasza wina, jeśli rano będą się wam oczy kleić z niewyspania.

Paplając, rozeszli się do domów.

Ekscytujące czasy w Boguchwale. Jak często można to powiedzieć bez splnięcia i kwaśnego uśmiechu? Grabarz wyszedł na ulicę. Jeźdźcy dotarli do stóp góry, gdzie zatrzymali się, żeby spojrzeć na majaczące w ciemności, groźnie wyglądające fortyfikacje.

– Czego stoicie? – szepnął Grabarz. – Przecież jest spokojnie. Idealnie. No, jedźcie, do cholery.

I wtedy ruszyli, a Grabarz odetchnął z ulgą.

Nikt ich tu nie zapraszał, więc do nikogo nie mogą mieć pretensji. Jakoś trzeba żyć, to wszystko. Ludzie mają do tego prawo, uznał. Nie była to żadna zasada ani jakiś królewski przywilej czy oczywista prawda. Była to jedna z tych myśli, które ludzie wypowiadają na głos przy każdej możliwej okazji, aby się utwierdzić w ich słuszności. Choć w rzeczywistości nie mają prawa do niczego. Ani do powietrza, którym oddychają, ani do strawy, którą jedzą, ani do piwa, które piją. Ani do słodkiej rozkoszy między nogami, ani do ciepłego ciała obok siebie w nocy. Nie mają prawa do ziemi ani nawet do miejsca, w którym stoją.

Łatwiej się jednak żyje, prawda, gdy człowiek sobie powtarza, że ma prawo do życia i uczciwej, ciężkiej pracy, jak na przykład kopania grobów czy rzeźbienia nagrobków, która daje zarobek, bo tak powinno być.

Z karczmy wyszedł chłopiec i zataczając się, ruszył ulicą. Był pijany, miał plamy w kroczu – wszystko przez tę kobietę.

Grabarz ruszył za nim, żeby go zaprowadzić do chałupy, która stała nieopodal jego domu. Wyobrażał sobie, jak trudno żyć, gdy rodzice porzucili cię na pastwę losu. Stało się to trzy lata temu i Grabarz wiedział, że chłopiec przyłgnał do niego, bo potrzebował kogoś, kto wypełni mu pustkę po ojcu i matce w okresie dorastania. To naturalne, że chce się mieć kogoś, kto na ciebie czeka. Jutro rano chłopiec nie będzie się do niczego nadawał, ale Grabarz i tak skubnie dla niego parę kawałków. Przynajmniej tyle mógł dla niego zrobić.

\* \* \*

Brukowany podjazd wspinał się pod górę trzema ostrymi zakrętami, na których łatwo mogły utknąć wozy z zaopatrzeniem, dezorganizując dostawy do zamku. Gdzieniedzie drogę zarastała trawa i tarasowały kamienie, ale ogólnie trakt był w dobrym stanie.

Sierżant Zwis poruszył się niespokojnie w siodle, kiedy jego koń ciężko pokonywał strome podejście. Ta dziwka miała jeszcze zęby, a jej pierścień okazał się o wiele za mały. Jego wąż czuł się w nim zdecydowanie za ciasno. Po drodze zauważył, że ktoś powyrywał z muru po obu stronach drogi metalowe uchwyty i zostały po nich tylko pordzewiałe otwory.

– Co mogli, to rozkradli – zauważył. – Wątpię, żeby zostały jakieś drzwi, zawiasy czy wyposażenie. Teraz pewnie się czają, żeby i nas w

nocy obrabować.

– Chyba nie będą samobójcami – stwierdziła Suszka.

– Może nie – odparł Zwis i beknął. – Ta Szczapa to chciwa dziwka.

Pokonali ostatni zakręt i znaleźli się blisko bramy. Kraty nie było, jak się spodziewali, i łukowaty wjazd ział ciemnością niczym wejście do jaskini. Zwis wjechał do środka za Spłukaną. Otwory zsykowe i strzelnicze ciasno wypełniało błoto i gniazda jaskółek skalnych, które niestrudzenie latały im nad głowami.

Brama prowadziła na zarośnięty krzakami dziedziniec. W środku znajdowała się kamienna studnia, ale bez kołowrotu. Po prawej stał niski budynek, który ciągnął się wzdłuż całego wysokiego muru.

– Są stajnie – zauważył Zwis – ale musimy skorzystać z własnej paszy.

Spłukana wskazała na kamienne koryto obok stajni.

– Suszko, sprawdź, czy nie jest pęknięte. Pieszczocha, zbierz bukłaki z wodą i przygotuj linę. Zobaczymy, czy uda się nam zaczerpnąć wody z tej studni. Zwis i Świstun, pójdziecie ze mną. Sprawdzimy główny budynek.

Wspomnianą budowlę zabezpieczono przed oblężeniem przez własne oddziały. Żadnych okien na niskich piętrach, wąski otwór wejściowy, otwory strzelnicze w dwóch wieżach flankujących wewnętrzną ścianę. W spadzistym dachu pokrytym dachówkami gdzieś ziały dziury na wylot.

– Założę się, że w wieżach jest czyściej niż gdzie indziej – stwierdził Zwis.

Zsiedli z koni i ruszyli do wejścia.

\* \* \*

Zbudził ich głuchy stuk kopyt na bruku i w zamkowych komnatach ożyły dziesiątki postaci. Skurczone członki wyprostowały się, zmrużone oczy zabłysły, gdy poruszyły się głowy, a w opuszczonych szczękach ukazały się rzędy cienkich kłów. Podwójne serca, które miesiącami pracowały w śmiertelnie powolnym rytmie, teraz zabiły szybciej, rozprowadzając krew i ciepło po żylastych, długich ciałach. Szpony u rozczapierzonych palców zastukały o kamień.

Zabójcy, którzy pięćset lat temu wyrznęli tutejszy garnizon, demony z przeklętej równiny za górami, raz jeszcze ożyli w oczekiwaniu na krwawą noc. Co jakiś czas trafiali się nieszczęśni podróżni o cienkiej skórze szukający tu schronienia na noc. Przy podziale jedzenia, kawałków zmiążdżonego mięsa, wybuchały wściekłe walki nawet o najmarniejsze kąski. Jedli wszystko oprócz kości, a i te rozrywali, żeby wyssać z nich szpik. To, co zostało, przed nastaniem świtu wyrzucali na stos przed bramą.

Wódz tych upiornych demonów wy dostał się ze spowijającego go kokonu ludzkich włosów i stukając pazurami, ruszył w dół na czworakach po kręconych schodach południowej wieży. Nozdrza mu się rozszerzyły, gdy zwęszył słodki zapach końskiego i ludzkiego mięsa. Szczekał zębami z głodu. Niecierpliwił się. Nosił krótką zbroję łuskową i miecz za pasem, nie dłuższy niż niedźwiedzi kiel i prawie równie tępy. Chodził z gołą głową – z próżności, by jego sztywne siwe włosy mogły sterczeć pionowo. Żółtobrązowe oczy błyszczały z podniecenia.

Reszta demonów też już się obudziła, ale miały czekać na wezwanie. Wódz musiał zobaczyć ofiary na własne oczy, chciał się nasycić ich rosnącym strachem. Musiał widzieć ich osaczonych, gdy pojmują przerażającą prawdę. Cicho wypowiedziane zaklęcie spowiło bramę wjazdową kłębami żrących i śmiertelnie trujących oparów. Nie, tędy

nie uciekną. Nikomu to się jeszcze nie udało.

Już niedługo, naprawdę niedługo zacznie się rzeź. Najpierw zabije się ludzi, a potem konie.

\* \* \*

Świstun zatrzymał się pośrodku wysoko sklepionej, podpartej filarami szerokiej sieni, do której prowadziło wąskie wejście. Wciągnął nosem powietrze.

– Duchy – mruknął. – To miejsce zajęto w walce, pani kapitan. Wielu ludzi tu zginęło.

Spłukana spojrzała na niego, przez chwilę przyglądała mu się badawczo, po czym z powrotem jej uwagę przyciągnął rząd ziejących otworów drzwiowych na przeciwległej ścianie. Zwis badał wzrokiem mozaikową podłogę i zmarszczył czoło na widok ciemnych smug, które ją pokrywały. Podniósł głowę, by spojrzeć na sufit, ale było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć. W każdym razie żadnych otworów przepuszczających światło księżyca.

– Pachnie nieciekawie – rzucił.

– Pani kapitan, mamy problem – rozległ się głos Pieszczochy, która weszła do środka.

– O co chodzi?

– Konie robią się nerwowe. I jakieś opary pojawiły się przy bramie. Śmierdzą, drażnią oczy i gardło, jeśli się do nich zbliżyć. Pewnie zginiemy, jeśli spróbujemy przez nie przejść.

– Ktoś chce, żebyśmy zostali na noc – zauważył Świstun. Jego ciężki, świszczący oddech niósł się po sali.

– Samotne duchy? – zapytał Zwis.

Świstun wzruszył ramionami.

– Kto wie? – odparł. – Być może.

– W porządku – powiedziała Spłukana. – Wybierzemy sobie komnatę z jednym wejściem...

– Duchy mogą przenikać przez ściany, pani kapitan...

– Pieszczocha, jak tam rana?

– Suszka wyciągnęła strzałę. Zagoi się.

Spłukana kiwnęła głową i jeszcze raz rozejrzała się dookoła.

– Pieprzyć duchy – rozstrzygnęła. – To nie duchy.

– Cholera – zaklęła Pieszczocha i wyszła.

– Zostań tutaj, Świstun – rozkazała Spłukana. – Sierzancie, zapalcie lampę i poszukajmy dla siebie komnaty.

– Wiedziałem, że się pani nie zmartwi, pani kapitan.

Z pierwszych trzech pomieszczeń, które mieli przed sobą – dusznych, ciemnych nor – prowadziły przejścia do mniejszych komnat przez drzwi pośrodku ściany. W wielu miejscach tynk odpadł ze ścian, odsłaniając kamień, z którego zbudowano zamek. Najemnicy tylko do nich zajrzeli. Czwarte pomieszczenie było dawną zbrojownią, teraz ogołoconą ze wszystkich sprzętów.

Zwis uniósł lampę.

– Widzisz, pani? Tam w rogu. Zapadnia.

Podeszli do niej. Mosięzny pierścień zniknął, a drewno wyglądało na przegniłe.

– Dźgnij w nią mieczem – rozkazała Spłukana.

– Jesteś, pani, pewna?

– Zrób to.

Zwis podał jej lampę i wyciągnął z pochwy miecz o długiej głowni z błękitnej areńskiej stali. Gdy tylko dotknął drewna sztychem, kłapa ze świstem runęła w dół. Z głębi dobiegł ich odgłos desek objających się o

ściany.

– Dawno nie używana – stwierdził Zwis.

Spłukana zbliżyła się do otworu i poświeciła lampą.

– Żelazna drabina, sierżancie – zauważyła. – Widać rabusiów opuściła odwaga.

– Nie dziwię się.

– Wciąż jesteście pijani, sierżancie?

– Nie, raczej... nie.

– Moglibyśmy tam zajrzeć.

Kiwnął głową.

– Myślę... – zaczęła powoli, odwracając się do Zwisa – że mamy tu demona.

– Zgadza się, czuć go wszędzie.

Usłyszeli brzęk dobiegający z głównego holu.

Spłukana ruszyła z powrotem.

Suszka i Pieszczocho przyniosły kusze, kołczany i torby z bełtami. Wyciągnęły pociski i rozdzieliły między siebie. Świstun ciasno owijał sznurem metalowe kastety, rozsmarowując grudki tłuszczu na grubych splotach.

– Zapalcie resztę lamp, sierżancie – rozkazała Spłukana, zawiązując ciaśniej rzemienie u rękawic. – Gdzie mój hełm, Suszko?

– Z tyłu za Świstunem, pani kapitan.

– Wszyscy mają nałożyć zbroje. Początek nocy zapowiada się gorąco. Potem będziemy mogli trochę odpocząć.

– Myślałam, że załatwiliśmy te gówniane demony – poskarżyła się Pieszczocho.

– Jeden się wydostał i przykicał tutaj, to wszystko.

– Na dodatek jakiś posrany magik.



– Odeprzemy jego atak, otoczmy i zabijemy skurwiela.  
Reszta pokiwała głowami.

\* \* \*

Wysoko na krokwiach dachowych wódz demonów obserwował pięciu głupców. Żołnierze! Jakie to podniecające. Całkiem nieźle powstrzymywali panikę, ale wódz czuł ich gryzący pot, który zdradzał strach. Patrzył, jak rozdzielają broń, sprawdzają nawzajem swoje zbroje – a raczej to, co z nich zostało – a potem, ustawivszy lampy w duże koło, wkładają hełmy – jednego, wyższego z mężczyzn, mocno potrzaskany – i ustawiają się w koło wewnątrz pierścienia utworzonego przez drgające płomienie lamp.

Dobra pozycja obronna.

Demon, o którym teraz rozmawiają, mógł przecież zaatakować z dowolnego kierunku, z każdego korytarza, łącznie z prowadzącym do wyjścia. Mógł także, na przykład, zaatakować z dachu. Na tę myśl wódz demonów wyszczerzył w uśmiechu swoje igiełkowate zęby.

Bardzo dobrze, ich przygotowania robią wrażenie.

Ale nie mieli do czynienia z jednym demonem, prawda?

Nie, było ich wiele. Bardzo wiele. I jeszcze więcej.

Wódz demonów ponownie wypowiedział zakłęcie zamykające wyjście z zamku. Jedna z kobiet poczuła woń oparów i zakłęła. Ta mała ma nosa do czarów. Niestety, nic jej to nie pomoże.

W stajni konie wyczuwające takie sprawy zaczęły się trząść i rzeć.

\* \* \*

Zwis zobaczył, że kapitan Splukana podnosi głowę, jakby chciała coś

usłyszeć wśród rżenia oszalałych ze strachu koni. Po chwili wyprostowała się.

– Zbierzcie lampy. Czas wycofać się do naszej komnaty.

Objuczeni bronią, niosąc kołyszące się lampy, ruszyli zwartym kręgiem w kierunku samotnego wejścia do budynku.

Zwis pierwszy wszedł do środka. Obrzucił pomieszczenie szybkim spojrzeniem i mruknął:

– Czysto.

Za nim wskoczyli pozostali.

Pieszczocha chciała coś powiedzieć, ale Spłukana uciszyła ją jednym ruchem ręki i gdy wszyscy skupili na niej uwagę, zaczęła coś szybko i precyzyjnie tłumaczyć na migi. Wszyscy kiwnęli głową i postawili lampy na podłodze.

\* \* \*

Pokryte stalowoszarymi łuskami, ciągnąc za sobą strzępy pajęczyn i gipsowy pył, ze wszystkich zakątków ruin zaczęły wyskakiwać demony i płynąć falą po spiralnych schodach północnej wieży niczym brudna woda przelewająca się przez górskie progi. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści – skakały na czterech łapach, szczękając kłami i machając ogonami. Wylądowały na podeście, po czym drapiąc pazurami o kamienną posadzkę, ruszyły do światła bijącego z otworu drzwiowego znajdującego się na wysokości dwóch trzecich długości korytarza.

Opanowany żądzą krwi oszalały chór piszczał tak, że mógłby napędzić stracha kawałkowi słoniny. Wódz demonów zeskoczył z krokwi i pobiegł za nimi, akurat gdy pierwszy z demonów wskakiwał w przejście.

Wódz zawył, ale był to przejaw bezsilnej frustracji.

Próbował dołem, górą i bokiem przecisnąć się przez tłum demonów tłoczących się przy wejściu, aż udało mu się dostać do komnaty. Oprócz miotających się w furii i atakujących ściany demonów w środku nie było nikogo.

Rozbite lampy leżały pod ścianami.

Pięciu ludzi zniknęło.

Gdzie?

Aha! Wódz demonów zobaczył otwór w podłodze.

Skrzeczając wściekle, rozkazał ruszyć w pogoń. Demon stojący najbliżej zapadni wślizgnął się do otworu, a w ślad za nim podążyły inne.

Nie głupi ci ludzie! Ale jak szybko potrafią uciekać?

Nie dość szybko!

Wódz obudził resztę swoich dzieci i z niezliczonych komnat dobiegł ścinający krew w żyłach wrzask.

Schodzący po drabinie rój demonów dotarł do pierwszego poziomu podziemnych korytarzy. Kilka takich poziomów tworzyło labirynt wąskich, nisko sklepionych, krętych tuneli wykutych w skale, na której stał zamek. Magazyny, cysterny, zbrojownie, lazarety i strażnice. Minęły setki lat od czasu, gdy po raz ostatni demony się tu szwendały.

Wódz wyczuł ich zaskoczenie. Zapach ludzi dochodził ze wszystkich trzech możliwych kierunków, a potem z jeszcze dwóch, z rozwidlenia głównego korytarza. Spanikowali! Teraz każdego głupca można dogonić z osobna, a potem upuścić mu krew i wyrwać wnętrzności na brudnym, tłustym bruku.

Piszcząc z podniecenia, wódz posłał swoje demony w pogoń za każdym z tych żalonych, wstrętnych stworzeń.

\* \* \*

Demon przemknął bezszelestnie przez zatłoczone wejście. Błyszczącym, mokrym nosem łowił kwaśny zapach ludzi wiszący w powietrzu niczym mgła. Czarne skurcze rozchodziły się falami po umyśle, a wydłużone ciało drżało z głodu, wstrząsając poskręcanyimi członkami i wywołując cichy stukot szponów.

Choć długi sen był podły i wstrętny, nagłe przebudzenie okazało się bolesnym dzikim pożądaniem.

Natrafił na śmierdzący wełniany płaszcz zgubiony podczas panicznej ucieczki w podziemiach. Demon przykucnął i odetchnął głęboko, wracając wspomnieniami do rzezi sprzed wieków. Podniósł głowę, w zadumie opuścił szczękę i popęzł do przodu.

Reagując na dźwięk za plecami, gwałtownie się odwrócił.

Cios zadany nabijaną ćwiekami rękawicą rozgniółł mu pysk, wpychając do gardła połamane kły. Kolejne celne uderzenie roztrzaskało mu łeb o ścianę. Potem posypały się następne razy.

\* \* \*

Widać było tylko rozmazaną smugę, kiedy sierżant Zwis pięścią walił demona w głowę niczym młotem, drugą ręką trzymając go za gardło. Kiedy miękkie plaskanie przeszło w głuchy trzask pękającej czaszki, Zwis puścił stwora, którego poskręcane ciało osunęło się na ziemię.

Z głębi korytarza dochodziło hałasowanie następnych potworów.

Zwis podniósł z ziemi swój płaszcz i z powrotem ukrył się w wąskim bocznym korytarzu, z którego przed chwilą wypatrzył przemykającego obok demona.

\* \* \*

Trzy demony wylądowały na rozwidleniu korytarzy i pobięły dalej na czterech łapach z tak strasznym wyciem, że uciekłyby przed nim wilcza wataha. Głowa prowadzącego rozprysła się nagle w fontannie krwi i odłamków kości, kiedy strzała wypuszczona przez Suszkę trafiła go między oczy. Gnające za nim demony zaplątały się w bezwładne ciało i zawyły z wściekłości.

Dziesięć kroków dalej Suszka wycofała się do bocznego korytarza, który był tak wąski, że z trudem mogła się do niego wcisnąć. Tuż przy wejściu, zaklinowawszy kuszę między ścianami na wysokości piersi, nałożyła dwa długie bełty i zamarła w oczekiwaniu.

Pierwszy demon wczepił się pazurami przednich łap w krawędź otworu, żeby wyhamować i wskoczyć w boczny korytarz.

Zatrzymał się na żelaznej kuszy, która odcięła mu dolną szczękę i rozbiła czaszkę.

Suszka uznała jego łysą pałę za dogodny cel i wypuściła obie strzały. Mózg rozbryzgnął się na ścianie.

Demon, który wpadł na pierwszego śmiałka, wrzasnął, kiedy strzała wypuszczona z głębi głównego korytarza przeszła mu gardło. Krztusząc się różową pianą, zatoczył się do tyłu i zakończył życie okrutnym wrzaskiem.

Suszka kopniakiem odepchnęła praktycznie bezgłowe ciało demona, schowała miecz do pochwy, uwolniła kuszę i pobięła w głąb wąskiego przejścia.

\* \* \*

Dwadzieścia kroków dalej w głównym korytarzu Pieszczocha

włożyła stopę w strzemień kuszy i naciągnęła cięciwę, krzywiąc się, gdy poczuła przeszywający ból od rany w plecach. Nałożywszy nowy belt, skoczyła w ciemne miejsce korytarza. Oczywiście demony widzą w ciemnościach, a niektóre z nich potrafią zobaczyć ciepłokrwiste stworzenia, ale gdy są głodne, wolą kierować się węchem, który prowadzi je jak po sznurku.

Za to ich oczy, nie wiedzieć czemu, błyszczą i stanowią doskonały cel.

Z głębi korytarza dobiegł hałas zbliżających się demonów. Część pobiegnie za Suszką, reszta pójdzie moim śladem, pomyślała Pieszczocha i odeszła pośpiesznie.

\* \* \*

Ubezpieczany przez czterech towarzyszy wódz demonów przycupnął na rozwidleniu korytarza. Ślady ludzi prowadziły w obu kierunkach. Wódz zawahał się. Stojący za nim demon warknął i rzucił się w lewo, ale zaraz zahamował z poślizgiem na widok leżącego na ziemi płaszcza. Chrząknął skonsternowany, a potem nagle obrócił się dookoła własnej osi...

Z korytarza po prawej wyskoczył mężczyzna z wystającymi żółtymi zębami i wykorzystując ciężar ciała, wbił po rękojeść swój miecz w demona stojącego na rozwidleniu. Klinga przebiła obydwie serca potwora. Zostawiwszy miecz w trupie, schylił głowę, wykręcił rękę i wbił chroniony zbroją łokieć w czoło kolejnego potwora.

Dwa pozostałe demony zderzyły się ze sobą w nieudanej próbie pochwycenia napastnika.

Świstun cofnął się o krok i kopnął jednego w ciężko zwisające jaja. Demon wydał chrapliwy jęk i cofnął się, a wtedy ostatni stwór, który

znalazł się oko w oko ze Świstunem, rzucił się na niego. Mężczyzna złapał go za gardło, ścisnął z całych sił i błyskawicznie zgniótł tchawicę. Odrzuciwszy na bok wstrząsane konwulsjami ciało, wyciągnął nóż myśliwski i poderżnął gardło potworowi, którego kopnął w krocze. W przypiływie miłosierdzia.

Następnie schował nóż do pochwy, jednym szarpnięciem wyrwał miecz z ciała zabitego demona, podniósł kuszę i ruszył biegiem, chwytając po drodze leżący na ziemi płaszcz.

\* \* \*

Biegąc po omacku, prawie w zupełnych ciemnościach, Pieszczocha wyczuła nagle, że jej wyciągnięta prawa ręka trafiła w pustkę. Zahamowała z poślizgiem i cofnęła się. Z głębi bocznego korytarza dobiegały odgłosy walki – gwałtowanej, wręcz desperackiej.

Pieszczocha wiedziała, że gonią ją co najmniej dwa demony. Ktokolwiek to był, mógł ją przekląć za pomoc, gdyby sprowadziła mu na głowę kolejnych napastników i odcięła odwrót.

Co ma być, to będzie, pomyślała. Podniosła kuszę i skrzyła w boczny tunel.

Z przodu coś przeraźliwie zajęczało, jakby wystrzeliła największa na świecie kusza. Pieszczochę ogarnął chwilowy niepokój, który jednak szybko ustąpił, kiedy usłyszała nieludzki wrzask przerażenia i wściekłości.

Ktoś znalazł sobie nową zabawkę?

Za sobą usłyszała szybko zbliżający się stukot pazurów, a to nie zapowiadało nic dobrego.

Zatrzymała się, kucnęła i podniosła broń, wypatrując błysku oczu pierwszego demona. Jeden strzał i po nim. Rzuciwszy kuszę na ziemię,

w prawą dłoń chwyciła miecz, w lewą puginał.

W ciemnościach rozblęły cztery kolejne pary oczu.

– Padnij! – usłyszała i odruchowo rzuciła się na ziemię.

Coś z przeraźliwym szumem przeleciało jej nad głową. Wielka metalowa strzała z zadziornymi przeszyła na wylot trzy demony, a czwartemu strzaskała ramię. W korytarzu zapanował chaos. Pieszczocha wybuchła śmiechem, zerwała się na nogi i ruszyła do ataku. Czwarty stwór pisnął i jak tylko mógł najszybciej uciekł na trzech łapach.

– Cholera. – Pieszczocha zatrzymała się i pobiegła z powrotem, starając się przebić wzrokiem ciemności. – Kto tam?! – krzyknęła.

– Suszka... Słuchaj, znalazłam całą komnatę pełną tego cholerstwa. Arbalestów.

– Prowadź, kochanie.

– Uważaj, mnóstwo tu ciał.

– Tak jest.

\* \* \*

Kapitan Spłukana odepchnęła bezgłowe truchło i precyzyjnie się przez otwór. Łapiąc równowagę, odwróciła się, żeby stawić czoło pierwszemu demonowi, który pojawił się na progu. Sztychem miecza wycięła mu na gardle szeroko uśmiechniętą buźkę. Drugi demon, który próbował przeskoczyć ciało powalonego kamrata, stracił połowę głowy. Przecięty mózg przestał pracować.

Trzy następne precyzyjnie się przez otwór i Spłukana cofnęła się, pozwalając im wejść do środka.

Mordercze szpony przecięły powietrze, nie trafiły. Szczęki zamknęły się z głuchym kłapnięciem. Ciosy zadawane na oślep chybiły celu.



Wtedy ją zobaczyły, ale kobieta wydała im się rozmazaną plamą. Nagle głowa jednego z demonów odpadła i z karku wytrysnął strumień krwi. Inny poczuł jakby pocałunek na brzuchu, spojrzał w dół i zobaczył swoje wnętrzności wypływające na wierzch i prostujące się niczym ginące z głodu robaki. Próbował je pozbierać i poczłapać z powrotem, ale wyjście zablokowały dziesiątki demonów wciskających się do środka. Wypatroszony demon warknął i wetknął sobie pazury w oczy. Cóż, nie każdy umie się zachować.

Spłukana rzuciła nim o ścianę, a gdy opadł na ziemię, zgmiotła mu butem gardło i odskoczyła, żeby uniknąć mlóćących powietrze rąk i nóg.

Szybkim spojrzeniem oceniła rój oczu błyskających przy wejściu, po czym zrobiła krok do przodu i zaczęła siec mieczem. Czasem finezja się nie opłaca.

\* \* \*

Zwis balansował na belce dachowej, czekając, aż przejdzie trzeci i ostatni demon. Zatopił mu bełt w karku, a kiedy upadł, rzucił kuszą w najbliższej stojącą bestię, która w tym momencie odwróciła się, ukazując oczy świecące jak rozżarzone węgle. Zwis zobaczył, że kusza odbija się od płaskiego czoła, i z dwoma krótkimi mieczami w dłoniach zeskoczył na ziemię.

Błysnęły klingi, kalecząc nadgarstki i przedramiona. Kolejne ciosy przecięły ścięgna i ważne mięśnie. Zwis schylił głowę i bykiem natarł na bestię. Wyściółka hełmu przyjemnie plasnęła o czoło i po chwili oba demony leżały poskręcane w kałuży krwi. Sierżant odwrócił się i szybko dokończył robotę. Następnie podniósł kuszę i warknął, gdy zobaczył, że jest zgięta. Odrzucił ją i powłókł się w głąb korytarza.

Kierował się odgłosami walki.  
Szedł, żeby wziąć w niej udział.

\* \* \*

Przy wejściu kłębił się tłum potworów, co oznaczało, że kogoś dopadły, a raczej, że ktoś pozwolił się dopaść, co świadczyło, że tym kimś musiała być Spłukana. Sapiąc z wysiłku, Suszka i Pieszczocha uniosły arbalesty i posłały dwie strzały prosto w tłum. Strzępy ciał poleciały we wszystkich kierunkach.

Chwilę później Pieszczocha z okrzykiem na ustach natarła na pozostałe przy życiu bestie. Suszka zaklęła, puściła arbalest, wyciągnęła miecz i pobiegła za kumpelką. Gdy dotarła do dzikiego kłębowiska, warczące demony kompletnie przykryły Pieszczochę swoimi ciałami.

Suszka zaczęła odrąbywać członki i głowy.

Bestie przerwały atak i kilka z wrzaskiem uciekło w głąb korytarza.

Tam czekał na nie ktoś inny.

Suszka zaczęła ściągać z Pieszczochy ciała demonów i kiedy się do niej dogrzebała, zobaczyła, jak chlasta nożem czubek głowy leżącej na niej bestii, która wbiła kły w jej lewe udo.

– Ty idiotko! – krzyknęła Suszka. – Zabierz łapy, żebym mogła podważyć zęby. Na Boga, trzeba było posłać jeszcze kilka strzał i byłby spokój!

Pieszczocha odkaszlnęła krwią.

– Dlaczego tylko Spłukana miałaby mieć frajdę? – wycharczała. – Zabierz to paskudztwo z mojej nogi!

– Próbuję. Nie ruszaj się!

– Trzy uciekły! – zawołał sierżant Zwis, który właśnie nadszedł.

- Jest ich więcej – odezwała się Spłukana.
- A mówiłaś, że jeden! – syknęła Suszka, gdy wreszcie udało jej się rozewrzeć szczęki demona zaciśnięte w przedśmiertelnym skurczu.
- Powiedzmy, że kilka. Gdzie jest Świstun? Ktoś go widział?
- Nie, odkąd się rozdzieliliśmy – powiedział Zwis.
- My też nie – dodała Suszka, a Pieszczocha kiwnęła głową, siadając.

Spłukana machnęła kilka razy mieczem, żeby strząsnąć zeń strzępy ciała i krew.

- Teraz uciekają – zauważyła. – A my zapolujemy.
- Jej żołnierze sprawdzili broń.
- Zwis dostrzegł strzałę wystrzeloną z arbalestu i kopnął ją nogą.
- Ładna rzecz.
  - Jest tu sala pełna takich zabawek.
  - Potrzebuję czegoś dla siebie. Moja kusza się zepsuła.
  - Zaprowadzimy cię, sierżancie...
  - Pójdziemy tam wszyscy – przerwała Spłukana – a potem znowu się rozdzielimy. Zbiórka w głównym holu na górze i nie marudźcie po drodze. Ktoś tą armią dowodzi i chcę go nadziać na rożen.
  - Za mną – rzuciła Suszka.

\* \* \*

Skamląc, wódz brodził wśród ciał demonów. Jeszcze jeden stos. Biedne dzieci! To była rzeź. Okropna, przerażająca, potworna rzeź!

A teraz ścigają te, które ocalały. Nie ma dokąd uciec!

Wszędzie unosił się zapach ludzi. W każdym korytarzu, na każdym zakręcie, w każdym przejściu, w każdej przeklętej komnacie i śmierdzącej sali. Nie można było zgadnąć, gdzie się czają ani jaką

perfidną zasadzkę szykują.

Wódz ukucnął, zadrżał, skulił się i zaczął smutno zawodzić. Po chwili jednak otrząsnął się z żalu i wyciągnął swój mieczyk. Dość tych przeklętych tuneli i nor! Do drabiny! Uciec z tego potwornego miejsca.

Z nową determinacją i zdrową dawką strachu pobiegł przed siebie.

\* \* \*

Ciężko oddychając, demon zamarł w bezruchu. Starał się coś zwąchać w ostrym i gorzkim powietrzu. Szeroko otwartymi oczami szukał charakterystycznej plamy ciepła pochodzącej od ciała. Przez te przekłete, mokre, chłodne w dotyku płaszcze stali się niewidzialni dla oczu demona. Na dodatek ten żelazny łańcuch. Mimo to żaden człowiek nie przemknie obok niezauważony. Nie ma mowy.

Potrzebował jakiejś kryjówki. Mysiej dziury. Szczeliny w ścianie. Czegokolwiek.

Zrobił kilka kroków do przodu i wtedy nagle woń człowieka stłumiła wszystko inne. Kwiląc, powoli się wyprostował i odwrócił.

Na widok brodatej twarzy unoszącej się w powietrzu w odległości ręki od jego pyska wrzasnął przeraźliwie ze strachu.

– Szukasz mnie? – zdążył jeszcze usłyszeć, a potem poplamiona krwią pięść z twardymi guzami trzasnęła go w twarz. A potem drugi raz, trzeci, ósmy, dziewiąty, dwunasty.

– Tak myślałem – mruknął Zwis, kiedy demon zwałił się na ziemię u jego stóp.

\* \* \*

Na widok dwóch kobiet para demonów, kumpli od stuleci, zsikała

się śmierdzącymi szczynami. Zaraz potem strzała z zadziorami odrzuciła na boki obie bestie niczym szmaciane lalki.

Suszka zaczęła kręcić korbą, by ponownie naciągnąć arbalest, podczas gdy Pieszczocha pokuśtykała w ich kierunku.

- Widzisz to? Kurewsko żałosne.
- Robisz się miękka, Pieszczoszek.
- Załadowana?
- Tak.
- Teraz moja kolej. Miej oczy otwarte, Suszko.
- Możesz na mnie liczyć.

\* \* \*

Z głębi korytarza raz po raz dobiegały agonalne krzyki, a każdy z nich wstrząsał cherlawym ciałem wodza demonów. Gdy dotarł do drabiny, zaczął się po niej wspinać tak szybko, na ile pozwalały mu krótkie kończyny.

Jednak za wolno.

– Mam cię.

Ręka w kolczudze pociągnęła go do góry, odrywając od szczebla.

Wódz pisnął i zaczął się wrywać, ale bezskutecznie. Próbował machnąć mieczykiem, ale człowiek drugą ręką złamał mu ramię. Trzasnęło jak gałązka. Potem złamał mu drugą rękę i obie nogi. To naprawdę zabolalo!

Ciało wodza zawisło bezwładnie w dłoni człowieka. Mężczyzna spojrział w dół. Ciężko oddychał i miał otwarte usta.

Następnie wbił zęby w głowę demona i trzymając w zębach, zaczął go ciągnąć po drabinie do góry.

Ten oddech! Wódz skulił się ze strachu, pomimo przeraźliwego bólu

w każdym kawałku ciała. Ten oddech!

Kiedy dotarli na górę, a mężczyzna wyszedł ze zbrojowni i ruszył korytarzem w kierunku głównego holu, wódz z desperacką siłą wykrzyknął błagalną czarodziejską prośbę:

– *Mamusiu, pomóż mi! Pomóż mi!*

\* \* \*

Nikt nie ocalał. Oczywiście nie mogli być pewni, ale przetrząsnęli każdy zakątek, wyciągając z kryjówek te warczące szczury i siekąc je na kawałki.

Po wszystkim Splukana poprowadziła oddział do zbrojowni z arbalestami, skąd zabrali strzały, w tym szturmowe bełty z pętlą na końcu, oraz zwoje grubej liny. Ruszyli z powrotem do drabiny. Szli powoli, gdyż musieli brnąć przez kałuże krwi i zwały ciał blokujące korytarze. W głównym holu spotkali Świstuna, który wskazał ręką niewielką postać w środku sali, przybitą do podłogi krótkim mieczem.

– Zipie jeszcze?

– Trudno powiedzieć. Nigdy nie wiadomo, czy naprawdę nie żyją.

– W porządku. Dobra robota, Świstun. Przygotujmy się.

\* \* \*

Dziewczynka, która weszła przez bramę do zamku, ścisnęła w rękę wiązaną polnych kwiatów. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy. Wielkie oczy spojrzały na ciało wodza przybite do ziemi. Podeszła bliżej.

Na widok zabitego dziecka zmieniła się na twarzy. Uklękła, odłożyła na bok kwiaty i pogłaskała zimne czoło.

Kiedy się wyprostowała, zza filarów wyszło pięcioro żołnierzy z

naładowanymi arbalestami w dłoniach.

Dziewczynka wyprostowała chude ramiona i zniknęła w sinym obłoku. Chmura o intensywnej woni uniosła się i na oczach żołnierzy dziewczynka zaczęła przybierać swą prawdziwą postać, o rozmiarach prawie dwóch ludzi, zarówno na wysokość, jak i szerokość. Miała kły wielkości krótkich mieczy, potężne węzłaste mięśnie i ręce jak bochny, którymi mogłaby rozgnieść żołnierza w zbroi niczym skorupkę jajka.

– To ma być demon? – parsknęła Pieszczocha. – To nie jest zwykły demon, pani kapitan. To ten skurwiel, Harridan!

– Wódz legionu – dodał Świstun. – Co oni sobie myślą?

Demon otworzył paszczę i zawył.

Hałas był ogłuszający. Miejscami ze ścian i sufitu osypał się tynk.

Żołnierze podnieśli broń i wystrzelili.

Bełty poleciały w kierunku olbrzymiej bestii. Każdy ciągnął za sobą linę, której drugi koniec był przywiązany do filara. Zadziory na grotach wbiły się głęboko w ciało demona. Wrzeszcząc, próbował się uwolnić, ale naprężone liny trzymały go w miejscu. Próba wyrwania któregokolwiek z bełtów zakończyłaby się połamaniem kości, uszkodzeniem narządów wewnętrznych i czego tam jeszcze.

– Ładuj – warknęła Spłukana.

Żołnierze wykonali rozkaz.

\* \* \*

Światło poranka powoli wdzierało się przez pozbawione drzwi wejście do głównej sali.

– Ostatnia skrzynka – stwierdził Zwis urywanym, zmęczonym głosem.

Obszedł wszystkich i każdemu dał po ostatniej strzale. Zajęczały

powoli obracane korby.

Suszka podeszła, by z bliska spojrzeć na poskręcaną, przyszpiloną do ziemi górę mięsa leżącą na środku komnaty. Wzruszyła ramionami i wróciła do swojego arbalestu.

Zajęczało pięć cięciw i pięć kolejnych bełtów wbiło się w ciało.

– Coś jakby zadrzał – zauważył Zwis.

– Też byś zadrzał – odparła Pieszczocha. – W każdym razie nie jęczy. Przestał już jakiś czas temu. Czyżbyśmy w końcu go zabili? – zwróciła się do Spłukanej.

– Idź, szturchnij go mieczem – rozkazała kapitan.

– Czemu nie potrafię trzymać gęby na kłódkę? – mruknęła Pieszczocha, ale wyciągnęła broń i podeszła. Szturchnęła mieczem ciało demona. – Nic. – Szturchnęła jeszcze raz, tym razem mocniej. Żadnej reakcji. W końcu go dziabnęła. – Aha! Martwy na amen.

Arbalesty wypadły ze zmęczonych dłoni.

– Siodłaj konie, Suszko. Zabierajmy się stąd, kurwa.

– Już się robi, pani kapitan.

\* \* \*

Grabarz nie spał całą noc. Żadna ilość wosku w uszach nie stłumiłaby bezustannych krzyków i wycia dobiegającego z zamku. Jeszcze nigdy nie trwało to tak długo. Nigdy. Ci żołnierze nie mieli zamiaru tanio sprzedać skóry.

Zaprzągnął muła do wozu i ruszył na czele wybitnie milczącej tego ranka procesji do zamku, żeby pozbierać resztki ciał i inne łupy, jakie się trafią. Praca jak każda inna. Trzeba z czegoś żyć. Co więcej liczy się w życiu? Nic. Otóż to. Tylko to i nic więcej. Ale nie chciał, żeby chłopiec spędził tutaj, w Boguchwale, resztę życia, nie chciał, by objął



przywództwo, kiedy on, Grabarz, ustąpi, żeby musiał interweniować, kiedy Szczapa w końcu połknie swój pierścień i zadławi się na śmierć. Bóg świadkiem, że ta stara nie umrze śmiercią naturalną. Nie chciał, by cokolwiek z tego spotkało chłopca.

Spojrzał spode łba na zapuchnięte, ale wiecznie chciwe otaczające go twarze i pociągnął opierającego się muła w kierunku pierwszego zakrętu na wjeździe pod górę.

Nagle się zatrzymał.

Przed sobą usłyszał tętent kopyt.

Kapitan jechała na czele. Za nią pozostali. Wszyscy co do jednego. Cała piątka, jedno za drugim.

Grabarz stał jak wryty.

Kiedy go mijala, Spłukana rzuciła w niego czymś krwistoczerwonym. Złapał to odruchowo i spojrzał. Resztki kwiatów. Ociekające krwią.

Następny jechał sierżant.

– Pięć grobów? – odezwał się do Grabarza. – Za mało, szanowny panie, o wiele za mało.

– Zostało ci jeszcze dziewięćdziesiąt pięć do wykopania – dodała Suszka.

– A jeden bardzo duży. Naprawdę wielki – parsknęła Pieszczocho. – Aha, i jeszcze jeden bardzo malutki.

Świstun zatrzymał się przed Grabarzem i popatrzył na niego zmęczonym wzrokiem.

– Coś ty sobie, kurwa, wyobrażał? – rzucił. – Zabijamy to ścierwo dla pieniędzy.

Ruszył dalej. Inni też.

Świstun spojrzał na kwiaty w ręku.

Ludzie coś muszą robić, przypomniał sobie. Aby przeżyć. Tylko po to. Żeby przeżyć.

\* \* \*

– Za dwa dni będziemy w Miłosierdziu – odezwał się Zwis, kiedy wjechali na trakt prowadzący do wrót odległej doliny.

– A potem...

– Pani kapitan! – zawołał Zwis, który jechał na końcu.

Wszyscy ściągnęli wodze i odwrócili się w siodłach.

Za nimi na mule jechała Szczapa, kiwając się na boki, jakby po raz pierwszy jechała wierzchem. Widok ten wydał się Zwisowi bardzo zabawny, ale się nie śmiał.

– Nie wierzę, ciągną za nami markietanki – powiedziała Suszka.

Zwis otworzył usta, żeby coś dodać, ale urwał, gdy daleko na trakcie, którym przyjechali wczoraj, zobaczył błysk stali.

– Pani kapitan! – zawołał. – Coś tam błysło! W połowie drogi do przełęczy!

Wszyscy zamarli. Wstrzymując oddech, wpatrywali się w horyzont.

– Tam! Widzicie? – odezwał się Zwis.

Spłukana spojrzała na niego. Na jej twarzy malowało się straszliwe przerażenie.

– Goni nas! Jazda, żołnierze! – zawołała. – Jazda, jeśli wam życie mile!

*Glen Cook* wychował się w północnej Kalifornii. Na jego pisarstwo wywarła wielki wpływ służba w amerykańskiej marynarce wojennej, którą odbył w 3. batalionie rozpoznawczym piechoty morskiej. Uczęszczał na Uniwersytet Missouri i warsztaty dla pisarzy science fiction i fantasy Clarion Workshop. Pierwszą powieść, *Heirs of Babylon*, opublikował w 1972 roku. Później wydał jeszcze wiele powieści fantasy i fantastycznonaukowych, w tym cykl pełnych humoru książek o detektywie Garrecie. Jego najważniejszym osiągnięciem jest jednak seria realistycznych powieści o Czarnej Kompanii, w których opisuje dzieje oddziału najemników na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Powieści te nadały nowy wymiar literaturze fantasy. Po przejściu na emeryturę Cook zamieszkał w Saint Louis i całkowicie poświęcił się pisarstwu.

## **Glen Cook**

### **TIDES ELBA**

#### **Opowieść o Czarnej Kompanii**

Graliśmy w tonka. Jednooki przegrywał i był w podłym nastroju. Normalka, poza tym, że nikt nie próbował nas zabić.

Elmo rozdawał. Jednooki pisnął. Zerknąłem na swoje karty.

– Kolejny raz dostałem taki syf, że nie sposób tego nazwać rozdaniem – stwierdziłem.

– Nie pieprz, Konował – powiedział Otto. – Wygrałeś sześć z

ostatnich dziesięciu partii.

– I za każdym razem wkurwiał się na rozdanie – zauważył Elmo.

– Bo kiedy ja rozdaję, wszystko gra. – Tym razem też miałem powód do narzekania. Nie miałem pary. Dostałem tylko jedną figurę i żadnych niskich blotek, a w jednym kolorze tylko siódemkę i waleta karo. Życia by nie starczyło, żeby dobrać do strita. Tak czy owak Jednookiemu trafiły się silne karty, co nieczęsto się zdarzało.

– Trzeba więc cię zrobić etatowym rozdającym.

Wszedłem. Dobrałem karty, odłożyłem, a kiedy przyszła moja kolej, rzuciłem je na stół.

Jednooki zszedł z dziesiątki. Najwyższą kartą, jaką miał w ręce, była trójka. Jego pomarszczona, skórzasta, czarna twarz wykrzywiła się w bezzębnym uśmiechu, kiedy zgarniał pulę.

– Czy tak wolno? – Elmo rzucił pytanie w powietrze.

Mieliśmy z pół tuzina kibiców i całego Czarnego Konia tylko dla siebie. To była knajpa naszej kompanii w Aloe. Jej właściciel, Markeb Zhorab, nie mógł się zdecydować, czy się cieszyć, czy martwić. Wolałby innych gości, ale właśnie tacy jak my zapewniali mu najlepszy zarobek.

Nikt nie oskarżał Jednookiego. Goblin, który siedział na stoliku obok, przypomniał Elmowi:

– Sam rozdawałeś.

– Otóż to.

Jednooki był znany z oszukiwania. W tak prostej grze jak tonk nie jest to wcale łatwe, ale jemu to się jakoś udawało. Cały Jednooki.

– Szczęście w kartach, nieszczęście w miłości – rzucił Jednooki, co zważywszy na kontekst, zabrzmiało zupełnie bez sensu.

– Lepiej wynajmij sobie ochroniarzy – zauważył złośliwie Goblin. – Kobiety będą walić do ciebie drzwiami i oknami.

Takie złośliwe przytyki zwykle wściekały Jednookiego, który łatwo wpadał w złość. Czekaliśmy na jego reakcję, ale on tylko się uśmiechnął i powiedział do Ottona:

– Rozdawaj, nieudaczniku. I proszę o takie same karty, jakie przed chwilą dał mi Elmo.

Goblin dodał coś o panience Rączce, która jest jedyną szczęśliwą damą w życiu Jednookiego, ale ten zignorował zaczepkę.

Zacząłem się martwić.

Rozdanie Ottona było wcale nie lepsze.

– Nie widzicie, że gdziekolwiek pojedziemy, trafiamy na dziwaczne zwyczaje? – zapytał Jednooki.

Elmo przewiercał wzrokiem swoje pięć kart. Coś mruknął. Otto wciąż na nowo układał własne, co znaczyło, że są tak słabe, że nie wie, jak zacząć grę. Jednooki tym razem nie pisnął, ale wciąż się uśmiechał. Stanęliśmy u progu nowej epoki, w której uda mu się wygrać dwa rozdania z rzędu.

Wszyscy spojrzeli na Goblina, który zauważył:

– Otto rozdawał.

– Może zaczarował karty – zasugerował ktoś.

Jednooki i tę uwagę zbył milczeniem, po czym wrócił do rozpoczętego tematu.

– Tutejszym najdziwniejszym zwyczajem jest to, że dziewczyna po stracie dziewictwa musi zacząć sobie golić włosy na całym ciele.

– Większej bzdury w życiu nie słyszałem – zahuczał Otto. – Jesteśmy tu od trzech miesięcy i ani razu nie widziałem łysej dziewczyny.

Wszyscy zastygli, łącznie z Jednookim, który układał stos ze swojej wygranej.

– Co jest? – zapytał Otto.

Wciąż nas intrygował.

Każdy z nas od czasu do czasu inwestował trochę grosza w fikołki z panienkami. Choć wcześniej nie rozmawialiśmy na ten temat, musiałem przyznać, że dotąd rzeczywiście u żadnej nie zauważyłem włoska pod dekoltem.

– Naprawdę? – zdziwił się Elmo. – A ja myślałem, że takie mi się akurat trafiają panienki. Bez włosków tam, gdzie powinny być.

– Pewnie dlatego mój wacek nie podłapał wszy – wtrąciłem swoje trzy grosze.

– Nie. To wynika z ich dziwacznej religii.

– Oksymoron – mruknął Goblin.

Jednooki spochmurniał.

Żabią twarz Goblina natychmiast rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Nie mówiłem o tobie, kurduplu – powiedział. – Z ciebie żaden oksy, tylko zwykły matoł. Mówiłem o połączeniu dwóch słów: „dziwaczna” i „religia”.

– Chcecie przerwać moją dobrą passę, co?

– No pewnie – potwierdził Elmo. – Gadanie o cipkach zawsze działa. Powiedz mi coś o tych wygolonych szparkach.

Jednooki poukładał monety w stos. Pomimo wygranej zaczął tracić humor. Podrzucił świetny temat, na który powinniśmy rozprawiać tygodniami, a nikogo zdawało się to nie obchodzić.

Potasowałem, przełożyłem i rozdałem. Z każdą podniesioną kartą Jednooki robił się coraz bardziej ponury.

Kiedy wziął ostatnią, wybuchnął:

– Niech cię diabli, Konowa! Dupek! Sukinsyn!

Elmo i Otto zachowali powagę, bo nie wiedzieli, co się dzieje.

Goblin zaćwierkał jak napalona sikorka.

Jednooki rozłożył karty na stole. Miał trójkę trefl, szóstkę karo, dziewiątkę kier i asa pik. Ostatnią kartą był walet mieczy.

– Ile to razy narzekałeś, że nie masz dwóch kart tego samego koloru? – zapytałem. – Choć raz byłaby to prawda.

Teraz Elmo i Otto kapnęli, o co chodzi. Roześmiali się głośniej niż ja i Goblin. Kibice też zatrzęśli się ze śmiechu.

W drzwiach wejściowych ukazała się głowa Porucznika.

– Widział ktoś Ważniaka? – Porucznik nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego. Wyglądał jak zastępca dowódcy, który w dzień wolny musi pracować.

– Znowu gdzieś go wcięło? – zapytał Elmo.

– Miał się zająć pomyjami, ale się nie pojawił. Kucharze chcą go posiekać na zupę.

– Porozmawiam z nim, Poruczniku – obiecał Elmo, choć Ważniak nie był jego podwładnym. Zadekował się w plutonie Ślizgacza.

– Dziękuję, sierzancie. – Elmo potrafił się dogadywać z błędnymi rycerzami oddziału. – Ludzie, dlaczego siedzicie w tej ciemnej i śmierdzącej norze, zamiast zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i pobyć na słońcu?

– To nasze naturalne środowisko. Poruczniku – odezwałem się. Tak naprawdę jednak to nikomu z nas nie przyszło do głowy, żeby zagrać na dworze.

Zabraliśmy karty i piwo i wyszliśmy na zewnątrz, by usiąść przy stolikach rozstawionych przed wejściem. Jednooki rozdawał. Rozmowa dalej toczyła się wokół włosów lub ich braku u aloeńskich dam.

\* \* \*

Był wspaniały dzień: bezchmurny, chłodny a rześki lekki wiaterek nie psuł zabawy. Kibice też się przenieśli. Niektórzy chcieli tylko popatrzeć, inni mieli nadzieję, że zwolni się miejsce przy karcianym stole. Ich coraz głębsze komentarze zamieniły się w zwykłe przechwałki.

Postanowiłem się wtrącić.

– Jak długo już gramy tymi kartami? – Niektóre były tak wystrzępione, że nie trzeba było w nie zaglądać, by wiedzieć, co to za karta. A jednak pamięć mnie zawodziła. Awersy jakoś nigdy nie pasowały do koszulek.

Wszyscy popatrzyli na mnie z rozbawieniem.

– Zaraz usłyszymy jakiś nonsens – przepowiedział Jednooki. – Wykrztuś to, Konował, żebyśmy mogli się zająć ważnymi sprawami.

– Zastanawiam się, czy ta talia jest z nami wystarczająco długo, żeby zacząć żyć własnym życiem.

Jednooki już otworzył usta, żeby się ze mnie ponabijać, ale oczy mu się zaszkliły, gdy dotarło do niego to, co powiedziałem. Podobnie zareagował Goblin. Błady, brzydki człowieczek wykrzyknął:

– Ja pierdołę, Konował! Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz! Karty z własnym rozumem. To by wiele wyjaśniało.

Wszyscy jak na komendę spojrzeliśmy na Jednookiego i pokiwaliśmy głową. Jednooki od niepamiętnych czasów twierdził, że karty go nienawidzą.

A znowu wygrał.

Trzy zwycięstwa z rzędu podczas jednego wieczoru powinny mi być dać do myślenia. Działały tu siły nieczyste. Moje usta podejmowały już jednak inny temat:

– Wiecie co? Minęło już osiemdziesiąt siedem dni, odkąd ostatni



raz ktoś próbował mnie zabić.

– Nie trać nadziei – pocieszył mnie Elmo.

– Naprawdę. Pomyśl. Siedzimy sobie tu na tej cholernej ulicy wystawieni jak kaczki, a czy ktoś nam się choć przygląda? Nie, nikt z nas nie ogląda się za siebie i nie narzeka na wrzody żołądka.

Gra ustała. Siedemnaścioro oczu zwróciło się ku mnie.

– Konował, nie zapieszaj – warknął Otto. – Sam cię przytrzymam, gdy ktoś będzie ci obcinał fujarę.

– Prawdę gada – wtrącił się Goblin. – Jesteśmy tu od trzech miesięcy i jedyne kłopoty, jakie mamy, to chlanie i naparzanki.

Wśród sześciuset czterdziestu ludzi w Kompanii zawsze znajdzie się kilku dupków, których pomysły na spędzanie wolnego czasu ograniczają się do picia na umór i gry w dupnika.

– Chodzi o to – wtrącił swoją opinię Jednooki – że Pani wciąż czuje słabość do Konowała. Dlatego postanowiła go schować w bezpiecznym miejscu. A my po prostu żyjemy w jego cieniu. Obserwuj niebo. Którejś nocy przyleci dywan i jej wysokość we własnej osobie przybędzie na małe rypanko ze swoim wyjątkowym chłoptasiem.

– A jak tam jej fryzura, Konował?

Specjalne traktowanie? Dobre sobie. Przez rok uganialiśmy się za Szept od jednego zapalnego miejsca do drugiego, prawie co dzień biorąc udział w walkach.

Specjalne traktowanie? Akurat. Chyba że takie, jakie się otrzymuje za kompetencję. W każdej branży, jeśli dobrze robisz swoje, szef zrzuca na ciebie jeszcze więcej obowiązków.

– Ty, Otto, dowiesz się pierwszy, jeśli będę miał okazję się przyjrzeć.

– Nie wdaję się w wulgarne gadki, które innym wydają się zajmujące. Wzięli moje milczenie za potwierdzenie, że wciąż czuję niesłabnące

zainteresowanie tą najpodlejszą kobietą na świecie.

– Jeśli mowa o fryzurach, to tę chętnie bym sprawdził – odezwał się dzieciak, którego zwano Jurnym.

Wszyscy spojrzeliśmy z podziwem na młodą kobietę idącą drugą stroną ulicy. Zdierca pogratulował Jurnemu doskonałego gustu.

Nie miała jeszcze dwudziestu lat. Jasnorude włosy przycięła krócej niż większość kobiet, jakie widziałem w Aloe. Z tyłu ledwie zachodziły na kołnierzyk, a po bokach były jeszcze krótsze. Miała grzywkę. Nie zwróciłem uwagi na jej strój. Pewnie nie włożyła niczego specjalnego. Promieniowała taką intensywną zmysłowością, że nic innego się nie liczyło.

Nasze nagłe zainteresowanie, głowy obracające się jak na komendę w jej stronę, trochę ją przestraszyło. Przez sekundę starała się nam odpowiedzieć hardym spojrzeniem, ale długo nie wytrzymała. Przyspieszyła kroku i odeszła.

– Ta mała jest bezwłosa we wszystkich strategicznych miejscach – powiedział Jednooki, biorąc karty.

– Znasz ją? – zapytał Jurny. Jakby zyskał nowy sens życia. Zyskał nadzieję. Miał misję do wypełnienia.

– Niespecjalnie. To kapłanka.

Kobiety wyznające kult Occupoi traktują prostytutkę jak święty obowiązek. Słyszałem, że niektóre wykazują się wielkim talentem i oddaniem w swojej posłudze.

Goblin chciał wiedzieć, skąd Jednooki to wie.

– To ich oficjalna fryzura, kurdupłu. – Powiedział to ktoś, kto był jeszcze niższy od Goblina.

– Skąd wiesz?

– A stąd, że postanowiłem przez ostatnie miesiące życia oddawać

się najbardziej wyrafinowanym przyjemnościom.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego ze zdumieniem. Jednooki słynął ze skąpstwa. A poza tym nigdy nie miał pieniędzy, bo był beznadziejnym graczem. Nie wspominając o tym, że uważaliśmy go prawie za nieśmiertelnego, jako że służył w Kompanii od ponad stu lat.

– Czego? – warknął. – Może narzekam częściej, niżby to wynikało z mojej sytuacji, ale co z tego? Czy to zbrodnia?

Nie. Wszyscy tak robiliśmy. To zabezpieczenie przed wszystkimi dobrymi kumplami, którzy się splukali i wolą cię naciągnąć, niż pójść do lombardu.

– Sporo gości było przy forsie, gdy tu dotarliśmy – odezwał się ktoś.  
– Wcześniej nie mieliśmy okazji wydać zarobionego grosza.

To prawda. Czarna Kompania rozkręcała gospodarkę Aloe. Może dlatego nikt nie próbował nas zabić.

– Lepiej pójde poszukać Ważniaka, zanim Porucznik i mnie wciągnie na swoją zasraną listę. Milczek? Chcesz zająć moje miejsce? Cholera! Gdzie ten znowu polazł?

Też nie widziałem, żeby nasz trzeci mały magik wychodził. Milczek ostatnio tak bardzo upodabnia się do ducha, że właściwie już się nim stał.

\* \* \*

Kiedy służysz w Kompanii długie lata, rozwijasz dodatkowe zmysły. Na przykład zagrożenia. W jakiś sposób nieświadomie odbierasz sygnały i nagle stajesz się czujny i gotowy. Mówimy, że zwęszyliśmy niebezpieczeństwo. Do tego dochodzi zdolność przewidywania humorów dowództwa. Ten zmysł ostrzega cię, że ktoś ma zamiar wpakować ci dupę w gówno.

Wystarczyło czternaście drażniących nerwy sekund, aby ponad sześćset chłopów wyczuło, że na coś się zanosi, że życie zaraz się zmieni. Że w ciągu stu dni na pewno ktoś spróbuje ich zabić.

Karty od pewnego czasu leżały na stole beczynnie, gdy od obozu nadbiegł Wypieracz.

– Elmo, Konował, Goblin, Jednooki! Stary chce was widzieć.

– Goblin, nie mogłeś trzymać swej wielkiej gęby na kłódkę? – burknął Jednooki.

Dwie minuty wcześniej Goblin mruknął:

– Coś się wydarzy. Coś wisi w powietrzu.

Postanowiłem się wtrącić.

– Taa, to jego wina. Nakopmy mu do dupy, jeśli się okaże, że znów mamy popędzić kota jakimś buntownikom.

– Wyluzuj, Konował. – Elmo wstał od stołu. – Podzielam jednak twoje emocje. Prawie zapomniałem, jak fajne jest życie garnizonowe. – Zaczął opowiadać o czystym ubraniu, piwie do oporu, regularnych posiłkach i prawie nieograniczonych możliwościach trwonienia czasu i pieniędzy.

Ruszyliśmy ulicą, zostawiwszy karty publice, która już zaczęła snuć różne domysły.

– Życie w garnizonie tak właśnie wygląda – powiedziałem. – Najcięższą robotą jest przekonanie Jednookiego, żeby podzielił się swoim lekarstwem na trypra.

– A ja tam lubię takie życie, bo daje mnóstwo możliwości finansowych – odezwał się Jednooki.

To prawda. Wrzucić go w dowolne miejsce, a nie minie tydzień, jak wda się w jakieś czarnorynkowe machlojki.

Wypieracz zbliżył się do mnie ukradkiem.

– Muszę porozmawiać z tobą na osobności – szepnął. Wsunął mi w dłoń złożony mały kawałek pergaminu. Brudny i śmierdzący. Wcześniej był na czymś zawieszony, na co wskazywało trójkątne rozdarcie. Kiedy go rozwijałem, Wypieracz wyglądał, jakby zaraz miał wpaść w panikę.

Zatrzymałem się. Inni też. Zastanawiali się pewnie, co się dzieje.

– Skąd to masz? – wyszeptałem.

\* \* \*

Obóz, w którym kwaterowała Kompania, znajdował się za miastem na jałowych wrzosowiskach. Zbudowano go, kiedy Szept przyjechała negocjować układ ustalający warunki, na jakich Aloe przystąpi do imperium Pani. Pierwszym i najważniejszym było dalsze istnienie miasta i jego okolic. Obóz wyglądał zupełnie zwyczajnie. Otaczał go mur obronny z glinianych cegieł. Wewnątrz też wszystko było z gliny, którą lekko otynkowano, żeby ją zabezpieczyć przed deszczem.

Obóz wyglądał jak jednolita brązowa plama. Osoba o bystrym wzroku potrafiłaby rozróżnić odcienie brązu, ale dla nas, barbarzyńców, wszystko wyglądało tak samo. A jednak spostrzegłem nową brązową łatę, zanim wskazał mi ją Wypieracz.

W cieniu wschodniej ściany budynku dowództwa leżał latający dywan. Moi towarzysze mieli równie bystry wzrok co ja, ale mniejsze skłonności do zamartwiania się.

Staliśmy się częścią ludzkiego potoku. Wezwano wszystkich oficerów i podoficerów. Czasami Kapitanowi jeżył się włos na tyłku i zwoływał całą kompanię, żeby wysłuchała jednej z jego zaimprovizowanych mów motywacyjnych. Między dzisiejszą sytuacją a tego rodzaju zdarzeniami była jednak zasadnicza różnica.

W cieniu obok budynku dowództwa leżał latający dywan.

Zostało ich co najwyżej sześć zdatnych do użytku i sześć osób, które potrafiły je obsługiwać.

Dostąpiliśmy zaszczytu pojawienia się jednego ze Schwytanych.

Szczęśliwe dni dobiegły końca. Piekło ucięło sobie drzemkę, ale teraz się obudziło i rwało do czynu.

Nikt nie przeoczył dywanu i nie było takiego, który na jego widok by się nie przygarbił.

– Chłopaki, idźcie przodem – powiedziałem. – Dołączę do was za minutę. Wypieracz, prowadź.

Ruszył w stronę cienia. Ku dywanowi.

– Tu go zobaczyłem – odezwał się. – Nigdy wcześniej nie widziałem dywanu z bliska, więc postanowiłem się przyjrzeć. – Opowiedział mi wszystko ze szczegółami. Jeden rzut oka na dywan potwierdził moje podejrzenia. Zanedbany, sfatygowany dywan należał do Kulawca.

– Tu go znalazłem.

„Tu” oznaczało miejsce, w którym w czasie lotu siedział Schwytany. Dywan był tu szczególnie wystrzępiony, wyciągnięty i przetarty.

Wypieracz wskazywał palcem kawałek tkaniny oderwanej od spodniej drewnianej ramy.

– Ledwo go było widać. Wisiał na tym.

Na obluzowanym gwoźdźniku długości połowy paznokcia. Tkwiła na nim resztką pergaminu. Wydłubałem ją nożem, uważając, żeby jej nie dotknąć.

– Wziąłem go, ale nawet nie zdążyłem na niego spojrzeć, kiedy przyszedł Kapitan i kazał mi pójść po was.

– W porządku. Trzymaj się na uboczu. Porozmawiamy później. – Nie miałem zamiaru pchać się pierwszy do środka, skoro nie musiałem

się spieszyć.

- Niedobrze, prawda? – zagadnął Wypieracz.
- Być może. Pędź teraz do miasta i nikomu nic nie mów.

\* \* \*

Kantyna służyła nam też za salę zebrań. Kucharze się zwinęli, a w środku panowała smętna atmosfera. Połowa ludzi, w tym ja, mieszkała obecnie w mieście, niektórzy ze swoimi kobietami. Kilku, według prawa zwyczajowego, miało nawet pasierbów, choć niespecjalnie się o nich troszczyli.

Ci pewnie by się modlili, żeby dywan oznaczał, iż Pani przysłała kogoś z wypłatą. Tylko że w Aloe pieniądze na nasze pensje pochodziły z niewysokich podatków płaconych przez mieszkańców, których chroniliśmy. Nie trzeba było po nie latać tysiące mil.

Kapitan wkroczył na zaimprovizowaną scenę swoim wystudiowanym powłóczystym krokiem. Za nim kuśtykał kłębek brązowych łańców. Ciągnął za sobą bezwładną nogę. Sala zastygła w głuchym milczeniu.

Kulawiec. Jeden z najwstrętniejszych Schwypanych. Zaprzysięgły wróg Czarnej Kompanii. Wydymaliśmy go na cacy, kiedy próbował wystąpić przeciwko Pani.

Teraz wrócił do łask. Ale my także. Nie mógł się w tej chwili na nas zemścić, ale był cierpliwy.

– Nuda dobiega końca, panowie – zahuczał Kapitan. – Wiemy już, dlaczego Pani postanowiła nas tutaj wysłać. Mamy pochwycić dowódcę buntowników, niejaką Tides Elbę.

Później sprawdziłem pisownię. Pierwszy raz słyszeliśmy to imię. W wydaniu Kapitana zabrzmiało ono jak „Tiidas Elba”.

Kapitan powiedział, że Tides Elba odniosła kilka sukcesów na zachodzie, ale żadne z jej zwycięstw nie było na tyle duże, żeby nas zainteresować.

Urzędowy kit, ale część z tego mogła być prawdą.

Kulawiec wdrapał się na scenę razem z Kapitanem. Musiał to być dla niego spory wysiłek. Miał sztywną nogę i kurdupłowatą posturę. W podłości i talencie do czarów bił jednak wszystkich na głowę. Otaczała go aura grozy. I straszny smród. W swoich najlepszych latach śmierdział, jakby gnił w grobie przez wiele lat. Obserwował nas zza skórzanej brązowej maski.

Faceci o słabszych żołądkach zaczęli przeciskać się do tyłu.

Kulawiec nic nie mówił. Chciał tylko, byśmy wiedzieli, że jest w pobliżu. Rzecz warta zapamiętania i zapowiadająca interesujące czasy.

Kapitan rozkazał dowódcom kompanii i plutonów, aby poinformowali swoich ludzi, że wkrótce wymarsz. Zawiesza się wszystkie patrole w Aloe. Ludzie mają popłacić długi i załatwić sprawy osobiste. Najlepiej, gdyby przeprowadzili się do obozu.

Będzie trochę dezercji.

Elmo dźgnął mnie pod żebro.

– Uważaj – syknął.

Stary odprawił wszystkich oprócz mnie i magów. Do mnie zwrócił się bezpośrednio:

– Konował, zostań ze mną.

Magom kazał zostać z Kulawcem.

\* \* \*

Kapitan zagonił mnie do budynku administracji. W teorii miałem tam swój kącik do pracy nad Kronikami, ale rzadko z niego



korzystałem.

– Siadaj. – Zabrzmiało to jak rozkaz, a nie zaproszenie. Usiadłem na jednym z dwóch prostych krzeseł stojących przy odrapanym stole, który służył mu za wał broniący go przed światem. – Jest tu Kulawiec. Nie puścił pary z ust, ale możemy być pewni, że dla nas oznacza to, iż pakujemy się w gówno. Jak dotąd, po prawdzie, niewiele powiedział, co może znaczyć, że sam jeszcze nic nie wie. Też wykonuje rozkazy.

Skinąłem głową.

– Niedobrze, Konował. To Kulawiec. Będzie się działo więcej, niż nam się wydaje.

Oj, będzie. Staralem się wyglądać jak bystry dzieciak czekający na mądrości, które niechybnie usłyszysz z ust szanowanego dorosłego.

– Jesteś pierdoła, ale nie potrzebujesz specjalnych wyjaśnień – usłyszałem. – Wiesz, czym to pachnie.

Czyżby chciał mi za coś zmyć głowę?

– Udajesz, że jesteś równie bezużyteczny jak reszta tych kutasów, ale kiedy rzekomo kurwisz się lub opieprzasz, w rzeczywistości niuchasz w miejscowych kronikach.

– Człowiek potrzebuje więcej niż jednego hobby.

– To nie hobby, jeśli nie potrafisz się od tego oderwać.

– Jestem złym człowiekiem. Chcę zrozumieć przeszłość. Daje to jaśniejsze spojrzenie na teraźniejszość.

Kapitan skinął głową. Położył palce na kanciastym podbródku z dołkiem.

– Mam dla ciebie oświecające zadanie.

Zdaje się, że wiedział, co się kroi.

– Być może będziesz mógł coś zrobić, żeby Kompania jak zwykle nie musiała nurzać się w gównie.

– Pochlebca.

– Zamknij się, kurwa. Pani chce dopaść Tides Elbę, zanim stanie się ona wschodnią Białą Różą. A może ona jest Różą. Nie wiem. Kulawiec chce nadstawić karku, żeby zyskać punkty u Pani. Mając oczywiście nadzieję, że przy okazji nas załatwi.

– Przestaję kapować, szefie.

– Nie sądzę. Pamiętaj, że Kulawiec jest szczególnie cięty na ciebie.

Pamiętałem.

– Zgoda, i co z tego? – zapytałem.

– Kulawiec lubi niszczyć dla zabawy. A ja nie chcę być zapamiętany jako ten, który obrócił Aloe w ruinę.

– Musisz mi dać jakąś wskazówkę. Co mam zrobić? Nie jestem taki mądry, jak myślisz.

– Ja też nie.

Kapitan wstał od stołu i zaczął człapać po pokoju.

– Pani myśli, że Tides Elba urodziła się tutaj, ma tu rodzinę i często tu przyjeżdża. Tides Elba nie jest jej prawdziwym nazwiskiem. Jej rodzina pewnie nawet nie wie, kim ona jest.

To oczywiste, że ta buntowniczką nie urodziła się jako Tides Elba. Gdyby Pani poznała jej prawdziwe nazwisko, Tides Elba skończyłaby jako grzanka jeszcze przed zachodem słońca.

– Myszkowałeś już po tutejszych archiwach. Wiesz, gdzie szukać. Pomóż nam ją dopaść, zanim Kulawiec postawi nas w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Mogę poszukać, ale trafię tylko na same luki.

– Luki też mogą sporo powiedzieć.

To prawda.

– Zamiast się martwić tą kobietą – zacząłem – może lepiej byśmy

wykombinowali jakieś stałe...

Machnięciem ręki uciął moją przemowę. Musiałem się zamknąć.

– Spójrz na siebie – powiedział. – Jesteś inteligentny. Moglibyśmy powierzyć ci dowodzenie nad całą kampanią na wschodzie. Idź i zrób co trzeba. I trzymaj się z dala od tych głupkowatych kart.

\* \* \*

Intensywnie myślałem. Wnioski były przerażające. Trudno było znaleźć miejsce, w którym moglibyśmy spiskować, nie ryzykując podsłuchiwania przez Kulawca, jeśliby mu na tym zależało. Skombinowałem więc dodatkową talię kart, budzącą większe zaufanie niż ta, którą zwykle graliśmy, i ruszyłem do Czarnego Konia. Po drodze dogonił mnie Wypieracz.

– Już czas? – zapytał.

– Czas. Jeśli są wszyscy. – Wszyscy, czyli kilku wybranych, takich jak Elmo i czarodzieje.

– O czym z tobą gadał? Czeka nas wymarsz?

– Sami nie wiedzą, co robić. Chcą tylko być gotowi, kiedy nadejdzie czas działania.

– Ta sama stara śpiewka.

– Właśnie.

Podejrzani jak zwykle już tam byli. Siedzieli przed knajpą, na uboczu. Czekali zamiast grać. Brakowało tylko Milczka. Posłałem Goblinowi pytające spojrzenie. Wzruszył ramionami.

Kilku facetów zaczęło się zbierać do odejścia, myśląc, że ich gra zaraz i tak zostanie przerwana. Podąłem swoją talię Jurnemu.

– Pograjcie w środku, chłopaki – powiedziałem.

– Sprytne – zauważył Elmo, kiedy poszli. Przesunął się w bok, żeby

Wypieracz mógł dostawić sobie krzesło. Mieliśmy udawać, że gramy w pięciu.

– Na pewno chcecie tu być? – zapytałem. – Kładziemy jaja na stole i ryzykujemy, że ktoś przywali w nie młotem.

Nikt się nie ruszył.

Wyjąłem pergamin, który znalazł Wypieracz. Złożony miał kształt kwadratu. Po rozłożeniu był trzy razy większy na długość niż na szerokość. Rozłożyłem go.

– Puście go między sobą, ale nie zachowujcie się, jakby to było nie wiadomo co.

– Nie ucz babci ssać fiuta – mruknął Jednooki. – Dla mnie nic z tego nie wynika. To jakieś kurze stópki.

– Te kurze stópki to napis w TelleKurre. – Języku Dominacji. Żyją tylko dwie osoby, dla których jest to mowa ojczysta. – Mamy do czynienia z imperialnym reskryptem Pani dla Kulawca. Świadczy o tym znak w lewym górnym rogu. To kopia. O tym z kolei mówi znak w środku u góry, a także o tym, że to druga kopia z dwóch. Znak w prawym górnym rogu jest pieczętką kopisty.

– Żeby w razie czego można było ustalić odpowiedzialnego za przeciek?

– Właśnie. Ma na tym punkcie fioła od czasu bitwy pod Urokiem.

– No i co tam jest napisane?

– Niewiele. Ale bardzo oficjalnie. Pani rozkazuje Kulawcowi ruszyć na wschód z zadaniem pochwycenia kobiety nazwiskiem Tides Elba. Żadnych sugestii dlaczego ani jak. Po prostu ma to zrobić, a następnie przywieźć ją całą i zdrową.

– I nie ma nic napisane, że to jakaś nowa genialna przywódczyni buntowników?

– Nic a nic.

– Kulawiec kłamał.

– Kulawiec kłamał, i to nie tylko nam. Wcale mu nie zależy na powodzeniu tej misji.

– Skąd wiesz? – zapytał Elmo.

– Kulawiec musiał podpisać obie kopie jako potwierdzenie, że przyjął do wiadomości swoje zadanie. Na swojej napisał: „Wypchaj się, suko”.

– A niech to! – zawołał Wypieracz, bardziej przestraszony niż zdziwiony.

– Może to podpucha? – spytał Elmo.

– Myślisz, że specjalnie zostawił ten kawałek pergaminu, byśmy go znaleźli?

– Tak. Żeby nas zrobić.

– Myślałem o tym, ale nie sądzę – powiedziałem. – Tysiąc rzeczy mogłoby nie wypalić. Nie miałyby nad tym kontroli. Mogliśmy w ogóle go nie znaleźć. Ale ważne jest to, co nabazgrał zamiast podpisu.

Zamyślili się. Jednooki dwa razy zabierał się, żeby coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował.

Zastanawialiśmy się, do jakich sprytnych sztuczek Kulawiec mógł się uciec. Szukaliśmy głębokiej strategii i diabelskich podstępów. Dopiero najmniej cwany z nas, prosty żołnierz, zwrócił uwagę na najważniejsze.

– Skoro się tak podpisał, to chyba by się zdenerwował, gdyby się dowiedział, że pergamin zniknął? – rzekł Wypieracz.

Wybałuszyliśmy oczy, skoczyło nam tętno.

– Jeśli ten mały gnojek się wkurwi, będziemy pewni, że pergamin jest prawdziwy – warknął Elmo.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. – Goblin wyszczerzył zęby, ale na czoło wystąpił mu pot.

Przesunąłem pergamin w stronę Jednookiego.

– Mógłbyś sprawdzić, czy nie ma na nim jakichś znaków, które pozwoliłyby Kulawcowi nas wyśledzić? I czy może jakoś sprawdzić, kto przy nim gmerał?

– Chcesz go podrzucić z powrotem?

– Nie, do diabła! Chcę go gdzieś zakopać. Kiedyś może się przydać. Pani nie byłaby zadowolona, gdyby wpadł w jej ręce. Goblin, zrób coś, żeby Wypieracz zapomniał o tym pergaminie. Kapitan widział go, jak pętał się przy dywanie Kulawca. Mogą się pojawić pytania.

– Nad tobą też powinienem popracować. Ciebie również widziano przy dywanie.

Zakładałem, że wielu facetów skorzystało z okazji, żeby mu się przyjrzeć z bliska, mimo to od kręgosłupa po stopy przeszła mi fala strachu, wywołując chwilowy paraliż.

– Tak, chyba masz rację – przyznałem.

Obaj magowie wstali z krzesel.

– Musimy zakopać te wspomnienia tak głęboko, żeby tylko Pani mogła je wygrzebać.

Przyszła mi do głowy nowa myśl.

– Poczekaj chwilę. Wypieracz, przyprowadź tu Zhoraba.

\* \* \*

Zanim został karczmarzem, Markeb Zhorab był kimś zupełnie innym. Już po samej twarzy można było poznać, że brał udział w kilku zaciętych walkach. Był dużym facetem, dlatego często brano go za wykidajkę. Przeszłość trochę jednak nadwerężyła jego odwagę.

– Chciałeś mnie widzieć? – zapytał.

– Mam robótkę do wykonania, ale tak, żeby nikt jej ze mną nie skojarzył. Zapłacę.

– Jakieś ryzyko?

– Być może, ale mało prawdopodobne, jeśli zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

– Słucham.

Pokazałem mu reskrypt.

– Potrzebuję idealnej kopii wykonanej przez profesjonalnego kaligrafa, który nie będzie miał pojęcia, kim jesteś.

– Co to jest?

– List gończy. Im mniej wiesz, tym lepiej. Możesz to załatwić?

Mógł, ale najpierw musieliśmy się dogadać w sprawie pieniędzy. Zaproponowałem dużo, ale nie tyle, aby pomyślał, że się martwię. Robiliśmy sobie sporo kawałów, więc miałem nadzieję, że uzna, iż znowu coś szykuje.

– Na kiedy to potrzebujesz? – zapytał.

– Najlepiej byłoby natychmiast.

\* \* \*

Zhorab przyniósł mi kopię. I oryginał.

– I co? – zapytał. – Może być, Konował? Facet nie dał rady znaleźć identycznego pergaminu.

– Ujdzie. Chcę, aby było oczywiste, że to jest kopia. – Zapłaciłem mu umówioną sumę i oddałem mu kopię. – Przechowaj ją na razie. Później Goblin powie ci, kiedy masz ją zwrócić. Zapłacę za to dodatkowo.

– Jeśli uda nam się tu zwabić tego zadufanego w sobie dupka –

mruknął Elmo. Bawił się w aluzje, że chodzi o kawał.

Lekko zdziwiony Zhorab złożył kopię dokumentu i poszedł przeliczyć pieniądze.

– Myślisz, że zrobił więcej kopii? – zapytał Elmo.

– Na to liczę – odparłem. – Im więcej, tym lepiej. A teraz zajmijmy się czyszczeniem pamięci.

\* \* \*

– Nie wiem, zapomniałem – stwierdziłem. – To chyba nie było nic ważnego. Słuchajcie, chłopaki, potrzebuję waszej pomocy. Trzeba poszukać informacji o tej Tides Elbie.

Narzekania, narzekania i niechętnie szuranie krzesłami.

– Trzeba to zrobić – powiedziałem.

– Tak, tak.

– Wypieracz, umiesz czytać w miejscowym języku? – zapytałem.

Pokręcił głową. Kiedy znaleźliśmy się trochę dalej od niego, Elmo szepnął:

– Nie wiem, czy on w ogóle potrafi czytać.

– Ostatnie piwo – mruknąłem.

W Czarnym Koniu wciąż snuto domysły na temat tego, co się szykuje. Spora grupa nie wierzyła w istnienie Tides Elby. Stare wiarusy, które pamiętały odwrót z Wiosła do Uroku, uważały, że Kulawiec wszystko sobie wymyślił. Kiedy zapytali mnie o zdanie, odparłem, że nigdy nie słyszałem o żadnej Tides Elbie i że jedynym dowodem na jej istnienie są słowa Kulawca.

\* \* \*



Aloe było miastem–państwem o ustroju republikańskim, popularnej formie rządów na tym końcu świata. Od wielu lat dobrze prosperowało, więc miało czas i pieniądze na prowadzenie akt osobowych przydatnych do obliczania należnych podatków, poboru do wojska i nakładania pańszczyzny.

Akta te przechowywano w małym kamiennym budynku. Nasze przyście wzbudziło konsternację.

Zaskoczenie na nic się nie zdało. Nikt się z niczym nie zdradził. Wszędzie piętrzyły się stosy akt, przechowywane najwyraźniej bez ładu i składu. Mogliśmy tu spędzić na poszukiwaniach całe tygodnie.

– Rozejrzę się za kimś, kto mógłby przeczytać te papiery – powiedział Elmo. Z trudem nad sobą panował. Głos miał zmieniony.

Wszedł Milczek. Zanim zdążyłem go zaprząć do pracy, pokazał na migi:

– Zaczekaj!

Następnie rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy brązowy śmierdziel nie chowa się czasem gdzieś pod dachem.

– Wiem, jak ją znaleźć – powiedział w języku migowym.

Wszyscy zaczęli mówić równocześnie, lekceważąc ostrożność Milczka.

– Zamknijcie się, bo dostaniecie w dziób! Idioci – pokazał na migi.

Następnie powiedział, że naszym celem jest ogniście ruda laska, którą widzieliśmy niedawno na ulicy.

– Skąd wiesz? – zapytałem stanowczo. Też na migi.

Milczek poklepał się po głowie, pokazał na swoje oczy, a potem na nos. Stenograficzne gesty oznaczały, że jest czujny i wysła mózgownicę, kiedy widzi coś nienormalnego.

Zobaczył kogoś więcej niż tylko pierwszorzędną dupcię i poszedł za

nią. Do świątyni Occupoi. A potem stale ją obserwował.

– Można to było przewidzieć – pokazałem na migi. Jak świat długi i szeroki buntownicy zwykle spiskują w swoich miejscach kultu. – Zróbmy nalot na świątynię. – Nie bałem się gniewu Occupoi. Bogowie rzadko się bronią. – Wyślemy ją do Wieży.

– Razem z naszym najmniej lubianym Schwytanym – zgodził się Elmo.

Elmo i ja stanowiliśmy głos rozsądku, ale nas zakrzyczano. Goblin to zrywał się z miejsca, to siadał. Co piąty znak pokazywał wystawiony środkowy palec.

– Zagrajmy jak w Różach – zaproponował Jednooki.

– Po co?

– Żeby wydymać Kulawca. Wrobić go w coś.

– Albo podsuńmy mu dziewczynę i pozbądźmy się z miasta.

Ich entuzjazm opadł, kiedy przypomnieli sobie trudy zimowej kampanii przeciwko Różom. O okolicznościach, które zaprowadziły Kulawca na dzisiejszą drogę i spowodowały, że nie darzy Kompanii sympatią.

– Konował poczynił słuszną uwagę. Mięczakowatą, ale konkretną – pokazał na migi Milczek.

Jednak Jednooki, jak to Jednooki, wyczuł okazję. Miał w końcu sto jeden lat praktyki w byciu Jednookim.

Gdy to sobie uświadomiliśmy, nasz entuzjazm opadł.

\* \* \*

Odmówiłem pójścia do Kapitana lub Kulawca z ich idiotycznym planem, który opierał się na założeniu, że nieśmiertelny, niemal półboski Kulawiec jest zbyt głupi, żeby go przejrzeć.

– Aby w ogóle móc go rozpocząć, musimy zdobyć od naszego obiektu coś magicznie użytecznego – oświadczyłem. – Macie jej włos? Kawalek paznokcia? Brudną bieliznę? Nie sądzę. Lepiej wyciągnijmy ją stamtąd i przekazmy Pani.

Zrobiłem, jak postanowiłem, głuchy na ich namowy, żebym zawiązał intrygę. Ten zaszczyt przypadł Milczkowi.

Milczek nie jest partaczem, ale nic nie wskórał.

Odpowiedź Kapitana była krótka:

– Znajdźcie dziewczynę i przyprowadźcie ją do mnie. To wszystko. Niczego więcej od was nie oczekuję.

Kiedy wrócił Milczek, nikt nie miał ochoty słuchać mojego zarządzenia.

– Za dużo się martwisz, Konował – zwrócił mi uwagę Jednooki. – Przeceniasz tego gnojka. To nie żaden geniusz, lecz dupek przekonany, że dzięki swojemu drygowi do czarów nie musi myśleć.

– Nie on jeden.

– Pamiętaj, co przeszedł, odkąd wygrzebano go z ziemi – przekonywał Goblin. – Ani trochę przez to nie zmądrzał. Zaczął tylko lepiej zacierać ślady.

Czemu się tak tym denerwowałem?

– Może nas zgnieść jak kulawe karaluchy i nawet się przy tym nie spocić.

– To taki sam dureń jak ty. Można go pięć razy z rzędu okantować na tę samą podpuchę i wciąż nie będzie wiedział, co się stało.

Idiota.

Kulawiec może i jest głupi jak but, ale nie ma tu równych sobie przeciwników. Poza tym przyjechał z określonym planem.

Uparłem się, żebyśmy przeszukali archiwum do końca.

Powiedziałem im, by informowali mnie o każdym zgonie dziewczynki, o którym przeczytają w aktach.

\* \* \*

Miałem się położyć spać, kiedy otrzymałem wezwanie od Kapitana i Kulawca. Niezbyt mnie ono ucieszyło, ale poszedłem.

– Słyszeliśmy, że coś znalazłeś – oświadczył Stary.

– Owszem, ale myślę, że to fałszywka – odparłem szczerze.

– Dobra robota – pochwalił mnie Kapitan. – Szukaj dalej, ale musisz zwolnić Goblina i Jednookiego. Dostaną inne zadanie. – Spojrzał beznamiętnie na Kulawca, choć wiedziałem, że najchętniej rzuciłby go lwom na pożarcie.

– I tak nie ma z nich żadnego pożytku – powiedziałem. – Nawet jak się nie kłóca, nie potrafią się skupić na pracy.

– Jeszcze jedna sprawa – dodał Kapitan.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Tak, Kapitanie?

– Widziano cię, jak kręciłeś się przy dywanie lorda. Po co? Czego szukałeś?

– Kręciłem się? Nie, Kapitanie. Jedynie rozmawiałem o nim z Wypieraczem. Był bardzo podekscytowany. Nigdy nie widział dywanu z bliska. Słyszał, że kilka razy nim leciałem, i chciał wiedzieć, jakie to uczucie. Po prostu rozmawialiśmy. Niczego nie dotykaliśmy. – Gadałem trzy po trzy, ale to dobrze. Kulawiec był przyzwyczajony do tego, że ludzie się go boją. – Dlaczego, Kapitanie? Czy to ważne?

Kapitan spojrzał na towarzysza, czekając na pytania lub komentarz, ale stary upiór tylko przewiercał mnie wzrokiem.

– Niespecjalnie. Możesz odejść.

Podkułilem ogon i czmychnalem. Jakim cudem Kapitanowi udaje się zachować spokój przy tym potworze?

Postanowiłem ukoić nerwy w Czarnym Koniu, gdzie czekała na mnie bezużyteczna parka czarowników i Milczek. Poinformowałem ich o najnowszych wydarzeniach, po czym dodałem na migi:

– Nie podoba mi się to, chłopaki. Kapitan myśli, że na coś wpadliśmy. Jeśli Kulawiec się zorientuje...

Jednooki zaklął i powiedział coś o moim cholernym defetyzmie, ale w końcu dał za wygraną. Nawet on jest ślepy tylko na jedno oko.

Goblin także się zgodził. Wreszcie do nich obu dotarło, jak wielkimi złudzeniami się karmili. W ich sercu zagościł dobrze umotywowany strach.

\* \* \*

Mimo wszystko nie poszliśmy po dziewczynę. Goblin i Jednooki wybyli gdzieś z Kulawcem. Milczek uniknął ich losu, bo nigdzie nie można go było znaleźć. Przypuszczalnie śledził nasz obiekt.

Ani Elmo, ani Cukierek, ani Porucznik nie pozwoliliby nam jej zatrzymać bez pełnego wsparcia czarodziejów.

Milczek miał się stać jej cieniem.

\* \* \*

Na apel Elma, by zgłaszali się ochotnicy mówiący miejscowym językiem, przybyło dwóch i pół ludzi, przy czym tą połową był beznadziejny dureń, pomocnik Goblina i Jednookiego, który kazał się nazywać Trzeci, ponieważ miał tak samo na imię jak jego ojciec i dziadek. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak mu się udało wytrwać w

tym dziwactwie, mając dwóch takich nauczycieli jednocześnie.

Trzeci wpadł do mojej kwatery na mieście. W porównaniu z Goblinem i Jednookim nie wyglądał na czarodzieja. Był większy od nich obu razem wziętych.

Po tym, co mi powiedział, żałowałem, że oni nie mają takich gabarytów.

– Dziś wieczorem zamierzają napaść na świątynię Occupoi. Jednooki potrzebuje twojej pomocy.

Strach jednak nie zapuścił u nich korzeni zbyt głęboko. Zatwierdzoną akcją zaplanowano na jutro rano.

– Jednooki chce, żeby jakiś kiepski specjalista zbadał mu głowę. Taki, co będzie gotów zalecić terapię dekapitacyjną – usłyszałem od Trzeciego, nie dałem się jednak zmylić.

Trzeci przypominał trochę Kapitana, choć był jeszcze brzydszy. No i gadał równie dużo jak Stary.

– Gdzie Jednooki i Goblin byli w ostatnich dniach? – zapytałem.

– Robili coś z Kulawcem. Uczyli się nowych sposobów zapolowania na Tides Elbę.

Nie uwierzyłem.

Dogoniłem dwóch kurdupli i dwóch żołnierzy umiejących czytać dokumenty napisane w miejscowym języku, Cornella Crata i Ladora Ansa. Zacząłem kwękać:

– Gdzie jest Milczek? Gdzie Elmo?

– Nie mogliśmy ich znaleźć – mruknął Jednooki. Naciągnął mocniej na głowę sfatygowany kapelusz, żeby rondo zasłoniło twarz. – Cicho bądź. Idziemy.

– Nie.

– No co ty?

– Nie dopuszczę do tego. Chcesz zagrać partyjkę tonka ze Schwytanym, bo myślisz, że naciągniesz go na szmal. Ale w swojej cholernie głupiej ślepcie nie widzisz, że stawką w tej grze jest cała Kompania. Życie sześciuset czterdziestu ludzi.

Goblin wyglądał na rozczarowanego, ale Jednooki właśnie chciał, żebym go opieprzył. Zamierzał mi nagadać.

– Mówię po raz ostatni. Słuchaj, cholerny głąbie! Przy szczęściu, jakie masz, grając o groszowe stawki, chcesz, żebym ci pomógł zagrać przeciw Kulawcowi? Nawet ty nie możesz być tak głupi. Zrobimy to tak, jak zostało ustalone. Jutro. Nie dasz Kulawcowi pretekstu, na jaki czeka.

Jednooki nic nie powiedział, ale patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Rzadko widział mnie tak wzburzonego i chyba nigdy tak kogoś opieprzającego.

Mimo to pewnie puściłby moje zastrzeżenia mimo uszu, gdyby Goblin nie otrząsnął się nagle jak zmoknięty pies i nie powiedział:

– Po namyśle jestem skłonny zgodzić się z Konowalem w tej sprawie. Poskrom swoją chciwość i ego. Spójrz na sprawę merytorycznie.

Jednooki zaczął gadkę o życiowej okazji.

Goblin znowu się otrząsnął. Wyglądał na lekko zdziwionego. W końcu zwrócił się do Jednookiego.

– Po cholere wpakowałeś się w to gównno? Cud, że jeszcze żyjesz.

Zwycięstwo! Udało mi się przekonać Goblina. Crat i Ans doszli do tego samego wniosku. Trzeci jasno zademonstrował swoje stanowisko, kiedy zniknął zaraz po tym, jak mnie przyprowadził.

Czułem straszny kwas w ustach. Nie mogłem opanować uporczywego drżenia rąk. Crat i Ans wyglądali równie niewyraźnie.

Jednooki zrozumiał, że gdyby chciał dalej realizować swój plan, musiałby to zrobić sam. To go trochę zaskoczyło i zbiło z tropu.

Ten staruch był zdolny do niecných sztuczek. Wycofałby się, gdyby nie znalazł nikogo dostatecznie głupiego lub chciwego, kto by pozwolił mu grać na swoje konto.

– Konował, ty dupku, wygrałeś – powiedział. – Mam nadzieję, że będziesz miał odwagę napisać w Kronice, jak wielką pizdą się okazałeś, kiedy mieliśmy szansę zagrać o najwyższą stawkę w życiu.

– Nie martw się. Wszystko się tam znajdzie, łącznie z tym, że Kompania ocalała, pomimo twoich wysiłków, żeby stało się inaczej. – Potem powiedziałem, że zadaniem Kompanii nie jest wielka wygrana Jednookiego.

Atmosfera zaczynała wrzeć. Wtedy pojawili się Milczek i Elmo. Obaj fachowo zaciągnęli naszego czarnego przyjaciela w bezpieczne miejsce, aby uchronić go przed nim samym.

\* \* \*

Skonsultowałem się z Elmem. Elmo skonsultował się z Cukierkiem. Cukierek skonsultował się z Porucznikiem. Nawet gdyby bogowie nie patrzyli, Porucznik i tak chciałby skonsultować się z Kapitanem.

Przyszedł rozkaz. Rozpocząć akcję. Choć dziewczyna Milczka zapewne nie była Tides Elbą.

Dowodził Elmo. Goblin i Milczek mieli zapewnić magiczne wsparcie. Jednooki i Trzeci otrzymali inne zadanie wagi państwowej: policzenie kóz w parafii Utbank. Pani na gwałt potrzebowała tych danych.

Kapitan przymyka oczy na wiele spraw. Dobry oficer wie, kiedy pewnych rzeczy ma nie widzieć, ale nawet ślepotą ma jakieś granice.



\* \* \*

Zanim akcja się rozpoczęła, ja jak to ja zacząłem szukać dziury w całym:

– Pokrzyżowaliśmy obłądny plan Jednookiego, ale nie do końca wyplątaliśmy się z trudnej sytuacji.

– Niech się wygada. Krócej to potrwa. Inaczej musielibyśmy go przywalić kamieniem, żeby nie słuchać jego zrzędzenia. Mów, mądralo – rzucił Goblin i zajął się przygotowaniami do akcji. Inni zrobili to samo. Słyszeli mnie, ale nie słuchali.

– Stary chyba wie, że to nie jest Tides Elba – mówiłem. – Jak więc zareagują tubylcy, jeśli wkroczymy do ich świętego miejsca i wywlecemy kapłankę, która nie zrobiła nic złego poza tym, że wpadła w oko Milczkowi?

– Mamy rozkaz ją pojmać – zauważył Elmo. – Tyle i tylko tyle. Co będzie później, to już nie nasza sprawa. Od tego są ludzie, którzy biorą za to pieniądze. Ty do nich nie należysz. Twoim zadaniem jest pójść na akcję i ustrzelić każdego bałwana, który zapomni się schylić.

Miał rację.

– Nie wiem, co mnie ostatnio naszło – powiedziałem. I naprawdę nie wiedziałem.

Maszerujący pluton rozproszył tubylców, ale ruszyli za nami w pewnej odległości wiedzeni kretyńskim wścibstwem.

Maszerowałem obok Goblina.

– Dokąd ty i Jednooki pojechaliście z Kulawcem dwa dni temu? – zagadnąłem go. – Co robiliście?

Na jego szerokim bladym czole z wolna zaczęły się pojawiać głębokie zmarszczki.

– Z Kulawcem? Nigdzie z nim nie jechaliśmy.

– Na pewno? Stary mówił, że to straszdyło zabiera was na jakąś misję. Powiedział to przy Kulawcu. Wyjechaliście na dwa dni. Jak wróciliście, byliście zdecydowani podjąć grę, która, jak później ustaliliśmy, byłaby samobójstwem.

– Na dwa dni? Jesteś pewny?

– Tak. Zapytaj Elma.

Zamyślił się. Po jakichś pięćdziesięciu krokach zapytał:

– Co mówi Kapitan?

– Nic. Ostatnio nie mówi prawie nic. Cały czas ma na karku najgorszego ze Schwytaných.

Sto kroków milczenia. Wielka, brzydka kopuła świątyni Occupoi zamajaczyła na horyzoncie wśród otaczających ją budynków. Uważano, że należy jej się status pomniejszego cudu świata z racji kształtu przypominającego ogromny ul odlany w całości z betonu. Dla ludzi zainteresowanych sztuką inżynierską świątynia musiała być fascynująca. Budowano ją zapewne przez jedno pokolenie.

Mieszkańców Aloe mało to obchodziło.

Goblin więcej się nie odezwał, ale wyglądał jak człowiek, który właśnie usłyszał nieoczekiwane złe wieści.

Do odrzwi świątyni Occupoi prowadziły schody przedzielone podestem: niższe liczyły siedem, a wyższe sześć stopni. Te liczby niemal na pewno miały jakieś symboliczne znaczenie. Schody wykonano z szarego granitu z białymi żyłkami, a kolumny i ściany z tutejszego zielono-szarego wapienia, łatwego w obróbce, ale podatnego na erozję. Zachodnią ścianę zasłaniało rusztowanie.

Tego dnia nie było żadnego święta. Było też za wcześnie na odpustową kwestę. Panował zatem całkowity spokój.

Wchodziłem po trzynastu stopniach, zastanawiając się, po co to robimy. Zagadka Tides Elby nie przestawała mnie martwić. Wypytałem o nią niemal wszystkich Alończyków. Każdy twierdził, że nigdy nie słyszał tego imienia i że taka dowódczyni buntowników nie istnieje. Wierzyłem im. Mało prawdopodobne, żeby wszyscy potrafili tak dobrze udawać szczerze zdziwienie.

Z drugiej strony ciekawe, skąd byli tak pewni, że nie ma buntowniczkę nazwiskiem Tides Elba.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem. Milczek i Goblin wyczarowali kilka duchów, które miały wykryć zastawione pułapki lub zapadnie.

Ich zabiegi okazały się niepotrzebne. Obrona świątyni składała się z jednego woźnego, który spał na krześle przy wejściu. Miał pilnować, żeby nikt nie podkradał pieniędzy ze skarbonki, do której wrzucano datki na ubogich.

Goblin zrobił coś, po czym woźny zapadł w jeszcze głębszy sen.

Jedna drużyna weszła do środka i rozproszyła się. Reszta otoczyła świątynię. W środku nie działo się zupełnie nic. Główne miejsce kultu miało kształt koła, w którym na podwyższeniu stał ołtarz. Był to czarny kamień bez żadnych śladów krwi. Occupoa najwyraźniej pozbywał się dziewic w bardziej oświecony sposób. Zamiast tego na ołtarzu pyszniły się stojaki ze świecami wotywnymi, z których paliło się tylko kilka.

Całość prezentowała się raczej nędznie.

Tak mocno zacisnąłem zęby, że zaczęły mnie boleć szczęki. Nie wyglądało to na fortecę buntowników. Jak daliśmy się na to nabrać? Czemu wciąż przypominał mi się złowieszczy śmiech Kulawca, jakim zanosił się, kiedy sprawy zaczynały się układać po jego myśli?

Jakiś impuls kazał mi się odwrócić, ale go nie posłuchałem.

– Goblin, Milczek, którą? – zapytał Elmo. Głos miał niepewny.

Pewnie dlatego, że poza woźnym nikogo nie znaleźliśmy.

Uśmiechnąłem się nerwowo, kiedy pomyślałem, że gdyby Jednooki nie musiał się zajmować sprawami wagi państwowej w Utbank i był tu razem z nami, to na pewno spróbowałby obrobić skarbonkę.

– Prosto. Gdybyście tak nie hałasowali, usłyszelibyście, że ktoś tam jest.

Znów zacząłem się niepokoić o Goblina i Jednookiego. Co się z nimi stało, kiedy zniknęli nam z oczu? Może Kulawiec zrobił im pranie mózgu? Jednookiemu wyszłoby to tylko na dobre.

Czy ten najazd na świątynię był częścią wielkiego planu Kulawca mającego zdyskredytować Kompanię?

– Ruszaj. – Elmo szturchnął mnie. – Co z tobą? Robisz się okropnym marzycielem.

Przed nami rozległ się szmer podniecenia.

Nie był to szmer z gatunku „w nogi”, ale „co tu się u diabła dzieje?”. Rozległ się w pomieszczeniu będącym czymś w rodzaju kuchni i jadalni zarazem, gdzie szesnaście kobiet w różnym wieku spożywało późne śniadanie. Starsze zaczęły się domagać wyjaśnień, ale Elmo je zignorował.

– Milczek, która to? – zapytał.

Dziewczyna, którą spotkaliśmy na ulicy, siedziała przy stoliku z pięcioma innymi, które wyglądały jak jej siostry. Włożono sporo wysiłku, żeby je do siebie upodobnić, ale nasza wyróżniała się spośród innych. Otaczała ją jakaś aura, rodzaj magnetyzmu, który czynił z niej kogoś wyjątkowego.

Może nasza pracodawczyni zajrzała w przyszłość i zobaczyła, kim ta dziewczyna może się stać.

– Milczek, bierz ją – rozkazał Elmo. – Tako i Masa, pomóżcie mu.

Goblin, osłaniaj ich. Nie używać broni. – Wszystko powiedział w języku nie używanym w Aloe.

Nikt nie stawiał oporu. Starsze kobiety przestały protestować, jedynie pytały, dlaczego to robimy.

Goblin podniósł dziewczynę i związał jej ręce na plecach. Zauważyłem, że włożył rękawiczki, żeby unikać bezpośredniego kontaktu. Dziewczyna zapytała, o co chodzi, ale tylko raz, po czym ogarnął ją strach. Na widok jej przerażenia poczułem przemożną chęć przyjscia jej z pomocą. Wyobrażałem sobie, jakich potworności się po nas spodziewa.

– Zdumiewająca – powiedział łagodnie Elmo.

– Rzeczywiście – zgodził się Goblin. – Niezwykła. Może naprawdę jest kimś wyjątkowym.

Ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą, którą przybyliśmy. Razem z Goblinem szliśmy w straży tylnej. Elmo, który szedł na czele i spieszył się, akurat trafił na chłopca włamującego się do skarbonki. Zareagował ostro.

Niedoszły złodziej leżał nieprzytomny, gdy opatrywałem mu złamaną rękę. Elmo unikał niepotrzebnego rozlewu krwi.

Goblin został przy mnie, Elmo zaś zebrał pluton i wraz z Milczkiem mężnie neutralizującym wszystko to, co ze strachu dziewczyna mogłaby niechcący zdradzić, ruszyli do obozu. Kilkunastu Aloeńczyków przyglądało się nam w zdumieniu. Kilku powlokło się za Elmem.

Goblin przyjrzał się tubylcom, wypatrując oznak buntu. Zajęty, nie zwrócił uwagi na odgłos, który, jak mi się zdawało, dobiegł z ciemnego kąta świątyni. Chyba że był to kolejny wytwór mojej chorej wyobraźni, nad którą nie potrafiłem zapanować.

Było to coś jakby szuranie, potem nagły stukot i znowu szuranie. Jakby jakiś kulawy starał się iść jak najciszej po kamiennej posadzce.

\* \* \*

– Dlaczego uważasz, że mi się przywidziało? – zapytałem Goblina po drodze do Czarnego Konia. Nasza obecność w obozie nie była konieczna. Elmo poradzi sobie sam. A kiedy dziewczyna udowodni, że nie jest Tides Elbą, będzie mógł zacząć poważnie planować, jak wytropić i złapać tę prawdziwą.

– Bo mam świetny widok na południową stronę nieba – odparł i wskazał coś palcem.

W oddali nad miastem, niespiesznie, na wysokości nie większej niż czterdzieści łokci, sunął latający dywan. Z naszego miejsca widać było na nim dwie osoby, z których jedna miała na głowie brudny, czarny, miękki kapelusz.

A zatem Kulawiec poleciał do parafii Utbank, żeby sprawdzić, co robi Jednooki. I pewnie postanowił przywieźć go i Trzeciego z powrotem, nie do końca przekonany, że Stary odesłał ich tylko dlatego, że chciwość Jednookiego komplikowała sprawy.

– W porządku – powiedziałem. – To zapewne moje poczucie winy. Ale za dobrze wykonaną pracę zasłużyliśmy na łyk dobrego piwa u mistrza Zhoraba.

– Dla mnie trochę za wcześnie, ale w uznaniu naszego sukcesu przyłączę się do ciebie, mój panie – odparł Goblin.

Weszliśmy do środka. Wnętrze Czarnego Konia dokładnie odpowiadało jego fasadzie. Nie było tu żadnego z naszych kompanijnych braci, pijących czy grających w karty. W zasadzie to nie było nikogo.

Nawet za barem nikt nie stał.

Goblin uściślił to spostrzeżenie uwagą:

– Nie ma nikogo. Wracamy, a potem...

W tym momencie zmaterializował się Zhorab.

– Witaj, magiku – powitał go Goblin. – Mieliśmy dziś ciężki dzień.

Chcielibyśmy się napić piwa.

Zhorab wyciągnął dwa kufle, zerkając na nas denerwująco natarczywie.

– Złapaliście tego, kogo szukaliście? – zapytał w końcu.

Facet był cały spięty.

– Tak. A co cię to tak interesuje?

Zhorab podniósł palec w geście oznaczającym „poczekajcie”, po czym wyciągnął ukrytą kasetkę z pieniędzmi. Myślał, że nikt o niej nie wie, ale dla bystrookich stałych bywalców Czarnego Konia jej istnienie nie było tajemnicą. Gmerając w niej, rozglądał się ukradkiem na wszystkie strony. W końcu wyciągnął zniszczoną talię kart.

– Moje karty – powiedziałem. Ostatni raz widziałem je w ręku Jurnego i jego kumpli. – Skąd je masz?

– Goblin powiedział, żebym je przechował, dopóki nie aresztujesz osoby, po którą przyjechał Schwytany.

Mały czarodziej i ja spojrzeliśmy po sobie zdziwieni.

– Tak naprawdę to wcale nie są karty. – Trzęsącymi się rękoma rozłożył talię na ladzie. Cały czas patrzył na drzwi, jakby w każdej chwili miała się w nich pojawić śmierć.

– Chyba nas nie sprzedałeś, co? – zapytał Goblin.

– Co? Och, nie! Nigdy w życiu!

– To dlaczego tu tak pusto? A ty czemu jesteś taki zdenerwowany?

Postanowiłem odpowiedzieć Goblinowi:

– Pusto, bo wszyscy są w obozie. O, jest. – Spomiędzy rozrzuconych kart wyciągnąłem kawałek pergaminu.

Rozłożyłem go.

Przyjrzałem mu się.

Zacząłem się trząść. Ukryte głęboko wspomnienia z bulgotem wypłynęły na powierzchnię.

– Goblin. Sprawdź to – wydukałem.

Czarodziej też zaczął się trząść.

– Dobrze wykonałem zadanie? – zapytał Zhorab.

Pchnąłem ku niemu srebrną monetę.

– Znakomicie. – Następnie wśród kart znalazłem też kopię listu. – Jeszcze jedno. Kazałeś kaligrafowi zrobić dodatkową kopię. Ją także masz oddać.

Zhorab chciał skłamać, ale zrezygnował, gdy spojrzał Goblinowi w oczy.

– Zaraz ją przyniosę – powiedział.

Położyłem na ladzie jeszcze jedną monetę i – dla towarzystwa – brudny czarny nóż. Był zupełnie zwyczajny, ale robił wręcz przeciwne wrażenie.

Zhorab głośno przełknął ślinę, skinął głową i zniknął.

– Coś za łatwo się zgodził – zauważył Goblin.

– Być może ma więcej niż jedną kopię.

– Chcesz dostać wszystkie?

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby kilka rozeszło się po świecie i pewnego dnia trafiło do Wieży.

– Twoja ślicznotka znowu będzie musiała poddać naszego śmierdzącego przyjaciela reedukacji.

Wzdrygnąłem się. Miałem okazję zetknąć się z Okiem. Pani widziała



mnie na wylot, gdy tylko chciało jej się spojrzeć. Tak poznawała mnie. To, co spotkałoby Kulawca, byłoby po stokroć gorsze, ale nie fatalne w skutkach. Stał się dla niej zbyt użyteczny, odkąd zgodził się być narzędziem jej woli.

Wrócił Zhorab. Podał mi kolejny złożony kawałek pergaminu. Schowałem nóż do pochwy.

– Musimy iść – rzuciłem. – Bądź gotów na spore zamieszanie.

W połowie drogi do obozu spotkaliśmy Wypieracza.

– Tu jesteście. Kapitan kazał mi was przyprowadzić. Chce, aby Goblin połączył się z Wieżą i przekazał wiadomość dla Pani, że mamy dziewczynę i że gdy przekazywaliśmy ją Kulawcowi, była cała i zdrowa.

– O, cholera – zaklął Goblin, zastanawiając się, czy nie dać drapak. Od ostatniego kontaktu, jaki nawiązał z Panią, minęło sporo czasu. Nie chciał znowu tego przeżywać. Nie dobrowolnie.

– To musi być cholernie ważna sprawa, skoro żąda tego od ciebie – zauważyłem.

– Kapitan naprawdę chce, żeby Pani się dowiedziała – rzekł Wypieracz. – Nie ufa Kulawcowi.

– Kto by mu ufał? – zapytałem retorycznie. I dodałem: – Czy dziewczyna ze świątyni naprawdę jest Tides Elbą?

– Tak. Nie zaprzecza. Twierdzi jednak, że nie jest żadną buntowniczką ani Wskrzescielką. Poza tym zna się trochę na czarach.

– Konował, nie masz wrażenia, że zawsze jesteś najgorzej poinformowany? – zapytał Goblin.

– Owszem, każdego dnia, odkąd przywdziałem ten gówniany mundurek. Wypieracz, weź to. Przy najbliższej okazji odłóż na miejsce.

Wypieracz wziął złożony kawałek pergaminu.

– To nie ten, który ci dałem – zauważył.

\* \* \*

Kapitan siedział za stołem. Tides Elbę posadzono na jednym z prostych krzeseł. Ręce i nogi miała skute lekkimi kajdankami. Wyglądała na sparaliżowaną strachem, na kogoś, kto nie może uwierzyć w to, co się z nim dzieje. Na szyi miała metalową obręcz, jaką zakłada się schwytanym czarodziejom. Gdyby chciała użyć czarów, naraziłaby się na okropny ból.

Pani musiała daleko sięgnąć w przyszłość. Jedyna magia, jaką w tej chwili mogło władać to dziewczę, tkwiła w jej tyłku.

– Piliście – warknął Kapitan.

– Jeden kufel, żeby uczcić dobrze wykonane zadanie – odparł Goblin.

– Sprawa jeszcze nie jest zakończona. Połącz się z Panią. Poinformuj ją o sytuacji, zanim Kulawiec dowie się, że ją mamy.

– Witaj w klubie – powiedział do mnie Goblin.

– Możesz odejść, Konował. Nie jesteś mi potrzebny – stwierdził Kapitan.

– Oczywiście, że jestem. Jak inaczej mógłbym wiernie opisać to zdarzenie w Kronikach?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Do roboty, Goblin – rzucił. – Marnujesz cenny czas.

Czarodziej mógł nawiązać kontakt od razu, gdyż robił to już wcześniej wiele razy. Znajomość sytuacji nie umniejszała jednak bólu. Wrzasnął przeraźliwie i zwał się na ziemię powalony atakiem padaczki. Zaniepokojony Kapitan wstał od stołu i uklęknął przy Goblinie tyłem do dziewczyny.

– Wyjdzie z tego? – zapytał.

– Uważaj, żeby nie połknął języka. – Skorzystałem z okazji, by

wsunąć kawałek pergaminu między piersi dziewczyny i pomacać przy tym jej młode, jędrne cycki. Dziewczyna spojrzała mi w oczy, ale się nie odezwała. – Wydaje mi się, że trudno mu nawiązać połączenie.

Pani usłyszała Goblina, ale wybrała inny sposób przekazania odpowiedzi. Zrobiła to w momencie, w którym do pokoju wpadł Kulawiec.

Nad głową Goblina pojawiło się kółko rozżarzonych węgielków o średnicy dwóch stóp i niemal zaplątało się we włosy Kapitana. W środku wyświetliła się piękna twarz Pani. Natrafiła wzrokiem na moje spojrzenie. Uśmiechnęła się. Poczujęm, że miękną mi nogi.

Atak padaczki u Goblina skończył się. Podobnie jak szarża Kulawca.

– Czy to ona? – rozległ się głos brzmiący jak zewsząd dobiegający szept.

– Tak uważamy, Pani – odparł Kapitan. – Wszystko się zgadza.

Pani mrugnęła do mnie. Byliśmy towarzyszami broni z dawnych czasów. Razem ścigaliśmy i zabiliśmy jej siostrę w bitwie pod Urokiem.

– Jest uderzająco piękna, nieprawdaż? – powiedziała Pani dobiegającym zewsząd szeptem.

Skinąłem głową. To samo zrobili Goblin i Kapitan. Kulawiec, podążając za swoim upiornym smrodem, przysunął się bliżej i pochylił swoją zamaskowaną głowę na znak, że też się zgadza. Tides Elba rzeczywiście z każdą minutą wyglądała coraz bardziej uderzająco, rzucając nieświadomy czar, na który obręcz nie reagowała.

– Wygląda zupełnie jak moja siostra. Jej prababka. Jest do niej niesamowicie podobna.

Inna siostra, jak się domyślałem. Tides Elba tylko trochę przypominała tę siostrę Pani, którą pomogłem zabić. Już miałem o to zapytać, ale niepotrzebnie. Nasza pracodawczyni niespodziewanie

stała się wylewna.

– Jej przodkiem był mój mąż, który pieprzył wszystko, co się ruszało, łącznie z moimi siostrami i Schwytanymi płci żeńskiej. Wystarczy. Miała zostać partnerką innego jego potomka. Ich dziecko miało się stać naczyniem, w którym stary sukinsyn mógłby zawrzeć swoją duszę.

Kulawiec pewnie wziął to wszystko pod uwagę, obmyślając swój plan. Reszta z nas rozdziawiła usta ze zdumienia. Poza dziewczyną, która nie rozumiała ani słowa. Nie знаła języka, w którym mówiła Pani.

Cała była jednak skoncentrowana na obrazie wiszącym w powietrzu.

Zsiusiała się. Czowała, do czego to wszystko zmierza.

Coś przepłynęło między Panią a Kulawcem. Śmierdzący mały czarodziej skłonił się głęboko. Podszedł do dziewczyny i pociągnął ją za ramię, zmuszając do wstania.

Pchnął ją w stronę drzwi, które wcześniej wyłamał.

A my tylko patrzyliśmy. Chcielibyśmy mieć siłę, by ich powstrzymać, ale wiedzieliśmy, że jeśli Pani mówiła prawdę, to Tides Elba stanowi zagrożenie dla całego świata. Mogłaby się stać portem, przez który mógłby wrócić odrażający cień zwany Dominatorem. Nic dziwnego, że poszukiwała jej i kochała ją każda sekta Wskrzesicieli, którzy mieli nadzieję uwolnić dawne zło z grobu. Nic dziwnego, że była przepowiedzianym mesjaszem ciemności.

Spojrzałem za siebie. Pani zniknęła. Dla nas była to historia jakby bez zakończenia. Ale to dlatego, że byliśmy w niej marginalnymi postaciami, które mogły widzieć tylko lokalne wydarzenia. Dla Kompanii najbardziej liczyło się to, że ocalała.

Wyszliśmy wszyscy na dwór, żeby popatrzeć, jak Kulawiec szykuje się do drogi.

Wyglądał na zdenerwowanego i nieszczęśliwego. Wepchnął dziewczynę do worka, zaszył go i przywiązał sznurami do dywanu. Tides Elbie nie uda się wyskoczyć podczas lotu i uniknąć swojego losu. Start prosto w zachodzące słońce nie był najlepszym wyborem. Kołysząc się, dywan pożegłował na zachód.

W cieniu, niedaleko miejsca, gdzie leżał dywan Kulawca, spotkałem Wypieracza. Na mój widok uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do góry kciuk.

– Od razu go zobaczył – powiedział – wyciągnął, spojrzął i podskoczył, jakby go ktoś walnął łopata.

– Dostał więc wiadomość.

Goblin spojrzął tęsknym wzrokiem na zachód, ale powiedział tylko:

– Co za marnotrawstwo apetycznego kobiecego ciała. – A potem dodał: – Poszukajmy Elma i Jednookiego i chodźmy na kielicha do Czarnego Konia. Elmo ma karty, prawda?

**Gene Wolfe**, z wykształcenia inżynier, pracował w swoim zawodzie od czasu, aż został redaktorem czasopisma branżowego „Plant Engineering”. Jako pisarz dał się poznać w latach sześćdziesiątych, kiedy w redagowanych przez Damona Knighta antologiach Orbit ukazało się kilka jego opowiadań. Z wczesnego okresu jego twórczości na uwagę zasługują opowiadania Pięta głowa Cerbera i Peace. Swoją pozycję pisarza fantasy ugruntował trzema wielotomowymi powieściami Księga Nowego Słońca, Księga Długiego Słońca i Księga Krótkiego Słońca. Krótkie opowiadania Wolfe’a ukazały się w kilku zbiorach, między innymi Śmierć Doktora Wyspy, Endangered Species, Strange Travelers i najnowsza The Best of Gene Wolfe. Jest laureatem nagród: Nebula, World Fantasy Locus, John W. Campbell Memorial, British Fantasy, British SF i World Fantasy Lifetime Achievement. Ostatnią książką Wolfe’a jest An Evil Guest. Obecnie pracuje nad powieścią The Sorcerer’s House.

## **Gene Wolfe**

### **KRWAWA GRA**

Siądź wygodnie i posłuchaj.

Kiedy oddano mnie do Gry, byłem jeszcze w pełni sił, choć już nie młody. Odmówiłbym, gdyby to było możliwe, ale nie było. Ofiarowani do Gry są do niej stworzeni. Z racji słusznego wzrostu i siły zostałem rycerzem. Przeszliśmy morderczą zaprawę, podczas której dwaj moi

towarzysze ponieśli śmierć, a jeden został kaleką do końca życia. Dobrze go znałem i lubiłem. Razem piliśmy i kiedyś nawet walczyliśmy przeciwko sobie. Nie zazdrościłem mu, kiedy widziałem, jak odjeżdża na wózku, który ciągnęli jego bracia.

Po dwóch latach pasowano mnie na rycerza. Dzień ów był dla mnie bardzo szczęśliwy, gdyż bałem się, że przeznaczeniem moim jest zostać co najwyżej łuczniakiem. Po uroczystościach dostałem trzy ogiery – najpiękniejsze konie, jakie w życiu widziałem: rącze, gniade rumaki bojowe z kruczoczarnymi grzywami i ogonami. Ujeżdżałem je i ćwiczyłem, nie szczędząc czasu. Trzymałem je oddzielnie w stajni i na pastwisku: wypasałem na łąkach, które ze sobą nie sąsiadowały, inaczej zaczęłyby ze sobą walczyć. Jeśli któregoś dnia nie mogłem dostać pastwiska dla każdego z osobna, jednego ogiera zostawiałem w stajni, a dwa pozostałe wyprowadzałem na błonia. Po moim pierwszym występie w Grze już mi nie odmawiano.

Dziś jej się już nie rozgrywa. Pewnie nie pamiętasz Gry, a może nawet nigdy nie miałeś wątpliwej przyjemności jej oglądać. Reguły są zawile, nie będę ich objaśniał.

Muszę jednak powiedzieć, i to z ręką na sercu, że nigdy nie chciałem zabić żadnego swojego przeciwnika. No, prawie żadnego. Moje zadanie ograniczało się do jego pokonania. O ile zdołam. A jego – do pokonania mnie. Dobrze pamiętam swoją pierwszą walkę. Stoczyłem ją z innym rycerzem, a takie starcia należą do najrzadszych. Rozkazano mi zająć pole, które rycerz księżycy mógł zaatakować. Wydawało mi się, że jestem bezpieczny, bo gdyby mnie zwyciężył, z pewnością zaatakowałaby go nasza wielmożna królowa. Mimo to przypuścił atak.

Reguły mówią, żeby atakujący starał się zdobyć pozycję obrońcy, nacierając na niego biegiem lub w skok, gdy dosiada konia, co daje mu

dużą przewagę. Uczono mnie o tym na szkoleniu, ale jak naprawdę taki atak wygląda, przekonałem się, dopiero gdy usłyszałem ogłuszający tętent kopyt jego wierzchowca. Biały koń jednym skokiem, dłuższym niż dwa skoki jakiegokolwiek innego, znalazł się przy mnie. Mój przeciwnik uzbrojony był w topór, ja – w buzdygan. Toczyliśmy zaciętą walkę, aż wreszcie za którymś razem straciłem mu hełm z głowy. Choć utrzymał się w siodle, był całkiem ogłuszony. Aby się poddać, trzeba odrzucić broń. Dopóki przeciwnicy nie rzucają broni, walka trwa. Mój rywal patrzył pustym wzrokiem i ledwie trzymał topór w odrętwiałej dłoni.

Lecz go nie puścił. Mogłem go wtedy zabić, ale uderzyłem go buzdyganem w rękawicę. Ostre pióro przebiło stal i ciało. Odrzuciłem buzdygan i patrzyłem, jak mój przeciwnik powoli zsuwa się z siodła na ziemię. Uderzył głową w kamienistą glebę wyznaczającą ciemne pola gry i przez chwilę bałem się, że skręcił kark. Na szczęście żył – jęczał i wyrywał się, kiedy zabierano go z planszy. Widzom nie podobało się to, co zrobiłem, ale ja byłem z siebie zadowolony. Liczy się zwycięstwo, a nie zabijanie.

Moim następnym przeciwnikiem był pion. Potężna kobieta, tak jak wszystkie piony. Niektórzy mówią, że się je hoduje jak bojowe rumaki. Według innych są po prostu wynikiem manipulacji, jakim magowie poddają niemowlęta płci żeńskiej. Jak zapewne wiesz, uzbrojenie pionów należy do najprostszych: długi miecz oraz tarcza, która na wysokość sięga niemal czubka głowy piona, a na szerokość całkowicie go zasłania. Nie noszą zbroi, jedynie sandały i przepaski na biodra. Myślałem, że ją stratuję lub bez trudu przebiję mieczem. Właśnie miecza używa się przeciwko pionom.

Nic z tego. Nagle wyrosła mi po lewej stronie, spóźniłem się z



ciosem i strąciła mnie z siodła. I już leżałem na młodej trawie, która wyznacza słoneczne pola, a na gardle miałem sztych jej miecza.

– Poddaję się! – krzyknąłem, a ona uśmiechnęła się triumfalnie.

Wypadłem z gry i gdy siedziałem samotnie z twarzą ukrytą w dłoniach, znalazł mnie tak Dhorie, mój trener. Klepnął mnie po plecach i powiedział, że jest ze mnie dumny.

– Zaatakowałem piona – wymamrotałem.

– I zostałeś pokonany.

Skinąłem głową.

– Każdemu mogło się przytrafić – pocieszył mnie. – Lurn jest najlepszą z pionów księżycy, a ty ledwie sto oddechów wcześniej walczyłeś z rycerzem. – (Z tymi stu oddechami trochę przesadził). – Zadawałeś i odpierałeś potężne ciosy. I po dwóch ruchach znów zostałeś wysłany do gry. Czy wiesz, jak często się zdarza, że rycerz, który jest atakowany przez innego rycerza, mimo to zwycięża? Na trybunach aż huczy, twoje imię jest na ustach wszystkich.

Nie wierzyłem mu, ale trochę mnie pocieszył. Wkrótce przekonałem się, że mówił prawdę. Moje siniaki jeszcze nie zdążyły zblednąć, kiedy znów zostałem wysłany do gry. Jednak nie będę opowiadał ani o niej, ani o następnych.

Nie przestajemy ze sobą, my i oni, a mimo to dwa razy widziałem piona, który mnie pokonał. Zajmowaliśmy sąsiednie pola i choć nie wolno nam rozmawiać, po wyrazie jej twarzy zorientowałem się, że też mnie poznała. Uśmiechając się, zakręciła młynka mieczem, a ja swoim wskazałem słońce. Miała kruczoczarne włosy, szerokie ramiona i wąską kibić. Jej mięśnie prześlizgiwały się pod księżycowobiałą skórą niczym smoki. Wiedziałem, że nie zdołałbym nawet unieść tego jej księżycowego miecza, który tańczył w jej dłoni.

Gdy nasze miasto zaatakowali Hunowie, przerwano wszystkie partie. Rozważano skierowanie nas do walki i wydaje mi się – wciąż w to wierzę – że zdołalibyśmy odeprzeć szturm. Zanim jednak podjęto decyzję, zdążyli nocą wedrzeć się do miasta. Walczyliśmy dzielnie, a potem umknęliśmy pokonani najszybciej jak się dało. Ja uciekłem na Płomieniu, moim najlepszym wierzchowcu. Przez cztery dni i trzy noce kryliśmy się wśród wzgórz, gdzie rósł ogórecznik i zioła lecznicze o purpurowych kwiatach, których nikt oprócz siódmego syna by nie znalazł. Robiłem z nich okłady i opatrywałem rany sobie i Płomieniowi.

Wróciliśmy do miasta, choć Hunowie puścili je z dymem. Mój ojciec był potężnym magiem i miałem nadzieję, że nasz dom ocalał. Myliłem się. Nie spłonął jednak doszczętnie – południowe skrzydło ocalało, a w nim było pomieszczenie, które w dzieciństwie nazywałem swoim pokojem. Moje łóżko wciąż w nim stało i na jego widok poczułem przemożną chęć, by się na nim położyć. Nie dziwota: byłem ranny i wyczerpany. Jak mogłem najlepiej zatroszczyłem się o Płomienia – umieściłem go w suchym pomieszczeniu, dałem mu wodę i czerstwy chleb, który znalazłem w spiżarni – i położyłem się spać w tym samym łóżku, w którym dawno temu noce zdawały mi się ciągnąć w nieskończoność. W górach o niczym nie śniłem. W nocy nachodziły mnie jedynie mary i demony bezsenności. We własnym łóżku w mojej dawnej sypialni znów zacząłem śnić.

We śnie ujrzałem ojca. Usiadł przy mnie, a głowę miał rozplataną aż po szczękę. Nie mógł mówić, dlatego to, co chciał mi powiedzieć, napisał patykami na ziemi: *Błogosławię cię i przeklinam, Valoriusie, a moje błogosławieństwo i klątwa są tym samym. Będziesz dziedziczył.*

Gdy się obudziłem, jego słowa dźwięczały mi w głowie i nigdy już

ich nie zapomniałem. Któż jednak wie, czy brzmiały tak, czy inaczej. Być może już coś odziedziczyłem, ale nic o tym nie wiedziałem. Pewnie były nieprawdziwe jak większość snów – jak większość słów, powinienem właściwie rzec. Prawdziwe bowiem są tylko te słowa, które mają władzę nad rzeczami, które oznaczają. A takich słów jest tylko kilka i rzadko je poznajemy.

Kilka mil od Bramy Wygnania natknąłem się na Lurn. Spała w cieniu rozłożystego kasztanowca. Zsiadłem z konia i podszedłem do niej. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Widząc, że mocno śpi i szybko się nie obudzi, rozsiodłałem Płomienia i puściłem go na popas, z czego od razu skorzystał. Potem usiadłem obok niej, plecami oparłem się o drzewo i oddałem rozmyślaniom.

– Nad czym tak dumasz?

Choć usłyszałem jej głos po raz pierwszy w życiu, od razu wiedziałem, że to ona. Był niższy od mojego, ale brzmiał kobieco. Uśmiechnąłem się, mając nadzieję, że nie zuchwale, i powiedziałem:

– Staram się zaskarbić sobie twoją przyjaźń. Boję się, że zechcesz walczyć, co zakrawałoby na kompletne szaleństwo dziś, gdy świat stanął na głowie.

– Zaiste, byłoby to szaleństwo. Świat bowiem wcale nie stanął, ale kręci się wokół księżycy, a wraz z nim płynie wśród gwiazd. – Jej śmiech zabrzmiał jak szmer strumienia toczącego wody po kamieniach. – A co się tyczy walki, Valoriusie, to po co miałabym z tobą walczyć? Już cię pokonałam. Zadowolę się tym zwycięstwem, gdyż mógłbyś zginąć, gdybyśmy znowu skrzyżowali miecze.

– Nie chciałabyś widzieć mnie martwym?

– Nie – odparła, a kiedy się nie odezwałem, dodała: – A ty mnie? Mogłeś mnie zabić, kiedy spałam.

– Zerwałabyś się na nogi i wyrwała mi miecz z dłoni.

– Właśnie! Powiedzmy, że tak by się stało. – Strumień znów zaszemrał. – Powiedzmy, że się cieszę.

– Nie chciałybyś widzieć mnie martwym – powtórzyłem – i chciało ci się dowiedzieć, jak się nazywam, Lurn.

– Tak jak tobie – stwierdziła i usiadła.

– Kobieta i mężczyzna, księżyc i słońce... A przecież widziałem na niebie jednocześnie i księżyc, i słońce – powiedziałem. – Nie walczyły ze sobą.

– Czasem to robią, ale rzadko. – Mówiąc, uśmiechała się i był to uśmiech dziewczyny, której nie pocałował jeszcze żaden mężczyzna. – A kiedy walczą, księżyc zawsze zwycięża. Zwycięża, zsyłając na ziemię ciemności.

– Naprawdę?

– Tak. Pokonuje słońce, ale pokonawszy je, każe mu wzejść. Któregoś dnia... Wierzysz w przepowiednie?

Nie wierzę, ale powiedziałem, że tak.

– Któregoś dnia słońce pokona księżyc i odbierze mu życie. Tak jest zapisane w przepowiedni. Kiedy nadejdą złe czasy, wy, mężczyźni, będziecie chodzili od zmerchu do świtu w zupełnych ciemnościach i będzie z tego dużo nieszczęść.

– A co z kobietami?

– Kobiety nie zostaną ostrzeżone, więc zginą. Usiądziesz przy mnie, Valoriusie?

– Chętnie – odparłem i przysunąłem się do niej.

– Czy Hunowie zabili wszystkich oprócz nas?

– Nie – zaprzeczyłem. – Nie mogli zabić wszystkich.

– Kiedy plądrowali i palili miasta, niewielu z naszych ocalało, ale

można skrzyknąć tych, którzy wciąż mogą nosić broń, i poprowadzić ich do walki.

– Czy oni są naprawdę nasi? – zapytałem.

– Urodziłam się wśród nich. Ty także, jak mi się zdaje. Schowałam się w cieniu, gdyż moja skóra źle znosi twoje południowe słońce. Kiedy zacnie zachodzić, ruszę dalej. Wtedy zobaczysz, czego może dokonać samotna kobieta.

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie sporo, zwłaszcza jeśli będzie miała rycerza do pomocy. Najpierw musimy ci jednak znaleźć kapelusz z szerokim rondem i suknię z długimi rękawami.

Kiedy słońce zaszło, ruszyliśmy w drogę, ona piechotą, ja na koniu. Przyjemnie było wędrować razem w ten sposób, bo wreszcie nasze głowy znajdowały się na tej samej wysokości. Rozmawialiśmy i żartowaliśmy. Czasem – ale chyba nie tego dnia, tylko następnego – dostrzegalem w oczach Lurn coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem u żadnej kobiety.

Tego dnia spotkaliśmy staruchę, która potrafiła wyplatać kapelusze. Zrobiła jeden dla Lurn. Taki, jakiego Lurn sobie zażyczyła: ze słomy, wielki jak głowa cukru, z rondem niczym tarcza. Starucha poleciła nam swojego znajomego, drobnego zgarbionego człowieczka, który za sztukę srebra zrobił dla Lurn aż trzy suknie z surowego białego płótna. Nie będę opowiadał o tym, jak zagrzewaliśmy ludzi do walki. W każdym razie dawaliśmy im taką broń, jaką udało się nam zrobić lub znaleźć. Udało się nam także zwerbować leśniczego, Bradana, który znał się na broni i uczył młodych robić łuki, strzały, kołczany i łubie. Łaska boska.

Hunowie walczą konno i szybko umykają, kiedy widzą, że zbliża się

klęska. Aby ich pokonać, zastawia się pułapki, w które wpadają podczas ucieczki, lub odcina się im drogę odwrotu. Wykorzystywaliśmy jeden i drugi sposób. Choć to nie była nasza Gra, na swój sposób była to jednak jakaś gra. I byliśmy w niej dobrzy. Oboje.

Hunowie oblegli górskie miasto Stoczek, więc ruszyliśmy mu na odsiecz. Miasto leżało w dolinie strumienia nazwanego Bystrym. Na piechotę można oczywiście iść zarówno w dół, jak i w górę strumienia, ale dla jeźdźca to niemożliwe. Musi wiele, wiele mil jechać doliną. Rzuciliśmy monetę i ja przegrałem. Wziąłem dwustu ludzi z tej naszej zbieraniny, z której próbowaliśmy zrobić piechotę, siedemnastu łuczników oraz dwudziestu pięciu konnych i ruszyliśmy w górę strumienia, zamierzając nocą obejść miasto. O świcie znaleźliśmy wąski przesmyk między górami z wyboistym i gęsto zadrzewionym poboczem. Wystawiłem strażę, jeźdźcom poleciłem zająć stanowisko milę dalej, żeby zapobiec dezercjom, a reszcie kazałem się przespać. Sam też się położyłem, żeby dać przykład.

Obudził mnie Płomień. Kiedy usiadłem, z oddali dobiegły stłumione dźwięki, które wierzchowiec słyszał zapewne dużo wyraźniej. Dźwięki naszych trąb, dudnienie bębnów, których używali Hunowie, okrzyki, szczęk broni i inne odgłosy bitwy. Wtedy oczami wyobraźni zobaczyłem Lurn, którą widziałem już tyle razy, jak prowadzi słabo uzbrojonych ludzi, zagrzewając ich do walki. Zaczekała z atakiem do zachodu słońca. Stała do boju bez kapelusza i sukni, w samych tylko sandałach i przepasce na biodrach, które nosiła jako pion: kobieta, na tle której każdy mężczyzna wydawał się dzieckiem i przez to stanowiąca łatwy cel dla łuków refleksyjnych, jakich używali Hunowie.

Kiedy bębny ucichły, wiedziałem, że obrona Hunów pękła. Trąby

Lurn wygrywały rozkazy, jeden za drugim: „Formuj szyk!”, „Konnica przodem!”, „W cwał!” i jeszcze raz: „W cwał!”.

Hunowie zawrócili i rzucili się do ucieczki. Nasi łucznicy mieli więc najlepszy z możliwych celów – plecy jeźdźców. Niemal równie mocno jak na zabiciu Hunów zależało nam jednak na zdobyciu ich koni, zdrowych i całych. I ta chwila – kiedy zawrócili i rzucili się do ucieczki – była ku temu najlepsza. Gdyby nasi jeźdźcy puścili się za nimi w pogoń, uciekaliby jeszcze szybciej, a tego nie chcieliśmy. Zresztą nasza konnica szybko by się rozproszyła – najlepsi jeźdźcy zawsze wyprzedzają słabszych. Wtedy Hunowie mogliby zawrócić i ich zaatakować, a pewnie też zabić. Tego też nie chcieliśmy.

– Jada!

To krzyczał wartownik stojący na skalnej półce. Krzyczał i machał rękami. Wkrótce w jego ślady poszedł następny. Ustawiłem ludzi w szyku, halabardnicy w pierwszym szeregu, pikinierzy w następnych. Łucznicy zajęli miejsca na flankach, częściowo schowani za drzewami i głazami.

– Stanę na przedzie – zapowiedziałem. – Nie ustępujcie, dopóki ja stoję. Jeśli ruszę do przodu, ruszajcie za mną. Nie cofnę się. Miejsce tych, którzy padną, nich zajmą ci z dalszych szeregów. Jeśli Hunowie przebiją się przez naszą linię, będziemy zgubieni. Jeśli im się to nie uda, wygramy. Chcecie wygrać?

Jednym głosem potwierdzili, że bardzo chcą, a kiedy pojawili się pierwsi Hunowie, ktoś zaintonował naszą pieśń bojową. To byli chłopci, kowale, druciarze, krawcy i kupcy, a nie żołnierze, a już na pewno nie figury i pionki z Gry. Czy wytrzymają? Nie uciekną, powiedziałem sobie, póki ja nie ucieknę.

Nie wszyscy Hunowie są uzbrojeni we włócznie, ale wielu ich

używa. Są one krótsze i lżejsze od naszych, dlatego łatwiej nimi obracać. Teraz pięciu huńskich włóczyków stało przede mną rozciągniętych na całą szerokość drogi. Za nimi stali następni, co mnie cieszyło, bo czułem, że jeśli uda się nam zatrzymać pierwszy szereg, ci z tyłu najpewniej wpadną nań i go stratuja.

Zagrzmiały bębny i pięciu Hunów na przedzie dało koniom ostrogę.

Tarczą odbiłem zbyt wysoko podniesioną włócznię przeciwnika, tak że jej drzewce przeszło nad moim lewym ramieniem, a sam dźgnąłem go mieczem w kolano. Chyba zawył, ale dudnienie bębnów i kopyt i tak wszystko zagłuszało.

Zagłuszało także świst naszych strzał, zobaczyłem jednak, jak włóczyk obok mnie pada na ziemię z przestrelonym gardłem. Napominałem pikinierów, żeby nie ranili koni. Nie zawsze odnosiło to skutek: jego koń, przeбитy piką, zarżał i stanął dęba.

Nagle zapadła cisza.

Choć nie odważyłem się spojrzeć za siebie, zerknąłem na boki i naliczyłem pięciu huńskich włóczyków i jednego konia leżących na ziemi. Czterech było zupełnie nieruchomych, a piąty wił się w konwulsjach, dopóki jeden z halabardników nie rozplatał mu czaszki. Wierzchowiec próbował wstać. Choć nie dawał rady, wciąż próbował i wiedziałem, że będzie tak próbował, póki nie padnie z wyczerpania.

Czekałem, aż następna piątka konnych włóczyków przypuści atak, ale oni też czekali. Musieli wiedzieć to co ja – że za sobą mają Lurn, do której dołączyły pewnie jakieś oddziały z miasta. Zdawali sobie sprawę, że dostali się w dwa ognie. Mimo to nie nacierali. Spadł na nas grad strzał z ich łuków refleksyjnych. Kilku moich ludzi krzyknęło i być może zginęło. A Hunowie wciąż stali w miejscu.

Nasza pieśń bojowa ucichła. Zakręciłem mieczem młynka nad



głową i znów ją zaintonowałem. Kiedy ruszyłem naprzód, usłyszałem, że moi ludzie idą za mną.

Droga w tym miejscu nie była szersza, ale na poboczu nic nie rosło. Hunowie mogli się teraz rozwinąć. Łatwiej im było pójść do ataku, my zaś musieliśmy rozluźnić szyk. Wolałem poprzednią sytuację, mniej ryzykowną. Tymczasem oni zsiadli z koni i ruszyli na nas pieszo. Bogowie walczyli po naszej stronie.

Hunowie używali lekkich toporków i węzowych mieczy o falistej głowni, które tylko z pozoru były niezbyt groźną bronią. Ich głowy chroniły hełmy. Na ten widok pomyślałem, że dobrze by było, gdyby moi ludzie mieli na tyle rozumu, żeby zabrać je zabitym i okryć własne czerepy. Po mojej prawej i lewej stali pikinierzy. Hunowie, którzy pierwsi rzucili się na mnie, padli trupem, nie mogąc sparować moich pchnięć mieczem. Parłem naprzód, stąpając po trupach wrogów. Żaden rycerz podczas Gry nigdy nie zabił tyłu przeciwników. Żaden, choćby brał udział w tysiącu partii. Powinno mi się zrobić od tego niedobrze. Tak się nie stało, ale tylko dlatego, że cały czas myślałem o Lurn: żaden Hun, który na mnie trafi, już nigdy nie podniesie na nią miecza.

Nie lubię zabijać ludzi, zwłaszcza kobiet – co też robiłem. Bez wątpienia zabijanie dzieci byłoby jeszcze gorsze. Nigdy tego nie zrobiłem i bardzo się z tego cieszę, choć co prawda nie spotkałem na swojej drodze dzieci, które należałoby zabić. Najgorsze ze wszystkiego jest jednak moim zdaniem zabijanie zwierząt. Wczoraj ustrzeliłem jelenia i cieszyłem się, bo potrzebowałem (o mało nie powiedziałem: potrzebowaliśmy) mięsa. Od tej pory ten jeleni bez przerwy mnie prześladowuje. Wspaniałe było z niego zwierzę! Dopiero teraz, kiedy tyle ci o sobie opowiedziałem, zdałem sobie sprawę, co czuję.

Zwierzęta są z natury dobre, a ludzie źli, z tym że w kobietach (tak mi się przynajmniej wydaje) jest dwa razy mniej zła niż w mężczyznach. W dzieciach jest go jeszcze mniej. Niemniej jednak cała ludzkość jest dotknięta złem. Pewnie można spotkać ludzi, którzy nie są okrutni... starałem się zresztą być takim człowiekiem, ale czy ktoś może powiedzieć, że mi się to udało? Ja z pewnością bym się nie odważył.

Tam stoi mój jeleni. Ilekroć podniosę głowę, widzę, jak stoi nieruchomo w najgłębszym cieniu. Patrzy na mnie niewinnymi oczami. W lesie zawsze są duchy. Wiem to od ojca, który powiedział mi o tym chyba na rok przed oddaniem mnie do Gry. Wiele duchów i nieliczne demony. Na pustyni, jak mi powiedział, jest na odwrót. Pustynia przyciąga demony, a nie duchy (ale nie tylko demony). W górach jest ich mniej więcej po równo. Ale któż by je liczył!

Widzicie mojego jelenia? Stoi tam, a obok niego Lurn, która wygląda jak kobieta normalnego wzrostu stojąca obok psa.

Pozwól, że dołożę drewna do ognia.

\* \* \*

Kiedy przestaliśmy być potrzebni, zapuściliśmy się z Lurn w las rosnący na podgórzu. Lurn parła naprzód, a ja starałem się dotrzymać jej kroku. Nie było to łatwe, choć pozbyłem się większości uzbrojenia.

To w tym lesie, jak mi powiedziała, narodziła się Gra. Kopce, na których zajmujemy pozycje na początku każdej partii, są jedynie zabawkami zrobionymi przez człowieka na obraz i podobieństwo dzieł stworzonych przez bogów.

– Dla ciebie to nic nie znaczy – powiedziała – ale dla mnie to cały świat, a nawet więcej. – Jak już wspomniałem, nie wierzę w

przepowiednie. Bogowie chyba jednak mogą przepowiadać przyszłość. Ludzie tego nie potrafią.

Niewiele pamiętam z naszej wędrówki. Jedynie głód i chłód, gdyż im wyżej się wspinaliśmy, tym zimniej się robiło. Zabawa się skończyła. Kozice górskie to niezwykle sprytne stworzenia i pasą się jedynie na otwartych przestrzeniach, żeby widzieć, co się wokół nich dzieje. Aby na nie zapolować, trzeba się za nimi wspinać, uważając, żeby nie stracić żadnego kamienia. Słyszac jęk cięciwy, skaczą, choć wtedy zwykle jest już za późno: skaczą i spadają, łamiąc przy tym strzałę, a często giną u stóp bezdennych urwisk, gdzie stają się żerem demonów.

O, tak! Demony jedzą to co ludzie, a także i inne rzeczy. Nie umierają z głodu, choć mogą chudnąć. Tak czy owak jedzą. Najbardziej lubią mięso noworodków. Dostają je od czarownic, które w ten sposób starają się zaskarbić sobie ich przychylność. Ludzie tego nie robią.

Z czasem straciłem nadzieję, że znajdziemy któryś z czterdziestu pałaców, o których opowiadała Lurn. Wiedziałem tylko, że jeśli pójdziemy dalej, skończy się wspinaczka, a zacznie schodzenie. Lurn chciała zawrócić, ja nalegałem, żebyśmy szli dalej, a potem zobaczymy.

Rozpadało się, więc poszukaliśmy schronienia. Pod koniec dnia skończył się nam prowiant. Głodni jak wilki spędziliśmy kolejny dzień na czekaniu. Trzeciego dnia postanowiliśmy zapolować, bo groziła nam śmierć z głodu. Wiedziałem jednak, że nie odważę się użyć łuku, dopóki cięciwa jest mokra. Pod wieczór wypłoszyliśmy stado jeleni. Lurn biegła szybciej niż one, za to one były zwinniejsze. W końcu je zagoniła, a wtedy wbiegłem między nie niczym wilk, rąbiąc i siekąc mieczem. Część z nich uciekła, a większość z tych, którym się to udało, wkrótce padła od ran. Tak czy owak upolowaliśmy trzy sztuki. Tej nocy

żuliśmy surowe, a następnego wieczora, gdy w końcu udało się nam rozpalić ogień, pieczone mięso. Byliśmy tak głodni, że nie przeszkadzał nam dym idący z mokrych liści i gałęzi, które nazbieraliśmy na ognisko.

Tej nocy spaliśmy bardzo długo. Kiedy się obudziliśmy, słońce już wzeszło, chmury się podniosły i bardzo daleko – ale wciąż w zasięgu wzroku – zobaczyliśmy na zboczu góry biały pałac.

– Tam znajdziemy ogród! – Lurn tak silnie ścisnęła mnie za ramię, że o mało nie krzyknąłem.

– Nic nie widzę – odparłem.

– Ten pas zieleni...

– Górską łąka, jakich wiele.

– Tam musi być ogród! – Odwróciła mnie, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Ogród mojej koronacji. Musi tam być!

Choć nie było widać niczego, ruszyliśmy w tamtą stronę. Dwa dni wędrowaliśmy o pustym żołądku przez las wypełniony śpiewem ptaków. Wokół pałacu stał mur: dość niski, łatwy do pokonania. W wielu miejscach się zawalił, a brama z kręconych prętów leżała na ziemi przezarta rdzą.

Bogate ongiś komnaty splądrowano i zniszczono. Zniknęły kobierce i tapiserie. Co krok natykaliśmy się na ślady po ogniskach, w których spłonęły meble. Po latach tak wielu, że nikt już ich nie zliczy, popioły ostygły, a niedopalone drewno, bretnale i zawiasy z kutego brązu leżały dookoła palenisk rozrzuconych zapewne przez prawnuków tych, którzy je rozpalili.

– To pałac duchów – powiedziałem do Lurn.

– Nie widzę żadnego ducha.

– Jest ich tu bardzo dużo. Widzę je i słyszę. Jeśli zostaniemy tu na

noc... – napomknąłem od niechcenia.

– Zaraz stąd pójdziemy. – Lurn wzruszyła ramionami. – Zrobiłam błąd, przyznaję. Znajdziemy coś do jedzenia, a potem pójdziemy dalej.

– Nie, musimy zejść do podziemi – rzuciłem, sam zaskoczony, że to mówię.

Popatrzyła na mnie nieufnie, za to duch w ciemnym korytarzu tylko skinął mi głową i uśmiechnął się. Wyglądał niemal jak żywy, ale z jego oczu wyzierała śmierć.

– Co w ciebie wstąpiło? – zapytała mnie Lurn.

– Muszę iść, a ty ze mną – odpowiedziałem. – Muszę cię sprowadzić. Boisz się, a ja...

– Kłamiesz!

– Strach nie przystoi mężczyźnie, raczej kobiecie, ale to ja bardziej się boję. A jednak pójdę, a ty pójdiesz ze mną. – Ruszyłem za duchem i po chwili usłyszałem za sobą ciężkie kroki Lurn.

W korytarzu, którym szliśmy, było ciemno choć oko wykol. Powiesiłem sobie tarczę na plecach i szedłem przed siebie, macając lewą ręką wilgotną kamienną ścianę. Zanim zrobiłem krok, sztychem miecza sprawdzałem każdy kamień pod stopami. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Duch prowadził mnie do podziemi i nic nie wskazywało na to, żeby na drodze zastawione były jakieś pułapki.

Zaczęliśmy zstępować po wąskich, stromych schodach i w końcu zobaczyłem w dole światło. Pochodziło z latarni wypełnionej płonącymi żywicznymi szczapami. W blasku ognia duch powinien zblednąć, a tymczasem wyglądał jak żywy człowiek, jak młody mężczyzna prawie mojego wzrostu, ubrany w szaro-karmazynową liberię.

– Kto to? – rozległ się za mną, ale niedaleko, głos Lurn.

Nie odezwałem się, tylko podążyłem za naszym przewodnikiem.

Poprowadził nas do następnych, tym razem kręconych schodów, które zdawały się ginąć w ciemnościach. Szliśmy już długo, kiedy w dole zobaczyłem blade światelko.

– Dokąd idziemy? – zapytała Lurn.

Wsluchiwałem się w głos słowika. Odpowiedział jej nasz przewodnik:

– A dokąd chcesz iść, pionie O?

– Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób, Valoriusie?

Wzruszyłem ramionami i podążyłem za naszym przewodnikiem do ogrodu tonącego w świetle gwiazd i ubywającego księżyca. Szliśmy po miękkiej murawie, mijając szemrzące fontanny. Widzieliśmy stojące na cokółkach rzeźby przedstawiające figury do gry: królów, królowe, strzelców, włóczników, rycerzy takich jak ja i piony takie jak Lurn. Gdzieś tam stały także skrzydlate figury, bielsze niż tamte, acz równie nieruchome. Choć stały bez ruchu i nie oddychały, nie wyglądały wcale na pomniki. Pomyślałem, że mogłyby się poruszyć, choć nie są żywe.

– Coś takiego nie może istnieć pod ziemią! – wykrzyknęła Lurn.

Odwróciłem się do niej.

– Nie jesteśmy pod ziemią – wyjaśniłem. – Chyba to widzisz.

Weszliśmy w skałę i wyszliśmy w tym miejscu.

– Ale wtedy był dzień!

– A teraz jest noc. Bądź cicho!

Upomniałem ją, ponieważ nasz przewodnik stanął za nią i położył palec na ustach. Pokazał na coś, ale oprócz gęstego cyprysa nie zobaczyłem nic. Mimo to podszedłem do drzewa i kiedy stanąłem obok, usłyszałem stłumione skrzypienie i piszczenie, jakby otwierała

się długo zamknięta brama. Rozsunąłem gałązki, aby się temu przyjrzeć. Nic jednak nie zobaczyłem. Mój ojciec, który wydawał się siedzieć naprzeciwko z głową rozplataną siekierą, sprawił, że teraz tam go ujrzałem.

Uklęknąłem.

Ojciec zdjął płaszcz i narzucił mi go na ramiona. Przez krótką chwilę czułem lodowato zimną złotą broszę, która spinała go pod szyją. Chciałem dotknąć płaszcza, ale palce nic nie znalazły. Zarówno wtedy, jak i teraz wiedziałem jednak, gdzie jest.

– Co tam jest? – zapytała Lurn.

– Grobowiec – odparłem. – Nie przysłaś tu wszakże oglądać grobowce, ale żeby zostać królową. Widzisz księżyc?

– Moją panią? Oczywiście, że widzę.

– Wzeszła na niebie, żeby być świadkiem twojej koronacji. Jest prawie w zenicie. Widzisz ten krąg białych kamieni? – Wyciągnąłem palec. – Widzisz go?

Ukazał się, kiedy to mówiłem.

– Nie... Tak. Widzę.

– Stań tam. I czekaj. Kiedy cienie od światła księżyca będą najkrótsze, a wszystkie gaje i strugi zatoną w jego blasku, zostaniesz królową.

Ochoczo podeszła do wskazanego miejsca. Stałem do niej twarzą, a dzieliła nas może taka odległość, na jaką niedorostek rzuciłby kamieniem.

Pamiętam, że powiedziała wtedy:

– Nie usiądziesz, Valoriusie? Musisz być zmęczony.

– A ty nie?

– Ja? Gdy mam zostać królową? Przenigdy!

To było wszystko. Aha, i jeszcze zapytała:

– Czemu się gładzisz po głowie?

– Tędy weszła siekiera. Gładzę ją, ponieważ rana się zagoiła, a ojciec spoczął w pokoju.

Księżyc znalazł się jeszcze wyżej na niebie. Jedna z białych figur podeszła do mnie i uklękła. Przed sobą trzymała poduszkę z białego jedwabiu, na której leżał wspaniały hełm z zasłoną, biały jak perła, a na nim – srebrna korona.

Wziąłem go od niej i wstałem. Sześć innych postaci ubierało Lurn w zbroję. Zbroję doskonałą, której żaden miecz nie przebije: napierśnik i obojczyk, karwasze i taszki. Krążyłem wokół niej, jak ziemia krąży wokół księżycy. A kiedy już miała na sobie całą zbroję oprócz hełmu, uniosłem go tak wysoko, jak tylko potrafiłem sięgnąć.

– Od bogini, której służysz, przyjmij tę koronę, która ci się należy. – Gdy się wyprostowała, mimo wyciągniętych ramion nie mogłem dosięgnąć jej głowy, ale uklękła przede mną, żebym włożył jej na głowę hełm z koroną. Wydawały się równie lekkie jak przystrajający hełm pióropusz.

Wstając, opuściła zasłonę i wtedy zobaczyłem wyrytą na niej białą twarz. Była to twarz Lurn.

– Jestem królową! – Zabrzmiało to, jakby surmy zagrzmiały.

Kiwnąłem głową.

– Przywrócimy królestwo, Valoriusie!

Znowu skinąłem głową. Myślałem o tym samym.

– Przywrócę królestwo i Gra znowu będzie rozgrywana. Gra, Valoriusie, ze mną jako królową!

Wiedziałem, że dziewczyna, którą tyle razy całowałem, musi umrzeć. Ludzie opowiadają, że miecz dosłownie wskoczył w moją dłoń.



Tak nie było, ale muszę przyznać, że niewielu potrafi go tak szybko dobywać. Mój pierwszy cios sparowała rękawicą i spróbowała pochwycić głównię. Wyślizgnęła się jednak jej z rąk. Dlatego żyję.

Niewiele powiem o naszej walce w księżycowym ogrodzie. Mogła parować moje ciosy i to robiła. Ja nie mogłem parować jej uderzeń, bo była za silna. Próbowałem robić uniki i uchylać się, ale dochodził mnie jeden cios za drugim. Miałem nadzieję, że ktoś przyjdzie mi z pomocą, ale nic takiego się nie stało. Gdyby żrebce można było wyczarować siłą woli, miałbym dwa. Nie dostałem żadnego.

W końcu jednak ktoś nadszedł. Był to Pan Słońce i to mnie uratowało. Odwróciłem Lurn w jego stronę i wbiłem miecz przez szparę wzrokową w zasłonie jej hełmu. Klinga nie weszła głęboko. Na długość dłoni i szerokość dwóch palców. Jednakowoż wystarczyło. Aż nadto.

I co teraz?

Teraz wędruję po kraju. Gdy proszą mnie o przepowiednię, zapowiadam obalenie tyranów i stworzenie nowego państwa dla nas i naszych dzieci. Jeśli nasz lud potrzebuje miecza, ja nim jestem. Gdy proszą mnie, żebym uzdrawiał, leczę chorych. O ile potrafię. Jeśli przynoszą mi jedzenie, pożywiam się. Jeśli nie, poszczę lub staram się znaleźć coś samemu. I to wszystko. No i niekiedy zabawiam opowieściami zbłąkanych wędrowców, takich jak ty. Na wschodzie leży przeszłość, na zachodzie przyszłość. Gdy pójdziesz na północ, znajdziesz bogów, gdy zaś na południe – błogosławionych. Nad nami jest Najwyższy, pod nami – Pandemonium. Wybierz swoją drogę i trzymaj się jej, bo jeśli z niej zejdziesz, może ci się przytrafić to, co przytrafiło się mnie. Powodzenia! Więcej się nie spotkamy.

**James Enge** przez lata pisał opowieści o Morlocku Ambrosiusie, ale sukces odniósł, dopiero gdy gatunek magii i miecza zyskał szerokie uznanie czytelników. Historie o wędrownym czarodzieju i zarazem fechmistrzu, które dopiero niedawno ukazały się w zbiorach *Black Gate* i *Flashing Swords* oraz na stronie internetowej *everydayfiction.com*, szybko zyskały zastępy wielbicieli, tak jak późniejsze poświęcone mu powieści *Blood of Ambrose*, *This Crooked Way* i *The Wolf Age*. „*Strange Horizon*” zauważył, że „w pisarstwie Engego widać erudycyjną, zmysłową przyjemność [...], jaką odczuwa inteligentny, zdolny pisarz, który sam się bawi i jednocześnie bawi czytelników”. Nie dziwi więc, że Enge jest wykładowcą filologii klasycznej na Uniwersytecie Midwestern. W wywiadzie dla „*Fantasy Book Critic*” powiedział: „W nowożytnej powieści realistycznej, zwłaszcza XX wieku, na pierwszym miejscu znalazł się bohater, to, co on czuje i czego doświadcza. Nie krytykuję tego: literatura realistyczna ma na tym polu niemałe osiągnięcia [...]. Uważam jednak, że podejście to ma coraz mniejsze znaczenie. Literatura narracyjna, jak w średniowiecznym czy antycznym przekazie ustnym, dużo większą wagę przywiązuje do postępowania ludzi i kontekstu ich działań. Uwielbiam to skupienie na działaniu, na akcji (co nie oznacza bynajmniej akcji typu «pościgi samochodowe i strzelanina») oraz na opisie świata [...]. Odnajduję je w starych tradycjach narracyjnych i w literaturze rodzajowej. Myślę też, że z tej właśnie przyczyny szansą na odświeżenie literatury XXI wieku jest czerpanie ze źródeł gatunku”.

# James Enge

## ŚPIEWAJĄCA WŁÓCZNIĄ

Pić, wymiotować i zaczynać picie od nowa to nudne zajęcie. Nie wymaga talentu, nie przynosi sławy ani pieniędzy. Zwykle jednak następują po nim długie, ciemne godziny nieświadomości, dlatego dla Morlocka Ambrosiusa stało się ono ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu.

W czasie krótkiej przerwy w nieustającym pijaństwie wynalazł urządzenie, które potęgowało moc trunku. A ponieważ nie potrzebował złota (mógł uzyskiwać je na kopy, gdyby chciał), dał je Leenowi, właścicielowi karczmy Strzaskana Pięść. Leen zaczął uzyskiwać złoto na kopy znacznie bardziej przyziemnym sposobem, mianowicie sprzedając destylaty. Z jego polecenia w szklanicy Morlocka nigdy nie widać było dna. A Morlock odtąd przesiadywał w Strzaskanej Pięści od rana do późnej nocy, kiedy pomywacze z obrzydzeniem wyrzucali go, chrapiącego, na ulicę. W innym miejscu i czasie Morlocka nazwano by alkoholikiem. Na ziemi niczyjej na wschodnim wybrzeżu Morza Wąskiego był po prostu mężczyzną zapijającym się na śmierć. I to nie dość szybko jak dla tych, którzy musieli się z nim szarpać.

Pewnego wieczoru, kiedy Morlock właśnie zabrał się do dzieła, podszedł do niego jakiś człowiek i spytał:

– To ty jesteś Morlock Twórca?

Gdyby Morlock był choć trochę bardziej przytomny, po prostu by zaprzeczył. Gdyby był choć trochę bardziej pijany, wdałby się w zawile kłamstwa i przekonałby pytającego, że sam jest Morlockiem Twórcą. A gdyby Morlock był dużo bardziej pijany, w ogóle nie zdołałby

odpowiedzieć. Tak się jednak złożyło, że znalazł się akurat w stanie, w którym był zdolny dostrzec prawdę, ale nic go ona nie obchodziła. Pomijając rzeczywiste zapomnienie, był to stan umysłu, który lubił najbardziej.

– Jestem Morlock – powiedział, wzruszając już trochę przygarbionymi ramionami. – Co cię gryzie? Jeśli napijesz się ze mną, zostaniesz obsłużony za darmo, taka umowa. Ze mną się napij, za darmochę nalej... I już mamy piosenkę, no nie?

– Nie potrzebuję alkoholu – rzekł przybysz, siadając przy stole Morlocka. – Potrzebuję pomocy.

– Nie zajmuję się pomocą. Zajmuję się piciem.

– To żadne zajęcie.

– Nie przy twoim niefr... niefra... niefrasobliwym podejściu, o nie. Ja wszak takie rzeczy traktuję poważnie.

Morlock opróżnił jedną szklanicę winiaku za drugą, a przybysz opowiadał mu długą i zawiłą historię. W końcu podsumował:

– A więc zgodzisz się ze mną, że musisz mi pomóc?

– Zgodziłbym się, gdybym cię słuchał – przyznał Morlock. – Dzięki bogu Mścicielowi nie słuchałem.

– Ty głupi śmierzeliu! Nie słyszałeś, jak mówiłem, że Viklorn ma Śpiewającą Włócznie?

– Teraz słyszę. Kto to jest Viklorn? Jakiś kuglarz, może karnawałowy przebieraniec? – Morlock oczyma wyobraźni już widział, jak można by wykorzystać Śpiewającą Włócznie w karnawale. Niemal bezwiednie jego umysł zaczął wymyślać różne sposoby na sprawienie, żeby włócznia śpiewała na rozkaz.

– Viklorn! – wykrzyknął przybysz. – Pirat i rozbójnik! Wykorzystuje Śpiewającą Włócznie do mordowania i rabowania na

całym wybrzeżu Morza Wąskiego. A teraz powiadają, że zabił wszystkich swoich i idzie z Andhrakarem w głąb lądu.

– Zaraz, zaraz...

– A ty tu siedzisz i pijesz te pomyje...

– Chcesz mi powiedzieć, że ta „śpiewająca włócznia” to broń zwana Andhrakarem?

– Tak. I jeśli ty...

– Któż był tak głupi, żeby wziąć tę włócznię i zacząć nią walczyć?

Przybysz spojrzał na Morlocka niemal ze współczuciem.

– Viklorn – odrzekł. – Pirat i rozbójnik.

– Czyli debil. No cóż, to nie moja broszka.

– To znaczy, że nie pomożesz?

– Wiedziałem, że w końcu załapiesz. Jednego? Nie? A ja mogę?

– To ty zrobiłeś to przekleństwo! Masz obowiązek coś na to poradzić!

– Zrobiłem broń zwaną Andhrakarem – przyznał Morlock. – Prawdopodobnie też ją przekląłem. Jednak to nie ja zrobiłem Viklorna. Może lepiej by było, gdybyś poradził się jego twórcy.

Przybysz przez chwilę gapił się na Morlocka, potem wstał i wyszedł bez słowa. Jeszcze tej nocy wyruszył na zachód, żeby walczyć z Viklornem, i zginął od broni zwanej Andhrakarem. Nazywano ją też Śpiewającą Włócznią, ponieważ zanim kogoś zabiła, wydawała ciche melodyjne dźwięki, które stawały się coraz głośniejsze i mocniejsze, aż grot zatopił się w ciele człowieka, a ona nasyciła się krwią i życiem.

Z rozmówcą Morlocka było tak. Dotarł do Viklorna głęboką nocą w nadziei, że go zaskoczy. Viklorn jednak nie spał, nie mógł spać, myślał o tym, co widział i zrobił, i oglądał wizje, którymi Andhrakar nappełnił mu umysł. Słyszał, jak mężczyzna skrada się w zaroślach, i wyskoczył z

posłania. Andhrakar, Śpiewająca Włócznia, już był w jego dłoni. Prawdę powiedziawszy, nawet gdyby chciał, nie mógłby się go pozbyć. Za sprawą czarów Andhrakara palce miał jak dębina twarde, wrosnięte w drzewce włóczni, zaciśnięte chwytem nie do rozerwania na przekłętej broni, którą niegdyś chciał władać.

W ciemności Viklorn walczył z mężczyzną, który pragnął go zabić, w milczeniu, aż usłyszeli, jak włócznia zaczyna śpiewać (z początku cicho i głosem wysokim, potem głośniejszym, mocniej i na niższych tonach), i obaj jęknęli (jeden ze strachu, drugi wyczekująco). Niedługo trwało, a Andhrakar przebił pierś przybysza i znieruchomiał. Viklorn zostawił ciało bez pochówku i wrócił na posłanie w pobliżu rosnącej kałuży krwi. Tak zginął człowiek, któremu Morlock nie pomógł, mąż dzielny, lecz niezbyt bystry. Nikt już nie pamięta jego imienia.

Morlock był bystry, przynajmniej czasami, ale nie uważał się za dzielnego. Niektórzy pijacy może i wykazują się odwagą, ale on do takich nie należał. Pił, ponieważ się bał – życia i śmierci. Nie zawsze tak było. Niegdyś Morlock uchodził za bohatera, przynajmniej w oczach niektórych. W każdym razie był wtedy osobnikiem bardziej pożytecznym niż teraz. Ta jego część jednak dawno się zużyła. Toteż sam z siebie podrwiwał: tylko tchórz pije, a pije, gdyż boi się bólu, jaki życie mu przyniosło.

Viklorn wciąż rabował i mordował w całym rejonie. Trzeba nazwać to rabunkiem, bo zabierał, a czego nie zabrał – niszczył, ale tak naprawdę porzucał łupy na skraju drogi albo w szczerym polu. Rabował, ponieważ w jakiejś części wciąż był rozbójnikiem Viklornem, lecz nie zostało z niego dawnego tyle, by pamiętał, po co rozbójnicy rabują, jaki mają pożytek z rzeczy, które zabierają. Tylko coraz więcej zabijał i mordował, paląc żywym ogniem to, czego nie mógł zabić

Andhrakarem.

Któregoś wieczoru, zanim Morlock upił się do nieprzytomności, barman spytał go, dlaczego zrobił tę przekłątą włócznie.

– Miałem swoje powody – odparł przytomnie Morlock.

Później tej samej nocy przysiadł się do niego Leen, właściciel Strzaskanej Pięści, któremu Morlock powierzył wynalazek destylatora. Teraz, kiedy się wzbogacił, Leen sam za barem nie stawał – był tak niski, że nic zza niego nie widział. Za dawnych czasów, kiedy nie mógł sobie pozwolić na pomocnika, trzymał za barem różne skrzynie, po których zwinnie skakał, co wyglądało zabawnie. A gdy musiał wyjść zza kontuaru, by przywołać do porządku jakiegoś niesfornego klienta, zawsze się starał, żeby klient ów już nigdy nie sprawiał kłopotów. Morlock go dość lubił, choć wiedział, że on dla Leena jest tylko jeszcze jednym naiwnym pijaczkiem.

– Morlock... – zaczął Leen.

– Leen.

– Morlock, jak myślisz, co możesz zrobić z Viklornem i Andhrakarem?

– Leen – przytomnie (lecz na pewno nie otwarcie) odparł Morlock – a ty jak myślisz, co mogę zrobić z Viklornem i Andhrakarem?

Leen wstał i odszedł. Twarze gości barowych, na których nigdy nie malowały się przyjazne uczucia, zwróciły się wówczas w stronę Morlocka z wyrazem wyjątkowego wstrętu. Morlock, który nie był szczególnie wrażliwy, poczuł się nieswojo i od razu wyszedł, choć jeszcze się do końca nie upił. Wielkie wydarzenie.

Wrócił nazajutrz o zwykłej porze, ale gospoda była zamknięta. Zamknięta na dobre: drzwi i okiennice zabito gwoździami. Spytał o Leena przechodzącą obok mieszczkę, która mu powiedziała, że Leen

zabrał się w nocy.

– Mówią, że przeniósł się na północ, do Sarkunden – rzekła. – Ja wyjeżdżam na południe. Mówią, że Viklorn już tam był, dlaczego więc miałby zawracać?

Morlock zbył milczeniem ludzi i ich zmartwienia i przeszedł do sedna sprawy.

– Leen pojechał do Sarkunden, tysiąc mil stąd?! – krzyknął. – Czy on zwariował?! A co ja mam pić?!

Mieszczka podsunęła mu pomysł. Morlock go odrzucił (napój, o którym napomknęła, nie był trunkiem) i wrócił do swej nory.

Przez jakieś dwa dni męczyło go delirium, które czasami przychodziło pod koniec ostrej popijawy. W końcu zasnął i przyśnił proroczy sen (do różnych zmarnowanych talentów Morlocka należało też jasnowidzenie).

We śnie zobaczył, jak stawia czoło Viklornowi i Andhrakarowi. Viklorn, wysoki pirat o oczach czerwonych niczym u łasicy, miał na sobie brudny kaftan z niegarbowanej skóry nabijany złotymi ćwiekami, a jego zmierzwione blond włosy zebrane z twarzy przytrzymywała złota spinka. Nic nie mówił. Walczyli w ciszy, którą przerywał tylko dźwięk uderzeń niezniszczalnego grota śmiercionośnego Andhrakara walącego w miecz Morlocka. Andhrakar spływał świeżą krwią, wciąż jednak był złaźniony życia i wkrótce zaczął śpiewać, z początku cicho, potem coraz głośniejsze. Viklorn się zaśmiał, podniecony i zadowolony, a Morlock obudził się z przekleństwem na ustach.

Zły sen, pomyślał i usiadł. Za skarby tysiąca światów nie zgodziłby się podjąć walki z kimś uzbrojonym w Andhrakara. Z drugiej strony, chociaż był „niespecjalnie odważny” (kiedy Morlock był trzeźwy, wołał używać tego określenia zamiast bardziej adekwatnego „tchórz”), nie



był przecież głupi. Mógł podjąć walkę z Viklornem: to właśnie powiedziała mu wizja. Musiał działać szybko, jeśli do spotkania miałyby dojść na jego warunkach.

Poszedł do pewnego kruka, który mieszkał w pobliżu, i poprosił go o pomoc. Kruk obiecał, że się dowie, gdzie jest Viklorn. Następnego dnia i kolejny Morlock poświęcił na ćwiczenia, żeby choć trochę odzyskać dawną zwinność. Kiedy kruk wrócił i oznajmił, że Viklorn jest w Dhalion, o dzień drogi pieszo na północny zachód, Morlock podziękował mu i poczęstował ziarnem. Potem zarzucił plecak na ramiona, przypiął do pasa miecz i wyruszył zakosami, klucząc, na północny zachód starym traktem cesarskim. W ten sposób mógł trafić na Viklorna, jeśli Viklorn posuwał się na wschód od strony Morza Wąskiego.

Trakt był w złym stanie. Cesarstwo Ontila od stuleci nie liczyło się w ogóle, a o jego drogi upomniwała się natura. Morlock często gęsto omijał „bruk” skalnych rumowisk poprzetykanych wystającymi korzeniami drzew i porostami, ale robił spore postępy jak na pieszego. Miał nieprzyjemne, lecz jasne przeczucie, że zmierza prosto ku swemu przeznaczeniu – spotkaniu z Viklornem. I okazało się, że miał rację.

A było to tak. Morlock wspiął się na grań i spojrzawszy w dół, ujrzał na skraju drogi przewrócony wóz. Często się to zdarzało. Trakt był jedyną drogą prowadzącą przez opuszczone ziemie, lecz nie nadawał się zupełnie dla wozów z towarami. Morlock ze zdziwieniem stwierdził, że poznaje mężczyznę stojącego przy wozie: To był Leen. Wyruszył co najmniej trzy dni przed Morlockiem, ale dobytek, który zabrał, musiał go spowalniać. Morlock dostrzegł kilku oddalających się drogą ludzi. Pewnie biegli po pomoc, chociaż trudno byłoby znaleźć w pobliżu jakąś pomoc. Wtedy zobaczył zbliżającego się do Leena mężczyznę. Także

jego Morlock znał, tyle że nie ze spotkania na jawie. To był zwalisty blondyn z jego snu, mężczyzna trzymający Andhrakara: Viklorn zabójca.

– Leen! – krzyknął Morlock. Oderwał od ziemi nogi, które ciążyły mu jak ołów, i zbiegł ze wzgórza. – Uciekaj, głupcze! Zostaw graty! Zrobię ci nowy destylator! Zrobię ci złoto! Uciekaj w cholerę!

Leen się nie ruszył. Odwrócił się do Viklorna z drewnianym kijem w ręce i wyrazem beznadziei na twarzy. Przy Viklornie wyglądał jak płaski pagórek na tle wielkiego złotego kręgu wschodzącego księżyca. Wydawało się, że nie słyszy Morlocka, a kiedy Morlock znalazł się bliżej, usłyszał to, co Leen musiał usłyszeć pierwszy: słodki, melodyjny głos Śpiewającej Włóczni, coraz głębszy i głośniejszy w miarę zbliżania się zapowiedzianej śmierci.

Morlock zrozumiał, że Leen trwał tak świadomie, wiedząc, że zginie – po to, by podjąć walkę z Viklornem i dać innym czas na ucieczkę i ocalenie życia. Leen zamachnął się na Viklorna prowizoryczną maczugą, ale zabójca bez trudu uchylił się przed ciosem. Andhrakar ciał dwa razy i Leen upadł na ziemię przecięty na trzy. Viklorn roześmiał się przenikliwie, histerycznie, ze znużeniem. A więc zginął Leen, człowiek bystry i dzielny, lecz ani bystrość, ani odwaga go nie ocaliły.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął Morlock, a łzy zapiekły go w oczy. – Zabiłeś mojego karczmarza!

Viklorn obrócił na niego oczy – czerwone niczym ślepia łasicy, czerwone jak świeża krew spływająca po włóczni. Wymierzył w Morlocka ciemny grot – krystaliczny, niezniszczalny, ukształtowany przez największego rękodzielnika magii, jakiego znał świat – i uśmiechnął się.

Morlock rzucił plecak na dziurawą drogę i wyciągnął miecz. Uśmiech Viklorna zbladł, kiedy ujrzał ostrze pokrewne grotowi jego własnej broni: ciemne, krystaliczne, niezniszczalne. Morlock zaprezentował jego niezniszczalność, wbijając klingę w kamienny słup stojący przy drodze. Słup uczynnie rozpadł się na kawałki, wzbijając wielką chmurę pyłu. Morlock przeskoczył przez nią i rzucił się na Viklorna.

Gdyby walka rozgrywała się między Morlockiem a Viklornem, Morlock zwyciężyłby bez trudu. Fakt, Morlock był pijakiem rozpaczliwie potrzebującym trunku, zupełnie nie tym mężczyzną, którym był ongiś. Viklorn jednak wcale nie był lepszy: miał twarz człowieka stojącego nad grobem. Kto wie, kiedy ostatni raz spał i czy w ogóle jadł bądź pił.

Naprawdę był to jednak pojedynek Andhrakara i Morlocka. Viklorn przyglądał się speszony, jak jego ciemna broń robi zwody i naciera na człowieka, który ją zrobił. Andhrakar nie potrzebował snu ani jedzenia, ani wody, ani powietrza. Jedyne, czego potrzebował, to ludzkie życie: łaknął wyłącznie smaku umierających mężczyzn i kobiet. Choć wciąż spływał świeżą krwią, najwyraźniej pożądał więcej. Zaczął śpiewać, z początku cicho, po chwili coraz głośniej. Viklorn zaśmiał się, podniecony i zadowolony, a Morlock rzucił przekleństwo. Śpiew wznosił się i cichnął, i znowu wznosił, jak dzwon, jak ujadanie psa. Andhrakar miał ochotę zabić, i to szybko.

Włócznia smagneła na oślep. Morlock się uchylił i chwycił drzewce tuż nad zdrewniałą dłonią Viklorna. Zamachnął się swą ciemną klingą i odciął rękę Viklorna w nadgarstku, ale ta, choć odcięta, wciąż trzymała drzewce nierozzerwalnym chwytem. Włócznia wciąż śpiewała, nawet głośniej niż przedtem, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Morlock

odsunął włócznię. Kiedy Viklorn stał tak, z niedowierzaniem patrząc na swój kikut, Morlock zatopił ciemny lśniący grot w jego szyi. Viklorn upadł na plecy, a Śpiewająca Włócznia ucichła, zaspokojona jego śmiercią.

*Morlocku!* – rozległ się w głowie Morlocka głos demona Andhrakara. – *Czy uwolnisz mnie teraz z więzienia, które mi zgotowałeś?*

Morlock zaśmiał się chrapliwie, wycierając z krwi ciemną klingę, i schował ją do pochwy.

– Nadzieja wiecznie kołaczy się w demonich piersiach – powiedział. – Poznaj rozpacz, Andhrakarze: nie uwolnię cię, bo znowu byś łowił ludzkie dusze. Nie mogę zrozumieć, jak udało ci się upolować tę jedną. Zakląłem cię w ten grot, pogrzebałem w krypcie najeżonej pułapkami, a przed kryptą zostawiłem ostrzeżenie. Jak się wydostałeś?

*Ostrzeżenie czy ogłoszenie?* – wyszeptał demon. – *Całe pokolenia bohaterów szły na zatracenie w poszukiwaniu zaginionych skarbów ukrytych przez Morlocka Twórcę. W końcu jednemu się udało. Jego lud mógłby teraz układać o nim pieśni, gdybym go nie namówił do wybicia wszystkich.*

Morlock skrzywił się gniewnie i zajął pochówkiem Leena. Poćwiartowane ciało złożył w ziemi, obok położył destylator i kilka złotych monet, a potem je zasypał. Wyłamał z wozu parę desek, z których zrobił karczmarzowi nagrobek. Ludziom, za których zginął Leen, chciał dać do zrozumienia, że mogą już wrócić, więc wielkimi, zamaszystymi runami Ontila napisał przesłanie z za grobu: *LEEN UMARŁ TUTAJ. GDZIE BYLIŚCIE?*

Potem wrócił do martwego Viklorna. Kilka razy z wściekłością kopnął trupa, po czym chwycił drzewce Andhrakara i wyciągnął broń z

rany. Zostawił dłoń pirata tam, gdzie była, wciąż zaciśnięta na drzewcu, i zabrał włócznię. Z wysokości turni spojrzął za siebie tylko raz: kilka czarnowronów krążyło już nad niepochowanym ciałem pirata.

*Może przynajmniej zatrzymasz mnie i będziesz używał? – znów szeptał demon. – Jestem potężnym orężem. Jeśli nakarmisz mnie ludzkim życiem, odwdzięczę się zemstą na twych wrogach.*

Morlock nic nie powiedział, zaniósł Andhrakara do miasteczka, w którym stała Strzaskana Pięść. Miasteczko opustoszało: wszyscy uciekli przed Viklornem i Andhrakarem. Morlock włamał się do kuźni, rozniecił ogień w piecu i położył potrzebne narzędzia przy kowadle.

*Nie zdołasz zniszczyć mojego więzienia w takiej kowalskiej szopie jak ta. – W głosie demona zadźwięczał niepokój.*

– Nie wiesz, co potrafię – zwrócił mu uwagę Morlock. – Nie zgadniesz też, co zamierzam zrobić.

Wykuł grot dokładnie tego kształtu co grot Andhrakara. Udało mu się też nadać jego powierzchni szklisty, bazaltowy połysk, przypominający ciemną, krystaliczną powierzchnię Andhrakara. Wykuł go, zahartował, ostudził i wygładził. Zdjął Andhrakara z drzewca i nasadził nań nowy grot, ale odciętą dłoń Viklorna zostawił. Potem chwycił największy młot, jaki znalazł w kuźni, i zaczął walić w grot, aż ten rozpadł się na kawałki.

Morlock rylcem wypisał z boku kowadła:

*OTO JA, KTÓRY ZROBIŁEM ANDHRAKARA, ZNISZCZYŁEM GO, PONIEWAŻ ZABIŁ MOJEGO PRZYJACIELA LEENA. WYBACZCIE MI I PAMIĘTAJCIE O MNIE: MORLOCK AMBROSIUS.*

*Kłamca!* – wrzasnął demon w jego głowie.

Morlock wzruszył ramionami.

– Świat myśli, że cię zrobiłem, a to kłamstwo. Ja cię tylko uwięziłem. Gdybym umiał uwięzić cię w spluwacze albo drewnianym odbojniku, albo czymś równie niegroźnym, zrobiłbym to. Ograniczają mnie prawa magii, które rządzą możliwościami uwięzienia demonów. Zaprzeczę za to jednemu kłamstwu za pomocą innego. Te kawałki zaklętego Andhrakara staną się umiłowanym dziedzictwem, może któregoś dnia przekutym w nową broń...

Zorientują się! Będą wiedzieć, że to nie ja!

– ...nie tak skuteczną jak stara, oczywiście, ale ludzie nigdy nie robią niczego tak dobrze jak kiedyś. I nikt nie pójdzie szukać Andhrakara, ponieważ wszyscy będą wiedzieć, gdzie jest. Nie będzie ogłoszeń o twoim nowym miejscu spoczynku. Uschniesz i zemrzesz w ciemnościach, i nie będziesz więcej pożerał ludzkich dusz.

*Jestem nieśmiertelny.*

– Tak twierdzisz, ale ja ci nigdy nie wierzyłem. Musisz coś jeść, myślę więc, że zagłodzisz się na śmierć, gdy nie będziesz miał czego pożyć. Przynajmniej zrobimy eksperyment. Za kilka wieków sprawdzę, jak ci się wiedzie.

Wrzucił przeklęty grot, który był więzieniem demona Andhrakara, do dziury pod wychodkiem. I zasypał ją cetnarem ziemi.

Musiał się w końcu napić. Włamał się do Strzaskanej Pięści i skorzystał z tego, co Leen zostawił. Nalał sobie wina i stanął przy barze, żeby je wypić. Stał tam chwilę, przyglądając się swemu krzywemu odbiciu na gładkiej, ciemnej powierzchni trunku.

\* \* \*

Kiedy ludzie wrócili do miasta, znaleźli napis na kowadle oraz

fragmenty grotu i zachowali się mniej więcej tak, jak przewidział Morlock. Odkryli też wyłamane drzwi do Strzaskanej Pięści, a w środku zobaczyli szklanę napelnioną po brzegi winem, która stała na kontuarze nieruszona. Nie zobaczyli jednak Morlocka, ani wtedy, ani nigdy więcej.

**C.J. Cherryh** zaczęła pisać opowiadania w wieku dziesięciu lat, gdy z programu telewizyjnego zdjęto jej ulubiony serial Flash Gordon. Ukończyła filologię klasyczną na Johns Hopkins University jako stypendystka Fundacji Woodrowa Wilsona, a następnie na macierzystej uczelni prowadziła wykłady z łaciny, greki i literatury klasycznej oraz wykladała historię starożytną w Oklahomie. W wolnym czasie pisała powieści, z których dwie pierwsze – Brama Ivrel i Brothers of Earth – ukazały się w roku 1975 nakładem DAW Books Donalda A. Wollheima. Przyniosły autorce rozgłos, a w roku 1977 nagrodę Johna W. Campbella za najlepszy debiut. W 1979r. jej nowelę Cassandra wyróżniono nagrodą Hugo za najlepsze opowiadanie i odtąd poświęciła się wyłącznie pisarstwu. Od tego czasu dwukrotnie zdobyła tę nagrodę w kategorii najlepsza powieść: za Stację Podspodzie w roku 1982 i Cyteen w 1989. Oprócz opowieści z wymyślonych przez siebie światów Cherryh pisze także opowiadania do antologii poświęconych światom wspólnym, wśród których są cykle ThievesWorld, Heroes in Hell oraz Merovingen Nights. Najnowsze jej powieści to Regenesys, należąca do cyklu Era zbliżenia oraz Conspirator z cyklu Przybysz. Mieszka w pobliżu miasta Spokane w stanie Waszyngton. Czas wolny poświęca jeździe na łyżwach i podróżom, regularnie pojawia się też na konwentach science fiction.

**C.J. Cherryh**

**CZARODZIEJ Z**



# WISCEZANU

Było sobie stare miasto nad starą rzeką, Wiscezan nad Eldą.

Dawno temu do morza było z niego bliżej.

Dawno temu tutejsi kupcy mieli się lepiej.

Miasto sprzedawało całe drewno z lasów na wzgórzach, a potoki niosły teraz muł aż do nabrzeża, gdzie wielkie łodzie czekały na załadunek. Muł tworzył płycizny, następnie strumyczki, aż wokół powstało grzęzawisko. A grzęzawisko ściągnęło małego bzycającego latem wroga: roje komarów, z którymi przyszła febra i inne choroby.

Drewno się skończyło. Z roku na rok piaszczyste wzgórza robiły się coraz niższe, mułu spływało więcej, grzęzawisko się pogłębiało, porastało dorodnymi drzewami, a Korianth, mały ośrodek na południowym brzegu, nad rzeczką Yliz, zbudował nowe nabrzeża i przejął kontrolę nad handlem. Sprzedawano tam suszone ryby, kobierce i farbowane tkaniny, kuty brąz i wyroby skórzane, amulety, wino i zboże, a także piwo ze słonecznego wschodu.

Korianth rozkwitał. Miał swojego króla i panował nad całym wybrzeżem. Zamienił tego króla na lepszego i jeszcze bardziej się rozwinął.

Wiscezan zaś trzymał się uparcie swego, spławiał rzeką trochę drewna cyprysowego i wysyłał je morzem. Handlował porcelaną, futrami i piaskowcem wydobywanym z twardego serca wzgórz, lecz nie był już tym, czym był ongiś.

Ostatnia księżna szlchetnego rodu zmarła bezpotomnie. Wszelako wielmoże nadal żyli we względnym bogactwie. Korianth pod panowaniem króla Osrika był zaś zbyt zaprzątnięty własnymi

kłopotami, dokuczliwymi bogami i ambitnymi sojusznikami, by martwić się przybyciem Jindusa ait Auzema, który ściągnął do niego razem z najemnikami.

Jindus ożenił się z trzecią kuzynką ostatniej księżnej, próżną i głupią dziewczyną, choć szlachetnie urodzoną, która po trzech miesiącach zmarła. Od grzybów zjedzonych na obiad. Jindus został wdowcem i szlachcicem na tyle, na ile starczyło spadku.

Wiscezan miał więc nowego księcia, a ten ambicje znacznie większe niż skromne możliwości miasta. Zgarniał podatki. Zaciągnął zbrojnych, najął czarodzieja o wątpliwej reputacji i poślubił jeszcze kilka kobiet, które kolejno umierały, a ich szlachetne pochodzenie coraz bardziej wiązało Jindusa z prastarymi rodami Eldu.

Czy zatrwożyło to możnych Wiscezanu? Owszem. Trwoga opanowała nawet spokrewnione z nimi rody Korianthu, które zwróciły się do króla Osrika z błaganiem, żeby coś na to zaradził. Niebawem jednak książę Jindus wyrósł na potęgę zagrażającą nie tylko opanowanemu przez febrę miastu. Wielmoże z różnych stron modlili się gorąco, żeby odpowiednio wyposażony komar znalazł drogę do księcia... Niektórzy nawet próbowali przyczynić się do tego za pomocą domowych czarów.

Lecz czary działały źle. Opacznie. Niewielu o tym wiedziało.

Stary Kazimierz wiedział.

I poprowadził kilku swoich uczniów w najdalsze zaułki, najciemniejsze przesmyki Wiscezanu.

Lecz nie był już tym, kim był ongiś – Kazimierz Eisal.

Ongiś, za życia księżnej, był wielkim nauczycielem. Miał swą akademię i uczniów, którzy przybywali aż z Korianthu i odległych portów, żeby pobierać u niego nauki. Miał bibliotekę i piękny dom, i

czeladników, którzy rozcierali zioła i zapisywali jego złote myśli, więc Kazimierz Mądry niewiele musiał robić poza nauczaniem starszych studentów, którzy uczyli innych.

Lecz z podmuchem nocnego wiatru, który rozsunął kotary i odsłonił ramiona postarzałej księżnej, przybyła febra... I cała sztuka czarodziejska Kazimierza nie dała jej rady.

Zaczął wówczas podejrzewać, Kazimierz właśnie, że wdała się tu jakaś inna siła.

Ujrzał tę siłę, kiedy Jindus ją najął... Ujrzał tę siłę w chuderlawym, wygłodzonym mężczyźnie zawsze trzymającym się blisko watażki i musiał przyznać sam przed sobą, że to nie Jindusa należy się bać.

Lecz księżna już umarła, władza znalazła się w rękach nowego rządu Wiscezanu, a Kazimierza ogarnęło przytłaczające chłodem przecucie, że nic dobrego nie czeka ani miasta, ani jego. Zmieniły się czasy i w ascendencie pojawiły się nowe znaki.

Przeto Kazimierz zostawił dom i zamieszkał na podgrodzium. Jego dobrze urodzeni uczniowie i czeladnicy, którzy mieli dokąd pójść, wrócili do swoich dobrze urodzonych krewnych albo założyli własne szkoły, porozrzucane po całym wybrzeżu.

Wciąż nauczał. Chronił Uzdolnionych, tych nielicznych, do których dotarł.

Lecz wiek mu ciążył, a los się od niego odwrócił.

O tak, Miphrynes – bo takie było imię siły stojącej u boku księcia – miał pewność, że Kazimierz ciągle tam jest, ale Miphrynes znał naturę białych czarodziejów, wiedział, że podjęcie z nimi walki może wywołać nieprzewidywalną reakcję samych czarów, więc dopóki Kazimierz trzymał się podgrodzia, a Miphrynes nie miał nic, co mógłby wbić klinem w jego czarodziejskie zasieki... Cóż, Miphrynes uznał, że

najlepiej będzie, jak posiedzi w książęcym pałacu, ciesząc się zbytkiem w przeświadczeniu, że cytadela czarnoksiężnika jest równie trudna do zdobycia.

A przy tym o całe niebo wygodniejsza.

Wziąć uczniów? To do Miphrynesa niepodobne. On miał moc. I się nią nie dzielił.

On moc dostał. Dostał jej z łaski otchłani piekielnych.

I to piekło właśnie sączyło się w owym czasie z pałacu Jindusa, na razie cicho i bardzo powoli, ale dobrze wiedząc, do czego zmierza. Nie udało mu się w Korianth. Teraz znalazło nowy przyczółek.

\* \* \*

Mistrz był niezdrów w ostatnim tygodniu. Mistrz od miesiąca nie ułożył żadnego zaklęcia... Ich sporządzaniem musieli zająć się uczniowie. Sprzedawali je pod postacią skrawków papieru, które można nosić ze sobą, a wszak o to chodziło.

Uzdrowiać nie umieli, ale zrobić papier z czarem, który rozpali ogień albo schłodzi wodę, potrafili.

Willem Asusse nie potrafił. Był najstarszy z nich trzech, lecz niemal równie do niczego jak dziesięcioletni Jezzy, który umiał jedynie zaczarować kota, w dodatku tylko gdy kot mu na to pozwolił. To Almore potrafił rozniecić ogień i zmrozić wodę albo ją zagotować. Tak więc były to zaklęcia Almore'a, z wyjątkiem jednego, które miało skłonić łownego kota do wierności swemu panu, o ile będzie go on karmił.

A powinnością Willema było sprzedawać zaklęcia w Alei i w jej pobliżu, co odpowiadało jego uzdolnieniom.

Cóż, poza tym miał uzdolnienia do iluzji, podobnie jak Mistrz, a

wykonał tylko jedno ważne zadanie, mianowicie pomógł Mistrzowi utrzymać Aleję w tajemnicy, odciętą od reszty Wiscezanu.

Lecz nie potrafił nawet zapalić świecy, a Almore potrafił, więc to Almore utrzymywał ich w okresach załamania Mistrza, a sztuka iluzji i opowiadania banialuk przez Willema przekonywała mieszczuchów, żeby bez strachu kupowali od niego czary.

Trafił mu się dzisiaj bochenek czerstwego chleba, który przełamał na pół i schował za pazuchę. To była niemała zdobycz: dobry, ciemny chleb, sycący, choć do połowy spalony na węgiel i częściowo pusty – młoda gospodyni Melenne nie była najlepszą kucharką, za to tak roztrzepaną, że często musiała kupować zaklęcia na rozniecanie ognia.

A oberża była bezpiecznym miejscem. Czar chłodzący poprawiał smak piwa na tyle, że dało się je pić.

Stara znajomość. I godna zaufania. Ostatnimi czasy każdy nowy klient stanowił ryzyko: nie mieli odwagi się ogłaszać, gospoda liczyła na nich i do tego była zadkiem przyklejona do Alei Perskiego Oka.

Aleja. Jak na początek dość pogmatwany labirynt: jeśli się nie wiedziało, że trzeba skręcić w przesmyk w zaułku przy Ślepym Gaijerze domu Kowala, a następnie wejść w inny zaułek po lewej, można było troszkę pobłądzić i wylądować w samym środku Ścieżki Żebraków, czyli tam, gdzie przez żebraków nie jest się mile widzianym.

Tak więc, żeby Aleja była labiryntem, i do tego niebezpiecznym, nie potrzeba było nawet odrobiny iluzji. Niewielu ludzi przy niej mieszkało: kupcy nieformalnie powiązani z czarodziejem, stanowiący jej oficjalne oblicze, jakiś garncarz i paru ruchliwych kieszonkowców, którzy nie pracowali w żadnym razie w obrębie Alei. A gdy działała iluzja, nie zauważało się innych bram. Można było myśleć, że Wesoły Wół jest wyjściem, i rzeczywiście nim był, o to bowiem chodziło. Nigdy

nie było widać innych tylnych wyjść, tylko to jedno... Bez względu na to, którą część Alei Perskiego Oka akurat się przemierzało.

Lecz iluzje zaczęły słabnąć – zarówno iluzje Mistrza, jak i jego własne – i chociaż wychodził od czasu do czasu poza Aleję, żeby sprzedawać swój towar, ostatnio nie oddalał się za bardzo.

Prawdopodobnie słabła determinacja Mistrza. Prawdopodobnie Mistrz będzie robił się coraz bardziej nieuważny, a błądzący uczeń skończy na ulicy – na zawsze albo przynajmniej dopóki Mistrz do niego nie zatęskni. Rudera Mistrza w przeciwieństwie do placówek handlowych nie miała drzwi frontowych.

W każdym razie Willem bał się zostać w domu, a nie miał kłopotu, mimo nieładu w Alei, ze znalezieniem drogi do Wesołego Wołu. Chcąc dostać najlepszą cenę od oberżysty, dobrze było nie sprzedawać mu zbyt wielu zakłęb za jednym razem, aby nie pomyślał, że są łatwe do uzyskania. I była to dobra pora na targowanie, kilka sennych chwil w południe, nim nadejdzie godzina sjesty.

Tak więc obróciwszy się trzykrotnie dokoła własnej osi i dwa razy mrugnawszy, co gwarantowało odnalezienie Wesołego Wołu, Willem przeskoczył stopnie prowadzące do tylnego wejścia i zszedł przez mały nieoświetlony przedsionek do baru, gdzie w półmroku prowadził interes Wiggy Piwowar. W środku pachniało zapiekanką z wieprzowiną, rozlanym piwem, pleśnią i – Wiggym, który dopełniał całości nutą słodką i czosnkową. Nie było takiego zakłęcia, żeby dało się ukryć Wiggy'ego, który prowadził łaźnię, ale sam nie brał kąpieli.

To miejsce nie należało do jego ulubionych. Gospodyni Melenne – o tak. Mógł wprawdzie zadawać się z córką Wiggy'ego, która z grubsza wiedziała, jaka powinna być cena, a jaka będzie, więc targu zazwyczaj dobijali szybko, składnie i rzetelnie, córka Wiggy'ego nie miała na

niego zakusów – do tego potrzebował iluzji.

Córka Wiggy’ego – miała na imię Hersey – krzątała się za barem. Podbiegła do niego.

– Willem! – zaczęła. – Willem! – Chwyliła go za klapę kubraka i wychyliła przez kontuar, bezmiarem swych piersi zasłaniając mu widok. – Mamy kłopoty. Wszędzie grasują ludzie księcia. Chodź! Możem pogadać w Alei!

Willem nie potrzebował dalszej zachęty. Wyrwał się i – z korpulentną córką Wiggy’ego za plecami – wziął kurs z powrotem na tonącą w mroku tylną sień.

W Alei było spokojnie i pusto, nie licząc starych dzbanów i kubłów na śmieci. Przystanęli w nikłym świetle, Willem złapał oddech i na zapiaszczonych stopniach Wesołego Wołu, wciągając w płuca powietrze, odwrócił się gwałtownie do córki Wiggy’ego i spytał, co widziała...

...kiedy z ciemnej sieni wyszedł potężny mężczyzna w skórzanym pancerzu i stalowym hełmie, spychając Hersey ze schodów prosto w jego ramiona. Willem zachwiał się, nie pozwolił jednak, żeby dziewczyna spadła ze stopnia, i gdy tak ją trzymał, usłyszał ogłuszające walenie w drzwi dochodzące z mrocznego przedsionka.

Czarne kapelusze. Ludzie księcia. Z nagimi mieczami i srogimi minami... ale nie ich szukali. Willem szybko zadał czar: *Nie ma mnie tutaj, nie ma jej tutaj*. A ponieważ nie chciał żadnych kłopotów w Alei, zaraz zadał następny: *Nikogo tutaj nie ma*.

Strażnicy się zatrzymali. Rozejrzeli dokoła. Spojrzeli na schody i wejście, gdzie balansując na krawędzi stopnia, stali Willem z Hersey. Czar puszczał. Willem go podtrzymał i zasłaniając się iluzją, ostrożnie, powoli zszedł na bruk Alei – iluzję można łatwo zerwać, jeśli człowiek

porusza się za szybko albo pozwoli wniknąć do niej strachowi.

Odsuwał się dalej. Ogłupiali strażnicy wbiegli z powrotem na schody, mijając po drodze Hersey, która z pewnym opóźnieniem też zgłupiała.

Po czym z wnętrza dobiegł ich dudniący głos Wiggy'ego, w powietrzu zaczęły latać zydle, a Hersey obróciła się jak fryga i wbiegła do środka.

– Hej, wy tam! – krzyczał Wiggy, a obcy wrzeszczał: – Gdzie on jest?!

...przypominając Willemowi, że nie jest w Alei sam. Nie widział uciekiniera, który zanurkował w jakiś kąt.

*Nie ma mnie tutaj*, zadał czar, odwrócił się i natrafił na pierś w skórzanym pancerzu oraz nagi miecz. Uciekinier patrzył wprost na niego.

Naprawdę *nie ma mnie tutaj*, z bijącym sercem powtórzył zaklęcie, ale ręka nieznajomego wyciągnęła się ku niemu i chwyciła za koszulę na piersi.

– Czarodziej – rzekł uciekinier.

– Wcale nie! – zaprotestował Willem i cofnął się, uwalniając z chwytu koszulę i siebie samego oraz bochenek wczorajszego chleba. Zadał czar bardzo stanowczo: *Nigdy mnie tu nie było!*

Mężczyzna przez chwilę wyglądał na dezorientowanego, ale to wystarczyło. Willem ruszył z kopyta, ściskając pod pachą chleb, i na wszelki wypadek sięgnął do sakiewki przy pasie po zaklęcie zamrażające.

Mężczyzna pobiegł za nim, ale Aleja była kręta i wystarczyło zniknąć za rogiem. Willem zatrzymał się i oparł plecami o brudny kamienny mur. Stał na gruzowisku obok wejścia do warsztatu garncarza.



Zgubił pościg. Jedyne drzwi, jakie mógł teraz widzieć ścigający mężczyzna, były te, którymi wyszedł na Aleję, czyli prowadzące do oberży Wiggy'ego, gdzie byli strażnicy. Mężczyzna postąpił więc chwilę, a potem zawrócił do Wesołego Wołu i chyba wyszedł na tym najlepiej.

O włos uniknął nieszczęścia. O mały włos. Choć nie dobił targu w Wesołym Wole, nie chciał tam iść jeszcze raz. Nie było po co. Hersey zaczynała się denerwować, Wiggy już był zdenerwowany – nie będą mieli głowy do interesów, zwłaszcza jeśli ludzie księcia zniszczyli meble.

A zwłaszcza jeśli obcy dowlóknął się do baru i zażądał, żeby go obsłużono.

Tak, pora była wracać do domu, a dom stał za dwoma zakrętami Alei.

\* \* \*

Co za ulga! Mocne trzaśnięcie drzwi i opuszczanej zasuwki – łup! – w rygiel. Willem wziął pierwszy głęboki oddech.

Lecz spojrzawszy na mieszkańców tego małego domku, skupionych przy palenisku, na którym stał kociołek z wczorajszą fasolą...

Willem przecesał palcami włosy. Spocił się. Ostatnią przecznicę biegł, by mieć pewność, że mężczyzna nie wyprzedzi go, dostrzegłszy jakąś inną dziurę w czarodziejskiej barierze, którą ustawił. I w twarzach tych, którzy kręgiem otaczali przygaszony piec, odbijał się panujący w jego głowie zamęt.

– Nikt mnie nie śledził – powiedział od razu i machnął ręką. – Nie zgubiłem zaklęć – dodał. – Były kłopoty w Alei i jestem pewien, że znowu są.

Chyba że ludzie księcia zatrzymali się w oberży, by żłopać ciepłe piwo Wiggy'ego, i pozostawili uzbrojonego gościa z Alei samemu sobie na godzinę czy dwie. Żadna ze stron nie będzie z tego zadowolona.

– Przyniosłem chleb – rzekł i wyznał prawdę. – Nie dobiłem targu z Hersey. – Zazwyczaj jako zapłatę dostawał kawał mięsa i kości tego, co Wiggy właśnie piekł, albo pularde, którą dzielił na porcje dla gości. To zaś zupełnie co innego, jeśli chodzi o wieczerzę. – A chleb od Melenne, cóż, nie jest może najlepszy, lecz duży. – W bochenku było dużo mąki. Willem wyjął zza pazuchy dwie części. Koszulę poczercił mu przypalony koniec bochenka, który ważył tyle co dwie cegły. – Możemy go dołożyć do fasoli.

Dwie twarze – Almore'a i Jezzy'ego – przyjęły tę propozycję z posepnym wyrazem, jedna zaś – Mistrza Kazimierza – z uprzejmą łaskawością, Mistrz bowiem tolerował wszystko.

– Moglibyśmy go chociaż odsmażyć – powiedział Jezzy.

– Wygląda, jakby już był odsmażany – stwierdził posepnie Almore.

– Dwa razy.

– Spokojnie – odezwał się Mistrz. – Z fasolą i resztą będzie pożywny, i może uda nam się wyczarować smak masła.

Zaprawdę były to czary: smak i owszem, ale żadnej treści. Mistrz wciąż potrafił zrobić sztuczkę z maślanym smakiem, a niekiedy też ze smakiem smażonego sera. Lecz ostatnio nie był sobą. Wyglądał na zmęczonego, zapominał o różnych rzeczach, a od czasu do czasu jego czary się nie udawały... Nie było pewne, czy smak, który wyczarował Mistrz, jest smakiem masła, ale nikt nie pamiętał, kiedy ostatnio był.

Nikt nic nie powiedział na temat ostatniego razu.

– Nie zgubiłem kartek – rzekł Willem. – Wyjdę wcześniej, przed świtem. Pójdę do oberży. Kupią. I przyniosę śniadanie, a może i jakieś

drobne.

– Drobne!

– No, zamienię na nie garnek. Ratty ma zamiar rozpalać w tym tygodniu piec. To wymaga przecież podtrzymania ognia. Warte jest garnka. – Wziął wielki nóż z deski do krojenia. Kucharz uciekł ze srebrem Mistrza, ale zostawił przybory kuchenne, a Mistrz, jako że miał dobre serce, nie rzucił na nie przekleństwa, lecz po prostu je sobie zatrzymał, bo były przydatne.

Od dłuższego czasu trochę srebra też by się przydało, ale sprawy miały się tak, jak miały. Jakoś przeżyli w swoim zaułku. Dzisiaj sprawy omal nie potoczyły się źle, ale odsmażyli chleb, Mistrz wyczarował maślany smak, fasolą zapchali kiszki i popili wodą. Zawsze tak samo.

A po kolacji wzięli się do nauki. Mieli za sobą długi dzień, robili to, co trzeba było zrobić, nosili drwa i wodę, sprzedawali zaklęcia, kiedy było bezpiecznie – popyt był mały, ryzyko duże, ponieważ zaklęcia mogły ich zdradzić: choćby taki czarnoksiężnik księcia, który nigdy nie przestawał węszyć...

Późnym wieczorem, po wieczerzy, Mistrz zagłębiał się w Księgę i czytał im na głos. Rozprawiał o filozofii, o zaklęciach i czarach. Ostatnio Mistrzowi często zdarzało się nie pamiętać, gdzie skończył – w czytaniu Księgi chodziło nie tyle o słowa, ile o symbole, a Mistrz objaśniał im, jak należy rozumieć ich połączenia – ale mogli liznąć trochę sensu. Zwłaszcza Almore ciągle pytał o znak ognia i jak zrobić, żeby płomień palił się dłużej i bardziej równo, a przez ostatnie trzy wieczory Mistrz mówił głównie o tym, co pozwoliło Almore'owi doskonale opanować wiedzę w zakresie znaków ogniowych.

– Jeśli nauczę się rozniecać ogień – rzekł Almore do Willema – podtrzymywać go w odpowiedniej temperaturze i oddalać się, kiedy

trzeba...

– Piec Ratty’ego – wyobraził sobie Willem. Każdy garncarz, każdy kucharz, każdy kowal w mieście potrzebował właśnie tego...

Co dowodziło, że nikt dotąd nie potrafił zrobić takiego czaru, bo inaczej już by był w Księdze, prawda?

Lecz Almore miał marzenia. Zamierzał zmusić Ogień i Czas, żeby dobrze się sprawowały, a im przyniosły bogactwo. A jak już będą bogaci, przemycą Mistrza poza miasto i dostaną się do Korianthu, gdzie nie ma księcia ani czarnoksiężnika, którzy chcą znaleźć Mistrza i go zabić.

Tak, warto by było. Lecz iluzje na nic się nie zdały, jeśli chodzi o doprowadzanie rzeczy do końca; z trzech uczniów Mistrza był jedynym, który mógł się nazwać czeladnikiem cechu czarodziejów.

Co znaczyło, że najlepsi uczniowie Mistrza potrafili zaledwie otumanić ludzi księcia, by myśleli, że znaleźli się w wąskim zaułku bez jednej bramy.

Taka umiejętność się liczy, kiedy musisz się nią posłużyć, ale nie przynosi chleba. Tylko dwóch uczniów ją posiadało.

Tajemnice pieczęci Ognia i Czasu tego wieczoru się nie objawiły. Mistrz zapadł w drzemkę w środku objaśnień znaczenia pierwszych znaków wiążących i nawet nie skończył jeść swojej kromki, która była najlepszym kawałkiem bochenka i nie można jej było wyrzucić.

Trzej uczniowie Mistrza siedzieli tam, mierząc wzrokiem niedojedzony chleb, i do głowy przychodziły im niegodne myśli, że może Mistrz nie będzie go już chciał, ale Jezzy, który miał dobre serce, wstał, zawinął piątkę w ściereczkę i odłożył do kredensu na śniadanie dla Mistrza.

\* \* \*

I została tam. Willem był pewien. Zauważyłby, gdyby Almore wstawał w nocy. Wszyscy spali, tylko on obudził się przed świtem, włożył ubranie, naciągnął buty, sprawdził sakiewkę z karteczkami, które miał na składzie, i pchnął rygiel tak, żeby opadł i zamknął za nim drzwi. Przytrzymał je, wyszedł za próg i już prawie był w Alei...

Tuż przed nosem wyrósł mu cień, a ciężka ręka chwyciła za ramię.

– Mam cię! – rozległ się męski głos.

Szarpnął się. Najpierw odruchowo chciał się cofnąć do środka, potem postanowił wyjść i puścić drzwi, żeby się zamknęły, ale najpierw nie mógł się wyrwać z uścisku, a potem w szamotaninie puścił rygiel, kiedy więc drzwi się zamykały, rygiel je zatrzymał.

Żelazny chwyt drugiej ręki zamknął się na pole jego kubraka i rzucił go na ścianę przy drzwiach, zza których dobiegł głos Jezzy'ego:

– Co się dzieje?

– Zamknij drzwi! – krzyknął Willem. Nigdy nie krzyczał w Alei, ale mężczyzna, który go złapał, ciągnął go ku drzwiom i musiał włożyć w nie stopę, bo wepchnął go tam, gdzie panowała ciemność i gdzie starzec z dwoma podrostkami nie dałby rady się obronić.

– Czarodziej – rzekł obcy, puszcżając ramię Willema, ale trzymając go za gardło. – Szukam Kazimierza Eisala.

– To ja – odpowiedział z mroku Mistrz. – Chłopcze, zapal lampę. A ty puść mojego ucznia.

– Tak myślałem. – Obcy nie zwolnił uścisku. Willem złapał żelazne ramię obiema rękami i spróbował się uwolnić, ale bez powodzenia.

Almore chował podpałkę i lampę obok wygaszonego paleniska. Wyciągnął je i nikły ogienek z pojedynczego knota dał im wystarczająco dużo światła. Drugi knot, trzeci – to była lampa trójramienna – i Willem ujrzał twarz zwróconą prosto na Mistrza. On

sam poszedł w zapomnienie, jak jakiś przedmiot, którego obcy postanowił się trzymać.

Obcy wszak nie wyciągnął broni. A miał jej pod dostatkiem: u pasa puginał do walki w zwarciu z chroniącym palce kastetem i miecz, i znoszony napierśnik płytowy z migoczącymi kolczymi rękawami. Czuć go było potem i dymem ogniska, i wszystkim, co znajduje się na zewnątrz, ale nie miastem.

– Mistrzu Kazimierzu – rzekł spokojnie, z szacunkiem obcy, ciągle bliski zaduszenia Willema. – To wy.

– Bez wątpienia – odparł Mistrz. – Tak było. Tak będzie.

– Tewkmannon. Syn Fyllii.

– Fyllia – powtórzył Kazimierz. To było imię starej księżnej. A ten był za młody, nawet głupiec spostrzegłby, nawet ledwie żywy głupiec. – Fyllia nie żyje.

– Innej Fyllii – rzekł Tewkmannon. – Siostrzenicy księżnej Fyllii. Też nie żyje. Jestem tu z powodu Jindusa. Grey Raisses powiedział, że tylko z wami można rozmawiać.

– Raisses. Raisses... – Mistrz wyglądał na przybitego. Chwycił się krawędzi stołu i opadł na ławę. Był w nocnej koszuli, siwą brodę miał zmierzwioną, włosy też, a bez pasa jego odzienie wyglądało niechlujnie.

– Proszę – odezwał się Willem spod ściskającego go ramienia i ów Tewkmannon spojrział na niego, jakby sobie właśnie przypomniał, że ma coś, czego wcale nie potrzebuje, i puścił go.

Willem poprawił koszulę i poszedł po laskę Mistrza, jedyną jego broń. Postawił ją przy Mistrzu i sam stanął obok. Miał nóż za cholewą. To wszystko. A chłopcy mieli chochlę i kociołek – pasowały do nich. Lecz nic nie zwojowałiby przeciwko obcemu, gdyby rzucił się na

Mistrza.

– Jestem tu z powodu Jindusa – powtórzył Tewkmannon. – Sukinsyna.

Nie lubił Jindusa. To dobrze. Lecz żeby być tutaj z powodu Jindusa? To wcale nie wyglądało dobrze.

– Mamy tylko wodę – odparł Mistrz cichym, omdlałym głosem. – I ani okruszyny chleba.

– Została pięćka – rzekł niezbyt roztropnie Jezzy.

– Nie sądzę, żeby o nią mu chodziło – wymruczał Willem. – Mistrz jest stary, panie. Waszmość. – Wspomnieli o starej księżnej i pokrewieństwie, może dlatego tak powiedział. – Jest chory.

– Skończony – przyznał Mistrz.

Tewkmannon spytał:

– Czy to Miphrynes?

– Nie wymawiamy tutaj tego imienia. – Willem miał nadzieję, że jego głos brzmi stanowczo i groźnie.

– Miphrynes – powtórzył Tewkmannon. – Kruk jeden.

– Bardziej pasuje sęp – bąknął Mistrz pod nosem. – Nie umiem go powstrzymać. Nie przyjdzie tu. Wie, że tu jestem. Jestem pewien, że wie. Nie opłaca mu się. Wie, że nie mogę nic zrobić. I naprawdę nie mogę. Zawładnął całym górnym miastem.

Nigdy nie słyszeli, żeby Mistrz tak mówił. Nie rozmawiali o czarnoksiężniku księcia. Nie rozmawiali o tym, co wyprawiał w górnym mieście. Lecz wiedzieli, że jak amen w pacierzu Mistrz nie pozwoli mu wejść do podgrodzia. Miphrynes bał się Mistrza. Zostawił go w spokoju.

Tymczasem Mistrz się postarzał i rozchorował, w ciągu roku.

– Za późno. Przyszedłeś za późno... Jak cię zatem zwał?

– Tewk. – Tewkmannon usiadł ciężko na ławie przy drugim końcu stołu z dłonią opartą na zniszczonym blacie. – Tewk wystarczy. Syn Fyllii. – Teraz głos Tewkmannona brzmiał tak, jakby łąpał oddech po bardzo długiej wspinaczce. – To źle, prawda?

– Mój rywal – rzekł Mistrz – pewnie domyśla się, że to miejsce istnieje... Że ma przynajmniej jakąś formę. Lecz moi uczniowie się rozeszli, poza tą trójką. Ot, wszystko.

Po raz pierwszy Tewkmannon spojrział prosto na Willema, potem na Almore'a i Jezzy'ego, a Willem zdał sobie sprawę, że rozczarował Mistrza i wszystkich innych, ale w czym, nie potrafił powiedzieć.

Zabolało go to. Nie wiedział, kim jest Tewkmannon, że wywołuje w nim takie uczucia, ale chciał robić to, czego nawet nie potrafił nazwać. I wiedział, że nie jest do tego zdolny.

– Młokos potrafi stworzyć iluzję – powiedział Tewkmannon. – Jest w tym całkiem niezły.

– Tak – potwierdził Mistrz. – Almore jest piromantem, a Jezzy rozmawia ze zwierzętami. Będą dobrzy, kiedy dorosną. Jeśli przeżyją. O ile możesz poczekać. Kto cię przysłał?

Na chwilę zapadło milczenie.

– Korianth – powiedział Tewk i skinął głową tak, jakby chciał wskazać kierunek, w którym mieszka garncarz. – Król Osric zebrał wojska. Są już gotowe do wymarszu.

– Głupota, ot co – rzekł Mistrz. – Twój kłopot to nie Jindus. Jego oddziały zaciężne pochłaniają całe złoto, jakie poborcy podatkowi wyciskają z miasta, a kiedy miasto zostanie ogołocone z pieniędzy, będzie to koniec Jindusa. On nie jest problemem.

– Jego czarnoksiężnik.

– To jest problem. Jindusowi chodzi tylko o pławienie się w



luksusie, za to nasz wróg zgarnia prawdziwą władzę.

Mistrza chwycił kaszel i trzymał dłuższą chwilę. Jezzy pobiegł doń z kubkiem wody. Mistrz wypił.

– Jaką prawdziwą władzę? – spytał Tewk.

– Demon – odparł Mistrz i po raz pierwszy głęboko odetchnął, a wraz z tym słowem powiało chłodem.

Tewk rozsiadł się wygodnie. A Mistrz tylko pokręcił głową ze znużeniem.

– Już niedługo w mieście zabraknie złota – powiedział. – Jest tu. Już tutaj jest.

Tewk aż się wyprostował.

– Mamy kłopot – stwierdził.

– O, i to duży – rzekł Mistrz i postukał sękatym palcem w pocięty blat, dając znak, że stara się tym dźwiękiem powstrzymać kaszel. – Jesteś tu, bo chcesz zabić Jindusa. Powodzenia. To jednak nie rozwiąże twego problemu. Ci młodzieńcy... oni też nie. Nie wiem, czy ja bym potrafił. Wiem jedno. Nie ukazał się. Jest tutaj, pod murami fortecy, ale nie w mieście, rozumiesz. Nie sądzę, by nas słyszał. Założę się, że nie. Kontroluje miasto, w dużej części, ale wysyła szpiegów, czasami znacznie więcej. Sądzę... nie jestem pewien... – Kolejny atak kaszlu i kolejny łyk wody. – Założę się, że kiedy się pokaże, Miphrynes skieruje go prosto na Jindusa. Ważny człowiek. Silny. Powabny. Męski, mówię szczerze, zdolny płodzić potomków, a ten właśnie demon należy do plennych bękartów.

– Gdybym go dopadł...

– Jest jedna rzecz, którą trzeba wiedzieć o demonach. Zacznieś je dręczyć, to przestają myśleć. Kiedy zaś przestają myśleć, korzystają ze wszystkiego, co im się nawinie, a to oznacza piekielne zagrożenie.

Tewk oparł się o stół.

– Korianth jest gotów tu przybyć – rzekł Tewk. – Król Osric trzyma wojska pod bronią... w gotowości. Czekają na znak. Ogień na wieży. Ja mam zabrać Jindusa. Rozpalić ogień. Nic specjalnego. A wy macie żołnierzy pod murami.

– Będą karmą dla demona, jeśli nie zabierzesz Miphrynesa razem z Jindusem.

Tewk spuścił głowę.

I szybko ją podniósł, rozejrzał się i zatrzymał spojrzenie na Willemie.

– Jesteś odważny, chłopcze? – zapytał.

– Mistrzu! – zachnął się Willem, ale Mistrz patrzył na niego w ten sam sposób.

– Uczniowie – rzekł – to wszystko, co mi pozostało. Całe miasto ma tylko ich. Tylko oni stoją między nim a tamtym. Willem go zwiódł. Nie wie o tym. A jednak zwiódł.

– Ja?

Pytanie padło jakby samo z siebie. Willem zdążył tylko wziąć oddech, a już wyciągnęła się ręka Tewka i chwyciła go za przegub.

– Mistrzu!

– Pożyczę go sobie – rzekł Tewk. – Mam wojsko w drodze i kuzyna, o którym myślałem, że jest skończonym głupcem, a okazuje się, że może jednak nie takim skończonym. Kiedy to, co opisaliście, Mistrzu, dopadnie Jindusa, Korianth także nie będzie bezpieczny.

– Nie będzie – zgodził się Mistrz, nawet słówkiem nie wspomniawszy o pożyczeniu ucznia ani o kuzynie Tewka. Willem próbował odgiąć choćby jeden palec Tewka... bez najmniejszego powodzenia.

– Przepraszam – rzekł Tewk i puścił Willema, po czym klepnął go po plecach. – Jesteś bystry i szybki. Szedłem po twoich śladach. Nie pomyślałeś, żeby je zatrzeć, prawda?

– Nie – cicho przyznał Willem. Nie miał czasu. Był przerażony. Został złapany w drzwiach i do głowy mu nie przyszło, że ktoś, kto rozumiałby, że posługuje się czarami, mógłby także wysledzić jego drogę, którą szedł w Alei, i nie dać się nabrać na sztuczkę z brakującymi drzwiami. Tewk nie szukał brakujących drzwi, więc ich nie zobaczył albo nie zwrócił na nie uwagi, gdy je ujrzał. Szukał człowieka parającego się magią i dlatego szedł za nim tutaj. Prosto do Mistrza i do nich.

A teraz Mistrz ugodził się z tym człowiekiem.

Willem poczuł mdłości idące od żołądka. Choć w żołądku nic nie miał.

A ten człowiek był bogaczem. Mierząc poziomem życia w Alei, był bogaczem i mówił o wojskach i królu.

– Zjedlibyśmy śniadanie – powiedział Willem. – Dobre śniadanie. A waść powiesz mi, jakiego zaklęcia potrzebujesz, to je napiszę. Będzie dobre.

Tewk pokręcił głową.

– Śniadanie? Oczywiście. Pisanie nic jednak nie da. To ty musisz się uporać z tym, co się objawi.

– Nie umiem.

– Czarodziej mówi, że już to robiłeś.

– Nie... słowo. Twój wzrok przeniknął przez mój czar. Wyśledziłeś mnie.

– Niewielka Umiejętność. Bardzo małutka. Czasami się przydaje. Za to niekiedy pakuję się przez nią w kłopoty, jak teraz. Dostaniecie

śniadanie. – Rozwiązał sakiewkę i wysypał jej zawartość na stół. Między monetami zaświeciło złoto. Lite złoto. Za jeden krążek można by kupić każdy sklep na Alei. Było też srebro, połyskujące biało i niewyraźnie. Były różnorodne miedziaki, karbowane i nie.

Tewk wyłuskał prawie wszystkie miedziaki i przesunął je w stronę Mistrza. Dołożył do nich też kilka srebrników i jednego nowego dukata.

– Za służbę chłopaka – powiedział. – I wasze milczenie. Możecie, Mistrzu, wziąć dzieciaki i wynieść się z Wiscezanu. Przenieść nad morze, żyć w dostatku... pod warunkiem że uda się nam, mnie i temu oto junakowi, zatrzymać Jindusa. – I spojrzał prosto na Willema. – Złapiemy Jindusa. A oto, co wy musicie zrobić. Po pierwsze, doprowadzić mnie w jego pobliże. Po drugie, dać mi osłonę, żebym mógł rozpalić znak ogniowy. A potem się ukryć, kiedy mój leniwy kuzyn z drugiej linii zbierze swe wojska i otworzy bramy. Radziłbym wam, Mistrzu, przypilnować dzieciaki. Znacicie się na czarach, a ja znam się na wojaczce. Spokojnie to tu w najbliższych dniach nie będzie.

– Rozumiem – odparł Mistrz i wziął monety. Jedną dał Jezzy'emu. – Idź do Wołu i przynieś śniadanie dla wszystkich. Sprawy tego tu szlachetnego pana mogą zaczekać. Gorący chleb. Świeży. Masło. Ryby. Dla gościa także. Idź.

Śniadanie. Rzadkość ostatnimi czasy. Jezzy chwycił monetę i skoczył do drzwi, a Willem aż przysiadł na piętach, bo go tam nie było. Nie chciał tam być. Powiedział słowo.

– Całkiem nieźle – rzekł Tewk i trącił go czubkiem buta. – Wiem, że tu jesteś. Potrafisz nas obu przeprowadzić przez bramę do pałacu?

– Może. Może potrafię.

– Willemie – zwrócił się do niego Mistrz, a chłopak wstał, choć czuł

się okropnie – przynieś mi kawałek papieru i pióro.

Willem przyniósł jedną z karteczek, jakich używali do pisania zaklęć.

– Większy – poprosił Mistrz, więc Willem przyniósł większy, a Mistrz otworzył kałamarz, zanurzył w nim gęsie pióro i na karteczce napisał kilka znaków. – To jest wyzwolenie – rzekł.

– Dziękuję, Mistrzu – rzekł Willem. Od razu zobaczył, że bardzo się przyda.

Mistrz sięgnął po większą kartkę i pisał na niej coś długo i w skupieniu, duktem krętym i gęstym, którego Willem nie zdołałby się nauczyć. Kiedy skończył, wziął kartkę do ręki, ale mu jej nie podał.

– To jest patent mistrzowski – powiedział. – Zamyka czas terminowania i znosi ograniczenia z nim związane. Jeśli go przyjmiesz, będziesz potrafił formułować mistrzowskie czary. A oprócz tego naznaczy cię jako mojego, będziesz świecić jak ogień, kiedy już opuścisz Aleję, o ile nie zabierzesz Alei ze sobą.

– Może powinienem tylko nic nie mówić, Mistrzu.

– A kiedy tam dotrzecie, to co? Co zrobisz?

– Liczę, że Mistrz mi powie.

Mistrz pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, co zrobisz, ale będziesz miał mój zapach. I nie będziesz mną. Rozumiesz?

Był czeladnikiem Iluzji. Natychmiast zrozumiał, jakie to pomocne.

– A... problem, o którym nie mówimy... – odezwał się. – Czy on potrafi powiedzieć...?

– Och, może. Może będzie wiedział, dzięki komu naprawdę Aleja się trzyma. Kto ją poprowadził przez miasto. Lecz tutaj jeszcze go nie ma, nie ze wszystkimi jego możliwościami. Ma pewne ograniczenia.

Iluzjonista zrozumiał także to.

– Nie zabijaj – rzekł Mistrz. – Spójrz na mnie. Nie zamyślaj zabić. Zwłaszcza nie za pomocą czarów. To sprowadziłoby cię na drogę, na której z pewnością nie chciałbyś postawić nogi. Rozumiesz mnie?

Rozumiał. Wskazał Tewka.

– To jego zadanie.

– Dobry chłopak. Rób to, na czym się znasz. Weź to. Radzę ci, weź. Zasłużyłeś. Jak bogowie pozwolą, zasłużysz.

Willem wyciągnął rękę i wziął papier od Mistrza. Poczł mrowienie idące od dłoni przez ramię aż do serca. Na chwilę zabrakło mu tchu. Nie przestraszył się. Nie doznał żadnego uczucia. Naprawdę nie doznał. Spojrzał na swą rękę i nie zobaczył jej.

Chcę wrócić! – pomyślał. I wrócił.

– To było dobre – odezwał się Tewk.

– On musi pomyśleć – rzekł Mistrz. – Usiądź na chwilę z boku, Willemie, i pomyśl.

Zupełnie jak na ważnej lekcji. Pomyśl. Pomyślał. Starał się nie myśleć o demonach. W taki sposób one dostają się do środka: kiedy zaczniesz się o nich myśleć. Pomyślał o tym, że nie ma całej Alei, ale to nie było zbyt roztropne: jeśli Wiggy albo Hersey cofną się i nie trafią na schodek, wpadną w złość. Nielichą złość.

Uszeregował myśli tak, żeby odpowiadały kolejnym działaniom, które musi podjąć. Mistrz nauczył go, jak się to robi. I wszystko się poukładało. Czuł się silniejszy niż dotąd: tak będzie, o ile nikt go nie zaskoczy.

Głupiec, pewnie.

Czarodziejowi nie wolno jednak wątpić. Każda iluzja się rozpadnie, kiedy ogarną cię wątpliwości. Siedział w skupieniu, starając się

utwierdzić w przekonaniu, że potrafi dokonać prawie wszystkiego, ale nie zastanawiał się co konkretnie, dopóki Jezzy nie zapukał do drzwi i nie wniósł śniadania tak obfitego, jakiego jeszcze nie widzieli: Jezzy spocił się od samego dźwigania.

Zjedli. Śniadanie było dobre, a piwo... Mistrz powiedział, że powinni je zostawić na później, więc pili wodę. Tewk uznał to za dobry pomysł. Może pił już piwo Wiggy'ego.

\* \* \*

Gdy Mistrz klepnął stojącego w drzwiach Willema w ramię, chłopak obejrzał się trwożnie, jakby miało mu to przeszkodzić w skupieniu. Popatrzył na Almore'a i Jezzy'ego, i na ciasny pokój z półkami i książkami, i papierami, i małym stołem, i ławkami, i siennikami, i wypłowiałą czerwoną kotarą – za nią, wciśnięte w kąt, stało łóżko Mistrza.

To był dom.

Na koniec spojrzął Mistrzowi w oczy. Szare. Załamane, ale wciąż jeszcze na tyle przenikliwe, że jego wzrok sięgał wprost do serca, był tego pewien.

– Tak, Mistrzu – rzekł i wyszedł na Aleję. Swoją Aleję. Z krocącym obok Tewkiem.

– Ty prowadzisz – odezwał się Tewk, co wcale nie poprawiło mu nastroju.

– Mmm – odparł, uważając, żeby nie wypowiadać słów. Myślał intensywnie, jak dokładnie wygląda Aleja, gdzie są tylko jedne drzwi, te do Wołu, i że jest w niej taki mały ślepy zaułek, nic ciekawego. On też był taki: nic ciekawego. Młokos w koszuli z surowego samodziału, który zwykle w noszeniu robił się szary albo bury, młokos o brązowych

włosach, nijakiej twarzy, może pryszczaty – nikt nie spojrzy nań drugi raz; a Tewk to zwykły robotnik, w kapeluszu, właściwie w mycce, nieogolony, z chlebakiem i młotem, co nie było zakazane. Od razu znaleźli się na wprost Wołu i weszli do karczmy tylnym wejściem.

– Zaraz, zaraz! Wy tam! – krzyknęła Hersey. – Myślicie, że możecie tak sobie wejść w brudnych butach? To nie ulica, ano! Dopierom podłogę myła!

Hersey ich nie poznała. Ani, ani.

– Przepraszam – rzekł Willem zmienionym głosem i razem z Tewkiem wyszli frontowymi drzwiami, nie zatrzymując się, na ulicę, na której nigdy nie postawił nogi.

Lecz nie pozwolił sobie tak myśleć. Chodził tędy wiele razy. Tak samo Tewk. Ojciec i syn, no może siostrzeniec i młody wujek, a on uczył się kamieniarki, bo trzeba było coś – kamienie pękają – naprawić na wzgórzu.

Może ten kamień to ościeże bramy, bramy do pałacu. Kamienie kruszyły się w upalne lato, jak zwykle, zwłaszcza wzdłuż starych spękań, i należało to naprawić. Robili to. Zdejmowali miarę i dobierali pod kolor odpowiednie odłamki: znał się na murarce. Jego ojciec był...

Jego wujek. Wujek Tewk. Należeli do Cechu, na swój sposób byli ważni, więc strażnicy u bramy będą ich pamiętać i kiedy ich zobaczą, przypomną sobie, że już przechodzili tędy niejednym razem.

Nie mógł się spocić. Dzień był ciepły, ale on się nie pocił. Zamierzają zrobić to w biały dzień, on i Tewk, i nie zastanawiał się, co będzie potem – myślał, jak przedostać się samemu przez bramę i nie dać się złapać.

Nigdy nie był w pobliżu, nawet za życia księżnej. Brama wylaniała się z murów wysoka, flankowana figurami lwów namalowanych na



skórzanych panelach, w czerwieni i brązie. Strażnicy spojrzeli na nich znudzeni. Mieli tu być. Byli trochę spóźnieni. Strażnicy otworzyli przed nimi skrzydło wrót, a oni weszli do wieży i przeszli pod broną, którą w razie czego można szybko spuścić.

– Na prawo jest wieża sygnałowa – mruknął Tewk, co rozproszyło Willema, spłoszyło go.

– Ciii – upomniał go srogo Willem, więc Tewk zamilkł.

Wzmianka o wieży sygnałowej skierowała jednak jego myśli ku znakowi ogniowemu, ku armii, ku...

Musiał to przerwać. Wujek Tewk. Mają dopasować kolorem kamień. Muszą naprawić wieżę, ot co. Pęknięty kamień. Odkują go, a na jego miejsce dadzą nowy, idealnie dobrany.

– Pęknięty kamień – powiedział. – Z jego powodu tu jesteśmy.

– Ciekawe – odparł Tewk.

Musieli przejść brukowanym dziedzińcem na drugą stronę, ku wieży, przynajmniej w pobliże. W tym miejscu schody przylegały do muru.

Ale...

– Wy tam! – krzyknął ktoś.

*Nie mogę*, pomyślał Willem, odwracając się na pięcie. To był jeden z czarnych kapeluszy, z mieczem w dłoni, z marsową miną. *Nie mogę, nie mogę, nie mogę...*

Za plecami usłyszał szept stali. Tewk wyciągnął puginał. Puginał, na bogi... nie wystarczy.

Miecz był wielki. Tewk...

Tewk był oficerem w czarnym kapeluszu.

Mężczyzna stanął jak wryty, minę miał nietęgą. Zasalutował.

Tewk ani drgnął.

– Wybacz, panie – rzekł mężczyzna. – Wybacz.

– Dobry człowieku – powiedział Tewk. – Rusz się i rozpal ogień. Duży. – Skinął głową w stronę majaczącej w górze wieży. – Zbierz drużynę.

– Tak jest.

Mężczyzna schował miecz i ruszył biegiem.

Tewk nie był głupi. Willem teraz się o tym przekonał. Jemu trzęsły się kolana, a Tewk stał niewzruszony jak kamień, jak wieża.

– Nieźle – rzekł Tewk. – Piekielnie dobrze. Nawet nie musisz nic zapisywać. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Kim byłem? – spytał Willem, próbując sobie przypomnieć, co się stało, także siebie w przebraniu, i teraz mu się wszystko ułożyło.

– Starcem. Przerażonym starcem.

– To dobrze. – Spłynął potem. Muszą się stąd wydostać. Są mury, są bramy w nich, i wolność, a Mistrz powiedział, że musi wziąć Aleję ze sobą, ale on już Alei nie widział. Tu był teren pałacowy, ogromny kamienny dziedziniec, wysokie kamienne mury, w nich otwory strzelnicze i potężne wrota. Byli w miejscu, w którym czaiło się coś mrocznego, i nie mogli go opuścić, dopóki nie zrobią tego, o czym nie chciał myśleć...

A to niedobrze, bo musiał o tym myśleć i musieli dojść dalej, dopiero wtedy będzie mógł ich wyprowadzić.

*Kto ma dostęp do księcia? Kto bezpiecznie przekracza te progi?*

*Żołnierze.*

*Może.*

*Sami najemnicy. Nikt nie lubi, jak w pobliżu wałęsają się czarne kapelusze, nawet Wiggy.*

*Służący.*

Widział idących dziedzińcem dwóch mężczyzn w liberjach. Nie dostrzegł szczegółów. Musi je obejrzeć, żeby móc odtworzyć.

– Idziemy – zwrócił się do Tewka z nagłym zniecierpliwieniem, bo chciał już to mieć za sobą, zaprowadzić Tewka tam, dokąd chciał dojść... nie myśleć, co będzie dalej. Nie myśleć o tym czymś mrocznym. Wiedział, co to jest. Nie chciał wiedzieć. Nie myślał o tym. Myślał tylko i wyłącznie o dwóch służących, a im bliżej nich podchodził, tym lepiej widział, co ma odtworzyć. Tylko z większą fantazją. Fantazyjny ubiór pozwala wydawać rozkazy. Zwykły strój – jedynie je wykonywać.

Dwaj służący zmierzali do drzwi. Żołdacy na straży otworzyli je i wpuścili ich do środka.

Nas też wpuszczają, pomyślał Willem. Za drzwiami była ciemność, mrok. Nie wiedział, czy Tewk to widzi, ale on czuł, jak pełźnie przed się, jakby forteca była jakimś wielkim zwierzęciem.

Drzwi zamknęły się z łoskotem. W środku trochę światła, kilka lamp. Ciemność aż namacalna. Otaczała ich.

Kamienne schody przed nimi prowadziły w górę. To nie było główne wejście. Kamienne stopnie po prawej prowadziły w dół, skąd dochodziły zapachy jedzenia. Pieczone. Gorący chleb. Kuchnie.

Gdzie są więc komnaty księcia?

Tym razem odezwał się Tewk:

– Chodź. Tędy.

Poszedł za Tewkiem krok w krok. Byli dwoma służącymi w fantazyjnych strojach, mieli wykonać polecenie.

Byli dwoma służącymi w fantazyjnych strojach. Tewk był starszy. W porządku. Wszystko w należytym porządku.

Doszli do korytarza na piętrze i olśniło ich. Tapiserie. Lampy oliwne. Strzeliste okna, przez które wpadało dzienne światło. Na

drewnianej podłodze dywan, a za rogiem po lewej jeszcze większa komnata z kamienną posadzką. Otwarte drzwi, ciężkie draperie i tłum otaczający siedzącego za stołem i piszącego człowieka.

Lecz nie ten, który pisał, był odziany najwspanialej. Stojem wyróżniał się stojący w ciżbie brunet o groźnym spojrzeniu. Miał na sobie szaty z brokatu i aksamitu oraz kolczugę i nisko na biodrze przypasany miecz. Wzrostem dorównywał Tewkowi. Powiódł po nich wzrokiem, a spojrzenie miał największego, najpodlejszego kundla.

Straszny człowiek. Straszny. Willem się zatrzymał. Tewk nie. Tewk szedł dalej.

*Jest służącym, pomyślał Willem o Tewku. Wolno mu tu być.*

Coś pełzło nad podłogą. Czarne, przypominało mgłę, ale nie trzymało się posadzki. Unosiło się na poziomie oczu, było szybkie i owinęło się wokół mężczyzny w brokatakach, kiedy wyciągnął miecz.

*Tak wygląda Tewk, pomyślał Willem i natychmiast wyostrzył tę myśl jak nóż: Tewk wygląda dokładnie tak!*

Istotnie. Teraz było ich dwóch, a człowiek przy stole chwycił dokumenty i rzucił się do ucieczki. Ludzie otaczający księcia wyciągnęli miecze, tak samo Jindus, tak samo Tewk... a wokół kłębiła się mgła, czarna jak sadza w kominie. Dwaj szermierze ruszyli na siebie, okrążając się jak smugi dymu, zadzwoniły i zgrzytnęły klingi... Wszyscy stali, ujęli miecze w dłonie, ale nikt się nie ruszył, nikt nie widział niczego poza Jindusem, podwójnym.

*Tylko że Tewk jest lepszy, pomyślał Willem. Tewk jest silniejszy. Straszniejszy.*

Miecz ciął i jeden z walczących upadł, krew trysnęła strumieniem, obryzgała mężczyzn, kolumny, wszystko. A na środku stał Jindus, również zbryzgany krwią, z uniesionym mieczem...

Cały ten dym kłębił się i kłębił, a czary uderzyły jak młotem, czary przeciwko czarom. Willem zatoczył się i nie dostrzegł, co go pchnęło, poczuł tylko, i cofnął się. Aleja była tam gdzie on. Aleja była tutaj, a ludzie krzyczeli i przeklinali, głosy odbijały się echem od tego, czego wcale tu nie było.

Czary smagneły go jak bicz. Były mroczne, rozgniewane, ale też wylęknione i szły od jednego starca, kryjącego się w cieniu, gdzieś za Tewkiem, który odpierał atak trzech ludzi Jindusa.

*Węże*, pomyślał Willem i na ich drodze zniecka pojawiły się gady.

Lecz w ten sposób się odsłonił i czary, w które mierzył, zwróciły się przeciwko niemu, aż serce skoczyło mu do gardła i padł na czworaki, próbował wstać, próbował się bronić przed tym starcem, przed tym czymś, czego nie było tutaj, ale prawie było. Łaknęło krwi. Piło ją. Wzmacniało się. Coraz bardziej.

Lecz było też bezrozumne. Bezrozumne, nikczemne i obłąkane.

*Nie ma mnie tutaj*, pomyślał Willem. I tamten opuścił starca. *Miphrynes jest. Jest tuż...*

Jakieś żelazne ramię chwyciło go, podniosło z podłogi i postawiło na nogi, a miecz w całej swej okazałości, w silnej dłoni Tewka, oddzielił go od tego starca.

*Nie ma nas tutaj*, pomyślał szybko.

Ciemność stanęła dęba jak oszalały koń, wypełniła pokój, a potem spadła na podłogę i rozprysła się we wszystkie strony. Rozbiła się na ścianach falami, spieniła i cofnęła, grzbiety fal runęły naprzeciw siebie z wyciem, które przeniknęło Willema do kości. Mężczyźni padli na ziemię. Tylko starzec, Miphrynes, trzymał się na nogach, wyciągając przed siebie laskę, której blask miał barwę, jakiej nigdy nie widziano, jakiej świat nie widział. Oczy nie chciały na nią patrzeć. Serce nie

chciało jej pamiętać. Uszy nie chciały słyszeć dźwięku, który przetoczył się przez komnatę, przez pałac, za mury.

Ramię Tewka przyciskało Willema tak, że mało tchu nie stracił.

– Demon! – ryknął mu Tewk do ucha.

Istotnie. A w samym środku wirującego dymu znajdował się jeden człowiek. I Miphrynes zaczął przeraźliwie krzyczeć – i krzyczał, i krzyczał.

*Nie słyszę tego*, powiedział Willem do siebie, ale nie mógł się całkowicie wyłączyć. *Tewk nie słyszy. Nie ma nas tu.*

Wreszcie się skończyło. Dym uleciał. Zostały tylko kości, czarne płaszcze, a na nich zwęglone drzazgi. Wszędzie trupy zbrojnych mężów. I Jindus, nieruchomym wzrokiem wpatrzony w sufit, blady jak pergamin.

W komnacie zapadła głęboka, martwa cisza.

Gdzieś daleko, za oknem, chyba na dziedzińcu, krzyczeli ludzie. Ludzie na zewnątrz wciąż żyli.

– Zakładam, że to był czarnoksiężnik – powiedział Tewk i zwolnił uścisk. – Jesteś cały, chłopcze?

Trzy razy otwierał usta, żeby potwierdzić.

– Z Jindusem poszło łatwiej, niż myślałem. – Tewk wskazał głową stertę białych kości. – Ten... bronił się jak diabli.

– Ano – potwierdził Willem. Stał już o własnych siłach, ale w stercie kości, gdzieś w środku, czaiło się coś groźnego, właściwie zarzyło się, kiedy o nim myślał. Wziął głęboki oddech, podszedł blisko i podniósł książeczkę na łańcuchu, który wysunął się spomiędzy kości, kiedy go pociągnął. Nie chciał do niej zaglądać. Wiedział. Podszedł do kominka i wrzucił ją w ogień.

– Uff. – Patrzył, jak płonie.

– Nie tylko to musi spłonąć – rzekł Tewk. – Chłopcze, spójrz na mnie.

Nie był chłopcem. Nie w tej chwili. Chciał być, ale nawet czary nie mogły tego zmienić. Tewk spojrzał na niego i coś pojawiło się w wyrazie jego twarzy, jakby powaga i trzeźwość.

– Musimy się stąd wydostać – rzekł. – Masz jakąś sztuczkę w zanadrzu, synu? Potrafisz nas przenieść do wieży sygnałowej?

Willem myślał o tym. W głowie zdawał się mieć gęstą mgłę. W tej chwili znajdowali się w bezpiecznym miejscu, ponieważ wszyscy wokół nie żyli. To typowe dla demonów. O tym właśnie mówił mu Mistrz: można je kontrolować w ten sposób, że daje im się to, czego chcą, co jednak nie oznaczało, że w ogóle ma się nad nimi jakąś władzę... Pomimo wszystko to wciąż one tego chciały, ponieważ to one były na swoim Miejscu. A jeśli chce się sprowadzić demona prosto do swojego Miejsca, żeby móc go kontrolować, i tak pozostaje problem, bo trzeba nadać mu kształt, żeby mógł w nim żyć, a jeśli chce się go zmusić do zrobienia czegoś, trzeba znaleźć coś innego, czego on chce. A to oznacza, że trzeba być silniejszym od tej postaci... Miphrynes nie był silniejszy od Jindusa... ani dość sprytny, żeby przechytryć demona.

Mimo wszystko Miphrynes wcale nie musiał być sprytniejszy od tego konkretnego demona. Demon dostał krew. Dużo krwi. I kilka dusz. I wrócił do swego bezpiecznego Miejsca. Gdziekolwiek ono się znajdowało. Ktoś miał nadzieję, że tam wrócił.

Willem chciał stąd iść. Natychmiast. Samo chcenie jednak nie wystarczy. Musiałyby ruszyć stopy.

– Willem! – Tewk dogonił go przy drzwiach i chwycił za ramię. – Wszędzie pełno najemników. Nie wiedzą, że Jindus nie żyje. Mogli słyszeć, że coś się dzieje. Czy możesz...

– *Ty jesteś Jindusem* – powiedział Willem i Tewk stał się Jindusem. Nie było to nawet trudne.

Tewk spojrział na swe ręce, z wyglądu ciemniejsze teraz i pokryte bliznami, dokładnie takie jak u Jindusa, który leżał martwy na podłodze.

Tewk zdawał się lekko zaniepokojony.

– Potrafisz – rzekł Willem. – Pójdziemy tam, a ty im rozkażesz rozpaść ogień.

– Uda się, o ile nikt nie wyjdzie z tego pokoju – odparł Tewk. – Gdzie jest starzec? Skryba?

Starzec przy stole, teraz przewróconym. Papiery porozrzucone, kałamarz na posadzce, atrament rozlany.

Starzec zniknął.

\* \* \*

W korytarzach na piętrze było pusto. Warto było podtrzymać iluzję postaci Jindusa, pomyślał Willem, bo nie wszyscy pewnie uwierzyli w śmierć księcia. Jako najemnik, zwykły żołnierz w czarnym kapeluszu u boku Tewka, prawie biegł. Bocznyymi wąskimi schodami, które ich tu zaprowadziły, zbiegali na dół z rumorem i tupotem.

Minęli schody kuchenne. Zeszli aż do drzwi prowadzących na zewnątrz i Tewk wyciągnął miecz.

– Otwórz – powiedział i Willem pociągnął zasuwę i otworzył drzwi.

Strażników nie było. Po całym dziedzińcu uwijali się żołdacy, otwierali składy i schowki, nosili różne rzeczy jak rojące się w zniszczonym kopcu mrówki.

– Wiedzą – rzekł Tewk. – Wiedzą, że nie żyje. Zaraz dowie się miasto. Pewnie już zaczęło się tam rabowanie, ale złoto jest tutaj.



Musimy ściągnąć tu wojska Osrica. Dostać się do wieży sygnałowej. Szybko.

Chcieli, ale wtedy właśnie dostrzegło ich kilku zajętych plądrowaniem żołdaków. Rzucili na ziemię to, co nieśli. Jeden wyciągnął miecz, nawet nie próbując się tłumaczyć z tego, co robią. Jindus nie żył. Jindus żył, ale jego autorytet upadł. A ten kłopot najemnicy chcieli teraz rozwiązać mieczem.

Potrzebowali wojsk Osrica. Musieli zobaczyć wojska Osrica wkraczające do twierdzy.

I Willem to zrobił. *Zobaczył je. Mężczyźni po drugiej stronie dziedzińca byli ludźmi Osrica, mężczyźni zakuci w błyszczące zbroje, ze Smokiem króla na płaszczach...*

Wyciągnął rękę i wskazał ich. Nawet Tewk, z mieczem w dłoni, stanął jak wryty, popatrzywszy w tym kierunku. Kilku najemników zmierzających w ich stronę spojrzęło za siebie, a potem odwróciło się, nie wiedząc, co myśleć.

Również inni się odwrócili i natarli na tych, których zobaczyli: zdziwionych mężczyzn z mieczami w dłoniach. Rozgorzała walka, jedni przeciw drugim.

*Jesteśmy najemnikami, pomyślał Willem. Jesteśmy zwykłymi najemnikami, którzy tu przystanęli.*

Tewk złapał go za ramię, mocno, i rozdarł iluzję. Zabolało, prawie utracił wszystko, na dziedzińcu zostali tylko najemnicy walczący w rosnącym zamieszaniu. Teraz oni też byli ludźmi Osrica. Willem nie miał pojęcia, jak wyglądają ludzie Osrica, ale wiedział, że chorągiew jest zielona, a smok złoty, i do tego dołożył każdemu porządne uzbrojenie i rude włosy.

– Musimy dostać się do wieży! – krzyknął do niego Tewk. – Chodź!

Żołdacy i ludzie Osrica padali martwi wszędzie tam, gdzie trwała walka. Martwi przypominali po prostu żołnierzy. A on miał dość roboty z utrzymywaniem iluzji, poświęcając uwagę raz jednej, raz drugiej grupie: którakolwiek zwycięży, stanie się ludźmi Osrica.

Nie dawał jednak rady w nieskończoność dzielić obu grup, gdy Tewk nagląco ciągnął go za rękaw. Nie mógł robić dwóch rzeczy naraz. Nie mógł iść z Tewkiem, żeby rozpaść znak ogniowy, i jednocześnie zatrzymać na dziedzińcu horde żołdaków, którzy natychmiast uciekliby przed ludźmi Osrica i ruszyli za nimi. Żeby wywołać tę jak dotąd w jego życiu najszybciej zmieniającą się iluzję, musiał się nateńczyć jak nigdy. Pocił się, tracił oddech, a Tewk gwałtownie wybił go z transu i wrzasnął:

– Ogień, do cholery! Uciekają przez bramę... złupią miasto!

Wtedy pomyślał: *Chcę, żeby zapłonął ogień. Ogień już tam płonie.*

W jednej chwili Tewk przestał go ciągnąć. Patrzył w górę, a tam płonął ogień, wielki ogień, żeby wszyscy widzieli. To była największa iluzja, jaką Willem wywołał, a tylko stał tutaj, tak samo jak Tewk, obaj we własnej postaci, a płomień huczał na wysokości, na wieży, i czarny dym unosił się z niego aż pod niebiosa.

Czy ludzie Osrica go widzą? – zastanawiał się Willem. – Czy widać go z tak daleka?

Zadźwięczało ostrze o ostrze. Głucho weszło w ciało i umierający mężczyzna upadł Willemowi pod nogi. Tewk objął go za ramiona i pchnął przed siebie, biegiem, biegiem, a sam zawrócił i rąbnął następnego zbrojnego.

Gdyby był Mistrzem... a choćby Almore'em, miałby szansę. Nie wiedział nawet, gdzie jest pochodnia. Nie wiedział, co powinien zrobić. Dopadł schodów. Biegł na górę co sił w nogach, Tewk tuż za nim, ale

goniący nie chcieli zostawić ich w spokoju, Tewk więc przystanął, żeby zatrzymać pościg na schodach.

Willem na czworakach dotarł do szczytu, na samą krawędź muru, i mógł już zajrzeć w głąb wieży, gdzie leżał stos drewna, stały stągwie z oliwą, ale nie było podpałki, za to pilnował jej jeden najemnik, ten sam, któremu kazali rozpalić ogień. Wyciągnął miecz, a w umyśle Willema zapanowała pustka. Nie ma ognia. Nie ma pochodni. Nie ma jak go rozpalić.

Chciał tego. W przeciwnym razie wszyscy w mieście zginą, król Osric utknie pod murami, żołdacy opanują miasto, a Mistrz, Almore, Jezzy...

Uchylił się przed mieczem. Mężczyzna zrozumiał, że to Tewk jest zagrożeniem: to Tewk nadchodził, był tuż za nim.

Co oznaczało, że jemu zostało zająć się stosem drewna leżącym na kamiennym palenisku. I oliwą, która wciąż wypełniała stągwie.

Ogień nie słuchał czarów wywołujących iluzje. Żar nie musi się pojawić.

Za jego plecami szczęknęły miecze. Dwa razy. Jak uderzenia młota kowalskiego.

Szły iskry. Iskierki.

*Rozpal się!*, pomyślał.

I ogień zapłonął.

Drewno się zajęło. Buchnęły płomienie. Stągwie popękały, a ogień przeniósł się pod mur i ryczał teraz jak zwierzę.

Biło od niego gorąco. To nie działo się w jego myślach. To się działo naprawdę.

Czarodziej Mistrz... prawdziwy czarodziej, mistrz...

Czy Mistrz nie uczył Almore'a? Czy nie nauczył także jego?

Poczuł kartkę papieru, którą włożył za pazuchę. Tę zapisaną przez Mistrza, który nazwał mistrzem jego.

Stał tam i patrzył na idący ku niebu dym, żar ognia niemal go parzył i wywoływał poty, aż na ramię spadła mu czyjaś ręka i ścisnęła mocno.

– Dobrze – rzekł Tewk. – Bardzo dobrze, chłopcze.

– Mistrzu Willemie – sprostował bez dumy, bez arogancji, po prostu drętwo. Daleko, pod murami, widział ciągnących falami najemników, objuczonych łupami albo nie, i bramy, z których wylewali się ludzie zmierzający na dziedziniec. Nie ociągali się.

– Mistrzu Willemie – poprawił się Tewk i jeszcze raz ścisnął go za ramię. – Jeszcze mamy zadanie do wykonania, ty i ja. Twoje zdolności zagonią tych sukinsynów do bram. Ja zlikwiduję tych, którzy są za nami. Dobrze? Masz na to dość siły?

– Ludzie nie mogą zostać zabici – powiedział, przypominając sobie o nakazie Mistrza. Nikogo nie zabił. Nie próbował nikogo zabić. Jeśli ktoś miał skłonności do zabijania, to on nie umiał go powstrzymać, ale nie mógł też nikogo zmusić, żeby zrobił coś, czego ten nie chciał zrobić. Odwrócił się, trochę niepewnie, oszołomiony widokiem prowadzących w dół stromych i wąskich schodów, ale Tewk chwycił go pewną ręką. – Zrobię to.

– Dopóki nie wyczarujesz sobie skrzydeł – powiedział Tewk – będę cię trzymał. Nie puszczę, nie bój się.

– Dziękuję – powiedział i zaczął schodzić po schodach, a ręka Tewka cały czas trzymała go mocno za kołnierz.

\* \* \*

Król Osric stanął z całym dworem w miejskich rezydencjach. Gdzieś tam, w domku przy Alei, Mistrz zaczął się pakować. Wracał do swego

domu na wzgórzu, będzie pracował dla kuzyna Tewka, tego z drugiej linii, który miał zostać nowym księciem Wiscezanu.

– Jest troszkę leniwy – powiedział Tewk o kuzynie. – Zobaczycie, że osiądzie tam, gdzie nic mu nie grozi, w Korianth. Jest wszak uczonym, nie wojownikiem. Polubisz go, panie – zwrócił się do Mistrza, a Mistrz skinął głową.

Almore i Jezzy już się spakowali, bo Mistrz powiedział im, że każdy dostanie własny pokój, prawdziwe łóżko, sześć zmian bielizny i służącego.

Willem przypuszczał, że też będzie miał swój pokój. Nowe ubrania już miał, o starych nawet nie chciał myśleć. Wziął kąpiel w Wesołym Wole, przebrał się w strój cały w takim samym kolorze – szarym – nowe buty prosto od szewca i szary płaszcz, który tak lubił gładzić, gdyż w dotyku był równie aksamitny i miękki jak koty Jezzy’ego.

Nie wiedział jednak, teraz, kiedy wszyscy, także sam Mistrz Kazimierz, zwracali się do niego Mistrzu Willemie, dokąd właściwie pójść. Nie miał też nic do zabrania, z wyjątkiem starego noża, który lubił, i kilku kartek od Mistrza, które zamierzał zszyć jako zaczątek księgi. Położył to wszystko na stole, a Mistrz jeszcze rozmawiał z Tewkiem.

Król Osric zajął miasto, a także fortecę bez rozlewu krwi, nie doszło też do grabieży, choć u Wiggy’ego zniszczono wszystkie meble i rozbito kufle. Teraz miał dostać nowe, bo król zarządził wypłatę odszkodowań, więc Wiggy i jego córka byli zadowoleni, czuli się wręcz bogaci.

Prawie wszystkie zniszczenia usunięto. Mistrz też dokonał kilku napraw: czuł się znacznie lepiej, odkąd w mieście nie było już demona, i wyraźnie odmłodził, co nie było wcale iluzją – Willem był tego całkiem pewien.

Tak więc każdy miał jakieś widoki na przyszłość, i przed nim też rysowała się ona świetliście. Nie wiedział tylko, co nią będzie.

Dopóki nie przyszedł Tewk i nie położył mu ręki na ramieniu, gdy stał tak w otwartych drzwiach domku.

– Jesteś świetny – rzekł Tewk. – Widzisz, świat nie kończy się na Wiscezanie. Mam kuzyna w Peghary, który potrzebuje porady. Dosiadałeś już konia?

Nie. Gdyby był Jezzym, miał umiejętności Jezzy'ego, nie obawiałby się jazdy, a tak bał się koni. Były duże. Niezależne.

Tewk namawiał go, by ruszył w drogę. I odwiedził różne miejsca. Peghary. Kiedyś słyszał o niej.

– Mistrz może mnie potrzebować – powiedział. Wciąż ciążył na nim ten obowiązek. Mistrz polegał na nim bardzo długo.

– Dam sobie radę – rzekł Mistrz. – Zwolnię cię na parę miesięcy. Zajmę się tymi dwoma. Dorastają. Oni zadbają o wszystko.

Dotąd Mistrz nie wspomniał nic o jego pokoju. A z Tewkiem...

Przyzwyczaił się do Tewka. Tewk był mądry, choć inaczej niż Mistrz. Jeszcze było wiele rzeczy do nauczenia.

Miejsc do zobaczenia.

Skinął głową, błędząc wzrokiem po bruku Alei.

Istotnie, Tewk go potrzebował. Nie on jeden potrafił wywoływać iluzje. Kuzyn w Peghary, cholera.

Może był tam jakiś kuzyn.

– Jasne – powiedział. – Dobrze. Mogę jechać.

*Urodzona w rolniczym stanie Vermont **K.J. Parker** należy do nowego pokolenia pisarzy fantasy, którzy swoimi powieściami wydanymi w ostatniej dekadzie odmienili gatunek miecza i czarów. Zanim poświęciła się pisarstwu, Parker pracowała jako prawniczka, dziennikarka i numizmatyk. Jej debiutancka powieść Colorsin the Steel ukazała się w roku 1998 jako pierwszy z tomów trylogii Fencer i poprzedziła dwie następne trylogie: Scavenger oraz wysoko ocenionego przez krytykę Engineera. Najnowsze książki Parker to The Company i The Folding Knife oraz nowela Purple and Black. Pisarka wraz z mężem adwokatem mieszka na południu Anglii, czas wolny poświęcając metaloplastyce i snycerce.*

**K.J. Parker**

**PRACOWITY I**

**UROZMAICONY TYDZIEŃ**

Spojrzał na mnie tak, jak oni wszyscy patrzą.

– A więc to ty.

– Tak – powiedziałem.

– Tędy.

Przez skwerek. Wóz przywiązany do ogrodzenia. Chuda szkapa. Całkiem niedawno wiózł tą furą gnój. Siadłem obok niego, z torbą na kolanach, owinąwszy ciasno nogi derką, i sam się ze sobą założyłem, że wiem, co zaraz powie.

– Nie wyglądasz na czarodzieja – rzekł.

Zasłużyłem sobie na dwie nomizmy.

– Nie jestem czarodziejem – odparłem.

Zawsze tak mówię.

– Prosiliśmy Ojców, żeby przysłali...

– Nie jestem czarodziejem – powtórzyłem – jestem filozofem. Nie ma czegoś takiego jak czarodzieje.

Nachmurzył się.

– Prosiliśmy Ojców, żeby przysłali czarodzieja – dokończył.

Miałem na to gotową mówkę. Mógłbym ją wygłosić z zamkniętymi oczami, nawet myśleć w tym czasie o czymś zupełnie innym. Zawsze wychodzi mi lepiej, kiedy nie myślę o tym, co mówię. A mówię, że nie jesteśmy czarodziejami, że nie uprawiamy czarów, że nie ma czegoś takiego jak czary. Tylko że zgłębiamy filozofię naturalną, że specjalizujemy się w energii mentalnej, telepatii, telekinezie, pośrednich wizjach. To nie czary: to nauka, choć jeszcze nie do końca rozumiemy, jak to wszystko działa.

Spojrzałem na niego. Płaszcz z kapturem zrobiony miał z rzadko tkanego, dość szorstkiego samodziału w rodzaju tych, jakie wyrabia się na wrzosowiskach. Łaty na nim miały różne odcienie, co znaczyło, że pochodziły z jeszcze starszego odzienia, którego żywot dobiegł kresu i nie zostało zeń nic, co dałoby się nosić. Buty z cholewami wyglądały na wojskowe. W okolicy stoczono kilka bitew, jakieś trzydzieści lat temu, w czasie wojny domowej. Jego buty przypominały fasonem obuwie noszone w owe lata. Kto nie marnuje, temu nie brakuje.

– Żartuję – powiedziałem. – Jestem czarodziejem.

Zerknął na mnie, potem znowu na drogę. Nie zyskałem w jego oczach, ale też nie straciłem, bo i nie miałem czego stracić. Czekałem



na dobry moment, żeby poruszyć temat.

Z mojego rozeznania wynikało, że najlepiej trzy mile za miastem. Odezwałem się:

– No to powiedz, o co chodzi.

Miał duże dłonie: nieproporcjonalnie duże do przegubów, które wyglądały jak kości pomalowane na kolor skóry.

– Brat napisał do ciebie list – odparł.

– Tak – potwierdziłem roztropnie. – Chcę jednak, żebyś to ty mi powiedział.

Cisza, która zapadła, oznaczała raczej namysł niż grubiaństwo czy dąsy. Potem rzekł:

– Mnie lepiej nie pytać. Nic a nic się na tym nie znam.

Nigdy nie chcą ze mną gadać. Muszę przyznać, że to moja wina. Stosowałem najrozmaitsze metody. Próbowałem być przyjacielski, co nie prowadziło do niczego. Próbowałem się nie odzywać ani słowem, dopóki z własnej woli nie podzielią się nowinami, co zapewnia święty spokój. Czytam książki o rolnictwie, więc mogę całkiem do rzeczy rozprawiać o zbiorach, mleczności krów, cenach na rynku i pogodzie. Kiedy podejmuję te kwestie, kończy się na tym, oczywiście, że gadam do siebie. Właściwie nie mam kłopotu z mówieniem do siebie. Na wsi to jedyny sposób na znalezienie sobie inteligentnego rozmówcy.

– Truposz – ponagliłem go. Nigdy nie mówię „umarły”.

Wzruszył ramionami.

– Umarł jakieś trzy miesiące temu. Nie miał kłopotów aż do kocenia się owiec.

– Rozumiem. A potem?

– Zaczęło się od owiec – rzekł. – Od starego tryka z przetrąconym karkiem i jeszcze trzech samic. Wszyscy uważali, że to sprawka wilków,

ale powiedziałem, że wilki nie łamią karków, że zrobiło to coś, co ma ręce.

Przytaknąłem. O tym wiedziałem.

– A potem?

– Następne owce – powiedział – i pies, a potem staruszek, który krążył od zagrody do zagrody i sprzedawał różne rzeczy, guziki i igły, jakieś drobiazgi, które robił z kości. Kiedy go znaleźliśmy, uznaliśmy, że najlepiej będzie powiedzieć właścicielowi folwarku, a on posłał dwóch swoich, żeby stróżowali w nocy. Ich spotkało to samo. Powiedziałem, że to nie wilk. Wiedziałem przecież, nie? Widziałem wcześniej.

Tego nie było w liście.

– Naprawdę? – spytałem.

– W dzieciństwie – odparł (i teraz wiedziałem, że właśnie to zmuszało go do milczenia). – Dokładnie to samo: owce, potem wędrowcy, potem trzech ludzie księcia. Mój dziadunio wiedział, co to jest, ale nikt nie chciał go słuchać. Wiedział o tym dużo, mój dziadek.

– Co się wydarzyło? – spytałem.

– Dziadek, ja i mój kuzyn z sąsiedztwa wzięliśmy łopaty, kilofy i siekiery i poszliśmy wykopać tego starego, który umarł. A on był cały spuchnięty, jakby dostał reumatyzmu, i w dodatku purpurowy, jak winogrona. No więc odcięliśmy mu głowę, starą studnię oczyściliśmy z błota i wrzuciliśmy do niej głowę, i było po wszystkim. Żadnych więcej kłopotów. Nie rozpowiadaliśmy o tym, uważasz. Bratu by się to nie spodobało. Śmieszny był z niego gnojek.

Cóż, pomyślałem.

– Dobrze zrobiliście – powiedziałem. – Twój dziadek najwyraźniej był lebski gość.

– A pewnie – odparł. – Dużo wiedział.

Obliczałem w pamięci. W dzieciństwie, czyli mniej więcej pięćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt lat temu. Dość długa przerwa, ale takie też bywały. Miałem ochotę zapytać, czy coś takiego zdarzyło się wcześniej, ale powstrzymałem się w samą porę. Jeśli mądry dziadek dokładnie wiedział, co trzeba zrobić, to nie można zaprzeczyć, że nauczył się tego wcześniej, albo przyglądając się, albo pomagając; przypuszczalnie niejednym razem.

– Truposz... – powiedziałem.

– Ten. – Fura znaczeń mieściła się w tym słowie. – Przybysz z daleka – wyjaśnił.

– Aha – przytaknąłem.

– Mówił, że jest nauczycielem – dalsze wyjaśnienia. – Ja tam nie wiem. Razem z Bratem chcieli założyć szkołę, uczyć chłopców liter i liczenia, takie tam, ale mówiłem, że to strata czasu, bo tu, u nas, nikt nie puści chłopców do szkoły latem, gdy jest robota, a zimą jest za ciemno i zimno, żeby chodzić pięć mil wte, pięć mil wewte, żeby tylko się czegoś tam z książek uczyć. Do tego chcieli zapłaty, dwa pensy za pół roku. Ludzi tutaj nie stać na płacenie za jakieś banialuki.

Pomyślałem o własnym dzieciństwie, ale nic nie powiedziałem.

– Skąd przyszedł?

– Z południa. – No tak, oczywiście. – Zagadałem, że pewnie jest z daleka. Nie zaprzeczył. Powiedział, że to jego powołanie, cokolwiek miało to znaczyć.

Zanim dojechaliśmy do gospodarstwa, zrobiło się ciemno. Obejście wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewałem: długa, niska chata kryta darnią, zbudowana z drewna i gliny, z okapem zwisającym stopę nad ziemią. Na tej wysokości drzewa rosły cherlawe, dlatego drewno

szachulcowe trzeba było wozić ze Świętej Trójcy wybrzeżem na wielkich frachtowcach o małej wyporności, a następnie transportować drogą lądową. Do piętnastego roku życia spałem pod dachem z darni i do dziś mam z tego powodu koszmary.

Łaska boska, że Brat czekał na mnie. Był młodszy, niż przypuszczałem: wiejscy Bracia zwykle kojarzą się z grubymi mężczyznami o pooranych bruzdami twarzach albo chudymi i suchymi jak gałąź o cienkiej, papierowej korze. Brat Stauracjusz liczył pewnie niewiele ponad trzydzieści lat: wysoki, o szerokich ramionach i niemal dosłownie kwadratowej głowie, miał włosy obcięte krótko jak rżysko i błękitne, wyblakłe oczy. Nawet widząc go bez habitu, nikt nie pomyliłby go z rolnikiem.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś – powiedział tonem człowieka z miasta, wykształconego, dość wysokim jak na mężczyznę jego postury. Słowa zabrzmiały poważnie. – Długa droga. Mam nadzieję, że podróż nie była taka okropna.

Zastanawiałem się, co straszego zrobił, że tu trafił.

– Dziękuję za list – odparłem.

Kiwnął głową, szczerze zadowolony.

– Martwiłem się, nie wiedziałem, co napisać, a co przemilczeć. Obawiam się, że nie mam doświadczenia w tego rodzaju sprawach, najmniejszego. Z całą pewnością ty powinienesz dowiedzieć się o wszystkim znacznie więcej.

– Wygląda to na podręcznikowy przypadek – powiedziałem.

– Istotnie. – Bardzo szybko kilkakrotnie pokiwał głową. – Zajrzałem oczywiście do *Statutów i procedur*, ale wiadomości na ten temat są tam skąpe, zaprawdę skąpe. No cóż. Najwidoczniej takie sprawy trzeba zostawiać specjalistom. Im więcej szczegółów, tym większa zachęta dla

głupców, żeby wtrącali się w to, co do nich nie należy.

Pomyślałem o dziadku: dwie łopaty i siekiera, robota skończona. A jednak nie, inaczej by mnie tu nie było.

– Właśnie – rzekłem. – Jesteś więc pewien, że nikt i nic nie umarło w ciągu sześciu miesięcy od pierwszego ataku.

– Zupełnie pewien – odparł, jakby jego życie od tego zależało. – Nikt poza biednym Antemiuszem.

Nikt mnie nie poprosił, żebym usiadł, a tym bardziej zdjął buty. Do diabła. Przysiadłem na skraju ławy.

– Nie powiedziałaś, jak umarł.

– Wychłodzenie. – Brat Stauracjusz wyglądał na bardzo zasmuconego. – Złapała go w drodze burza śnieżna i zamarł na śmierć, biedak.

– Niedaleko?

– Wcale nie. – Przelotne nachmurzenie, jak pęknięcie w ścianie. – Znaleźliśmy go jakieś dwie mile stąd, na dużym pastwisku między górami a rzeką. Miejsce to jest oddalone od wszystkich siedzib, więc przypuszczalnie zgubił w śnieżycy drogę i błąkał się w kółko, aż zamarł.

Myślałem o tym.

– Zatem w drodze powrotnej – powiedziałem.

– Sądzę, że tak.

Potrzebowałem mapy. Niemal zawsze potrzebna jest mapa i prawie nigdy jej nie ma. Gdybym został kiedyś Cesarzem, kazałbym cały kraj pomierzyć i zrobić mapy, a plan każdej parafii powiesić w zakrystii.

– Nie sądzą, żeby to miało znaczenie – skłamałem. – Zaprowadź mnie na grób.

W rozwodnionych źrenicach mignął popłoch.

– Rano.

– Jasne, rano – rzekłem.

Trochę się uspokoił.

– Zostaniesz tu na noc, oczywiście – powiedział. – Obawiam się tylko, że warunki...

– Wychowałem się na wsi – uspokoiłem go.

W przeciwieństwie do niego.

– Zatem w porządku – odparł. – Teraz chyba powinniśmy dosiąść się do naszych gospodarzy. Wieczorny posiłek podaje się w tych stronach dość wcześnie.

– Dobrze – powiedziałem.

\* \* \*

Spędzić noc pod dachem z darni to jak położyć się do grobu. Oczywiście są w nim krokwie. Widać je, gdy tak leży się w ciemności, nie mogąc zasnąć. Wzrok od razu się na nich zawiesza, gdy tylko rozcieńczy czerń do szarości, do całej gamy coraz jaśniejszych szarości: widać krokwie, a nie spód darni. Zdążyła stwardnieć od dymu, dlatego się nie kruszy. Na twarz nie spada z niej robactwo. A mimo to, choćby nie wiem jak długo się przyzwyczajając, ile razy powtarzać to samo, wrażenie nie znika. Leży się tak, wpatruje w korzonki trawy, a po głowie płacze się myśl: czy tak właśnie będzie?

Oczywiście odpowiedź brzmi: nie. Po pierwsze, strop będzie znacznie niżej: będzie to wieko trumny, o ile jest się szczęściarzem, żeby zostać pochowanym w trumnie, albo w ogóle nie będzie stropu, tylko ziemia ciśnięta na twarz. Po drugie, człowiek nie będzie go widział, bo będzie martwy.

A jednak nie można powstrzymać się od rozmyślań. Przede

wszystkim chodzi o temperaturę. Darń jest świetnym izolatorem: chroni przed chłodem zimą i przed upałem w lecie. Ale nie przed wilgocią. Gdy człowiek tak leży na plecach, od razu zdaje sobie z tego sprawę. Zatem o ile pochowają mnie w grubej koszuli, nie będzie mi zimno ani też gorąco latem, za to wilgoć może dokuczyć. Przenika do kości. Człowieka może dopaść śmierć.

A kiedy się tak leży – wszyscy inni śpią jak kamień: żadnych majaczeń, żadnych pytań, ciężko pracowali cały dzień, więc po prostu śpią, niech się dzieje co chce – zaczyna się słyszeć różne odgłosy. Sama darń jest całkiem milcząca. Nie skrzypi jak drewno, które powoli się rozsycha, ani nie przecieka. Słyszać za to głuche uderzenia, stąpanie nad głową. Łup, łup, łup, przerwa, a potem znowu łup, łup, łup.

Dzieciom, które o to pytają, mówi się, że to hałasuje truposz ujeżdżający kalenicę. Dorośli mówią, że zmarły wstaje z grobu, wchodzi na dach, siada na kalenicy i kiwa się w przód i w tył, waląc piętami w darń jak jeździec ostrogami w końskie boki. Dzieci w to wierzą: sam nigdy nie byłem pewien, czy dorośli również. Oczywiście, gdy się dorasta, gdy opuszcza się gospodarstwo i trafia do jakiegoś bardziej cywilizowanego miejsca, gdzie takie rzeczy się nie zdarzają, w końcu zaczyna się rozumieć: hałas wywołują owce, które w nocy wskakują na dach, krążą po nim w poszukiwaniu delikatnej, słodkiej trawy, która tam rośnie, i dzikiego pora, swej ulubionej rośliny. Owce, które głośno beczą, nie mają nic wspólnego z truposzami. Przypuszczam, że po prostu dorośli o tym wiedzą, a ta gadka o truposzu pomaga trzymać dzieciaki w nocy w domu, powstrzymać je przed wałęsaniem się pod nocnym niebem (choć nie potrafiłem nigdy zrozumieć, dlaczego miałyby one tego pragnąć). Albo inaczej: dawno temu, w dniu, o którym pamięć zaginęła w pomroce dziejów,

jakiś mądrała o wyjątkowo spaczonych wyobraźni wymyślił historyjkę o truposzach, żeby postraszyć swoje dzieci, a one uwierzyły i nigdy nie odkryły, że to owce, i opowiedziały to swoim dzieciom, a one swoim i tak się to toczyło przez pokolenia. Do końca życia można tego nie odkryć, chyba że wyjedzie się z domu, czego właściwie nikt nie robi. Z wyjątkiem mnie.

No i rzeczywiście. Zapadałem już w sen, kiedy zaczęło się tupanie. Łup, łup, łup, przerwa, łup, łup, łup. Niech to. Byłem wykończony i potrzebowałem choć trochę snu, a te cholerne owce spacerowały mi nad głową. Do diabła, pomyślałem i wstałem.

Otworzyłem drzwi tak cicho, jak tylko potrafiłem, żeby nikogo nie obudzić, i przystanąłem w nich na chwilę, żeby wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Ktoś zostawił laskę opartą o framugę. Wziąłem ją na wypadek, gdyby jakaś owca znalazła się w zasięgu ręki.

Znowu coś się poruszyło. Odsunąłem się od ściany na tyle, żeby widzieć dach.

To nie była owca. To był truposz.

Siedział okrakiem na dachu, z nogami zwieszonymi po obu stronach kalenicy, jak chłop wracający z jarmarku. Ręce wsparł na biodrach i patrzył w dal, na wschód. Był zaledwie czarnym kształtem rysującym się na tle nieba, ale coś w tym, jak siedział, zwracało uwagę: spokój. Wiedziałem, że mnie nie widzi, i wcale nie miałem ochoty ogłaszać mojej obecności. Gdybym powiedział, że się nie bałem, nie mógłbym oczekiwać, że mi ktoś uwierzy, lecz strach nie był w tej chwili najważniejszy. Przede wszystkim byłem zaintrygowany.

Nie mam pojęcia, jak długo tak stałem, a on siedział. Dotarło do mnie, że z góry założyłem, że to truposz. Patrząc na sytuację logicznie, dużo bardziej prawdopodobne było, że jest żywy i ma swoje powody,



by wchodzić na dach w środku nocy. No cóż, dobry czas i miejsce na logiczne myślenie.

Odwrócił głowę, spojrział w dół na kalenicę, uniósł stopy i trzy razy walnął piętami w dach: łup, łup, łup. (W tym momencie zdałem sobie sprawę z błędu w swym wcześniejszym rozumowaniu. Trzy stąpnięcia. Zawsze trzy, odkąd pamiętam z dzieciństwa. Ile trójnożnych owiec chodzi po świecie?). Nagle księżyc wyszedł zza chmur, a my spojrzeliśmy na siebie. Ja i on.

Mój gospodarz miał rację: był purpurowy jak winogrona. Albo posiniaczony: całe ciało wyglądało jak jeden wielki siniak. Spuchnięty, tak powiedział. Możliwe, chyba że był wielkoludem, o ramionach i udach dwa razy grubszych niż u przeciętnego człowieka. Oczy miał białe, bez źrenic.

– Witam – odezwałem się.

Pochylił się nieco do przodu i przyłożył dłoń do lewego ucha.

– Musisz mówić głośniejsze – powiedział.

Słowa wypowiedziane przez zmarłego: purpurowego, spuchniętego mężczyznę siedzącego okrakiem na dachu.

– Powiedz mi – rzekłem głośniejsze – dlaczego to robisz.

Spojrział na mnie, może nieco niezupełnie na mnie. Nie miałem pewności, czy jego usta się poruszyły, ale niski, gulgoczący dźwięk bez wątpienia był śmiechem.

– Co takiego?

– Ujeżdżasz dach jak konia – wyjaśniłem.

Wzruszył ramionami powolnym, nienaturalnym ruchem, jakby nie wiedział, czym jest wzruszenie ramion, tylko naśladował kogoś, kogo widział dawno temu.

– Nie wiem – odparł. – Czuję impuls, więc to robię.

No tak, pomyślałem. Jedna z wielkich, długotrwałych tajemnic mojego dzieciństwa nie do końca się wyjaśniła.

– Jesteś Antemiusz? – spytałem. – Nauczyciel?

Znowu śmiech.

– Bardzo dobre pytanie – rzekł. – Coś ci powiem. Wejź tu i usiądź obok, nie będziemy musieli do siebie krzyczeć.

W świetle księżyca wyraźnie widziałem ogromne dłonie i palce jak przejrziałe owoce. Skóra musiała być strasznie napięta pod wpływem wewnętrznego ciśnienia. Gdyby złamać mu kark, wydałby dźwięk jak miękka gruszka spadająca z drzewa.

– Spróbuję inaczej – powiedziałem. – Czy byłeś Antemiuszem? Kiedy...

– Tak – odparł szybko, jakby bał się usłyszeć oczekiwane słowo. – Chyba byłem. Dziękuję – dodał. – Próbowałem sobie przypomnieć. Miałem to na końcu języka, ale jakoś nie umiem przypomnieć sobie żadnego imienia.

Urzędowo zatwierdzone postępowanie wobec niespokojnych zmarłych polega, z grubsza rzecz biorąc, na podjęciu takich działań, jakie podjął dziadek, chociaż zwykle robimy wokół tego znacznie większe zamieszanie. Urzędowo zatwierdzoną procedurę powinno się, oczywiście, przeprowadzić w dzień. Wskazane jest południe. Gdyby zaś spotkało się takiego osobnika w nocy, mamy dwa rozwiązania, oba zalecane, choć nie zatwierdzone. Pierwsze polega na tym, żeby wyciągnąć miecz i uciąć mu głowę. Drugie na tym, by sprowokować do zabawy w łamigłówni i tak długo utrzymywać w napięciu jego uwagę, aż nadejdzie świt i odetnie mu drogę powrotu jak odpływ wyrzuconej na piasek rybie.

Słowo wyjaśnienia. Nie należę do ludzi czynu. Nie skaczę po

dachach, nie noszę broni. W młodości opuściłem gospodarstwo między innymi dlatego, że miałem kłopot z noszeniem nawet małych ciężarów. To tyle, jeśli chodzi o pierwszą opcję. Jeśli zaś chodzi o drugą...

Poza tym byłem dociekliwy. Zaciekawiony.

– Co ci się przydarzyło? – spytałem.

– Widzisz, nie wiem dokładnie – odparł, a jego głos zaczynał przypominać głos człowieka, mój słuch uczył się go, tak jak wzrok przywykał do ciemności. – Wiem, że byłem na dworze, padał śnieg i zabłądziłem. Strasznie zmarzłem, tak że wszystko mnie bolało. Potem ból zaczął ustępować i zapadłem jakby w sen.

– Umarłeś – powiedziałem.

Nie spodobało mu się, że to powiedziałem, ale chyba mi wybaczył.

– Pamiętam, że się obudziłem – zaczął – a wokół było ciemno choć oko wykol i strasznie cicho, i nie mogłem się poruszyć. Przestraszyłem się. I wtedy dotarło do mnie, że nie oddycham. Co nie znaczy, że wstrzymałem oddech. W ogóle nie oddychałem i nic to nie zmieniało. Więc teraz wiem.

Czekałem na dalszy ciąg, ale nie mogłem czekać całą noc.

– A potem? – zapytałem więc.

Odwrócił głowę. Łysą, purpurową. Głowę jak śliwka.

– Przeraziłem się – rzekł. – Poważnie, nic nie rozumiałem. – Przerwał, a ja nie miałem pojęcia, co mu chodzi po głowie. – Długo trwało, ale okazało się, że mimo wszystko mogę się ruszać. Oparłem dłonie na wieku i pchnąłem. Poczulem, że drewno pęka. To przeraziło mnie jeszcze bardziej, bo myślałem, że dach, to znaczy cała ziemia nade mną, zapadnie się i mnie pogrzebie. – Znowu przerwał. – Zawsze bałem się ciasnych pomieszczeń – dodał. – Wiesz, jak jest.

Przytaknąłem. Tak się składa, że ja też.

– Pewnie wpadłem w panikę – ciągnął – bo nie przestawałem pchać. I skądś wiedziałem, że jestem niewiarygodnie silny, znacznie silniejszy niż kiedyś, więc uznałem, że jeśli będę pchać dość mocno... Oczywiście nie myślałem trzeźwo.

– A potem? – spytałem.

– Przedarłem się przez piach i ziemię prosto w światło księżyca – odparł. – Cudowne uczucie. Pierwsze, co chciałem zrobić, to pobiec do najbliższego gospodarstwa i powiedzieć ludziom: Patrzcie, wcale nie umarłem. – Przerwał; wypowiedział to słowo bez zastanowienia. – Potem zacząłem to rozważać. Wciąż nie oddychałem, nic też właściwie nie czułem. Mogłem poruszać rękami i nogami, mogłem stanąć prosto i utrzymać równowagę, prawda, ale... wiesz, jak to jest, kiedy siedzisz długo w jednej pozycji i nogi ci zdrętwieją. Takie właśnie miałem wrażenie, cały czas. Niesamowite.

– Mów dalej – ponagliłem go.

Cisza, ale krótka.

– Chyba usiadłem – powiedział. – Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, bo stanie mnie nie zmęczyło, nic z tych rzeczy. W ogóle się nie męczę. Byłem ogłupiały, nie wiedziałem, co mam robić. Wszystko wydawało się być nie tak. – Powoli uniósł stopy i pozwolił im opaść: łup, łup, łup. – I wtedy zaczęło wschodzić słońce, jego światło po prostu wlało mi się do głowy i wszystko wymyło, zupełnie nie mogłem myśleć. Chyba można powiedzieć, że zemdląłem. W każdym razie, kiedy otworzyłem oczy, byłem tam, skąd wyszedłem. Leżałem w ciemnościach.

Zmarszczyłem brwi.

– Jak tam się dostałeś?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł. – Wciąż nie mam. Wiem tylko, że to się ciągle powtarza. Kiedy nadchodzi świt, mój umysł

pustoszeje. Wiem, że choćbym znalazł się bardzo daleko, muszę wrócić. Biegnę. Potrafię biec naprawdę szybko. Wiem, że muszę wrócić do... domu – wydał z siebie dźwięk przypominający urywany śmiech – przed wschodem słońca. Zrobiłem się ostrożny, zawsze zostawiam sobie dość czasu.

Przez chwilę milczał w bezruchu.

– Dlaczego zabijasz? – spytałem.

– Nie wiem. – Wydawał się zmartwiony. – Gdy coś lub ktoś podejdzie zbyt blisko, chwytam je i ściskam, aż umrze. Jak kot rzucający się na kawałek sznurka. Odruch. Po prostu muszę to zrobić.

Kiwnąłem głową.

– Czy szukasz...?

– Tak. – Wymamrotał jak dziecko, które przyznaje się do winy. – Tak, szukam. Z całych sił staram się trzymać z dala od siedzib ludzkich. Jest mi bez różnicy: owce, lisy, ludzie. Odszedłbym daleko, w góry, gdybym mógł, ale muszę zostać tu, skąd mogę wrócić na czas.

Walczyłem ze sobą, ale wiedziałem, że muszę zapytać.

– Kim byłeś? Co zrobiłeś?

Nie odpowiedział. Powtórzyłem pytanie.

– Jak powiedziałeś – odparł. – Byłem nauczycielem.

– Przedtem.

Odpowiedział wbrew woli. Słowa szły powoli, monotennie: mówił, ponieważ musiał.

– Byłem Bratem – rzekł. – Kiedy dobiegłem trzydziestki, powiedziano mi, że powinienem starać się o przyjęcie do Zakonu. Przełożeni uważali, że mam talent i do tego rozum, jestem pilny i zdyscyplinowany. Zdałem egzamin i na pięć lat poszedłem do Studium. Tak jak ty – dodał.

Nie podjąłem wątku.

– Wstąpiłeś do Zakonu.

– Nie. – Beznamiętność w głosie znikła, zastąpił ją płomień gniewu.

– Nie, nie przeszedłem immatrykulacji. Próbowałem następnego roku, ale znowu mi się nie udało. Odesłano mnie do mojej parafii, ale tam już był ktoś inny. Więc skończyło się na tym, że włączyłem się w poszukiwaniu pracy nauczyciela, pisarczyka, jakiegokolwiek, byle mieć na chleb. Niewiele jednak umiałem, wiadomo.

Nagle poczułem ostry chłód, przenikliwy. Nie od razu zdałem sobie sprawę, że to strach.

– Więc przyszedłeś tutaj – odezwałem się tylko po to, żeby zachęcić go do mówienia.

– W końcu tak. Przedtem byłem w wielu miejscach, tu się zatrzymałem na dłużej. – Uniósł raptownie głowę. – Przysłali cię tu, żebyś się mną zajął, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Oczywiście – rzekł. – Oczywiście. Jestem utrapieniem, szkodnikiem, zagrożeniem dla rolnictwa. Masz mnie wykopać i uciąć mi głowę.

Tym razem to ja musiałem odezwać się wbrew woli.

– Tak.

– Oczywiście – powiedział. – A ja nie mogę do tego dopuścić. To moje...

Chciał powiedzieć „życie”. Przypuszczalnie próbował znaleźć inne wyrażenie, ale dał sobie w końcu spokój. Obaj wiedzieliśmy, co miał na myśli.

– Zatem zdałem egzamin – rzekł.

– Z ledwością – odparłem. – Jako dwieście siódmy z dwustu

dwudziestu.

– Z tego powodu tu jesteś.

Białe oczy w popielatym świetle księżyca.

– Prawda – przyznałem. – Nikt ci nie da posady naukowej, kiedy zajmujesz dwieście siódme miejsce w rankingu.

Przytaknął ponuro.

– Najwyżej zaproponują pracę w usługach – rzekł.

– O ile ktoś cię przyjmie – dodałem. – Co nie zdarza się często.

Wielu ludzi ma większe kwalifikacje.

Chrząknął. Jakby na potwierdzenie.

– Służba państwowa – powiedział.

– Niestety – zgodziłem się.

– Z tego powodu tu jesteś. – Uniósł głowę i pokręcił nią we wszystkie strony jakby obudził się ze snu w pozycji siedzącej. – Ponieważ... no tak, ponieważ nie jesteś wiele lepszy. Czyż nie?

Poczułem się urażony, choć to była prawda.

– Nie chodzi o to, że nie jestem dobry – powiedziałem. – Tylko że wszyscy inni na moim roku byli ode mnie lepsi.

– Oczywiście. – Pochylił się do przodu, dłonie wsparł na kolanach.

– Pytanie, czy po tym, co mi się przytrafiło, mam jeszcze talent. Jeśli mam, przed tobą trudne zadanie.

– A jeśli nie... – zacząłem.

– No, cóż – odparł – zapewne przyjdzie nam to sprawdzić.

– Istotnie – powiedziałem. – Będzie o tym w gazetach.

– Dla ciebie okazja do wyjścia z cienia – rzekł poważnie. – W innych okolicznościach życzylibym ci powodzenia. Niestety, wcale nie chcę dopuścić do tego, byś mi obciął głowę. To nędzna egzystencja, ale...

Rozumiałem go. Głos miał niemal ludzki: gdybym kiedyś go już spotkał, na pewno teraz bym rozpoznał. Siedział tyłem do księżyca, więc nie widziałem jego twarzy.

– Chodzi mi o to, że nie musisz tego robić – rzekł. – Odejdź. Idź sobie. Nikt cię tu nie widział. Przyrzekam, że będę trzymał się z daleka, dopóki nie wyjedziesz. Jak się nie pokażę, będziesz mógł zameldować, że nie znalazłeś żadnych dowodów na działanie pasożyta i dlatego nie czujesz się uprawniony do bezczeszczenia nieszkodliwego grobu.

– Ale wrócisz – stwierdziłem.

– Tak, i bez wątplenia znowu kogoś przyślą – odparł. – Ale to nie będziesz ty.

Kusiło mnie. Oczywiście, że kusiło. Po pierwsze, był istotą rozumną: gdybym nie wiedział, mógłbym w ciemno powiedzieć, że jest urodzonym idiotą i okrutnikiem. A jeśli śmierć nie pozbawiła go talentu? Zabije mnie. Musiałem przyznać, że nie przyszło mi na myśl, abym mógł umrzeć, wykonując zadanie. Zakładałem, że czeka mnie godzina pracy za dnia, którą wykonam szybko i bez ryzyka, choć jest okropna.

Nie jestem tchórzem, ale doceniam wartość strachu, tak jak doceniam wartość pieniądza. Zdecydowanie nie jestem odważny.

W świetle księżyca coś mignęło. Starając się nie mówić szybciej ani nie podnosić głosu, powiedziałem:

– Wrócę do łóżka, a rano wstanę i cię wykopię.

– Jasne – rzekł.

– Uważasz, że tego nie zrobię.

– Nie zrobisz, jeśli się dogadamy.

– Może masz rację – powiedziałem. – Tylko co z rolnikami? Musisz przyznać...



W tym momencie Brat (który wyszedł z chaty tylnymi drzwiami, wspiął się na dach i sunął okrakiem po kalenicy, aż znalazł się za jego plecami na tyle blisko, by dosięgnąć jego karku) uniósł ramię i zamachnął się przyniesioną siekierą. Najmniejszego szmeru. Truposz jednak w ostatniej chwili przechylił głowę na bok, odrobinę, ale wystarczyło, ostrze siekiery nie trafiło i przecięło powietrze. Usłyszałem chrząknięcie Brata, oszołomionego i przerażonego. Widziałem, jak umarłak ze wzrokiem utkwionym wciąż we mnie sięgnął za siebie lewą ręką, złapał opadającą siekierę tuż przy twarzy i zatrzymał ją w miejscu. Brat sapnął, ale nie puścił: ciągnął z całych sił jak piesek, który chwycił zębami pas. Starał się, ale nie dał rady przesunąć ramienia truposza nawet o włos.

– Cóż – rzekł umarłak. – Zobaczmy.

Zwłoka z mojej strony była niewybaczalna, zupełnie nieprofesjonalna. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, ale w głowie miałem kompletną pustkę. Nie mogłem przypomnieć sobie żadnej procedury, nie mówiąc już o słowach. Myśl, zawył mi w środku jakiś cichy głosik, ale nie potrafiłem myśleć. Słyszałem skowyt Brata, który resztką sił w ostatnim, rozpaczliwym wysiłku szarpnął za trzonek siekiery, i choć zerwał ścięgna i wywichnął stawy, nic nie wskórał. Truposz patrzył prosto na mnie. Zaczął poruszać ustami.

*Pro nobis peccatoribus...* nie pasowało to najlepiej do okoliczności, nawet nie znajdowało się na tej samej stronie księgi, ale tylko tę procedurę sobie przypominałem. Jak na złość, zawsze miałem z nią kłopoty. Wyciągasz rękę, ale nie jest to twoja ręka, rozcapierzasz palce, ale nie są to palce: do tego miejsca jakoś mi idzie, ale potem nadciąga klęska.

(Jedno, nad czym się zastanawiałem: a więc oblał egzamin, a ja

zdałem. Tak, ale może powodem jego niepowodzenia było to, że nie przeczytał dokładnie pytań albo za długo zastanawiał się nad Pierwszą Częścią i nie zostało mu czasu na drugą i trzecią. Może jest zdolny, tylko nie miał szczęścia na egzaminach).

Mamrotałem: *Sol invicte, ora pro nobis peccatoribus in die periculi*. Oczywiście, zgodnie z pewnymi przekonaniem, magiczne słowa nie wywierają zgoła żadnego skutku, służą jedynie skupieniu uwagi. Skłaniałem się ku temu. Dlaczego ułożona w martwym języku archaiczna modlitwa do boga, w którego nikt nie wierzy od sześciuset lat, miałyby wywierać jakikolwiek skutek? *Ora pro nobis peccatoribus*, powtórzyłem pośpiesznie, *nobis peccatoribus in die periculi*.

Zadziałało. Nie mogły tego dokonać słowa, oczywiście, ale czułem, jakby jednak zadziały. Byłem w środku, przedostałem się. Byłem w jego głowie.

Pusto.

Uwierzcie mi, to prawda. Zupełnie nic: jakby się weszło do domu, w którym ktoś umarł, a rodzina wyniosła wszystkie meble. Nic, bo byłem w głowie człowieka nieżyjącego, aczkolwiek zmarły ów patrzył na mnie karcąco białymi oczyma i w całkowitym bezruchu, z siekierą w ręce.

Dobrze: tym lepiej, że pusto. Rozejrzałem się za sterami. Trzeba je, oczywiście, wizualizować. W mojej wyobraźni pojawiają się w kształcie pokrętła tokarki. To z powodu tego, że w wakacje na drugim roku pracowałem w odlewni. Nie mam pojęcia, jak się obsługuje tokarkę. Głównie zamiatałem wokół niej podłogę, gdy nagromadziło się opiłków.

Tu jest pokrętło, które steruje ramionami. Wyciągnąłem rękę, która nie jest ręką, chwyciłem je i spróbowałem zakręcić. Nic. Mocniej. Nic. Więc naprawdę się przyłożyłem i wtedy to cholerstwo zostało mi w

ręku.

Nie powinno było.

Zacząłem wizualizować od początku. Wyobraziłem sobie stery jako lejce, wóz z drążkiem hamulca nożnego pod butem, który nie jest butem. Nacisnąłem hamulec i ściągnąłem lejce.

Talent nie może przetrwać śmierci. Nic jej nie przetrwa. Miejsce było puste. A pokrętko urwało się tylko dlatego, że jestem łamaga i niezgrabiasz, taki typ, co to o wszystko się potyka i łamie stalówki, bo za mocno przyciska pióro.

Usłyszałem, że Brat aż sapnął, gdy wyszarpnął siekierę z dłoni truposza. Ten się nie poruszył. Wciąż wbijał we mnie wzrok, do ostatniej sekundy, kiedy siekiera przecięła mu kark i głowa zachybotwała i spadła, odbiła się od kolan i stoczyła z dachu w niskie trawy. Ciało nawet nie drgnęło.

Wiem dlaczego. Trzeba było dziesięciu chłopów, a do tego dźwigu skleconego z jodłowych tyczek długości dwunastu stóp i trzech cali, żeby ściągnąć je z dachu. Ważyło chyba z pół tony. Sama głowa prawie dwa cetnary. Nie dało rady podnieść jej dwóch mężczyzn: musieli użyć lewarka i toczyć po ziemi. Nie było krwi, ale z szyi zaczął płynąć mlecznobiały szlam, który śmierdział gorzej od najpaskudniejszego rynsztoka.

Zwłoki spaliliśmy. Polaliśmy je żywicą sosnową, więc zajęły się dość szybko i spłonęły doszczętnie: nie zostało nic, co choćby z daleka przypominałoby kość. Białawy szlam płonął jak oliwa. Głowę zatoczyliśmy do bagnistego dołu i utopiliśmy. Poszła na dno z czkaniem i bulgotaniem.

– Słyszałem, jak z tym rozmawiałeś – zwrócił się do mnie Brat. Nie wiedzieć dlaczego, ale słowo „tym” mnie uraziło. – Rozumiem, że

wybrałeś jakąś odmianę gry w zagadki, żeby odwrócić jego uwagę do nadejścia świtu.

– Coś w tym rodzaju – odparłem.

Kiwnął głową.

– Nie powinienem był się wtrącać, przepraszam – rzekł. – Panowałeś nad sytuacją, mogłem wszystko zepsuć.

– To prawda – odparłem.

Uśmiechnął się: można by rzec, że nie była to prawda, tylko podziękowanie za wybaczenie mi.

– Chyba wpadłem w panikę – dodał i zmarszczył brwi. – Nie, nie wpadłem. Wydawało mi się, że mam okazję wziąć udział w grze. Postąpiłem głupio i samolubnie. Będziesz musiał o tym napisać do prebendariusza.

– Nie rozumiem dlaczego – rzekłem łagodnie. – Widzę to tak, że twoje działania można wytłumaczyć na różne sposoby. Wolę je uważać za odważne i pomysłowe. Mogę tak to ująć w piśmie, jeśli chcesz.

– Zrobiłbyś to? – Na jego twarzy odmalowała się cała rozpacz i okrucieństwo naglej, nieoczekiwanej nadziei. – Poważnie?

– Oczywiście – potwierdziłem.

– To by... – przerwał. Nie potrafił znaleźć odpowiednio poważnego słowa. – Nie masz pojęcia, jak to jest – mówił w pośpiechu, jakby ktoś go gonił – utknąć tutaj, w tej dziurze, wśród tych okropnych ludzi. Jeśli nie wrócę do miasta, oszaleję, przysięgam. I do tego w zimie jest tu tak zimno. Nie znoszę mrozu.

\* \* \*

Ojciec Przeor powiedział, że mogę spać w czasie jazdy, kiedy próbowałem się wyklócać o zbyt wiele przydzielonych mi zadań. Nigdy

go nie spytałem, czy kiedykolwiek podróżował dylizanssem pocztowym po wiejskich drogach o tej porze roku. Umarłemu nie udałoby się w nim zasnąć.

Ja spałem niemal całą drogę, chyba dlatego, że poprzedniej nocy prawie nie zmrużyłem oka. Obudziłem się przed wjazdem na most Fulvens. Wyjrzałem przez okno, a za nim po horyzont rozpościerała się tafla wody odbijająca światło księżyca. Potem już nie zasnąłem, ale było za ciemno, aby zajrzeć do notatek ze sprawy, których nie przeczytałem, powróciwszy do chaty. Pamiętałem jednak najważniejsze fakty z odprawy. Tak czy owak wszystkie przypadki są takie same. Bułka z masłem.

Woznica wysadził mnie tuż po wschodzie słońca na jakimś rozdrożu, na kompletnym odludziu. Gdzieś na wrzosowiskach. Jestem chłopak z doliny, ale mam krewnych na wrzosowiskach. Nie znosiłem ich odwiedzin. Staruszek był głuchy jak pień, a trzech chłopcy (mieli od dwudziestu do trzydziestu lat, ale ciągle byli chłopcami) tylko siedzieli w całkowitym milczeniu. Ich matka umarła za młodu i muszę powiedzieć, że jej za to nie winię.

Mieli mi wyjść na spotkanie, ale nikogo nie było. Chwilęostałem, potem przysiadłem na torbie, następnie usiadłem na ziemi, która była wilgotna. Usłyszałem głos sowy i lisa, a przynajmniej miałem nadzieję, że to lis. Jeśli nie lis, to coś, czego nie przerabialiśmy na trzecim roku. I jestem szczęśliwy, że tego czegoś nie widziałem.

W końcu przyjechali, dwukółką. Powoził staruszek, a poza nim siedział na niej jakiś młody mężczyzna i Brat. Wóz ciągnął mały kuc o sierści zmierzwionej jak u niedźwiedzia.

Brat mówił bez przerwy, za co byłem mu wdzięczny. Należał do wiejskich braci lepszego sortu: niski, między pięćdziesiątką a

sześdziesiątką, głos miał szorstki, ale mówił wyraźnie i poprawnie. Chłopiec był synem młodszego mężczyzny i wnukiem starszego. Dokazywał pod rozłożystym dębem, poślizgnął się i upadł. Złamał rękę i paskudnie uderzył głową o ziemię. Nie odzyskał przytomności, a minął już tydzień. Musieli podwazać mu zęby trzonkiem rogowej łyżki, by go nakarmić i napić: przełykał, ale to było wszystko, co robił samodzielnie. Można mu było wbić w nogę półcalową igłę, a nawet się nie skrzywił. Obrzęk na potylicy otęchł – Brat wypierał się jakiegokolwiek wiedzy medycznej, ale kłamał – poza tym złożyli kości ramienia i włożyli je w łubki, nie mając żadnej gwarancji, że to pomoże.

Pomyślałem, że lepsze to niż zabijanie niespokojnych umarłaków. Jeden z najlepszych przedmiotów na Studium, choć przecież ćwiczyliśmy na żywych mózgach, z Ojcem siedzącym o kilka kroków, obserwującym nas uważnie. Wykonałem takie ćwiczenie jakieś pół roku temu i poszło mi całkiem nieźle: wszedłem, znalazłem ją, wyszedłem bez wahania. Poszła za mną jak pies. Ulżyło mi, bo Ojciec Przeor zapowiedział przedtem: może się okazać, że to coś skomplikowanego i niewygodnego, jak wróżba, albo nieprzyjemnego i straszego, jak opętanie. Na wszelki wypadek wziąłem księgę. Miałem zamiar wykuć na pamięć odpowiedni rozdział albo w chacie, albo w dylizansie, ale nie udało mi się do tego zabrać. W każdym razie lepsze to niż tamta pustka.

Dom był jak na górskie gospodarstwo całkiem spory. Stał w środku doliny, ze wszystkich stron ogrodzony gęstym żywopłotem z czerwonego buka, który osłaniał go od wiatru. Mieszkało w nim tylko pięcioro ludzi, powiedział Brat: dziadek, ojciec, matka, chłopiec i parobek, który sypiał na strychu z sianem. Chłopiec miał dziewięć lat.

Brat powiedział, jak ma na imię, ale nie mam pamięci do imion.

Zapytali mnie, czy chcę odpocząć po podróży, umyć się, odświeżyć, zjeść coś? Poprawna odpowiedź brzmiała, oczywiście, że nie. I tak odpowiedziałem.

– Jest tutaj – rzekł Brat.

Duży jak na górskie gospodarstwo, ale i tak przytłaczająco mały. Na dole przestronna kuchnia z ogromnym stołem, palenisko, dwie szynki wiszące jak nieboszczyki na szubienicy. Bawialnia maleńka, zakurzona i zimna. Schowek na sery i jaja, pomywalnia, spiżarnia. Za nią drzwi do obory. Na górze jeden duży pokój i coś w rodzaju wielkiego kredensu, gdzie leżał chłopiec. Już miałem przyklęknąć przy łóżku, ale zorientowałem się, że parapet będzie dźgał mnie w krzyż.

Do diabła z tym, pomyślałem. Jestem specjalistą, zawodowcem, Ojcem. Czarodziejem. Nie muszę pracować w warunkach urągających mojej godności.

– Znieście go na dół – powiedziałem. – Połóżcie na kuchennym stole.

Nie mieli łatwo. Schody przypominały wejście na dzwonnice, były wąskie i kręcone. Ojciec z dziadkiem wzięli ciężar, a ja tylko patrzyłem. Mam taką dziwną cechę: niekiedy, im więcej potrzeba współczucia, tym mniej jestem do niego zdolny. Nie potrafię tego wyjaśnić ani znaleźć usprawiedliwienia.

– Nie powinno się go ruszać – syknął mi do ucha Brat, na tyle głośno, że wszyscy słyszeli. – W jego stanie...

– Tak, dziękuję – odparłem tonem najgorszego ulicznika, na jaki mnie było stać. Nie wiedziałem, dlaczego się tak zachowuję. Czasami po prostu tak robię. – Dobrze, odsuńcie się wszyscy, zobaczę, co mogę zdziałać.

Spojrzałem na chłopca i przypomniałem sobie całą wiedzę teoretyczną, do ostatniego szczegółu, ostatniego przypisu. Miał zamknięte oczy, głupkowaty wyraz twarzy, pełne dziewczęce usta i okrągłe policzki. Jeśli przeżyje, wyrośnie na wysokiego, postawnego, bezmyślnego chłopca z podwójnym podbródkiem – typowe wiejskie dziecko. Słonina i domowe piwo zrobią z niego okrągłe cielsko zdolne powalić wołu, powolne i niezmordowane, doprowadzające do furii swoją flegmą. Wyrośnie na człowieka rzadko otwierającego usta, szanowanego przez kupców, obrotnego i bogatego, ukrywającego łysinę pod kapeluszem, którego nigdy nie zdejmuje, pewnie nawet do snu. Wiodącego porządne, produktywne życie, które moim obowiązkiem było ocalić. Szczęściarz ze mnie.

Teoria. Wpajano mi, że teoria to ostatnia deska ratunku, szczątki statku, na których można dopłynąć do brzegu. Przypomniałem sobie podstawowe założenia.

Żeby uzdrowić zagubiony umysł, najpierw trzeba otworzyć wejście. Zwykle robi się to drogą wizualizacji siebie jako czegoś, co może dostać się do środka: świdra, dziobu dzięcioła, czerwia. Jeśli o mnie chodzi, świder się sprawdza, choć z jakiegoś powodu wolę być wiertłem z korbą, jakich używają stolarze. Przedzieram się przez spiralne kościane wióry wychodzące spod ostrza o szerokich rowkach. Przypuszczam, że wzięło się to z przyglądania się w dzieciństwie pracującemu w stodole dziadkowi. W zasadzie nie powinno się korzystać z własnych wspomnień, ale komuś o tak ograniczonej wyobraźni jak moja ułatwia to zadanie.

Gdy już człowiek dostanie się do środka, musi przede wszystkim ustawić zabezpieczenie, natychmiast, bo nigdy nie wiadomo, co tam czyha. Pierwsze zabezpieczenie wywołałem od razu, gdy poczułem, że



przeszedłem. Wyobraziłem sobie tarczę, *scutum fidei*. Moja tarcza jest okrągła i ma otwór w górnej krawędzi, żebym widział, co się dzieje.

Wyjrzałem przez dziurkę. Żadnych wstrętnych istot z kłami ociekającymi jadem, przyczajonych do skoku. Doskonale. Odliczyłem do dziesięciu i powoli opuściłem tarczę.

Rozejrzałem się. To jest rozstrzygająca sprawa, nie wolno się śpieszyć. Jak długo trwa, zależy od siły talentu, mnie naturalnie zabiera wieki. Stopniowo się rozjaśnia. Najważniejsze to ustalić pozycję. Zorientować się w kierunkach, szczególnie dobrze zapamiętać miejsce, w którym się weszło. Jeśli się je zgubi, nie wyjdzie się nigdy. Zostanie się w czyjejś głowie na zawsze. A naprawdę nie o to chodzi.

Stałem tak, żeby widzieć sufit z narożnikami: wyznaczyłem przekątne i zawiesiłem je w punktach wyjścia, odmierzając kąty wyobrażonym kątomierzem (mój jest mosiężny i ma cyfry wyryte pismem gotyckim). Jeden, zero, pięć, siedemdziesiąt pięć; powtórzyłem liczby na głos cztery razy, aby mieć pewność, że zapadły w pamięć. Dobrze. Teraz wiedziałem, gdzie jestem i jak się stąd wydostać. Jeden, zero, pięć, siedemdziesiąt pięć. Dalej. Zobaczmy, co da się zrobić.

Znajdowałem się w pokoju. Prawie zawsze jest to jakieś pomieszczenie. U dzieci w zasadzie chodzi o ich sypialnię albo inny pokój, w którym sypiają, w zależności od klasy społecznej i urzędnika domu. We wszystkich odnoszących się do takich sytuacji opisach był to pokój na piętrze – taki, z którego kazałem go wynieść. Doskonale: skromny i mały, bez różnych zakamarków, w których można by coś ukryć. Znacznie ułatwia to pracę, gdy ma się do czynienia z osobą o ograniczonej inteligencji.

Wyobraziłem sobie postać, w którą mogłem się wcielić. Starłem się

nie być sobą. Zwykle dla dziecka najlepiej być miłą panią, jeśli to możliwe, jego matką. Nie potrafię za dobrze tworzyć postaci konkretnych ludzi, a już z wcieleniem się w kobietę mam duży kłopot. Zamiast tego stałem się więc miłym staruszkiem.

Cześć, powiedziałem. Gdzie jesteś?

Nic nie szkodzi, jeśli nie odpowiedzą. Czasami odpowiadają, czasami nie. Obszedłem łóżko, ukląknęłam, zajrzałem pod nie. Był tam też kredens, jeden z tych trójkątnych, stojący w kącie. Otworzyłem go. Z jakiegoś powodu zapchany był zwierzęcymi skórami i szkieletami. Nie moja sprawa: zamknąłem go. Ściągnąłem z łóżka kapę i podniosłem poduszkę.

Dziwne, pomyślałem i sięgnąłem do podstaw teorii. Chłopiec musi być żywy, w przeciwnym razie nie byłoby pokoju. Jeśli żyje, gdzieś tu musi być. Nie może być niewidzialny, nie w swojej głowie. Może, oczywiście, być czymkolwiek chce, o ile to coś jest żywe i się porusza. Na przykład karaluchem albo pchłą. Westchnąłem. Zawsze dostaje mi się parszywa robota.

Przestawiłem skalę i pokój powiększył się pięciokrotnie. Zaczniemy od najłatwiejszego. Gdyby był karaluchem, teraz musiałby mieć rozmiary szczura. Gdyby był szczurem, byłby oczywiście wielkości kota i mógłby mnie nieźle pogryźć. Nałożyłem lorikę, tak na wszelki wypadek. Jeszcze raz zajrzałem pod łóżko.

Wyobraziłem sobie zegar wiszący na ścianie naprzeciwko drzwi. Zegar pokazywał, że jestem tu dziesięć minut. Zaleca się, żeby nie trwało to dłużej niż trzydzieści. Słyszałem o pierwszorzędnym specjalistach, którzy przebywali w środku godzinę i wychodzili cali, z grubsza biorąc: gazety pisały o nich na pierwszych stronach. Zacząłem przeszukiwać pokój od początku, tym razem baczniej przeglądając

zawartość kredensu. Wysuszone skóry zwierząt: wiewiórek, królików, szczurów. Żadnych pcheł, roztoczy ani kleszczy. To tyle, jeśli chodzi o teorię.

Wyobraziłem sobie szklany dzban, żeby wiedzieć, ile mam jeszcze energii. Człowiek wyczerpuje się niespodzianie szybko i nie wie o tym. Właśnie tak było ze mną. Mój dzban był opróżniony do trzech czwartych. Trzeba zostawić sobie przynajmniej jedną piątą, żeby mieć siły wyjść. Wyobraziłem sobie podziałkę, żeby mieć pewność, ile zostało.

Szybka ocena. Do zalecanych działań należy wyobrazenie sobie jakiegoś tropiącego pomocnika (spaniela, teriera, fretki), ale na to trzeba poświęcić całkiem sporo sił; poza tym taki pomocnik sam zużywa energię, no i pozbycie się go też ją pochłania. Narysowałem na dzbanie mierniczym wyraźną czerwoną kreskę, a nad nią jeszcze jedną, niebieską. Alternatywnym rozwiązaniem dla tropiciela jest kolejne zwiększenie skali: powiedzmy dwudziestokrotnie, a wtedy karaluch dorówna wielkością wilkowi i zamieni się w potwora, który może człowiekowi odgryźć głowę. Wciąż miałem na sobie lorikę, ale każde efektywne zabezpieczenie też pochłania energię. Gdybym za bardzo zapamiętał się w walce, mógłbym w ułamku sekundy zanurzyć głowę poniżej owej czerwonej linii. Nie, do diabła.

Wyobraziłem sobie teriera. Nie jestem miłośnikiem psów, dlatego mój terier był nieco dziwaczny: miał bardzo krótkie, grube łapy i kanciastą głowę. Mimo to z wielkim zapalem zabrał się do tropienia, machając wymyślonym ogonem i cicho ujadając. Obiegł cały pokój, wetknął nos w każdą dziurę. Po czym usiadł i spojrzał na mnie, jakby pytał, co dalej.

Nie wyglądało to dobrze. Dzban był w połowie pusty,

wykorzystałem cały repertuar znanych mi technik i nic nie znalazłem. Takie mam szczęście do nietypowych przypadków, naprawdę rzadkich. Dla kolegów ze starszych lat byłoby to nie lada wyzwaniem, o które gotowi byliby się pobić, ale ja chciałem tylko wykonać zadanie i wynieść się stąd. Marnuję okazje, można rzec.

Odesłałem psa w nicość. Szybka ocena. Powinno być coś jeszcze, czego należało spróbować, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Bez sensu: musiał tu gdzieś być, w przeciwnym razie nie byłoby pokoju. Nie powinien być niewidzialny. Mógł zamienić się tylko w coś, co potrafi sobie wyobrazić, i to coś powinno być rzeczywiste: żadnych fantastycznych stworzeń wielkości główki od szpilki. Przy pięciokrotnym powiększeniu czerwony roztocz byłby dość dobrze widoczny; poza tym pies by go zwęszył. Tropiciele, nawet te gorzej przeze mnie wyobrażane, czują życie. Jeśliby tu był, pies by go znalazł.

Zatem...

Zgodnie z wymaganiami postępowania musiałem rozważyć, czy się nie poddać i nie wyjść. Co oznaczałoby, oczywiście, że chłopiec umrze: nie można wejść po raz drugi, to wykluczone. Stanąwszy przed tajemnicą na taką skalę, miałem prawo to zrobić. Niepowodzenie zostanie zapisane w mojej kartotece, ale razem z adnotacją, że jest niezawinione i że to pierwszy raz, a nie przytrafiający się notorycznie. Dziecko umrze, ale to nie mój problem. Zrobiłem co w mojej mocy, czyli wszystko, co było można.

Chyba żebym spróbował czegoś innego. Czyli czego?

Stale nam powtarzają: działajcie rozważnie, nie improwizujcie. Macie wątpliwości – wyjdźcie. Wymyślanie czegoś na oczekaniu jest wyjątkowo źle widziane, tak jak smażenie jajecznicy w fabryce ogni sztucznych. Nie wiadomo, co moglibyśmy wymyślić, dlatego jeśli

sytuacja nie jest pod kontrolą, posługiwanie się fantazją prowadzi prosto do Sekcji Kartograficznej, w której dostaje się do przerysowania mapy całego powiatu. Można też zrobić dziurę w ścianie, co jest najgorsze ze wszystkiego. W ostateczności skończyłbym przed obliczem Rady, oskarżony o wprowadzenie nieuprawnionej innowacji i uchybienie procedurze. Uratowanie życia jakiemuś wiejskiemu dziecku mogłoby być pewnym usprawiedliwieniem, ale niezbyt dobrym.

Spróbować czegoś innego. Czyli...

Nie ma czegoś takiego jak czary. Jest tylko wiedza, którą opanowaliśmy jak dotąd w stopniu niewystarczającym. Jak dotąd. Działają jakieś wpływy, a my nie wiemy jak. Należy do nich *spes aeternitatis*, okropnie niekonsekwentna, zupełnie niewytłumaczalna magiczna sztuczka, którą mógłby posłużyć się jakiś nieszanujący się Ojciec. A to dlatego, że nie można jej łatwo powtórzyć.

Ja to potrafię.

*Spes aeternitatis* jest regulatorem przejawów. Używa się jej do odnajdywania ukrytych przedmiotów, wykrywania kłamstw albo sprawdzania, czy w kawałku ciasta lub kieliszku wina nie ma trucizny. Wyobrażam sobie to tak, że wszystkie zakłócenia pojawiają się w kolorze niebieskim. Mam taki malutki talencik, którego prawdopodobnie nie ma nikt inny: to jakby mieć wyjątkowo gibkie ciało albo umieć ruszać nosem jak królik.

Zamknąłem oczy, potem je otworzyłem i ujrzałem jasnoniebieski pokój. Wszystko jasnoniebieskie. Wszystko nieprawdziwe.

Och, pomyślałem: a więc jeden, zero, pięć, siedemdziesiąt pięć i zacząłem kreślić przekątne, żeby się ewakuować. Niestety, nic to nie dało. Pokój zafalował i pojawił się znowu, ale wszystko wyglądało inaczej. To był mój pokój, ten, w którym spałem do ukończenia

piętnastego roku życia.

Siedział na brzegu łóżka: drobny mężczyzna, niemal całkiem łysy, o małym nosie, cofniętym podbródku, niedużych dłoniach i krótkich, cienkich nogach. Wyglądał mi na pięćdziesięciolatka. Skórę miał purpurową jak winogrona.

– Myliłeś się – powiedział, spoglądając na mnie badawczo. – Talent może przetrwać śmierć.

– Ciekawe – rzekłem. – Jak się tu dostałeś?

Uśmiechnął się.

– Właściwie to mnie zaprosiłeś – odparł. – Kiedy usłyszałem tego głupka za plecami, z siekierą w ręku, spojrzałem na ciebie. Zrobiło ci się mnie żal. Pomyślałeś: Czyż nie jest człowiekiem i Bratem? albo coś w tym rodzaju. Posłużyłem się przeniesieniem Stilicha i oto jestem.

Kiwnąłem głową.

– Powinienem był ustawić zabezpieczenie.

– Powinieneś. Niedbałość. Troska o szczegóły nie jest twoją najmocniejszą stroną.

– Chłopiec – powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że gdzieś tutaj, ale nie jesteśmy w jego głowie, tylko w twojej. Rozgościłem się, jak widzisz.

Szybko się rozejrzałem. Skrzynka po jabłkach z wybitym dnem, w której trzymałem książki: stała tam, gdzie powinna, ale książki były inne. Nowe i pięknie oprawione w cielecą skórę, a ich tytuły napisane były alfabetem, który wydał mi się dziwny.

– Moje wspomnienia – powiedziałem.

Machnął ręką.

– Lepiej się ich pozbądź – rzekł. – Bieda i niepowodzenia,

zmarnowane życie, roztrwoniony talent. Lepiej na tym wyjdiesz.

Skinąłem głową.

– Zamieniając na twoje.

– Właśnie. Och, nie jest to przyjemna lektura. – Skrzywił się. – Wspomnienia pełne goryczy i gniewu, opisy zajadłości i złośliwości, nieubłaganego pecha, ciągłych niepowodzeń i przeciwności losu, niedocenionego talentu. Przekonasz się, że egzaminu w drugiej turze nie zdałem dlatego, że siedząc tam, na Wspaniałej Uczelni, nagle znalazłem znacznie lepszy sposób osiągnięcia *unam sanctam*: szybszy, bezpieczniejszy, niemiłosiernie skuteczny. Wypróbowałem go zaraz po egzaminie. Sprawdził się. Nie dostałem jednak oceny, więc mnie ulali. Pytam cię, gdzie w tym sens?

– Nie zdałeś poprawki – rzekłem. – A jak było za pierwszym podejściem?

Zaśmiał się.

– Miałem grypę – odparł. – Byłem w gorączce, majaczyłem, nie pamiętałem, jak się nazywam. Czy mnie usprawiedliwili? Nie. Zasady. Rozumiesz teraz. Pech i niepowodzenia na każdym kroku.

Przytaknąłem.

– Co się ze mną stanie? – zapytałem.

Spojrzał na mnie.

– Dobrze na tym wyjdiesz – powtórzył.

– Przestanę istnieć. Umrę.

– Nie fizycznie – rzekł łagodnie. – Twoje ciało, mój umysł. Twoje ciało wykwalifikowanego, dyplomowanego specjalisty i umysł, który w przebłysku intuicji zrozumiał, jak udoskonalić *unam sanctam*.

Wiele o moim poczuciu własnej wartości mówi to, że w ogóle zastanawiałem się nad tą propozycją, choć bardzo krótko. Może z pół

sekundy.

– Co teraz będzie? – spytałem. – Będziemy walczyć czy...?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli chcesz – odparł i wyciągnął w moją stronę ramię. Miało dziesięć stóp długości i grubość słupa. Chwycił mnie za gardło jak człowiek chwyta mysz i udusił.

Przypuszczam, że byłem martwy w siedemdziesięciu procentach, kiedy przypomniałem sobie: wiem, co robić. Ustawiłem drugie zabezpieczenie, przyznaję, że dość słabe, i zostało mu w palcach rozrzedzone powietrze, a ja stałem za nim.

Obrócił się na pięcie i zaryczał jak byk. Z czoła wyrastały mu bycze rogi. Jeszcze raz posłużyłem się drugim zabezpieczeniem, ale on dostał się do środka przede mną, chwycił mnie za głowę i rzucił twarzą na ścianę.

W samą porę przypomniałem sobie, że tu nie odczuwa się bólu. Posłużyłem się Małymi Łaskami, zamieniłem ścianę w miękki filc i prześlizgnąłem mu się przez palce. Byłem dymem. Zamieniłem się w chmurę dymu nad jego głową. Zaśmiał się i ściągnął mnie w dół za pomocą *vis mentis*. Uderzyłem potylicą w podłogę, która ugięła się jak materac. Zamieniłem się we włócznie i wbiłem w jego pierś. Użył drugiego zabezpieczenia i znalazł się na drugim końcu pokoju.

– Walczysz jak pierwszoroczniak – rzekł.

To prawda. Zacisnąłem umysł jak pięść: ściany zamknęły się wokół niego i zmiażdżyły jak pająka. Czulem go, tak jak czuje się gwóźdź przebijający podszewę. Z powrotem do pierwszego zabezpieczenia i już staliśmy, mierząc się groźnie wzrokiem, w przeciwległych kątach pokoju.

– Nie pokonasz mnie – powiedział. – Złamię cię i po prostu



szczeźniesz. Spójrz prawdzie w oczy: po co, do diabła, masz żyć?

Ważki argument.

– A więc niech ci będzie – odparłem.

Zdziwił się.

– Wygrałem?

– Wygrałeś – potwierdziłem.

Był zadowolony, bardzo zadowolony. Wyszczrzył w uśmiechu zęby i uniósł rękę, a ja w tej samej chwili zacisnąłem palce na klamce i szarpnąłem z całej siły.

Zauważył, co się dzieje, i otworzył usta do krzyku, ale drzwi już się otworzyły i wypchnęły mnie na zewnątrz. Zamknąłem oczy. Drzwi, rzecz jasna, stanowiły punkt przecięcia dwóch przekątnych, które przeprowadziłem przez pokój pod kątem 105 i 75 stopni.

Otworzyłem oczy. Zniknął. Znajdowałem się w pokoju chłopca, tym na piętrze. Chłopiec siedział po turecku na podłodze, brodę oparł na dłoniach. Patrzył na mnie.

– No, dalej – warknąłem. – Nie będę tu siedział cały dzień.

\* \* \*

Ich wdzięczność była żalсна. Matka tonęła we łzach, ojciec uczepił się mojego ramienia: jak mamy ci się odwdzięczyć, to cud, jesteś cudotwórcą. Nie miałem nastroju. Chłopiec leżał na kuchennym stole pod stosem koców. Spojrzał na mnie i zmarszczył brwi, jakby coś było ze mną nie do końca w porządku. Spokojne, badawcze spojrzenie – okropnie mnie to wpiekliło. Odmówiłem poczęstunku i kazałem ojcu wyprowadzić kuca, zaprząć do dwukółki i odwieźć mnie na rozstaje. Zaprotestował: dyliżans przyjedzie dopiero za sześć godzin, a jest zimno i ciemno, zamarzniesz na śmierć.

Nie czułem zimna.

Na rozstajach, zasłaniając się rondem śmierdzącego starego kapelusza, który mimo protestów dał mi ojciec chłopca, przeszukałem swój umysł, aby się upewnić, że go tam nie ma. Nie mógł, rzecz jasna, przeżyć. Otworzyłem drzwi (Zasada Pierwsza: nigdy nie otwierać drzwi), więc go wyszło z mojej głowy w otwartą przestrzeń, gdzie nie ma utalentowanych umysłów, które mogłyby go przechwycić. Nawet jeśli był tak silny, jak utrzymywał, nie mógł przetrwać dłużej niż trzy sekundy. Potem rozpadł się i rozproszył w powietrzu. Absolutnie niczego nie mógłby zrobić, niczego takiego, żeby przeżyć.

Przyjechał dylizans. Wsiadłem i spałem całą drogę. W gospodzie dostałem lampę i lustro i obejrzałem się ze wszystkich stron. Już myślałem, że jestem czysty, gdy znalazłem purpurową plamkę na skórze, mniej więcej wielkości dzikiego jabłka, na lewej łydce. Powiedziałem sobie, że to otarcie.

(To było rok temu. Wciąż tam jest).

Do końca objazdu trafiły mi się tylko proste przypadki: opętanie, małe pęknięcie, kilka napadów, które mocno opieczętowałem i należycie opisałem w sprawozdaniu po powrocie. Potem zgłosiłem się na ochotnika do weryfikacji, odbyłem spotkania z paroma radcami, kupiłem dwa duże lustra. I zostałem awansowany na inspektora rejonowego wyższej rangi. Są ze mnie dość zadowoleni, i nie dziwota. Wygląda na to, że praca idzie mi coraz lepiej. No i piszę artykuł, wyobraźcie sobie: modyfikacje do *unam sanctam*. Szybciej, bezpieczniej, znacznie bardziej skutecznie. Tak olśniewająco proste, że aż dziw bierze, że nikt do tej pory o nich nie pomyślał.

Ojciec Przeor jest zaskoczony, ale zadowolony. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, powiedział.

*Australijczyk **Garth Nix** wychował się w Canberze. Kiedy miał dziewiętnaście lat, wybrał się do Wielkiej Brytanii i poobijanym austinem objechał cały kraj z masą książek oraz maszyną do pisania Silver–Reed w bagażniku. Pomimo przygody z urwanym kołem wrócił cało i zdrowo do Australii i podjął studia na Uniwersytecie w Canberze. Najpierw pracował jako sprzedawca w księgarni, potem rzecznik prasowy, przedstawiciel handlowy i redaktor w wydawnictwie, agent literacki oraz konsultant do spraw wizerunku i marketingu. W 1984 roku opublikował pierwsze opowiadanie. Później ukazały się jego powieści, między innymi Ragwitch, Sabriel, Shade’s Children, Lirael, Abhorsen oraz sześciotomowa seria fantasy Siódmawieża, a ostatnio także siedmiotomowy cykl Klucze do Królestwa. Nix mieszka w Sydney z żoną i dwójką dzieci.*

## **Garth Nix**

# **STOSOWNY PREZENT DLA MAGICZNEJ LALKI**

Sir Hereward polizał palec i przewrócił stronę wielkiej księgi, która niebezpiecznie chybotwała się na metalowym stojaku obok łóżka. Gdyby to od niego zależało, poczytałby – a raczej poprzeglądał niczym gawron wyszukujący nasiona na świeżo obsianym polu – coś innego, ale nie miał wyboru, bo w wieży nad brzegiem morza, gdzie przebywał, nie

było innych książek. Miał złamane dwie kości lewej stopy, przez co nie mógł korzystać z większości rozrywek i pozostało mu tylko czytanie. Przeglądał teraz *Kompendium wiedzy o świecie*, które powinien mieć każdy dobrze wykształcony dżentelmen z Jerreke – nieistniejącego od tysiąca lat miasta–państwa. *Kompendium* wydano tuż przed jego upadkiem.

Trudno przypuszczać, by upadek Jerreke miał coś z tym wspólnego, choć sir Hereward zauważył, że wiele stron oprawiono nie po kolei lub pomyłono paginację i że w ogóle dbałość o liczby pozostawia w niej wiele do życzenia. Wszystko to razem mogło być symptomatyczne dla dość niezwykłego końca, jaki spotkał Jerreke. Miasto tak się zadłużyło, że przestało wywiązywać się ze swoich zobowiązań i cała jego ludność została sprzedana w niewolę.

Księga przez długi czas leżała zapomniana w skrzyni na poddaszu wieży, dlatego odwracać sklezione karty trzeba było dobrze zwilżonym palcem.

Przewróciwszy kolejną stronę, sir Hereward westchnął. Jego zapał do czytania wyraźnie osłabł. Kilkaset razy musiał polizać palec, żeby odwrócić stronę, a znalazł tylko dwie informacje godne uwagi. Jedną o oszukiwaniu w grze planszowej, którą co prawda ludzie nazywają dziś inaczej, ale wciąż w nią grają jak świat długi i szeroki, a drugą o różnorodnych zastosowaniach pewnej przyprawy korzennej zwanej kabizendą, z których zaskakująco wiele dotyczyło specjalności sir Herewarda, czyli artylerii i wyrobu bomb zapalających.

Sir Hereward już miał się poddać i wrzasnąć na gospodynię, która opiekowała się wieżą, żeby przyniosła mu piwo, gdy jedna z informacji przykuła jego uwagę. Nosila tytuł: *Jak zrobić przyjemność magicznej lalce*.

Ponieważ sir Hereward miał magiczną lalkę imieniem Pan Fitz, która w dzieciństwie opiekowała się nim, a potem stała się nieodłącznym kompanem zabaw i towarzyszem broni, temat ten żywo go zainteresował. Szybko przeczytał notatkę, która choć krótka i odnosząca się do zwykłych magicznych lalek, dostarczyła mu trochę nowych informacji.

Według profesora Laxelendera Prouzina, autora tej dość nietypowej notatki, wszystkie magiczne lalki mają wspólną datę urodzenia, podobnie jak kapłani szczególnie zaborczych bożków, które nie pozwalają swoim sługom na żaden indywidualizm (na przykład Xarwashian, opiekun buchalterów i magazynierów, nie dość, że zabronił swoim kapłanom mieć różne daty urodzenia, to jeszcze nadał im wszystkim jedno imię).

Sir Hereward szybko przeliczył w pamięci podaną przez Prouzina wspólną datę urodzenia wszystkich magicznych lalek z Kalendarza Tramontycznego, którego używano w Jerreke, na bardziej współczesny Standardowy Kalendarz Gwiazdny i stwierdził, że ten termin przypada akurat za cztery lub pięć dni w zależności od tego, czy dziś był pierwszy czy drugi dzień Drugiego Miesiąca, jak go prozaicznie nazywa Standardowy Kalendarz Gwiazdny, czy Pokutnika, jak go określa Kalendarz Tramontyczny.

Ponieważ sir Hereward już tydzień leżał beczynnym w łóżku, stracił poczucie czasu.

– Siostró Gobbe! – zawołał. – Siostró Gobbe!

Siostra Gobbe, mniszka i gospodyni, opiekowała się wieżą i jej gośćmi. Należała do zakonu Narhaleta–Narhalita, przyjaznego i dobrotliwego bóstwa popularnie zwanego Nar–Nar, które w ciągu ostatnich kilku tysiącleci powoli, acz skutecznie leczyło dziesiątki

tysięcy ludzi proszących o pomoc. Wieża, w której przebywał sir Hereward, była jednym z ostatnich, leżących na uboczu bastionów kultu Nar–Nara na ziemi i najprawdopodobniej w niedalekiej przyszłości miała zostać opuszczona. Dlatego też przebywały w niej tylko dwie mniszki: siostra Gobbe i nowicjuszka, której sir Hereward jeszcze nie widział. O ile dobrze zrozumiał wczoraj wieczorem syk siostry Gobbe pod swoimi drzwiami, to nazwała ją siostrzyczką Lallit. Oprócz mniszek w wieży przebywał jeszcze strażnik – niewysoki, ale krępy gość, który chodził uzbrojony w wielki topór i jeśli już wzywał na pomoc Nar–Nara, to bez wątpienia po to, by wykorzystać jego mniej znaną moc otwierania ran jeszcze nie zadanych, aniżeli leczenia już powstałych.

Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych Narhalet–Narhalit nie należał do zakazanych bożków, ale do miłych anomalii na tym świecie. Dlatego bóstwo i jego wyznawcy znajdowali się poza kręgiem zainteresowań zawodowych sir Herewarda i Pana Fitz. Gdy więc po drodze z Taru do Bazynghame natknęli się na tę wieżę, uznali to za szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż wiedzieli, że nigdzie indziej złamana stopa rycerza nie zrosłaby się szybciej.

Pan Fitz z kolei postanowił, jak stwierdził, wykorzystać wymuszony postój do podjęcia pewnych działań, w których mógł dać upust swoim zainteresowaniom, dotychczas nieprzydatnym podczas ich podróży. Sir Hereward nie wiedział do końca, o co mu chodzi. Czarodziejska lalka coś kombinowała. Codziennie wychodziła penetrować podmorskie jaskinie przeżerające klif, na którym stała wieża, i wracała wieczorem pokryta czymś, co przypominało sól. Tak jakby nurkowała w morzu, a potem suszyła się na słońcu. Trochę to było dziwne jak na istotę zrobioną z drewna i papieru, choć wzmocnionych za pomocą

czarów, która z reguły unikała głębokiej wody. Sir Hereward nie miał jednak zamiaru wypytywać ją, czym się zajmuje. Wiedział, że we właściwym czasie Pan Fitz mu to powie, o ile oczywiście uzna, że sir Hereward powinien to wiedzieć.

– Tak, panie.

W drzwiach nie stanęła jednak siostra Gobbe, jak zawsze czerwona na twarzy i zasapana po pokonaniu wąskich, spiralnych schodów, ale znacznie młodsza i dużo atrakcyjniejsza jej pomocnica, która wyglądała, jakby wleciała na górę na promieniu światła. Ani bowiem nie dyszała, ani nie musiała poprawiać na głowie kapelusza z szerokim rondem czy wygładzać habitu.

– Jestem siostrzyczka Lallit – przemówiła piękna wizja. – Siostra Gobbe poszła do wioski porozmawiać z Bollem o cielęciny, którą chciała podać z sosem rakowym wielmożnemu panu na obiad. Czy czegoś panu trzeba?

Sir Hereward patrzył na nią i nie mógł wykrztusić słowa. Od miesięcy nie rozmawiał z piękną kobietą i, przykro powiedzieć, trochę wyszedł z wprawy. Po chwili jednak, podczas której siostrzyczka Lallit cały czas stała w drzwiach z opuszczoną głową schowaną w cieniu kapelusza, odzyskał nad sobą panowanie.

– Mój towarzysz, Pan Fitz, no wiesz, lalka... – zaczął.

– Tak, panie – przerwała mu siostrzyczka Lallit. – Wspaniała i taka mądra.

– Właśnie... – potwierdził sir Hereward, zastanawiając się, o czym Pan Fitz rozmawiał z siostrzyczką Lallit. – Czwartego Drugiego Miesiąca ma urodziny...

– To jutro! – wykrzyknęła Lallit, udowadniając, że sir Hereward jeszcze bardziej utracił poczucie czasu, niż mu się wydawało.

Wyciągnęła do góry ręce i niechętnie podniosła przy tym głowę, ukazując mu twarz wielkiej urody i inteligencji, niestety trochę zeszpeconą brakiem śladów starych blizn, które dla osób z jego sfery były koniecznym składnikiem prawdziwego piękna. – Szkoda, że nie powiedział pan wcześniej! Przygotowałybyśmy wspaniałą ucztę...

– To zbyt cenne, Pan Fitz nie je – przerwał jej sir Hereward i lekceważąco machnął ręką. – Mimo to chciałbym mu dać jakiś prezent. Ponieważ jednak w pobliżu nie ma żadnego sklepu czy kupca, a ja w tej chwili nie mogę się ruszyć z łóżka... Tak więc zastanawiam się, czy znalazłoby się tutaj, w wieży, coś stosownego, co mógłbym kupić na prezent dla Pana Fitz.

– Coś stosownego? – zapytała Lallit. Pociągnęła się za koniuszek ucha i zmarszczyła czoło, co sir Herewardowi wydało się absolutnie zniewalające. – Bo ja wiem...

– Chodź i usiądź przy mnie – powiedział. Przesunął się na łóżku i poklepał materac obok siebie. – Na początek powiedz mi, co znajduje się na poddaszu. Najlepszy byłby jakiś instrument muzyczny.

Doktor profesor Laxelender Prouzin napisał, że instrumenty muzyczne były zwyczajowymi prezentami dawanymi lalkom służącym rozrywce, i sir Hereward uznał, że taki prezent zainteresuje również Pana Fitz, który z powodzeniem mógłby zabawiać ludzi. Potrafił pięknie śpiewać, grać na każdym instrumencie, jak również wspaniale tańczyć. Pan Fitz nie został jednak stworzony dla rozrywki i wykorzystywał swoje talenty tylko jako podstęp, by zniemacka wykorzystać swoje inne, jeszcze większe umiejętności w dziedzinie sztuk ezoterycznych, które zwykle nie były domeną lalek. Ani, na ten przykład, ludzi.

– Och, nie wolno mi wchodzić do pańskiego pokoju! – zawołała



Lallit. – Siostra Gobbe wyraźnie zastrzegła, że tylko ona może się opiekować pacjentami, a poza tym Pan Fitz powiedział mi o ślubach, jakie pan złożył, i nie chciałabym, żeby niechcący...

– Ślubach? – powtórzył podejrzliwie sir Hereward. Zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział: – A których? Złożyłem ich kilka...

– O tych, że nie będzie pan dzielił oddechu z kobietą ani rozmyślnie, ani przypadkiem – oprócz oczywiście wyświęconych kapłanek – zanim nie dokończy pan swojej pielgrzymki na Drodze Bazyngamskiej – odparła Lallit. – Niech się pan nie obawia. Będę oddychała bardzo lekko i zostanę w drzwiach.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – stwierdził sir Hereward, choć czuł zupełnie coś przeciwnego.

– A jeśli chodzi o prezent dla Pana Fitz’a...

– Pewnie to zbyt trudne – przerwał jej Hereward, którego uczucia dla lalki uległy gwałtownej przemianie. Przekrzywił głowę i ciężko westchnął. – Po prostu złożę mu życzenia wszystkiego najlepszego i tyle.

– Tylko że na poddaszu jest jeden instrument. Leży w tej samej skrzyni, z której wyjęliśmy dla pana książkę. To mandora... albo galichon... z pięcioma strunami. Taka, na jakiej grał mój wuj. Chyba jednak jest za duża i za ciężka dla Pana Fitz’a.

Sir Herewardowi przypomniały się sytuacje, kiedy lalka dawała pokaz swojej prawdziwej siły, jak choćby wtedy, gdy swoimi rachitycznymi drewnianymi rękami, które wysunęły się spod podwiniętych rękawów jej cienkiego płaszcza, chwyciła arcykapłana sekty Larruk–Agre i uniósłszy go nad cebulowatą głowę, rzuciła prosto w paszczę wulkanu. Albo jak w podziemiach areny w Yarken, gdzie Pan Fitz poderznął gardło gladiatorowi. Niewolnik i sir Hereward byli tak

samo zdziwieni tym, co się stało, gdyż Pan Fitz wskoczył gladiatorowi na głowę i zabił go, pociągnawszy za ostrze jego własnego czarnego miecza...

– Mogę ją znieść na dół – zaofiarowała się Lallit, przerywając mu rozmyślenia. – Siostra Gobbe zażąda uczciwej ceny. Jestem pewna.

– W porządku – zgodził się sir Hereward. – Dobra mandora to doskonały prezent. Chciałbym ją obejrzeć, jeśli to nie kłopot. Kiedy wróci siostra Gobbe?

– Och, zaraz ją panu przyniosę – powiedziała Lallit. – Siostra Gobbe wróci dopiero za kilka godzin.

– Bardzo dziękuję, ale jak mi ją dasz, skoro nie wolno nam oddychać tym samym powietrzem?

– Och, potrafię na długo wstrzymać oddech – odparła naiwnie Lallit i wciągnęła głęboko powietrze, wypinając przy tym biust.

Sir Hereward obserwował ją z przyjemnością, która mieszała się ze złością na Pana Fitz'a. Zazwyczaj lalka nie ingerowała w jego miłosne podboje, a jeśli już miała czelność posunąć się do tego, to z pewnością musiała mieć ku temu ważny powód.

Lallit rzeczywiście całkiem długo potrafiła wstrzymać oddech, ale wreszcie odwróciła głowę i wypuściła powietrze w stronę schodów. Uśmiechnęła się i ruszyła na poddasze. Minutę później Hereward usłyszał, jak stąpa po dębowej podłodze poddasza mieszczącego się nad jego pokojem.

Nowicjuszką wróciła po kilku minutach, dźwigając instrument strunowy przypominający lutnię, tylko większy. Kiedyś potrafił grać na lutni, a nawet znośnie śpiewać, zwłaszcza gdy Pan Fitz wspomagał go swoim głosem, ale od lat nie robił ani jednego, ani drugiego.

Lallit zatrzymała się na chwilę w drzwiach, nabrała powietrza,

czemu towarzyszyło wybrzuszenie habitu w wiadomym miejscu, i szybko przebiegła przez pokój. Zostawiła mandorę w nogach łóżka chorego i równie szybko wróciła na schody.

Hereward usiadł i wziął instrument do ręki. Zrobiono go z jesionu i przyozdobiono rozwiniętą hebanową różą umieszczoną w pobliżu otworu rezonansowego. Wykonane z nieznanego mu materiału, na pewno nie z jelit, struny o dziwo nie popękały, a przecież instrument musiał leżeć na strychu od dawna.

Już miał zamiar trącić strunę, gdy zobaczył, że otwór rezonansowy jest czymś zatkany. Po bliższym zbadaniu okazało się, że tkwi w nim złożony w trójkąt kawałek pergaminu zlepiony na narożach woskiem. Aby go usunąć, trzeba było zdjąć struny, co oznaczało, że włożono go tam celowo, a struny założono później.

– Aha, mandora z tajemnicą – mruknął sir Hereward.

– Co to jest? – zapytała Lallit. Nowicjuszka stała na palcach, wyciągając smukłą szyję. Zrobiła nawet kilka kroków do przodu.

– Pergamin – powiedział sir Hereward. Zbliżył mandorę do okna, aby światło padało prosto na otwór rezonansowy. – Zapieczętowany w trzech miejscach i przymocowany do pudła czerwoną taśmą i trzema innymi woskowymi pieczęciami... Myślę, że to sprawa dla...

Chciał powiedzieć „dla Pana Fitz’a”, gdyż zapieczętowany pergamin pachniał czarami, ale nauczył się, że prawdziwej natury lalki nie należy bez potrzeby ujawniać nawet sługom przyjaznych bóstw, dlatego zamilkł.

– Jakie to fascynujące! – zawołała Lallit. Klasnęła w dłonie i zrobiła jeszcze jeden krok w jego kierunku.

– Co jest na nim napisane? – spytała.

Sir Hereward ostrożnie położył instrument na kolanach i zamyślił

się. Coś tu było nie w porządku z tą Lallit, pergaminem i mandorą. Zauważył, że struny trochę brzęczą, choć ich nie dotknął. Wydawały się małpować entuzjazm nowicjuszek i sir Herewardowi wcale się to nie podobało.

Dokładniej przyjrzał się Lallit i zaczął mieć wątpliwości, czy jest to ta sama osoba, która poszła na strych. Wyglądała na trochę wyższą i szczuplejszą, oczy miała szerzej rozstawione, a kapelusz przesunięty na tył głowy.

– Muszę zdjąć struny – powiedział – aby wyjąć pergamin. W mojej torbie powinien być klucz... muszę do niej sięgnąć.

Torby sir Herewarda razem z szablą i parą niestety nie naładowanych pistoletów z zamkiem kołowym leżały przy przeciwległej ścianie pod oknem zawartym okiennicą.

– Pomogę panu – zaproponowała Lallit.

Sir Hereward podniósł dłoń i usiadł na łóżku.

– Nie, nie. Pamiętaj o moich ślubach.

Podskoczył na prawej nodze i chwycił się zasuwki okiennicy.

– Warto wpuścić trochę słońca, dopóki jest dobra pogoda – rzucił. Nie sądził, że światło odstraszy cień, który przybrał postać Lallit, zwłaszcza że jedno okno było już otwarte, ale nie zaszkodziło spróbować. Otworzył okiennicę, uklęknął przy swojej torbie i zerknął za siebie.

W komnacie pojaśniało, nie wywarło to jednak większego wpływu na gościa, ale pozwoliło się upewnić sir Herewardowi, że postać stojąca w drzwiach nie jest ani Lallit, ani w ogóle kobietą. Było to coś w rodzaju istoty z innego wymiaru, która przybrała postać Lallit i ukradła jej ubranie. Hereward miał nadzieję, że Lallit jeszcze żyje i że jemu także uda się przeżyć to, co zaraz nastąpi.

– Jestem bardzo wdzięczny twojemu bogu Narhaletowi–Narhalitowi, że tak dobrze się mną zaopiekował – dodał. Wyjrzał przez okno, udając, że sprawdza, co się dzieje na dole. Wypowiedzenie imienia boga mogło zwrócić jego uwagę na intruza, który wtargnął do jego świątyni. – Dobrze, że Narhalet–Narhalit zaopiekował się także moim towarzyszem Panem Fiztem.

Imię Pana Fitza wypowiedział dość głośno, licząc na wyostrzone zmysły lalki. Zaalarmowałby ją, gdyby znajdowała się w pobliżu. Najprawdopodobniej jednak przeszukiwała podwodne jaskinie, co oznaczało, że sir Hereward jest zdany tylko na siebie.

– Klucz – podpowiedziała postać przypominająca Lallit. Widać było, że coraz trudniej jest jej mówić ludzkim głosem. – Struny. Pergamin.

– Ach, tak – odparł sir Hereward. Uklęknął przy torbie i zaczął w niej gmerać, co rusz wyciągając z niej różne przedmioty, jakby to miało ułatwić poszukiwania. – Zobaczmy. Nóż... trzeba go naostrzyć. Następny nóż... trochę lepszy. Gdzie to może być...?

Poczuł za sobą nagły ruch i gwałtownie się obrócił na zdrowej stopie, w obu dłoniach trzymając noże. Znalazł się twarzą w twarz z niby–Lallit. Postać straciła ludzki wygląd i sięgała pazurami do jego ramion. Odparował nożami jej atak i poczuł impet uderzenia, po którym poleciał pod okno i niemal przez nie wypadł.

– Wyciągaj ten pergamin. No już! – wrzasnęła postać. Jej ciało zaczęło się topić, odsłaniając łuskowaty szkielet – bestię z innego świata, bo noże Herewarda, magiczne przecież, powoli przenikały przez jej nadgarstki, a łuski ponownie zasklepiały się po przejściu ostrza.

– Nigdy! – wrzasnął Hereward i natychmiast zawołał: – Panie Fitz!

Do mnie! Narhalet–Narhalit, pomóż mi!

– Będziesz mi posłuszny! – pisnęła bestia i ugryzła Herewarda w ramię. Rycerz szarpnął się, ale przegryzła jego koszulę nocną, rozszarpując ciało. W tym samym momencie jego noże utraciły punkt oparcia na nadgarstkach bestii. Momentalnie zaatakowała ponownie. Hereward gwałtownie zsunął się po ścianie i prześlizgnął pod jej nogami. Próbował uciec, turlając się po podłodze, ale złapała go za kark, podciągnęła do góry i rzuciła na łóżko.

– Zdejmuj struny i wyciągaj pergamin – zażądała – albo tak cię pobiję, że pożałujesz.

Hereward otworzył usta ze zdumienia. Nie była to reakcja na żądanie bestii, ale mimowolny odruch na przybycie kompletnie nagiej, acz dosłownie rozpromienionej Lallit. Otoczona fioletową poświatą, ulubionym kolorem jej boga, wpadła do pokoju i wykonała ruch ręką, jakby zabijała komara.

W piersi stwora pojawił się otwór, z którego wytrysnął gejzer ropy, ochlapując jeden koniec łóżka Herewarda. Z plam na lnianej pościeli natychmiast zaczęły się unosić nitki piekielnie śmierdzącego dymu.

Pomimo rany, która byłaby śmiertelna dla człowieka, bestia nie sprawiała wrażenia, jakby coś jej dolegało. Odwróciła się tyłem do sir Herewarda i sprężyła do skoku na Lallit.

Nim jednak zdążyła skoczyć, Hereward zerwał się z łóżka i zamachnął *Kompendium wiedzy o świecie*, jako że była to jedyna broń, jaką miał pod ręką. Rozległ się brzdęk jak uderzenie w gong, gdy wielka, oprawiona w skórę i spięta mosiężnymi klamrami księga spadła na łeb bestii, rozpadając się przy tym na kawałki. Mosiężne klamry puściły i w ręku Herewarda zostały tylko poszarpane części okładek z kilkoma luźnymi kartami w środku. Reszta wraz z klamrami

obróciła się w proch.

Hereward wypuścił z rąk nagle odchudzoną książkę i rzucił się do swojej szabli. Chwycił ją w dłoń i odwrócił się, gotowy odeprzeć atak stwora. Nie było jednak takiej potrzeby. Bestia także zamieniła się w proch, który boski, bez wątpienia, wiatr uniósł w powietrze i przez najbliższe okno wywiał na cztery strony świata.

Poświata dookoła głowy Lallit przybladła. Nogi się pod nią ugięły, ale zanim zdążyła upaść, doskoczył do niej Hereward i podtrzymał ramieniem. Ze względu na złamaną stopę nie mógł jednak jej udźwignąć i oboje przewrócili się na łóżko. W tym momencie do pokoju zajrzał ostrożnie Pan Fitz. W dłoni ścisnął magiczną igłę. Gdy zrozumiał, co się dzieje, otaczający go nieludzki blask szybko przygasł.

Lalka z powrotem wetknęła igłę w swój spiczasty kapelusz i w tej samej chwili, pokonawszy ostatni stopień schodów, do pokoju wtargnął karłowaty strażnik z toporem w dłoni, gotów użyć go przeciwko każdemu, kto śmiał zbrukać czystość nowicjuszki.

– Ale ja nic... – zaprotestował sir Hereward. Niechętnie puścił Lallit i zaczął gasić dłonią ogień tłący się w nogach łóżka. – My nic...

– Co ja tu robię? – zapytała oszołomiona Lallit. Wyglądała jak ktoś nie całkiem wybudzony ze snu. – Poczulaam obecność boga...

– Narhalet–Narhalit był tutaj – potwierdził Pan Fitz. Jego niebieskie oczka osadzone w głowie z papier mâché rzucały świdrujące spojrzenia. – To boska sprawa, Jabek, niezależnie od tego, co ci się wydaje.

– Tak, wiem – zgodził się Jabek, po czym uśmiechnął się i dodał: – Ale będziecie to musieli wytłumaczyć siostrze Gobbe.

– Ojej, mandora się złamała! – jęknęła Lallit. Instrument miał ułamaną szyjkę. Podniosła go i przytuliła do piersi. – Sir Hereward

chciał go panu ofiarować na urodziny, Panie Fitz.

– Prezent urodzinowy? Dla mnie? – zdziwiła się lalka.

– W książce przeczytałem, że wszystkie czarodziejskie lalki mają urodziny tego samego dnia – wyjaśnił sir Hereward. – Czwartego Drugiego Miesiąca.

– Ale ja nie jestem zwykłą lalką – rzekł Pan Fitz. – Trudno też powiedzieć, że urodziłem się konkretnego dnia, zważywszy na to, że moja świadomość zmysłowa rozwijała się stopniowo, kiedy mnie tworzone. A poza tym zwykłe lalki obchodzą urodziny piątego Drugiego Miesiąca.

Hereward wzruszył ramionami i skrzywił się, jakby zabolalo go zranione ramię lub kontuzjowana stopa.

– Jestem jednak wdzięczny za pamięć – dodał Pan Fitz. – A teraz proszę powiedz mi, co się stało. Jak mniemam, ta złamana mandora bez wątpienia brała udział w dziwnych zdarzeniach, które przed chwilą się tu rozegrały?

– Znalazłem w niej trójkątny, trzykrotnie zapieczętowany list – odparł Hereward – co już samo w sobie jest dość dziwne, a staje się jeszcze dziwniejsze, jeśli wziąć pod uwagę tamtą księgę, która była dużo większa, dopóki nie walnąłem nią w głowę tego chodzącego cienia czy co to tam było.

– Ostatnie, co pamiętam, to jak otwierałam skrzynię, żeby wyjąć z niej mandorę – wtrąciła Lallit. – Czy mogłabym pożyczyć jeden z pańskich koców, żeby się okryć, sir Herewardzie?

– Proszę, nie zakrywaj swojej urody z mojego powodu... – zaczął Hereward, ale kiedy stojący obok niego Jabek Topór głośno się poruszył, pospiesznie się poprawił: – Ależ naturalnie, bierz.

Pan Fitz przycupnął nad resztkami księgi i zaczął przewracać strony



jednym z noży sir Herewarda. Następnie zbadał mandorę.

– To dość proste – powiedział wreszcie. – Ta księga... notabene dziwię się, że nie zauważyłeś, iż jest złożona czcionką zwaną Magiczką i przez to bardzo podejrzana... stanowi część zemsty, jakiej chcieli dokonać na swoich wierzycielach kupcy–czarownicy z Jerreke. Sprowadzeni do roli niewolników z powodu swojej ekonomicznej ignorancji, jakimś sposobem zdołali podporządkować sobie dwie bliźniacze istoty z innego świata. Jedną chcieli zamknąć w tej księdze lub w innym domowym sprzęcie, a drugą w instrumencie lub w jakiejś grze. Potem oba miały być wysłane oddzielnie do wybranego odbiorcy, żeby obejść ochronę antymagiczną. Kiedy znalazłyby się blisko siebie, istoty te zostałyby uwolnione i zabiły wszystkich dokoła.

– Ale pojawiła się tylko jedna – zaproponował sir Hereward – i wcale nie chciała mnie zabić, przynajmniej z początku. Chciała, żebym wydobył pergamin umieszczony w mandorze.

– Kupcy–czarownicy z Jerreke znani byli z braku głowy do interesów i niekompetencji w dziedzinie czarów. – Pan Fitz się skrzywił. – Czar rzucili dawno temu, ale jak zwykle sfuszerowali robotę i tylko jedna istota została uwolniona. Zorientowawszy się, że jej bliźniak wciąż jest uwięziony w mandorze, musiała czekać w skrzyni, aż pojawi się ktoś, kogo będzie można zmusić do jego uwolnienia. Ani siostra Gobbe, która przyniosła ci księgę, ani Lallit nie nadawały się do tego celu, gdyż miało na nie oko ich bóstwo, a zatem wypadło na ciebie. Jednakże niszcząc przedmiot, w którym istota ta była kiedyś zaklęta – księgę, a raczej jej okładki – natychmiast ją odegnałeś.

– Jej bliźniak wciąż jest jednak uwięziony w mandorze? – zapytał sir Hereward.

– Zgadza się – odparł Pan Fitz. – Jest to oczywiście notowana

istota, ale jedna z mniej ważnych...

– Dobrze – przerwał mu sir Hereward. – Lallit, Jabek, możecie nas zostawić na chwilę samych?

– Oczywiście, sir Herewardzie – odparł Jabek. Odwrócił się i od razu odszedł.

Hereward pomógł Lallit wstać, ściskając ją trochę mocniej, niż to było konieczne. Nowicjuszka spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

– Przykro mi z powodu pańskich ślubów, sir Herewardzie – rzekła. Miała słodki oddech, a koc bardzo luźno opinał jej ciało. – Ja także składałam śluby jak każda nowicjuszka w służbie Narhaleta–Narhalita... że do czasu wyświęcenia nie będę...

– Wiem – przerwał jej sir Hereward, zerkając na Pana Fitz. – To znaczy teraz wiem. Lepiej, jeśli już pójdziesz, Lallit.

– Gdybym nie stała przed obliczem boga, które przypomina mi o moim powołaniu, mogłabym zapomnieć o tych ślubach – szepnęła i wyszła.

Hereward westchnął i skacząc na jednej nodze, dotarł do swojej torby. Wyjął z niej jedwabną opaskę na rękę i naramiennik z magicznymi symbolami, które świeciły własnym światłem, choć w blasku słońca wpadającym przez okno od północy niezbyt dobrze było je widzieć.

– Może ci najpierw opatrzeć ranę? – zapytał Pan Fitz. Wyjął spod kapelusza własny naramiennik i założył go.

– To drobiazg. Wydaje mi się, że Nar–Nar już powstrzymał krwawienie – stwierdził sir Hereward. Wykręcił ramię, żeby nasunąć naramiennik powyżej łokcia, i chrząknął przy tym z bólu, co trochę zmniejszyło stanowczość tego stwierdzenia. – Za pięć minut mogę odnieść nową ranę i będziesz miał co robić. A teraz wyciągnij wreszcie

ten pergamin, a ja walnę w niego mandorą.

– Już się robi – powiedział Pan Fitz. Sięgnął szczupłymi palcami między poluźnione struny i wyciągnął z otworu rezonansowego zapieczętowany trójkąt. Trzymając go w ręku, spojrzał na sir Herewarda. – Ale najpierw...

– Wiem, wiem – burknął rycerz. – Jak to coś się nazywa? Czy może wystarczy zawołać: „Wzywam antagonistę”?

Pan Fitz przez długą chwilę patrzył na pergamin. Jego malowane oczy potrafiły dostrzec dużo więcej niż ludzkie, zarówno w zwykłym świecie, jak i poza nim.

– Hypgrix Drugi.

– Racja.

Sir Hereward wziął szablę i na wszelki wypadek położył ją na łóżku, a potem wysoko uniósł mandorę. Następnie przemówił. Głos miał taki jak zwykle. Słowa brzmiały znajomo, a z każdym z nich symbole na jego i Pana Fitzta naramiennikach świeciły jaśniej.

– W imieniu Rady Paktu Bezpieczeństwa Światowego, działając z upoważnienia Trzech Imperiów i Siedmiu Królestw, Regenta Palatynatu, Republiki Jessar i Czterdziestu Pomniejszych Państw, ogłaszamy, że jesteśmy agentami Rady. Zidentyfikowaliśmy bożka zaklętego w tym pergaminie jako Hypgriksa Drugiego, istotę notowaną decyzją Paktu. W konsekwencji rzeczony bożek i wszyscy, którzy mu pomagają, zostali uznani za wrogów Świata i Rada upowaznia nas do podjęcia wszelkich działań zmierzających do wygnania, odstraszania czy likwidacji rzeczonego bożka.

Pan Fitz złamał pieczęcie na pergaminie „bożka” i choć stwór w środku aż się zagotował, próbując przybrać jakąś cielesną postać, sir Hereward walnął mandorą w pergamin. Zarówno stwór, jak i

instrument w okamgnieniu zamienili się w proch, który na znak dany ręką przez Pana Fitzę wyfrunął przez okno.

Sir Hereward usiadał na łóżku, krzywiąc się z bólu, i popatrzył na Pana Fitzę.

– Powiedz mi wreszcie, czemu jesteś cały w soli.

– W soli? – zdumiała się lalka. – To nie sól, tylko sproszkowana kość i kreda. Rozkopałem grobowiec pewnych dawnych olbrzymich stworzeń. Było to bardzo ciekawe zajęcie, ale pewnie nie tak bardzo jak twoja lektura.

– Chyba tak – mruknął sir Hereward. Wyciągnął się na łóżku i pokazał palcem na długie drewniane pudełko leżące na podłodze obok torby. – Gdybyś tak mógł się na chwilę oderwać od kopania, co byś powiedział na partyjkę królów i błaznów?

Pan Fitzę powoli pokręcił wielką głową na groteskowo cienkiej szyi i spojrzał niebieskimi oczami na sir Herewarda.

– Znowu? Tak prędko po ostatniej porażce? Wszystko po tobie widać, Hereward, i wątpię, żebyś trafił na jakiś prawdziwy atut. Lepszy zawsze wygrywa.

– Zobaczymy. Rozłóż planszę i bądź tak dobry i zamów piwo – powiedział sir Hereward. – Aha, i odłóż to na miejsce – dodał, zdejmując naramiennik. – Ufam, że nie będę go już potrzebował, w każdym razie aż do Bazynghame.

– Lepiej mieć go w pobliżu – zauważył Pan Fitzę, biorąc pudełko z grą. – Jest mały kłopot w związku z moim kopaniem – i z tym, co znalazłem...

*Michael Moorcock* urodził się w Londynie. W wieku szesnastu lat został redaktorem magazynu „Tarzan Adventures”, a później „Sexton Blake Library”. Między majem 1964 a marcem 1971 roku zajmował stanowisko redaktora naczelnego w wydawnictwie New Worlds, walnie przyczyniając się do rozwoju Nowej Fali, najważniejszego ruchu w dziejach literatury fantastycznonaukowej. Moorcock jest jednak najbardziej znany jako twórca pojęcia wieloświata (multiverse) [w rzeczywistości pojęcie to wprowadził amerykański filozof i psycholog William James, brat pisarza Henry’ego Jamesa] i ze swego wpływu na podgatunek fantasy zwanego literaturą magii i miecza (zainicjował zresztą dyskusję nad tym terminem z jego współtwórcą Fritzem Leiberem). Postać Elryka z Melniboné, którą stworzył, zaliczana jest do najbardziej znanych antybohaterów tego gatunku, nie tylko bowiem występuje na kartach powieści Moorcocka, od lat siedemdziesiątych będących stale w sprzedaży, ale także w komiksach, grach fabularnych i tekstach rockandrollowych piosenek. Pozycja Moorcocka w literaturze magii i miecza jest tak wysoka, że żadna antologia tego gatunku nie mogłaby się bez niego obejść. Moorcock z żoną Lindą mieszka obecnie na zmianę w Teksasie, Francji i Kalifornii.

**Michael Moorcock**

**CZERWONE PERŁY**

**Opowieść o Elryku z Melniboné**

*Dla George'a Manna i G.H. Teeda*

## **Na krawędzi świata**

Słońce w miedzianej obwódce, jakby napęczniałe od krwi, zawisło nad horyzontem, rzucając długie czarne cienie na dziwnie zbudowany statek *Silela Li*. Na pokładzie przy relingu stały dwie kapłanki Xiombarg w habitach pokrytych misternym haftem i błyszczących koronach z brązu. Wpatrywały się w horyzont i wsłuchiwały w odległy łapczywy ryk, który z boską radością zwiastował nadejście ciemności. Kobiety zaintonowały wieczorną modlitwę przekonane, że na niebie pojawił się wielki cień w kształcie kobiety, uprzywilejowanym przez ich bóstwo. Kiedy kończyły rytuał, z kabin pasażerskich pod pokładem wyłonili się dwaj mężczyźni i podeszli do nich. Jeden był niski, miał zadziwiająco rudą czuprynę, rumianą cerę, wielkie niebieskie oczy i szerokie uśmiechnięte usta. Nosił kurtkę z podpinką i bryczesy z jeleniej skóry wpuszczone w cholewki miękkich butów. Jego wysoki towarzysz był odziany na czarno, w jedwab i skórę, miał włosy koloru mleka, a jego blada skóra przypominała cienkie bielone płótno. Pociągła twarz z wąskimi uszami i lekko przekrzywionymi brwiami robiła równie niesamowite wrażenie co błyszczące, zabarwione na rubinowo oczy. Żaden nie miał broni. Kobiety zakończyły modlitwę i opuściły ręce. Odwróciły się i zaskoczone ujrzały przed sobą dwóch mężczyzn, którzy grzecznie im się uklonili, po czym zajęli opuszczone przez kobiety miejsce przy relingu. Tarcza słoneczna zdążyła zanurzyć się do połowy w morzu, a jej promienie wycinały na wodzie czerwone ścieżki.

Wyższy mężczyzna należał do osób powszechnie znanych na Północy i Zachodzie. Był to Elryk, zwany czasem Zabójcą Krewnych, ostatni cesarz Melniboné, do niedawna największego mocarstwa na świecie, niższy zaś nazywał się Moonglum z Elwheru, krainy leżącej na niezbadanym Wschodzie. Od pewnego czasu podróżowali razem i przeżyli kilka przygód. Obecnie wracali z Nassea–Tikri, gdzie spotkali dwie osoby, które miały skomplikowane powody, żeby do nich dołączyć, ale tego wieczoru wolały zostać pod pokładem.

Po odejściu kapłanek Moonglum wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W tej części świata wyznawczynie Xiombarg wydają się bardziej urodziwe niż gdzie indziej – powiedział. – Zaczynam żałować swojej decyzji z tawerny.

Na ustach jego przyjaciela pojawił się nikły uśmieszek.

– Jestem zbyt blisko związany z Władcą Chaosu, bratem Xiombarg, aby się wplątywać w awanturę z Książętami i Księżnymi Entropii. Poza tym, jak znam ich wiarę, te dwie kapłanki nie będą zainteresowane oddaniem się komukolwiek innemu poza własną patronką i sobie samym.

– Ach tak? – Moonglum z rozczarowaniem popatrzył na pustą zejściówkę prowadzącą pod pokład. – Elryku, mój przyjacielu, czasem wolałbym, żebyś mniej chętnie dzielił się ze mną swoją wiedzą.

– Zapewniam cię, że dzielę się z tobą jedynie niewielką jej częścią. – Albinos spuścił wzrok, by spojrzeć na chlupoczącą w dole wodę.

Słońce już prawie zaszło, ale odległy ryk zdawał się wzmacniać, jakby triumfalnie. A potem słońce zniknęło całkowicie, pogrążając statek w szarozłotym półmroku. Zerwał się silny wiatr, wydymając wielkie żagle, dzięki czemu wiosłarze na dole mogli odłożyć wiosła. Co niezwykle, całkowicie wciągnęli je pod pokład. Dwaj mężczyźni

usłyszeli stukanie drewna o drewno i szorowanie metalu o metal towarzyszące zamykaniu dulklap.

Mężczyźni niechętnie opuścili pokład i zeszli do swoich kabin. W przejściu natknęli się na pierwszego oficera, Ghatana, który grzecznie im zasalutował.

– Sprawdźcie, panowie, czy zabezpieczyliście wasze kabiny przed wodą. Kilka godzin po wzejściu księżyca powinno być po wszystkim. Kiedy rano zabije dzwon, będziecie mogli bezpiecznie otworzyć bulaje.

– Jeśli przeżyjemy – mruknął radośnie Moonglum.

Oficer odwzajemnił uśmiech.

– W istocie! Dobrej nocy, panowie. Jeśli dopisze nam szczęście, obudzimy się w Górnym Świecie.

Życząc obu dobrej nocy, Elryk zniknął w swojej kwaterze. Z góry dobiegał ciężki tupot stóp i brzęk łańcuchów, którymi marynarze opasywali statek, aby nie dopuścić do jego rozszczelnienia.

Kabinę Elryka oświetlała pomarańczowa latarnia zwisająca z niskiego sufitu. Jej światło padało na siedzącą kobietę, która marszcząc czoło, przeglądała niewielki zwój. Słyszając wchodzącego albinosa, podniosła oczy i uśmiechnęła się. Owa wyjątkowa czarnowłosa piękność była księżniczką Nauhaduar z Uyt, która teraz kazała się nazywać po prostu Nauhą. Światło odbijało się w jej wielkich ciemnych oczach. Usta miała lekko rozchylone w inteligentnym uśmiechu.

– A zatem dotarliśmy do punktu, z którego nie ma powrotu, drogi panie.

– Na to wygląda. – Elryk zaczął zdejmować koszulę, podchodząc do szerokiej koi, na której piętrzył się stos kołder i futer. – Lepiej się trochę prześpijmy, zanim hałas stanie się nie do zniesienia. Za późno



myśleć o powrocie do Uyt.

Kobieta wzruszyła ramionami, chowając zwój do tuby.

– Nigdy bym nie odżałowała, gdybym nie skorzystała z okazji, mój panie. Poza tym dopóki mnie nie przekonasz, że jest inaczej, tak jak wszyscy uważam, iż nasz świat ma kształt dysku. Wszystkie inne opisy to moim zdaniem głupie bajki.

– No tak. Dobrze, że niewielu ludzi wierzy w prawdę, bo z pewnością wprowadziłyby ich ona w zakłopotanie. – Odpowiadał trochę na odczepnego, gdyż umysł miał zajęty czymś innym.

– Ja wciąż jestem zakłopotana – rzekła.

– Rzeczywistość już niedługo się ujawni. – Stał teraz nagi, szczupły i muskularny. Mimo że bardzo blady, był dziwnie urodziwy. Sięgnął po dzban i nalał wody do misy. Powoli się umył.

Kobieta także zaczęła się szykować do snu. Odkąd postanowiła związać swój los z Elrykiem, zniknęła nuda, z którą już się niemal pogodziła. Czowała teraz, że nie ma powrotu do przeszłości. Sny Elryka rzadko pozwalały mu spokojnie przespać całą noc, ale nawet gdyby albinos miał ją zostawić, nigdy nie będzie żałować, że go poznała, a kto wie, czy nie pokochała. Może i był zabójcą krewnych, zdrajcą, dla niej jednak nie miało żadnego znaczenia, kim był i co ryzykowała. Ciemność i światło cały czas ścierają się w tej dziwnej półludzkiej istocie, której przodkowie władali światem, zanim jej własna rasa wyłoniła się z błota w akcie stworzenia i której straszny miecz, teraz zawinięty w płótno i skórę, schowany w skrzyni pod łóżkiem, wydawał się obdarzony mroczną inteligencją. Wiedziała, że powinna się ich obawiać, jednego i drugiego, i częścią swego jestestwa stale powracała do strasznych wydarzeń, jakich była świadkiem w lasach tajemniczego Sum, ale ciekawość, by lepiej poznać właściwości miecza i ponurego

księcia, który go nosił, była silniejsza. Przestrzegł ją, z kim się wiąże, a mimo to chciała z nim pojechać, zostawiając w Nassea–Tikri ojca i siostrę bliźniaczkę, a więc wszystko, co było dla niej najdroższe na świecie. Leżąc teraz obok tego twardego, cudownie bladego i sprężystego ciała, wsłuchiwała się w odgłosy statku i morza. Drewno trzeszczało, a daleki grzmot stawał się coraz głośniejszy. Poczula, że prędkość galeonu wzrosła, jakby ogarnął go silny prąd. Mniej więcej wiedziała, czego oczekiwać, ale bardzo chciała się tego dowiedzieć od albinosa. On tymczasem spokojnie spał, lekko pomrukując, i nie mogła go obudzić. Jednak czy jego spokój nie był pozorny?

Z góry dobiegł głęboki, stłumiony dźwięk dzwonu. Albinos zadrżał jakby w odpowiedzi, ale się nie obudził. Statkiem szarpnęło do tyłu raz i drugi. Wpadając na śpiącego mężczyznę, poczuła dreszcz na całym ciele. *Silela Li* kołysała się, dygotała – drewno jęczało i trzeszczało, gdy kadłub przechylał się to na jedną, to na drugą burtę. Kołysanie było tak gwałtowne, że Nauha musiała objąć kochanka, aby się uspokoić. Elryk poruszył się, jakby chciał się wyzwolić z jej uścisku, i na chwilę się obudził.

– Już po wszystkim? – zapytał.

– Jeszcze nie.

Ponownie zamknął swoje karmazynowe oczy. Na chwilę oboje zasnęli. A może trwało to wiele godzin, nie umiała powiedzieć.

Nauha obudziła się, czując, że prędkość statku się zwiększa.

– Elryk? – odezwała się.

Jęknęła, gdy statkiem zakręciło, jakby dostał się w ogromny wir.

– Elryk!

Znowu brak odpowiedzi. Pomyślała, że może umarł albo leży oszołomiony, a wtedy spod łóżka dobiegła ją skarga rozumnej broni jej

kochanka. Szum morza przeszedł w ryk, zagłuszając narzekania czarnego miecza, gdy statek pod ostrym kątem runął w dół.

W stronę krańca świata.

## **Spotkanie na morzu**

Wcześniej Elryk powiedział jej, dokąd się wybiera, i obiecał, że odstawi ją do portu, z którego będzie mogła wrócić do domu. W odpowiedzi Nauha zapytała go tylko, czy już mu się znudziła. Odparł, że nie, ale nie chce jej narażać na niebezpieczeństwo.

Nie chciała go opuszczać. Często się zastanawiała, ile jest prawdy w plotkach, które ludzie opowiadają o przegranym, zrujnowanym księciu. Teraz miała okazję poznać choćby mały jej ułamek. Zdecydowała się na tę przygodę po trosze z ciekawości, a po trosze z powodu zauroczenia jego natarczywym, niezwykłym ciałem. Była gotowa zaryzykować życie i równowagę zmysłów, aby odkryć, co się znajduje poza krańcem świata. Przestrzegł ją, że niewielu podróżnikom udało się wrócić z takiej wyprawy. Spokojnie opowiedział jej o wszystkim, co mogło ich spotkać. A ona odparła:

– Cenię sobie życie, mój panie, ale co mi po nim, jeśli nie ma w nim miejsca na ryzyko lub przygody. – Widząc jego poważną twarz, roześmiała się. Czy teraz miała pożałować swojej decyzji?

Statek wciąż zwiększał prędkość, gwałtownie kładąc się na boki. Każda klepka kadłuba zaprotestowała, kiedy zanurkował pod jeszcze większym kątem, trzęsąc się straszliwie. Nauha o mało nie wypadła z koi. Ponownie przywarła do albinosa. Zamruczał: „Cymoril” i łagodnie, acz silnie, objął jej białe ramiona. Jak ktoś tak bardzo chory mógł być tak silny? Przytuliła się do niego. Nie pierwszy raz wymówił imię

swojej narzeczonej. Tej, którą niechcący zabił własnymi rękami. Teraz obejmował ją we śnie.

Statkiem znowu szarpnęło. Nagle Nauha poczuła, że spadają, że statek przechylił się przez krawędź świata i runął w dół. Miała wrażenie, że ciągnie się to w nieskończoność, aż wreszcie z gigantycznym wstrząsem *Silela Li* uderzyła w nieruchomą przeszkodę.

Nauha przygryzła wargę. Uderzyli w skałę. Nie ma innego wyjaśnienia. Statek rozpada się na kawałki. *Silela Li* poruszała się rytmicznie w górę i w dół, jakby dostała się w uścisk gigantycznego potwora. Nauha nie wytrzymała i krzyknęła z całych sił. Na pewno się rozbili i teraz szybko toną. Pogodziła się ze śmiercią, ale Elryk mocniej objął jej ramiona i kiedy w ciemności otworzyła oczy, zobaczyła, że sprawia wrażenie rozbawionego. Czyżby tak przyjmował swój los? Dlaczego jest taki spokojny?

Nagle morze stało się dziwnie spokojne. Czyżby utonęli? Statek jednak z nikłym szarpnięciem lekko popłynął do przodu. Elryk zamknął oczy. Lekko się uśmiechnął, jakby czytał w jej myślach. Nad głową usłyszała natarczywe głosy, w których jednak brzmiała ulga. Padały rozkazy i odpowiedzi. Raptem Elryk zeskoczył z koi i zaczął odkręcać pokrywę zasłaniającą jedyny iluminator w kabinie. W srebrnym świetle jego ciało stało się niemal niewidoczne. Chłodne rześkie powietrze wypełniło kajutę. Czyżby usłyszała krzyk mewy?

– Gdzie jesteśmy? – zapytała i natychmiast zwymyślała się za głupotę.

Nie odpowiedział, ale odstąpił od iluminatora. Wyglądał teraz jak cień. W końcu przemówił. Łagodnie i niemal oficjalnie.

– Jesteśmy tam, gdzie nie powinnaś się była znaleźć. Na drugiej stronie świata, którą ludzie tu mieszkający nazywają Górnym Światem.

Nie mam w tym dużego doświadczenia, ale wydaje mi się, że mieliśmy łatwe przejście. Do świtu zostało kilka godzin. Lepiej jeszcze trochę pośpijmy. – Dotknął jej twarzy, chyba wypowiadając zaklęcie, i posłuchała go.

Później, drzemiąc, usłyszała stukanie i dochodzący zza drzwi głos Moongluma. Elryk wstał i poczekał, aż się okryje, po czym je otworzył. Rudy Elwheryczyk stał w progu, szczerząc zęby i obejmując ramieniem Cite Tine. Była to piękna kobieta z czujnym, odważnym spojrzeniem i mocnymi ustami. Moonglum spotkał ją w Stalowym Łonie w wieczór poprzedzający wyjście z portu. Cite Tine była niska, ale silna. Miała figurę i mięśnie tancerki, czarne włosy i oczy oraz ciemną skórę typową dla ludzi swojej rasy. Na jej twarzy malował się wyraz bezbrzeżnej ulgi. Niewątpliwie też myślała, że zginie, gdy statek zaczął spadać. Teraz oddychała rześkim chłodnym powietrzem wnikającym pod pokład i radośnie przekrzywiając głowę, wsłuchiwała się w plusk wiosł nurzających się we wzburzonej wodzie. Rozległ się trzask, gdy wiatr wydał żagle. Skądś dobiegł zapach smażonego mięsa. Ludzie na pokładzie wciąż nie mogli wyjść ze zdziwienia, że przeżyli. Nawet ponury kochanek Nauhy wydawał się mniej zaabsorbowany niż zwykle. Przeprosił wszystkich i zawołał, by mu przyniesiono ciepłą wodę.

Kiedy się wykąpali i ubrali, Nauha i Elryk wyszli na dużą, ogólnie dostępną galerię, gdzie pasażerowie i oficerowie spożywali posiłki. Oprócz dwóch kapłanek i towarzyszy Elryka statkiem płynęło jeszcze sześciu pasażerów, zajmujących kupieckie kabiny, którzy sprawiali wrażenie wstrząśniętych niedawnymi przejściami i teraz podnieconymi głosami opisywali swoje nocne przeżycia. Jeden z nich nie wyglądał na kupca, gdyż usiadł osobno, szczelnie owinięty ciemnoczerwonym

płaszczem sztormowym, jakby interesowało go tylko to, by uchronić się przed chłodem. Posepny, małomówny, niezbyt się interesował towarzyszami podróży. Jak większość płynął do legendarnego Hizss. Poprzedniej nocy szybko zjadł kolację i od razu udał się na spoczynek. Moonglum raz czy dwa razy zerknął na niego, ale Elryka niezbyt interesowali śmiertelnicy i ich sprawy. Dlatego kompletnie go ignorował, podobnie zresztą jak pozostałych pasażerów, całą uwagę poświęcając Moonglumowi, który potrafił go rozbawić, oraz księżniczce Nausze, którą niezwykle szanował.

– A zatem jesteśmy na miejscu! – Moonglum ugryzł kromkę chleba, spoglądając przez najbliższy iluminator na spokojne morze. – Jestem ci, mój książę, winien przeprosiny za to, że nie wierzyłem w twoje zapewnienia o innym świecie leżącym pod naszym. Teraz mam dowód! Nasza planeta nie jest płaska, ale ma kształt jajka. Przeżyliśmy, więc to prawda! I choć nie rozumiem, jaki to nadprzyrodzony czynnik sprawia, że ocean trzyma się powierzchni jajka, muszę przyjąć, że tak jest...

Jeden z kupców wybuchnął basowym śmiechem.

– A czy wierzycie, panowie Melnibonéanie, jak niektórzy z moich ziomków, że istnieją także inne jajka, o różnej wielkości, porozrzucane w eterze, z których część przypomina nasz własny świat? A na nich mieszkają ludzie proporcjonalnego rozmiaru, a ich jajko przypuszczalnie znajduje się wewnątrz większego jajka, a ono wewnątrz jeszcze większego i tak dalej?

– A może – zaśmiał się inny – wierzycie, że żaden z naszych światów nie ma kształtu jajka, i uważacie, że jest okrągły jak orzech drzewa omerhav?

Elryk wzruszył ramionami, popijając żółte wino śniadaniowe. Nie chciał się wdawać w rozmowę. Moonglum jak zwykle był bardziej

towarzyski i ciekawski.

– O ile wiem, w moim kraju są filozofowie, którzy podzielają ten pogląd. Żaden z nich wszak dotąd nie wyjaśnił, jak to się dzieje, że w tych innych światach woda trzyma się powierzchni, że statki mogą po nich żeglować, a my możemy stać na pokładzie i nie ulecieć w niebo jak pyłki na wietrze.

Posępny mężczyzna podniósł głowę, jakby nagle coś obudziło jego czujność, ale kiedy ani Moonglum, ani Elryk nie pociągnęli tematu, na powrót skupił uwagę na jedzeniu.

Cita Tine, dziewczyna z tawerny, zachichotała.

– Mój lud od stuleci wie o istnieniu morskiego przejścia między dwoma światami – powiedziała. – Młodzi mężczyźni płyną tu w poszukiwaniu szczęścia. Nasze bogactwo zawdzięczamy tej wiedzy i nauczyliśmy się budować statki takie jak ten, zdolne wytrzymać ogromny napór wody na kadłub, i pokonaliśmy to przejście.

Kapitan, który siedział na drugim końcu stołu, podniósł palec do ust.

– Przestań, dziewczko – napomniął ją – bo nasze sekrety staną się publiczną własnością. Jesteśmy bogaci tylko dlatego, że większość ludzi uważa, iż świat po tej stronie to zwyczajna legenda.

– Ten oto mój towarzysz był tu już wcześniej – oświadczył Moonglum. – Tylko dlatego zgodziłem się podjąć ryzyko podróży. I oczywiście złożyłem przysięgę milczenia, zanim wyruszyliśmy.

– Nie wiedziałem, panie... – Kapitan spojrzał pytająco na Elryka, ale albinos nic nie powiedział. Jedynie spuścił oczy, przyglądając się swojej białej ręce ściskającej czarę z winem. – Jaki miała cel pańska pierwsza wizyta, jeśli można spytać? – Kapitan próbował nawiązać miłą towarzyską rozmowę. – Handel? Ciekawość?

Z uwagi na swoich towarzyszy Elryk zdobył się na wysiłek i odrzekł:  
– Mam tutaj krewnych.

Wydawało mu się, że jak na siebie jest niezwykle rozmowny i stara się nie wywyższać. Kapitan nie starał się już jednak wciągnąć go do rozmowy.

Później, kiedy wyszli na pokład zaczerpnąć świeżego powietrza, i utkwili wzrok w pozornie nieskończonym błękitie białogrzywych fal, księżniczka Nauha powiedziała: – Chciałabym poznać tych krewnych. Nie miałam pojęcia, że jacyś Melnibonéanie mieszkają poza Smoczą Wyspą.

– To moi krewni, ale nie są Melnibonéanami ani nigdy nimi nie byli. Zresztą wcale by tego nie chcieli.

Statek gładko pruł spokojne wody oceanu przy niezmiennej pogodzie, pod niebem pełnym dziwnych gwiazd, a Elryk z dnia na dzień stawał się coraz bardziej milczący. Nawet jego przyjaciele, wyjąwszy Nauhę, starali się go unikać.

Piątego dnia na morzu z bocianiego gniazda na fokmaszcie rozległ się okrzyk: „Ahoj! Ziemia na horyzoncie!”, który sprowadził na pokład wszystkich pasażerów oprócz posepnego kupca. Podążyli wzrokiem za wyciągniętą ręką obserwatora, która wskazywała na długą linię brzegową, widoczną mimo lekkiej mgły, a wkrótce na coraz wyraźniej rysujące się szerokie piaszczyste plaże, na których rozbijały się białe grzywacze. Za plażami wznosiła się zielona ściana gęstego lasu, ale nie widać było żadnych śladów ludzkiego osadnictwa.

Moonglum wyraził przypuszczenie, że las tu jest przedłużeniem dżungli, którą niedawno opuścili, opasującej świat dookoła, ale wszyscy zignorowali jego uwagę. Zamilkł więc i patrzył, jak statek zmienia kurs, by popłynąć wzdłuż nowego brzegu.



– Shug Banatt – odparł jeden z kupców na pytanie Moongluma o nazwę najbliższego portu. – Ponure miasto, ale kapitan ma w nim jakieś swoje interesy do załatwienia. Jutro powinniśmy tam dotrzeć. Jeśli oczywiście nie wpadniemy w łapy piratów trudniących się handlem niewolnikami.

Moonglum pierwszy raz usłyszał o piratach.

– Hę? – chrząknął.

Kupiec, wyraźnie zadowolony z efektu, jaki osiągnął, powiedział:

– Polują na statki płynące od strony krawędzi. Niektóre trafiają tu przez przypadek i stają się łatwym łupem. Wiedzą, że spodziewamy się ataku, więc raczej na nas nie zapolują.

– Dlaczego ludzie w waszym mieście o tym nie mówią?

Kupiec wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby.

– Nie możemy zrezygnować z handlu, panie Moonglum, prawda? Zysk kapitana pochodzi z opłat za przejazd, które wnoszą tacy pasażerowie jak wy. Ale nie lękaj się. Obserwujemy ich i jesteśmy przygotowani. Wieziemy raczej niewielki ładunek, i to w większości towary, jakimi piraci nie są zainteresowani. A nasze pieniądze mają wartość tylko dla innych kupców. Dla piratów srebrne monety są nic niewarte. Niektórzy mówią nawet, że przynoszą pecha.

Przez resztę dnia statek utrzymywał stały kurs wzdłuż brzegu. Wiał słaby wiatr i morze było spokojne, co cieszyło wioślarzy, w większości wolnych ludzi, dla których było to stałe zajęcie. Moonglum i jego pani zeszli na dół, podczas gdy Elryk i księżniczka zostali na pokładzie. Nauha lubiła świeże powietrze i zapytała Elryka, czy czuje zapach lasu.

– Mam własną teorię na ten temat. – Uśmiechnął się. – Ów drugi świat zamieszkuje dużo mniej ludzi. Dlatego wydychają mniej zepsutego powietrza...

Oczywiście żartował. Nauha zostawiła go i przeszła na dziób, gdzie z rozwianymi ciemnymi włosami wystawiła twarz do wiatru.

Albinos patrzył w stronę brzegu. Myślami wrócił do przeszłości, gdy po raz pierwszy w sennej wędrówce trafił do tego świata, do miasta i tych ludzi, którzy tak serdecznie go powitali. Czy znów ucieszą się z jego przybycia? Nie mógł sobie przypomnieć, czy pierwszą wizytę tutaj odbył w przeszłości czy w przyszłości. Popatrzył na swoją białą, kościstą dłoń. Jego skóra nie nosiła znaków, po których mógłby odgadnąć swój wiek, ani wtedy, ani teraz. Westchnął, zadowolony, że jest sam.

Na górze rozległo się głośnie wołanie. Stojąca wciąż na dziobie Nauha powtórzyła okrzyk obserwatora z bocianiego gniazda. Wkrótce na horyzoncie pojawił się wielki, szary, kwadratowy żagiel. Później drugi, trzeci, a w końcu czwarty. Elryka najbardziej zainteresowało jednak coś, co wyglądało jak sam kadłub, niższy i ciemniejszy od innych, za którym podążały trzy pozostałe statki w dość luźnym szyku. Bez żagli i wiosł, a mimo to ślizgał się po wodzie niczym zabójcza orka. Ze smukłego pokładu wystawało coś na kształt trójkątnej płetwy grzbietowej. Wąski i ostry dziób, szkarłatny niczym krew, pędził w ich kierunku, prując niewielkie fale. Na pokładzie stało kilku ludzi pochylonych dla utrzymania równowagi. Nigdy wcześniej Elryk nie widział statku, który by płynął tak szybko jak ryba.

– Co to za statek, kapitanie? – zapytał. – Porusza się jak żywa istota.

Kapitan nie spuszczał wzroku ze statku, starając się odzyskać równowagę, nim wyda rozkazy. Nie patrząc na Elryka, odrzekł:

– Najpierw, jakieś dwieście lub więcej lat temu, używali podczas ataku smoków, dzięki którym byli niezwyknięci. Gdy smoki wymarły,

zastąpili je tymi dziwnymi, nadprzyrodzonymi statkami. Teraz został im tylko ten jeden, ale wciąż są potężni, a ich Biały Fort głęboko w lesie jest nie do zdobycia. Nie mamy żadnych szans odeprzeć ich ataku. Pozostaje nam jedynie wiara w pertraktacje i modlitwa. Musimy ich przekonać, że nie opłaca im się nas atakować.

Dookoła Elryka zajmowali pozycje łucznicy. Artylerzyści ściągnęli płóciennie plandeki z drewnianych, nasączonych olejem katapult. Zapalono koksowniki i smród Ognia Chaosu wypełnił nozdrza Elryka. Porywy wiatru niosły kłęby czarnego dymu.

Pod pokładem Moonglum biegł po zejściówce. U pasa miał dwa bliźniacze miecze w pochwach, w rękach dźwigał spore zawiniątko. Z ulgą rzucił je Elrykowi, który złapał je bez trudu. Gdy odwinął płótno i skórę, ukazała się ciężka pochwa, z której wystawała rękojeść ozdobiona błyszczącym ciemnym klejnotem. Elryk przytroczył długi miecz do pasa. Miecz krótko jęknął, jakby wyczuł zbliżający się przelew krwi, a potem zamilkł.

– Piraci w nadprzyrodzonym statku? – mruknął Moonglum. – Zaatakują nas, mój panie?

– Zapewne tak. – Elryk spojrzał na księżniczkę, która wiązała włosy, i podszedł do niej. – Weź swą broń, moja pani. – Pod pokładem miała miecz i sztylet.

– Będą walczyć? – zapytała i odwróciła się, by pójść za jego radą.

– Powinniśmy się przygotować na najgorsze. – Wskazał załogę. – Tak jak oni.

Nauha zeszła pod pokład i po chwili wróciła z wąskim mieczem i sztyletem.

Z dziwnego statku płynącego na czele dobiegło coś w rodzaju sapnięcia.

A po nim nastąpił długi syk.

Ze sterczącej na środku kadłuba płetwy grzbietowej uniósł się obłok pary. Na pokładzie zaroilo się od piratów w zbrojach koloru bursztynu. Byli wysocy i szczupli. Spod hełmów wyzierały lekko skośne oczy. Moonglum sapnął ze zdziwienia.

– Melnibonéanie.

Elryk nie odezwał się, ale zacisnął dłoń na rękojeści Zwiastuna Burzy.

Obcy statek, który zdawał się poruszać bez żadnego napędu, był już dobrze widoczny. Miał wysoki potrójny dziób, wąskie i lśniące pokłady oraz misternie rzeźbione relingi i tylko dlatego wydawał się niższy niż inne statki, że był głęboko zanurzony. Na masywnym górnym pokładzie stał jeden człowiek w zbroi bogatszej od innych. Jego rysy zdradzały melnibonéańskie pochodzenie, jednakże statek, zbroja, a nawet broń miały niewiele wspólnego z przedmiotami używanymi przez Melnibonéan.

Czerwony kadłub powoli stanął w dryfie. Wysoki kapitan zawołał z rufówki:

– Kim jesteście i dokąd zmierzacie?!

Od strony płetwy grzbietowej na środku obcego statku dobiegł kolejny głośny syk. W odbitym świetle wydawała się lekko prążkowana i różowawa.

– Odpowiadać natychmiast! – ponaglił ich melnibonéański kapitan.

– Nasz statek to *Silela Li*! Płyniemy do Hizss, Selwing Aftra i dalszych portów! – odkrzyknął kapitan. – Wieziemy towary na handel i pasażerów z Dolnego Świata!

Kapitan dziwnego statku ledwie zwrócił nań uwagę. Oczy miał utkwione w Elryku i marszczył czoło. Ten odwzajemniał spojrzenie z

równą wyniosłością.

Raptem, ku zdumieniu Moongluma, kapitan piratów przemówił wysokim melnibonéańskim, zwracając się do albinosa. Moonglum wystarczająco dobrze znał ten język, żeby rozpoznać obcy akcent.

– Przybywasz z Dołu? Dokąd płyniesz?

Elryk odparł nie wprost:

– Najpierw ty musisz mi odpowiedzieć na pytanie. Czy uważasz, że ten statek ci zagraża?

Kapitan w bursztynowej zbroi powoli pokręcił głową.

– Nie, jeśli popłyniecie dalej. – Na jego twarzy wciąż malowało się zaciekawienie. Przeszedł na wspólną mowę i zwrócił się do kapitana *Silela Li*. – Nie stanowią zagrożenia ani dla ciebie, ani dla twojego statku. Płyniesz do Apho i Selwing Aftry?

– Tak, mój panie. A wcześniej jeszcze do Shugg Banatu. Potem do Hizss, gdzie uzupełnimy zapasy, dokonamy niezbędnych napraw i damy ludziom trochę odpocząć, zanim wyruszymy na Śnieżne Wyspy. Potem trochę pokręcimy się w ciepłych wodach wzdłuż Srebrnego Wybrzeża i z bożą pomocą wrócimy do domu.

– I nie zatrzymacie się w żadnym porcie między Shugg Banatem i Hizss?

– Nie, panie.

– To płynicie w pokoju. – Pirat, marszcząc czoło, zacisnął smukłe dłonie na relingu. Wydawał się dziwnie niezadowolony ze swojej decyzji.

Moonglum wpatrywał się w wysoki blady trójkąt na śródkręciu obcego statku.

– Przysięgam, że to żywe ciało... – rzucił półgłosem. – Widzicie te łuski? To jakiś gad. Potwór zaprzęgnięty do pracy.

Obcy statek zaczął się powoli oddalać. Sycząca para zasłoniła płetwę, wydzielając wcale przyjemny zapach.

W powietrzu panowała przytłaczająca, groźna cisza, jak przed bitwą. Słysząc było tylko trzask drewna, łopotanie żagli na wietrze i plusk wody rozchlapywanej przez wiosła. Moonglumowi wydawało się, że usłyszał czyjś oddech.

– Oni uważają nasz świat za krainę zmarłych – powiedział pierwszy oficer, starając się jak najmniej poruszać ustami. – Moim zdaniem Piekło jest tutaj i właśnie spotkaliśmy jednego piekielnego arystokratę.

Elryk i kapitan pirackiego okrętu nie przestawiali się wpatrywać w siebie z nieustanną fascynacją, dopóki oba statki się nie oddaliły. Potem bez słowa komentarza Elryk zszedł na dół, zostawiwszy swoich towarzyszy na górnym pokładzie.

– Mój pan ma tu większą rodzinę niż ta, którą miał wcześniej – zauważyła oschle księżniczka. – Czy kiedyś wspominał waszmości o tym kapitanie, panie Moonglum?

Moonglum powoli pokręcił głową.

– Czy dlatego tutaj przybył? – zastanawiała się księżniczka.

– Myślę, że nie – odparł Moonglum, przyglądając się łucznikom, którzy zdejmowali cięciwy z łuków i chowali je wraz z długimi strzałami do drewnianych skrzyń nasączonych olejem.

Potem odpiął miecze i zszedł za przyjacielem pod pokład.

## **Wspomnienie o przodkach**

Moonglum nie spodziewał się, że Hizss będzie tak subtelnie pięknym miastem. Porty, do których dotąd zawijali po tej stronie świata, wyglądały jak ponure potężne warownie, które w przeszłości

nieraz musiały wytrzymać długie oblężenie. Ale nie Hizss. Jego pastelowe terasy tworzyły rozłożyste zigguraty pełne kwiatów wszystkich znanych gatunków. Na terasach spacerowali odziani w jasne stroje miedzianoskórzy mieszkańcy miasta, rozkoszując się ciepłym, rześkim powietrzem. Przykładając do ust dłonie złożone w trąbkę, wołali do sprzedawców, posłańców i kupców spieszących sprawdzić, co przywiózł galeon, i powitać jego pasażerów. Kapitan ostrzegł ich, że towary, które w ich świecie są łatwo dostępne, tutaj mogą być bardzo cenne i jeśli ktoś im zaproponuje kupno, powiedzmy klamry do pasa, to mają się przygotować na długie targowanie. Cita Tine, dziewczyna z tawerny, przywiozła ze sobą całą torbę rzeczy na handel. Moonglum z pewnym rozgoryczeniem skonstatował, że zdecydowała się towarzyszyć mu w wyprawie do Dolnego Świata (lub Górnego, jak woleli o nim mówić tubylcy) nie tylko ze ślepej namiętności. I rzeczywiście, zaraz gdy tylko statek przybił do nabrzeża, zbiegła po trapie na keję, powiedziawszy mu, że wróci na kolację. Patrzył za nią, jak z torbą na ramieniu przepycha się przez tłum i wchodzi w wąską uliczkę między dwoma magazynami. Najwyraźniej wiedziała, dokąd iść. Trochę mu było przykro, że nie pomyślała, by wtajemniczyć go w swoje plany. Znowu skończyły im się pieniądze. Elryk pogardzał takimi sprawami, ale bardziej przydałby im się jakiś skarb, a nie bliskie spotkania z piratami. Moonglum obserwował grupę kupców kierujących się w stronę gospód, kapłanki witające dwie inne duchowne swojego wyznania jadące powozem z płóciennym dachem i posepnego kupca dającego znak rykszarzowi, by zawiózł go na wzgórze do centrum miasta. Następnie Moonglum spojrzał na Elryka, który patrzył na keję, i też przeniósł na nią wzrok.

W półcieniu, z dala od innych stała wysoka kobieta. Miała na sobie

jedwabne szaty w kilku odcieniach zieleni i kapelusz, także zielony, z szerokim rondem zasłaniającym oczy. Smukłą dłoń opierała na ramieniu młodziutkiego niewolnika, który trzymał jej nad głową rozłożony parasol na długiej rączce chroniący przed południowym słońcem. Właśnie owa dłoń najmocniej przykuła uwagę Moongluma. Odznaczała się znajomą bladością. Od razu zorientował się, że tak jak jego przyjaciel, kobieta jest albinoską. I kiedy odwróciła się, by zejść z drogi kupcowi drzewnemu, który spieszył się, chcąc dotrzeć do statku przed innymi, podejrzenia Elwheryczyka zyskały potwierdzenie. Miała taką samą bladą twarz jak Elryk. Oczy zasłoniła gęstą gazą, przez którą mogła patrzeć nie narażona na bezpośrednie działanie promieni słonecznych. W jej manierach można było dostrzec podobną leniwą beztroskę jak u Elryka. Mogłaby być jego siostrą. Czy to dla niej tu przyplłynął? Czy tylko on, Moonglum, zdecydował się na tę podróż z czystej ciekawości? Westchnął i zaczął rozmyślać nad tutejszym winem.

Kiedy jednak Elryk, prowadząc pod rękę księżniczkę, skierował się w stronę trapu i dał mu znak, że ucieszyłby się z jego towarzystwa, drobny Elwheryczyk przypasał swoje dwa miecze i zszedł za nimi na brzeg zadowolony, że wreszcie ma pod stopami stały ląd, choć z początku trudno mu było zachować równowagę.

– Kolejna twoja melnibonéańska krewna – mruknęła Nauha, gdy podeszli do odzianej w zieleń kobiety. – Czy ona jest niewidoma?

– Nie sędzę. Poza tym wcale nie jest Melnibonéanką.

Księżniczka, marszcząc czoło, spojrzała mu w oczy, w nadziei, że coś z nich wyczyta. – No... to kim...?

Elryk jakby lekko wzruszył ramionami, a nawet się uśmiechnął.

– Jest Furnem – odpowiedział.



– Furnem?

– W każdym razie więcej ma wspólnego z Furnami niż z Melnibonéanami.

– A kim oni są?

Po raz pierwszy, odkąd go poznała, albinos wyglądał, jakby poczuł się nieswojo.

– To jakby moi bliscy krewni. Ale nie jestem pewny. Nie... – Nagle zorientował się, że jego ziomkowie nieczęsto rozmawiają o takich sprawach, a z ludźmi to chyba nigdy.

– Nie pamiętasz... – Trudno jej było w to uwierzyć.

– Pamiętam ją, ale ona może mnie nie pamiętać.

Opowiedział jej wystarczająco wiele o swoich sennych wędrówkach, aby dotarł do niej sens tego, co mówił. Mógł spotkać tę kobietę już wcześniej albo dopiero ją spotka. Mogła to być nawet zupełnie inna kobieta. Jego senne wędrówki zazwyczaj odbywały się na płaszczyźnie przeszłości lub w całkowicie obcych przedziałach czasu. Jednak w innych światach, po których wędrował w młodości, leżąc na kozetce w Melniboné, czas stawał się bardziej elastyczny, a nawet chaotyczny. Gdy podszedł bliżej, zorientował się jednak, że kobieta najwyraźniej go zna. Patrzyła na niego wyczekująco i uśmiechała się.

– Lady... Fernrath?

Ku zdziwieniu Nauhy w jego głosie znowu pobrzmiwało wahanie. Kobieta jednak nie przestała się uśmiechać i dotknęła jej dłoni w ów dziwny sposób, w jaki Melnibonéanie zwykli się witać.

– Księżę Elryk – powiedziała. Jej głos brzmiał inaczej niż Elryka, trochę bardziej sycząco. Poza tym dziwnie akcentowała słowa, jakby mówiła w obcym języku.

Odrzuciwszy do tyłu długie białe włosy, albinos krótko się uklonił.

– Do usług, moja pani.

Przedstawił jej pozostałych. Księżniczka Nauha przywitała się z nieco przesadną wylewnością, Moonglum natomiast skłonił się głęboko, acz dumnie.

– Wiedziała pani, że przybywamy? – zapytał albinos, podczas gdy młody niewolnik złożonym parasolem odganiał napierający tłum.

Lady Fernrath poprowadziła swoich gości w stronę powozu stojącego na końcu kei, zaprzęzonego w dwa żwawe, niezbyt szczęśliwie przyozdobione konie.

– Skąd miałabym wiedzieć? – odparła. – Zawsze przychodzę, gdy przypląwa taki statek.

Elryk pomógł jej oraz księżniczce wsiąść do powozu. Moonglum spojrzął na swój podróżny płaszcz i wytworne jedwabie, w które odziane były damy, i postanowił usiąść na koźle obok woźnicy, który z kolei nie wyglądał na zbytnio zadowolonego takim obrotem sprawy.

– Zapewne posłużyłaś się magią, pani – odpowiedział, kwestionując jej pozorną niewinność.

Uśmiechnęła się, ale zachowała milczenie.

– Jaki dziś tłum. Statki z twojego świata są rzadkością. – Wzięła do ręki elegancką szpicrutę i pacnęła nią woźnicę w ramię.

Wąskie uliczki zastawione kramami najpierw przeszły w szersze i mniej ruchliwe, a potem w drogi prowadzące między smukłymi sosnami i cyprysami, zza których widać było port w dole, a dalej połyskujące w słońcu morze.

– Bardzo piękne jest twoje miasto – odezwała się księżniczka Nauha, chcąc nawiązać rozmowę.

– Ależ wcale nie jest moje! – zaśmiała się lady Fernrath. – W zasadzie niewiele mnie z nim łączy. Choć zgadzam się, że wygląda

ładniej niż okolica.

Dalej przez większość drogi jechali w milczeniu. Sporadycznie któryś z gości rzucał uwagę na temat miasta lub zatoki, za którą lady Fernrath, jakby pamiętając o swych manierach, grzecznie dziękowała. W końcu wzdłuż białego muru dojechali do wysokich bliźniaczych filarów. Między nimi osadzono wielką dwuskrzydłową bramę z brązu, ozdobioną inskrypcjami w jakimś nieznanym gościom języku, choć przypominającym melnibonéański. Na okrzyk woźnicy brama się otworzyła i powóz wtoczył się na długi podjazd, który zaprowadził ich do niskiego, raczej prostego domu wzniesionego z marmuru i błyszczącego kwarcytu.

Lady Fernrath poprowadziła ich przez chłodne, wysokie, skąpo udekorowane i umeblowane pokoje na drugi koniec domu, gdzie znajdowało się wejście do pięknego ogrodu z trzech stron otoczonego wysokim murem. Rozchodził się po nim słodki zapach kwiatów i krzewów, wokół których latały owady. Na trawniku rozstawiono do posiłku niski stół i sofę. Z ogrodu rozpościerał się wspaniały widok na okoliczne, porośnięte lasami wzgórza sięgające w oddali ciemnobłękitnego oceanu.

Architektura i styl miejsca w niczym nie przypominały Moonglumowi tego, co zapamiętał z Elrykowego Imrryr, Miasta Snów. Swoją estetyczną doskonałość, mającą podkreślać jej potęgę, stolica Melniboné zawdzięczała tysiącom lat ewolucji. Tymczasem ów dom i ogród zaprojektowano tak, żeby dawał ukojenie i poczucie prywatności.

Prawie natychmiast pojawili się służący lady Fernrath, reprezentujący wszystkie możliwe typy ludzkie. Odebrali od nich wierzchnie okrycia, zaprowadzili do pokoi gościnnych, pomogli się

wykąpać i przywdziać lekko pachnące, chłodne szaty. Każdy gość otrzymał do dyspozycji przynajmniej jednego służącego. Moonglum, nie przyzwyczajony do takich luksusów, zanurzył się w nich z wyjątkową przyjemnością.

Nauha napomknęła, że ma wrażenie, jakby fontanny i ściany reagowały na jej obecność, tak jak wytwory rąk ludu pustyni.

– Pewnie masz mnie, pani, za naiwną! – dodała.

Lady Fernrath poruszyła głową w geście zaprzeczenia.

– Całkiem możliwe, że pochodzą z jakichś pustynnych miejsc – odparła wymijająco.

Gdy popijali wino przed obiadem, Moonglum zapytał o piratów i ich króla.

– Trudno było zgadnąć, o co mu chodzi, choć z początku myśleliśmy, że zamierza nas zaatakować, i szykowaliśmy się na najgorsze – zaśmiał się.

– Mądrze zrobiliście, mistrzu Moonglum. Instynkt cię nie zawiódł. Och, to dość oczywiste, jak mi się wydaje, czym zajmuje się Addryk Heed. – Uśmiechnęła się, choć trochę gorzko. – To pirat i handlarz niewolników. Przekupień! Osoba najwyższego rodu, a zniżyła się do wykonywania tak odrażającego zajęcia! – Jej nastrój uległ zmianie, gdy mówiła, patrząc przed siebie. Ciemnozielono-złote gwiazdki zabłyśły na dnie jej bladych oczu. – Złodziej, skorumpowany jak wszyscy tutejsi. Zdrajca, który zgładził własnych krewnych! Handlarz niewolników! Przekupień! – Mówiła jak w transie. – A jego załoga to jeszcze gorsze łotry. Nawet ten jego ostatni okręt jest aktem okrutnej zdrady...

Odrzuciła do tyłu swą długą głowę niczym rozwścieczone zwierzę. Jej szaty też wydawały się wzburzone. Nagle przypomniała sobie o

dobrych manierach i zamilkła.

– On jest... On zawarł... – Pozwoli wzięła głęboki oddech. – Mówi się, że zawarł pakt z Władcami Równowagi. Ale czy mu wierzą? Nie mam pojęcia! – Zmieniła ton głosu na spokojniejszy i trochę lekceważący. Klasnęła w ręce i kazała przynieść następną karafkę wina. – Ten trunek pochodzi z naszych własnych winnic. Mam nadzieję, że będzie wam smakował.

Moonglum, gdyby mógł, zapytałby jeszcze o Addryka Heeda, ale nie było już ku temu okazji. Trochę później, gdy Elwheryczyk ziewnął dyskretnie, zasłaniając usta dłonią, ich gospodyni zaproponowała:

– Mam nadzieję, że będziecie moimi gośćmi podczas pobytu w Hizss. Powinnam była powiedzieć, jak bardzo się cieszę, mogąc was gościć.

– Jesteś, pani, bardzo uprzejma. – Zanim pozostali zdążyli zareagować, Elryk przyjął zaproszenie w imieniu wszystkich.

– Mam przyjaciółkę – bąknął nieco zażenowany Moonglum.

– Zatem, rzecz jasna, trzeba po nią posłać. Rzadko mam okazję przyjmować gości, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. A co dopiero takich gości! Z tak daleka. Z egzotycznego Dolnego Świata!

Wydała służącym odpowiednie rozkazy. Mieli pojechać powozem do portu, by przywieźć ze statku rzeczy wielmożnych państwa i przyjaciółkę pana Moongluma.

Kiedy jednak służący wrócili z bagażami i lekką zbroją Elryka, okazało się, że jakaś dziewczka istotnie czekała na Moongluma, ale wolała zostać na statku. Kazała przekazać, że jest jej tam dobrze i chciałaby, żeby tak zostało.

Słyszając to, Moonglum pokraśniał na twarzy i na chwilę się odwrócił.

Następnie skłonił się lady Fernrath i oświadczył, że jakkolwiek ceni sobie jej zaproszenie, czuje się w obowiązku wrócić na statek i zadbać o przyjaciółkę.

– Rozumiem – odparła. – Mam nadzieję, że rano pańska przyjaciółka uzna nasze powietrze za przyjemniejsze.

Słońce już zachodziło i Mooglumowi wydało się, jakby dostrzegł na jej szyi jasne łuski, ale to z pewnością musiało być złudzenie. Nieco markotny, ze wszystkich sił starając się zapanować nad emocjami, Elwheryczyk wsiadł do powozu i ruszył nim w stronę statku, który miał nadzieję zobaczyć dopiero za kilka dni. Nie mógł pozwolić na dąsy swojej dziewczce. Miał jej zamiar nagadać do słuchu. Poza tym zaczął podejrzewać, że mogła mu coś ukraść z bagażu, co by miało wartość na tutejszym rynku. Wpadł w tak podły nastrój, że omal nie zapomniał zabrać swoich mieczy.

Po odejściu Moongluma księżniczka Nauha poczuła się nieco odtrącona, mimo że lady Fernrath dbała, by dobrze się czuła w towarzystwie jej i Elryka.

– A jak się miewa mój brat Sadryk? – zapytała, gdy znowu wyciągnęli się na sofach. – Czy wasze stosunki poprawiły się, mój panie?

Elryk krótko pokręcił głową.

– Cesarz umarł, do końca okazując dezaprobatę, że brakuje mi moralnej odwagi. – W jego głosie dało się wyczuć szczyptę ironii, ale pozbawioną emocji. – Prawo do sukcesji miało przypaść albo mnie, albo mojemu kuzynowi, którego zapewne sobie przypominasz. Nasze zachowanie podczas odpowiednich wędrówek sennych miało zdecydować, kto wstąpi na tron Smoczego Imperium. Myślę, że zostałem wybrany nie z powodu swoich zalet, ale dlatego, że

popęłniłem mniej błędów. W każdym razie w oczach Sadryka. – Na jego twarzy znowu pojawił się nikły sardoniczny uśmiech.

Gdy słońce znalazło się nisko nad horyzontem, kobieta ściągnęła gazę, odsłaniając blade zielono–złote oczy, ale kiedy spod chusty wysunęły się mlecznobiałe włosy, stało się jasne, że także jest albinoską. Zauważyła zdziwienie w oczach Nauhy i roześmiała się.

– Proszę mi wybaczyć, pani – wypaliła księżniczka. – Nie wiedziałam, że jesteście spokrewnieni. Jesteś pani siostrą cesarza Sadryka, prawda?

– Moja siostra poślubiła cesarza – sprostowała łagodnie, choć Elryk zmarszczył brwi niezbyt zadowolony, że kochanka nagle wtrąciła się do rozmowy.

Lady Fernrath machnięciem dłoni pokazała jednak, że nie widzi w jej zachowaniu nic zdrożnego, i nachyliła się ku Elrykowi.

– Kto więc jest teraz cesarzem, Elryku? Yyrkoon?

– Nie. Zabiłem go. Mój ojciec ogłosił mnie swoim następcą, ale ta jego decyzja, jak też moje zaręczyny, nie spodobała się Yyrkoonowi.

– Twoja narzeczona nie była wysoko urodzona?

– Była jego siostrą. Ją też zabiłem.

– Kochałeś ją?

– Poniekąd – odparł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Dziwię się, że o tym nie słyszałaś. W moim świecie wszyscy dobrze znają tę historię...

– Nie wiedziałam, że jesteście tak blisko ze sobą spokrewnieni. – W głosie Nauhy słychać było pewną ulgę.

– Istotnie – potwierdziła lady Fernrath, upijając z przyjemnością łyk szarozielonego wina. – Nie można bliżej. Więzy krwi.

Słyszając to, Nauha zrobiła tajemniczą minę, ale szybko nad sobą

zapanowała. Elryk, który to dostrzegł, przez chwilę wyglądał na rozbawionego.

Nagle księżniczka poczuła, jakby zatrzaśnięto jej drzwi przed nosem. Wyszła z nimi na taras zjeść kolację. Na niebie wisiał księżyc. W jego świetle marmur i alabaster zyskały zielonkawy odcień z nutką złota i nawet lica lady Fernrath oblekło jego blade odbicie, tylko twarz Elryka się nie zmieniła.

Gdy doszła do siebie, zmianę w otoczeniu przypisała swojemu zmęczeniu. Poprosiła o wybaczenie za swój kiepski nastrój i powiedziała, że już sobie pójdzie, bo pewnie chcą porozmawiać na tematy rodzinne. Nie dodała, że na jej nastrój wpływ miało także to, iż z godziny na godzinę coraz częściej przechodzili w rozmowie na wysoki melnibonéański.

Wszystko odbyło się zgodnie z protokołem, ale później, w swoim pokoju, po wyjściu służącej, księżniczka pozwoliła sobie na mały wybuch złości, po którym, łkając, powlokła się do łóżka. Leżąc, wpatrywała się w dziwnie zdobiony sufit, próbując zapanować nad zranionymi uczuciami. Wiedziała, że kiedy Elryk do niej dołączy, nawet przez myśl mu nie przejdzie, żeby się wytłumaczyć. Będzie miała szczęście, pomyślała, jeżeli w ogóle go jeszcze kiedyś zobaczy. Tak zapomniała o swej złości i uzmysłowiła sobie, że równocześnie boi się o niego.

Nauha studiowała okultyzm u najlepszych nauczycieli w Uyt i potrafiła wyczuć czarownicę. Cieszyła się, że zabrała swoje miecze, które wraz ze zbroją znajdowały się w bagażu. Pomyślała, że być może uda się jej przynajmniej ocalić własne życie, ale nie wiedziała, czy będzie musiała ratować albinosa. Czy ten głupiec nie rozumie, że jest w niebezpieczeństwie? A może – uzmysłowiła sobie nagle – tylko jej coś



tutaj grozi?

Czy to przypadek, że Elryk zabrał ją do Hizss? Nic jej nie powiedział o tej swojej krewnej – jeśli w ogóle jest jego krewną. Nie wspomniał, że planuje jakąś wizytę. Ale najwyraźniej wiedział, że ją tu zastanie. Napomknął coś na ten temat tuż przed wpłynięciem do portu. Czyżby miał jakiś odrażający plan co do ich trójki? A może czarownica zamierzała rzucić urok na nich oboje? Albo Elryk był już zaczarowany, kiedy postanowił popłynąć na skraj świata?

Nauha uważnie obejrzała cały pokój i przylegający ogród w poszukiwaniu dróg ucieczki. Następnie wyjęła zbroję i położyła na podłodze. Wypolerowała też miecz i puginał, aby lekko wychodziły z pochew.

Potem znowu się położyła. Oddychała miarowo, próbując chłodno przeanalizować sytuację. Trochę się uspokoiła i przyszło jej do głowy, że może wino było trochę za mocne. W końcu tego wieczoru nic straszego się nie stało. Właściwie to był on równie piękny jak to miasto i dom. Tylko dlaczego inne porty, do których zawijali, były silnie ufortyfikowane, a ten nie?

Wzięła długi, głęboki oddech. To głupota cały czas o tym rozmyślać, zwłaszcza teraz, gdy ma swoje miecze pod ręką. Czowała się doskonale przygotowana na każde niebezpieczeństwo, jakie może się pojawić. Była pewna, że czyste ostrze poradzi sobie ze wszystkimi typowymi zagranicznymi czarami.

## **Umowa z Fernrath**

– Słyszałem, że znalazłaś, pani, Biały Miecz – powiedział Elryk do lady Fernrath, gdy zostali sami.

Zaśmiała się lekko, szczerze rozbawiona.

– A... to dlatego tu przybyłeś.

Widział, że nie ma sensu kłamać.

– Masz go? W twoich oczach widzę, że tak. Albo wiesz, gdzie jest. – Mówił żartobliwym tonem, ale czuł się coraz słabszy. Powoli tracił energię, którą tylko Zwiastun Burzy mógł go napełnić.

Tym razem nie odpowiedziała. Wyciągnęła się na sofie i spojrzała w gwiazdy. Po chwili zapytała:

– Słyszałeś o Oczach Hemryka, inaczej zwanych Oczami Skaradyna?

– Kolejna legenda, jeszcze mętniejsza niż opowieść o Białym Mieczu. Hemryk. Skaradyn? Co to? Jakiś wąż mieszkający w odległych stronach waszego kraju?

– Wiem, gdzie można je znaleźć. Nie muszę ich szukać, młody książę. Są ceną za miecz. – Opromieniona światłem księżycy odwróciła się i spojrzała na niego. W jej oczach, teraz w odcieniu głębokiej, wyrazistej zieleni, zabłysło gwałtowne pożądanie. Nawet jej głos zmienił barwę. – Czerwone perły. – Zaczęła dziwnie akcentować słowa. – Nie musisz ich dla mnie zdobywać, ale są ceną za miecz. – Poruszyła się niespokojnie na sofie. – Krwawe perły, jak je nazywają... Są dwie... Muszę je dostać... Muszę... Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, Elryku?

– Pamiętam wędrówkę senną. Właściwie byłem jeszcze chłopcem. Ojciec kazał mi cię poszukać i przynieść jadeitowy sztylet mojej matki.

– Och, Elryku, wydałeś mi się takim urodziwym młodzieńcem, kiedy zobaczyłam cię w towarzystwie trzech z owych złotych wojowników pochodzących z zupełnie innej płaszczyzny, którzy kiedyś żyli w tych stronach. Tyle energii czerpaliśmy z tych obcych miejsc.

Tyle siły materialnej... Nie miałeś jeszcze wtedy swojego sławnego miecza. Dałam ci jodeitowy sztylet...

– Wtedy nie zażądałaś za niego zapłaty.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

– Ależ zapłaciłeś mi. Czy ojciec nie powiedział ci, po co go potrzebował?

– Nie. Myślę, że szukał go, bo był pamiątką po matce. Ocaliłaś mi życie.

– Zawsze mi się podobałeś. – Jej usta jakby się rozszerzyły, odsłaniając nazbyt liczne zęby. Były też bardzo ostre, podczas gdy język... ten język...

Ocknął się.

– Czyli rozumiem, że dasz mi Biały Miecz w zamian za te czerwone perły, tak? To wszystko, czego chcesz. Wiesz, czym jest dla mnie ten miecz. Może mnie uwolnić od zależności...

– Wszystko. Nie chcę niczego więcej. Miecz Prawa jest w moim posiadaniu. Wiem także, gdzie szukać pereł.

– Lady Fernrath, nie po to przebyłem taki szmat drogi, żeby się z tobą targować. Za kogo mnie uważasz? Gardzę kupcami, tak jak ty. Poza tym nic nie wiem na temat tego świata. Jak mam się zabrać do szukania przedmiotu twoich pragnień? – Zaczął się zastanawiać, czy mógłby się jakoś dostać do Zwiastuna Burzy. Przypłynął tutaj, podążając za legendą, za wspomnieniem, za czymś, o czym słyszał dużo wcześniej, zanim Zwiastun Burzy znalazł się w jego rękach. Pamiętał tę jedną z pierwszych sennych wędrówek i kobietę spotkaną tutaj, po drugiej stronie świata, którą zapamiętał jako przyjaciela. Lady Fernrath zmieniła się od tamtego czasu albo był wtedy zbyt naiwny, zbyt niedoświadczony, żeby ją przejrzeć. Teraz zaś tak bardzo pragnął

się uwolnić od Zwiastuna Burzy, że miał kłopoty z właściwą oceną sytuacji. Tą klingą zabił jedyną istotę, jaką kiedykolwiek naprawdę kochał. Poczul, jak ogarnia go ogromny żal. Westchnął i odwrócił głowę. – Moja pani...

Podniosła się z sofy. Wstając, zdawała się rosnać, a jej szata przybierała bardziej namacalną postać. Bił od niej żar – a może intensywny chłód – który wydawał się dostatecznie gorący, by go spalić, gdyby jej dotknął. Dobrze pamiętał tamte noce. Te przerażające, acz fascynujące noce, podczas których wyjawiała mu wszystkie tajemnice dotyczące jego przodków – prawdziwy powód, jak mu się wydawało, dla którego ojciec wysłał go na tę senną wędrówkę. Tak mu w każdym razie wtedy powiedziała. Teraz zaś twierdziła coś innego. Zmarszczył czoło. Dlaczego teraz skłamała? A może kłamała wtedy?

– Pani, muszę iść. Nie mogę spełnić twojego życzenia.

Wielka gadzia twarz spojrzała na niego z góry.

– Jesteś synem mojej siostry. Poczuj zew krwi i mi pomóż! Przybyłeś tu po Biały Miecz, mając już Czarny. I nie wiedziałeś, że będziesz musiał za niego zapłacić? Zapomniałeś, że winien jesteś lojalność swoim, księżę Elryku?

– Nie znałem twoich żądań. – Nawet we własnych uszach jego głos zabrzmiał słabo.

Lady Fernrath wzięła głęboki oddech i jakby jeszcze urosła.

Elryk poruszył się nerwowo na sofie, żałując, że nie ma teraz ze sobą miecza. Coraz bardziej się niepokoił. Musiał jakoś odbudować swoją energię. Miał jej coraz mniej. Skóra lady Fernrath z białej zrobiła się połyskliwie zielonozłota, a jej włosy poruszały się jak obdarzone własną wolą. Bał się jej teraz inaczej niż podczas pierwszej wizyty w Hizss, kiedy istniał jednocześnie w dwóch światach i, jak sądził,

odwiedzał ją z czystej kurtuazji jako siostrę swojej matki, którą Sadryk kochał do szaleństwa. Dowiedział się wtedy więcej, niżby sobie życzył. O swoich przodkach. O ludzie Furn, który jeszcze teraz żyje w Melniboné, który nie poszedł w rozsypkę jak inne ani nie został zgładzony jak niemal wszyscy jego kuzyni i krewni, kiedy sprowadził morskich wodzów, żeby zniszczyli Imrryr.

Pokochał wtedy ten lud i kocha go do dziś. Zawarli sojusz, kiedy przybyli na ten świat jako wygnańcy i znaleźli na nim cywilizację opartą na sprawiedliwości, której wówczas nie znali ani bogowie, ani śmiertelnicy. Dzięki nadprzyrodzonym mocom mogli się ze sobą krzyżować, ale ich potomstwo przybierało wyłącznie jedną albo drugą formę, nigdy obie jednocześnie. Nie zawsze można było przewidzieć, co rozwinie się z jaja Furna lub z ludzkiej macicy. Lady Fernrath powiedziała mu jednak o zmiennopostaciowcach, tych nielicznych, którzy mogli przybrać taką postać, jaką chcieli, i przez stulecia nie pozwalali wyginać swojej rasie. Wiele jej zawdzięczał. Zrobił błąd, że teraz zaczął się jej bać.

– Moja pani. Pomógłbym ci, gdybym potrafił, i to nie dlatego, że dobiliśmy targu, ale z uwagi na nasze dawne przymierze. W końcu przyjechałem tu, żeby cię prosić o przysługę. W zamian chętnie także ci ją wyświadczę.

Jej wielkie oczy Furna złagodniały. Brzmienie głosu również się zmieniło. Znowu pojawiła się w nim czuła nuta.

– Nie powinnam się była z tobą targować, Elryku. Życie tutaj jednak bardzo się zmieniło od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem. Choć nigdy ich nie poznałeś, miałam ojca, brata i innych krewnych. Przez stulecia nasz świat doszczętnie się zdemoralizował. Toczyliśmy wojny. Widziałeś te ufortyfikowane porty. Doszło do potwornej zdrady.

Naprawdę przerażającej... – W jej głosie zabrzmiał smutek i nostalgia.  
– Potrzebuję twojej pomocy, Elryku. Mam coś do zrobienia. Jedno zadanie do wykonania, zanim umrę. Obowiązek... – Zapewne rzucała na niego urok, ale i tak jej współczuł.

Wciąż jednak nie potrafił jej zaufać, wciąż nie miał pewności, do czego zmierza.

– Nie musisz się ze mną targować, pani. Łączy nas odwieczny pakt krwi. Pomógłbym ci nawet bez nagrody, jeśli leżałoby to w moich możliwościach. Czy jednak nie mogłaś znaleźć tutaj żadnego wojownika, który by ci pomógł?

– Nie. Żaden z nich nie ma bowiem tego co ty.

– Masz na myśli Zwiastuna Burzy? Przyniosę go ze statku. Razem ze zbroją. Powiem tylko księżniczce Nausze, dokąd się wybieram...

– Mój sługa już przyniósł twój miecz i zbroję. Nie ma potrzeby niepokoić księżniczki z Uyt.

Z południa napłynęły ciężkie chmury i zasnuły niebo. Noc zrobiła się chłodna i albinos zadrżał. Wciąż niepokoił się o bezpieczeństwo Nauhy.

– Nikt jej tu nie skrzywdzi – rozwiła jego obawy lady Fernrath. – Teraz jednak muszę... nabrać więcej ciała... ze... świata zmarłych. – Rozległ się hałas przypominający ryk trąby wodnej szybko przemieszczającej się po otwartym morzu.

Elryk ledwo ją teraz widział. Jego umysł stracił jasność. Stolik jakby zniknął, dom rzucał czarny cień, zdawał się tonąć w ciemnościach.

Kiedy znów rozległ się jej głos, nocne hałasy już ucichły. Elryk odwrócił się, przesywając wzrokiem pustą przestrzeń. Z góry patrzyły na niego dwie zielono–złote gwiazdy, beznamienne i chłodne. Choć jej głos brzmiał teraz jak woda szemrząca po kamieniach, można go było

rozpoznać.

– Jesteś gotów pójść ze mną, Elryku?

– Masz moje słowo.

Coś upadło u jego stóp. Wiedział, co to jest, i schylił się, żeby to podnieść. Założył napierśnik i nagolenice, na głowę wsunął hełm, do pasa przypiął pochwę. Kiedy się wyprostował, z nieba spłynęło, wijąc się, długie, łuskowate ciało. Spojrzał głębiej w owe zielono–złote oczy, wiedząc, czym są i do kogo należą. U nasady długiej gadziej szyi znajdowało się naturalne wgłębienie, w którym mógł usiąść człowiek. Nie tak dawno w wielkiej Smoczej Jaskini swego ludu położył rzeźbione vilmiryjskie siodło na takim samym zagłębieniu. Lady Fernrath, zmiennopostaciowiec szczególnego rodzaju, czule dotknęła go swoim pazurem. Choć Elryk już wcześniej poznał jej niezwykłą moc, gdy na nowo przeżył pierwsze spotkanie ich spokrewnionych ras, nigdy nie widział u niej tak gwałtownej przemiany. W żadnej ze swoich przygód czy snów nie widział, żeby zmiennopostaciowiec tak szybko przekształcił się z gada w ssaka, choć Furnowie byli w równej mierze prawdziwymi gadami, jak Melnibonéanie prawdziwymi ludźmi. Obie rasy narodziły się na innych światach, miały innych bogów i filozofów. Obie poznały nawzajem swoje cnoty. I w końcu zaczęły się ze sobą krzyżować, choć wciąż w dużym stopniu były dla siebie obce. Lud ten melnibonéańscy Królowie Smoków uważali za swoich przodków. Po raz kolejny zrozumiał, dlaczego w jego świecie Melnibonéanie nazywali smoki braćmi lub siostrami, obcowali z nimi płciowo i obdarzali takimi względami, kiedy żyli w odmiennym czasie.

W lady Fernrath nie pozostał ślad człowieka. Była stuprocentowym Furnem. Mówiła w dawnym języku, którego między sobą używali Furnowie i Melnibonéanie. Pozostała stuprocentowym Furnem, kiedy

pochyliła swą piękną, ząbkowaną szyję, aby mógł jej dosięść. Odwróciła głowę, żeby krople piekącego jadu wydobywające się z worków ustnych rozbryzgnęły się na płytkach tarasu, nie czyniąc mu krzywdy.

Jakby spodziewając się pogoni, ziejąca ogniem smoczyca spojrzała w jedną i drugą stronę. Drapiąc wielkimi pazurami o terakotową posadzkę, rozpościerając skrzydła coraz szerzej, nucąc piękną i dziką melodię do starożytnej Pieśni Lotu ludu Furn, gotowała się do poszybowania w ciemność nocy. Zeskoczywszy z tarasu, puściła się galopem przez trawnik w stronę obsydianowego morza, wyostrzonymi zmysłami rejestrując każdą przeszkodę.

A potem wzbiła się w powietrze.

Elryk z odrzuconą do tyłu głową i rozwianymi przez pęd chłodnego powietrza białymi włosami siedział okrakiem na jej gigantycznym, kunsztownym ciecie i drugim głosem podjął skomplikowaną melodię. Robił to równie naturalnie jak w czasach, gdy Furnowie i jego własny lud po raz pierwszy zawitali na tym słodkim, wspaniałym świecie i postanowili rządzić nim w zgodzie ze swoimi ideałami.

Co złego wydarzyło się od tamtej długiej idylli, kiedy nauczył się kochać w nowy sposób? Potem ich wiara w Wielką Równowagę przełożyła się na wiele praktycznych rozwiązań w dziedzinie prawa i sprawiedliwości. A teraz? Przywykł do kłamstw, tajemnic i targów politycznych. Cały świat stał się ciemniejszy i groźniejszy. Gdyby wiedział, że zmiany w Dolnym Świecie znajdą dokładne odbicie w Górnym, nie namawiałby przyjaciół, żeby tu z nim przyłączyli.

Takie myśli szybko go jednak opuściły, gdyż znowu dosiadał smoka i tak jak pamięć o tym przechowywał w genach, czuł więź z owym monstrualnym, walącym jak młot sercem, głębokim, powolnym



pulsem, trzepoczącymi ogromnymi skrzydłami i machającym na boki długim, muskularnym ogonem. Cieszył się ciężką czarną zbroją, choć żałował, że nie ma ze sobą wielkiej smoczej włóczni, dzięki której mógł ze smokiem nawiązać kontakt myślowy.

Teraz zorientował się jedynie, że kierują się na zachód, w głąb lądu. O świcie, kiedy pierwsze smugi światła mignęły ponad niebieskoczarnym horyzontem, lecieli nad czubkami wysokich sosen w stronę fortecy wzniesionej z białego, żyłkowanego marmuru, z wieżami wkomponowanymi w mury obronne w sposób zdradzający zarówno zamysł artystyczny, jak i czysto praktyczny – a także wywołujący niejasne poczucie zagrożenia.

Fernrath złożyła skrzydła, wyciągnęła pazury, pochyliła szyję i zanurkowała w gąszcz drzew. Wylądowała wprost na polanie, do której nie dotarło jeszcze światło słońca. Poczekała, aż Elryk stanie na ziemi, po czym powiedziała do niego w języku Furnów:

– Zostaniemy tu do wieczora, kiedy zaczyna się turniej. Muszą jeszcze dokonać selekcji tarcz i poustawiać je na centralnym dziedzińcu zamku. – Objęła go skrzydłami i przytuliła do siebie, po czym przysiadła na grubej dolnej gałęzi najwyższego drzewa i zasnęła.

## **Pytanie o pochodzenie**

Po południu, kiedy jasnopomarańczowe słońce stało jeszcze wysoko na niebie, wtajemniczyła Elryka w swoje plany i teraz zmierzali czerwonym bitym traktem w kierunku wspaniałego Białego Fortu, który wyrastał z soczyście zielonego, niemal niedostępnego lasu niczym fantastyczny obłok dymu o ostrych konturach.

Kiedy stanęli przed drewnianymi, okutymi żelazem, grubymi

niemal na cztery łokcie i pomalowanymi na biało skrzydłami bramy, lady Fernrath zawołała na strażę. Jej głos brzmiał tak władczo, że brama natychmiast się otworzyła – ogromne żelazne sztaby uniosły się na mechanizmie wyważającym. Rozpoznano ich rasę, a to dawało im niekwestionowane prawo wstępu.

Fort miał postać wielkich wież zamkniętych jedna w drugiej, zdolnych bronić się do upadłego. Przy każdej wieży znajdowało się pole uprawne, które w razie potrzeby mogło dostarczać żywności dla obrońców. Elryk zorientował się, że budowniczym fortu przyświecała taka sama zasada, jaką kierowali się twórcy Imrryr. Miał on imponować, a zarazem być twierdzą nie do zdobycia. Jego lud wykorzystał w tym celu wyspę na oceanie, a Addryk Heed ogromny, nieprzebyty las.

Lady Fernrath poprowadziła go przez kolejne bramy, wieże i dziedzińce, aż wreszcie dotarli do schodów prowadzących na krótką galerię, z której wchodziło się na widownię kamiennego amfiteatru na wysokości wyższych rzędów siedzeń, zwróconych w stronę owalnej zielonej sceny, gdzie ustawiono tarcze do turnieju łuczniczego. Elryk zorientował się, że podobne turnieje organizowali jego przodkowie. Na znak dany przez Fernrath zajęli miejsca w jednym z wyższych rzędów daleko od innych widzów. Jeszcze raz wytłumaczyła mu swój plan i przypomniała, co musi zrobić. Od strony zielonej sceny, niesione przez lekkie wieczorne podmuchy, dobiegły stłumione wrzaski żywych tarcz, głuche łomoty strzał wbijających się w ciała i okrzyki aplauzu, kiedy łucznikowi udało się zaliczyć czyste trafienie w jeden z celów zaznaczonych na torsach niewolników.

Na wysokim rzeźbionym fotelu siedział smukły pirat i handlarz niewolników, Addryk Heed. Odziany był w jasnożółtą szatę oraz

pomarańczową chustę owiniętą wokół głowy i spadającą na ramiona. Siedział w otoczeniu swoich kapitanów, zarówno tej samej rasy co on, jak i ludzi, lekko uzbrojonych lub w ogóle bez broni. Niewątpliwie był krewnym Elryka i lady Fernrath. Albinos rozpoznał w jednym z mężczyzn ponurego kupca ze statku. Kiedy jej o tym powiedział, Fernrath skinęła głową.

– Od dwustu lat napadają na wybrzeże – powiedziała. – Niewolników sprzedadzą w Hizss, które zawdzięcza temu swój dobrobyt. Tu handlarze oglądają łup, żeby się zorientować, ile za niego dostaną w mieście. Mają w Hizss swoje wojsko. Pamiętasz to miejsce, o którym ci mówiłam?

– Tak. Na drugim końcu, w najdalszej wieży.

– Nie będzie się spodziewał ataku, jeśli użyję czarów Furnów, ale musisz się pospieszyć, kuzynie, gdyż niełatwo mi zapanować nad tyloma osobami.

Potem, kiedy turniejowa wrzawa na chwilę ucichła, lady Fernrath wstała i zawołała:

– Jak przebiega turniej, bracie?!

Zauważyła, że Addryk Heed unosi głowę ze zdziwieniem, przerywając żartobliwą konwersację, którą toczył ze swoimi ludzkimi gośćmi. Choć zapanował nad wyrazem twarzy, w jego oczach wciąż czaiło się nieme pytanie.

– Siostro! Powinnaś była mnie uprzedzić. Kazałbym przygotować pokoje! Twoja świta czeka na dole?

– Za bramą – odparła. – Nie byłam pewna, jak zostanę przyjęta. – Lekko się zachwiała, a kontury jej ludzkiej postaci zdrząły niczym miraż, sprawiając, że ci, którzy na nią patrzyli, zmrużyli oczy i zaczęli się zastanawiać, czy nie mają przywidzeń. Z jej ust i nosa zdawała się

wydobywać lekka mgiełka.

Addryk Heed zmarszczył czoło.

– Dobrze się czujesz, siostrze?

– Och, dobrze, bracie. Doskonale. – W powietrzu pojawił się dziwny zapach. – Razem z księciem Elrykiem podróżowaliśmy dniem i nocą, żeby tu dotrzeć. O ile wiem, książę chce cię poprosić o pomoc. Zgodziłam się go tu przyprowadzić.

Usłyszawszy to prawdopodobne wyjaśnienie, Addryk Heed trochę się uspokoił. Wtedy lady Fernrath wykonała jakiś gest. Ci, którzy się jej przypatrywali, stwierdzili, że nie mogą oderwać od niej oczu.

– Pomożesz mi, bracie? Pomożesz mi? Pomożesz naszemu kuzynowi?

– Chętnie, siostrze. – Jego głos brzmiał chłodno i oficjalnie, ale nie czuło się w nim wrogości. Elryk domyślił się, że oboje, dorastając, nauczyli się zachowywać różne sprawy w tajemnicy, nawet przed sobą. Najwyraźniej Addryk Heed nie miał pojęcia, jak bardzo siostra brzydzi się jego zajęciem i dlaczego, oprócz innych powodów, go nienawidzi, mimo że tak ona, jak i jej miasto zawdzięczają mu swoje bogactwo. Kto mógł wiedzieć, jakie urazy i namiętności jej brat chowa w duszy?

Elryk trzymał się na uboczu, jakby z dyskrecji lub zażenowania, gdyż Addryk Heed zapominał o manierach i całą uwagę skupił na siostrze. Książę skinął głową swojemu najbliższemu krewnemu, ale jak zwykle zignorował ludzi, nawet tych, których znał ze statku. Przesiadł się o kilka miejsc dalej, jakby chciał w samotności obserwować spotkanie brata i siostry. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Wszystkie oczy oprócz Elryka utkwione były w nocną smoczycę, która nie przestawała ich hipnotyzować, ledwie dostrzegalnie kołysząc ciałem. Po kilku minutach wstał i wymknął się po cichu. Nikt nie

zauważył jego zniknięcia. Pokonał marmurową przestrzeń, podniósł żelazną sztabę i szybko wślizgnął się do korytarza, który kazała mu znaleźć.

Mrok wieży rozjaśniało światło, które emanowało z czegoś stojącego na niewielkim stoliku. Różowa poświata natychmiast zwróciła uwagę Elryka, który zamrugnął i zasłonił ręką oczy.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nikt nie strzeże sali i skarbu. Po co strażnicy, kiedy w całym forcie ma się tylko własnych ludzi, pomyślał albinos, ruszając ku pięknie rzeźbionemu postumentowi. Ich piękno sprawiło, że głośno wyraził zachwyt. Wyglądały dokładnie tak, jak mu opisała w drodze do fortu. Nic dziwnego, że były największym skarbem Addryka Heeda. Zapewniały mu władzę nad jego wyjątkowym statkiem, dzięki któremu panował na morzu. W swoim życiu i wyprawach sennych Elryk widział wiele niezwykłych klejnotów, lecz te, które zobaczył teraz, zdumiały go: dwie doskonale karmazynowe perły o wyjątkowej głębi i połysku, wielkości jego pięści, emanujące pulsującym krwistoczerwonym światłem. Czy Addryk Heed naprawdę jest tak pewny swojej potęgi, że zostawiłby owe niezwykle klejnoty tu, gdzie każdy może wejść? Albinos wyciągnął ku nim dłoń i wtedy zrozumiał, że czerwonych pereł, oprócz ludzi, musi strzec coś jeszcze.

Kiedy chciał zdjąć je z postumentu, w kącie sali coś się poruszyło. Hałas, jakby czyjś śmiech. Nagle rozległ się głos. Brzmiał sucho jak szelest łanu zboża latem.

– Witaj, przybyszu. Optymista z ciebie, jak widzę. Z twojego zachowania wnoszę, że jesteś kolejnym niedoszłym złodziejem, który uznał, że mój pan, oglądając turniej, zapomniał o ostrożności. Cóż, lord Addryk Heed być może nie poświęca swojemu skarbowi takiej

uwagi, na jaką on zasługuje, ale ja cenię go ponad wszystko. – Niewidoczny strażnik pisnął cicho niczym mysz. – Tak, tak. Ale mnie jest łatwiej, prawda? – Pisk, pisk. – Widzisz bowiem, ja mam tylko jedno zadanie. I sprawia mi ono wielką przyjemność. – Pisk. – Natomiast Addryk Heed ma wiele spraw na głowie. Już się mnie boisz, prawda, śmiertelniku?

Słyszając to, Elryk zaśmiał się. Poczł nagły przypływ radości, gdy sięgał ręką do pasa u lewego boku. Chwycił rękojeść miecza i zaczął powoli wyciągać go z pochwy.

W odpowiedzi z ciemności dobiegł śmiech, niemal pogodny i leniwy.

– Mój drogi śmiertelniku, szkoda twojej fatygi. Lepiej posłuchaj, kim jestem, zanim dobędziesz miecza. Wciąż jeszcze możesz otworzyć te drzwi i wyjść. Kto wie? Może lord Addryk Heed nie dowiedział się jeszcze o twojej wizycie i wciąż masz szansę na ucieczkę. Widzisz? Daję ci czas, żebyś mógł się odwrócić i zdążyć wyjść, nim cię dopadnę. – Kolejny pisk, po którym nastąpiła seria cichych cmoknięć, jakby wydawanych przez wargi niewielkiego gryzonia.

Elryk westchnął. Nie miał zamiaru się wycofać i wciąż wyciągał swój wielki czarny miecz bojowy, wpatrując się w rozświetlającą ciemności różowawą poświatę w nadziei, że dojrzy przeciwnika.

– Jesteś, strażniku, bardzo pewny siebie – zauważył.

– Pewnie byłbym skromniejszy, gdybym nie złapał i nie ukarał każdego złodzieja, który próbował ukraść te piękne perły. Wiesz, one są żywe, to Oczy Hemryka. Pilnuję ich od stu pięćdziesięciu lat, odkąd mój pan, lord Addryk Heed, sprowadził mnie w tym celu z Piekła.

Raptem coś wielkiego zaczęło się podnosić z kamiennej podłogi i unosić nad karmazynowymi perlami. Klejnoty rozblęły i poczęły

mrużyć własnym światłem. Elryk miał nieodparte wrażenie, że go obserwują. Teraz naprawdę przypominały oczy. Albinos lekko się wzdrygnął, ale nie przestał wyciągać miecza. Cóż to strzeże Oczu Hemryka z taką pewnością siebie?

Wreszcie Zwiastun Burzy został wyswobodzony z pochwy. Elryk chwycił go oburącz. Miecz wił się niczym żywa istota i jęczał, jakby cierpiał męki straszliwego głodu. Elryk ryknął śmiechem na całe gardło, czując, jak wypełnia go odwieczne pragnienie zabijania.

Nad głową albinosa z cichym sykiem rozpostarły się dwa czarne skrzydła i trzepocząc, wzniosły się pod pułap wieży. Pisk. Rodzaj zaproszenia.

– Tchórz – warknął Elryk. – Wiesz, kim jestem? Boisz się o swoje życie? O duszę, jeśli ją w ogóle masz? Zleć na dół i walcz, skoroś taki odważny. Dla mnie będzie to sama przyjemność. Lubię nowości, a nigdy nie walczyłem z nikim twojej rasy.

Z góry dobiegła seria pisków i cmoknięć.

– Nie było jeszcze śmiertelnika, który by walczył z Asquinuksem i go pokonał. – Latająca istota otworzyła wielkie niebieskie oko i obróciła je na Elryka. – Już jesteś martwy – prychnęła. – Twoje życie należy do mnie, bo znam twój sekret. Miałeś przywrócić Prawo na swoim marniejącym świecie, ale zawiodłeś.

– Bez wątpienia mylisz mnie z kimś innym, panie potworze, gdyż jeśli umrę, to na pewno nie walcząc o przywrócenie Prawa, ale o swoją sprawę, a raczej o sprawę Chaosu. – Z niedbałą wprawą Elryk machnął jęczącą klingą w jedną i drugą stronę. Jego czarna poświata spotkała się z czerwoną i wlała się w nią pulsującym strumieniem. – Wszystko jednak zależy od mojego szczęścia i Księcia Piekieł, któremu służę. Moim patronem jest bowiem Arioch, Władca Chaosu, jeden z

najpotężniejszych wodzów Entropii.

– Ten bohater zginął w innym świecie. Jego moc tu nie sięga. – W na poły zamkniętych niebieskich oczach stwora mignęło zaskoczenie. Zmarszczył swój czarny płaski pysk, a potem otworzył szkarłatne usta, wyszczerzając błyszczące, ostre jak sztylety zęby. Długim niebieskim językiem leniwie oblizał dziwnie ukształtowane usta.

– Nie wiem, jakim prymitywnym czarem twój pan sprowadził cię z Dalekiego Piekła i zatrzymał przy sobie, ale ostrzegam cię, pomniejszy demonie: Trzymaj się ode mnie z daleka. Jestem Elryk, a miecz, który trzymam w dłoniach, został wykuty w płomieniach ognia potępionych, aby służył Chaosowi tak, jak ja służę Księżciu Ariochowi. Ostrze to zwie się Zwiastun Burzy i jest równie spragnione zabijania jak ty. Ja także jestem tego spragniony.

Demon znowu pisnął. Za każdym razem dźwięk był cichszy, ale bardziej złowieszczy. Ponownie wzleciał ku pułapowi i zawisł tam przez chwilę, nie spuszczając ciemnych niebieskich ślepi z błyszczących czerwonych oczu Elryka. Przesunął z nich wzrok na perły, których strzegł, i wydał cichy pisk zaskoczenia. Znowu otworzył usta i niebieskim językiem oblizał zęby, każdy z osobna, jakby je liczył. Wreszcie z wysokim gwizdem szczęknął długimi białymi kłami, rozbłysły mu oczy i skoczył w dół. Elryk zakreślił się w miejscu, starając się ustawić do Asquinuksa twarzą w twarz, ale stwór mu na to nie pozwolił. Wąskimi pazurami wczepił się w chronione zbroją plecy albinosa, uniemożliwiając mu precyzyjne zadanie ciosu.

Z oczami błyszczącymi od bitewnego zapachu Elryk podniósł głowę i zawołał:

– Ariochu! Ariochu! Pomóż mi!

Wzywając na pomoc swojego patrona, Elryk machnął mieczem do



tyłu nad lewym ramieniem i usłyszał trzask, gdy klinga dosięgła kości demona.

Asquinux wrzasnął z niedowierzaniem, rozciągając czerwone usta. Hałas wypełnił wieżę. Jeden pazur stracił punkt zaczepienia. Kolejny cios zadany znad głowy i miecz Elryka rozciął węzłowate cielsko potwora. Z przeraźliwym drapaniem pazury puściły metalowe naramienniki. Stwór z powrotem wzniósł się w powietrze i zniknął w ciemnościach. Dyszał teraz, liżąc spienione rany, z których krew pryskała niczym deszcz.

– Zaiste jesteś potężniejszy ode mnie – powiedział demon cichym, grobowym głosem. – Mimo to muszę spróbować cię zabić lub złamię umowę, którą zawarłem z Addrykiem Heedem, za co przyjdzie mi zginąć w jeszcze większych mękach. Wkrótce będzie tu jego armia, a wtedy szcześnieś marnie na ostrzach tysięcy mieczy.

Z wyraźną niechęcią potwór sfrunął w dół, próbując znowu zatopić pazury w ciele Elryka. Tym razem jednak albinos przewidział jego zamiary i schylił się, szybkim ruchem kierując ku górze sztych Zwiastuna Burzy. Demon cofnął się, miotając przekleństwa w swoim języku. Wtedy Elryk zaatakował i tnąc mieczem, zmusił potwora do ponownego odwrotu. Demon latał teraz pod pułapem, czekając na dogodny moment, by przypuścić kolejny atak na plecy albinosa. Najwyraźniej nie potrafił wymyślić innej taktyki. Widząc to, Elryk celowo wystawił plecy do ataku, a gdy usłyszał za sobą nadlatującego demona, błyskawicznie się odwrócił i z całych sił machnął wielką klingą, trafiając potwora w biodro. Kość pękła, a potwór wrzasnął i zaczął przeraźliwie jęczeć. Zataczał kręgi pod stropem, bijąc skrzydłami karmazynowe powietrze, a z rany strumieniem ciekła ropa.

Elryk ponownie schylił głowę i rzucił się w bok, unikając ataku.

Niewiele brakowało, a zostałby obryzany cieciami płynącymi z ran potwora. Tym razem udało mu się wyprowadzić czyste cięcie. Głownia przeszła przez mięśnie i zatrzymała się na kości. Wieżę wypełnił okropny smród. Czarna krew zagotowała się, gdy demon nagle skupił uwagę na dwóch wielkich perłach, desperacko próbując dosięgnąć je pazurami.

– Nie zdołasz ich ocalić przede mną, mały potworze!

Elryk znowu machnął Zwiastunem Burzy. Miecz wył z radości, wreszcie poczynając zaspokajać głód krwi. Elryk poczuł przyływ ciemnej, nadprzyrodzonej energii. Zadrzał. Wszystkie nerwy miał napięte jak postronki, w każdej chwili groził mu skurcz mięśni, gdy starał się okiełznać broń. Wściekle rąbnął w jeden z wyciągniętych pazurów.

Odcięty szpon o własnych siłach popęzł ku pulsującym czerwonym perłom. Demon zawył i wściekle kłapał zębami. Elryk uśmiechnął się krzywo i kopnął pazur w kąt sali. A potem ponownie zadał cios bestii.

Asquinux chlipnął, uznając swoją porażkę, podczas gdy Zwiastun Burzy mruczał jak objedzony kocur. Albinos wziął głęboki, urywany oddech. Ranny Asquinux unosił się tuż nad perłami. Do końca próbował dotrzymać umowy, wiedząc, że kara za porażkę będzie gorsza niż śmierć. Niebieskie oczy wypełniło coś jakby błaganie o litość. Elryk nigdy jednak nie okazywał miłosierdzia. Dla niego i jego rasy to uczucie było zupełnie obce.

Albinos odrąbał kolejny wyciągnięty pazur demona. Bestia wściekle kręciła się w powietrzu, kłapiąc zębami, brocząc krwią zmieszaną z ropą.

– Marny z ciebie strażnik – mruknął Elryk. – Ale pewnie na nic lepszego Addryk Heed nie mógł sobie pozwolić.

Stwór zwrócił nie niego zrozpaczone niebieskie oczy. Szczękając zębami, wsuwając i wysuwając czerwony język, powiedział:

– Było mi pisane, że nie zginę z ręki śmiertelnika. Nie wiedziałem jednak, że zabije mnie umarły i coś tak potężnego jak moc zawarta w twoim mieczu. – Pulsując, uchodziły z niego ostatki energii. Miecz pobierał swoją część tej odrażającej substancji, a resztę przekazywał dzierżącej go dłoni. – Kto jest panem? Ty czy on?

Rany zadane pazurami demona płonęły żywym ogniem i choć Elryk zyskał dodatkową energię, zaczął tracić krew. Podeszedł do stołu i podniósł najpierw jedną, a potem drugą ciężką perłę. Wsunął je za koszulę pod napierśnikiem, po czym jedną ręką mocniej zawiązał tasiemki.

Nie schował Zwiastuna Burzy do pochwy. W następnej chwili drzwi do wieży otworzyły się gwałtownie i w progu stanął ponury mężczyzna ze statku i tuzin jego kompanów – handlarzy niewolników. Wszyscy mieli broń – najróżniejsze jej rodzaje. Nie spodziewali się, że zastaną Elryka żywego, nie mówiąc już o tym, że zobaczą, jak zatapia miecz w poskręcany ciele strażnika Asquinuxa, zadając mu śmiertelny cios.

Gdyby wejście było szersze, cofnęliby się, ale nie było to takie proste. Ostrożnie podchodzili więc bliżej, ustawiając się w półokrąg. Elryk uśmiechnął się jakby zapraszająco, niedbale machając Zwiastunem Burzy. Ciężko dyszał z wysiłku, ale wciąż podtrzymywała go brudna energia potwora. Prawie nie czuł krwi płynącej pod zbroją z ran na plecach.

– Miło was widzieć, panowie – powiedział, lekko się kłaniając. – Nie uwierzycie, jak byłem głodny.

Zbliżali się do niego z coraz mniejszą pewnością siebie. Buty ślizgały się na ciemnej, cuchnącej krwi demona.

Elryk uśmiechał się pod nosem, ubawiony ich trwogą. Dla żartu pozorował ataki swoim wyjącem, nienasyconym mieczem. Mężczyźni zmrużyli oczy. Raptem albinos wykonał swobodny, niemal elegancki zamach i odrąbał głowę żołnierza, który znalazł się najbliżej. Reszta, popychając się wzajem, cofnęła się w panice. W tym momencie marzyli tylko o tym, żeby jak najszybciej stąd uciec, ale Elryk skoczył i stanął między nimi a umierającym demonem. Sięgnął ręką za siebie i pociągnął drzwi, chcąc jej zatrzasnąć, ale uniemożliwiła to odrąbana głowa, która zatrzymała się na progu. Z zewnątrz wpadł do wieży pojedynczy snop światła. Elryk znowu zamarkował cios, poruszając się niczym pastuch zaganiający stado. Kiedy zgromadził wszystkich mężczyzn w świetlnym kręgu, machnął jęczącym mieczem, przecinając jednego z nich na pół, tak że górna część ciała upadła do tyłu, a dolna przewróciła się do przodu.

Czując w sobie energię zabitego handlarza, Elryk wydał okrzyk radości. Uderzył ponownie i dwie odrąbane ręce potoczyły się po podłodze, powiększając bałagan, którego narobił zdychający demon. Pchnął rannego sztychem, wysysając z niego siły życiowe i wypełniając nimi swoje ciało. Potem, kiedy przy życiu został już tylko ponury handlarz, dotknął go delikatnie mieczem w pierś, a wtedy jego serce natychmiast przepompowało całą energię życiową do klingi i Zwiastun Burzy przesłał ją do płonącego blaskiem ciała Elryka. Jego biała skóra zyskała srebrzysty połysk, a czerwone oczy zaśniły triumfalnie. Podniósł głowę otoczoną poświatą mlecznobiałych włosów i wybuchnął śmiechem.

Elryk wziął głęboki oddech i przeszedł z wieży do amfiteatru. Zobaczył wpatrzone w siebie zdumione twarze. Podczas gdy Addryk Heed i jego niewolnicy wpatrywali się w niego z niedowierzaniem, lady

Fernrath biegła ku niemu niczym wiatr, krzycząc:

- Kwatery niewolników! Za mną!
- Mamy ich uwolnić? – rzucił Elryk.
- Jeśli zdołamy. Mogą nam kupić czas.

Gdy do Addryka i jego zdumionych wojowników zaczęło docierać, co się stało, dwoje albinosów zbiegało już po zewnętrznych schodach prowadzących do wieży. Ciężko dysząc, lady Fernrath poprowadziła Elryka do trzewi Białego Fortu. Była uzbrojona w ciężki, świetnie wyważony topór bojowy, którym posługiwała się w sposób znamionujący dużą wprawę. Zabijali każdego, kto stanął im na drodze, a Zwiastun Burzy śpiewał swoją krwawą pieśń.

W końcu stanęli w długim korytarzu śmierdzącym ludzkimi odchodami i zmumifikowanymi zwłokami. Z każdego skrawka ściany zwisały przykute ciała niewolników, kobiet, mężczyzn i dzieci, których Addryk Heed porwał z miast na wybrzeżu i przepływających statków, żeby w nadchodzących dniach sprzedać na targu niewolników w Hizss. Przeżyli tylko najsilniejsi. Pośród nich na kajdanach zwisały trupy. Niektórzy podnosili głowy z nadzieją. Jeszcze się nie pogodzili z losem.

Lady Fernrath nie słuchała i nie odpowiadała na ich pytania. Szła prosto do wielkiej marmurowej wnęki na końcu korytarza zamkniętej kratą cztery razy grubszą niż inne. Rzuciła topór na ziemię, nie mogąc oderwać oczu od tej potężnej klatki. Elryk szedł wolniej, przecinając po drodze kajdany niewolników. Chciał uwolnić tylu, ilu zdoła, zwłaszcza mężczyzn. Wiedział, że Addryk Heed i jego ludzie ruszą za nimi w pościg i byłoby dobrze, gdyby przeszkadzało im jak najwięcej ludzi walczących o własne życie.

Kiedy doszedł do Fernrath, zdążyła już wyciągnąć ciężkie czarne bolce zamykające gigantyczną klatkę. W środku siedział drobny stary

Furn z połamanymi, nieporządnie złożonymi skrzydłami, pazurami spętanymi mosiężnymi obrączkami, wpatrujący się pustymi oczodołami w przestrzeń. Widać było, że jest na granicy śmierci.

Lady Fernrath podeszła do stworzenia i delikatnie pogłaskawszy jego siwobiałe skórzaste łuski, przemówiła doń w pradawnym języku swego ludu:

– Ojczy, to ja. Twoja córka Fernrath. Przybywam cię uwolnić.

– Moje dziecko, wiesz, że to niemożliwe. Nie mogę stąd wyjść. Nie mogę latać. Twój brat już zawsze będzie mnie więził. Nie ma dla mnie nadziei, córko. Nie powinnaś była ryzykować, by Addryk odkrył prawdę i dowiedział się tego, co wiemy tylko my oboje.

– Wszystko się zmieniło, ojczy.

Z drugiego końca korytarza dobiegły krzyki i odgłosy walki. Teraz, kiedy odzyskali wolność, niewolnicy nie mieli zamiaru ponownie popaść w niewolę. Wiedzieli, że to ich jedyna szansa. To dodawało im siły do walki, mimo że tylko niewielu z nich było zawodowymi żołnierzami. Szczęk metalu powiedział Elrykowi, że niektórym udało się zdobyć broń. Wiedział jednak, że tylko cud pozwoliłby im dłużej stawiać czoło wyćwiczonym wojownikom Addryka Heeda.

Z głębokim westchnieniem Elryk szykował się do bitwy z całą armią.

## **Zalety układów ze światem nadprzyrodzonym**

Stary Furn nazywał się Hemryk i oczywiście był ojcem lady Fernrath.

– Umiera w tym lochu od dwustu lat – powiedziała albinosowi –

pomagając memu bratu w jego nikczemnym zajęciu.

– Twój brat jest żalonym przedstawicielem naszej rasy – z niesmakiem odparł Elryk. – I trzymał własnego ojca razem z niewolnikami? – Zmarszczył brwi. – Brak klasy, w najlepszym razie, moja pani. Jeśli się wyłupuje oczy krewnemu i wtrąca go do więzienia, to przynajmniej należy go zamknąć z równymi sobie.

Zbyt jej się spieszyło, żeby na to odpowiedzieć.

– Szybko, daj mi perły – rzuciła. – Daj mi je!

Wyciągnął je zza koszuli, spodziewając się mniej więcej, co chce zrobić.

Głaszcząc ojca po długim pysku, przekonała go, by pochylił głowę, a następnie wzięła błyszczące karmazynowe perły z rąk Elryka i delikatnie włożyła jedną po drugiej do pustych oczodołów, nucąc przy tym długie, melodyjne zakłęcie. Elryk patrzył zafascynowany, jak błyszczące kule zaczynają obrastać ciałem. Nagle Furn zamrugął raz i drugi. Znowu widział.

A potem, gdy z głębi korytarza dobiegły krzyki niewolników broniących swoich dzieci, ale zaczynających się cofać pod naporem dobrze uzbrojonych wojowników Addryka Heeda, dwie karmazynowe perły zabłysły pulsującym światłem. Spojrzenie nabrało inteligencji, a wraz z nią pojawił się w nim gniew. Stary Furn już dawno stracił jad, ale z wściekłością zmarszczył długi, piękny pysk.

Z szerokiej klatki piersiowej wydobył się głęboki pomruk. Smok uniósł głowę, nastroszył pióra, każde wielkości człowieka, i dumnie wyprężył ogromne grzebienie na mozaikowym ogonie. Nawet Elryka zdumiała ta przemiana. Pomruk stawał się coraz głębszy i głośniejszy. Furn stanął na muskularnych nogach i zamrugął. Z każdego oczodołu wyciekła kropla krwi. Zwrócił swoją dobroduszną, smutną i pełną

gorzkiej mądrości twarz na córkę, a potem na Elryka.

– Wzrok przywraca siłę – powiedział i ponownie zamrugał oczami. Tym razem wypłynęła z nich gigantyczna słona łza.

Elryk zauważył, że niewolnicy zaprzestali walki i mijają go biegiem, szukając schronienia w lesie. Dostępu do niego bronił jednak Addryk Heed na czele kawalerii i świeżych oddziałów piechoty. Siedział w pełnym rynsztunku na wielkim rumaku. Większość niewolników rzuciła broń, wzięła na ręce dzieci i biegła do światła, gdzie padała przeszyta strzałami łuczników wodza piratów.

– Ta forteca, jak inne tutejsze miasta, oprócz Hizss, została zaprojektowana z myślą o wojnie – zauważyła lady Fernrath – pod byle jakim pretekstem. – Patrzyła, jak jej ojciec prostuje dawno nie używane skrzydła.

W górze, wprost nad ich głowami rozległy się okrzyki ekscytacji i przestachu oraz szczęk metalu.

– Jakaś nowa sztuczka Addryka – dodała. – To dzięki czarom zdołał swoich przodków obrócić w niewolników i wykorzystać ich do zbudowania swojej potęgi.

– Tak było – potwierdził Hemryk, szukając jej odwykłymi od patrzenia oczami z dobrodusznym wyrazem twarzy, jaki nigdy nie gościł na twarzach jego melnibonéańskich krewnych. – Niczego nie podejrzewaliśmy. Kiedy nie mógł nas zmusić, byśmy dla niego latali, wyłupił nam oczy i kazał pływać. Choć to mój syn, zabiłbym go, gdybym mógł.

– Będiesz mógł, ojcze. Kiedy go złapiemy – obiecała, ale nie miała dotrzymać obietnicy.

Kolejny grom. Czyżby dobiegał z nieba? Zdziwiony Addryk Heed podniósł swoją przystojną, arogancką twarz. Ściągnął wodze siwego



ogiera i spoglądał do góry nad jego łbem. Nie wiedząc, co dalej począć, niewolnicy wrócili do korytarza i zgromadzili się wokół Elryka. Sytuacja stała się patowa. Elryk wiedział, że nawet z Czarnym Mieczem nie pokona tych wrogów.

Pomyślał, czyby nie przystąpić do negocjacji z Addrykiem Heedem, ale moc, która wypełniała jego umysł, duszę i ciało, nie uznawała kompromisów. Nie wybaczała, bo nie miała sumienia. Naturalna empatia, jaką Elryk czuł do ludzi, ciągnęła go do Młodych Królestw, bo chciał nauczyć się ich moralności, pokory i ciekawości, czyli wszystkich tych cech, które jego lud utracił. Czuł bowiem instynktownie, że jeśli jego rasa chce przetrwać, musi je odzyskać.

Potem jednak górę wzięła jego okrutna melnibonéańska duma, zmuszając go do robienia tego, czego chciał uniknąć. Dokonał zagłady swojego ludu, spalił jego fortece i pozbawił go mocy, którą uważał on za coś oczywistego. Elrykowi pozostała teraz jedynie melnibonéańska moc: magia, historia rodu oraz pakty, które jego przodkowie w chwilach zagrożenia, gdy kiedyś, dawno, dawno temu skłaniali się ku Prawu, musieli zawrzeć z Chaosem. Dowiedział się tego ze swoich sennych wędrówek na inne płaszczyzny, podczas których poznał przeszłość i teraźniejszość swojej rodziny. Ale wiedza ta pozwalała mu jedynie wykorzystywać i kontrolować taką moc, odzyskać witalność poprzez realne aspekty życia, odbierane zmysłami.

Armia Addryka schodziła galeriami w stronę Elryka, który stał, dysząc, nie myśląc w tej chwili o niczym innym oprócz walki, trzymając w ręku pulsujący, zawodzący miecz z wyrytymi czerwonymi runami – ostatni cesarz ginącej rasy pośród hordy niewolników, z albinoską i jej wątłym ojcem u boku. Na rozkaz wodza piratów łucznicy ustawili się w szeregu przed Elrykiem. Wtedy jednak znowu rozległ się grom. Tym

razem Elryk zobaczył posłańca przedzierającego się przez szeregi wojowników z wiadomością dla wodza piratów. Brat Fernrath uniósł rękę, nakazując swoim ludziom, żeby się zatrzymali, a sam obrócił się w siodle, aby do nich przemówić. Nie wszyscy go jednak usłyszeli i część oddziałów wciąż posuwała się naprzód. Tymczasem Elryk zobaczył, że pirat zawrócił i wiedzie swoich ludzi przez kwatery dla niewolników z powrotem do głównej twierdzy. Schody były tak szerokie, że kilka górnych galerii jeźdźcy mogli pokonać, nie zsiadając z koni.

Wkrótce żołnierze, którzy nie zawrócili, przekonali się, że zostali sami. Niektórzy chcieli pójść w ślady tamtych, ale reszta krzyczała, że pozbawią ich tym ostatniej szansy obrony.

Zmęczeni niewolnicy ponownie chwycili porzuconą broń.

Widząc nieoczekiwaną okazję, Elryk jako wytrawny strateg natychmiast rozkazał swoim obszarpańcom ruszyć za sobą do ataku. Nagłe natarcie błyskawicznie złamało opór żołnierzy Addryka Heeda, którzy w popłochu rzucili się do ucieczki, przekonani, że już przegrali.

Byli to dzielni i doświadczeni wojownicy, ale kompletnie utracili ducha walki, gdy zobaczyli nacierającego Elryka – ducha z własnej przeszłości, wir czarnej wampirycznej śmierci z legendarnym wyjąłym runicznym mieczem, z płonącymi karmazynowymi oczami przywołującymi wszystkie ich najgorsze koszmary. Opuszczeni przez własnego wodza, porażeni obecnością Księcia Chaosu, demona Ariocho, postaci z ich wspólnego panteonu, nie mieli odwagi walczyć z jednym ze swoich. Dopiero słowa lady Fernrath, które wyrzekła w wysokim języku Furnów, przypomniały Elrykowi, kim jest i gdzie się znajduje. Opuścił miecz i spojrzał wokół siebie na stosy trupów – ciała tych, którzy swoją energią nakarmili jego i Zwiastuna Burzy. Tyle

potępionych dusz! W tym momencie albinos poczuł coś w rodzaju żalu. Nie płakał jednak po zabitych niewolnikach.

Kiedy Elryk łkał, przybyła następna fala żołnierzy w bursztynowych zbrojach. Z początku wydawało się, że pozbierali się i kontratakują, ale okazało się, że są w całkowitej rozsypce. Wielu straciło broń i widząc swoich kompanów w niewoli, też postanowiło błagać o litość swoją byłą ofiarę, która z miejsca kazała ich rozbroić i zakuć w łańcuchy. Jak dotąd w powietrzu nie latały strzały, a więc najwyraźniej łucznicy zostali odwołani, żeby wzmocnić armię Addryka Heeda w innej części fortecy. Tylko dlaczego? Kto miałby ją zaatakować?

\* \* \*

Nagle Elryk usłyszał najpierw narastający, a potem zamierający przeciągły grzmot, od którego zadrżały alabastrowe ściany i sufit, zasypując korytarz gradem kamyków i gipsu.

Nakazawszy byłym niewolnikom otoczyć opieką starego Furna i pilnować więźniów, Elryk i lady Fernrath podeszli ostrożnie do schodów i zaczęli się po nich wspinać. Kiedy dotarli do galerii z oknami, skąd widać było inne galerie, zobaczyli, że wszędzie aż po sam szczyt wielkiego fortu leżą ciała wojowników w bursztynowych zbrojach, którzy musieli z kimś stoczyć zażartą walkę. Odgłosy gromu stopniowo zamierały. Niebo zaczęło się przejaśniać, a przebijające przez chmury promienie słońca oblekły je bladozłotą poświatą. Elryk usłyszał, jak ktoś na górze woła jego imię.

– Elryku! Mój panie! Myśleliśmy, że nie żyjesz!

Albinos przystanął i zadarł głowę. W wybitym oknie na galerii powyżej zobaczył szeroką, roześmianą rudą twarz Moongluma.

Wściekłość powoli opuszczała Elryka. Biegąc galeriami w stronę

przyjaciela, czuł nawet coś na kształt radości. Obok Moongluma stała księżniczka Nauha i Cita Tine, dziewczka z tawerny. Cała trójka dzierżyła w dłoniach zakrwawione miecze i wyglądała jak wilki, które dopiero co stoczyły długą i radosną walkę. I wtedy, jakby Bezduszny Los uznał, że taki zbieg okoliczności to za mało i trzeba rozciągnąć go na cały wieloświat, pojawiły się kapłanki Xiombarg z wyrazem zadowolenia na twarzy jak po spełnieniu szlachetnego uczynku i zameldowały, że sprawiedliwości stało się zadość.

– Nasza pani wysłuchiwała nas i osiągnęliśmy porozumienie – oświadczyła jedna z nich, poprawiając na głowie niewygodną koronę.

– Jakie porozumienie? – Elryk wiedział, że Bogowie Równowagi rzadko dobijają targu, który nie dawałby im korzyści.

Rozmowę przerwał im krzyk Cita Tine:

– Gdzie oni są?! Niewolnicy?! Wciąż zamknięci?!

Elryk wzruszył ramionami.

– Niektórzy. Reszta uciekła do lasu. – Był zdziwiony jej zainteresowaniem.

Dziewka schowała miecze do pochew i spojrzała na dół, po czym ruszyła w stronę, z której nadeszli Elryk i lady Fernrath.

Albinos zwrócił pytające spojrzenie na przyjaciela. Moonglum westchnął i podrapał się po głowie.

– Po to tu przybyła. Zamierzała sprzedać wszystkie cenne rzeczy i wykupić męża z rąk handlarzy niewolników. On przybył tu wcześniej.

Elryk zmarszczył brwi.

– Doprawdy...?

– Tak. Wykorzystała mnie, a teraz pobiegła szukać męża. – Moonglum westchnął. – Ale i tak wydaje mi się, że przez kilka tygodni nieźle służyłem jej jako jego substytut. – Rzucił tęskne spojrzenie na

jedną z akolitek, która zauważywszy to, przysunęła się do koleżanki. Westchnął ponownie.

– A więc to Xiombarg spowodowała tę zagładę? – Elryk starł z twarzy resztki obcej tkanki.

– Dzielnie walczyliśmy, ale bez jej upiornej pomocy byśmy nie wygrali. – Nauha zbliżyła się do niego. – Oczywiście nasze miecze też wykonały kawałek dobrej roboty. – Zobaczyła, że krew na głowniach zaczyna krzepnąć. Rozejrzała się i sięgnęła po leżący obok płaszcz. Uklękła, oddarła kawałek i poczęła wycierać najpierw jedną, a potem drugą klingę.

– Co z Addrykiem? – zapytała Fernrath, rozglądając się dookoła. – Żyje?

– Ledwie, ledwie – odparła Nauha. – Wiedząc o waszym pokrewieństwie, błagałam, żeby go oszczędzono. Niemal w ostatniej chwili. Xiombarg...

– Gdzie go znajdzie?

Nauha z namysłem zmarszczyła brwi.

– Dwa piętra niżej i... – Pokręciła głową. – Po lewej. Są tam też jego sztandary i koń. Ledwo żyje, Xiombarg zaczęła go pożerać.

Lady Fernrath nie wysłuchała jej do końca i pobiegła, szukając schodów prowadzących w dół. Wykrzykiwała imiona ojca i brata.

– Xiombarg miała tu dziś niezłą ucztę. – Elryk z ciekawości ruszył za Fernrath, a reszta podążyła za nim. – Czy to była dla niej jedyna zapłata? – Wskazał na stosy trupów.

Nauha wybuchnęła śmiechem.

– Myślę, że nie. Poprosiłam kapłanki o pomoc, gdy stało się jasne, że w grę wchodzi nadprzyrodzone moce. Moonglum z dziewczyną przyjechał z miasta gotowy stanąć w twojej obronie, ale Fernrath już

zdążyła się przemienić i zabrać cię ze sobą.

– Skąd wiedzieliście, gdzie poleciliśmy? – Wszedł na schody zawałone trupami.

– Zdążyliśmy jeszcze zobaczyć, jak odlatujecie. Cita Tine wiedziała o Białym Forcie i знаła do niego drogę.

– Ale jak wam się udało tak szybko przybyć?

– To także robota Xiombarg. Kapłanki wezwały na pomoc swoją boginię i to ona nas tu przeniosła.

– Ale ofiara nie została złożona?

– Och, nieźle sobie poucztowała. Poza tym zabrała z domu Fernrath jakieś świecidelko, które miało dla niej dużą wartość. To jej wystarczyło.

Brodząc we krwi, wśród strzępów ciał i porzuconych bursztynowych zbroi przypominających kawałki pancerzyków zdarte z krewetek, natknęli się na Fernrath. Klęczała na marmurowej posadzce, a jej ramionami wstrząsał płacz. Obejmowała jakiś czerwony strzęp. Elryk zobaczył, że są to resztki Addryka Heeda. Dumny książę piratów i handlarz niewolników leżał, ciężko łapiąc powietrze, krztusząc się własną krwią. Z jego twarzy niewiele zostało. Nie miał nóg ani rąk. Jedna strona ciała wyglądała jak nadgryziona. Xiombarg musiała przerwać ucztę. Pirat próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał.

Raptem w najbliższym oknie pojawiła się olbrzymia postać. Niepewnie chwyciła się parapetu i niezdarnie wleciała do środka, bijąc potężnymi skrzydłami, prężąc ogromne białe cielsko i machając wielkim ogonem. Wyciągniętą długą szyję wieńczyła pokaźna gadzia głowa, w której płonęła para oczu równie błyszczących i karmazynowych jak oczy Elryka. Rzekome czerwone perły, teraz ożywione nową siłą życiową, wpatrywały się w bladozłote chmury

przepluwające wysoko na niebie. Oczy Hemryka, które ukradł Addryk Heed, wróciły do właściciela.

W czerwonych oczach starego Furna na chwilę pojawił się jasny płomień, a z jego wysuszonego pyska dobył się krótki pomruk, gdy ruszył do przodu na sztywnych nogach. W końcu stanął nad ciałem syna, który uczynił go swoim niewolnikiem, i nagle wyparowała z niego cała złość. Wielkimi białymi skrzydłami otoczył zmaltretowane ciało i chwyciwszy w pazury przednich łap, uniósł umierającego syna w powietrze. Gdzieś z głębi piersi Furna wyrwało się osobliwie łagodne zawodzenie.

– Nie mogę – mruknął Hemryk. – Naprawdę nie mogę. – Ruszył do okna, dźwigając to, co zostało z Addryka Heeda. Z wielkim wysiłkiem ponownie wskoczył na parapet i wzbił się w powietrze, przeciągle zawodząc na coraz wyższą nutę. Odlatywał, szybując nisko nad lasem, wreszcie pogodzony ze sobą i z synem. Ci, którzy go zegnali wzrokiem, szanowali jego postępek, ale nie potrafili go zrozumieć.

Kiedy Elryk spojrział ponownie na Fernrath, zobaczył, że cicho szłocha i podąża wzrokiem za ojcem, przechyliwszy głowę, żeby lepiej słyszeć melancholijną melodię. Po chwili odwróciła się i wyprostowała. Zauważyła Elryka, ale zamiast do niego podejść, skierowała się do wielkiego okna z wybitą szybą, żeby jeszcze raz popatrzeć na znikającego w oddali ojca i okrutnego brata.

Wreszcie oderwała od nich wzrok i spojrzała na albinosa. Jej oczy błyszczały na zielono, a w języku, którym wodziła po zębach, nie było nic ludzkiego.

– Drogo zapłacił za swoje uczynki. Krew mojego brata i jego ludzi nakarmi las i wkrótce z Białego Fortu nie zostanie żaden ślad. Zasłużył sobie na taki los. Teraz jednak zostałam ostatnią z rodu, w każdym

razie po tej stronie świata. – Ze świstem powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Tak czy owak – odezwał się Elryk – nie ma nikogo, kto mógłby być w pełni Furnem i nie-Furnem zarazem. Nie ma nikogo, kto mógłby przerzucić pomost między dziejami obu ras. Nikogo oprócz twojego ojca.

Westchnęła. Cała złość z niej uleciała.

– Teraz oboje jesteśmy pomszczeni.

Sylwetka Hemryka, najstarszego z Furnów, ojca lady Fernrath i renegata Addryka Heeda, który go oślepił i zmusił do napędzania pod wodą ostatniego statku niewolniczego, niknęła na tle złotego horyzontu, a z oddali wciąż dobiegało zawodzenie, w którym czuło się radość lotu i udrękę śmierci.

– Addryk Heed zawsze był zazdrosny o ojca – wyszeptała lady Fernrath. – Przez całe lata on i jego kompani, książęta krwi, spiskowali, żeby wziąć w niewolę prawdziwego Furna, który nie byłby Halflingiem, jak ja. A kiedy wreszcie ukradł ojcu oczy, nie znalazłam w sobie dość odwagi czy charakteru, by się temu przeciwstawić. Przyglądałam się biernie, jak rzuca potężne czary i zaklęcia, jak kradnie Furnom ich oczy i zmusza, żeby mu służyli. Najpierw zaprzęgali ich do ciągnięcia statków, a potem zmuszali do latania nad wodą, popędzając ostrymi kijami. Kiedy się zrobili na to za starzy i za słabi, Addryk Heed wpadł na pomysł zamknięcia ich w specjalnie zbudowanych statkach, które rozpędzalyby swoimi skrzydłami do niebotycznych prędkości, zastraszając i zdumiewając ofiary mojego brata. Nie miałam wyboru i musiałam mu pomagać. Poprzysiągł, że jeśli odmówię, zamęczy naszego ojca na śmierć. Zostałam więc pośrednikiem między nim a handlarzami niewolników z Hizss.



– To dlatego Hizss jest jedynym nie ufortyfikowanym miastem na wybrzeżu – mruknął domyślnie Elryk. – Nie musiało się bronić, gdyż Addryk Heed nigdy by go nie zaatakował. A gdy służące mu smoki powyzdychały jeden po drugim, wolał zostawić w spokoju dobrze uzbrojone miasta i polować na statki. Ale żeby zrobić niewolnika z własnego ojca... – Mówił to niemal z podziwem. – Nawet ja nie byłbym zdolny do takiej zdrady...

Uśmiechnęła się żałośnie, lecz w jej głosie zabrzmiał sardoniczny ton:

– Niewielu by to potrafiło – przyznała.

Elryk popatrzył na powracającego białoskórego smoka, który nie dźwigał już szczątków swojego syna. Hemryk zataczał coraz wyższe kręgi, a potem nurkował nad czubkami drzew. Widok ten sprawił, że przez chwilę Elryk pozazdrościł swojemu przodkowi, który żył równie długo, co jasne cesarstwo Melniboné, będąc świadkiem jego narodzin i upadku.

Rozejrzał się dookoła. Kilka kroków za nim i jego kompanami stały dwie kapłanki. Z bezbrzeżnym zdumieniem obserwowały lot starego Furna.

– Musimy wam podziękować, drogie panie, za interwencję – powiedział Elryk. – Mógłbym jednak spytać, jakiej ceny zażądała wasza patronka za pomoc?

Kapłanki Xiombarg wymieniły spojrzenia.

– Szczerze mówiąc, nie do końca miałyśmy prawo jej to zaoferować – bąknęła jedna z nich. – Nasza zgoda na jej żądanie była podyktowana potrzebą chwili. – Nauha przysunęła się do okna, żeby lepiej widzieć kołującego smoka. – Ona wiedziała, że to znajduje się w pani domu, lady Fernrath. Wiedziałam, że to pani własność...

– To była jedna rzecz, którą była gotowa przyjąć w zamian za pomoc. – Druga kapłanka wydawała się lekko zakłopotana. – Dzięki temu Równowaga została przywrócona, a Chaos wrócił na swoje miejsce w wielkiej kosmologii tej płaszczyzny! Taka była wola Xiombarg. Tak bowiem jak ty służysz Księciu Ariochowi, panie Elryku, tak my służymy jego kuzynce, rywalce i sojuszniczce.

– Aha – mruknęła domyślnie lady Fernrath. – Ale, jak mi się zdaje, został on już przyrzeczony komuś innemu. Przeze mnie.

– Nie miałyśmy wyboru.

– Czyli był to, jak mniemam, Biały Miecz. – Nagle zmęczona lady Fernrath rozejrzała się po otaczającym ją pobojuwisku.

– No tak. – Moonglum był zdumiony, że tak łatwo odgadła prawdę. – Xiombarg chciała tylko jego, a czas naglił.

Następny odgłos zaskoczył wszystkich.

Nikt nigdy wcześniej nie słyszał tak śmiejącego się Elryka – nawet wtedy, kiedy dobywał Zwiastuna Burzy i zabierał się do swojej radosnej niszczycielskiej roboty.

*Tim Lebbon* urodził się w Anglii. Do ósmego roku życia mieszkał w hrabstwie Devon, a przez następne dwadzieścia lat w Newport. Pierwsze opowiadanie opublikował w 1994 roku w niezależnym magazynie „Psychotrope”, a już trzy lata później ukazała się jego pierwsza powieść Mesmer. Od tamtego czasu napisał prawie trzydzieści książek, w tym The Island z 2009 roku. Wydana w 2006 roku powieść Zmrok, zaliczana do gatunku dark fantasy, otrzymała Nagrodę Augusta Derletha przyznaną przez British Fantasy Society. W 2010 roku wyszła jego powieść Echo City. Obecnie żyje wyłącznie z pisarstwa i mieszka w Goytre w hrabstwie Monmouthshire z żoną i dwójką dzieci.

**Tim Lebbon**

**APOTEOZA**

**DALA BAMORE’A**

**Z dziejów Echo City**

Jan Ray Marcellan żałowała, że nie mogą sukinsyna po prostu przybić do Muru. Nienawidziła wychodzić poza Kanton Marcellanów na Przedmurze, gdzie ludzie byli nieokrzesani, gorzej wykształceni, biedniejsi, surowsi i bardziej skorzy do obrażania kapłanki Hanharana. Sytuacja była nienormalna i nawet z oddziałem trzydziestu Szkarłatnych Ostrzy nie czuła się całkiem bezpieczna. Wydawało się, że

nawet powietrze ma tu inny zapach, ale wiedziała, że to dziecinne uprzedzenie. Po prostu niepokój brał górę.

Ktoś jednak musiał doprowadzić Dala Bamore'a na proces do Dziesiątego Więzienia, mimo że wyrok śmierci był przesądzony. I właśnie jej powierzono to zadanie.

Podniosła zasłonkę z przodu powozu i pomiędzy nogami woźnicy a podskakującymi głowami guźców ciągnących pojazd spojrzała na nagie ciało Dala Bamore'a przywiązane do kratownicy. Ciągnęło ją sześciu ludzi z oddziału Szkarłatnych Ostrzy, wlokąc po bruku stopy więźnia, które zostawiały krwawy ślad na drodze. Byli już za Murem i tłum rzucał w nich zgniłymi owocami oraz kamieniami. Ostrza podnieśli kaptury i ukucnęli, ale i tak kilka razy zostali trafieni. Marcellańscy żołnierze byli poważnie przestraszeni. Owoce rozpryskiwały się na ciele skazańca, kamienie uderzały w niego z miękkim plaśnięciem lub ostrym trzaskiem, a on nawet nie podniósł głowy.

Jan Ray lekko się uśmiechnęła. Po tym, co mu zrobili, żeby wydobyć od niego przyznanie się do winy, byłaby zdziwiona, gdyby w ogóle otworzył oczy, kiedy będą mu wbijali gwoździe. Opuściła zasłonkę i z powrotem opadła na poduszki. Zaciągnęła się fajką i westchnęła.

Z zewnątrz dobiegł krzyk i coś ciężkiego upadło na ziemię. Zastygła i lekko uchyliła zasłonkę.

Rozszalały, żądny krwi tłum, zdenerwowani Ostrza, a między nimi Bamore – jeden z najniebezpieczniejszych...

W odciągniętej na bok zasłonce ukazała się twarz Jave'a – jej najbardziej zaufanego kapitana Ostrzy. Pelerynę miał zbryzganą świeżą krwią.

– Niszczyciele. Proszę zostać w środku.

Gdy Jave zniknął, a krzyki na zewnątrz zaczęły narastać, Jay Ray, kładąc się z powrotem na poduszkach, pomyślała, że trzeba było wykończyć Bamore'a w Lochach.

\* \* \*

Jeździ do głębokich lochów tylko w naprawdę wyjątkowych sprawach. A w tym wypadku od samego początku wiedziała, że nigdy nie torturowali nikogo tak ważnego jak Bamore.

Więzień siedzi w celi już od trzech dni, kiedy Jan Ray schodzi do podziemi, żeby go przesłuchać. Mistrz tortur otrzymał polecenie rozwiązania mu języka, ale bez narażania życia. Wszystko, co powie, należy zapisywać – przy więźniu dzień i noc czuwa skryba – Bamore ma jednak pozostać poczytalny i przytomny do czasu, aż Marcellanowie zdecydują się przesłuchać go osobiście.

Jan Ray chętnie podejmuje się takich zadań. Burzą one rutynę codziennego zarządzania miastem w imieniu Rady, a jako kapłanka Hanharana przez większość dnia musi postępować zgodnie z wieloletnią tradycją i protokołem. Zdaje sobie sprawę, że to ważne, ale czasem staje się męczące.

Tu, w Lochach, choć przez chwilę może być sobą.

Po drodze nie słyszy żadnych krzyków. Żadnych westchnień czy jęków. Żadnego błagania o litość. Zaczyna się nawet niepokoić, ale kiedy dochodzi do drzwi i stojący na straży Szkarłatne Ostrze wpuszcza ją do celi, jej niepokój natychmiast znika.

Bamore zwisa z sufitu głową w dół. Cały jest pokryty krwią i fekaliami. Pod nim znajduje się wielka misa, do której ściekają wszystkie nieczystości. Jay Ray domyśla się, że przynajmniej raz ją opróżniono. W pewnej odległości od więźnia siedzi na krześle chudy,

siwy mężczyzna z otwartą książką na kolanach i piórem w dłoni. Kartki wyglądają na zupełnie czyste.

– Trivner – zwraca się Jan Ray do siedzącego w kącie grubasa, który zrywa się na baczność. Zwały tłuszczu przelewają się pod tuniką.

– Kapłanko! – odpowiada, nisko się kłaniając. – To wielki zaszczyt widzieć panią u nas, nędzników.

Jan Ray słyszy kpinę w jego głosie, ale puszcza ją mimo uszu. Trivner jest jej naczelnym katem, a do tej pracy potrzeba człowieka o szczególnych predyspozycjach i sumienności. Został zatrudniony przed czterdziestu laty, czyli dużo wcześniej, nim ona została kapłanką. Niektórzy mówią, że nigdy w życiu nie widział nieba.

– Powiedz mi, co zeznał.

– Nic, kapłanko – odpowiada Trivner.

Jan Ray marszczy brwi ze zdziwienia. Wydaje się jej, że Bamore na nią patrzy, ale nie jest tego pewna. W celi jest dość ciemno, a oczy Bamore ma spuchnięte, trudno się więc domyślić, czy są otwarte, czy zamknięte.

– Nic? – powtarza, spoglądając na chudego skrybę. Ten kręci głową.

– Na początek zastosowałem powietrzne igły – mówi Trivner, a ona już wie, co będzie dalej. Wiele razy słyszała tę radosną wyliczankę tortur, którym poddawał więźniów. To poetyckie wyznanie uwielbienia do jedynej miłości na świecie. – Wprowadziłem je w kolana, łokcie i golenie. Najpierw przepuszczałem je tylko przez ciało, ale ostatni zestaw wbilem w kość. Już nigdy się ich nie pozbędzie. Każdy ruch jest dla niego męczarnią.

– Wspaniale – mówi Jan Ray. – Pospiesz się, Trivner. Potem, jeśli ci się nie uda, być może ja coś z niego wyciągnę.

Kat na moment wybuchą, ale bierze głęboki oddech i się uspokaja.

Pamiętaj, do kogo mówisz, myśli Jan Ray. Jego głos staje się bardziej rzeczowy.

– Potem zastosowałem bardziej tradycyjne formy perswazji. Zrywanie paznokci, sypanie na rany proszku ze świńskiego rogu, wprowadzanie ognistych mrówek do otworów w ciele. – Trivner powoli traci rezon, mówi coraz mniej śpiewnie. – Nikt nigdy nie wytrzymał ognistych mrówek.

– Ale wszystko na nic. – Jan Ray popada w zadumę.

Bamore nieznacznie się porusza, a nasiąknięty krwią sznur, na którym wisi, trzeszczy. Więzień kaszle i wymiotuje czarną mazią.

– Zostawcie mnie z nim samą.

Trivner próbuje protestować, ale ona ucisza go podniesioną ręką. Oczy ma zamknięte. Niech wie, że z kapłanką się nie dyskutuje.

– Poczekam na zewnątrz – mówi Trivner, jakby chciał ją pocieszyć.

– Z woli Hanharana powie mi wszystko, co powinnam wiedzieć – zapewnia Jan Ray. Kiedy jednak gruby kat i chudy skryba opuszczają śmierdzącą celę, kapłanka czuje lekki dreszcz na ciele, który świadczy, że czegoś w tym wszystkim nie rozumie.

\* \* \*

„Zostań tu”, powiedział do niej Jave. Jakby zwracał się do dziecka. Od kilku lat był jej najbardziej zaufanym kapitanem i nawet nawiązała się między nimi subtelna nić porozumienia oparta na przyjaźni, ale oczywiście o jakiegokolwiek bliskości między kapłanką a żołnierzem nie mogło być mowy. Niemniej jednak pod jego obcesowością wyczuła nutkę strachu.

– Martwi się o ciebie, idiotko – mruknęła do siebie.

Dźwięki dobiegające z zewnątrz stawały się coraz bardziej

niepokojące. Ktoś wykrzykiwał rozkazy, ktoś inny wrzeszczał z bólu. Oznaki paniki wśród ludzi, którzy wylegli na ulicę. Świst strzał i odgłos uderzeń mieczy trafiających w kamień, drewno i ciało. Przyszli po niego, pomyślała. Wzdrygnęła się i pochyliła, odciągając zasłonę.

Już kilka razy była w podobnych opałach. Osiemnaście lat temu siedziała w powozie obok Willema Marcellana, kiedy zasztyletował go zamachowiec z dysydenckiej sekty Strażników. Następnie zabójca zamierzył się na nią, ale w tym momencie jeden z Ostrzy przybił go mieczem do podłogi i na jej oczach wypatroszył. Niedawno zaś wraz z innymi kapłanami Hanharana znalazła się w centrum zamieszek między dwoma potężnymi rodami z Kantonu Mino Mont. Przez trzy księżyce Mur Marcellanów spływał krwią czterestu wichrzycieli, skazanych na śmierć za udział w rozruchach. Brutalne, wstrząsające, ale konieczne. Przelew krwi i przemoc nie były więc dla niej niczym nowym, a strach potrafiła opanować dzięki wierze. Duch Hanharana, założyciela Echo City, z radością przyjąłby ją do Jednego Echa, gdyby dziś umarła.

Nie o siebie jednak się martwiła.

Gdyby uwolnili Bamore'a i gdzieś ukryli...

Nie wolno do tego dopuścić. Bamore wiedział za dużo – był kimś więcej – a miasto nie było ani trochę przygotowane na niego i jemu podobnych. Jeśli Hanharan uśmiechnie się dziś do niej, nic takiego się nie wydarzy.

W kilka sekund ogarnęła sytuację. Niszczyciele zapewne ukryli się w tłumie i w niektórych budynkach przy ulicy, gdyż wyglądało na to, że udało im się otoczyć powóz i eskortę. Strzały nadlatywały z kilku kierunków, słyhać także było złowieszcze łups towarzyszące strzelaniu z kuszy. Trzech Ostrzy trafionych strzałami i bełtami wiło się na ziemi.



Jeden z nich krzychał. Jakie to niestosowne, pomyślała Ray. Wyglądało na to, że nawet Szkarłatne Ostrza mają braki w wyszkoleniu.

Cztery guźce także leżały na ziemi. Były naszpikowane strzałami jak poduszki na igły. Dwa z nich jeszcze się ruszały, kopiąc słabo racicami, ale zaplątane w uprząż i dyszle nie mogły stanąć na nogi. Pierwsze, co zrobili napastnicy, to upewnili się, że zwierzęta już się nie ruszą.

Tłum wpadł w panikę i próbował się wycofać, ale na pierwsze rzędy gapiów napierali ci z tyłu, którzy chcieli zobaczyć, co się stało. Ścisk uniemożliwiał ucieczkę i Jan Ray szybko się zorientowała, że muszą przystąpić do walki i ją wygrać. Od Dziesiątego Więzienia dzieliły ich dwie mile, ale równie dobrze mogło ich być dwadzieścia.

Po obu stronach ulicy znajdowały się tawerny, sklepy ze słodyczami oraz kawiarenki ze stolikami na zewnątrz, między którymi ukryło się kilku przerażonych żonglerów. W niektórych otwartych oknach na piętrze widać było ruch, gdy znajdujący się w środku Niszczyciele strzelali z łuków i kusz, przyszpilając Ostrza do ziemi. Po prawej stronie ponad dachami majaczyła bryła Muru Marcellanów i Jay Ray żałowała, że w tej chwili nie znajduje się w jego obrębie.

Jave zareagował jednak szybko i ich położenie nie było wcale beznadziejne. Kilkunastu Ostrzy otoczyło kratownicę z zakrwawionym Dalem Bamore'em, wystawiając przed siebie przetykane drutem peleryny, by się osłonić przed strzałami. Ich łucznicy odpowiadali na ostrzał, a jak wiedziała Jan Ray, należeli oni do najlepszych w mieście. Kiedy spojrzała w okno na piętrze tawerny, usłyszała krzyk i zauważyła w środku cień upadającej sylwetki. Kilku Ostrzy opuszczało drewniane żaluzje dookoła jej powozu, usiłując zamknąć ją w środku i odgrodzić od niebezpieczeństwa. Był wśród nich Jave, który spojrzał na nią ostro, gdy zobaczył, że wygląda przez okno pojazdu.

– Do środka! – warknął.

– Czy wysłałeś...?

– Oczywiście! – Kilkanaście dwójek Szkarłatnych Ostrzy na pewno już przeszukiwało okoliczne budynki, starając się dopaść ukrytych tam napastników. Kilkunastu bojowników Niszczycieli także wybiegło na ulicę i skrzyżowało miecze z żołnierzami, choć wiedzieli, że oko w oko nie mają z nimi wielkich szans. To zaniepokoiło Jan Ray. Niszczyciele na pewno nie byli samobójcami. Skoro tak wcześnie podjęli otwartą walkę, to musieli być albo zdesperowani, albo...

– Jave, oni nie powinni tak szybko ruszyć do ataku.

Kapitan Szkarłatnych Ostrzy, który właśnie spuszczał ostatnią drewnianą żaluzję, w ostatniej chwili ją przytrzymał, żeby nie uderzyła kapłanki w głowę.

– Wiem – rzucił niecierpliwie. – Grają na zwłokę. Będziemy uważać.

– Zrób wszystko, żeby go nie odbili, Jave – powiedziała, zaszokowana strachem w swoim głosie.

Wśród krzyków, wrzasków i zamieszania Jave zastygł na chwilę i posłał jej pytające spojrzenie.

– Kim on jest? – zapytał.

– Kimś, kto musi umrzeć na Murze, a wszyscy mają zobaczyć, jak umiera. – Cofnęła się w głąb powozu i pozwoliła się zamknąć. Nagła ciemność była przerażająca. Zamknąwszy oczy, Jan Ray pomodliła się do ducha Hanharana, ale nie o swoje życie. Poprosiła go, żeby ocalił życie Dalowi Bamore'owi, aby można go było ukrzyżować.

\* \* \*

– Człowiek nie powinien umierać – mówi Jan Ray – unurzany w

swoim kale i moczu. – Wyciąga z rękawa zakrzywiony nożyk i podchodzi do wiszącego mężczyzny.

– Nie musisz mi współczuć – odzywa się Dal Bamore. Głos mu się zmienił. Przed czterema dniami, kiedy ostatnim razem stał przed obliczem Rady, mówił żartobliwym tonem i bezczelnie. Teraz w jego głosie słyszeć rezygnację, ale jej nie nabierze.

Musi kilka razy przejechać nożem po sznurze, żeby go przeciąć. Gdy ostatnie naprężone włókno pęka, szybko odskakuje do tyłu. Ciało spada do wielkiej misy, rozpryskując jej śmierdzącą zawartość po kamiennej podłodze. Jan Ray z obrzydzeniem marszczy nos.

– Spójrz na siebie – mówi. – Wielki rewolucjonista, idealista, poganin.

– Nie jestem poganinem – odpowiada Bamore. Próbuje usiąść, choć ma związane ręce i szumi mu w głowie. Jan Ray zastanawia się, jak długo tak wisiał do góry nogami. Spod warstwy kału wyziera nabiegła krew. Całe ciało pokrywa zaschnięta i świeża krew. Zdaje się nie przejmować swoją nagością, ale Jan Ray z zażenowaniem odwraca wzrok. Kątem oka widzi jednak, jak stara się rozprostować nogę.

– Każę Trivnerowi ją odciąć – oświadcza. – Niejednemu przed tobą to zrobił.

Bamore chichocze i podciąga kolana, żeby oprzeć na nich podbródek. Jęczy, ale wygląda, jakby medytował, gdy wpatruje się w cienie na ścianach.

– Oddaj się pod opiekę Hanharana – proponuje mu Jan Ray. – Będzie ci łatwiej.

– W tym właśnie problem – mówi więzień. Pluje krwią, zamyka oczy, ciężko oddycha. Zaraz zemdleje, myśli Jan Ray. Prawie go

złamaliśmy, a tymczasem...

Nie wygląda na złamanego. Wcale a wcale. A kiedy zaczyna mówić, Jan Ray uzmysławia sobie, że przez te trzy dni stał się jeszcze silniejszy.

– Problem leży w potrzebie. Chcesz, żebym się oddał w opiekę Hanharana, bo to zaspokoi waszą dziwną marcellanowską potrzebę zagarniania wszystkich do swojego stadka. Musisz usłyszeć zgodę z moich ust, gdyż przeraża cię myśl, że mogę wieść wartościowe życie bez Hanharana.

– Wcale nie – odpowiada Jan Ray.

– Przeraża cię to. A mnie on do niczego nie jest potrzebny.

– Jeśli więc ma to dla ciebie tak niewielkie znaczenie, to go zaakceptuj i skończmy z tym.

– A wtedy wygracie.

– Wygramy tak czy owak. Jutro zostaniesz przewieziony do Dziesiątego Więzienia. Trzy dni później staniesz przed sądem oskarżony o herezję, za którą zostaniesz skazany na śmierć. Zawloką cię pod Mur. Wbiją młotem gwoździe w kostki i nadgarstki. W trzynastu miejscach nakłują ciało, aby zwabić jaszczurki, i zostawią, żebyś zdechł. A po śmierci wszyscy będą mogli popatrzeć na twoje gnijące truchło. Słyszałam, że niektórzy wisieli ze trzydzieści dni, zanim na tyle zgnili, by odpaść od Muru.

– I tak będę martwy, więc co to ma za znaczenie?

– Jeśli go zaakceptujesz, powiem katu, aby dźgnął cię zatrutym nożem. Będziesz martwy, zanim zejdziesz z drabiny.

– Co w tym zabawnego? – Uśmiezek błąka się po jego twarzy. Widok jest groteskowy: błyszczące białe zęby pod maską zaschniętej krwi i ekskrementów.

Jan Ray odwraca się i idzie na drugi koniec celi. Trivner porozkładał tu swoje narzędzia tortur – metalowe, kamienne, skórzane, papierowe, drewniane, kościane – oraz słoje zawierające różne żywe paskudztwa. Sam ich widok może przyprawić o nocne koszmary do końca życia. Narzędzia są nieskazitelnie czyste, a robactwo odżywione. Można się przerazić na myśl, że ktoś lubuje się w takich rzeczach. Kapłanka zastanawia się, czy Trivner ma żonę i dzieci, i ma nadzieję, że nie.

– Dlaczego ty? – pyta, biorąc do ręki długą, zaostrzoną kość. Jest pusta w środku i pełna zadziorów.

– Co dlaczego ja?

– Dlaczego Niszczyciele zaczęli się organizować wokół ciebie?

– Doprawdy?

Jan Ray po raz pierwszy słyszy zwątpienie w jego głosie. Wciąż nie patrzy na niego. Odkłada pustą kość i zamiast niej bierze nabijaną kolcami rękawicę. Każdy palec jest zakończony ostrym jak brzytwa haczykiem. Czuje dreszcz na myśl o ranach, jakie można tym spowodować.

Wsuwa rękawicę na palce, krzywiąc się, gdy czuje, że w środku jest mokra od oleju.

– Oczywiście, że tak. A to są przecież podrzędni gangsterzy mieniący się terrorystami. Nazwa, jaką sobie wybrali, mówi sama za siebie. Pragną anarchii, ale dla własnych celów. Mędrkują o sekularyzacji, ale chodzi im tylko o napchanie sobie kabzy. Twierdzą, że nie chcą wierzyć w fałszywych bogów...

– Wszyscy bogowie są fałszywi – wchodzi jej w słowo Bamore – a Niszczyciele...

– Nie! – krzyczy Jan Ray. Odwraca się i podchodzi do

zakrwawionego mężczyzny, a kiedy zamierza się na niego rękawicą, dostrzega w jego oczach coś, co wprawia ją w zakłopotanie. Haczyki wbijają się w ciało, a ona, używając całego ciężaru ciała, rozdziera mu skórę. Bamore krzyczy...

Krzyczy, ale się ze mnie śmieje, myśli Jan Ray.

...gdy haczyki rozrywają mu klatkę piersiową. Krew tryska. Dal Bamore upada na bok, a Jan Ray cofa się i ściąga rękawicę. Zniżyła się do tego, bo ją rozwścieczył, ale i dlatego, że bała się tego człowieka, odkąd stojąc przed Radą, powiedział: „Skoro Hanharan jest kroplą deszczu, to ja jestem burzą. Skoro Hanharan jest muchą, ja jestem pajakiem. A teraz uczynicie mnie swoim bogiem”.

– Jak możesz być bogiem, wisząc na Murze?! – krzyczy Jan Ray, podczas gdy krzyki Bamore’a przechodzą w kaszel.

Kiedy siada, rany na jego piersi przestają krwawić.

– Nie. – Kapłanka cofa się. Zaczyna walić w drzwi, wrzeszcząc na Trivnera, żeby ją wypuścił, i czuje, jak jej stare serce trzepocze w piersiach niczym ptaszek złapany w sidła. – Nie!

Bamore przestaje się śmiać, zamyka oczy i wykrzywia usta w grymasie. Jego rany goją się na całym ciele i zostają po nich jedynie blade smużki widoczne spod zakrzepłej krwi.

– Cokolwiek zrobicie, ludzie i tak mnie zapamiętają – mówi.

Nie wolno do tego dopuścić, myśli Jan Ray, wskakując do ciemnego korytarza.

Czterysta lat minęło, odkąd w Echo City działał ostatni czarownik.

\* \* \*

Krzyki i wrzaski wciąż narastały, a ślepotą doprowadzała Jan Ray do szału. Wydłubała więc swoim ceremonialnym nożem jeden z sęków

w drewnianej okiennicy i przez otwór popatrzyła na zewnątrz. Widziała ulicę na wprost powozu: martwego guźca, Ostrza otaczające Bamore'a i fasady domów po jednej stronie. Patrzyła jednak tylko na Bamore'a.

Nie pozwólcie mu się obudzić, pomyślała. Nie miałam pojęcia, ile mu tego podać; nie wiedziałam, jakie to jest skuteczne. Już wcześniej poruszałam się po omacku, a teraz...

Jeśli Niszczyciele dokonają niemożliwego i zdołają go uwolnić, to kto wie, co Bamore wtedy zrobi. Przyszedł do nich zarozumiały i wyniosły, z radością poddał się torturom, gdyż pozwalały mu dokonać cudownego uzdrowienia. Nie spodziewał się jednak tego, co mu zrobiłam po torturach. Jeśli zyska na czasie i dojdzie do siebie, to niewykluczone, że poczucie wyższości przejdzie u niego w żądę zemsty. A czary dla rodziny Marcellanów, mimo całej jej potęgi, były klątwą – czymś złowrogim i nieznanym.

Jeden z budynków po lewej stronie ulicy płonął. Ze środka dobiegły krzyki i z okna wypadła na ulicę spowita płomieniami postać. Dwóch Ostrzy, przeciskając się między kawiarnianymi stolikami, podeszło do niej i kiedy się upewnili, że to Niszczyciel, a nie jeden z nich, zostawili go, żeby spłonął. Krzyki umierającego szybko ucichły, ale przez jakiś czas jeszcze się ruszał.

Wyglądało na to, że jej żołnierze odzyskują panowanie nad sytuacją. Choć okrążeni, walczyli z chłodną determinacją: łucznicy metodycznie wybierali cele, a szermierze twardo stali w szyku i nie wypuszczali się ku napastnikom. Obok powozu Jan Ray widziała dwóch martwych Ostrzy, a nieco dalej trupy sześciu Niszczycieli.

Kilka strzał trafiło w powóz. W środku było ciemno, ale gdy odsunęła się od otworu wybitego przez jedną z nich, zobaczyła błyszczący grot sterczący z okiennicy. Bardzo możliwe, że używali

zatrutych strzał, musiała więc uważać.

Nożem powiększyła otwór i kiedy znowu przez niego spojrzała, akurat kilkunastu Niszczycieli zaatakowało z przeciwnego kierunku.

Skąd się tam wzięli? – pomyślała. Omal nie krzyknęła ostrzegawczo, ale Jave już biegł ze swojego stanowiska przy powozie na drugą stronę ulicy w kierunku wrogów. Czterech jego ludzi z mieczami w dłoni ruszyło za nim i starło się z Niszczycielami obok miejsca, gdzie stała grupa pilnująca Bamore'a.

Pierwszy cios Jave'a przeciął gardło jednej z wrzeszczących kobiet. Strumień krwi trysnął w powietrze. Niedługo będzie po wszystkim, pomyślała Jan Ray. Posiłki są już w drodze. Natychmiast, gdy wpadli w zasadzkę, wypuścili nietoperza z wiadomością dla żołnierzy stacjonujących w koszarach przy bramie, przez którą niedawno wyszli za Mur. Zresztą było widać, że nastąpił zwrot w walce. Choć otoczeni, żołnierze walczyli dużo lepiej niż napastnicy.

Wtedy jednak sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Niszczyciele walczący z Jave'em i jego ludźmi cofnęli się o krok przed wyciągniętymi mieczami żołnierzy i jakby nieco zmienili się na twarzy. Jan Ray nie od razu zauważyła, co się stało, i w pierwszej chwili pomyślała, że może źle widzi przez zbyt mały otwór w okiennicy. Ale nie. Jeden z Niszczycieli krzyknął, głowa zaczęła mu się trząść, a potem wpadł w szal. Rzucił się na wyciągnięty miecz, własną bronią tnąc powietrze, a drugą ręką szarpiąc kobietę, z którą walczył... a potem złapał klingę wbijającą mu się w brzuch i gwałtownie przysunął się do przeciwnika.

Kobieta cofnęła się, zapomniawszy na chwilę, że pociągnie za sobą mężczyznę, który nadział się na jej miecz. Ten moment konsternacji wykorzystał jej krwawiący i wrzeszczący przeciwnik, by uderzyć ją



pięścią w twarz. Głowa kobiety odskoczyła do tyłu, a wtedy Niszczyciel drugą ręką wbił jej swój miecz w czaszkę.

Pozostałych Niszczycieli także ogarnęło szaleństwo i przypuścili atak na Szkarłatne Ostrza. Krew tryskała, ale rany zdawały się im nie przeszkadzać. Żołnierze parowali ciosy, dzielnie walczyli, ale nie byli przyzwyczajeni do walki z takimi przeciwnikami, którzy mimo poderżniętych gardeł wciąż na nich nacierali. Nie krzyczeli już wprawdzie, ale ich wściekłość wcale się nie zmniejszała.

– Jave! – krzyknęła Jan Ray, częściowo ze strachu o kapitana, a częściowo przerażona widokiem, który zobaczyła. Obojętnie jakie bluźniercze czary uprawiał Bamore, użył ich teraz, żeby się wywinąć od niechybnej śmierci.

Jave upadł i ciął mieczem mężczyznę, który zadawał mu ciosy w ramię i twarz. Kopniakiem odrzucił go od siebie, wstał i raz za razem wbijał mu miecz w brzuch, aż wreszcie uznał, że go zabił. Zerkając na powóz, wykrzyknął jakiś rozkaz, którego Jan Ray nie dosłyszała, a potem wskazał ręką w jej kierunku. Wysła ich, żeby mnie chronili, domyśliła się. Sześciu żołnierzy otaczających Bamore'a ominęło martwego guźca i podbiegło do powozu.

– Nie! – krzyknęła. Nie wolno do tego dopuścić. – Nie! Pilnujcie Bamore'a, chrońcie więźnia! Nie mogą go uwolnić! – Ale żołnierze albo jej nie usłyszeli, albo uznali, że rozkazy kapitana są ważniejsze niż jej, w każdym razie ustawili się przy powozie, zostawiając do pilnowania Bamore'a jedynie czterech towarzyszy.

Padli kolejni walczący, trupy zasłały ulicę. Ostrza, którzy zostali ranni, w większości już nie żyli, za to część pozornie zabitych Niszczycieli wciąż się ruszała i czołgała w kierunku żołnierzy, mimo że nie mieli rąk lub nóg, ciągnęli za sobą wyprute wnętrzości... a nawet

zostali pozbawieni głowy.

Czary, pomyślała Jan Ray. Czary na ulicach Echo City!

Sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi powozu, odsuwając na bok drewnianą okiennicę. Musiała porozmawiać z Jave'em. Więzień był najważniejszy i jeśli miała stracić życie, by przeszkodzić Niszczycielom w jego odbiciu, to niech tak będzie.

Jeden z żołnierzy odwrócił się do tyłu, zobaczył ją i szeroko otworzył oczy.

Coś uderzyło ją w ramię, coś innego skoczyło na nią i przycisnęło do ziemi.

Zrobiło jej się czerwono przed oczami.

\* \* \*

Jan Ray musi się namyślić. Z krwią torturowanego mężczyzny na rękach opuszcza lochy, wspinając się po łagodnie kręconych schodach z ponad setką stopni, prowadzących na wspaniały dziedziniec znajdujący się głęboko w Górach Hanharana. Mija wielkie krzaki oxomanalii, odgania oswojone czerwone wróble, które latają jej nad głową w nadziei, że rzuci im trochę ziarna, a całe to nieskażone czarami piękno stworzył Hanharan niezliczone wieki temu. To ją najbardziej złości. Nie strach przed tym, co może oznaczać pojawienie się Bamore'a, ale smutek z powodu następstw, jakie mogą wywołać jego zdolności. Echo City jest wystarczająco cudowne i niezwykle bez czarów tego potwora, który chce tylko wypaczyć ich znaczenie.

Podchodzi do niej asystent, ale odprawia go, nawet nań nie patrząc. Pewnie już się zorientował, że coś jest nie w porządku, myśli, ale to bez znaczenia. Powinna pójść z tym do Rady, ale to nic nie da. Zaczną delibrować i zastanawiać się, roztrząsać różne możliwości, a on przez

ten czas będzie tkwił w Lochach, czekając na dogodny moment, by uciec.

Mam jedną szansę, myśli. Tylko jedną, a wszystko zależy od tego, czy on o niej wie, czy nie. Dal Bamore ma talent, ale wygląda młodo. Jan Ray nie wie, gdzie on się tego nauczył, ale więzień z pewnością nie zdradzi jej źródła. Musi więc wykorzystać przeciw niemu jego wybujałego. Z radością powitał tortury, a teraz planuje dokonać cudu ucieczki i ozdrowienia, którym wzbudzi podziw tłumu. Ona musi zaś temu zapobiec i dopilnować, żeby skończył na Murze.

Podchodzi do drzwi w rogu dziedzińca i otwiera je kluczem, który ma zawieszony na szyi. Każdy kapłan lub kapłanka nosi taki klucz, ale nikt z nich dotąd nie miał powodu, żeby go użyć. Jest dumna, że robi to pierwsza.

– W Hanharanie znajdę siłę – mówi, zamykając za sobą drzwi.

Do ściany przymocowany jest uchwyt z lampami oliwnymi. Bierze jedną z nich i zapala, kątem oka dostrzegając cienie czmychające w ciemności. Pająki i gurańskie jaszczurki. Zostawia ją w spokoju, jeśli nie okaże strachu. Bierze głęboki oddech i zaczyna litanie:

– W tobie szukam prawdy i tobie obiecuję dać z siebie wszystko. W twoich słowach słyszę historię Echo City i przysięgam być im posłuszną, dodając własne życie do dziejów, które tworzysz.

Schody skręcają na podesty wabiące drzwiami i tunelami, których krańce giną w ciemnościach. W końcu przechodzi przez ulicę poprzedniego Echa, zbudowanego przed kilkuset lat i zachowanego tu, na dole, by niczym malowidło oddawało obraz dawnych czasów. Budynki, które dostrzega, przypominają te na górze, oprócz tego, że są opustoszałe. Widzi cienie poruszające się w odwrotnym kierunku i słyszy szepty, ale na głos powtarza sobie drogę, żeby nie zapomnieć,

którędy ma iść. Przygniata ją ciężar odpowiedzialności wielki jak samo miasto i nie ma zamiaru patrzeć na zjawy ani ich słuchać.

Kilka razy nagły przeciąg, świszcząc w ciemności, o mało nie gasi jej lampy. Stara się nie zwracać uwagi na smród.

Dociera do kryjówki i kluczem otwiera następne ciężkie drewniane drzwi.

Pomieszczenie za nimi jest niewielkie i skąpo urządzone. Brudne kąty zarosły pajęczynami. W jednym końcu znajduje się stół z książkami. Na ścianie po lewej wiszą trzy półki dźwigające po dwa słoje. Na podłodze zalega gruba, nienaruszona warstwa kurzu, a książki wyglądają jak przyrosłe do stołu. Od bardzo dawna nikogo tu nie było.

Pod stołem leżą zmumifikowane zwłoki owinięte ciężkimi łańcuchami.

Ogarnia ją paniczny strach i przez chwilę nie może uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. To, co widzi – szczątki ostatniego czarownika schwytanego tutaj w pułapkę oraz rzeczy, które go zdradziły – jest zaprzeczeniem wszystkiego, co uważa za prawdę.

– Mam nadzieję, że wciąż tu jest – mówi, sięgając po słój.

\* \* \*

– Nie będziemy cię więcej torturować – oznajmia później Bamore'owi i podtrzymując mu głowę, podaje dzban. – Skonsultowałam się z Radą. Wobec nieprzyznania się do winy pójdziesz pod sąd i za trzy dni zostaniesz ukrzyżowany.

– Czy nie należałoby poczekać na wyrok?

– To formalność.

– Jesteście bardzo przewidujący. – Mimo złamanych kości twarzy

stara się uśmiechnąć. – Ja jednak nie zamierzam umrzeć na waszym Murze. – Jan Ray nie wie, dlaczego się nie wyleczył, tak jak wcześniej spowodował zagojenie swoich ran. Pewnie to jakaś perwersyjna próżność. Albo chce, żeby ludzie zobaczyli, co z nim zrobiliśmy.

– Pij w imię Hanharana. Będzie się tobą opiekował w ostatnich dniach twojego życia.

– Twój bóg? – Bamore wypija łyk napoju i wzdycha. Od kilku dni nie dostał nic do picia. – Hanharan może mi obciągnąć fiuta. – Spogląda na nią, mrugając jednym zdrowym okiem, i czeka na jej reakcję na to bluźnierstwo.

Ona jednak tylko się uśmiecha, a samozadowolenie na pokiereszowanej twarzy Bamore'a zmienia się w zakłopotanie.

\* \* \*

Jan Ray starała się nie krzyknąć. Czowała się, jakby ktoś zanurzył jej bark i ramię w ciekłym metalu, który zastygając, uwięził ból w środku. Oczy miała otwarte, bo chciała widzieć, a kiedy podniosła nóż, który wciąż trzymała w dłoni, ktoś nacisnął na jej ranę.

– Kapłanko! – dobiegł ją syczący głos. To Szkarłatne Ostrze rzucił się na nią, żeby zasłonić ją własnym ciałem. Był to młody, przestraszony głupiec, który nie zdawał sobie sprawy, że niechcący naciska na bełt sterczący jej z ramienia.

– Puść... mnie... – zdołała wycharczeć i zaraz potem ktoś go z niej ściągnął. Zobaczyła twarz Jave'a, który o dziwo się uśmiechał.

– Jan Ray, dam ci swój miecz, jeśli tak bardzo chcesz walczyć. – Pomógł jej usiąść, cały czas się rozglądając, żeby sprawdzić, czy nic im nie grozi.

Skrzywiła się z bólu, a potem rozejrzała dookoła. Niszczyciele,

którzy wpadli w amok, zostali pokonani, a między ich ciałami chodziło teraz trzech żołnierzy, dobijając tych, którzy jeszcze się ruszali. Wyglądali na wstrząśniętych, ale zachowywali się profesjonalnie. W każdym razie na pewno będą mieli o czym dziś opowiadać w koszarach.

– Co robisz na zewnątrz? – zapytał Jave.

– Idę po Bamore’a. Nie mogą go uwolnić, Jave.

– Sam poderżnę mu gardło – oznajmił wysoki kapitan.

– Nie! – Złapała go za ramię. Mrugając oczami, starała się wyjść z oszołomienia. Nadleciały kolejne strzały, ale Ostrza wyłapali je w swoje zbrojne płaszcze. Krew płynęła ulicami, gromadząc się między kostkami bruku. Tłum już się cofnął, ale dalej przy fontannie widać było jeszcze kilku ciekawskich. Jan Ray wiedziała, co niektórzy ludzie myślą o Ostrzach, i ich uśmieszki budziły w niej nienawiść.

– Żyje jeszcze? – zapytała z przerażeniem w głosie.

– Otaczają go moi żołnierze – odparł Jave, wskazując głową w dół ulicy. – Nie sądzę, żeby zabiła go jakaś zbłąkana strzała.

– Nie mogłaby. Tak samo jak twój miecz. Jave, muszę ci coś powiedzieć. To tajemnica, a gdy ci ją zdradzę, staniesz się drugą osobą, która będzie ją znała. – Strząsnęła jego ręce ze swoich ramion i oparła się o powóz.

– Wy dwaj! – krzyknął Jave do chroniących ją Ostrzy. – Idźcie pilnować więźnia!

Gdy odeszli, Jave i Jan Ray zostali sami.

– Bamore jest czarownikiem – oświadczyła.

Jave się zaśmiał.

– Czarownikiem? Takim, co to uprawia magię?

– Tak – odparła i wskazała na drżące ludzkie szczątki zasnuwane

ulicę – wszystko, co pozostało z tych dziwnych walczących w amoku Niszczycieli. Jedna z odrąbanych głów zdawała się pochylać to w jedną, to w drugą stronę, a w jej ustach widać było różowy koniuszek języka oblizujący wargi. – To jego robota.

– Widziałem gorsze rzeczy po marnym cięciu – stwierdził.

– Naprawdę?

Jave zmarszczył czoło i Jan Ray wiedziała, że jej uwierzył. Każdy inny żołnierz uznałby mnie za idiotkę, pomyślała.

– No to pozwól mi go zabić.

– On musi umrzeć na Murze! – krzyknęła. – W przeciwnym razie stanie się męczennikiem, a ludzie obwołają go bogiem. Mamy tylko jedną szansę, żeby się go pozbyć, i zamierzam ją wykorzystać.

Ktoś krzyknął. Z cienia pod markizą wyskoczył mężczyzna i rzucił się z mieczem na jednego z żołnierzy. Niszczyciel wyglądał groźnie z poprzekłuwanym i pokrytym tatuażami ciałem, ale sprawiał wrażenie przestraszonego. Mimo że toczył walkę, cały czas zerkał ponad głową żołnierza na swojego mistrza. Ostrze rozplątał mu brzuch i odskoczył, żeby tryskająca krew nie poplamiała mu butów.

– Wciąż nie możemy się ruszyć – zauważył z wahaniem Jave.

– Zamknij go ze mną w powozie.

– Oszalałaś?

– Jak śmiesz tak mówić do kapłanki Hanharana, żołnierzu? – zapytała chłodno.

Jave powoli skinął głową, ale zmienił się na twarzy. Czyżbym zepsuła coś wyjątkowego? – pomyślała Jan Ray. Było jej to obojętne.

– Przyprowadzić więźnia! – krzyknął.

Ostrza przydźwigali do powozu kratownicę z wiszącym na niej Bamore'em. Te kilkanaście kroków przebyli, lawirując między trupami

i kryjąc się za ubitym guźcem. Przez cały czas osłaniało ich pięciu łuczników. Gdy ustała walka wręcz, bitwa zrobiła się dużo spokojniejsza. Od czasu do czasu słychać było świst strzał w powietrzu, odgłos stąpania po mokrym od krwi bruku lub czyjś jęk, gdy strzała trafiała w cel. Tłum na ulicy zaczął wiwatować, ale Ostrza posłali w jego kierunku kilka strzał, zmuszając ludzi, żeby się rozpiechli i ukryli.

– Mówię poważnie, Jave – szepnęła, wsiadając do powozu. – Jego życie jest ważniejsze niż twoje i moje. Jeśli zginie tutaj, ludzie nie uwierzą w jego śmierć. Jeśli go uwolnią, wyleczy swoje rany i stanie się bogiem. Jedynym sposobem, by się go pozbyć, to wytoczyć mu publiczny proces i ukrzyżować. – W powozie było duszno, a ciemność rozświetlały jedynie ukośne promienie słońca wpadające przez dziury po strzałach.

– Wrzucie go do środka – rozkazał żołnierzom Jave.

Ostrza przecięli więzy Bamore'a i dwaj z nich złożyli bezwładne ciało do powozu.

Jan Ray wcisnęła się w kąt pojazdu. Zauważyła, że Jave na nią patrzy, i wiedziała, że jej uwierzył.

Gdy zatrzasnął drzwi, zamykając czarownika razem z kapłanką, zmaltretowany mężczyzna wyjąkał:

– Ty suko, coś ty mi zrobiła?

\* \* \*

Bamore krzyczy i rzuca się z wściekłości, kiedy kapłanka odwraca się, żeby opuścić salę tortur. Widzi jeszcze, jak czarownik na różne sposoby układa dłonie, krztusząc się, szepcze dziwne słowa i formułuje z nich niezrozumiałe dla niej zdania, rysuje na podłodze magiczne



znaki, które rozbłyskują na chwilę, nim znikną. Cienie dłoni na ścianie też są widoczne tylko przez moment, po czym szybko bledną i kurczą się, zamiast zgodnie z jego oczekiwaniami rosnać.

– Ty suko, coś ty mi zrobiła?! – krzyczy.

Jan Ray dziwi się, że w ogóle może mówić tak głośno – jedną z ulubionych tortur Trivnera jest wpuszczanie nieszczęśnikowi do gardła ognistych mrówek.

Kapłanka zatrzaskuje za sobą drzwi i krzyki więźnia cichną. Za trzy dni będzie martwy. A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nikomu nie będzie się musiała tłumaczyć.

\* \* \*

Napastnicy skoncentrowali teraz atak na powozie. Strzała za strzałą wbijały się w drewniane okiennice, robiąc kolejne dziury wpuszczające światło. Jan Ray wcisnęła się w kąt powozu, aby znaleźć się jak najdalej od czarownika. W rękę trzymała nóż, choć wiedziała, że go nie użyje. Zaczynała się bać, jak to wszystko się skończy.

\* \* \*

Nie obawiają się, że go zranią, pomyślała. Wiedzą, co potrafi – w końcu ich zjednoczył. Wiedzą, że nawet jeśli jakaś strzała go trafi, nic mu nie będzie, bo jego moc go ochroni...

Nie wiedzą jednak, co mu zrobiłam.

Jeśli Bamore teraz umrze, Niszczyciele obwołają czarownika bogiem i będą czekać na jego triumfalny powrót. Wieści o jego mocy i pogłoski o czarach rozejdą się po mieście, a wtedy na tle romantycznych dziejów Bamore'a Hanharan straci na atrakcyjności. A

przecież to Zakon Hanharana oraz jego kapłani egzekwujący prawo zapewniali miastu spokój.

– Zrobiłam z ciebie na powrót normalnego człowieka – powiedziała.  
– W każdym razie do czasu, aż zawiśniesz na Murze. Straszny z ciebie głupiec, Bamore. Beznadziejny głupiec. Myślałeś, że podłapiesz trochę wiedzy na jakiejś ciemnej ulicy i zrobisz z siebie boga?

– Nikt sam nie obwołuje się bogiem. – Splunął i jęknął, obracając się na drugi bok. – Robią to jego wyznawcy.

– Jak do tego doszło? Do tej magii, czarów... Gdzie się tego nauczyłeś?

– Niby dlaczego mam ci powiedzieć?

– Dlatego, że twoi ludzie zamierzają mnie zabić – odparła.

Popatrzył na nią jednym zdrowym okiem, lekko się uśmiechając, po czym spojrział w bok, nasłuchując odgłosów bitwy. Walka znowu przybrała na sile, toczyła się bliżej, i Jan Ray wyobraziła sobie swoich żołnierzy otaczających powóz i powstrzymujących nieprzerwany atak. Jeśli tych walczących w amoku Niszczycieli jest więcej... jeśli coś jeszcze kryją w zanadrzu...

Wkrótce jednak powinny dotrzeć posiłki.

– Niech będzie – zgodził się.

Wszyscy szaleńcy lubią się przechwalać, pomyślała Jan Ray.

– To Dotyk Śmierci, a nie magia. Silniejszy niż dawne czary. Bardziej konkretny. Widziałas te oszalone potwory na zewnątrz? To moja robota. A jeśli chodzi o to, gdzie się tego nauczyłem... – Wybuchnął upiornym śmiechem, który wydobył się z zalanych krwią płuc i zmaltretowanego torturami gardła. Jan Ray pomyślała jednak, że nawet gdyby Bamore był cały i zdrowy, jego śmiech i tak brzmiałby strasznie. Nie udało im się odkryć, kim był, zanim przyjął obecne imię.

Teraz się z tego cieszyła.

– Co takiego? – zapytała. – Gdzie?

– Pod twoim nosem – rzucił. – Nie wszyscy Marcellanowie są tacy święci, jak ci się wydaje. – Złożył ręce i spróbował rzucić następne zaklęcie Dotyku Śmierci, ale nie zdołał.

– Bez niego jesteś świńskim gównem na podszwach – stwierdziła.

Coś uderzyło w powóz, który zakołysał się na resorach. Drewno zatrzeszczało i na lewy bok pojazdu spadł kolejny grad strzał. Stukot trwał bez przerwy przez jakiś czas, jakby łucznicy wypuszczali jedną strzałę po drugiej.

– Wkrótce mnie uwolnią – rzekł. – Będę oczywiście nieprzytomny od twoich tortur, ale kiedy to, co mi zrobiłaś, minie, ocknę się i uleczę swoje rany. Gdy wszyscy się dowiedzą o twoich okrucieństwach, zastępy moich wyznawców z dnia na dzień wzrosną dziesięciokrotnie.

– Umrzesz na Murze.

Jęknął i usiadł, a kapłanka wcisnęła się głębiej w kąt pojazdu. Jest słaby, ale jeśli się na mnie rzuci...? – pomyślała. Jestem tylko starą kobietą. Na dodatek była ranna. Grot tkwiący w plecach wydawał się nadmiernie gorący i obawiała się, że mógł być zatruty. Podstępna infekcja, która nie zabije jej w kilka chwil, ale raczej w kilka dni. Czy Bamore byłby zdolny do zadania tak okrutnej śmierci? Wcale by jej to nie zdziwiło.

Z zewnątrz dochodziło coraz więcej krzyków, a potem rozległ się straszny, przeciągły wrzask, który zdawał się wydobywać z wielu gardeł.

– Aha, idą – oznajmił Bamore. – Moje dzieci nadchodzą.

Jan Ray usłyszała Jave'a krzyczącego do żołnierzy, którzy pozostali przy życiu, i raptem jego głos się załamał, a wszystko utonęło w

chaotycznej wrzawie. Krzyki i wrzaski, odgłosy mieczy siekających ciała, a potem drzwi powozu gwałtownie się otworzyły.

Pojawiła się w nich twarz Jave'a i Jan Ray omal się na niego nie rzuciła, otwierając usta, żeby zapytać, czy już po wszystkim. Wtem zobaczyła, że pod twarzą nie ma niczego oprócz tryskającej krwią, poharatanej szyi.

– Myślę, że na mnie już czas – oświadczył Bamore – ale najpierw każę jednemu z moich stworzeń zająć się twoją suchą...

Strzała przeszła mu prawy policzek, krew zalała prawe oko. Otworzył usta i wskazał ręką na Jan Ray.

Do powozu wdrapał się Niszczyciel i zerknął na kapłankę. Mężczyzna miał rozerwane gardło, odciętą niemal połowę czaszki, a mimo to nie krwawił.

Już po mnie, pomyślała Jan Ray. Podniosła nóż i przyłożyła go sobie do gardła.

\* \* \*

Nie spała tej nocy. Aby pokonać czarownika, sama posłużyła się magią – pozostałością po dawnym konflikcie, którą Hanharanowie zachowali, bo po prostu nie mogli się jej pozbyć. Nie wywołała czaru, tylko go zaaplikowała, a mimo to...

Zdradziła Hanharana, który orzekł, że to jedyna magia, jaka istnieje. Zanegowała jego pozycję jedyne prawdziwego boga. Zdezorientowana, zła, przestraszona, ale wzmocniona, na przemian śmiała się i płakała, idąc w ciemnościach.

\* \* \*

Zabili Bamore'a. Truposz zaatakował pierwszy. Rzucił się na zmaltretowanego czarownika, rąbiąc go swoim krótkim mieczem. Jan Ray patrzyła na to z zapartym tchem, próbując zrozumieć, zastanawiając się, czy naprawdę sądzą, że ich bóg wyjdzie z tego cało i będzie jak nowy. Potem truposz upadł na bok, a po nim do powozu weszła następna osoba.

Był to wysoki mężczyzna z poprzekłuwanym ciałem i tatuażami wskazującymi na wysoką rangę wśród Niszczycieli. Zerknął na Jan Ray i jej zakrwawiony miecz, a potem zaczął masakrować zwłoki Bamore'a. Ciało czarownika zamieniło się w strzęp mięsa. Mężczyzna urwał mu głowę i wyrzucił z powozu.

– Stratujcie ją! – wrzasnął. – Roztrzaskajcie i wdepczcie mózg w ziemię!

Jan Ray opuściła miecz i czekała, aż mężczyzna i ją zabije.

Kiedy się jednak odwrócił, popatrzył na nią z fascynacją pomieszaną z obrzydzeniem.

– A więc jesteś kapłanką Hanharana – powiedział. – No cóż... Nie ma na co patrzeć. Słyszałem, że zgodnie z regułą Hanharana nie wolno wam popełniać samobójstwa. – Głos mężczyzny brzmiał pusto, jakby na niczym mu nie zależało.

– Właśnie zabiłeś...

– Człowieka, który chciał zostać bogiem. – Kopnął butem makabryczne szczątki Bamore'a. – To był potwór. To, co zrobił mojemu bratu... To, co przeżyli przez niego nasi ludzie w imię jego przeklętego Dotyku Śmierci... – Mężczyzna pokręcił głową, a Jan Ray zaczęła się zastanawiać, czy drugi człowiek w powozie – teraz już nieruchomy, bo wreszcie udało mu się uciec w ramiona śmierci – był jego znajomym.

Wychyliła się z powozu i popatrzyła na ulicę. Żadnemu ze Szkarłatnych Ostrzy nie udało się przeżyć. Na środku ulicy stała grupka kobiet i mężczyzn z krwią na podbródkach i wokół ust oraz podobną pustką w oczach jak u trupa leżącego na podłodze powozu.

– Teraz mnie zabijesz, tak? – zapytała cicho.

– On nie żyje. Reszta nie ma znaczenia. Nie mogliśmy pozwolić, żebyś puściła go wolno. A mnie... chodziło tylko o zemstę. – Mężczyzna zaczął płakać. Łzy pociekły mu po wytatuowanych policzkach, ale nie zrobił nic, żeby je ukryć. Zachowywał się tak, jakby jej nie było. – Wszystkich nas zniszczył – powiedział. Rzucił miecz na ziemię i wygramolił się z powozu. Poślizgnął się na rozlanej krwi i runął jak długi. Nikt nie podszedł, żeby mu pomóc. Zobaczyła, że wszyscy się rozpierzchli, zarówno pozostali przy życiu Niszczyciele, jak i owe oszalałe bestie, które przestały walczyć i zapewne znajdą wreszcie ukojenie w śmierci.

W powozie cuchnęło, dlatego powoli z niego wysiadła, krzywiąc się z bólu, jaki sprawiała jej rana w barku. *Pod twoim nosem*, powiedział Bamore, gdy zapytała go, gdzie nauczył się posługiwać Dotykem Śmierci. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze zaufa drugiemu Hanharanowi.

Ulica tonęła w czerwieni, która jeszcze się pogłębiła, gdy na odsiecz przybyły nowe oddziały Szkarłatnych Ostrzy, żeby wziąć udział w przegranej już bitwie. A może wygranej. Jan Ray nie była pewna.

Będzie musiało upłynąć trochę czasu, zanim to zrozumie.

*Urodzony w Nowym Jorku **Robert Silverberg** należy do największych mistrzów literatury fantastycznonaukowej. Wielokrotny laureat nagród Hugo i Nebula. Pierwszą powieść, książkę dla dzieci Revolt on Alpha C, opublikował w 1955 roku, a już rok później zdobył nagrodę Hugo za najlepszy debiut. W tym samym roku ukończył też studia z literatury angielskiej na Uniwersytecie Columbia. Autor bardzo wielu książek, w tym takich klasyków, jak Umierając żyjemy, Nightwings, W dół do ziemi. W 1980 roku opublikował swoją przełomową powieść fantastycznonaukową Zamek Lorda Valentine'a rozpoczynając cykl książek o planecie Majipoor. Obecnie mieszka w regionie zatoki San Francisco z żoną Karen Haber, pisarką i redaktorką.*

## **Robert Silverberg**

### **CIEŻKIE CZASY**

### **DLA NOCNEGO TARGU**

### **W BOMBIFALE**

Interesy szły słabo tymi czasy na słynnym Nocnym Targu czarów w Bombifale i miały się coraz gorzej. Mało kto żałował tego bardziej niż Ghambivole Zwoll, licencjonowany sprzedawca magicznych mikstur i czarów: wielomackowa istota z rasy vroonów ze sterczącym dziobem i ogniście żółtymi oczami, która reprezentowała czwarte pokolenie

swojego rodu i miała piąte stoisko w pierwszym rzędzie od lewej na tyłach Nocnego Targu w Bombifale.

Dobrze pamiętał dawne wspaniałe czasy! Tłum kupców ustawiających się w kolejce po jego artykuły magiczne! Spełnianie nawet najbardziej wymyślnych życzeń klientów, pokazy cudów magicznej zręczności! Ongiś bez strachu odwiedzał najdalsze królestwa, zapuszczał się między bazyliuszki i gorgony, ziejące ogniem smoki i skrzydlate węże, przemierzał wszechświat za wszechświatem, aby przywieźć sekrety niezbędne do zaspokojenia żądań swoich nienasyconych klientów.

A dziś?

Powszechne zainteresowanie różnymi rodzajami sztuk magicznych, które zaczęło się na Majipoorze za panowania lorda koronala Prankipina, przerodziło się w ogólnoplanetarne szaleństwo za czasów jego wielkiego następcy, lorda Confalume'a. Jego amatorskie zainteresowanie magią znacznie przyczyniło się do rozwoju mody na czary, która za rządów jego bardziej sceptycznych następców, lorda Prestimiona i lorda Dekkereta, zaczęła stopniowo przygasać, i teraz, ponad sto lat od czasów Dekkereta, czary stały się zwyczajnym towarem, ni lepszym, ni gorszym niż pieprz, wino, naczynia i inne dobra powszechnego użytku. Gdy ktoś potrzebował jakiegoś czaru, udawał się po poradę do właściwego czarodzieja. Czasy, w których natrętni klienci nawiedzali czarnoksiężników o każdej porze dnia i nocy, od dawna należały do przeszłości.

Ongiś czarnoksiężka część rynku była otwarta tylko pierwszego i trzeciego Dnia Morskiego każdego miesiąca, co wywoływało u nabywców wrażenie, że muszą się spieszyć z kupnem. W ostatniej dekadzie czarodzieje z konieczności musieli otwierać sklepy co noc,



żeby w każdej chwili móc obsłużyć tych kilku klientów, którzy do nich zaglądali, a mimo to ich obroty z roku na rok malały.

Jeszcze kilkanaście lat temu Ghambivole Zwoll nie nadążał z realizacją wszystkich zamówień, jednak przed dwoma laty w czasach spadku zainteresowania wszystkimi rodzajami magii, żeby jakoś związać koniec z końcem, musiał wziąć na wspólnika Shostika–Willerona z rasy su–suherisów. Ich szkatuły szybko się opróżniały, a długi niebezpiecznie urosły, więc zaczęli rozważać zwolnienie swojego jedyne go pracownika – powściągliwej krępej kobiety z rasy skandarów, która codziennie przed otwarciem sprzątała sklep.

Z pewnym podnieceniem przyjęli więc na trzy godziny przed północą przybyłego do ich sklepu wysokiego, dumnego młodzieńca odzianego z arystokratyczną ekstrawagancją: ściśle dopasowany niebieski płaszcz z marszczonymi rękawami obszytymi złotą nicią i rozszerzonymi połami oraz kapelusz o szerokim rondzie wykonany z jakiegoś drogiego gatunku skóry.

Mężczyzna miał rude włosy i niebieskie oczy, był przystojny i energiczny. Wyglądał na przywykłego do bogactwa, ale nie tylko o to chodziło, w każdym razie Ghambivole Zwoll odniósł takie wrażenie. Błąkający się na ustach pogardliwy uśmiezek i zawadiacko przekrzywiony kapelusz zdawały się krzyczeć: Łajdak! Nicpoń! Próźniak!

Nieważne. Ghambivole Zwoll często miał ostatnio z takimi do czynienia. Póki jednak płacili rachunki, nie zamierzał troszczyć się o ich moralne niedostatki.

Paniczyk stanął w wyniosłej pozie z dłonią na błyszczącej rękoiści szpady, którą nosił na szerokim, ozdobionym wstążkami bandolierze, i zagrzmiał:

– Potrzebuję napoju miłosnego, dobra istoto. Muszę zdobyć serce pewnej wysoko urodzonej damy! Nie pożałuję grosza.

Ghambivole Zwoll ukrył radość pod maską chłodnego, rzeczowego zachowania. Spojrzał do góry – i wyżej, i jeszcze wyżej, jako że nowy klient był bardzo wysoki, a vroomowie należą raczej do niewielkich istot: sięgają ludziom co najwyżej do kolan – i rzucił ostrożnie:

– Tak, tak. Oczywiście. Mamy mikstury o różnej skuteczności i mocy. – Sięgnął po tabliczkę do pisania. – Nazwisko wielmożnego pana, jeśli wolno spytać?

Spodziewał się, że usłyszy jakiś wymyślny pseudonim, ale zamiast tego przybysz oświadczył uroczyście:

– Jestem markiz Mirl Meldelleran, czwarty syn trzeciego syna hrabiego Canzilaine.

– Rzeczywiście – rzekł Ghambivole Zwoll z pewnym zdziwieniem, jako że hrabia Canzilaine należał do najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na Zamkowym Wzgórzu. Spojrzał w drugi koniec pokoju na opartą o ścianę wysoką postać Shostika–Willerona. Od susherisa były sprzeczne emocje. Jego optymistyczna prawa głowa jaśniała zadowoleniem na myśl o potencjalnym zysku, podczas gdy na lewej, która nie lubiła takich wysoko urodzonych fircyków, malował się niesmak. Vroom posłał mu krótkie, ostre spojrzenie, dając do zrozumienia, że sam obsłuży tego klienta i nie chce, by wspólnik się wtrącał. – Będę, oczywiście, potrzebował kilku szczegółów dotyczących pańskiego zamówienia.

– Szczegółów?

– Celu, jaki wielmożny pan ma nadzieję osiągnąć. Czy ma to być tylko uwiedzenie i przelotny romans, czy też coś głębszego, prowadzącego do małżeństwa. No i informacji na temat wieku damy,

jej wyglądu, przybliżonego wzrostu i wagi, no wie pan, abyśmy mogli obliczyć właściwą dawkę. – Zaryzykował krótkie spojrzenie intensywnie żółtych oczu w nijakie oczy markiza. Najtaktowniej jak potrafił dodał: – Mam nadzieję, że wielmożny pan udzieli mi informacji na ten temat, w przeciwnym razie byłoby mi trudno zrealizować zamówienie. Jest młoda, prawda?

– Oczywiście. Ma osiemnaście lat.

– Aha, osiemnaście. – Vroon taktownie umknął spojrzeniem w bok.  
– I ma niewielkie doświadczenie seksualne, jak mniemam. Nie chcę wtrącać nosa w nie swoje sprawy, wielmożny pan rozumie, lecz aby wyliczyć...

– Owszem – przerwał mu markiz. – Nic przed tobą nie ukrywam. Jest najczystsza z dziewic.

– Ach tak – rzekł Ghambivole Zwoll.

– I obraca się w najwyższych kręgach na dworze. To lady Alesarda Muldemar, o której urodzie i inteligencji zapewne słyszałeś.

Wstrząśnięty tą wiadomością Ghambivole Zwoll za wszelką cenę starał się ukryć zainteresowanie, jakie wzbudziło w nim nazwisko damy. Nie potrafił jednak opanować drżenia swoich niezliczonych macek.

– Lady... Alesarda... Muldemar – wydukał. – Ach tak. – Ze swojego stanowiska w ciemnym kącie jego partner posłał mu wściekle spojrzenie. Na nieufnej lewej głowie malował się gniew, a i nawet zazwyczaj radosna prawa głowa wyrażała zaniepokojenie. – Oczywiście znam to imię... Lady, o ile się nie mylę, pochodzi z królewskiego rodu, prawda?

– Jest potomkinią, w szóstym pokoleniu, samego pontifeksa Prestimiona.

– Ach tak. Aha. – Ghambivole stwierdził, że wypływają na niezwykle głębokie wody. Wolał, by markiz zachował tożsamość damy dla siebie. Ale interes przede wszystkim, zwłaszcza że kasa świeci pustkami. Aby ukryć niepewność, guzdrał się ze sporządzeniem notatek na tabliczce, a gdy wreszcie podniósł wzrok, odezwał się z radością w głosie, której bynajmniej nie odczuwał: – Za tydzień pańskie zamówienie będzie gotowe. Nasze honorarium wyniesie... hmm...

Szybko, niemal desperacko, obliczył w myślach najwyższą cenę, jaką przełknąłby normalny klient, a potem ją podwoił, spodziewając się, że będą się targować.

– Dwadzieścia dukatów.

– Dwadzieścia – powtórzył beznamiętnie markiz. – Zgoda.

Ghambivole zastanowił się, co arystokrata by powiedział na trzydzieści dukatów. Lub pięćdziesiąt. Od tak dawna nie miał klientów z wysokich sfer, że zapomniał, iż takim ludziom jak markiz nie zależy na pieniądzech. No cóż, przepadło.

– Czy zadatek w wysokości pięciu dukatów będzie stanowił dla wielmożnego pana kłopot?

– Żadnego. – Mirl Meldelleran wyciągnął z sakiewki grubą, błyszczącą monetę i rzucił ją na ladę. Vroon szybko przysunął ją do siebie drżącą macką. – A więc za tydzień – rzekł markiz. – Gwarantujesz, rzecz jasna, skuteczność swojego specyfiku, czy tak?

– Oczywiście – odparł Ghambivole Zwoll.

\* \* \*

– To szaleństwo – odezwał się Shostik–Willeron, gdy za markizem Mirlem Meldelleranem zamknęły się drzwi i zostali sami. – Będziemy

zrujnowani! Księżniczka dziewczica z rodu Prestimiona, która obraca się w najwyższych kręgach na dworze, a ty chcesz ją wepchnąć do łóżka jakiemuś czwartemu synowi trzeciego syna?

– Dwadzieścia dukatów – powiedział Ghambivole Zvoll. – Wiesz, ile zarobiliśmy w ostatnich trzech miesiącach? Nawet nie jedną trzecią tej sumy. Myślałem, że będzie się targował i zejść do dziesięciu lub pięciu. A nawet trzech lub dwóch. Ale dwadzieścia... Dwadzieścia!

– Ogromnie ryzykujemy. Sprzedawcę napoju można namierzyć.

– No i co z tego? To nie my uwiedziemy młodą księżniczkę.

– Ale to wstrętne, Ghambivole! – Słowa padały z ust prawej głowy, a to dało Ghambivole'owi do myślenia, gdyż prawa głowa zawsze tryskała entuzjazmem, natomiast ostrożność zalecała lewa. – Wybatożą nas! Obedrą ze skóry!

– Jesteśmy tylko dostawcami. Chroni nas prawo handlowe. Sprzedajemy legalny towar, a to, co on chce z nim zrobić, także jest legalne, choć godne ubolewania. Dziewczyna jest pełnoletnia.

– To on tak mówi.

– Jeśli mnie okłamał, to popełnił grzech. Czy myślisz, że odważyłbym się poprosić wnuka hrabiego Canzilaine'a o oświadczenie pod przysięgą?

– Mimo to, Ghambivole...

– Dwadzieścia dukatów, Shostiku–Willeronie.

Sprzeczali się jeszcze przez kwadrans, ale w końcu vroom postawił na swoim, jak zresztą się spodziewał. Był starszym wspólnikiem, sklep należał do niego, znajdował się w jego rodzinie od czterech pokoleń, i to on, Ghambivole, znał się na czarach. Shostik–Willeron wniósł do spółki jedynie kapitał, a nie jakąś wielką wiedzę, i jeśli sklep by splajtował, su–suheris straciłby po prostu zainwestowane pieniądze.

Nie mogli sobie pozwolić na zrezygnowanie z tak lukratywnej transakcji, niezależnie od tego, jak ryzykowana by ona była.

Wspólnicy tworzyli zadziwiającą parę. Jak wszyscy z rasy su-suherisów Shostik–Willeron był wysoki i chudy, miał blade ciało zwężające się ku górze i przechodzące w rozwidloną szyję długości pół łokcia, na której osadzone były dwie bezwłose, wydłużone głowy posiadające własny rozum i tożsamość. Ghambivole był jego całkowitym przeciwieństwem: niski, ledwie sięgający partnerowi do kolan, o słabym i delikatnym ciele, z którego wychodziło mnóstwo giętkich, gumowatych odnóży oraz niewielka głowa ze sterczącym haczykowatym i ostrym dziobem, nad którym znajdowała się para wielkich żółtych oczu z poziomymi źrenicami. Zdarzało się, że na początku Shostik–Willeron o mało nie stratował małego vrona, gdy kręcili się po niewielkim zagraconym wnętrzu.

Ghambivole Zwoll był jednak przyzwyczajony do poruszania się wśród stworzeń dużo większych od siebie. Na swojej ojczystej planecie vronowie byli gatunkiem dominującym, jednakże Ghambivole urodził się już na olbrzymiej planecie Majipoor, gdzie jego przodkowie przybyli podczas wielkiej fali emigracji vronów za czasów lorda Prankipina, i jak wszyscy osobnicy jego rasy lekko i zwinnie przemykał pośród rzeszy niezgrabnych istot trzy, cztery, a nawet pięć razy wyższych od niego, i to nie tylko ludzi, ale także gadzich ghayrogów, wyniosłych su-suherisów i innych mieszkańców Majipooru aż po kudłatych, czterorękich skandarów, którzy mierzyli ponad dwadzieścia cztery łokcie. Nie onieśmiała go nawet obecność niezgrabnej i tępej skandarki, Hendai Zanzan, która poruszała się niezgrabnie po sklepie, odkurzając i przestawiając wystawione towary.

– Napój miłosny – mruknął Ghambivole Zwoll, zabierając się do

pracy nad zamówieniem. – Taki, który podbije serce wysoko urodzonej panny, szczupłej, delikatnej...

Praca wymagała solidnych przygotowań. Na prośbę Zwolla su-suheris pozdymował mu z wyższych półek różne podręczniki: porządną starą księgę zaklęć, którą Ghambivole kupił jeszcze w czasach, gdy studiował w Triggoin, mieście czarnoksiężników, zawsze przydatny *Wielki grymuar Hadina Vakkimorina*, do tego *Kompendium leków Thalimioda Gura* i wiele innych książek – zapewne więcej, niż będzie potrzebował. Ghambivole Zwoll spodziewał się, że uda mu się sporządzić napój dla markiza, opierając się na własnej wiedzy oraz nabytym doświadczeniu, i nie będzie musiał zaglądać do książek. Nie chciał jednak niepotrzebnie ryzykować. Miał cały tydzień na przygotowanie zamówienia, z którym zapewne uporałby się w jedno przedpołudnie, ale każdy błąd wynikający ze zbytnej pewności siebie miałby niechybnie przykre konsekwencje, tymczasem zaś oszałamiające wynagrodzenie w wysokości dwudziestu dukatów z nawiązką rekompensowało mu czas poświęcony na zrealizowanie zadania. W końcu i tak w nadchodzącym tygodniu nie miał zbyt wiele do roboty.

Poza tym uwielbiał grzebać w wielkich zapasach czarodziejskich materiałów, które zgromadzili jego przodkowie. Dwa stulecia zawodowego uprawiania magii uczyniły ze sklepu prawdziwe muzeum sztuki czarodziejskiej. Stał wciśnięty w daleki kąt ogromnego rynku i niełatwo go było znaleźć, ale w lepszych czasach cieszył się wielką renomą i ciągnął do niego tłum niecierpliwych klientów rozpychających się łokciami, żeby spojrzeć na półki pełne ezoterycznych proszków i olejków z niezwykłymi etykietkami, jak na przykład *Scamion*, *Thekka Ammoniaca*, *Elecamp* czy *Złota ruta*, na

rzędy oprawnych w skórę bardzo starych ksiąg lub tajemnicze narzędzia używane przez czarodziejów – ammatepile, rohille, ambiviale i verilistie – i inne podobne przyrządy, niezwykle dla laików, a użyteczne dla praktyków. Nawet dziś, w tych okropnych materialistycznych czasach, klienci Nocnego Targu, którzy przychodzili po zwyczajne rzeczy, jak miotły i kosze, bransolety i koraliki, przyprawy, suszone mięso, ser, miód i wino, często nadkładali drogi, by pójść w głąb Nocnego Rynku – który był ogromną, długą i niską podziemną pieczarą podzieloną na nieskończenie wiele wąskich alejek, z budkami czarnoksiężników wciśniętymi w najdalszy zakątek – i zajrzeć przez okno do sklepu Ghambivole’a Zwolla. Niestety w większości na tym się kończyło – na zaglądaniu. Markiz Mirl Meldelleran był pierwszym od wielu dni klientem, który przekroczył próg sklepu.

Praca przeciągnęła się prawie na cały tydzień. Ghambivole Zwoll zaszył się w swoim niewielkim, przystosowanym do wzrostu vroona laboratorium na zapleczu, sporządzając receptury, wyliczając proporcje składników, mierząc, ważąc i mieszając: dobra gatunkowo brandy z Gimkandale jako podstawa, następnie wysuszony korzeń ghumby, szczypta sfermentowanego hingamortu, kilka kropel nalewki z vejloo i dosłownie kawałeczek skórki morskiego smoka, niekoniecznie wymaganej, ale przyspieszającej działanie takich napojów. Odstawić na chwilę, żeby się wymieszało, po czym podgrzać, schłodzić, przefiltrować, wykonać miareczkowanie i analizę widmową. Tymczasem Shostik–Willeron stał za ladą, obsługując przypadkowych klientów, niespodziewanie licznych: ghayroga, który wpadł po kilka amuletów, dwóch turystów z Ni–moi, którzy weszli do środka z czystej ciekawości i zdecydowali się kupić kilkanaście czarnych świec



wróźebnych, i kupca zbożowego z któregoś z miast na zboczu wzgórza poszukującego zaklęcia na wywołanie śnieci zbożowej na polach jednego ze swoich dostawców, bo nie mógł go już ścierpieć. Trzy transakcje w jeden tydzień i na dodatek zamówienie markiza!

Ghambivole zaczął nawet wierzyć, że zaczyna wracać dawna koniunktura.

\* \* \*

Pod koniec tygodnia napój był gotowy, choć w pewnym momencie znaleźli się o włos od katastrofy. Jednego wieczora Ghambivole Zwoll przyszedł popracować w swoim laboratorium i zobaczył, jak olbrzymia skandarska sprzątaczką, Hendaya Zanzan, czyści mopem jego pracownię na zapleczu, gdzie zostawił rząd probówek ze składnikami do napoju markiza. Z niedowierzaniem patrzył, jak ogromna kobieta, o wiele za duża, by wcisnąć się do jego pracowni, stoi w drzwiach do niej i energicznie jeździ mopem po podłodze od ściany do ściany, stwarzając zagrożenie dla wszystkiego, co znajduje się w środku.

– Przestań! – wrzasnął. – Co robisz, idiotko?! Ile razy ci mówiłem... Przestań! Dość!

Kobieta zamarła i chwiejąc się niepewnie, popatrzyła na niego z góry. Przekładała rączkę mopa między swoimi czterema rękami.

– Ależ panie, nie sprzątałam tam od wielu tygodni...

– Przecież powiedziałem ci, żebyś nigdy nie sprzątała tego pokoju. Nigdy! Nigdy! A tym bardziej teraz, kiedy pracuję.

– Nigdy, panie?

– Och, aleś ty głupia. „Nigdy” znaczy ani razu. Zabieraj stąd ten swój idiotyczny mop! Dotarło do ciebie, Hendayo Zanzan?

Trochę potrwało, zanim przetrwała polecenie.

Stała z opuszczonymi czterema rękami, tymczasem jej ciężki proces myślowy objawiał się wykrzywianiem i zaciskaniem ust. Ghambivole Zwoll czekał, starając się opanować gniew. Wiedział, że w wypadku Hendai Zanzan złość niewiele pomoże. Kobieta była kretynką – wielką włochatą kupą głupoty, tępym kudłatym stworzeniem wysokim na cztery łokcie i tak samo szerokim, w zasadzie niewiele różniącym się od zwierzęcia. Nie tylko głupia, ale także brzydka, nawet jak na skandarę, o płaskiej twarzy i pustym wzroku, opadniętej szczęce, od stóp do głów pokrytej zwierzęcą szorstką szarą skórą, śmierdzącą starym trupem długo gnijącym na słońcu. Ghambivole Zwoll nie miał pojęcia, dlaczego właściwie ją zatrudnił – pewnie było mu jej żal – i czemu jeszcze jej nie zwolnił. Sklep trzeba od czasu do czasu odkurzyć, ale zatrudnienie kogoś tak wielkiego jak skandar do sprząwania tak niewielkiego zagraconego pomieszczenia zakrawało na szaleństwo, zwłaszcza że Shostik–Willeron nie miał wiele do roboty i mógł się zająć gospodarstwem. Dzięki dwudziestodukatowemu zleceniu od markiza Mirla Meldellerana Ghambivole Zwoll mógł się jeszcze wstrzymać ze dwa tygodnie z jej zwolnieniem. Wolał się nie spieszyć, gdyż pozwalało mu to wymigać się od nieprzyjemnego obowiązku, a zwykle starał się odkładać takie sprawy na później. Gdyby jednak interes znów zaczął iść źle...

– Mam nigdy nie wchodzić do tego małego pokoju – wykrztusiła wreszcie. – Czy tak, panie?

– Bardzo dobrze, Hendayo Zanzan! Bardzo dobrze. Powtórz raz jeszcze: Nigdy. Nigdy.

– Nigdy mam nie wchodzić. Do małego pokoju. Nigdy.

– A „nigdy” oznacza...

– Ani razu?

Pominał milczeniem pytający ton w jej odpowiedzi. Wiedział bowiem, że nic więcej od tego biedactwa nie uzyska. Pozwolił więc jej odejść i wszedł do pracowni, zamykając za sobą drzwi. Wystarczyła mu godzina, żeby dokończyć ostatecznego miareczkowania napoju dla markiza. Pracując, słyszał, jak su-suheris krząta się po sklepie, rozmawia z kimś, a potem bezsensownie przesuwa meble z kąta w kąt. Na koniec zaczął gwizdać w ulubionym przez jego rasę dwugłowym kontrapunkcie, czym doprowadzał Ghambivole'a Zwolla do szału. Ależ z niego bezużyteczny głupiec! Nie tak tępy, oczywiście, jak skandarka, ale nie miał owego bystrego rozumu i przebiegłości, które podobno posiadają su-suherisowie dzięki swoim dwóm głowom. Ghambivole Zwoll rozpaczliwie potrzebował kapitału na bieżące wydatki sklepu, inaczej nigdy nie przyjąłby go na wspólnika, co bezsprzecznie potępiłby przodkowie. Gdyby tylko interesy zaczęły iść trochę lepiej, z pewnością wykupiłby udziały Shostika-Willerona i na powrót stał się wyłącznym właścicielem sklepu. Wiedział jednak, że to próżne marzenia.

Krzywiąc się z niezadowolenia, Ghambivole Zwoll wlał gotowy napój do eleganckiego flakonu, odpowiedniego dla dwudziestodukатовej zawartości, i na welinowym papierze napisał właściwe zaklęcie.

Umówionego dnia markiz Mirl Meldelleran przybył do sklepu ubrany jeszcze zbytkowniej niż ostatnio. Miał na sobie wysoko wcięty kubrak z pomarańczowego welwetu, złote bryczesy z długimi nogawkami ozdobione plecionkami i guzikami oraz zawiązaną w wielką kokardę szeroką jedwabną szarfę, do której miał przypiętą paradną szpadę o wąskiej klindze.

– To jest ten napój? – zapytał, trzymając flakon przy świecącej kuli

wiszącej nad jego głową i uważnie się w niego wpatrując.

– Musi pan sprawić, żeby patrzyła na wielmożnego pana, kiedy go wypije – poinstruował go vroom. – A to są słowa, które musi wielmożny pan wypowiedzieć, gdy będzie go piła – dodał, podając markizowi zwój welinowego papieru.

– *Sathis pephoouth mouraph anour?* – Markiz zmarszczył brwi. – Co to za bzdury?

– Żadne bzdury, ale magiczne zaklęcie. Znaczy ono: „Niech będzie do mnie dobrze usposobiona, niech się we mnie zakocha, niech mi ulegnie”. A trzecie słowo wymawia się *mouroph*. Musi się pan tego dobrze nauczyć, bo napój nie zadziała. Gorzej, może wywołać efekt przeciwny do zamierzonego. Niech wielmożny pan powtórzy raz jeszcze: *Sathis pephoouth mouroph anour*.

– *Sathis pephoouth mouroph anour*.

– Doskonale! Ale proszę je przećwiczyć wiele razy przed zastosowaniem na swojej wybrance. Bez namysłu rzuci się panu w ramiona. Gwarantuję to wielmożnemu panu.

– Bardzo dobrze. *Sathis pephoouth mouraph anour*.

– *Mouroph*, wielmożny panie.

– *Mouroph. Sathis pephoouth mouroph anour*.

– Już jest pańska, wielmożny panie.

– Mam nadzieję. A to dla ciebie. – Markiz wyjął wypchaną sakiewkę i niedbale rzucił na ladę dwie monety: grubą dziesięciodukatówkę i błyszczącą piątkę. – Życzę dobrego dnia. I niech Najwyższy ma cię w swojej opiece, jeśli mnie oszukałeś! *Sathis pephoouth mouraph anour. Mouroph. Mouroph*. – Z gracją obrócił się na pięcie i wyszedł.

\* \* \*

Trzy dni upłynęły w spokoju. Ghambivole Zwoll sprzedał w tym czasie dwa drobne przedmioty: pierwszy za koronę pięćdziesiąt, drugi za nieco mniejszą kwotę. Poza tym sklep nie miał innych obrotów. Wierzycciele z miejsca rozdrapali dwadzieścia dukatów od markiza Mirła Meldellerana i vroom znów pogрузił się w ponurych rozmyślaniach, jak przed wizytą arystokraty.

Wieczorem drugiego z owych trzech dni Shostik–Willeron spóźnił się do pracy, a kiedy wreszcie dotarł do sklepu, jego obie długie blade twarze wyrażały niepokój balansujący na granicy rozpacz.

– Ostrzegałem cię, że robisz wielki błąd! – zawołał od progu. – Miałem rację! – Mówiła druga głowa – ta zazwyczaj radosna i optymistyczna.

Ghambivole Zwoll westchnął.

– Co się stało?

– Rozmawiałem ze swoim krewniakiem, Sagamornem–Endikiem, który usługuje na zamku. Czy wiesz, że na dworze mówią, iż lady Alesarda Muldemar, którą swoim narkotykiem tak beztrąsko wepchnąłeś w łapy tego żalósnego dandysa, jest przyrzeczona synowi lorda koronala? I że stając na przeszkodzie temu małżeństwu przez zepsucie dziewictwa szlachetnej księżniczki, twój markiz ociera się o zdradę? A my, jako podżegacze do zbrodni...

– To nie zbrodnia.

– Pewnie, przespać się z pomywaczką lub jakąś niepiśmienną żonglerką nie jest zbrodnią, ale inna sprawa, gdy czwarty syn trzeciego syna jakiegoś prowincjonalnego hrabiego uwodzi szlachciankę, która ma być królewską oblubienicą, wtrąca się ze swoimi obleśnymi żądzami do tak delikatnych negocjacji, a ktoś umożliwia mu dokonanie tego niecnego uczynku albo pomaga delikwentowi zrobić z nią, co

chce... Och, Ghambivole, cała nadzieja w tym, że twój napój okaże się nic niewartą lurą! W przeciwnym razie twój markiz jest skończony, a my razem z nim.

– Nawet jeśli napój zadziała – odezwał się Ghambivole Zwoll najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć – nikt przecież nie musi się dowiedzieć, co zaszło między markizem a księżniczką. A jeśli zadziała i sprawa się wyda, to markiz sam będzie musiał ponieść konsekwencje swojego czynu. My jesteśmy tylko kupcami, których chroni prawo. Jeśli jednak napój nie zadziała – a nie widzę powodu, żeby tak się miało stać, chyba że markiz pomyli zakłęcie – będziemy musieli mu zwrócić dwadzieścia dukatów. Skąd weźmiemy dwadzieścia dukatów, Shostiku–Willeronie? Wyczarujesz je z powietrza? Spójrz tutaj. – Otworzył szufladę kasy stojącej na ladzie. – Tyle z nich zostało. Trzy dukaty, dwie korony i sześćdziesiąt... przepraszam, siedemdziesiąt wag. Reszta się rozeszła. Módlmy się, żeby napój zadziałał, choćby dla własnego dobra.

– Księżniczka Muldemar, potomkini wielkiego Prestimiona, dziewczę piękne, czyste, niewinne, zaręczone z synem koronała...

– Dość, Shostiku–Willeronie. Z tego, co wiemy, teraz jest równie czysta jak ta skandarska krowa, która u nas pracuje, i każdego na zamku, od koronała po najmarniejszego ciurę, guzik to obchodzi. Nawet jeśli ta bajka o królewskich zaręczynach jest prawdziwa. A kto nam zaręczy, że jest? Tak mówi tylko ten twój krewniak. Nam nic nie grozi. Naszym obowiązkiem jest służyć społeczeństwu swoimi umiejętnościami i tak robimy. Nie ponosimy odpowiedzialności za to, że nasi klienci wtrącają się w nie swoje sprawy. Tak czy owak nic nie wskórasz, marudząc. Co się stało, to się nie odstanie. – Ghambivole Zwoll machnął mackami z zewnętrznego pierścienia. – Idź do domu.

Grasz mi na nerwach tym gadaniem.

Nerwy vrona były istotnie napięte jak postronki, choć próbował robić dobrą minę do złej gry. Gorzko żałował, że Mirl Meldelleran zdradził mu tożsamość swojej ukochanej. Wystarczyłby mu jej wiek, waga i wzrost oraz być może jakieś sugestie dotyczące jej doświadczenia w miłosnych igraszkach. Ale nie. Ten bufon Mirl Meldelleran musiał mu oprócz tego powiedzieć jej imię. A jeśli w plotce o królewskich zaręczynach jest choć ziarno prawdy i zaloty markiza w jakiś sposób im przeszkodzą, a to, jak tego dokonał, wyjdzie na jaw, to obawy Shostika–Willerona nie będą wcale przesadzone. Rozpęta się awantura, a mag, który sporządził haniebny napój, zostanie w niej kozłem ofiarnym. Ghambivole Zwoll był pewny, że jeśli zostanie postawiony przed sądem, prawo opowie się za nim, ale honorarium, jakiego zażąda adwokat za obronę przed rozwścieczonym księciem Muldemarem, lub nawet przed synem koronała, to nie będą byle jakie drobniaki i znajdzie się na granicy bankructwa.

Teraz jednak nic nie mógł na to poradzić. Napój został sporządzony oraz dostarczony, i według wszelkiego prawdopodobieństwa spożyty, czyli tak jak powiedział: co się stało, to się nie odstanie. Mógł tylko czekać na następstwa. Sporządził sobie eliksir na uspokojenie, a gdy po jakimś czasie specyfik zadziałał, wrócił do pracy, nie myśląc już o całej sprawie.

Następnego wieczora, na pół godziny przed oficjalnym otwarciem Nocnego Targu, Ghambivole Zwoll z chmurną miną sprawdzał rachunki. Nagle usłyszał jakieś hałasy w przedsionku, krzyki, po czym ktoś załomotał pięścią w drzwi. Ghambivole popatrzył przez zmatowiałą od upływu czasu szybę i zobaczył za drzwiami groteskową postać markiza Mirła Meldellerana.

Markiz wyglądał na wściekłego i wymachiwał szpadą na wszystkie strony. Ghambivole Zwoll nigdy wcześniej nie widział nikogo z dobytą szpadą, nie mówiąc już o tym, żeby wymachiwano mu nią przed dziobem. Była to szpada paradna, misternie wykonana, służąca raczej do ozdoby – na Majipoorze dawno minęła moda na normalne pojedynki – ale wyglądała na całkiem ostrą i Ghambivole Zwoll nie miał wątpliwości, że mogłaby mocno pokiereszować jego delikatne drobne ciało.

Był sam w sklepie. Skandarka skończyła już sprzątać i wyszła, a Shostik–Willeron jeszcze nie przyszedł. Co robić? Zgasić światło, schować się pod stół? Nie. Markiz już go zauważył. Włamię się do środka. A to pociągnie jeszcze większe koszty.

– Jeszcze zamknięte, wielmożny panie – powiedział vroom przez zamknięte drzwi.

– Wiem. Nie mam czasu! Wpuść mnie.

Ociągając się, Ghambivole Zwoll powiedział:

– Jak pan sobie życzy, wielmożny panie.

Markiz Mirl Meldelleran wszedł do sklepu i stanął przy drzwiach. Biła od niego złość, złość i jeszcze raz złość. Vroom podniósł głowę, żeby spojrzeć na stojącą nad nim postać, i gestem dał delikatnie do zrozumienia, że dobytą szpada trochę mu przeszkadza.

– Napój zadziałał, mam nadzieję – odezwał się łagodnie.

– Owszem, do pewnego momentu. Ale tylko do pewnego momentu.

Markiz bez zwłoki rozpoczął opowieść. Podał lady Alesardzie napój, który panna ufnie wypila, i nawet zdołał poprawnie wypowiedzieć zaklęcie. Napój zadziałał nad podziw dobrze: lady Alesarda natychmiast poczuła gorącą namiętność, a markiz Mirl Meldelleran poprowadził ją do łóżka, gdzie spędzili tak upojną noc, jakiej nie



wyobrażał sobie nawet w najśmielszych marzeniach.

Ghambivole Zwoll podejrzewał, że to nie koniec opowieści, i się nie pomylił. Gdy bowiem następnego wieczora markiz znowu przyszedł do rezydencji księcia Muldemara, oczekując nowych doznań erotycznych, tak wspaniale rozpoczętych dzień wcześniej, został nieoczekiwanie chłodno odprawiony. Lady Alesarda nie życzyła go sobie widzieć ani tego wieczora, ani następnego, ani żadnego innego po kres wszechświata. Zażądała także ustami posłańca, żeby markiz Mirl Meldelleran nawet nie patrzył w jej stronę, gdyby przypadkiem znaleźli się razem w towarzystwie, co było dość prawdopodobne, zważywszy że obracali się w tych samych kręgach młodych arystokratów Zamkowej Góry.

– To było – krzyknął markiz, ledwie tłumiąc wściekłość – najbardziej poniżające doświadczenie w moim życiu!

– Ale wielmożny pan zażyczył sobie, żebym mu pomógł, jak to pan powiedział, spędzić upojną noc z najbardziej podniecającą kobietą wszystkich światów – rzekł Ghambivole Zwoll. – Jakkolwiek na to patrzeć, dzięki moim umiejętnościom to właśnie wielmożny pan osiągnął.

– Zależało mi na długim związku. Z całą pewnością nie oczekiwałem odprawy po jednej nocy. Co mam sobie myśleć? Że kiedy zastanowiła się nad tamtą nocą, uznała moje uściski za coś obrzydliwego, coś odrażającego, coś, co zostawiło w jej pamięci same złe wspomnienia, o których jak najszybciej chciałaby zapomnieć?

– Słyszałem opowieści, że lady została przyrzeczona wielkiemu księciu ze Wzgórza Zamkowego – rzekł vroom. – Może kiedy czar prysł, pomyślała o swych zobowiązaniach wobec księcia i ogarnęły ją wyrzuty sumienia, poczucie winy i wstydu?

– Miałem nadzieję, że po nocy spędzonej ze mną straci zainteresowanie tą osobą.

– Mogło się tak zdarzyć, wielmożny panie, wszelako napój został tak przyrządzony, żeby uległa panu po jego wypiciu, i tak też się stało. Mógł, ale nie musiał działać po wydaleniu z organizmu.

Kiedy mówił, za markizem otworzyły się drzwi i do sklepu wszedł Shostik–Willeron. Wzrok su–suherisa szybko przeskoczył z Ghambivole’a Zwolla na markiza Mirla Meldellerana i od markiza na jego obnażoną szpadę, a potem na jego twarzy pojawił się wyraz straszliwego przerażenia. Vroon dał mu znak, żeby zachował spokój.

– Literatura jest pełna opisów takich przypadków – zauważył Ghambivole Zwoll. – Na przykład opowieść o Lisinamondzie i księciu Ghornie, w której książę, zdobywszy wreszcie po długich zabiegach miłość swojego życia, odkrywa, że...

– Oszczędź mi poetyckich cytatów – przerwał mu markiz. – Nie uważam, żeby podbój na jedną noc, po którym następnego dnia następuje lodowate odrzucenie, wypełniał naszą umowę. Żądam pełniejszej satysfakcji.

Satysfakcji? O co mu chodzi? Pewnie o pojedynek? Przerażonemu Ghambivole’owi Zwollowi na chwilę mowę odjęło. Moment ciszy wykorzystał Shostik–Willeron i wystąpił naprzód.

– Z całym szacunkiem, wielmożny panie – powiedział – ale muszę zwrócić panu uwagę, że mój partner nie zobowiązał się do niczego więcej ponad to, że napój zapewni panu względy damy, a wszystko wskazuje na to, że...

Markiz Mirl Meldelleran odwrócił się do niego i machnął mu szpadą tuż przed nosem.

– Milcz, potworze, bo ci obetnę głowę. Tylko jedną, rozumiesz?

Będę tak dobry i pozwolę ci wybrać którą.

Shostik–Willeron cofnął się w cień i już się nie odzywał.

– Tak więc uważam, że nie dotrzymałeś warunków umowy – podjął markiz.

– Zwrot pieniędzy, milordzie, byłby dla nas bardzo trudny...

– Nie obchodzi mnie zwrot pieniędzy. Przyrządzisz mi drugi napój. Mocniejszy, dużo mocniejszy, taki, który usunie z jej umysłu pamięć o innych uczuciach i na zawsze zwiąże ją ze mną. Przyrządzisz mi go, a ja znajdę sposób, by jej go podać. Wszystko dobrze się skończy, a nasze rachunki zostaną wyrównane. Co ty na to, czarowniku? Potrafisz to zrobić?

Vroon przez chwilę namyślał się nad odpowiedzią. Shostik–Willeron miał rację. Od początku wiedział, że ma rację. Nie powinni byli pakować się w ten brudny interes. I nie powinni dalej w to brnąć. Jak wszyscy czarnoksiężnicy potrafił trochę przewidywać przyszłość i to, co zobaczył w przypiływie jasnowidzenia, nie wyglądało zachęcająco. Niezależnie od tego, czy prawo mieli po swej stronie, czy nie, wielcy panowie ze Wzgórza Zamkowego najprawdopodobniej wystąpią przeciwko nim, a jeśli nieobliczalny markiz nie przestanie się uganiać za lady Alesardą, to prędzej czy później ściągnie ich zemstę nie tylko na siebie, ale i na tych, którzy mu pomagali.

Z drugiej strony ta możliwość była na razie dość abstrakcyjna, przynajmniej w porównaniu z ostrą i błyszczącą realnością szpady w dłoni markiza Mirla Meldellerana. Wielcy panowie ze Wzgórza Zamkowego byli daleko, a broń markiza blisko. To wystarczyło vroonowi, żeby mimo oczywistego ryzyka spełnić jego żądanie.

Z niebieskich oczu biła groźba.

– No to jak będzie, mały czarowniku? Zrobisz to czy nie?

– Chyba tak, jaśnie panie – odpowiedział słabym głosem vroom.

– Dobrze. Na kiedy?

Ghambivole Zwoll ponownie się zawahał.

– Za osiem dni? Może dziewięć? Zadanie nie należy do najłatwiejszych, a jak miemam, wielmożnemu panu zależy tylko na pełnym sukcesie. Muszę sięgnąć do różnych źródeł. I niewątpliwie będę potrzebował bardzo wielu rzadkich składników, które niełatwo zdobyć.

– Osiem dni – oświadczył markiz Mirl Meldelleran. – Ani godziny dłużej.

\* \* \*

Przyrządzenie tak silnego napoju, dużo mocniejszego od pierwszego, było oczywiście wykonalne. Co prawda upłynęło wiele lat od ostatniego razu, kiedy Ghambivole Zwoll robił coś takiego, ale dobrze pamiętał recepturę. Wymagała niezwyklej dokładności, a także, jak wspomniał markizowi, pewnych rzadkich i drogich składników: znów będą musieli się zwrócić do lichwiarzy, żeby pokryć wydatki.

Nie mieli jednak wyboru. Shostik–Willeron miał rację, że mieszanie się w romanse arystokratów oznacza narażanie się na wielkie niebezpieczeństwo. Małżeństwo koronala z księżniczką Muldemar z pewnością wynikało nie tyle z miłości, ile politycznej intrygi i biada temu, kto dla własnych niecznych celów próbowałby pokrzyżować te plany. Mimo to Ghambivole Zwoll wciąż się ludził, że ewentualne konsekwencje wtrącania się w tę sprawę spadną na markiza Mirla Meldellerana, a nie na skromnych właścicieli mało ważnego sklepiku z artykułami magicznymi mieszczącego się na Nocnym Targu. Bardziej realne niebezpieczeństwo, powtarzał sobie, stanowi dla nich

niekontrolowany gniew lekkomyślnego, sfrustrowanego markiza niż coś tak mglistego jak niezadowolenie wielkich panów z zamku.

Shostik–Willeron ponuro zgodził się z jego argumentami. I tak zaciągnęli nową pożyczkę, która pograżyła ich niemal w takich samych długach, jakie mieli, zanim markiz i jego dwudziestodukatowe zlecenie pojawili się, na nieszczęście, w ich życiu. Ghambivole Zwoll zamówił u swoich dostawców cenne zioła, eliksiry i proszki, kości jednego stworzenia, krew drugiego, sok z tego drzewa, nasiona tamtego, kilkanaście rodzajów napojów, galiuk, krucze piwo, pajęczą sałatę, ireżynę, dziką pietruszkę, zmijową truciznę oraz fenkuł i niecierpliwie czekał, aż zaczną przychodzić, by przystąpić do odmierzania, ważenia, mieszania i próbowania. Bardzo wątpił, czy dostanie wszystko przed upływem ośmiu dni, i po prawdzie od początku nie wierzył, żeby to był realistyczny termin, ale markiz się uparł i tyle. Vroon miał nadzieję, że za osiem dni, kiedy arystokrata przyjdzie po odbiór napoju i dowie się, że wciąż nie jest gotowy, zobaczy przynajmniej, że czarownik bardzo się stara, i zgodzi się poczekać cierpliwie jeszcze trochę.

Nadszedł ósmy dzień, wybiła północ i targ został otwarty. Tak jak się Ghambivole Zwoll spodziewał, specyfik nie był jeszcze gotowy, ale ku jego zdumieniu markiz Mirl Meldelleran nie zgłosił się po jego odbiór. Trudno było uwierzyć, żeby zapomniał, zatem jakaś ważna sprawa musiała mu przeszkodzić w dotarciu ze wzgórza do Bombifale i odebraniu towaru tej nocy. Dobra nasza, pomyślał vroon.

Markiz nie pojawił się także dziewiątej nocy, której Ghambivole Zwoll prawie już skończył pracę nad specyfikiem. Następnego popołudnia, dzięki temu, że przez cały dzień pracował, nie zmrużywszy oka, vroon mógł dodać do flakonu kilka kropel ostatniego składnika i zobaczyć, że napój przybiera pożądany połyskliwie bursztynowy kolor

– z pasemkami szkarłatu i zieleni – co oznaczało koniec pracy. Gdyby markiz zgłosił się tego wieczora po napój, Ghambivole Zwoll mógłby mu go dać. Tym razem nie miałby powodu do narzekań. Nowy napój był tak silny, że nie trzeba było nawet wypowiadać zaklęcia, tak więc wysoko urodzonemu prostakowi odpadał wysiłek nauczania się na pamięć kilku słów w obcym języku. Ghambivole Zwoll miał nadzieję, że prostak będzie mu za to wdzięczny.

Na kilka godzin przed północą i otwarciem targu Ghambivole Zwoll siedział sam w sklepie, cały spięty, marząc, żeby mieć wreszcie ten niebezpieczny interes za sobą.

Parę minut później usłyszał jakiś hałas dobiegający z przedsionka: głosy sprzeciwu strażników, czyjąś gniewną odpowiedź i znowu protest dozorców. No cóż, pomyślał vroom, zdaje się, że markiz Mirl Meldelleran w końcu przybył i jak to ma w zwyczaju, na siłę stara się dostać na targ poza godzinami otwarcia.

Tym razem jednak hałasu na zewnątrz nie narobił markiz. Drzwi do sklepu Ghambivole'a Zwolla otworzyły się gwałtownie i do środka wtargnęło dwóch krzepkich mężczyzn w porządnych welwetowych liberiach z Rubinem Muldemarów błyszczącym na lewym ramieniu – wielkim czerwonym kamieniem, który był dobrze znanym emblematem domu wielkiego księcia. Mieli doskonałą broń: nie żadne fircykowate paradne szpady, ale wielkie, błyszczące, groźnie wyglądające szable.

Ghambivole Zwoll natychmiast zrozumiał, co się stało. Któraś ze służących Muldemarów wyznała lub została zmuszona do wyznania, że ktoś złożył jej pani zakazaną nocną wizytę. Od słowa do słowa, cała prawda wyszła na jaw, w jakiś sposób odkryto nazwisko czarownika, który maczał w tym palce, a teraz te zbiry przyszły się zemścić w

imieniu swego księcia.

To, jak na niego patrzyli, nie pozostawiało co do tego żadnych wątpliwości. Jednakże po ich zachowaniu widać było także, że mimo groźnej postawy czują się trochę nieswojo, jakby się obawiali, że czarnoksiężnik użyje przeciwko nim jakichś ciemnych mocy. Gdybyż tylko mógł! Przeklinał ich za głupotę, wielki bezużyteczny wzrost oraz wagę i w ogóle za ich obecność w swoim sklepie. Co im strześliło do głowy, pomyślał Ghambivole Zwoll o swoich przodkach, by osiedlić się na tej planecie prostackich przerośniętych bęcwałów?

– Czy mag Ghambivole Zwoll to ty? – zagrzemiał większy z nich tonem nie znoszącym sprzeciwu i lekko wysunął z pochwy wielką szablę.

Ghambivole Zwoll, którego ogarnął strach tak wielki jak nigdy w życiu, oparł się plecami o biurko. Gdyby tylko mógł użyć jakichś czarów, aby wyrzucić ich za drzwi, byłby to zrobił. Gdyby mógł. Ale władał jedynie łagodną mocą, a przeciwko sobie miał dwóch zwalistych zbirów i bał się nawet poruszyć.

– Tak, to ja – wymamrotał, szykując się na śmierć.

– Księżę Muldemar będzie z wami rozmawiał – oświadczył złowieszczo wielkolud.

Księżę Muldemar? Tutaj, na targu, w sklepie Ghambivole'a Zwolla? Piąty lub szósty arystokrata królestwa?

Niemożliwe. Niewiarygodne. Równie dobrze mógłby powiedzieć: Przyszedł koronał i chce się z tobą zobaczyć. Albo pontifex. Albo Pani z Wyspy.

Wielcy zbrojni rozstąpili się i do środka wszedł złotowłosej mężczyzna pod pięćdziesiątkę, niski i szczupły, ale o szerokich ramionach i królewskiej postawie. Usta miał wąskie i mocno

zaciśnięte, twarz pociągłą. Mogła to być nawet ta sama twarz, którą Ghambivole Zwoll tak często widywał dawno temu na monetach – twarz królewskiego przodka księcia Muldemara sprzed pięciu pokoleń, wielkiego władcy Prestimiona.

Z intensywnie zielononiebieskich bystrych oczu księcia bił gniew.

– Sporządziłeś napój miłosny pewnemu mało ważnemu paniczykowi ze Wzgórza Zamkowego – rzekł.

Nie zapytał, ale stwierdził fakt.

Ghambivole'owi Zwollowi świat zawirował przed oczami. Cały się trząsał.

– Mam licencję, miłościwy panie, na zaspokajanie potrzeb społecznych.

– W granicach rozsądku. Zdajesz sobie sprawę, że daleko wykroczyłeś poza te granice?

– Poproszono mnie o zaspokojenie potrzeby. Markiz Mirl Meldelleran zażądał...

– Nie waż się wypowiadać tego imienia. Mów o nim „klient”. Powinieneś wiedzieć, że twój klient, który z pomocą twoich umiejętności popełnił haniebny czyn, na nasze życzenie udał się dziś na wygnanie do Suvarel.

Ghambivole Zwoll aż się zatrząsał. Suvarel? Ten straszny, wysuszony słońcem, nawiedzany przez demony pustynny kontynent na południu? Lepsza śmierć niż wygnanie do Suvarel.

Głosem schrypniętym od emocji Ghambivole Zoll odparł:

– Mój klient poprosił, żebym spełnił jego żądanie, wasza miłość. Nie sądziłem, że muszę...

– Nie sądziłeś. Nie sądziłeś.

– Nie, wasza miłość, nie sądziłem.



Nie miał szans wygrać z księciem Muldemarem. Skłonił się zatem nisko i czekał na wyrok.

– Zapomnisz, że kiedykolwiek miałeś do czynienia z tym klientem – oświadczył surowo książę. – Zapomnisz jego imię. Zapomnisz o sprawie, z którą do ciebie przyszedł. Zapomnisz o wszystkim, co się wiąże z nim i z tym, co dla niego zrobiłeś. Twój klient przestał istnieć na Wzgórzu Zamkowym. Jeśli robisz jakieś zapiski, vroonie, wyrzucisz z nich wszystkie informacje związane z tą tak zwaną usługą, którą dla niego wykonałeś. Czy to jasne?

Widząc, że chyba ocali życie, Ghambivole Zwoll nisko skłonił głowę i ochrypłym szeptem potwierdził:

- Rozumiem i będę posłuszny, wasza miłość.
- Dobrze.

Czyżby to było wszystko? Na to wyglądało. Vroon podziękował w duchu zapomnianym bogom z ojczyzny swoich przodków.

Książę jednak odwrócił się i rozejrzał po zagraconym sklepie. Jego wzrok padł na elegancki flakon na biurku Ghambivole'a Zwolla zawierający nowy i mocniejszy eliksir przygotowany dla markiza Mirła Meldellerana.

- Co to jest?
- Magiczny napój, wasza miłość.
- Kolejny napój miłosny, tak?
- Zwyczajny napój magiczny, wasza miłość. – Ale potem, pod wpływem strasznego spojrzenia księcia, z udręką w głosie potwierdził:
  - Tak, można to nazwać napojem miłosnym, wasza miłość.
  - Dla tego samego klienta? Aby mógł powiększyć szkody, których dokonał?
  - Muszę przypomnieć, wasza miłość, że prawo nakazuje mi

dyskrecję i nie mogę ujawniać...

Książę Muldemar wybuchnął mrocznym śmiechem.

– Tak, tak. Oczywiście. Praworządny obywatel się odezwał. Bardzo dobrze. Weź ten flakon i wypij jego zawartość.

– Wasza miłość?

– Pij!

Przerażony Ghambivole Zwoll krzyknął:

– Wasza miłość, muszę zaprotestować!

Książę skinął na jednego ze swoich lokajów. Kątem oka czarodziej zobaczył okropny błysk szabli znowu dobywanej z pochwy.

– Wasza miłość? – wymamrotał. – Wasza miłość...

– Pij albo dołączysz do swego byłego klienta w Suvarel. Dziękuj losowi, że tylko tak to wszystko się dla ciebie skończyło.

– Tak, tak. Rozumiem i będę posłuszny.

Nie miał szans, żeby odmówić księciu. Sięgnął po flakon i drżącymi mackami podniósł go do dzioba.

\* \* \*

Zamglonym wzrokiem Ghambivole Zwoll patrzył, jak książę Muldemar i jego dwaj lokaje opuszczają sklep i zatrząskują za sobą drzwi. To wszystko, co mógł zrobić, żeby nie stracić świadomości. W głowie mu się kręciło. Wokół niego wirowała jasna karmazynowa mgiełka. Nie mógł zbornie myśleć.

Potem jednak przez mgłę zasnuwającą mózg zobaczył, że drzwi znowu się otwierają i do środka wchodzi wielka skandarka Hendaya Zanzan, aby jak co wieczór posprzątać w sklepie. Ghambivole Zwoll popatrzył na nią z zachwytem. Raptem ogarnęła go szalona namiętność. Kobieta promieniała blaskiem, była cudowna, jaśniała

przed nim niczym oślepiający płomień. Nigdy w życiu nie widział nikogo tak pięknego.

Podbiegł do niej i mocno objął swoimi mackami jej olbrzymią łydkę. Serce zabiło mu w przypiływie rozpaczliwej miłości. Świat mu się zamazał przed oczami, gdy napłynęły do nich łzy radości.

– Och, ukochana... moja ukochana...!

***Greg Keyes**, który publikuje również pod nazwiskiem Gregory Keyes i J. Gregory Keyes, urodził się w Meridianie w stanie Missisipi. W jego licznej rodzinie pielęgnowano tradycje gawędziarskie. Studiował na Mississippi State University i University of Georgia, gdzie uzyskał dyplom z antropologii, po czym zajął się wyłącznie pisarstwem. Jest autorem powieści Z wody zrodzony, Czarny Bóg, tetralogii TheAge of Unreason oraz cyklu Star Wars: Nowa Era Jedi, na który składa się Ostrzewycięstwa I: Podbój, Ostrze zwycięstwa II: Odrodzenie i Ostatnie prorocstwo. W roku 2003 zaczął pisać tetralogię fantasy The Kingdoms of Thorn and Bone, której kolejne tomy noszą tytuły The Briar King, The Charnel, The Blood Knight i The BornQueen. Mieszka z rodziną w Savannah w stanie Georgia, gdzie jest także głównym trenerem klubu szermierczego przy Savannah College of Art and Design's.*

## **Greg Keyes**

### **NIESKALANI**

Pomyłony Wilk obudził się unurzany we krwi i otoczony trupami.  
Znowu.

Za pierwszym razem miał szesnaście lat i wtedy był to nieszczęśliwy wypadek: kobieta, którą całował, pieścił, kochał, z którą chciał mieć dzieci. Patrzył na swoje ręce, usta i ciało, które kiedyś dawały jej rozkosz, a teraz przyprawiały o ból nie do zniesienia z taką wprawą, że

wciąż żyła i go doświadczała, choć jej serce dawno powinno przestać bić. Kiedy w końcu w jej oczach pojawiła się pustka, usłyszał swój jęk zawodu.

Tym razem było o wiele, wiele więcej zwłok, a wszystkie równie sponiewierane jak niegdyś jej ciało. Wydawały się małe, jakby znajdował się wysoko i patrzył na nie z góry.

Obróciła się w jego wnętrzu, ale nie było to uspokajające, a on poczuł, jak gładzi go od środka, poczuł zapach węża i dymu z pioruna.

*Cudownie*, wymruczała.

Próbując zapanować nad mdłościami, zmusił się, żeby wstać, choć nogi trzęsły mu się ze zmęczenia.

Chugaachik postarała się, żeby zapamiętał wszystkie szczegóły tej pierwszej śmierci, ale od tamtego czasu niekiedy udawało mu się zapomnieć to, co robił pod jej wpływem.

*Nie tym razem*, wyszeptała drwiąco.

\* \* \*

– Powinieneś ją uwolnić – dąsała się Inah w celi po przeciwnej stronie. Jej oczy, zwykle mieniające się odcieniami jadeitu, teraz, w świetle pochodni, bardziej przypominały obsydian, a smukła kibić rysowała się zaledwie cieniem.

Oparł czoło o grube kraty.

– Wiesz dobrze – powiedział.

– Czyżby? Uratowała nas.

– Uratowała mnie. Gdyby tylko dopadła cię moimi rękami, zgwałciłaby cię i wypatroszyła – ale w odwrotnej kolejności.

*W jej żyłach płynie boska krew*, zamruczał duch uwięziony w jego ciele. *Utrzyma się przy życiu, choć nasze zabawy dawno się skończą*,

*mój skarbie. Może nawet jej się spodobać. Pamiętaj, że jest dla mnie jakby siostrą.*

Oczywiście Inah jej nie słyszała.

– Potrafię zadbać o siebie – powiedziała.

Pomyłony Wilk aż zgrzytnął zębami, chrząkając.

– Wciąż nie rozumiesz? Gdybym spuścił ją ze smyczy, musiałabyś uciekać.

*Właśnie, dlaczego nie? Polowanie jest przyjemne.*

– Ależ rozumiem – odparła. – Uciekłabym jej... Niedaleko jest rzeka. W wodzie nawet ona nie mogłaby mnie skrzywdzić. O ile będzie korzystać z twojego ciała.

– To mogłoby się udać – przyznał. – Potem jednak zwróciłaby się przeciwko przypadkowym ludziom.

*Na pewno nie przypadkowym. Mam swoje gusta, wiesz doskonale.*

– No to jak? – spytała Inah.

*Grzeczna dziewczynka.*

– A więc nic nie rozumiesz – odpowiedział, siłą woli spychając Chugaachik w głąb, zagłuszając, zmuszając do milczenia. Choćby na chwilę.

Udało mu się, ale zdał sobie sprawę, że umknęło mu coś, co powiedziała Inah.

– Co takiego? – spytał.

– Pytałam, czy tak samo będziesz się czuł, kiedy wezmą nas na egzekucję?

– Zobaczymy – odpowiedział. – Zobaczymy, jak będę się wtedy czuł.

Przez chwilę milczała, po czym zaśmiała się cicho.

– Kochasz mnie, prawda? Dlatego ją w sobie trzymasz.

– Nigdy tak nie mów – powiedział. – W ogóle nie wiesz, co to znaczy.

Jakiś czas potem przyszedli po nich młodzi mężczyźni o jasnej, prawie sonej skórze, odziani w brązowe sarongi i batikowane koszule malowane w żółwie, węże i skorpiony.

– Miło się zapowiada – zauważyła Inah w ojczystym języku. – Tylko ośmiu.

Nie odpowiedział.

Wyprowadzono ich na zewnątrz, a potem wepchnięto do olbrzymiego długiego domu z cedru, krytego zielonkawym łupkiem. Wąska sień prowadziła do dużego pomieszczenia, w którym z trzech stron pod ścianami pięły się rzędy ław z wysokimi oparciami. Na ławach zasiadali mężczyźni – nie zdążyli policzyć, ale było ich ponad dwudziestu. Wszyscy odznaczali się taką samą nieprzyjemną bladością jak strażnicy, którzy ich eskortowali, i byli całkiem młodzi – niektórzy chyba nie skończyli jeszcze szesnastu lat. Mieli na sobie pikowane płaszcze bez rękawów i nosili różnorodne uzbrojenie, przeważnie miecze lub włócznie. Kilku trzymało na kolanach tarcze.

Jeden siedział osobno, na samym przedzie, na fotelu z podłokietnikami. W przeciwieństwie do pozostałych, którzy mieli długie włosy zaplecione w misterne warkoczyki, był krótko ostrzyżony.

Patrzył na nich przez chwilę, po czym odezwał się w języku na tyle podobnym do języka nah, że Pomyłony Wilk mógł go zrozumieć.

– Jestem Hesqel, Głos. Po co przyszlście do QashQul? Tylko po to, by kraść, czy macie jeszcze jakiś inny cel?

– Nie mamy złych zamiarów – odpowiedział Pomyłony Wilk. – Chcieliśmy tylko po drodze zdobyć trochę jedzenia. Z przyjemnością

odpracujemy to, co wzięliśmy...

– Waszym przestępstwem nie jest kradzież – rzekł Hesqel – ale to, że tu przyszliście. Czy ludzie z plemion Urled nie powiedzieli wam, że to zakazana dolina?

Pomyłony Wilk wolał nie mówić, że w następstwie jeszcze jednego sporu o ziemię ludzie Urled zrobili na nich w dolinie obławę.

– Widocznie zapomnieli – stwierdził.

– No tak. W normalnej sytuacji wszystko byłoby proste, zostalibyście skazani na śmierć, ale dziś potrzebujemy cudzoziemca, kogoś, kogo nie wiąże klątwa. Dlatego przyjmujemy wasze usługi.

Nie wygląda to dobrze, pomyślał Pomyłony Wilk.

– Klątwa? – spytał.

Głos Hesqela trochę się zmienił, zabrzmiał w nim jakby zaśpiew.

– W dawnych czasach lud nasz błądził po tych górach o głodzie i chłodzie. Aż trafiliśmy do tej żyznej doliny. Tutejsi bogowie byli jednak nieokrzesani, bo nigdy przedtem nie widzieli ludzi. Złożyliśmy im wiele ofiar, ale żadna nie została przyjęta. Qul, bogini panująca nad wyżynami, i Qash, bóg rzeki i terenów nadrzecznych, byli zaciętymi wrogami i nie pozwoliliby pomniejszym bogom zadawać się z naszymi przodkami. W końcu wszakże prześlągaliśmy Qasha kolejną ofiarą, która wzmocniła go na tyle, że podporządkował sobie Qul i stworzyli jedność: QashQul. My, którzy się tu zgromadziliśmy, pochodzimy od niego i żeby utrzymać się przy życiu, pożądamy tej samej ofiary, dzięki której on zwyciężył.

Wygląda to bardzo, ale to bardzo źle, pomyślał Pomyłony Wilk.

– A więc klątwa polega na tym, że pożądamy tej... ofiary?

Hesqel zamrugał, jakby pytanie było niedorzeczne. Rzędami ławek przebiegł cichy śmiech.



– Nie. – Hesqel mówił teraz jak do dziecka. – Jesteśmy Synami Qasha, Nieskalanymi. Składanie ofiar jest nam przypisane z natury i stanowi dla nas zaszczyt. Jeśli nie dopełnimy rytuału, zginiemy, a i na Qasha spadnie głód. Klątwa polega na tym, że doszło do rozłamu. QashQul ponownie się rozpadł, do czego przyczyniła się czarownica Ruwhere. Qul odebrała swoje dawne królestwo, do którego żaden potomek Qasha nie ma wstępu. – Pochylił się. – Klątwą jest to, że nasz święty miecz pozostał na terenach należących do Qul, a Ruwhere za jej pozwoleniem zabiera prawomocnie należące się nam ofiary.

– Och – westchnął z ulgą Pomyłony Wilk. – Chcecie, żebym...

– Odzyskasz nasz miecz – rzekł Hesqel.

Brzmiało to dość wiarygodnie.

Nie uwierzył.

– Chętnie pomogę – odrzekł.

\* \* \*

I tym sposobem był wolny, miał na sobie pikowany pancerz, a u pasa krótki miecz. Uśmiechał się, zostawiając za plecami mury QashQul. Stapał lekko, przyszłość rysowała się pełna możliwości. Oczywiście zatrzymali Inah jako zakładniczkę, co dowodziło tylko tego, że się na nim nie poznali. Och, tak czy inaczej, mógł po nią wrócić, przecież bardzo ją lubił, ale wzięwszy pod uwagę jej zdolności – z których QashQulanie na swoje szczęście nie zdawali sobie sprawy – prawdopodobnie uwolniłaby się sama. Chodziło o to, że mógł wybierać.

Trakt biegł niedaleko krystalicznie czystego stawu, w którym się wykąpał i zamarudził trochę, przyglądając się ważkom tańczącym w promieniach słońca. Gdy minęło południe, ubrał się i z wahaniem

ruszył we wskazanym kierunku. Miał również czas zastanowić się nad sytuacją. Może dałoby się potargować z tą czarownicą, gdyby okazało się, że jest groźna. Oczywiście nie miał wiele do zaoferowania...

*Tak jest najlepiej, tylko ty i ja,* powiedziała Chugaachik.

– Najlepiej to by było, gdybym był sam – stwierdził.

*Ty już wszystko wiesz lepiej, skarbie, prawda?*

Pomyłony Wilk zwolnił. Tak, czarownica dość potężna, żeby rozerwać boga na dwoje, zasługiwałaby na to, by z nią porozmawiać.

– Ten bóg z jeziora, o którym mówili... – Zadumał się. – Ciekawe. Rzućmy na niego okiem. Pod wodą.

Chugaachik w środku swojego pałacu, w jego ciele, ożywiła się i poruszyła. Jego skóra nabrała twardości krzemienia, zęby – ostrości noży. Czuł wszędzie zapach krwi, wręcz jej smak.

Zanurzył się w jeziorze. Jego ziomkowie mówili o wodzie, że jest skórą świata, którego większość ludzi nigdy nie ogląda. Drzewa i góry zamieniły się w cienie, światło przenikało je na wskroś. Ukazali się bogowie.

Pierwszy raz zobaczył boga, kiedy miał trzynaście lat. Był to bóg białego jałowca, jakiś podrzędny, a już sam jego widok przyprawił go o szaleństwo i gorączkę, które go omal nie zabiły, ponieważ ludziom nie wolno patrzeć na bogów. Tylko nielicznym, szamanom z urodzenia, dane jest obcować z duchami niewcielonymi, a i to dopiero wtedy, gdy jako prawdziwi szamani przyjmą w siebie ducha pomocnika. W przeciwnym razie popadają w obłąd.

Ojciec znalazł mu takiego ducha. Był przekonany, że jest on lwią boginią.

Mylił się.

Teraz, gdy dzięki Chugaachik otworzył oczy, mógł widzieć pod

wodą, nie tracąc zmysłów. Tak zwykle było.

Najpierw dostrzegł pomniejszych bogów, którzy władali rzeczami: drzewami, kamieniami, jeziorem, w którym się kąpał. Jak większość bogów, nie mieli jednej ustalonej postaci, zmieniali kształty, igrali z nimi. Zdziwił się, że jest ich tak mało. Powinny być ich setki, a widział tylko kilkunastu, w dodatku wyglądali na chorych.

Qash był wszędzie: był bogiem tej krainy, tego miejsca. Pod wodą bogowie zazwyczaj też nie przybierają konkretnej formy.

Qash jednak to zrobił. Ukazał się jako starsza wersja sinoskórych mężczyzn, którzy zatrzymali Inah: sprośny nagi starzec siedzący w kucki na ziemi, wyciągający ręce, jakby czegoś szukał. W jego oczach migotało szaleństwo, a kapiąca z ust ślina płynęła w górę, zasilając strumienie i stawy w całej dolinie. Z ciała wychodziły żyły, które łączyły go z pomniejszymi bogami i ludźmi w mieście, a jedno niezdrowo żółte, drgające włókno biegło dalej. Coś przeszkadzało Pomyłonemu Wilkowi dojrzeć, gdzie się kończy, ale wiedział, że biegnie w kierunku, w którym zmierzał.

Coś na handel, pomyślał.

Wyciągnął rękę i przy pomocy Chugaachik chwycił mocno jedną z żył, wyszarpnął z niej mniejsze włókno i przywiązał do rosnącej najbliższej winorośli.

Potem wynurzył się na powierzchnię. Usiadł na brzegu jeziora. Miał zawroty głowy i mdłości, które minęły dopiero po dłuższej chwili. Wstał, odciął pęd winorośli i zwinął go w pętlę o średnicy swego ramienia. I poszedł dalej.

Teren wznosił się stromo aż do stóp lasu, w którym rosły dziwnie poskręcane dęby, sosny i jałowce. Żywiczny zapach tych ostatnich przesycił powietrze tak mocno, że przez moment miał wrażenie, iż jest

zupełnie gdzie indziej, na chłostanych wiatrem Stepach Mangów, gdzie się urodził, gdzie jego ziomkowie wciąż spotykali się na corocznych zgromadzeniach, polowali na stepowe niedźwiedzie i bizona, napadali na Kamienne Golenie i Lud Krowy.

Jak daleko stąd leżą stepy Mangu? Gdyby ruszył na północ i udałoby mu się przejść te góry, znalazłby się gdzieś koło Lhe, a stamtąd mógłby wybrać jedną ze starych zarośniętych dróg biegnących przez tereny Sheriruta. Konno zajęłoby mu to przynajmniej rok. Dobrze byłoby znów zjeść tłustą potrawkę, zobaczyć Ch'ebegau, Górę Białego Świerku. Jeszcze raz poczuć się jak Mang, poczuć przynależność do tamtych miejsc. Spotkać się z matką. Czy jeszcze żyje? A siostry i kuzyni?

Chciał przypomnieć sobie jej twarz, ale przed oczyma pojawiła się tylko niewyraźna plama.

Żeby pozbyć się Chugaachik i odzyskać swoje życie, przemierzył szmat świata od Północnych Puszczy Olbrzymów do starodawnych ginących miast i malarycznych wysp południa. Na próżno. Może powinien spróbować tam, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie jego ojciec zapoznał go z Chugaachik.

Teraz jednak już tam nie należał. Właściwie nigdy nie należał.

Szedł więc dalej, aż trafił do świątyni, którą mu opisano: budowli o ścianach z kamiennych bloków łączonych bez zaprawy, ze zniszczonym dachem krytym cedrowym gontem. Drzwi stały otworem.

Na schodach prowadzących do świątyni siedziała kobieta.

Miała siwe włosy ściągnięte w długi warkocz. Na twarzy odcisnęły się długie lata radości, smutku i bólu. Spojrzenie jej niebieskich oczu zatrzymało się na nim w wyrazie na poły ciekawości, na poły zarzutu.

– Nie wiedziałam, czego mam oczekiwać – odezwała się. – Widzę

pustynię i czerwone głązy. Skarłowaciałe drzewa wśród piasków i drzewa wysokie, białe, w górach. Skąd jesteś?

– Z Manganganu.

– Nie słyszałam, ale nosisz go w sobie.

– Leży na północy, daleko stąd. – Poczul się nieprzyjemnie. – Gdybym myślał o seksie, zapytałabyś mnie o kobiety?

Uśmiechnęła się.

– Ją też widzę. Pochodzi z bardzo daleka, z miejsca otoczonego wodą, która nie jest twoim żywiołem.

– Nie jest.

– Przyszedłeś tu z jej powodu? Żeby zrobić to, co masz zrobić? Ktoś ją uwięził?

Pomyłony Wilk wzruszył ramionami.

– Tak, zatrzymali ją, ale jeszcze nie zdecydowałem, co zrobić.

– Rozumiem – odparła. – Dobrze mieć otwarty umysł.

– Jesteś Ruwhere?

– A więc powiedzieli ci o mnie. A o uwolnieniu Qul?

– Też, chociaż ujęli to inaczej. Wysłali mnie po miecz.

– Jak sądzisz, dlaczego tu jestem? – spytała Ruwhere.

– Żeby przeszkodzić mi w zdobyciu miecza.

Przytaknęła.

– Wcale go nie potrzebujesz, wierz mi. Czy powiedzieli ci, dlaczego chcą go odzyskać?

– Nie. Mówili coś o klątwie i ofiarach.

– Nie ciekawiło cię to?

– Cokolwiek by mi powiedzieli, i tak marnowałbym czas, próbując odróżnić prawdę od nieprawdy. Łatwiej było tu przyjść i znaleźć odpowiedź na miejscu.

– Mogłabym cię zabić, zamiast z tobą rozmawiać – zauważyła.

– Mogłabyś. Sprawiali jednak wrażenie pewnych siebie, gdy mnie tu wysyłali.

– Tak samo myśleli trzej ostatni, którzy tu doszli – odrzekła. – Ich pewność wynika stąd, że nie są zbyt bystrzy. Bez swego pokarmu z dnia na dzień robią się coraz głupszy i słabsi. Wystarczy, żebyś poczekał, a umrą i odzyskasz swoją kobietę.

– Jak długo?

– Najwyżej kilkadziesiąt lat. Pozbawieni rytuału starzeją się tak samo jak ludzie.

– Aż tyle czasu nie mam – powiedział Pomyłony Wilk.

– Pewnie nie – odparła.

– Co się stanie, gdy zwrócę im miecz?

Pokręciła głową.

– Przestań o tym myśleć. Przede wszystkim nie pozwolę ci go tknąć, ale nawet jeśli ci się to uda, to fakt pozostanie faktem, że oni wcale go nie chcą. Żaden go nie utrzyma, jeśli nie podporządkuje się żywcem Qashowi. Potrzebują tylko jakiegoś idioty, który nie wie, jak go odzyskać.

– Dlaczego?

– Bo żeby go zabrać, musiałbyś mnie zabić, a o to właśnie im chodzi. A kiedy już go będziesz miał, Qash cię opęta i pośle na poszukiwanie dziewic.

Nagle Pomyłony Wilk poczuł, że jest zgubiony.

*Dziewice?, syknęła Chugaachik. Robi się coraz ciekawiej.*

Pomyłony Wilk starał się jej nie słuchać, ale już się obudziła i poczuł za uszami ciepło, jakby ktoś go tam całował.

– Nie rozumiem – zwrócił się do Ruwhere.

– Miecz jest częścią Qasha – odparła. – A Qash jest obłąkany. Oszalał, gdy tysiąc lat temu nasz lud złożył mu w ofierze dziewicę.

– Aha – zrozumiał Pomyłony Wilk – i od tamtej pory, jako jego potomkowie, także pożądamy ofiary z dziewic.

– Tak. Rozumiesz teraz, co robisz? Ich związek był wbrew naturze, zły. Qul usiłowała się wyzwolić, aż w końcu, po wielu stuleciach i z moją pomocą, uciekła i zabrała ze sobą swoje córki.

– Czy dziewice są córkami Qul?

– Mężczyźni, którzy cię tu przysłali, są synami Qasha, a w ofierze trzeba im składać córki Qul. Te, które są dziewicami, zabrałam tutaj, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

– Nie wiem, jak ocalić dziewice – rzekł Pomyłony Wilk. – Bo kłopot w tym, że to są dziewice, prawda? Jeśli tylko dziewice nadają się na ofiarę...

Nagle powietrze rozdarł trzask, a jego wzrok się wyostrzył, jakby wyrwał się z głębi jeziora. Ruwhere była płonąca żagwią, węzłem uczuć boga, a bóg był wokół niego i miał postać połowy kobiety, nagiej, okaleczonej. W jej spojrzeniu buzowała oszalała furia.

Zewnętrzny spokój Ruwhere prysł, jej gniew wybuchł jak wulkan.

– Czekał... – odezwał się Pomyłony Wilk.

– Jesteś taki sam – rzekła Ruwhere, cicho, bez wyrazu. Z jej głosu znikło opanowanie starej kobiety. – Oni ich nie zabijają. Oni je gwałcą. Są przekonani, że tak jak Qash zgwałcił Qul, tak oni muszą gwałcić, aby zachować młodość.

– Nie zrozumiałem – zaczął się wycofywać Pomyłony Wilk. – Żartowałem. Nie mógłbym...

*Za późno, warknęła Chugaachik. Qul ją opętała.*

– Wcale nie żartowałeś! – krzyknęła Ruwhere. – Teraz widzę, co

robileś, co zrobiłeś... – Zaczęła się dusić i przewracać oczami.

Mógł zrobić tylko jedno i to właśnie zrobił. Rzucił pętlę z winorośli tak, że dosięgła szyi Ruwhere. Szok rozszerzył jej źrenice, gdy Qash wchodził w nią przez swą żyłę w poszukiwaniu Qul. Obląkana czy nie, Qul zrozumiała, co jej grozi, i natychmiast przerwała włókno. Jednak Pomyłony Wilk zdążył sięgnąć za plecy czarownicy i chwycić miecz.

Odwrócił się i zobaczył, że od Ruwhere bije boska siła. Wiedział, że gdyby nie Chugaachik, byłby już martwy. Gdy kości zaczęły go parzyć, z trudem łapiąc powietrze, rzucił się na nią i głęboko wbił klingę tuż pod mostek. Ruwhere zawisła na mieczu, jej oczy powoli gasły.

– Zrobiłeś to – wydyszała. – Jesteś potworem. Nie rozumiesz, że...

Upadła, a obecność Qul przygasła, aż całkiem zniknęła.

– Tylko żartowałem – westchnął Pomyłony Wilk.

Chciał zostawić miecz, ale w jego głowie zdawała się szaleć szarańcza, a nogi nagle same poderwały się do drogi.

Zrozumiał, że Ruwhere miała rację i że zawładnął nim Qash.

*Próbuje zmusić cię do marszu,* odezwała się Chugaachik. Słabła, jakby oddalała się.

– Stoję – zauważył.

*Bo z nim walczę. Próbuje mnie wypędzić.*

Pomyłony Wilk przez chwilę myślał nad tym, co powiedziała.

– Uda mu się? – zapytał.

*Nie. Ale to trudne i w tej sytuacji nie mogę ci pomagać.*

– Ciekawe – powiedział. – Zastanawiam się, czy nie kłamiesz. Może mógłby mnie uwolnić od ciebie, gdyby miał czas.

*Wziąłby wtedy ciebie, na zawsze. Tego pragniesz?*

– Mógłbym zostawić miecz.

*Nie zrobisz tego, jeśli odejdę. Możesz go zostawić*



*teraz. Powinieneś zostawić go teraz.*

Pomyłony Wilk spoglądał na broń, rozważając różne możliwości. Czy będzie wolny, jeśli Qash zmusi ją do odejścia, a jemu uda się opuścić dolinę? Qash był bogiem tego miejsca, on tu zostanie. Warto byłoby podjąć takie ryzyko.

Nie wiedział jednak wszystkiego.

– Nie ma się co spieszyć – rzekł Pomyłony Wilk. – Chyba najpierw rzucę okiem na te dziewice.

\* \* \*

Ruwhere nie starała się zacierać za sobą śladów, toteż gdyby nawet Chugaachik nie wyostrzyła mu zmysłów, Pomyłony Wilk bez trudu by je odnalazł. Wiodły go w górę stromych zboczy doliny, przez szeleszczące bambusowe zarośla i pełne wdzięku kępy drzewiastych paproci, aż doprowadziły do szerokich tarasów uprawnych obsianych nieznanymi mu roślinami. Pracujący na polach ludzie rzucali mu dziwne spojrzenia, ale nikt się do niego nie odezwał.

Nad polami leżała wioska, o ile można nazwać ją wioską. Namioty, szałas, kilka prymitywnych domów – najwyraźniej zbudowanych niedawno – ciasno otaczało starszą, znacznie solidniejszą budowlę: ogromny długi dom z cedru stojący na dwunastu kamiennych cokołach. Przyglądało mu się już mnóstwo ludzi, ale nie zauważył, by któryś był uzbrojony. Podszedł do jednej z wysokich drabin, które prowadziły do wejścia. Zachowywał się, jakby był tutejszy. Już postawił nogę na szczeblu, kiedy stanęła przed nim młoda kobieta. Była urodziwa, miała okrągłą twarz i zaróżowione policzki. Chyba nie ukończyła szesnastu lat.

– Kim jesteś? – zapytała. Wyglądała na przestraszoną, ale

zdecydowaną.

– Nazywam się Pomyłony Wilk – powiedział. – Ruwhere przysłała mnie tu, żebym sprawdził, czy dziewice są bezpieczne.

– Są – rzekła.

Przywołał na usta ujmujący uśmiech.

– Pewnie jesteś jedną z nich?

Zaśmiała się gorzko.

– Już nie – powiedziała. – Jesteś obcy, prawda? Nic nie wiesz o tym miejscu. – Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. – Za to nosisz ich broń – dodała.

– Zabrałem ją jednemu z nich – skłamał – gdy go zabiłem.

– Może zabiłeś – powiedziała. – Jeśli tak, to dziękuję. Jeśli jednak im służysz, znajdę sposób, żeby cię zabić.

– Jak sądzę, zostałaś... – Głos mu zamarł.

– Wszystkie nas to spotkało – stwierdziła krótko.

Zauważył, że w tłumie, który się zebrał, przeważają kobiety.

– Nigdy nie będę miała dzieci – powiedziała. – Tak mocno mnie okaleczyli. A i tak miałam szczęście. Myślałam, że może to i dobrze, bo nie urodzę córki, którą by mi zabrano na ofiarę. Potem jednak Ruwhere uwolniła Qul i wszystko się zmieniło. – Wyzywająco uniosła brodę. – Będziesz musiał mnie zabić, zanim je zabierzesz.

– Nie chcę... – Przerwał. – Ile miałaś lat?

– Więcej niż inne. Im młodsze jesteśmy, tym lepiej spełniamy swoje zadanie. A przynajmniej oni tak uważają.

Pomyłony Wilk spojrział na drabinę. Usłyszał przeciągły, przejmujący lament.

Odsunął na bok dziewczynę i ruszył po bambusowych szczeblach. Poczul, jak całym ciężarem zawisła na nim, krzycząc przeraźliwie.

W długim domu nie było ścian. Spojrzało na niego kilku starców, ale oprócz nich żaden z ponad setki mieszkańców domu nie miał nawet czterech lat. Większość stanowiły niemowlęta.

Dziewczyna uderzyła go w plecy. Nie zwrócił na nią uwagi, gdyż miecz w jego dłoni mruczał z głodu, a Chugaachik skowyczała z pożądania. Do środka wpadł podmuch wiatru i przyniósł zapach jałowca.

\* \* \*

Hesqel spojrzał na Pomyłonego Wilka z wysokości swego siedziska i uśmiechnął się.

- Dokonałeś tego – rzekł. – Masz miecz.
  - Dokonałem – odparł. – Gdzie moja towarzyszka?
  - Bezpieczna, w więzieniu. Wykonałeś jednak tylko połowę zadania.
  - Wysłaliście mnie po miecz, nic więcej.
  - Coś tu nie pasuje – odezwał się ktoś z boku. – Powinien...
  - Tak, powinien – rzekł Hesqel. – Ten, kto nosi miecz, powinien być żywicielem Qasha.
  - Och, on jest tutaj – rzekł Pomyłony Wilk, unosząc klingę.
- Hesqel uśmiechnął się drwiąco.
- Nie wiem, jakie czary stoją na przeszkodzie jego wcieleniu, ale ta broń nie może nikomu z nas wyrządzić szkody.
  - Wierzę ci – rzekł Pomyłony Wilk.
- Upuścił miecz.

\* \* \*

*Boska krew*, westchnęła Chugaachik, gdy przestępował nad ciałami.

*Prawie tak samo dobra jak krew dzieci. Wypuść mnie znowu – wrócimy tam, sprawdzimy, co Qash widzi w dziewicach.*

Nie zadał sobie trudu, żeby jej odpowiedzieć, tylko pokręcił głową ze znużeniem.

*Nigdy tak się nie zachowywałeś, skarbie. Byłeś bardziej sobą niż mną.*

– Wiem.

*Dlaczego?*

– Nie zrozumiesz – odpowiedział.

*Już zabijaliśmy dzieci. Robiliśmy rzeczy, o których tym żalonym półludziom nigdy się nie śniło.*

– To prawda – przyznał Pomyłony Wilk. – A teraz śpij.

Okazało się to łatwe, ponieważ była nasycona. Kiedy się wyslizgiwała, czuł jej nieklamane zdziwienie.

Żeby uwolnić Inah, musiał zabić strażnika. Dziewczyna spojrzała na plamy żółtawej krwi, którą przesiąkło jego ubranie i która pokrywała mu twarz. Pokręciła głową.

– Wypuściłeś ją – powiedziała. – Po tych wszystkich przemowach.

– Zrobiłem to, żeby cię uratować, rzecz jasna – odparł.

– Kłamstwo – powiedziała – ale miłe. – Pochyliła się i go pocałowała.

Wykąpał się w tym samym stawie, w którym kąpał się przedtem, a potem odział w to, co zabrali z prania suszącego się gdzieś na przedmieściu. Przed zmrokiem dotarli do obrzeży doliny. Na północ, na wschód i na zachód ciągnęły się nieznane kotliny i szczyty.

– Którędy? – zapytała Inah.

Pomyłony Wilk wypatrzył na ciemniejącym niebie konstelację nazywaną przez jego plemię Bliźniętami i według niej odszukał

położenie gwiazdy Yekt Kben, czyli Serca, która zawsze stoi w miejscu.

Po czym wskazał w prawo.

- Dokąd teraz? – spytała.
- Do domu – odpowiedział.

**Michael A. Shea** urodził się w irlandzkiej rodzinie z Los Angeles. W młodości spędzał czas na wędrówkach po rodzinnym stanie – po plażach Venice i Baldwin Hills. Studia na University of California w Los Angeles rozpoczął jeszcze w szkole średniej w ramach programu dla uzdolnionych uczniów, ale przeniósł się na UC Berkeley ze względu na tamtejszą przyrodę. Dwa razy przejechał autostopem USA i Kanadę. W czasie tych podróży w hotelu w Juneau na Alasce przypadkiem trafił na zaczytaną książkę: Cugel the Clever Jacka Vance’a. Zainspirowany nią napisał poniższe opowiadanie, a także pierwszą powieść, wydaną w roku 1974 A Quest for Simbilis, która była autoryzowaną kontynuacją Umierającej Ziemi Jacka Vance’a. Później Shea wydał garść horrorów i swą najważniejszą powieść Niff the Lean (1982), która jako klasyczny przykład gatunku magii i miecza zdobyła nagrodę World Fantasy. Następnie ukazały się The Mines of Behemoth i The A’rak. Wśród jego dzieł są powieści The Color Out of Time, In Yana, The Touch of Undying oraz antologie Polyphemus i The Autopsy and Other Stories.

## **Michael Shea**

### **MAJSTER TON**

Ach, mieniąca się barwami Helisa! Wirujący tęczy bąk, szpulka pełnych radosnego gwaru i zgiełku ulic, które niczym kolorowe wstążki wiją się na sam szczyt niskiej góry, a raczej wysokiego wzgórza o tej

samej nazwie, które wznosi się o kilka mil od Karkmahn–Ra, najbardziej zatłoczonego portu na Ziemi i największego ośrodka handlowego nad Morzem Agońskim.

Ze wszystkich stron jej zbocza pokrywa mozaika wyniosłych gmachów i domów mieszkalnych, a ich dachy kryte lśniąca dachówką i pstrokate ściany błyszczą jak skomplikowany szlif wielkiego klejnotu osadzonego na równinie. Albowiem w Helisie kolor odgrywa dużą rolę. To prawda, że cały Archipelag Efezjonu szczyci się kulturą ostentacji i wystawności – z tego powodu zwany jest Bazarem Południowej Półkuli – ale w Helisie zamiłowanie do barwności graniczy z obsesją, z obłądem. Tak jak miasto położone jest na samym szczycie wyniosłości, tak każda budowla stoi na widoku, a wszędzie dominuje zasada samochwalstwa. Święto polichromii.

Właśnie takim ujrzał to miasto Mocarz Bezlitosny pewnego jesiennego poranka, zmierzając w górę krętymi ulicami, przeciskając się między platformami i furmankami z towarem, furami i rikszami. Jako pochodzący z Tundry Jarkeladzkiej, wychowany do najazdów i wojen, na widok olśniewającej Helisy doznał przykrego wrażenia nadmiaru. Jak okiem sięgnąć, nie było ani jednego gzymsu, którego nie wieńczyłby fryz, ani jednego okna, które nie byłoby bogato szprosowane, ani jednych drzwi, które nie byłyby intarsjowane i flankowane pilastrami... a każdą z ozdób pomalowano pracowicie na inny kolor.

Kolor atakował także bez przerwy jego uszy. Był na językach wszystkich. Do Mocarza dochodziły strzępy rozmów przepychającej się ciżby:

– ...nadproża oberżynowe, rozumiesz, cokoły brzoskwiniowe, a wszystkie płyciny wrzosowe!

- Wrzosowe? Żarty sobie ze mnie stroisz?
- To prawda, acz okrutna. Ot co!
- Wrzosowe...! To ludzkie pojęcie przechodzi!

Mocarz miał umięśnione ramiona grubości uda tytanoploda. Na plecach nosił pałasz, którego rękojeść wystawała mu zza głowy, a jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju zdobnictwo, skłaniał się ku ascezie. Jediną dekorację brązowej zbroi, porysowanej i powgniatanej weteranki licznych subarktycznych potyczek, najoszczędniejszą jak tylko można, stanowiła odcięta głowa repusowana na wysokości piersi. Dzieło, w dodatku niewykończone, wyszło spod ręki kotlarza z tundry, który za cały warsztat miał kowadło umocowane na wozie. Nic dziwnego, że wojownik przysłuchiwał się takim estetycznym wywodom z rosnącą irytacją.

Trzeba przy tym powiedzieć, że Mocarz nie był jakimś ciołkiem, przyjemności estetyczne też nie były mu całkiem obce. Zmysły są dla człowieka oknem na sprawy duchowe, a doskonałość dociera do serca wszystkimi zmysłami. Kogóż nie przeszedłby dreszcz na dźwięk jęklivego hymnu rozlegającego się pod koniec rzezi? Na widok sklepionych niczym kopuły pośladków hurysy albo schłodzonego wina? Na ciężar brzęczącej monety wypełniającej sakiewkę? Albo wręcz na owej monety maślany blask złota? Musiałby nie mieć serca.

Wszak ile rozsądnemu człowiekowi potrzeba kolorów? Cóż to jest, na Czarne Zastępy, kolor wrzosowy? Albo oberzynowy?

Niepokoila go sprawa, którą miał załatwić, a to była tylko połowa jego kłopotów. Miał sprowadzić swojemu chlebobawcy jakiegoś majstra kolorystę – co w potocznym rozumieniu oznacza malarza pokojowego. W rodzinnych stronach Mocarza ludzie w ogóle niczego nie malują ani nie barwią, a jako najemnik od lat mieszkał na Wielkich



Mieliznach, gdzie wzniesione na oszalowanych brzegach miasta w całości budowano z drewna, a drewno dla ochrony przed wilgocią bielono, pokrywano trwałymi pokostami i malowano na spokojne kolory. Machający pędzlem liczył się tam tak samo jak robotnik w manufakturze: na drabinie społecznej stał o wiele wyżej od stajennego, ale niżej od drwala, który znajdował się naprawdę wysoko. Za to tutaj malarze pokojowi spotykali się z dużym zrozumieniem, bez wątpienia więc każdy biegający po rusztowaniach gagatek, którego chciałby zatrudnić, uważa się za bóg wie co.

Mocarz zgodził się przyjąć to niewdzięczne zlecenie tylko dzięki pokaźnej zaliczce oraz aurze nekromancji, która otaczała imię zleceniodawcy. Nestor Kataster umówił się z nim w dokach Karkmahn–Ra. Okazał się człowiekiem wymizerowanym, siwowłosym, o krzaczastych brwiach oraz rzadkiej, przylizanej, uciętej tuż pod szczęką brodzie. Miał na sobie czarną skórzaną kurtę tu i ówdzie porozdzieraną i nadpaloną, która jak żywo przypominała noszone przez kupców, ale z oczu biło mu opanowanie i pogoda ducha nie pozwalające go wziąć za takowego. Nazwisko Nestora Katastra przewijało się w plotkach krążących po wszystkich wyspach Archipelagu Efezjonu, dlatego przy powitaniu Mocarz skłonił przed nim czoło w powszechnym na północy geście szacunku.

Mag zaprowadził go do tawerny, posadził przy stole w kącie, uprzejmie zapytał, czego sobie życzy, i złożył w jego imieniu zamówienie. Grzeczność czarownika ujęła Mocarza, lecz zmartwiła sprawa, którą wyłożył Kataster.

– Tylko że – powiedział Mocarz – nic nie wiem na temat malarzy pokojowych, panie, nawet ogólnie... Jak mam więc z nich wybierać?

– Nieważne. Sednem sprawy jest właśnie przypadkowość twojego

wyboru. Musi dojść między wami do naturalnej koniunkcji. Wystarczy, że będziesz się rozglądał, a kiedy ona nastąpi, nawet nie będziesz musiał mnie szukać. Pojawię się natychmiast.

Obietnica ta przyprawiła Mocarza o delikatne mrowienie kręgosłupa.

\* \* \*

Tak więc Mocarz kierował się teraz ku wierzchołkowi Helisy, gdzie malarzy pokojowych było do wyboru, do koloru, a on z tym miał właśnie kłopot. Zdążyło już mu mignąć w przelocie parę ich tuzinów, czy to w otwartych drzwiach domów, czy na rusztowaniach zakrywających fasady. Nie na wiele się jednak zdawała Mocarzowi świadomość, że jego wybór musi być przypadkowy. Wręcz przeciwnie. Skąd będzie wiedział, że jego przypadkowy wybór w tak ważnej sprawie jest właściwy?

Istota pracy Mocarza polegała na tym, że robił to, czego się wyuczył. Tu zaatakować, tam się zasłonić: w walce na śmierć i życie, kiedy przychodzi co do czego, nie ma miejsca na niejasności. Jakże, na jakiej podstawie, miał wybrać tego, a nie innego pacykarza? Wszyscy byli równie prostacy, wszyscy komicznie ubabrani farbami...

Po lewej rozpościerała się wielka sieć z drewna i metalu na osiem pięter wysoka. Siedem kondygnacji fasady miało już okna pomalowane tak jaskrawo, że zdawały się wyskakiwać przed rusztowanie, a na ósmym wciąż trwały prace. Przyjrzał się mężczyźnie, który tam się uwijał: za dużo nieprzystojnego ganiań za tym właśnie malarzyną...

Gdy tak bez pośpiechu przebiegał wzrokiem po owych wysokościach, dostrzegł na niebie nagły ruch. Nie... nie na niebie, raczej z jego środka coś spadało wprost na niego. Odsunął się, ale

troszeczkę za późno, i poczuł ciężkie uderzenie w ramię, a na głowie coś bardzo mokrego.

Nie znał przedmiotu, który go trafił, i nie umiałby go nazwać, choć był to tylko półokrągły pędzel na kiju: sporej wielkości wałek z owczej wełny przymocowany do krótkiego trzonka, nasączony chyba połową galonu jasnoniebieskiej farby.

Na ulicy zabrzmiał wokół niego nie tyle śmiech, ile okrzyki zaskoczenia i współczucia zaprawione śmiechem tych, którzy nie zdołali się powstrzymać.

Ze szczytu rusztowania dobiegł go podniesiony ze zdenerwowania głos:

– Strasznie, ale to strasznie pana przepraszam! Wysmyknął mi się! Niewybaczalna niezręczność! Zapłacę za szkody! Czy zgodzi się pan przyjąć dwadzieścia złotych liktorów? Rzucę je panu.

Mocarz spojrział w górę ku mówiącemu, a niebieska farba spływała mu z mokrych włosów na lewą brew jak ulewa z okapu. Gwałtownie starł ją dłonią z twarzy i dostrzegł, jak przymała postać z nastroszoną rudą czupryną wychyla się znad poręczy rusztowania na samej górze. Nawet z tej odległości, ponad osiemdziesięciu stóp, można było zauważyć plamy farby na jej policzku, brodzie...

Dwadzieścia liktorów było kwotą iście królewską. Widocznie tym pacykarzom płacono nieprzyzwoicie hojnie. Myśli te przychodziły Mocarzowi do głowy jakby z daleka, ponieważ wezbrał w nim gniew. Propozycja malarzyny ogłoszona wobec połowy miasta jeszcze ów gniew wzmogła. Żeby zostać pomalowanym na niebiesko, jak jakiś błazen, i to na oczach wszystkich! A potem na odczepnego dostać napiwek i zostać odprawionym!

Mocarz ryknął, aż na szyi nabrzmiały mu żyły:

– Zejdiesz na dół i mnie wytrzesz, a potem cię zabiję!

Przez chwilę postać na rusztowaniu ani się nie poruszyła, ani nie odpowiedziała. Cała ulica w napięciu, jak jeden mąż, nasłuchiwała, co powie.

– Dostojny panie niesłusznie i niezasłużenie ochlapany! Składam wyrazy najuniżeńszego, najszczerzego, z głębi serca płynącego ubolewania, ale wolałbym rzucić ci parę ręczników i, dajmy na to, dwadzieścia pięć liktorów!

– Rzucić mi napiwek, mówisz?! Oddam ci z nawiązką, jak dobędę miecza! – rozdarł się wściekły Mocarz na całe gardło. Wskoczył na jedną z wielkich beczek z farbami ustawionych na bruku pod wielokrażkiem i dopadł rusztowania. Zaczął wspinać się po nim tak samo, jak wielokrotnie pod ostrzałem wspinał się na blanki na równie zawrotną wysokość.

– Z żalem, z wielkim żalem nalegam, żeby nie wchodził pan na moje rusztowanie! – krzyknął malarz i zniknął z widoku.

Mocarz poczuł, jak rusztowanie drży pod stopami zbliżającego się mężczyzny biegnącego do miejsca, do którego on sam zmierzał. Umorusana twarz wychynęła zza barierki na ostatniej kondygnacji dokładnie nad głową Mocarza, który wspinał się bardzo szybko i był już na trzecim poziomie. Widział teraz tę twarz znacznie wyraźniej: wystające jak u fretki kości policzkowe, za mały nos i cofnięta szczęka.

– Nie wchodzić na twoje rusztowanie, mówisz?! – wrzasnął Mocarz i przyśpieszył.

Malarzyna zniknął z pola widzenia, po czym znów się pojawił – z długą, ciężką kładką, którą ścisnął w połowie długości – i znów się wychylił z rusztowania. Wstrętne fretki były silniejsze, niż się wydawało.

– Proszę, zatrzymaj się, panie! Błagam! Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro!

Mocarza dzieliły od nieszczęśnika tylko dwie kondygnacje. Nie zwalniał. Jeszcze trzy skoki i zaciśnie palce na jego gardle.

Niespodziewanie kładka wypadła malarzowi z objęć. Niczym taran uderzyła krawędzią w zaciśnięte na drągach dłonie Mocarza, który odpadł od rusztowania.

Od samego początku tego starcia reakcje Mocarza były jakby odrobinę opóźnione. Teraz także. Spadł już trzydzieści stóp w dół, kiedy zaczął robić salto w tył, żeby wylądować na nogach.

I pewnie by mu się udało, gdyby nie stojąca na kozłach wielka beczka z farbą, która znalazła się na jego drodze. Mocarz przebił barkiem wieko i kolanami wylądował w jej zawartości. Farba trysnęła niczym gejzer, rozpryskując na wszystkie strony kolorowy wieniec, przed którym cofnął się, wprawdzie szybko, ale nie dość daleko, zgromadzony tłum.

Jednak ludzie zaniemówili z wrażenia nie z powodu oblania farbą, tylko dlatego, że krótka wymiana zdań między fechmistrem a malarzem skończyła się tak widowiskowo. Najgłośniejszy dźwięk na całej ulicy dobiegał z rusztowania, po którym śpiesznie schodził malarz.

– Przyjaciele! Sąsiedzi! Pomóżcie! Proszę! On utonie! – wołał z rusztowania, patrząc na rozbitą beczkę.

– Już utonął! – krzyknął ktoś z tłumu. – Patrzcie!

Z beczki wystawały obute w sandały stopy oraz kostropate golenie Mocarza i drgały spazmatycznie w powietrzu. Następnie zamarły w bezruchu jak dwa groteskowe kwiaty sterczące z bladopurpurowego stawu.

– Przyjaciele! – odezwał się malarz. – Wszystko widzieliście! Chyba nie winicie mnie za to zajście?

– Nikt pana nie obwinia. – Głos zaskoczył wszystkich. Mężczyzna, do którego należał, stał z boku: chudy, siwobrody, w wytartej skórzanej kurcie. – Szanowni obywatele! To był tragiczny wypadek, nic więcej! Nie mniej tragiczne jest oszpecenie waszej ulicy, waszego odzienia! Poczucie obywatelskiego obowiązku każe mi naprawić szkody.

Na jedno uderzenie serca, może dwa, zrobiło się jakby ciemniej. Słońce nie świeciło na złoto, tylko raczej jak ciemny miód, a ulicę spowiła aura wczesnego wieczoru, kiedy zaczynają się zapalać latarnie. Malarz, który ciągle trzymał się kurczowo rusztowania, zamrugał i potrząsnął głową.

I wtedy znów zrobiło się jasne południe, ludzie się rozchodzili, wzmógł się cichy gwar ich rozmów, jakby nigdy nic. Malarz zobaczył, że na ubraniach nie ma ani jednej wrzosowej plamki, tak samo jak na bruku. Siwobrody nieznajomy uśmiechnął się do niego i zapytał:

– Zejdiesz? Mogę wiedzieć, jak się nazywasz? Jestem Nestor Kataster z Karkmahn–Ra. Do usług.

– Nazywam się Nakrapianyton, majster malarski, do usług waszmości. Mów do mnie Ton, panie.

Mężczyzna zeskoczył na ulicę. Nie był wysoki, za to mocnej budowy i zwinny. Cechowała go uprzejmość i kurtuazja w obejściu. Ogorzałą skórę wokół błękitnych oczu miał pomarszczoną, jakby wciąż intensywnie przyglądał się wysokim fasadom i wymyślał im nową kolorystykę.

– Tonie, jeśli mi pomożesz, złożę tego tu nieszczęśnika do grobu. Widzisz, zdążyłem go poznać, a nikt inny tutaj tego nie robi. W gruncie rzeczy uczciwy był z niego chłop, miał tylko tragiczną w

skutkach skłonność do wpadania w furieję.

– Jesteś, panie, wyjątkowym i wielkodusznym człowiekiem! Jest mi bardzo przykro, że niechcący...

Nowy znajomy Tona odwrócił się i grzecznie zatrzymał przejeżdżającą ulicą furę. Okute metalowymi obręczami koła hałasowały niemiłosiernie, ale pojazd był pusty. Mężczyzna powiedział coś poważnym szeptem do woźnicy, potężnego ciamajdy z włosami jak stóg siana. Widać było, jak na jego twarzy zaczyna malować się osłupienie. Wziąwszy od maga ciężką sakiewkę, wyprzągnął z wozu małego płoda i odprowadził zwierzę na bok. Kataster skinął na malarza.

– Czy możemy, Tonie, użyć twojego wielokrążka do umieszczenia beczki z biednym Mocarzem na wozie?

Dokonali przenosin, Kataster poklepał czule nogę Mocarza i wygłosił mowę: Nieboszczyk był, wziąwszy pod uwagę jego ograniczenia, uczciwy. Któż z nas bowiem nie ma jakichś wad? Czy możemy go już zabrać do mojej siedziby? I mag gestem wskazał wejście do budynku, którego ostatnią kondygnację Ton właśnie malował.

Majster osłupiał. Wiedział – cała Helisa wiedziała – że budynek ten jest Klubem Senioralnym, luksusową kamienicą, drugim domem dla rentierów Starego Portfela i różnych znakomitości na emeryturze. Wiedział też, że za drzwiami, które wskazał Kataster, znajduje się wyłożony eleganckimi dywanami przedsionek, dość przestronny, ale nie na tyle, żeby pomieścił wielką furę, tak jak same drzwi nie były na tyle szerokie, żeby wóz mógł przez nie przejechać.

– Wciągnąć wóz do środka?

– No cóż, łapmy za pasy, zobaczymy, jak daleko wejdzie.

Spróbujemy?

Wciągnęli wóz przez próg – właściwie to nie ciągnęli, koła toczyły się jakby same – i znaleźli się wcale nie w znajomym przedsionku Klubu Senioralnego, ale w wysoko sklepionej sieni z ciosanego kamienia, ciemnej u góry, niżej zaś oświetlonej żółtawym światłem. Jakby kroczyli po delikatnie migoczącym chodniku. Wóz toczył się cicho z tyłu, a stopy tragicznie zmarłego Mocarza chwiały się w takt jego poruszeń jak dwie żałobne lilie w jeziorze wrzosów.

– Muszę ci wyznać, Tonie – odezwał się Kataster – że to ja przysłałem tu Mocarza, żeby znalazł kogoś, kto para się malowaniem. Przebieg waszego spotkania z konieczności pozostawiłem przypadkowi. Przykro mi, że dla was obu okazało się ono... stresujące. Teraz, kiedy jesteśmy już wszyscy razem, chciałbym was zatrudnić, ciebie i tego tu Mocarza, za sumę, którą, mam nadzieję, uznacie za przystojną: pięćdziesiąt tysięcy liktorów na głowę. Proponuję wynagrodzenie w brzęczącej monecie. Ze szczerego złota.

Ton otworzył usta, ale nic nie powiedział.

– Panie – rzekł po chwili – to dla mnie wielki zaszczyt, że w twych oczach moje usługi warte są tej ceny, i oczywiście bardzo chętnie dowiem się, co zamierzasz. Jednakże, choć wolałbym umrzeć, niż cię urazić – dodał – muszę zapytać, czy pan Mocarz, jako że... cóż... martwy, nie stanowi przeszkody w twych zamiarach.

– O! – wykrzyknął Kataster. – Tu jest taras! Należę wszystkim czegoś orzeźwiającego!

W rzeczy samej, tuż przed nimi tunel kończył się błyskiem słonecznego światła. Wyszli na cudowny taras jakiegoś wiejskiego dworku, który przylegał do zbocza wysokiej szarej góry. Ton przystanął i spojrzał w bezkresne przestrzenie błękitnego nieba. Znajdował się tak



daleko od miejsca, w którym był parę minut temu, że mogło to oznaczać tylko jedno: już został zatrudniony. – Czy aż tak daleko zaszedliśmy? Czy to, co ledwie widać na równinie, to Helisa? Czy znajdujemy się w Syderionach?

– Po trzykroć tak.

Ton patrzył na Helisę, maleńki stożek błyszczący na rozległej równinie, która rozpościerała się od podnóża gór.

– Wielmożny panie, oszołomił mnie... zaszczyt, który mnie spotkał.

– To ja jestem zaszczycony. A teraz pomóż mi przy Mocarzu.

Opuścił burtę z tyłu wozu. Odciągnęli powrozy, beczka z farbą runęła na ziemię, a z niej wypadł martwy wrzosowy Mocarz. Jego ciało z wyjątkiem nóg od kolan w dół było śliskie jak wydra.

Kataster wykonał jakiś gest i wóz zeskoczył z tarasu, po czym odjechał w górskie kotliny. Czarodziej wyciągnął skądś kubek, zamarkował jego opróżnianie nad kałużą farby i wszystkie plamy koloru zeszły z tarasu oraz nieboszczyka i zebrały się w kubie. Kataster wrzucił go w otchłań.

Następnie wyczarował drugi kubek, chwycił całkowicie wyczyszczonego Mocarza za kark i podstawił mu kubek pod twarz.

– Mocarzu – rzekł. – Wróć.

Gwałtowny wstrząs targnął mocarnym ciałem. Wojownik podniósł głowę i zaczął wymiotować. Wydawało się, że nigdy nie skończy, a kiedy jednak skończył, kubek był po brzegi pełen farby, choć nie wylała się ani kropla. Ton wziął jedną z butelek wina i podał ją uprzejmie wojownikowi, którego spojrzenie pojaśniało.

– Może chcesz łyka na oczyszczenie? – spytał.

W nieco jeszcze mętnych oczach Mocarza, gdy rozpoznał pochylone nad nim zatroskane twarze, pojawiło się najpierw niedowierzanie, a

potem oburzenie. Mógł wziąć zaoferowaną flaszkę, więc to zrobił i opróżnił ją. Wyprostował się i stał chwiejnie, gapiąc się w oszołomieniu na górskie szczyty, które ciągnęły się na wszystkie strony wokół tej ustronnej siedziby.

– Wyrzuc go za balustradę, dobrze? – życzliwie doradził mu czarnoksiężnik, wskazując pełen wymiocin kubel. Mocarz wziął go do ręki sztywnym ruchem i zaniósł na brzeg balkonu, jakby ważył tysiąc pudów. Postawił na ziemi i chwycił się balustrady. Spojrzał błędnym wzrokiem w przepaść.

– Byłem martwy! – wydał ochrypły ryk protestu skierowany do wszechświata.

Ton podszedł do niego ostrożnie.

– Nie umiem wyrazić, jak bardzo raduje mnie twoje... ozdrowienie.

– Zabiłeś mnie!

– Nie! Przeszkodziłem ci tylko w zabiciu mnie, a to skończyło się twoją śmiercią! Chyba przyznasz, że jest to istotna różnica?

Spojrzenie Mocarza przyciągała jednak przepaść. Najwyraźniej nie miał żadnych przemyśleń odnośnie do dywagacji na temat przyczyny i skutku. Jeszcze raz oznajmił kryształowo czystemu górskiemu powietrzu: – Byłem martwy! – a w jego głosie ton protestu równoważyło teraz zdumienie.

– Chodźże, mój drogi, dostojny Mocarzu – ponaglił go Kataster – zrzuć kubel z balkonu i napijmy się jeszcze wina.

Uniósłszy kubel, wojownik skierował podchwytliwe pytanie do majstra malarskiego:

– Jak się nazywa ten kolor, w którym utonąłem?

– Wrzosowy.

Mocarz wypuścił kubel z ręki, jakby miał do czynienia z jadowitym

wężem, i zadrżał, patrząc, jak spada – jego Śmierć – w pustkę, coraz mniejszy...

Siedząc w wygodnych fotelach, spoglądając w dal nad przepaścią, popijali wino. Mocarz od czasu do czasu, między jednym łykiem a drugim, zamyślał się nad własną ręką, która trzymała flaszkę, i nad samą flaszką, ale szybko opróżniał kieliszek do dna i nalewał sobie kolejny.

– Panowie – odezwał się Kataster – wasze zadanie jest najwyższej wagi. Żeby zrozumieć, dokąd was chcę wysłać, musicie najpierw przyjąć, że światło nigdy nie ginie, nigdy też nie zaginie. Po drugie, musicie pojąć, że czas to światło. Nie tylko światło nie ginie, również – tak jak blask eonów – najmniejszy drobiazg krąży po wszechświecie i wysyła światło z tego miejsca, w którym się narodził. Waszym zadaniem będzie dostać się do tej pulsującej sfery światła.

– Dostać się do tej pulsującej sfery czasu – sprecyzował Ton.

– Właśnie. A dokładnie rzecz ujmując, dostarczyć do niej drobinę światła. Ty, zacny Tonie, wkrótce zostaniesz zapoznany ze szczegółami tej części zadania, którą przypadnie ci wykonać.

Czarodziej przerwał i zadumał się. Mocarz chrząknął.

– Ten tu człek – odezwał się – ta paskuda latająca po rusztowaniach, na pewno zrobi to, czego żądasz. Ale żeby wpędzić mnie w kłopoty, pomalować na wrzosowo na oczach całego miasta, utopić w farbie i wskrzesić tu, w tym miejscu, po to tylko, żebym również wziął udział w tym pacykarskim interesie?

– Twoje przypuszczenia są całkowicie słuszne, drogi Mocarzu, i szczerze boleję nad zrozumiałą skądinąd urazą, którą słyszę w twych słowach. Musieliśmy z konieczności zdać się na przypadek, a ten okazał się strasznie dla ciebie niezycliwy.

I obawiam się – ciągnął Kataster – że taki sam przypadek będzie rządził twoim udziałem w misji, z którą wkrótce cię wyślę. Pocięgą niech ci będzie przynajmniej to, że cel tej misji znajduje się opodal. – Wstał i poprosił, żeby podeszli do balustrady. – Nie dalej niż trzydzieści mil na południe. Marsz tam zajmie wam niecałe trzy dni.

Ton i Mocarz zapatrzili się na Góry Syderiońskie, na grzbiecie których się znaleźli. Wiedzieli, że łańcuch groźnych, ostrych i ośnieżonych szczytów ciągnie się setki mil na południe.

– Trzydzieści mil lotem ptaka? – zdumiał się Ton. – Niecałe trzy dni? Chyba masz na myśli miesiąc podróży.

Mocarz zdawał się błędzić myślami.

– Wskreszenie... – mrucał. – Jakie to dziwne, takie poznawanie świata... od nowa...

Czarodziej uśmiechnął się ze zrozumieniem. Na pytanie Tona odpowiedział:

– Nie rozumiałeś istoty misji. Kiedy mniej więcej za godzinę w nią ruszycie, góry te będą już starte z powierzchni ziemi. Wszystko, co po nich zostanie, to łagodnie pofalowana wyżyna. Nią podążycie. A teraz chodźcie do moich składów wybrać odzienie i broń.

Wróciwszy samemu na taras, Mocarz nie odmówił sobie wina, tak jak nie pogardził długim płaszczem i nowymi butami na grubej podeszwie ze składu Katastera. Ponadto, choć zaliczka w złocie od czarnoksiężnika nie uśmierzyła, to z pewnością nieco powściągnęła jego oburzenie z powodu mąk doznanych w beczce z farbą.

Drażniło go, że pacykarz wciąż naradza się na osobności z magiem... I wciąż, nie da się zaprzeczyć, nie zaspokoił swej ciekawości: celem ich wyprawy była odległa Przyszłość.

Kiedy Ton wrócił, miał na sobie skórzane szelki podtrzymujące

umieszczony na piersi rząd cylindrów z pokrywką. Do każdego cylindra wetknięta była fiolka z farbą, a z każdej fiolki wystawała rączka, która wyglądała na rączkę nadzwyczaj małego pędzla.

– Przyjaciele... – Mag napełnił kieliszki. – Wybaczcie, proszę, jeśli moje rady przed podróżą wydadzą się wam zbyt ogólne. To najtrudniejsze zadanie maga: skąpić wskazówek w sytuacji, kiedy przypadek stanowi najważniejszy składnik czarów. Wasze zadanie muszę z konieczności opisać eliptycznie.

W miejscu, które wymieniłem – ciągnął – leży Minion, miasto gwarne, nigdy nie zasypiające mrowisko, wieczny karnawał hazardu. Cel waszej podróży znajduje się w Kryształowych Grzebieniach, kilka mil na wschód od miasta, ale przygotowania musicie rozpocząć w Minion. Tam zdobędziecie materiały, które wskaże szacowny Ton. Najmijcie jakiegoś dziarskiego tragarza, który nie tylko nosi ciężary, ale też umie biegać i bić się, i załadujcie do bagaży wszystko, czego będziecie potrzebować w Grzebieniach.

W którymś momencie przed opuszczeniem Minion – tłumaczył czarodziej – spotkacie się ze swym trzecim kompanem, ale jak do tego dojdzie, nie potrafię powiedzieć. Poznacie go bez żadnych wskazówek, ponieważ on też będzie w drodze do Grzebieni. Dostać się do nich można podziemnymi tunelami. Tam na pewno dojdzie do zatargu z ludźmi, którzy kują i kruszą kryształy od spodu. Wasz kompan będzie wiedział, gdzie jest wejście do tuneli.

Wówczas przydadzą się, Mocarzu – mówił Kataster – umiejętności wojownika, którymi słyniesz. Wszak pamiętaj, że wasza misja ma w istocie charakter dobroczynny. Nie musisz niepotrzebnie przelewać krwi, jeśli wystarczy tylko spuścić komuś tęgie lanie. Kiedy już będziecie w Grzebieniach, powinniście uważać, żeby nie zrobić

krzywdy ich mieszkańcom, Slymirom, choć obawiam się, że są w najwyższym stopniu niebezpieczni i do tego mogą zazarcie atakować. A kiedy dotrzecie do prymitywnego Archiwum Slymirów, czyli do ich groty z runami, zostanie wam do wykonania ostatnia, najważniejsza rzecz. Ton będzie bardzo potrzebował pomocy przy budowie rusztowania, które jest niezbędne do tego, by mógł osiągnąć ogromnego sklepienia i dokonać tego ostatniego, najwyższej wagi aktu.

– I mam pomóc mu budować to... rusztowanie?

– Tak.

Mocarz wzdrygnął się gwałtownie, jakby każda komórka jego ciała przypomniawszy sobie tak przecież niedawne przeżycia na rusztowaniu. Wymacał pod pancerzem sakiewkę ze złotymi liktorami – zaliczkę od Katastra. Kontakt z sakiewką przyniósł mu pewną pociechę, co stwierdziwszy, znów się wzdrygnął, ale już nie tak mocno.

– Zatem, panowie – mag się uśmiechnął – wejdźcie, proszę, na balustradę i stańcie na palcach. Zróbcie krok do przodu i szczęść boże.

– Balustrada nie pozwala iść do przodu – zaprotestował Mocarz, ale odruchowo stanąwszy na niej prawą stopą, poczuł, że przesuwa się ona lekko do przodu i zatrzymuje na poziomie skały, a on sam stoi na rozległej, pofalowanej równinie zalanej różnym blaskiem znacznie czerwieszego słońca. I jest południe...

\* \* \*

Rankiem trzeciego dnia marszu zmęczony Mocarz został trochę w tyle i patrzył, jak Ton się oddala. Choć niewysoki i krępy, gagatek był mocno zbudowany i zwinny. Nauczył się po tym terenie chodzić miarowym, tanecznym krokiem, w którym z początku Mocarz widział brak godności i jako takim pogardzał, ale który w końcu został

zmuszony naśladować – bardziej ociężale, co rozumiałe.

Na bezkresnej równinie regularnie – o czym szybko się przekonali – padał deszcz, a wątłe światło czerwonego tutejszego słońca dostarczało tyle energii, że w spękaniach granitowych skał bujnie rozwijały się porosty i algi. Zielono–purpurowe narośla tworzyły sprężysty, lecz zarazem przyklepny dywan, w którym grzęzły buty, a gdy się je wyciągało, mocno je trzymał.

Mocarzowi nie podobał się ów świat z jego czerwonym półmrokiem, który miał być dniem. Co się stało ze słońcem? Gdzie podziła się jego dzikość i złoty żar? Kraina wyglądała na niezbyt ludną. W oddali widzieli jakieś karawany, a przynajmniej coś, co przypominało ludzi siedzących na wierzchowcach o patykowatych nogach, jakichś pojedynczych wędrowców, jakieś małe grupki. Na oko połowę z nich stanowiły istoty ludzkie. Od czasu do czasu na zielonych kobiercach pojawiały się gromady skubiących porosty skalnych ropuch, bezogoniastych płazów wielkości konia, które kolebiąc się na boki i pełzając, przenosiły się z pastwiska na pastwisko. Żadne z owych stworzeń nie okazywało najmniejszej chęci zatrzymania ich w drodze. Wszystkie były zajęte swoimi sprawami na tej innej Ziemi, a Mocarza drażniło, że nie potrafi sobie tych spraw wyobrazić. Czym się tu wszyscy zajmowali?

Irytowało go także ciągłe milczenie Tona. Oczywiście na początku powiedział mu, że nie chce z nim rozmawiać, ale przecież człek mógł się do niego odezwać raz czy drugi! A on maszerował i milczał jak zaklęty od ponad dwóch dni, jedynie podczas rozbijania obozu na noc rzucał kilka uprzejmości.

– No dobrze! – W końcu Mocarz wybuchnął i Ton odwrócił się ku niemu.

W ostatniej kwadrze wędrówki nad tym bezkresnym lądem słońce z czerwonego zrobiło się purpurowe, a niebo na wschodzie nabrało kasztanowych odcieni. Poruszając się w powietrzu tak nasyconym barwami, mieli wrażenie, że są pod wodą.

– Chciałbym się dowiedzieć – szorstko zwrócił się do Tona Mocarz – wszystkiego, co tobie wiadomo na temat naszego zadania. Ze zwykłej grzeczności, jak sądzę, powinienes być już się ze mną podzielić tą wiedzą!

– Pozwól, że zapytam – odparł Ton. – Życzysz sobie, żebyśmy znowu rozmawiali ze sobą?

– Czy nie to właśnie powiedziałem?

– I żebyśmy odtąd rozmawiali już stale?

– Tak.

– Cieszę się niezmiernie. Najdokładniej jak tylko potrafię opowiem ci, co nakazano nam zrobić. O wielu sprawach nie wiem, jeszcze więcej nie jest dla mnie jasnych, więc... musimy być cierpliwi.

– Oczywiście! Masz mnie za prostaka?

– Co to, to nie! Chociaż zaciekle mnie goniłeś i chciałeś zabić za drobną niezręczność! To chyba zrozumiałe, że powinienem zapytać.

– Pytaj zatem.

– Więc dobrze. Moje zadanie polega na tym, że mam coś dostarczyć Slymirom. Tym czymś jest światło. Przybierze ono postać barw, które naniosę w jednym miejscu na sklepienie wiszące nad ich siedzibą w głębi Kryształowych Grzebieni. Dlatego mam ten bandolier z farbami.

Wskazał na pas, którego, jak zdążył zauważyć Mocarz, nie zdejmował cały dzień, dopiero przed snem zawijał w płaszcz i zabierał ze sobą na posłanie.

– A jakich kolorów masz użyć?



– Jeszcze nie wiem. Zorientuję się, dopiero gdy zobaczę to miejsce. Miejsce zawsze mi podpowiada, jakie barwy trzeba położyć.

– Zatem gdzieś pod ziemią, w miejscu, jak rozumiem, wywołującym zawrót głowy, mamy zbudować rusztowanie sięgające sklepienia, żebyś mógł na nim położyć farby, ale jakiego koloru, jeszcze nie wiesz.

– Właśnie.

– Ktoś mógłby zapytać... – Mocarz próbował nadać swemu pytaniu grzeczną formę – czy to dziwaczne i trudne zadanie ma jakiś cel poza tym, że zmusza nas do niebywałego wysiłku?

– Kataster powiedział, że celem naszej misji, co nie do końca rozumiem, jest, używając jego słów, ocalenie tego świata.

– Ocalenie tego świata. Ocalenie przyszłości naszego świata.

– No tak. Tak sędzę.

Mocarz poprawił na sobie zbroję i płaszcz. Zadanie zaczęło wyglądać na godniejsze człowieka jego rangi.

– Czy możesz mi powiedzieć coś o tym, co nas czeka?

– Wiem tyle co ty. Spójrz na południowy wschód. Widzisz tę poświatę?

Nad horyzontem wisiała śliwkowa luna. Na jej tle widać było kruchy złoty pączek światła – smużkę leciutką niczym ślad pyłku kwiatowego na opuszcze palca – jakby wylaniający się z odległego zagłębienia równiny.

– To chyba Minion – rzekł Mocarz. – Chodźmy. Przed snem moglibyśmy załadować nasze... rusztowanie.

Zanim dotarli do rozległej niecki, w której jak klejnot w oprawie leżało Minion, zapadła całkowita ciemność. Już z daleka słyszeli rozlewający się po równinie szum, jakby oddech, który z bliska przemienił się we wrzawę muzyki, śmiechów i krzyków, w turkot

niezliczonych kół toczących się po chodnikach i bruku. Wreszcie ich oczom ukazało się hałaśliwe morze światel: lamp, lampionów, świec, pochodni, latarni, kaganków i zniczy.

Przekroczywszy granice miasta, od razu natknęli się na prowadzony z rozmachem handel, nawet na rzadziej zabudowanych obrzeżach opanowanych przez rzemieślników. Znajdowały się tam stajnie dla zwierząt pociągowych, warsztaty kołodziejów, sklepy zaopatrujące karawany, cegielnie i warsztaty kamieniarskie oraz stojące osobno, ale hałaśliwe karczmy, które ożywiały wszystkie te dzielnice robotnicze.

Handel najwyraźniej odbywał się nie tylko za dnia, ale i po zmroku, a pośród owej kupieckiej krzątany śmigalo w tłumie całkiem niemało dorożek – oświetlonych lampionami i rozkołysanych śpiewem – wiozących zamożnych hulaków: hazardziści z pełnymi kabzami swawolnie krążyli po swych ekstrawaganckich orbitach.

Ton uznał, że za szczeble mogą im posłużyć szprychy, które znajdują u kołodzieja.

– Potrzebne są nam mocne szczeble, niezbyt szerokie, oraz jakiś powróż grubości kciuka do ich związania.

– Powróż może mieć kramarz, który zaopatruje poganiaczy bydła – podsunął Mocarz.

– Dobrze myślisz! Spójrz tam, czyż to nie kołodziej?

Kołodziej z zaczesanymi wysoko ufarbowanymi na srebrno włosami stał w pilarni obok dwóch krzepkich pomocników.

– Hmmm – odparł. – Mam w zapasie drągi długości trzy czwarte łokcia, które mogę sprzedać hurtem. Ile chcecie?

– Potrzebuję... – Ton zamyślił się nad odpowiedzią – drabiny na co najmniej pięćset łokci wysokiej. Osiemset drągów powinno starczyć.

– Na Zastępy – mruknął Mocarz. – Będziemy dźwigać taki ciężar?

– To rzeczywiście spory ładunek – rzekł ze skrucną Ton. – Jednakże rusztowanie będzie stosunkowo lekkie, jak pajęczyna, zważywszy na wysokość, jakiej ma sięgnąć, i mój ciężar, który musi wytrzymać.

– Lepiej więc od razu najmę tragarza. Musi mieć czas, żeby wszystko załadować.

Ze stoickim spokojem schodząc z drogi rozpędzonym powozom pełnym jodłujących pijusów, Mocarz znalazł niedaleko powozownię, która sąsiadowała z bardzo ruchliwą karczmą, ale żeby w promieniu dwóch łokci znaleźć tragarza, musiał się niezłe natrudzić. Jeden leżał na świeżej słomie na brzuchu z brodą opartą na muskularnych rękach.

– Czym mogę służyć? – burknął.

– Chcę nająć jednego z twoich konfratrów do przeniesienia ładunku przez tunele do Kryształowych Grzebieni. Droga będzie mozolna, w dodatku trzeba się będzie bronić przed uzbrojonymi bandami.

– Masz duże wymagania.

– Tak jest. Najbardziej zależy mi na tragarzu, który potrafi walczyć.

– No cóż, wszyscy potrafimy, kiedy musimy. – Pomysł napadania na tragarzy wydał się Mocarzowi dziwny i nierozważny. Ten miał muskularne ramiona i krótkie, ale równie mocne nogi oraz grube stawy, a pięści jak bochny. – Muszę však przyznać, że praca, którą proponujesz, wykracza poza moją chęć do bitki. Najalbym się wyłącznie do przejścia tuneli Rębaczy za odpowiednią zapłatą, ale...

– Zgadząmy się, żebyś podał swoją cenę.

Tragarz namyślał się nad propozycją, jak każdy zrobiłby na jego miejscu.

– Tunele, owszem – rzekł w końcu – ale piąć się na Grzebienie? Nie wiem. Jest jednak tutaj mój ziomek, który z pewnych względów jest znacznie bardziej łasy na bręczące złoto.

Drugiego tragarza Mocarz ujrzał skulonego na boku i spokojnie pochrapującego. Zdziwił się na jego widok. Spodziewał się kogoś młodszeo, bardziej wojowniczeo, a ten miał już jesień na prawie całkiem posiwiałym karku.

Ponieważ na nic zdały się słowa powitania, Mocarz szturchnął go ostrożnie. Tragarz natychmiast się obudził, a kiedy Mocarz się przedstawił, ze spokojem zaproponował spacer po podwórzu, żeby całkiem oprzytomnieć. Mijali kolejne stodoły, kolejne zagrody i śpiących tragarzy, a Mocarz w tym czasie wyjaśniał, czego potrzebuje.

Tragarz przystanął, po czym usiadł na beli siana. Gładził się po brodzie, a jego palce wyglądały na niepomierne duże, nawet przy jego masywnej szczęce.

– Tak. Znam drogę, którą można przejść przez tunele. Sprzęt trzeba zorganizować szybko, czego mogę się podjąć. Lecz co do Grzebieni... to nie mam pojęcia, jak to zrobić. Potrafię się wspinać, ale nie aż tak dobrze, jak tego wymaga ostatni odcinek. No i wasze rusztowanie dodatkowo mnie obciąży. Będę bronił was przed Szymirami do ostatniej kropli krwi, ale nie wiem jeszcze, jak to zrobić.

– Ani ja. I boję się... że nie wolno nam żadnego z tych Szymirów zabić.

– O! Nawet gdybym potrafił, nigdy bym ich nie zabił!

– Czemu nie?

Tragarz uśmiechnął się słabo.

– Potraktujmy to... jako takie moje widzimi się. Dobrze. A teraz, wybacz, panie, że wróćę do warunków umowy. Czy mam podać absolutnie dowolną cenę?

– W rzeczy samej.

Tragarz natychmiast podał sumę, która oszołomiła Mocarza.

Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie głosu. A kiedy już wydobył, poczuł, jakby mu wykiełkowało coś na żebrach i rosło. Była to schowana pod pancerzem sakiewka, którą dał mu Kataster. Musiał teraz rozpiąć troczki, żeby wyjąć ciężący mu ni z tego, ni z owego woreczek, i podał go tragarzowi.

– No, dobrze. Jestem Mocarz, a mój partner nazywa się Ton.

– Ja jestem Jacques.

Zarzucił nosiłki na szerokie jak góra plecy, a ramiona i nogi włożył w potężną uprząż zapinaną na odpowiednio potężne sprzączki. Odnaleźli Tona u kołodzieja. Razem z innymi uwijał się przy wiązaniu sznurem drągów w pęczki. Jacques uwolnił się z uprzęży, a oni zaczęli przywiązywać do niej przygotowane zwoje drabiny.

Nagle na podwórzu kołodzieja rozległ się hałas i szuranie podeszew. Wysoki chudy człowiek umykał przed następującą mu na pięty pogonią. Otarł się o Mocarza, ale Tona nie udało mu się minąć, potknął się i rozłożył jak długi, jego prześladowcy zaś wpadli prosto na nich.

Grupa pościgowa, czyli jakiś tuzin chłopów, mocno napitych i nieprzytomnych z wściekłości, złapała za drągi i powrozy i zaczęła nimi okładać po równo tragarza, kołodzieja i resztę. W beretach i frymuśnym odzieniu wyglądali na zamożnych bywalców domów gry, ale bili się zaciekle i nieustępliwie, choć musieli stawić czoło rozgniewanemu Jacquesowi oraz Mocarzowi i odważnemu kontratakowi poprowadzonemu przez Tona wespół z kołodziejami i tyczkowanym nieznanym.

Po krótkiej, acz ostrej kotłowaniu mocniejsze, bardziej zaprawione w walce osiłki szybko powaliły napastników co do jednego. Ścigany wyraził wdzięczność, a także całkowite zaskoczenie motywami, jakimi kierowali się jego prześladowcy. Giął się w dziękczynnych

ukłonach, w których dała się wyczuć ta sama żylasta siła, jaką wykazał w bijatyce. W świetle pochodni w jego ostrym profilu wyróżniała się mocna szczęka i orli nos, a w twarzy miał coś pociesznego i niepewnego zarazem.

Mocarz zaczął wyciągać obitych hulaków na ulicę, reszta zaś wróciła do umieszczania ładunku na nosilkach Jacquesa.

Nieznajomy przyłączył się do Mocarza. Kiedy wynieśli dwóch ogłuszonych prześladowców na bruk, nieznajomy skłonił się uprzejmie.

– Waszmość, wpadłem tutaj, bo zwyczajnie szukałem jakiegoś ukrycia przed napastnikami. Jestem Kugel, a moje imię zostało, nie można powiedzieć, nieco upiększone przezwiskiem Sprytny. Jestem wędrownym przedsiębiorcą, nad wyraz wdzięcznym ci za pomoc.

– Nie ma za co. Jestem Mocarz, obcy w tych stronach.

– Powiedz mi, dobry Młocarzu...

– Mocarzu. Jestem Mocarz Bezlitosny.

– Powiedz mi, dostojny Mocarzu, czy przybyłeś tu się wzbogacić?

– Przeciwnie. – Ciągnęli kolejną dwójkę zamroczonych hulaków w ubłoconych fatalaszkach. – Mamy tu misję do wypełnienia.

– Czy mogę szepnąć ci słówko? Rzucić tylko pomysł? Tunele Rębaczy pod Kryształowymi Grzebieniami. Bogactwo klejnotów i soczewek.

– Potrafisz znaleźć te tunele? Odnaleźć do nich wejście?

– Nic łatwiejszego! Dla mnie, oczywiście – dodał poważnie.

Wtedy Mocarz poznał w nim trzeciego kompana, spotkanego przypadkiem i tak jak oni będącego w drodze, ale wzdragał się dać mu wolną rękę, jak miał przykazane, bo na pierwszy rzut oka wyglądał na nicponia i złoczyńcę, który, jeśliby mu zapłacić z góry, na pewno

przypadłby bez wieści.

– Rozumiem, dobry Kuglu, że potrzebujesz sprzymierzeńców, żeby dotrzeć do Grzebieni.

– Nie! Żeby przebyć tunele.

– Jasne, jasne. – Mocarz obsztorcował się w duchu za to, że omal nie ujawnił celu ich wyprawy, i przybrał ton prostodusznego zapaleńca.

– Co za cudowny zbieg okoliczności to nasze spotkanie, bo my też mamy zamiar spenetrować tunele Rębaczy! Im więcej rąk do obrony, tym lepiej.

– Zgadzam się w całej rozciągłości! – rzekł Kugel. – Rzeczywiście, moim celem jest kryształ. Byłem właśnie w jaskini hazardu, próbując zdobyć fundusze na swoją wyprawę, gdy napadli mnie ci awanturnicy.

Ciągnęli teraz ostatnią parę nieprzytomnych utracjuszy.

– To ci dopiero! – wyraził mu współczucie Mocarz, starając się ukryć sardoniczny uśmiech. – Chcesz waść powiedzieć, że zakłócili ci zabawę?

– Nie! Siedzieli przy moim stole! Wyobrażasz to sobie?

– Wstrząsające!

Kiedy nosiłki tragarza zostały załadowane zwojami drabiny, wyważone, ściągnięte pasami i sprawdzone, Jacques zabrał wszystkich do tartaku, a następnie do stolarni, gdzie doglądał wykonania olbrzymiego drewnianego tłoka z trzonkiem pasującym do jego dużych dłoni: do oczyszczania tunelu, jak się wyraził. Kugel swoje przygotowania ograniczył do nabycia solidnego, pojemnego chlebaka. Udali się do zagrody Jacquesa z półamforową butlą cierpkiego skaldańskiego wina. Wszyscy trzej siedli na sianie, trzymając oburącz wielkie kielichy.

Dowiedziawszy się o przypadkowej zbieżności celu Kugla z ich

własnym, Ton kiwnął głową do Mocarza, jakby chciał powiedzieć: oto spełnia się przepowiednia dotycząca naszego spotkania.

– Żałuję – zwrócił się do Kugła – ale złożyliśmy przysięgę, że nie będziemy mówić o naszych sprawach w kopalniach, musimy jednak – wybaczyć nam – dowiedzieć się o twoich zamiarach, aby się upewnić, że nie kolidują z naszymi.

Kugel z widocznym smakiem osuszył kielich.

– Moje przedsięwzięcie dotyczy przepysznej umowy handlowej, którą śmiało mogę się pochwalić. Nawiązałem współpracę z kilkoma Rębaczami, którzy skonfiskowali dla mnie mnóstwo pierwszorzędnych dodekanów! Nie muszę tłumaczyć, że z uwagi na tak cenną kontrabandę moje spotkanie w kopalniach musi się odbyć dyskretnie.

– Nasza misja – mruknął zamyślony Jacques – może ci w tym przeszkodzić, bo, jak przewidujemy, pojawienie się obcych wywoła pewne poruszenie.

– Nie przeczę – przyznał Kugel. – Mam jednak nadzieję uczestniczyć w waszym przedsięwzięciu do chwili, kiedy będę musiał... zająć się swym sekretnym zadaniem. W szybach odbywa się mnóstwo nielegalnych transakcji, a w sztolniach, w których znajdują się pomosty prowadzące ku Grzebieniom, panuje wielki tłok, można się więc stamtąd zawczasu ukradkiem wymknąć.

Wielkie czarne oczy tragarza szukały spojrzenia Mocarza i Tona.

– Macie coś przeciwko temu, by nam pomagał tylko do czasu?

Mocarz rzekł:

– Cieszymy się, że nasze przedsięwzięcie, jak się zdaje, zapewni ci ochronę. Czy możesz powiedzieć nam troszkę więcej? Co to, na przykład, są dodekany?

– Odpowiem ci zupełnie szczerze. Są to szlifowane fasetowo



kryształ o dwunastu ściankach, formowane w soczewki używane w działach żarowych, które służą do wzmacniania blasku słońca. Mogę wam nawet wyznać, że mam już na nie kupców: Bibliionitów, którzy teraz oblegają Muzeum Człowieka, żeby obrabować Kustosza Guyala i wypuścić na wolność niezliczonych karłów. Tylko i wyłącznie dzięki tym armatom, choć nie mieli ich dużo, udało się oblegającym obalić potężne mury.

Tragarz pokiwał dużą głową i ciągnął w zamyśleniu:

– Ja ze swej strony zawsze wątpiłem w uczciwość Bibliionitów. Czy naprawdę mają taki filantropijny zamiar zalania Ziemi wszystkimi tymi zagrabionymi tekstami? Niemniej... w drodze do celu, choć nasz się różni od twojego, jestem skłonny skorzystać z pomocy twego doświadczenia i ostrza. Panowie? – Zwrócił się do swych pracodawców.

Na podwórze wpadł zimny wiatr, poufale zakradając się im pod ubranie niczym palce kieszonkowca. Jego woń i natrętny poszept wydawały się nieziemskie, a właściwie jakby nadciągały z całej Ziemi jednocześnie: był w nim ostry zapach nocnego oceanu, zwarzonej roślinności podbiegunowej tundry, zielonej wilgoci bezkresnej dżungli i wszelkie odgłosy niespokojnej atmosfery, i chłodny podmuch absolutnego zimna panującego w przestrzeni międzygwiazdnej... Ulicą – teraz już od dłuższej chwili pustą – przemknął jakiś człowiek i skręcił na podwórze.

Zmierzająca w ich stronę postać zawinięta w długą czarną pelerynę z kapturem była zarówno wysoka, jak i szeroka w ramionach. Nie dało się zauważyć żadnego rytmu kroków, jakby gładko sunęła w powietrzu, jakby nic jej nie zatrzymywało nawet na chwilę, jakby wciąż, bez końca, się zbliżała, ale nigdy nie miała do nich dotrzeć. I wszyscy czterej,

połączeni zachwytem, przyglądając się jej, poczuli z nagłą, że świat, w którym się znaleźli, jest innym światem.

Niebosięzny gość zatrzymał się przed nimi. Uniósł ręce uformowane ze smug dymu i zdjął kaptur. Pod nim, pod falującymi kosmykami czarnego dymu, ukazała się kula złożona z oczu – samych oczu, nieprzeliczonych – bo każde oko w powiększeniu stawało się kulistym skupiskiem kolejnych miriad oczu, a każde z nich najwyraźniej przepełniały wspomnienia i znaczenia...

I w jednej chwili wszyscy czterej oniemiaли wędrowcy poznali te wspomnienia. Poraziła ich, przyprawiła niemal o szaleństwo uroda świata burzliwie odbijająca się w owych oczach. Ich umysły rozwiały się pod niebem wybrukowanym gwiazdnym ogniem, a może zapełnionym flotyllą cumulusów oświetlonych promieniami słońca, gnały przez wybrzeża, góry i doliny, dosiadały preriowych wichrów wygładzających ciemnozłotą sierść ziemi, mijały czerwono–lazurowe pustynie usiane rzeszą kaktusów niczym grubymi zielonymi płomieniami, oglądały drewniane wioski wyrosłe na pokrytych lasami wzniesieniach przedgórza – wszystko jednocześnie, a tymczasem ich sercom rzeczy zostały objawione z bliska: serdeczność matki, promieniejące niemowlę leżące w kołysce albo na marach, pożegnalny pocałunek składany na twarzy białowłosych bliskich, gasnące spojrzenie straszliwie cierpiącego wroga zadźganego podczas rozruchów, pobożne spojrzenia towarzyszące kładzeniu kamienia węgielnego pod świątynię...

Porwani przez huragan zwielokrotnionej psychiczności, pospadali na ziemię i pełzając wśród źdźbeł słomy, na ślepo próbowali zachować rozsądek w wirze słów i z zamętem w sercach, a gdy tak kulili się w tej nawałnicy, usłyszeli głos wewnętrzny, który był głosem przybysza:

– Nie ważcie się swego niegodnego dzieła kontynuować. Jestem tego świata przyszłością i przewidzianym końcem. Jestem tego świata umierania świadkiem, są we mnie stulecia, które na mnie się kończą. Brzemienna całym zapamiętanym ich zasięgiem, ogarnę ich wieczność. Jestem tego świata przyszłością, a wam nie uda się mnie anihilować.

Długo trwało, zanim się otrząsnęli z zamroczenia i zrozumieli, że są osamotnieni. Podnieśli się i znów stanęli na twardym gruncie. Gdy spojrzeli sobie w oczy, wiedzieli, że to nie był sen. Jacques wyciągnął zza pazuchy pękata sakiewkę od Katastra i podał ją Mocarzowi.

– Stokrotnie przepraszam. Nie czuję się na siłach ruszyć przeciw takim mocom.

– Nie przepraszaj – rzekł Ton i odchrząknął. – Weź swą zapłatę. Zostaliśmy zaopatrzeni w środki... chroniące przed Nią umysł i ducha. Wybaczcie, zaskoczyła mnie. Na następne spotkanie będziemy przygotowani.

Wypili w zamyśleniu.

– Duch tego, co ma nadejść... – mruknął Mocarz. – Czy jesteśmy mordercami całej przyszłości?

– Ano, będziemy – zgodził się Ton z poważną miną – jeśli wybawimy tę ziemię od przewidzianego końca.

Nalali sobie jeszcze wina, w milczeniu próbując dojść do ładu z myślami. Kugel, który równo przez trzy dni i trzy noce szlajał się po jaskiniach hazardu, umościł sobie ze słomy legowisko i zapadł w sen. Pozostała trójka, rozmawiając ściszym głosem, próbowała nabrać trochę lepszego wyobrażenia na temat zadania, które miała wykonać, oraz mieszkańców Grzebieni, Słymirów.

Mocarz w końcu podsumował, do czego doszli:

– A więc tak. Rębacze ze wszystkich sił będą starali się nas zabić,

musimy więc być czujni. Eksploatują żyły kryształu, które znajdują się pod Grzebieniami, ale jakkolwiek daleko by się dokopali, nigdy nie ośmielą się wejść do samych Grzebieni, bo czują respekt przed Szymirami. Co do owych strasznych istot, zdecydowanie różnie je sobie wyobrażamy i chyba tylko w jednym jesteśmy zgodni: nie mamy pewności, że żywią się ludzkim mięsem. Bo na pewno zabijają intruzów.

– A to dlatego – bąknął Jacques – że nie mamy pojęcia, czym się w ogóle żywią. O wtargnięciu do Grzebieni nie pomyśli nawet najbardziej zachłanny Rębacz... No dobrze. Lepiej się trochę prześpijmy, jak uważacie, panowie?

\* \* \*

O świcie w kolorze fuksji zarzucili na plecy rynsztunek i ruszyli w drogę. Lało jak z cebra. Wpierw wspinali się po zboczach kotliny, w której leżało Minion, aż wyszli na rozmokłą wyżynę, a następnie dwie mile przemoczeni do nitki maszerowali w nieustającej ulewie, tak hałaśliwej, że nie mogli rozmawiać. Gdy zbliżali się do starożytnych Kryształowych Grzebieni, starożytnych od niepamiętnych czasów, Ton – i pozostali – poczuł się jak najzwyklejsza jętka, wąty i kruchy niczym zeschnięty liść. Taki potop z pewnością zmyje ich z powierzchni ziemi, zanim dojdą do owych starożytnych cudów...

Jednak w miarę jak teren się wznosił, nawałnica słabła. Deszcz przeszedł w krótkie, gwałtowne ulewy, a z nieba zaczęło się sączyć ciemnobursztynowe światło poranka. W oddali kamieniste pagórki i skalne wzniesienia tworzyły coś na kształt diademu okalającego znacznie wyższe formacje: smukłe powykrzywiane kopuły i poszarpane górskie grzbiety z ciemnego gładkiego kamienia. Owe mroczne

megality przewyższały o jakieś trzysta łokci leżące u ich stóp gołoborza: Grzebienie ze złożami kryształu uwieczonymi pod grubą warstwą czarnego bazaltu.

Tu i ówdzie na wyżynie widać było ludzi zmierzających w to samo miejsce.

– Widzicie – rzekł Kugel – że górnicy z różnych kopalni, probiercy, buchalterzy, pełnomocnicy po prostu wszyscy korzystają z wejścia głównego. Z naszego punktu widzenia jest ono zbyt dobrze strzeżone, ale wszystkie duże kopalnie mają sporo wejść bocznych. Trudno je znaleźć na tym nierównym terenie, a cała sztuka polega na tym, żeby wypatrzeć strzegące ich wartownie. Te, chociaż również są zamaskowane, można zlokalizować.

I to się potwierdziło. Przeszukali górki i wądoły przedmurza, ale dopiero po kolejnej fali deszczu Mocarzowi udało się dostrzec za głazem na stoku ruch ręki naciągającej na głowę przeciwdeszczowy kaptur.

Niebo wciąż uwalniało przelotne ulewy, mieniające się czerwono od światła słońca, które zbliżało się do zenitu, a mgły snuły się wokół wędrowców niczym duchy. Z nagłą jednak utracili oni poczucie, że pogoda trzyma ich w uścisku. Wrażenie obejmującej wszystko dali, jakby otwierającej się nad nimi otchłani, wywoływało ciarki. Jak jeden mąż spojrzeli w górę.

Widmo przyszłości zawisło nad nimi w postaci gradowej chmury na czterysta łokci długiej i szerokiej, z wirującą koroną czarnego dymu na górze, która zdawała się wyrastać z galaktyki oczu ducha jakby z jarzących się białych węgla.

Lecz choć nappełniła ich trwogą, nie mogła wytrącić z równowagi, bo każdy, zaraz gdy wstał z legowiska, które umościł sobie był na

podwórzu stajni, wpuścił sobie do każdego oka po kilka kropli płynu z małej buteleczki, którą Ton wyciągnął z bandoliera. Po tym zabiegu podczas długiej porannej wędrówki nie zmaćił im się wzrok.

Skutek dał o sobie znać dopiero teraz, kiedy potężny duch, owa żeńska moc, uwolnił śnieżno–deszczową zamieć swego szaleństwa. Nie mogły ich teraz przytłoczyć ekscesy pamięci, przejrzystość spowiła ich jak cyklon, ale nie przedarła się przez czarodziejską powłokę.

I tak zjawy zmieniła swój charakter: od majestatu i chępliwości przeszła do morderczej panoramy wojen i zbrodni. Uderzyły w nich jak tornado wszelkie rodzaje śmierci. Całe populacje dziesiątkowane plagami: ludzie wrzucali zmarłych do zbiorowych mogił i zaraz sami umierali. Pożogi zamieniały miasta jedno po drugim w kaskady rozrzanych do czerwoności węgli, w których ludzkie gromady płonęły jak suche drzazgi. Katastrofalne powodzie wsuwały jęzory przypływów do gęsto zaludnionych dolin i zatapiały miasta, a mieszkańców zmywały z powierzchni ziemi, choć ci ze wszystkich sił walczyli o życie, jakby w jakimś dziwnym, spazmatycznym locie, aż słabli i tonęli w rozmarzeniu.

Jednak stwierdziwszy, że wszyscy czterej wyszli z tego bez szwanku, owa żeńska moc znów przemówiła do nich z ich własnego wnętrza:

– Nigdy nie dokonacie waszego świątobójstwa. Unieważniam wasz ponury układ, zanim zaczniecie go realizować.

I w zabójczym pędzie wylała się w stronę nierównego terenu, na którym znajdowały się wartownie odkryte przez ich ekipę. Falujący wszystkowidzący dym wdarł się między poprzecinane żlebami pagórki i zgęstniał jak burza trzymająca ziemię w uścisku, a w tym czasie pół tuzina mężczyzn w borych pelerynach, uzbrojonych po zęby, z dzikim wrzaskiem wyskoczyło z kryjówki i rzuciło się do ucieczki przez

posepne urwiska.

Po czym cały jej połyskujący blaskiem szlachetnych kamieni dym uniósł się do góry, cała jej substancja spłynęła do jednego głębokiego parowu i zniknęła. Nastąpiła cisza, a Ton odchrząknął.

– Zostaje nam tylko nadzieja – stwierdził. – I jedyne, co możemy zrobić, to ruszyć jej śladem.

Weszli w labirynt wąwozów i skierowali ku zagłębieniu w urwistym zboczu, które wcześniej wypatrzyli. Z daleka już doszły ich uszu głucho dzwięki – jakby z tunelu – a w ich stronę z obłędem w oczach biegli górnicy, wpadając na siebie, potykając się, pierzchając na oślep.

Zanim dotarli do wejścia do szybu, Jacques swym drewnianym tłokiem rozdzielił istną rzekę oszalałych ze strachu górników.

Zatrzymali się przed kamiennym portalem. Tłum górników wciąż uciekał przed zwielokrotnionym przez echo jazgotem, który zdawał się lęknąć gdzieś w trzewiach ziemi.

– Tutaj – odezwał się Ton. – Musimy znaleźć pionowy szyb na tyle wysoki, żeby sięgał aż do Grzebieni. Im większe wejście, tym wyżej biegnie szyb. Niektóre sztolnie sięgają aż do naturalnych szczelin w złożach kryształu i właśnie z takiej skorzystamy.

Wbiegli w półmrok skąpo oświetlonego tunelu, przedzierali się przez panujący w nim chaos – trzej zbici w gromadkę mężczyźni podążający śladem Jacquesa, wymachując drągami na wszystkie strony. Przeskakiwali liczne trupy i rannych górników, którzy w szale sami się zabijali. Tłok Jacquesa okazał się znakomitym środkiem obronnym: obłąkańcy, którzy zostali nim odepchnięci, natychmiast zaczęli bić się z tymi, na których wpadli.

Szyb się poszerzył: w pewnej odległości przeszedł w sztolnię, gdzie wsparta na ukośnych nogach drewniana wieża wiertnicza wgryzała się

w bazaltową skałę Grzebieni. Miejsce było rzęsiście oświetlone i zastawione stołami probierców, skrzyniami i rozdrabniarkami rudy. Ogarnięci szalem górnicy zwarli się w walce i okładali z zajądłością, z jaką dokopywali się do złóż kryształu. Obwieszona lampami wieża wiertnicza stała nad głębokim na osiemdziesiąt łokci pionowym szybem, który kończył się ślepo w macierzystej skale. Jednakże bliżej górnego końca na ścianach szybu połyskiwały żyły kryształu.

Popychając, pałując, przebijali się aż do znużenia przez kolejne grupy walczących i mimo zamętu zauważyli po drodze jeszcze trzy sztolnie. Wszystkie jednak za płytkie. Szyby coraz bardziej pustoszały. Górnicy, którzy mogli się utrzymać na nogach, zbiegli stąd.

Piąta sztolnia okazała się najgłębsza ze wszystkich, które dotąd napotkali. Choć wszyscy górnicy, którzy przy niej pozostali, leżeli nieprzytomni lub martwi, słyhać tu było wyraźnie echo walki wciąż toczzonej w oddali, gdzie szaleństwo wywołane pojawieniem się ducha wciąż zbierało nowe ofiary.

Wejście do sztolni było dużo większe i choć obwieszono je lampami, światło, które wpadało do środka, wyglądało zupełnie inaczej. Przez szafranowy blask lamp przenikała srebrzysta pajęczna sieć odbitego światła, tworząc mały labirynt krzyżujących się ze sobą promieni.

Jacques, Mocarz i Ton podeszli do wejścia i zajrzeli do sztolni.

– Czyżby czarna skorupa Grzebieni przepuszczała jakieś znikome resztki światła słonecznego? – zapytał Jacques. – Czy też to znajdujące się w nich kryształy świecą same w ciemności?

Kugel, który nie interesował się tego rodzaju spekulacjami, zwrócił uwagę na coś zupełnie innego: stoły probierców ze stosami ciętych na miejscu kryształów i mnóstwem soczewek. Zdjął chlebak i zaczął go napełniać, ale obejrzał się na pozostałych i dostrzegł zachwyty, z jakim



spoglądali w górę. Zawahał się, niespokojnie nasłuchując piekielnych odgłosów, jakie przynosiło echo rozchodzące się szybami... a potem poszedł za przykładem towarzyszy. Wieża wiertnicza wznosiła się na sto dwadzieścia łokci, ale nie sięgała kamiennej stropnicy, lecz wielościennego otworu prowadzącego do zakręconego kryształowego komina, skąd sączyło się lodowate światło.

– To wasz cel? – spytał Kugel. – Czy na pewno sięga do samych Grzebieni?

W odpowiedzi zaczęli się wspinać na wiertnię, i po chwili namysłu Kugel poszedł w ich ślady, początkowo nie mogąc uwierzyć, że to robi, lecz stopniowo wielkość i doskonałość kryształów, do których się zbliżali, całkowicie go pochłonęła.

Jacques pierwszy wszedł do otworu, badając, czy kryształowa ściana wytrzyma jego ciężar. Jego ogromna postać zniknęła w diamentowo-białej poświacie, która sączyła się ze znajdującego się powyżej Grzebienia. Minął zakręt komina i zniknął im z widoku. Po chwili...

– Na bogów! – zahuczał. – Chodźcie tu, chodźcie!

Wspięli się do wielościennego gardła, które zwężało się i zwężało... po czym nagle się poszerzyło. Weszli do Grzebieni... i zamarli z zachwytem.

W ciemności majaczyła olbrzymia jaskinia: sklepienia kolebkowe, żebrowane kopuły, zakrzywione iglice, transepty wzmocnione krokwiemi – każdą powierzchnię pokrywały skupiska wielościannów, których krzyżujące się promienie miały taką gęstość, że całe ich światło wygaszało się wzajemnie. Oszołomionym wzrokiem wspinali się po owych promieniach niczym pająki po sieci. Nagle gdzieś u szczytu wysokiego sklepienia rozległ się jakiś szmer. Niezbyt donośny, ale wszechogarniający jak szelest traw poruszanych podmuchami letniej

bryzy. Czyżby Slymirowie? Nikogo jednak nie było widać.

– Muszę się pośpieszyć – rzekł Ton. Wyciągnął z bandoliera małą płytkę z polerowanej kości, na której widniały inskrypcje wypisane czarnymi, pochyłymi literami przetykanymi diagonalami i wielokątami, tworząc osobliwy labirynt. Wyciągnął też pędzelek z jednego z pojemników na farby, przyjrzał się w tym obcym świetle jego barwie i zaczął zamalowywać tło inskrypcji, zastępując szybko jeden pędzelek drugim i trzecim, jakby działał pod wpływem intuicji. Następnie przyjrzał się gotowemu ornamentowi.

– Co to jest? – zapytał Mocarz.

– Nasza przepustka.

– Co to znaczy?

– Nie wiem.

– Spójrzcie! – warknął Mocarz. – Co tam się unosi nad szybem?

Macka z oczami zwieńczona koroną dymu wznosiła się, wijąc niczym pyton, w górę Grzebienia. Zdawała się kipieć ze złości w krystalicznym mroku. Ton trzymał wysoko w górze ich przepustkę, ale to nie ona odgoniła ducha. Oczy zjawy szukały czegoś ponad ich głowami w ciemnej pionowej otchłani. Przez dłuższy czas wpatrywała się w nią z rosnącym obrzydzeniem, po czym rozplynęła się całkowicie w otaczającym ją dymie, skurczyła do atramentowego obłoku, który na powrót wsiąkł w kryształowy kanał... i zniknął.

– Nic nie wiedziała o Slymirach – stwierdził Ton. – Dotąd nigdy nie mieszała się do ziemskich spraw. A od tej pory nasz świat czeka inna przyszłość... w której nie ma dla niej miejsca. Inna przyszłość... która właśnie nadchodzi.

Stojąc na diamentowym pagórku, czterech intruzów zobaczyło, że ze szczytu najbliższej ściany oderwały się jakieś cienie i zasłoniły

klejnoty. Wielkie, szybko poruszające się cienie, które razem spływały w dół, w ich kierunku. Kugel uniósł kij, ale Ton dotknął jego ramienia i stanął przed nim.

Cienie schodziły na dół. Były dwakroć większe od człowieka i muskularne. Ich tylne nogi sterczały jak u żaby, a wszystkie cztery łapy miały rozczapierzone palce i miękkie opuszki. Najbardziej przerażająca była płynna lekkość, złowieszcza chwytność, z jaką zsuwały się po fasetowym zboczu...

Znajdowały się teraz dużo bliżej. Ich wydłużone czaszki okazały się od przodu wklęsłe i w tym szerokim zagłębieniu połyskiwało pięć wielkich opalizujących oczu ułożonych w pięciokąt.

– Czym one się żywią, skoro mają tak małe usta? – zastanowił się na głos Mocarz.

Teraz widać też było wyraźnie, że ich muskularne torsy i kończyny porasta gęste futro czy pióra, a raczej coś w rodzaju blaszkowego upierzenia, które marszczyło się niespokojnie przy każdym ruchu niczym poruszane wiatrem liście.

– Patrzcie! – mruknął z podziwem Ton. – Widzicie, jak ich upierzenie stara się... liznąć każdy promień, przez który przechodzą. Coś mi się wydaje, że żywią się światłem, jak rośliny... – Trzymał w górze swą pomalowaną plakietkę, gdyż milczący zastęp znajdował się nie dalej niż dziesięć łokci od niego.

Slymirowie zastygli w bezruchu, wszyscy naraz, jakby kierował nimi jeden umysł. Ich małe usta zaczęły szeptać i cały oddział objął wszechogarniający niski szmer. Po dłuższej chwili zastęp podzielił się na dwie części, a jeden osobnik, większy od pozostałych, zaczął się skradać do przodu, trochę jakby się dziwił swojemu wahaniu. W końcu zatrzymał się niedaleko Tona, który mógł dojrzeć wąskie tęczęwki,

białe jak śnieg, wokół każdej wielkiej czarnej źrenicy.

Stwór powoli wyciągnął wielką łapę, której każdy niebywale giętki palec przypominał umięśniony listek. Delikatnie dotknął barwnego znaku runicznego, który trzymał majster Ton, i coś szepnął. Ton wskazał plakietką do góry na najwyższe sklepienie Grzebienia. Szymir spojrział tam, po czym skinął głową i podniósł łapę na znak przyzwolenia.

Jacques zrzucił z ramion swoje nosiłki i rozwinął pierwszy zwój sznurowej drabiny, a wtedy wśród obcego mrowia podniósł się taki szmer, że można było odnieść wrażenie, jakby od olbrzymiego sklepienia odbijało się echo przyboju upiornego morza. Ton na migi przedstawił rozwijanie drabiny na określoną wysokość, a Kugel i Mocarz pokazali młoty i haki, którymi miała zostać umocowana do ściany.

Senior Szymir skinął głową, a jego kompani zabrali się do roboty. Rozłożyli drabinę na przyprawiającym o zawrót głowy zboczach i przybili ją do ściany, podczas gdy inni wciągali pod pachami pozostałe zwoje i rozkładali je na coraz większej wysokości...

– A niech to! – mruknął Jacques. – Czyżby nasza robota miała się okazać taka łatwa?

– Wasza, ale nie moja – burknął Ton, spoglądając na zawrotnie wysoką połyskującą klejnotami ścianę.

– Myślisz, że uda ci się wdrapać na taką wysokość? – zapytał go z troską Mocarz.

– Dobry Mocarzu – Ton uśmiechnął się lekko – jak na razie staram się nie myśleć o tym aspekcie mojego zadania. – I nałożywszy bandolier z farbami, zaczął się wspinać po drabinie.

Zygzakami Szymirowie mocowali drabinę coraz wyżej i zygzakami

Ton wspinał się po niej na górę. Nie bał się wysokości, ale te czterysta łokci przeszło jego najgorsze wyobrażenia. Mimo to strach, który odczuwał, choć wielki, poddawał się blaskowi bijącemu od ściany, po której wchodził. Kryształ, których dotykał, budziły w nim dziwaczne skojarzenia poruszające każdą drobinę jego ciała. Ujrzał lądy – jakby je wspominał – o których nawet w najśmielszych snach nie śnił, planety naznaczone surowym pięknem, morza skąpane w złotym blasku słońca na światach, o których nigdy nie słyszał, barwy, których ludzkie oko dotąd nie widziało...

Dzięki temu niemal nie zauważył, jak dotarł do szczytu Grzebienia, gdzie nagą skałę pokrywały abstrakcyjne wzory. Przywiązawszy się do drabiny, przez chwilę przyglądał się pierwszemu z owych znaków runicznych... po czym wyjął pędzel.

Jakby na czyjś rozkaz wybrał kolor i nałożył farbę na ścianę, potem wybrał następny... Nie wiedział, co pobudza go do pracy. To jego układ nerwowy ją wykonywał, jego rdzeń kręgowy, który skrzył się dziwnym strachem, dziwną radością. W pewnej chwili niemal nieświadomie mruknął:

– Jestem w rękach czasu, maluję przyszłość.

Upłynął trudny do oszacowania czas, a Ton wykonał ostatnie pociągnięcie pędzlem i z niewytłumaczalną niechęcią zaczął schodzić po biegnącej zygzakami, przyprawiającej o zawrót głowy, wąskiej drabinie. Był wykończony, ale rozpieła go radość. Przez całą drogę w dół mijał Słymirów chcących obejrzeć jego pracę.

Rzeka owych stworów płynęła nieprzerwanie do góry w stronę grotu z runami. Kotłowała się w niej i nie mogła oderwać oczu od malowideł, a towarzyszył temu wszechobecny szept, który niósł się po całym Grzebieniu – szmer wzburzonych głosów powtarzających plotki i

domysły. Zewsząd dochodziły syki wyrażające krytykę i wątpliwości, popłoch i niedowierzanie, podczas gdy z przeciwka niosły się zdecydowane riposty, ożywcze możliwości... zachwyt... objawienie.

Ton stwierdził, że jego kompani są gotowi do powrotu. Wszyscy oprócz Jacquesa.

– Zostawiasz tu swoje nosiłki, Jacques? – zapytał.

– Pewnie, że tak! Niniejszym uroczyście zaświadczam, że porzucam swoje dotychczasowe zajęcie dzięki hojności tego tu oto dobrego Mocarza. A poza tym na dole kręcą się Rębacze... – Rzeczywiście słychać było hałas i rozmowy zwiastujące powrót robotników do szybu. – I w związku z tym lepiej mi się będzie walczyło, nie dźwigając nic na plecach... Gdzie się podział nasz Kugel?

– Właśnie, gdzie? – zdumiał się Jacques. – Przed chwilą tu był.

Jakiś ruch zmarszczył nad nimi powietrze i wszyscy podnieśli głowy. Z góry spływali falistą kaskadą Slymirowie, kierując się w ich stronę. Przewodził im senior o srebrnym grzbiecie. Zatrzymali się wokół artysty i jego ekipy. Kiedy jednak senior przeszywał ich spojrzeniem swoich gronowych oczu, rozległ się alarmujący szept i nadciągnęła para innych Slymirów trzymająca skrępowanego Kugła, który wciąż ścisnął w dłoniach dowody winy: młot i do połowy napełniony kryształami plecak.

Podprowadzony do seniora Kugel przygotowywał sobie w myślach słowa oburzenia i protestu za niesłuszne pojmanie, głos jednak uwiązł mu w gardle, gdy spojrział w labirynt jego błyszczących oczu. Dojrzał w nich wielki... szacunek. Inaczej tego nie można było nazwać.

Kugel wciąż gapił się z rozdziawionymi ustami, kiedy Slymirowie delikatnie postawili go na ziemi, a senior nachylił się nad nim i rozczapierzył niezwykle długie i giętkie palce, obejmując cały zimny

ogień Kryształowych Grzebieni znajdujący się wokół, i kolejnym nieomylnym gestem pokazał, że złoży wszystko u jego stóp.

Kugel stał zakłopotany, gdy flotylla chirurgicznych palców seniora tańczyła po kryształowej ścianie i raz za razem wyrywała z niej wielkie, nieskazitelne dodekany, szybko napełniając jego plecak istną fortuną.

Kiedy Kugel zgiął się w podzięce, senior objął wzrokiem całą czwórkę. Długo do nich szeptał. Czterech natrętów niemal zrozumiało jego zawily przekaz. Widząc drzenie otaczających ich zastępów, spojrzenie niezliczonych oczu skrzących się niczym żywe klejnoty i wyczuwając tęsknotę tego nieludzkiego mrowia, pomyśleli, że go zrozumieli. Ta rasa nigdy nie wyszła na zewnątrz poza Grzebienie. Teraz, gdy się dowiedzieli, że istnieje Świat Zewnętrzny, zapragnęła go zobaczyć...

Trzech mężczyzn i tragarz – kłaniając się z wdzięcznością – usunęli się na bok. Senior poprowadził Szymirów w dół przez kryształowy kanał i otwór, który wywiercili przedsiębiorczy ludzie, żeby dostać się do ich Grzebienia.

– Skończyliśmy, moi przyjaciele – oznajmił Mocarz. – Chodźmy za nimi.

Na dole w sztolni znaleźli kilka nowych leżących bez życia ciał, gdyż górnicy, którzy ze śmiercią ducha postanowili wrócić, teraz uciekali przed natarciem Szymirów. Z oddali dobiegało echo wrzawy i zgiełku, gdy stworzenia parły naprzód, na zewnątrz. Jacques szedł na czele, a pozostali mężczyźni za nim.

W końcu zobaczyli przed sobą wejście do kopalni, a za nim strzępiaste chmury rozświetlone na czerwono, dryfujące po purpurowym niebie. Niczym jakaś ciecz legiony Szymirów wylały się na zewnątrz, wypełniły parowy, przelały się przez urwiska, aż wypełniły

ciekłym zbiorowiskiem szeroką równinę rozciągającą się nieco poniżej Grzebieni.

Zastępy Szymirów przycupnęły na równinie, chłonąc wspaniałymi oczami nigdy niewidziane niebo i nigdy niewidziane słońce chowające się na zachodzie za horyzont.

– Nawet o nim nie śnili... o słońcu – szepnął Ton. – Myślę, że ich runy kryją jakieś niejasne wzmianki o nim. Wygląda na to, że dodawszy coś do tych run... obudziliśmy ich umysły.

– Jakże oni... – Głos uwiązał Mocarzowi w gardle, tak dziwne było uniesienie bijące od tej nieprzebranej rzeszy, do której nieprzerwanym strumieniem wciąż dołączali wyłaniający się z wnętrza ziemi następni, a wszyscy zatrzymywali się w niemym zachwycie na widok znikającego słońca.

– ...jakże oni ocala ten świat? – dokończył Mocarz na ucho Tonowi.

– Nie mam pojęcia – odparł Ton.

Szymirowie usiedli pod ciemniejącym winną czerwienią niebem, wystawiając twarze na bryzę, o której nie mieli pojęcia, że istnieje, i obserwowali karminowe oko słońca powoli kryjące się za czarnym horyzontem. Nieziemskie klejnoty ich własnych oczu błyszczały od urzeczenia szaleńczym domysłem. Nastroszone liściaste pióra nieustannie drżały.

Czwórka przyjaciół zaczęła ukradkiem opuszczać nabożne zgromadzenie, rzucając zakłopotane spojrzenia, jak ludzie wychodzący z kościoła przed zakończeniem mszy. Gdy doszli do zarośniętej łąki, zapadała już ciemność.

– Panowie – rzekł Ton – my musimy iść na północ. Nie wiem, jak mam wam dziękować za hart ducha, który okazaliście, i za waszą pomoc.



Kugel poprawił na ramieniu chlebak z kryształami.

– Przyjaciele – odezwał się. – Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej uczestniczył w równie zyskownym przedsięwzięciu jak to, które właśnie wspólnie przeprowadziliśmy. Chcę wam tylko zadać jedno pytanie i mam nadzieję, że nie będę zbyt wścibski: Co właściwie zyskaliście? Przecież nie wzięliście żadnego kryształu.

– Nasza misja była... hmm... altruistyczna – odparł Ton. – Mieliśmy, choć nie rozumiemy jak, ocalić świat.

– Zdumiewacie mnie! – wykrzyknął Kugel. – A może nie powinienem się dziwić, bo czyż sam nie zdobyłem tej wielkiej nagrody, aby dokonać wielce filantropijnego czynu? Zwiększę moc słonecznych dział Bibliionitów i przyspieszę upadek samolubnych Guyali, a Biblionicy, gdy uwolnią muzealne gnomy, oddadzą wielką przysługę całemu światu.

– O ile rzeczywiście okażą się takimi wielkimi altruistami, jak głoszą – burknął Jacques.

– Cóż! – Kugel się uśmiechnął. – Kto zna przyszłość? – (Mocarz i Ton spojrzeli po sobie znacząco). – Chciałbym po powrocie do Minion postawić wam kielicha, może też zorganizować małą partyjkę... ale objuczony owymi bogactwami, muszę za mrokiem nocy i pośpiechem ukryć się przed oczyma spóółstwa. Panowie, był to dla mnie zaszczyt, wyróżnienie i przyjemność móc wam towarzyszyć!

Obdarzony ich gorącymi podziękowaniami Kugel odwrócił się ku ciemności i chyżo pomknął do Minion.

Mocarz zwrócił się do Jacquesa.

– Pozwól, waszmość, powiedzieć, że okazałeś się... wart każdego liktora zapłaty.

Tragarz się roześmiał.

– Szanowny Mocarzu, ja również darzę cię sympatią i uważam, żeś doskonałym kompanem. Adieu.

Mocarz poczerwieniał na twarzy, ale wyznanie tragarza nie było mu niemiłe. Kiedy Jacques odszedł, Mocarz odchrząknął zakłopotany.

– Dostojny Tonie...

– Proszę, wielce szanowny Mocarzu. Jesteś moim przyjacielem, a ja jestem twoim. I odtąd zawsze będę z tego powodu szczęśliwy.

Mocarz uśmiechnął się z wdzięcznością.

– W takim razie...

– W takim razie...

Odwrócili się ku północy i zrobiwszy następny krok, stwierdzili, że stoją na balkonie Katastra. Majestatyczne, ośnieżone, ostre szczyty Syderionów ciągnęły się aż za widnokrąg, niezrównanie piękne w złotych promieniach słońca.

\* \* \*

Kataster z szerokim uśmiechem na twarzy zaprosił ich gestem do stołu, na którym stały trzy puchary i dzban wina, a obok leżały dwie nabite złotem sakwy.

– Tonie! Mocarzu! Spisaliście się wyśmienicie! Wasze dokonania przekroczyły moje najśmielsze oczekiwania. Siadajcie i pokrzepcie się!

– A zatem twój cel, panie, został osiągnięty? – zapytał Ton.

– O, jak najbardziej. A w zasadzie zostanie osiągnięty w przyszłości.

Wypili i odpoczywali przez chwilę, choć od czasu do czasu dwaj druhowie spoglądali na maga spod oka. W końcu Mocarz nie wytrzymał i zapytał:

– Czy wolno nam wiedzieć, waszmość Katastrze, jakim sposobem pomogliśmy...

– Jak pomogliście ocalić ten świat? Och, oczywiście, że wolno! Jakież głupiec ze mnie, że nie wyjaśniłem tego od razu, kiedy już było wiadomo, że się udało! Kiedy wam się udało!

W niedługim czasie od waszej wyprawy Słymirowie zbudowali z kryształów powiększających szereg ogromnych odblaskowych zwierciadeł. Za ich pomocą odeślą Słońcu jego własne światło, tylko przepotężnie wzmocnione. Oszczędzę wam dość zawiłych i paradoksalnych szczegółów technicznych, z których niemal wszystkie są wzajemnie sprzeczne. Koniec końców można powiedzieć, że w wyniku tych zabiegów rozpalą Słońce.

Ton zamrugał.

– Rozpalą... Słońce?

– Rozpalą Słońce. Otóż to! Jeszcze jeden dzban, drodzy przyjaciele?

**Scott Lynch** urodził się w Saint Paul w Minnesocie. Zanim w roku 2006 opublikował swą pierwszą powieść, Kłamstwa Locke'a Lamory, miał się różnych zajęć, między innymi pomywacza, kelnera, projektanta stron WWW, niezależnego dziennikarza i kierownika biura. Powieść ta zapoczątkowała zaplanowany na siedem tomów cykl Niecni Dzentelmeni, którego tematem są przygody Locke'a Lamory, złodzieja i naciągacza, a akcja rozgrywa się w rozbitym Cesarstwie Therińskim. W roku 2007 Lynch był nominowany do nagród Johna W. Campbella, Williama L. Crawforda i Locus. Ponadto jest członkiem ochotniczej straży pożarnej i ma prawo gasić ogień na terenie stanów Minnesota i Wisconsin. Mieszka z żoną Jenny w New Richmond w Wisconsin.

## **Scott Lynch**

### **MIĘDZY REGAŁAMI**

Laszlo Jazera, aspirant czarownictwa z Wszechnicy Hazarskiej, przez wiele porannych godzin próbował się jakoś wcisnąć w za mały skórzany napierśnik. Tego dnia czekał go egzamin z pięciu lat studiów. Ostatniej wiosny, z nagłą, choć późno jak na swój wiek, dość niespodzianie urósł i zmężniał, toteż jego ciało rozsadzało dobrze niegdyś leżący pancerz. Poluzował wszystkie wiązania i sprzączki, ale na niewiele się to zdało. Jeśli zaś chodzi o saczek na przyrodzenie, to lepiej zmilczeć. Do kroćset, co za głupiec z niego, że ciągle odkładał

przymiarękę starego rynsztunku. Teraz było już zdecydowanie za późno na wizytę w zbrojowni.

– Ciągłe próbujesz się w to wcisnąć? – Kazimierz Vrana, z którym dzielił studencką komnatę, wparadował do niej uzbrojony po zęby, i to nie tylko w stal i żelazo, ale jak zwykle także w nastrój kompletnej bez troski. Po prawdzie przez pięć lat, które spędzili na uczelni, jego kamrat poświęcił swemu rynsztunkowi jeszcze mniej uwagi niż on, lecz nosił się z nieprawdopodobną dystynkcją. W każdym calu był patrycjuszem, majestatycznym i przystojnym, który potrafiłby okazać spokój, nawet gdyby ogon mu się palił. – Wprawiasz mnie w zakłopotanie, Laszlo. Ty i te wszystkie twoje tasiemeczki towarzystwa fechtunkowego.

– Nosimy jedwabie – mruknął z irytacją Laszlo, zapinając sprzączkę z boku napierśnika. – Dzięki temu możemy się diabło zwinnie poruszać, kiedy trzeba. A tej kupy skrzypiącej świńskiej skóry nie miałem na sobie chyba od wykładów z przestarzałej teorii zabójstwa...

– Zapomniało się pójść do zbrojowni do przymiarki, co?

– Miałem piekielnie dużo roboty, prawie nie spałem...

– Taki zajęty aspirant po piątym roku, i do tego nieprzygotowany w czasie sesji? A to pech, niesłychany. I bardzo oryginalna niedola. – Kazimierz obszedł Laszla dookoła i zaczął poprawiać, co się tylko dało. – Zwieźmy z egzaminów. Potrzeba ci kubka gorącego mleka i miękkich objęć na osłodę.

– Klnę się na moją matkę, Kazik, że spalę ci rozprawę z kryptomancji.

– Nic z tego. Złożyłem ją jakieś dwie godziny temu. A ty czemu ciągle własnoręcznie się z tym pierdzielisz? – Kazimierz zamruczał coś pod nosem, a zaskoczony Laszlo zaskowyczał, poczuwszy biegnące mu

po krzyżu ciepło samorzutnego czaru. Po chwili pancerz trochę się poszerzył. Nie było jeszcze zupełnie dobrze, ale przynajmniej nie krępował mu już ruchów. – Lepiej?

– Średnio.

– Nie chcę robić ci wykładu, czarodzieju, lecz prędzej czy później zaczniesz stosować czary do złagodzenia różnych życiowych niedogodności.

– Nie jestem tak bardzo jak ty przekonany o ich praktycznych pożytkach.

– Teoria to zaledwie brodzik, Laszlo. Kiedyś będziesz musiał wypłynąć na szerokie wody. – Kazimierz uśmiechnął się szeroko i klepnął kolegę w plecy. – Zobaczysz dzisiaj, słowo. Zbierajmy twoje kłamoty, bo zaczną bez nas.

Laszlo naciągnął skórzane rękawice bez palców, wyposażenie nieco dziwne jak na zawodowego czarodzieja mającego się znaleźć w rojącym się od niebezpieczeństw miejscu. Pod czujnym okiem Kazimierza we wszystkich przeznaczonych do tego pochwach przy pasie i cholewach umieścił pół tuzina sztyletów, a do tego przytroczył co najmniej czternaście dobrowróżbnych talizmanów i amuletów. Niektóre zrobił samodzielnie, inne wyżebrał od kolegów albo „pożyczył” sobie na chwilę bez ich wiedzy. Sobolowy płaszcz i szara aspirancka opończa okryły bez wielkiego wdzięku tę pobrzękującą i skrzypiącą górę, w którą się zamienił.

– O, cholera – zamruczał Laszlo, poprawiwszy płaszcz. – Gdzie ja położyłem...

– ...rapier – odpowiedział Kazimierz, trzymając broń w wyprostowanych rękach. Rapier z ażurowym koszem był powodem dumy i radości Laszla. Elegancka klinga, pradawny skarb rodzinny

wykuty czarodziejską sztuką mieczniczą, od trzech stuleci trwała na służbie, wcale nie zawsze paradnej. Jako jedyny cenny przedmiot, który ostał się z czasów świetności rodu, otrzymał ją od rodziców, kiedy okazało się, że jego umiarkowane zdolności magiczne zapewniły mu stypendium na czas dziewięcioletnich studiów. – Sam sprawdziłem.

Laszlo wsunął rapier do pochwy i zarzucił na niego połę płaszcza. W pancerzu wciąż czuł się jakoś nieswojo, ale na tej głowni zawsze mógł polegać. Zabezpieczony, od stóp do głów zakuty w twardą skórę, zaklęcia i stal, wreszcie był gotowy stawić czoło wyzwaniu, jakie musi podjąć każdy student po piątym roku, jeśli chce znaleźć się na szóstym.

Dzisiaj Laszlo Jazera miał oddać do biblioteki wypożyczoną z niej księgę.

\* \* \*

Żywą Bibliotekę Hazaru widać było z każdego miejsca w mieście. Ogromny onyksowy sześcian wisiał na niebie jak kwadratowy księżyc dokładnie nad wieżami zachodniego kampusu. Laszlo i Kazimierz wypadli z akademika wprost w gęsty cień biblioteki, w ciemność, która przepołowiła Hazar w samo południe, gdy słońce zaszło za sześcian.

Studentom nie wolno było się teleportować w obrębie kampusów. W całym wszechświecie niewiele było istot bardziej rozleniwionych niż czarodzieje pochłonięci studiami, które przykuwały ich do stołka, dlatego władze uniwersytetu postanowiły zapewnić aspirantom przynajmniej tyle fizycznej aktywności, ile wymaga truchtanie co dnia, jak czynią to zwykli śmiertelnicy. Do owego truchtania, w odbierającym im całą godność pośpiechu, musieli się teraz mocno przyłożyć Laszlo z Kazimierzem, żeby zdążyć do biblioteki na wyznaczone w południe

spotkanie. W sercu Hazaru jeszcze przyspieszyli.

Hazar, Miasto Rozrywki. Znakomita, najlepsza machina wszech czasów do zastawiania sideł na takich młodych ludzi jak ci dwaj aspiranci. Uniwersytet, instytucja niezależna od władzy politycznej, rozłożył się u zbiegu wrót do pięćdziesięciu znanych światów, a przyjmował studentów ośmiu myślących ras. Miasto istniało zaś nie tylko, by obsługiwać wszechnicę, ale też po to, żeby wyłuskać ze studenckiej braci jak najznaczniejszą liczbę nieprzeciętnych. Oferując usługi zaspokajające te mniej praktyczne ciągoty.

Dwaj aspiranci mijali zamtuzy, szulernie, areny do walk, pokazy dziwolągów, sklepy zoologiczne, sale koncertowe i prywatne kluby. A także restauracje serwujące potrawy setek różnych kuchni oraz bary z tysiącami alkoholi, naparów, prochów, dymków i zaklęć. Bary przede wszystkim: bary nad barami, bary obok barów, bary w barach. Jeden bar przypadał na jednego studenta, po jednym na każdy dzień z dziewięciu lat, które większość spędzała w Hazarze. Laszłowi i Kazimierzowi udało się jakimś cudem przemknąć obok nich obojętnie. Kiedy indziej wymagałoby to od nich heroicznego wysiłku, ale trwała sesja i w powietrzu wisiała groza nosząca miano przekleństwa ostatniej chwili.

Pośrodku wschodniego kampusu, pięćset stóp pod ciemnym sześcianem, znajdował się małeńki trawnik okolony wodospadami. Z wielu powodów Żywa Biblioteka nie miała zwykłego, materialnego wejścia. Jako brama służył stojący na trawniku wysoki srebrny filar. Nie zatrzymując się dla złapania oddechu, Laszlo z rozpędu przyłożył opuszki palców prawej dłoni do filara i wymruczał:

– Laszlo Jazera, piąty rok, do mistrza Molnara z...

Zmiana zaszła w mgnieniu oka. Zamiast trawy poczuł pod stopami



twardą terakotę, wodospady przemieniły się w boazerię z ciemnego drewna pokrywającą ściany i strop. Znalazł się w wielkim jak dworek westybulu, gdzie w zimnym, suchym powietrzu unosiła się stęchła woń książkowych stosów. Dzielne światło, które z góry wpadało do pomieszczenia, przesiane przez zaczarowane szyby, zalewało wszystko bursztynową barwą przedniego piwa. Laszlo potrząsnął głową, by opanować nagłą utratę równowagi, a w tej samej chwili u jego boku pojawił się przyjaciel.

– No, jesteśmy na czas – rzekł Kazimierz, wskazując gustowny zegar na ścianie, na którego tarczy maleńkie błękitne kuleczki światła unosiły się przy symbolach oznaczających siedem minut przed wybiciem południa. – Nie za wcześnie, żeby nie wpychać nosa w tyłek staremu Molnarowi jak byle lizusi, i nie za późno. Chodź. Którędy?

– Mmmm... Drzwi Mantykozy.

Kazimierz niemal pociągnął Laszla w prawo długim korytarzem, który otaczał pierścieniem wewnątrz biblioteki. Popędzili przez Drzwi Wiewny i Drzwi Chimery, przebiegli czytelnie i wyprzedzili zwarty tłum aspirantów, wśród których wielu przyszło w tej samej sprawie co oni – uzbrojeni i gotowi na wszystko. Laszlowi, czujnemu jak antylopa w przestraszonym stadzie, od razu udzieliło się nerwowe napięcie. Egzaminacje końcowe czekały przyczajone, węszyły i skradały się, by wydrzeć stada osobniki słabe i chore.

Nad znakiem południa na zegarze przed wejściem do Skrzydła Mantykozy właśnie przepłynął błękitny ognik, kiedy Laszlo z Kazimierzem, ledwie łapiąc równowagę, stanęli przed wysoką postacią.

– Widzę, że postanowiliście, panowie aspiranci, zaszczyć nas teatralnym przybyciem w ostatniej chwili – rzekł mężczyzna. – Nie sądziłem, że to egzaminacje z umiejętności aktorskich.

– Tak, profesorze Molnar. Przepraszam, profesorze Molnar – wykrztusili jednocześnie Laszlo i Kazimierz.

Twarz starszego bibliotekarza Hargusa Molnara była jakby wyjęta z galerii wielkich wodzów, konkwistadorów dawno pogrzebanych, a wciąż spoglądających gniewne poprzez dzielące ich od potomków stulecia. Pociągła, o wyrazistych rysach, okolona krótko przyciętymi siwymi włosami, poznaczona była licznymi bliznami. Bibliotekarz miał na sobie sfatygowany w bojach pancerz z czarnej skóry i srebrzystą kolczugę. Na napierśniku widniał stylizowany zwój, symbol Żywej Biblioteki, z dewizą *Auvidestes, Gerani, Molokare*. Słowa te pochodziły z języka alauryńskiego, którym urzędowo posługiwali się uczeni, i składały się na motto bibliotekarzy:

*ODSZUKAĆ, ODDAĆ, OCALEĆ.*

– Czy mam rozumieć – rzekł Molnar, nie szczędząc żadnemu spojrzenia pełnego absolutnej wzgardy, które ćwiczył przez lata praktyki – że zapoznaliście się z materiałami wstępnymi, które dostaliście ostatniego miesiąca?

– Tak, profesorze Molnar. Obaj – odpowiedział Kazimierz.

Laszlo ucieszył się, że Kazimierz przezornie powściągnął na chwilę swoją wyniosłość.

– Dobrze. – Molnar rozcapierzył palce i w powietrzu pojawiły się słowa z białego płomienia. Ułożone w ciasnych akapitach, jeden pod drugim, tworzyły słup sięgający Laszlowi od pępka do czoła. – To jest wasza Deklaracja Woli, czyli oświadczenie, że chcecie wejść do Żywej Biblioteki ze względu na wymogi programu studiów. Macie złożyć swoje magiczne sygnatury tutaj.

Laszlo wyciągnął rękę i dotknął opuszkami palców miejsce, które

wskazał Molnar. Poczul mrowiace ciepło. Zamknął oczy i przywołał obraz swego Tajemnego Pierwszego Imienia, które należało do ukrytej tożsamości czarownika. To słowo–znak zostawiało niezatarty ślad jego osobowości, samo nie ujawniając się przed osobami postronnymi. Wyglądało to na jakiś sprytny podstęp, ale w ostatecznym rozrachunku używało się go najczęściej w magicznej papierkowej robocie i do płacenia rachunków w barze.

– I tutaj. – Molnar przesunął palec w inne miejsce. – To jest „Oświadczenie o przyjęciu do wiadomości istniejącego ryzyka”... I tutaj, co zdejmuje odpowiedzialność z opiekunów za obrażenia wynikłe z waszej niedościgłej głupoty... I tutaj, co oznacza, że jesteście uzbrojeni i wyposażeni odpowiednio do swoich możliwości.

Laszlo zawahał się na sekundę, przygryzł od środka lewy policzek i przypieczętował swą zgodę. Kiedy to samo zrobił Kazimierz, Molnar pstryknął palcami i ogniste litery znikły. Jednocześnie z hukiem otworzyły się Drzwi Mantykozy. Laszlo zauważył, że pod okrywającą je warstwą forniru znajduje się gruby na stopę ciemny metal. Nigdy dotąd nie przekroczył ich progu, gdyż aspirantom wolno było przebywać jedynie w czytelni, gdzie składali zamówienia przekazywane następnie pracownikom biblioteki.

– Zatem ruszajmy – rzekł Molnar i wkroczył do środka. – Przydzielono was do grupy z dwojgiem innych aspirantów, którzy już czekają. Dopóki nie wyprowadzę was przez te drzwi, dopóty wasz egzamin nie dobiegnie końca.

\* \* \*

Za Drzwiami Mantykozy znajdowała się długa sala z łukowym sklepieniem, miejsce pracy indeksatorów, którzy trudzili się

przeszukiwaniem tysięcy zwojów i katalogów. W przeciwieństwie do bibliotekarzy woleli ubierać się w wygodne błękitne płaszcze zamiast pancerzy, ale widać było na pierwszy rzut oka, że wszyscy bez wyjątku są uzbrojeni w sztylety i toporki. A we wnękach w ścianie Laszlo dojrzał gotowe do użytku włócznie, pałki, kolczugi i hełmy.

– Zazdroszczę ci precyzji, przyjacielu.

Chropawy głos zabrzmiał znajomo. Laszlo odwrócił się w lewo, skąd dochodził, i spojrzał w górę. Stał przed nim wysoki na siedem stóp jaszczur o nakrapianych złotem tęczęwkach. Jego szerokie jak wrota piersi i także ramiona pokrywały łuski lśniące czerwono niczym zachód słońca na pustyni. Miętko podbity pancerz okrywał go całego z wyjątkiem muskularnych nóg i łap zakończonych sierpowatymi szponami wielkości sztyletów, jakie nosił Laszlo. Płaszcz gada został tak skrojony, by poły z godnością zwisały po obu stronach wijącego się długiego ogona.

– Cześć, Lekki! – odparł Laszlo. – Jakiej precyzji?

– Zdolności do późnego wstawania i przychodzenia na czas, do zdążania o włos przed wiszącymi ci nad głową karami za opieszałość. Twoje lenistwo graniczy... z wielką sztuką.

– Dziekanat by się nie zgodził – odparł Laszlo uradowany widokiem Zewszechmiar Lekkomysła Bronzoszpona, czyli Lekkiego, jak wszyscy go nazywali. Lud, z którego Lekki się wywodził, słynący z surowości i sumienności, miał zwyczaj nadawać młodzieży imiona nawiązujące do jakiejś widocznej skazy charakteru, co dawało każdemu krnąbrnemu młodzikowi okazję do zastanowienia się nad sobą do czasu otrzymania miana przystającego dorosłemu. Lekki był przeciętnym czarodziejem, mniej więcej takim jak Laszlo, ale naturalne uzbrojenie stanowiło piekielnie mocny atut, gdyby jakaś upiorna stwora próbowała odgryźć

mu głowę.

– Och, wątpię, by w ogóle się kładli – powiedział damski głos, miękki i słodki. Należał do Yvette d’Courin, którą przed wzrokiem Laszla zasłaniał Lekki, ale równie łatwo zasłoniłby ją ktoś dwukrotnie od niego mniejszy. Yvette miała skórę o karnacji ciemniejszej niż jej pancerz, który był pomniejszoną wersją zbroi Laszla czy Kazimierza. Jej splecione wstążkami włosy były równie czarne jak spowijający ją aspirancki płaszcz. – Nie Lazio i Kazio. Młodzieńcy o takiej wrażliwości, no wiecie, zapewne byli na... zajęciach nadprogramowych.

– Towarzyszyły temu zupełnie niewinne dźwięki przypominające ssanie oraz zupełnie nieskromne gesty rąk.

– Yvette, ty przepiękna zmoro moich lat studenckich – odrzekł Kazimierz – z całą pewnością to nieprawda. Jednakowoż, gdyby tak było, nie sądzę, aby uczyniło to ze mnie i z Laszla jedynych ludzi, którzy dorosłego mężczyznę widzieli bez ubrania.

Laszlo nieoczekiwanie poczuł skurcz w dołku i, niepewny, przez chwilę próbował się zorientować, co on oznacza. O bogowie, czy to ulga? Może też nadzieja? Yvette d’Courin była zdolną aspirantką, co najmniej tak zdolną jak Kazimierz. Cokolwiek go czekało w Żywej Bibliotece, łut biurokratycznego szczęścia przydzielił go do zespołu z dwojgiem urodzonych czarodziejów i jaszczurem, który potrafił jednym kopnięciem wywalić dziurę w ceglany murze. Jedyne, co musiał zrobić, żeby dostać się na szósty rok, to schodzić im z drogi i udawać szalenie zajętego!

Yvette odwzajemniła się Kazimierzowi paroma nowymi gestami, z których kilka wyglądało jak początek jakiegoś drobniejszego zaklęcia, ale stanęła na baczność, gdy usłyszała chrząknięcie profesora Molnara.

– Ponieważ już wszyscy, rzecz jasna, jesteście gotowi – wycedził

przez zęby Molnar – nie będę was obarczał czymś tak nudnym jak wasza dalsza droga zawodowego taumaturga...

– Tak, profesorze Molnar. Przepraszam, mistrzu Molnarze – powiedzieli studenci jednym głosem niczym zgrany kwartet apologetów.

– To jest Katalog Mantykory. – Molnar rozpostarł ramiona. – Jeden z jedenastu podobnych katalogów obejmujących, choć nie w pełni, zawartość Żywej Biblioteki. Rozejrzyjcie się dobrze. Jeśli po zaliczeniu dziewiątego roku nie wstąpicie w szeregi bibliotekarzy, nigdy więcej nie będzie wam dane przestąpić jego progu. Aspirancie Jazero, czy możesz powiedzieć, na ile skatalogowanych pozycji liczy się Żywą Bibliotekę? Słucham.

– Mmm – zaczął Laszlo, który zeszłego wieczoru rozsądnie odświeżył swą skąpą wiedzę na temat zawartości biblioteki. – Myślę, że na dziesięć milionów.

– Myślisz, tak? – dopytywał Molnar. – Uwierzyłbym, gdybyś przedstawił jeszcze jakieś dowody, ale dobrze, twoja odpowiedź jest niemal poprawna. Zbiory biblioteczne to co najmniej dziesięć milionów zwojów i kodeksów. Większość z nich, aspirancie Bronzoszponie, to co?

– Grymuary – wysyczał jaszczur.

– Tak jest. Grymuary. Prywatne akta i notatniki osobiste magów ze wszystkich znanych światów, niektóre liczące przeszło cztery tysiące lat. Wiele całkiem sławnych, inne – dość niesławne. Gromadzenie grymuarów rozpoczęto w roku założenia Wszechnicy Hazarskiej. Stworzenie największego zbioru ksiąg magicznych we wszechświecie, wydobywanie na światło dzienne każdego strzępka wiedzy tajemnej, wygrzebanie ich ze skrytek, gdzie zostały porzucone, zapomniane albo

celowo ukryte, było poważnym przedsięwzięciem. Zajęło kilka stuleci. W zasadzie się udało.

Molnar odwrócił się i ruszył środkowym przejściem między półkami i stołami, przy których pracowali indeksatorzy z grzeczności nie zwracający na niego uwagi.

– W zasadzie się udało – powtórzył Molnar – stworzyć piekielny bałagan! Czym jest grymuar, aspirantko d’Courin?

– No... – zaczęła Yvette, najwyraźniej zaskoczona prostotą pytania.

– Jak pan powiedział, grymuar to prywatne zapiski maga. Szczegółowe opisy zaklęć, doświadczeń z...

– Zbiór jego skrywanych obsesji – powiedział Molnar.

– Tak myślę, profesorze.

– Trzymane w większej tajemnicy niż pamiętniki, z kartkami przesiąkniętymi prawdziwą naturą czarownika, obecnością jego wewnętrznych demonów, najbardziej szalonymi ambicjami. Jedni tworzą całą serię grymuarów, inni piszą tylko jedną księgę, ale prawie każdy coś przed śmiercią tworzy. Jest pewne, że z was czworga każde również coś stworzy. I z pewnością któreś już zaczęło.

Laszlo badawczo przyjrzał się kolegom. Zaczął prowadzić jakieś ogólnikowe dzienniki, zapisywał proste czary, które udało mu się opanować. Nie było w nich jednak śladów czegoś naprawdę ambitnego. Ale Kazimierz albo Yvette? Kto wie?

– Grymuary – ciągnął Molnar – to naoczni świadkowie wszystkich wzlotów i upadków swoich autorów. Trzymane w laboratoriach i pracowniach, wystawiane niechęć na działanie niewyobrażalnych sił, latami przechowywane w miejscach pełnych magicznych substancji i energii. Wchłonęły naturalny osad wiedzy tajemnej, ale też kurz świadomie rzuconych zaklęć. Są ezoterycznymi artefaktami mocno

prześlągniętymi tym, co można nazwać boskim opętaniem, w jakie popadali tacy jak wy. Rozwinęły, jak wiele innych magicznych artefaktów, coś na kształt quasi-inteligencji. Szczególny spryt, którego przeciętny zydel, kamień czy książka nie posiadają.

Właściwości te w wypadku pojedynczego artefaktu są nieszkodliwe – mówił profesor – ale jeśli wziąć pod uwagę grymuary... Potężne grymuary wyszły spod ręki potężnych magów, zrodzone przez ich umysły, zebrane w jednym miejscu w setkach, tysiącach, dziesiątkach tysięcy, milionach egzemplarzy...

Ostatnie słowa Molnar niemal wykrzyczał, dla większego efektu wznosząc ramiona ku sklepieniu. Z jego przemówienia ulotnił się suchy ton akademickiego wykładu, zastąpił go ciemny płomień scenicznej oracji. O powierzonych jego pieczy aspirantach mistrz Molnar nie musiał być wielkiego mniemania, ale swojej pracy poświęcał się bez reszty.

– Potrzeba grubych murów – rzekł wolno, z nikłym uśmiechem na ustach. – Grubych murów i twardych bibliotekarzy stojących na straży. Miliony grymuarów pod kluczem. A każdy jest źdźbłem niby-inteligencji, szczyptą możliwości, cząsteczką magii. Wystarczy je wszystkie złożyć w rojnej bibliotece, ułożyć w stosy, a staną się...

– Czym? – spytał Laszlo, dając się mimo woli wciągnąć w tę grę.

– Bynajmniej nie umysłem – odparł Molnar, zaglądając mu w oczy niczym odpustowa wróżka zastawiająca sidła na klientów. – Nie prawdziwym umysłem, nie zintegrowaną inteligencją. Dżunglą! Dżunglą, która śni, a jej sny to strumienie zabójczej obcości. Żywa Biblioteka... Potrafiliśmy ją zapełnić, ale zupełnie nie potrafimy nad nią panować.

Molnar zatrzymał się przy niskim stole, na którym leżały cztery



skórzane, nabijane ćwiekami tornistry, a w nich po jednym opasłym tomie. Do tornistrów przypięto kilka karteczek z odręcznymi uwagami.

– Zbiór źródeł wiedzy taumatycznej tak rozległej i głębokiej – rzekł profesor – jest zbyt użyteczny, by tak po prostu ustąpić tylko dlatego, że zmienił się w rejon katastrofy, zdolny zabić każdego, kto wkracza doń nieprzygotowany!

Laszlo poczuł, jak dobry nastrój odpływa. Wszyscy aspiranci na Wszechnicy Hazarskiej o tym wiedzieli, choć może nie artykułowali tego tak wyraźnie. Żywa Biblioteka zaiste była pełna niesamowitości i umiarkowanych niebezpieczeństw, na pewno, ale słysząc, jak Molnar opowiada...

– Od kilku już lat jako studenci korzystacie z dobrodziejstw tej biblioteki. – Molnar uśmiechnął się i strzepnął nieistniejący pyłek ze swego napierśnika. – Wypełniacie rewery na wybrane woluminy i czekacie tyle dni albo tygodni, ile zajmuje obsłudze ich znalezienie i przyniesienie. W czytelni możecie pograć się w lekturze wygodnie i bezpiecznie, ponieważ grymuar zdjęty z półek Żywej Biblioteki zgodnie z regułami jest już zupełnie inną księgą.

Władze uniwersyteckie, co godne najwyższej pochwały – perorował Molnar – zarządziły, że każdy student czarownictwa powinien nauczyć się doceniać pełną poświęcenia pracę służb bibliotecznych, dzięki której z tego niezwykłego bogactwa można korzystać. Zanim zostaniecie dopuszczeni do studiów na wyższym poziomie, musicie jeden jedyny raz wejść do Żywej Biblioteki, by asystować nam przy odkładaniu księgi na jej miejsce na półce. To wszystko. Jest to część egzaminu po piątym roku. Na stole przede mną widzicie cztery księgi w ochronnych tornistrach. Weźcie po jednej i obchodźcie się z nimi ostrożnie. Dopóki nie zobaczę pustych tornistrów, dopóty wasz dalszy

los na uniwersytecie będzie niepewny.

Lekki po kolei podał każdemu tornister. Laszlo wziął swój i przyjrzał się doczepionym do niego kartkom. Zapisane kilkoma różnymi charakterami pisma, zawierały nazwisko nieznanego mu studenta trzeciego roku, który pożyczał księgę, i kolejne etapy jej poszukiwań wraz z uwagami na temat działu, kodami i szeregami liczb, które nic mu nie mówiły.

– Biblioteka jest tak rozbudowana – rzekł Molnar – i rozrasta się tak dziwnie według własnego widzimisie, że przez całe wieki nie udało się wprowadzić naukowego nadzoru nad księgozbiorem. Żeby się czegoś dowiedzieć, polegamy na zakłęczach katalogowych, wielce potężnych metodach wyprowadzonych z naszych najdokładniejszych doświadczeń magicznych. Zebrane informacje indeksatorzy przechowują tutaj. To na ich podstawie planujemy nasze wyprawy i wytyczamy najdogodniejsze drogi, żeby dotrzeć do wybranej pozycji, zdjąć ją z półki lub na nią odłożyć.

– Przepraszam, profesorze – odezwał się Kazimierz – czy tam znajduje się repozytorium zakłęcz katalogowych?

Podążywszy wzrokiem za wyciągniętą ręką Kazimierza, Laszlo zauważył głębszą od innych wnękę w ścianie, w której wciśnięta za niewielki arsenał stała czarna, szklana kolumna. Pulsowała łagodnie błękitną poświatą.

– W rzeczy samej – rzekł Molnar. – Albo zrobiłeś dobry użytek z materiałów propedeutycznych, albo udało ci się zgadnąć.

– To, że tak powiem, zainteresowania pozauniwersyteckie. – Kazimierz sięgnął do sakiewki przy pasie i wyciągnął ogromny, przypominający pryzmat trójgraniasty kryształ z mlecznym środkiem. – Czy mogę to zostawić przy repozytorium do czasu powrotu z

egzaminu? To wprost niebywałe urządzenie. Pozwoli mi się trochę zorientować w działaniu zakłęb katalogowych. W posiadaniu mojej rodziny jest bogata biblioteka, oczywiście zwyczajna, nie magiczna, ale gdybym umiał napisać kilka zakłęb, dzięki którym można by ją uporządkować...

– Ambicja w parze z lenistwem – podsumował Molnar. – Niech nikt nie mówi, że aspirant Vrana nie myśli jak prawdziwy czarodziej.

– Nie będę musiał nawet o nim myśleć, gdy będziemy w środku, panie profesorze. Jest zaprogramowany, zabiorę go, kiedy będziemy wracali. – Laszlo widział, jak Kazimierz stara się wyczarować i przyjąć służalczą postawę.

Tylko o czym on mówi? Jaki własny projekt? Jaka biblioteka rodzinna? Nigdy nawet słowa nie pisał na ten temat. Choć należeli do całkiem innych światów, jako współlokatorzy świetnie się dogadywali i Laszlo sądził, że nie mają przed sobą tajemnic. Skąd on się urwał?

– Oczywiście, aspirancie – odrzekł Molnar. – W końcu próbujemy poradzić sobie z tymi zakłębami, a dzisiaj chodzi wszak o to, byście docenili wartość naszej pracy.

Kazimierz ruszył ku kolumnie, żeby umieścić przy niej swe niewielkie urządzenie, Molnar zaś w tym czasie skinieniem ręki wskazał reszcie wewnętrzne drzwi w Katalogu Mantykory. Były równie wysokie i szerokie jak te, przez które weszli, ale wyglądały bardziej ponuro: nagi ciemny metal pokrywały geometryczne wzory i runy odstraszające.

– Drzwi do magazynów bibliotecznych – rzekł – można otworzyć wyłącznie osobistymi kluczami dwojga bibliotekarzy, i to jednocześnie. Jednym z nich będę dziś ja, a drugim... Drugi powinien już tu być...

– Jestem, profesorze.

W wyobraźni ludowej (a taka była wyobraźnia Laszla, jeśli chodzi o ten temat) bibliotekarki przybierały postać nadobnych gibkich wojowniczek rodem z egzotycznych legend. Kobieta, która szła ku nim przez salę, była niska, odrobinę tylko wyższa od Yvette i krzepka jak betonowy imbryk, o szerokich biodrach i ramionach kowala. Miodowozłote włosy miała związane w krótki kucyk, a na plecach na czarnym bibliotekarskim pancerzu nietypowe szelki z pochwami kryjącymi dwie krzyżujące się szable. Jej pulchną twarz znaczyły blizny równie liczne jak u Molnara, a doświadczenie zdobyte przez Laszla w amatorskich pojedynkach mówiło mu że z taką osobą w żadnym razie nie należy zadzierać.

– Drodzy aspiranci, przedstawiam wam bibliotekarza–fechmistrza Astrizę Mezaros – rzekł Molnar.

Gdy Mezaros go mijala, Laszlo zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze, na dziwnych szelkach wisiały nie tylko dwie szable, ale też, poniżej nich, mocno przytroczona jakaś duża księga. Po drugie, jej lewa rękawica przesiąknięta była świeżą krwią.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Wracam ze szpitala.

– Widzę – zauważył Molnar. – Czy...

– Nie, ze mną wszystko dobrze. Nie mnie się dostało, tylko Selucasowi z porannej grupy studentów.

– Ach! Wyzdrowieje?

– Za kilka tygodni. – Mezaros uśmiechnęła się szeroko, spoglądając na czworo studentów. – Egzamin miał ciężki, to mogę powiedzieć.

– Zatem do dzieła. Właśnie robiłem im wykład, możemy przejść dalej.

– Dobrze. – Mezaros sięgnęła pod kolczugę i wyjęła przypięty do niej łańcuchem klucz. To samo zrobił Molnar i oboje stanęli przed

drzwiami. Powierzchnia ścian po obu stronach portalu zafalowała i tam, gdzie przed chwilą był goły kamień, ukazały się dwie niewielkie dziurki od klucza.

– Otwieranie! – wrzasnął Molnar.

– Otwieranie – powtórzyli chórem indeksatorzy. Wszyscy przerwali to, co właśnie robili, i odwrócili się w stronę drzwi. Jakaś kobieta w błękitnych szatach ruszyła ku wejściu z korytarza, sprawdziła je i krzyknęła: – Drzwi Mantykorzy zabezpieczone!

– Otwieranie – zapowiedział jeszcze raz Molnar. – Na trzy. Raz, dwa...

Oboje włożyli klucze do dziurki i równocześnie przekręcili. Skrzydła drzwi rozsunęły się tak jak przedtem Drzwi Mantykorzy. Ukazała się pusta sala o metalowych ścianach, oświetlona bursztynowymi lampami osadzonymi w kutych żelaznych osłonach.

Mezaros weszła pierwsza. Na progu podniosła rękę, dając znak, by idący za nią się zatrzymali. Zanim skinęła, mówiąc tym gestem, że wszystko w porządku, szybko, acz uważnie omiotła spojrzeniem podłogę, ściany i sklepienie.

– Do środka – zarządził Molnar, zaganiając aspirantów. Pstryknięciem palców wyczarował długą laskę z ciemnego, gładko wypolerowanego drewna. Miała wprawdzie jakieś zdobienia, lecz z obu końców okuta była metalem, a okucia, jak zauważył Laszlo, poznaczone były głębokimi wgnieceniami.

Kiedy wszyscy znaleźli się w komnacie, Molnar machnął dłonią w stronę niczym nie wyróżniającego się fragmentu ściany, a drzwi za ich plecami zatrzasnęły się z hukiem. Mechanizm wydał serię złowrogich kliknięć i rygle zablokowały wejście.

– Za pozwoleniem, profesorze – odezwał się Lekki. – Nie żebym się

wahał, bo całym sercem gotów jestem oddać się każdej sprawie, byle nie wracać do zajęcia od wieków uprawianego w mojej rodzinie, czyli polerowania pancerzy. Tak tylko jestem ciekaw, czy powinniśmy się spodziewać dużego niebezpieczeństwa?

– Dobre pytanie – odparł z uśmiechem Molnar. – My, bibliotekarze, zadajemy je sobie od ponad tysiąca lat. Astrizo, co byś odrzekła naszemu aspirantowi?

– Każdego roku asekurowuję co najmniej tuzin grup – zaczęła Mezaros. – Z wypraw, które pamiętam, najkrótsza trwała dwie godziny, najdłuższa zajęła półtora dnia. Przeciw wam przemawia przede wszystkim to, że nie jesteście wyszkolonymi bibliotekarzami, a za wami – wątpliwa siła statystyki. Większość książek odnoszą na miejsce doświadczeni bibliotekarze pracujący parami.

– Pani Mezaros – rzekł Lekki – nastawiłem się na spędzenie tutaj choćby tygodnia, jeśli trzeba, ale bardziej chodziło mi o... jak by to powiedzieć... szansę zakończenia egzaminu w izbie chorych.

– Aspirancie Zewszechmiar Lekkomysle Bronzoszponie – powiedziała Mezaros – wolę, żebyście tutaj zwracali się do mnie po imieniu. Zrób mi tę łaskę, a nie będę za każdym razem, gdy trzeba cię będzie ostrzec, używać twego pełnego imienia i nazwiska.

– Oczywiście, Astrizo.

– A jeśli chodzi o twoją uwagę, to być może nic strasznego się nie zdarzy, ale może się też okazać całkiem groźnie. Podczas mojej służby nikt nie został zabity, ale otarliśmy się o śmierć. Widzisz, ja sama kilka miesięcy spędziłam w izbie chorych. Prawą nogę złamałam dwa razy, dwa razy prawą rękę, lewą raz, a nos – nie zliczę.

– To u nas normalne – dodał Molnar z ponurym uśmiechem. – Ja byłem dwa razy w śpiączce, złamałem obie nogi, przez cztery miesiące

nic nie widziałem...

– Byłam tam wtedy – rzekła Astriza.

– Wyniosła mnie na plecach. – Molnar promieniał. – Zaledwie od dwóch lat była bibliotekarką. Tak, to miejsce robiło wszystko, żeby nas zabić. Jednakowoż książki zostały odstawione na półkę.

– Cholernie proste. – Astriza nie miała wątpliwości. – Bibliotekarze zawsze odstawiają książkę na półkę. Zawsze. I o tym właśnie wy, kwerendyści, macie się tutaj naocznie przekonać. Jeśli zawsze będziecie słuchać profesora Molnara i mnie, będziecie mieć znacznie większą szansę na powrót cało i zdrowo. Nic więcej nie obiecuję.

– Za wewnętrznymi drzwiami – zapowiedział Molnar – wasze postrzeganie czasu i przestrzeni zostanie wystawione na próbę. Nie wiercie swoim zmysłom. Stosujcie się do naszych wskazówek i, na miłość wszystkich bogów wszystkich światów, trzymajcie się blisko nas.

Laszlo, który całkiem bezpiecznie spędzał uczelniany czas w otoczeniu różnego rodzaju książek, teraz gapił się na swój zamknięty w tornistrze grymuar z prawdziwym niepokojem. Z zadumy wyrwała go ręka Astrizy, która spoczęła na tornistrze i lekko pchnęła go w dół.

– To tylko jeden grymuar, Laszlo. Jedna kropla wody nie jest groźna, prawda? – Astriza znów się szeroko uśmiechnęła. – Potrzeba oceanu, żeby się utopić.

Po komnacie poniosło się echem kilka kliknięć i ostatnie drzwi do magazynów z głośnym sykiem stanęły przed nimi otworem.

\* \* \*

– To niemożliwe. – Yvette powiedziała to, co pomyślał Laszlo.

Regały i szafy biblioteczne ciągnęły się w nieskończoność, a im

bardziej Laszlo natęzał wzrok, żeby wypatrzeć przejście między nimi, tym bardziej zdawało się ono więc, zawracać, tworzyć pętle i ginąć w ciemnościach jak jakiś labirynt. A do tego, o bogowie, przestrzeń była przeogromna, strop znajdował się ze sto stóp nad głową, ściany wydawały się tak odległe, że ledwie je było widać...

– Nastrojowo – odezwał się Laszlo.

– Żebyś się nie zdziwił, jak bardzo. – Astriza rozglądała się badawczo. Sprawdziła, czy wszyscy są, i zamknęła drzwi na klucz.

– I nie mieści się – dodała Yvette. – Znaczy ta przestrzeń w sześcianie. Jest za duża. Albo to tylko...

– Nie, to nie złudzenie – dokończył Molnar. – Przynajmniej nie w potocznym rozumieniu. Niegdyś panował tu porządek. Przestrzeń była czystą geometrią, racjonalną, ale odkąd przeniesiono do niej księgozbiór... Zanim dawni bibliotekarze się zorientowali i postanowili temu zaradzić, było już za późno. Pojedyncze księgi i zwoje lubią wędrować po półkach, lecz gdy próbowano za jednym razem przestawić większą liczbę, biblioteka wpadła w gniew.

– Co się stało? – zapytał Kazimierz.

– Powiem tylko, że tysiąc lat temu wprowadzono takie procedury, żeby nigdy, ale to przenigdy nie rozgniewać biblioteki.

Kiedy zmysły Laszla przystosowały się do panujących warunków, zaczął zauważać coraz więcej szczegółów. Wyrastała przed nim prawdziwa dżungla, skłębione zarośla półek, szuflad, kolumn i antresoli, jakby Żywa Biblioteka, w jakiś niepojęty sposób rozciągająca się poza czasem i przestrzenią, zaanektowała inne budynki, które odpowiadały jej zachciankom. Pograżone w ciemnościach korytarze rozgałęziające się niczym jaskinie, dziwaczne, nieregularne kształty wyrastające z mgły i cieni, budowle na kształt tumorów, które nie



miały powodu stać prosto. A jednak jakoś stały pod nawisem szarych obłoków pulsujących od czasu do czasu bladym, upiornym światłem. Zimne powietrze zaprawione było tysiącami zapachów: wonią starych ksiąg i środków konserwujących, rozgrzanego żelaza, stęchłej ziemi, mokrego futra, zakrzepłej krwi. I choć słabe, działały na nerwy.

Astriza i Molnar wyjęli ze schowka przy wejściu dwie lampy i podrzucili je w powietrze, wymruczawszy krótką formułkę. Lampy rozjarzyły się ciepłym czerwonym światłem i usłużnie zawisły nad nimi.

– Podstawowe zasady są takie – rzekła Astriza. – Tutaj wszystko jest wam wrogie, bez wyjątku. Jeśli cokolwiek będzie próbowało zrobić cokolwiek, brońcie siebie i swoich towarzyszy. Jednakowoż w żadnym razie nie wolno wam uszkodzić książek.

– Zastanawiam się tylko – powiedział Lekki – czy biblioteka nie wie, że przyszliśmy oddać książki, odstawić je na miejsce? Czy nie powinno nam to zapewnić chociaż trochę bezpieczeństwa?

– Doświadczenie uczy, że wie, co robimy, przynajmniej częściowo – odrzekł Molnar. – I jesteśmy pewni, że niezależnie od tego, co z tego rozumie, po prostu nie potrafi się powstrzymać. Dobrze, zacznijmy od twojej księgi, aspirantko d’Courin. Poproszę karteczki.

Molnar i Astriza zagłębili się w notatki, mamrocząc coś pod nosem, aspiranci zaś rozglądali się niespokojnie dokoła. Po kilku minutach Molnar uniósł dłoń i nakreślił w powietrzu ideogram. W jego czerwonych świetlnych kreskach błyskały dziwne iskierki. Oboje przyglądali mu się z przejęciem.

– Baczcie, aspiranci – zwrócił się do gromadki pochłonięty lekturą Molnar. – Wyprawa ta nie ma szczegółowego planu, dopiero w bibliotece zakłęcia katalogowe dadzą większe pojęcie i lepsze

rozeznanie... O, mam, to jest nasz przypadek. Ta książka przemieszcza się sama.

– Dwudziesty ósmy stopień we Wschodniej Sekcji Mantykory – powiedziała Astriza. – Na granicy z terenem Chimery, obok Nożowego Drzewa.

– Drzewo znikło – rzekł Molnar. – Nie ma go od wczoraj, nie wiadomo, gdzie stanęło.

– A to swołocz! Nienawidzę gonić za nim.

– Mapa – rzekł Molnar.

Astriza uklękła na jedno kolano, odwracając się plecami do profesora, on zaś również przykląkł i odwiązał ciężki wolumin, który dźwigała jak plecak. Przy czerwonym świetle unoszących się nad nim lamp przewracał karty, w zamyśleniu kiwając głową. Po chwili z powrotem przywiązał księgę i wyprostował się.

– Księga Yvette – powiedział – właściwie nie jest grymuarem w dosłownym znaczeniu, bliżej jej do traktatu filozoficznego. Ma tytuł *Rozprawa o nieobliczalności niezbędnej w taumaturgii*, a napisał ją niejaki Adrilankha. W jej sąsiedztwie znajdują się jednakowoż pewne osobliwe tomy, przed nami więc długa droga. Bądźcie czujni.

Ruszyli przed siebie jedno za drugim. Astriza szła na czele, pochód zamykał Molnar. Czerwone lampy płynęły w powietrzu tuż nad ich głowami. Gdy postavili stopy między regałami, znaleźli się w prawdziwych ciemnościach. Laszlo powstrzymał nagłą chęć wyciągnięcia rapiera i trzymania go cały czas w gotowości.

– Co o tym myślisz? – Idący przed nim Kazimierz mówił cicho i rozglądał się wokół siebie, jakby śniło mu się coś miłego.

– Ucałuję ziemię pod stopami, jak tylko wyjdziemy. A ty?

– Cudowne miejsce. Jest tu wszystko, co miałem nadzieję zobaczyć.

– Chcesz zostać bibliotekarzem? – spytała Yvette.

– O, nie – odparł Kazimierz. – Co to, to nie. Tylko te strumienie mocy... na pół rozbudzonej, jak rzekł profesor Molnar, płyną same, nie kryje się za nimi żadna świadomość. Zadziwiające. Nie czujecie?

– Ja czuję – odpowiedziała mu Yvette. – I boję się piekielnie.

Laszlo też czuł moc, o której mówili, ale słabo, jakby ktoś łaskotał go soplem lodu w kark. Wiedział, że jest znacznie mniej wrażliwy od Yvette czy Kazimierza, i zastanawiał się, czy gdyby miał tak jak oni rozwiniętą intuicję, to łatwiej byłoby mu opanować strach, czy wręcz przeciwnie, już dawno narobiłby w portki.

Szli, rozglądając się bacznie dokoła, ciemnymi, głębokimi wądołami, których ściany tworzyły wyzierające z półek grzbiety książek. Wokół stóp Laszla wiły się pukle mgły, z daleka dochodziły go dziwne dźwięki – słabe odgłosy poruszeń, przewracanych kart, ciche westchnienia. Astriza skręciła w prawo, potem jeszcze raz w prawo, na skrzyżowaniach ścieżek kierując się zakłęciami rzuconymi wcześniej przez nią i Molnara i tylko im znanymi. W napięciu minęło pół godziny, a Laszlowi zdawało się, że już kilka razy przemierzyli tę samą drogę, że idą po własnych śladach, jednak bezspornie posuwali się naprzód, coraz głębiej wchodząc na nieznaną terytoria.

– Laszlo – wymruczał Kazimierz.

– Co takiego?

– Powiedz mi, o co ci chodzi, nie poklepuj mnie ciągle.

– Nawet cię nie dotknąłem.

Astriza podniosła rękę i niewielka kolumna się zatrzymała. Kazimierz odwrócił się do Laszla, pocierając sobie kark.

– To nie ty?

– Nie, do diaska!

Wtedy nastąpił pierwszy atak. Nadszedł ze strony pogrążonych w cieniu ścian bibliotecznego wąwozu. Grad ciemnych przedmiotów. Laszlo wrzasnął i wyciągnął ramiona, osłaniając oczy. Astriza wyszarpnęła swe szable dokładnie w tej samej chwili, gdy on zdążył się uchylić, a Yvette ruchem wcale nie wolniejszym wyrzuciła ręce do przodu i wyczarowała coś na kształt falującej bariery nad ich głowami. Zerkając na nią, Laszlo uświadomił sobie, że odbijające się od niej przedmioty wcale nie są takie nieszkodliwe: pognieciony papier, drewniane drzazgi, kawałki gipsu, coś wysuszonego, co wyglądało na... zwierzęce odchody! O, bogowie, dzięki za Yvette i jej tarczę.

W przyćmionym czerwonym świetle lamp Laszlo dojrzał sprawców owej paskudnej ulewy: dziesiątki szarych stworzeń o wiotkich, sflaczałych kończynach, mniej więcej wielkości martwego noworodka i takiegoż kształtu. Zamiast oczu miały czarne dołki w twarzy, a zamiast ust – cienkie szpary, jakby wycięte w skórze jednym szybkim pociągnięciem brzytwy. Wyskakiwały zza książek, przysiadaly na samym brzegu półek i stamtąd obrzucały ich różnego rodzaju śmieciami jak pociskami.

Kazimierz zaśmiał się, gestykulując, i wyrzekł słowo prostackiej, ostrej komendy, które zakłulo Laszla w uszy. Jedno ze stworzeń upuściło to, czym właśnie chciało cisnąć, zajęczało i rozprysło się w chmurę tłustego jaskrawoczerwonego popiołu, który zaraz wyparował. Te, które były najbliżej niego, rozpierzchły się z piskiem.

– Nie powiecie mi, że coś takiego może nam zagrozić – rzekł Kazimierz.

– *Nie powiecie mi* – wyszeptał zachrypły głos dobiegający z jakiegoś kąta na regałach. – Znane, znane!

– *Coś takiego może, znane, nam zagrozić* – usłyszeli skrzekliwą

odpowieź. – Znane, znane, znane!

– O, cholera! – wykrzyknęła Astriza. – Zamknijcie się, cicho bądźcie! Ani słowa!

– Znane, znane, znane – znów odezwał się szepczący chór i dziesiątki bełkotliwych głosów powtarzało jej słowa w różnym szyku. – Znane, znane, znane!

– To słowożercy – wyszeptał profesor Molnar. – Musimy jak najszybciej opuścić ich terytorium. Nie odzywajcie się.

– Znane – wysyczała z góry któraś z kreatur. – Wszystkie znane! Nowe słowa... Chcemy nowych słów!

Molnar szturchnął końcem laski Lekkiego, który szedł przedostatni. Lekki popchnął Laszla, który grzecznie przekazał znak dalej. Potykając się i ślizgając, aspiranci i ich przewodnicy posuwali się niepewnie naprzód, gdyż irytujące bombardowanie trwało, a czarodziejska bariera Yvette miała ograniczony zasięg. Coś miękkiego i mokrego pacnęło na ziemię tuż przed Laszlem, który z całą niezręcznością postawił na tym stopę i wyłożył się jak długi. Szczęką gruchnął o zimne, twarde płyty posadzki i zanim zdążył pomyśleć, wrzasnął:

– Psiakrew!

– Znane – zaskrzeczał chór.

– Nowe! – usłyszeli pojedynczy triumfujący głos tuż nad głowami. – Nowe! Nowe!

Pojawił się teraz inny, chrypiący i odrażający dźwięk. Laszlo z otwartymi ustami patrzył, jak wysoko na półce jeden z niewyraźnych kształtów, nadawszy się, w sekundę podwoił swe rozmiary, a jego groteskowe ciało zbulgotało i urosło niczym jakieś piekielne ciasto drożdżowe. Maleńkie pazurki i kończyny, z początku mniejsze niż u kota, nabrały znacznie groźniejszego wyglądu.

– Jeszcze! – zakrakał niskim głosem. – Więcej nowych słów!

Zanim dokończył, sfrunął na dół z rozdziawionym pyskiem, w którym widać było nowy garnitur ostrych zębów.

Szabla Astrizy dosięgnęła tego czegoś, zanim Laszlo zdążył krzyknąć. Klinga przebiła je jak napęczniały wrzód, ochlapując wszystko dookoła gorącą, śmierdzącą wymiocinami posoką. Laszlo się zakrztusił, zerwał na równe nogi i pośpiesznie starł obrzydliwą maź z oczu. Astriza rzuciła mu wściekłe spojrzenie i pociągnęła za poję płaszcza.

W milczeniu znosząc grad śmieci i skrzekliwe żądanie nowych słów, gromadka podążyła przejściem między regałami, pokonując kolejne skrzyżowania, aż umilkły za nią ostatnie odgłosy pohukiwań, skrobania i miotania pocisków przez nieustępliwą horde.

– Słowożercy, kreatury przypominające gobliny, żywią się słowami – powiedział Molnar, kiedy zatrzymali się w wyglądającym na spokojne miejscu. – Polują na nowe słowa, których uczą się z ludzkiego języka. Ich metabolizm oparty jest na wchłanianiu słownictwa i przekształcaniu go na tkanki. Rodzą się wielkości robaka, ale wystarczy kilka rzuconych bezmyślnie zdań i urastają do pięciu stóp, a czasem więcej.

– Żywią się też ludźmi? – Laszlo aż się wzdrygnął.

– Człowieka obezwładniają – rzekła Astriza, wycierając szablę z juchy słowożercy. – I męczą tak długo, aż wyduszą z niego wszystkie słowa, jakie zna.

– Nie mamy czasu wytłuc teraz całej tej kolonii – powiedział Molnar. – Na szczęście mają wyjątkowo silny instynkt terytorialny. I są kompletnymi analfabetami. Gniazdują pośród tyłu książek, że ich małe mózdzki mogłyby żywić się ich zawartością w nieskończoność, ale nie

umieją przeczytać ani jednej litery.

– Jak one się tu wkradły, ominęły zamknięte drzwi i zakłęcia? – spytał Lekki.

– Winne są same książki – odparł Molnar. – Niekiedy ich moc przyciąga najdziwniejsze rzeczy z najdalszych światów. Półki są pełne żyjących i niby-żyjących mieszkańców. Dwóch rodzajów, mówiąc ogólnie.

– Jedne nazywamy zagranicznymi – rzekła Astriza. – Co tylko ostatnio wyrzucono na śmieci albo ściągnięto tu czarami. Zwierzęta, duchy, czasami nawet byty czujące. Mało które przetrwają. Albo się ich pozbywamy, albo stają się żerem dla innych.

– Bibliofauna – dodał Molnar. – Istoty stworzone w wyniku działań podejmowanych przez księgi lub jakoś od nich uzależnione. Obce byty, zwichrowane przez środowisko i lepiej do niego dostosowane. Słowożercy z pewnością nigdzie więcej się nie mnożą.

– Cóż – odezwała się Astriza – śmierdzimy trochę, ale wydaje się, że jesteśmy cali. Zbliżamy się do dwudziestego ósmego stopnia we Wschodniej Sekcji Mantykorii. Ruszajmy, a jak następnym razem powiem, żebyście byli cicho, Laszlo, to macie być cicho.

– Przepraszam, pani Meza...

– Form grzecznościowych używamy poza biblioteką – burknęła. – Tutaj najlepszą formą przeprosin jest nie dać się zabić.

\* \* \*

– Hmm. – Molnar wpatrywał się w przewodni ideogram. Światelka biegnące po czerwonych liniach zmieniły barwę na zieloną. – Świetnie. Odpowiednie jest każde miejsce na trzeciej półce. Aspirantko d’Courin, proszę podać Astrizie swój tom.

Yvette nie zdołała ukryć radości, że może oddać tornister kanciatej bibliotekarce.

– Oslaniajcie mnie – poprosiła Astriza, ruszając ostrożnie ku regałowi wskazanemu przez zakłęcie Molnara. Miał dwanaście stóp wysokości i chociaż pokrywający go ciemny fornir był popękany i zszarzały, to stłoczone na nim woluminy wyglądały na nieskazitelnie czyste. Astriza umieściła księgę Yvette w czekającym na nią miejscu i odskoczyła do tyłu, błyskawicznie wyciągając obie szable. Laszlo nigdy nie widział, by ktoś tak szybko umiał sięgnąć po broń na plecach.

– A to co? – spytał Molnar, stając pośpiesznie między półką a aspirantami.

– Półka piąta – odparła Astriza. Machnęła ręką i jedna z lamp się przesunęła, oświetlając szkarłatnym płomieniem zakamarki regału. Na księgach stojących na tej półce leżało coś walcowatego, długiego i ciemnego, a kiedy lampa się poruszyła, Laszlo ujrzał błysk łusek.

– Myśle... – zaczęła Astriza, opuszczając jedną klingę – myślę, że jest martwy. – Drugą szablą kilkakrotnie ostrożnie dźgnęła cielsko i skinęła głową. Razem z Molnarem ostrożnie uchwycili za łuski i zrzucili je na podłogę. Spadło z głuchym pacnięciem.

Był to jakiś wąż. Miał kolor zielony, a grubością dorównywał ramieniu Laszla. Długi na dziesięć stóp, z trzema płaskimi, trójgraniastymi głowami o okrągłych oczach, teraz zasnutych mgłą śmierci. Prawie na całej długości widniały ślady ugryzień w kształcie półksiężyca, jakby coś chodziło po ciele w tę i z powrotem, wgryzając się w nie bez pośpiechu.

– Zagraniczny – powiedziała Astriza.

– Hydra bagienna – rzekł Lekki, trącając ścierwo pazurzastą łapą. – Z moich stron rodzinnych... Bardzo niebezpieczna. Kiedy byłem mały,



zaraz po wykluciu, często mi się śniła. Co ją zabiło?

– Zbyt wielu podejrzanych – rzekł Molnar. Dotknął zwłok węża końcem laski i wymruczał jakieś zaklęcie. Truchło poruszyło się, zadymiło i zszarzało, po czym rozpadło się na ich oczach. Resztki w ułamku sekundy zaczęły się kurczyć, aż na posadzce nie zostało nic poza kupką smolistych popiołów. – Nożowe Drzewo odstraszało drapieżców od tej części biblioteki, ale się wykorzeniło. Teraz wszystko może się tu dostać. Aspirancie Bronzoszponie, podaj mi rewersy do swojej księgi.

– *Poufne zapiski wielkiego nekrozofa Jaklura Nieznośnego* – przeczytała Astriza, kiedy Molnar podał jej część karteczek. – Urocze.

Oboje znowu wzięli się do wróżb, tym razem z większym pośpiechem. Po chwili Astriza podniosła wzrok, wskazała gdzieś w przestrzeń po lewej stronie Laszla i rzekła:

– Pięćdziesiąty piąty stopień w Północno–Zachodniej Sekcji Mantykozy. Kolejny spacer po piekielnym bruku. Ruszajmy.

\* \* \*

Drugi etap wędrówki trwał dłużej niż pierwszy. Wszyscy aspiranci, oprócz Kazimierza, który kroczył swobodnie, wyglądali na przestraszonych i uważnie stawiali każdy krok. Wydawało się, że zachwył Kazika tym miejscem jest niewyczerpany. Co do Laszla... no cóż, upłynęła kolejna godzina i resztki cuchnącej posoki słowożercy zmyły mu z twarzy i szyi strużki potu wywołanego zdenerwowaniem. Gdy tak przechodzili przez ciemne wąwozy i groty biblioteki, aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że z każdej strony otaczają ich kąsające, warczące i syczące, choć niewidoczne istoty.

W pewnej chwili usłyszał przenikliwy dźwięk, jakby chichot

dobiegający z ciemności, i zatrzymał się, nasłuchując. Profesor Molnar, nie zwalniając ani na sekundę, złapał go mocno za ramiona, obrócił wokół osi i popchnął naprzód.

W końcu dotarli w pobliże zewnętrznych murów biblioteki. Powietrze było lepkie od gęściejszej niż gdzie indziej mgły. W górze piętrzyły się ogrodzone balustradami galeryjki, całkowicie nieoświetlone, dlatego Astriza przywołała gromadkę pod same kręcone schody prowadzące w owe pograżone w ciszy rejony.

– Już blisko – powiedziała. – Miejsce na książkę Kazimierza jest gdzieś niedaleko. Jeśli będziemy mieli szczęście, to możemy...

– Padnij! – syknął Molnar.

W jednej chwili Astriza znalazła się w przykłęku z szablami w dłoniach, a aspiranci poszli w jej ślady. Laszlo ukląkł i wyciągnął rapier. Tylko Molnar stał wyprostowany.

Mgła zaczęła się zmieniać. Laszlo widział, że kłębi się coraz gwałtowniej. Przy posadzce szedł przeciąg, który budził dreszcze i niósł jakiś trzepot, szelest przypominający dźwięk, jaki wydaje suszące się na wietrze pranie. Spiętrzona fala mgły rozstąpiła się na boki i wyłonił się z niej jakiś niewyraźny wirujący kształt. Gdy się zbliżył, Laszlo ujrzał chmurę papieru, jakby kolumnę, w której niczym trąba powietrzna wirowało tysiące kartek.

– Nie! – krzyknął Molnar, widząc, jak Kazimierz unosi dłonie, szykując się do wypowiedzenia zaklęcia. – Nie rób jej krzywdy! Chrońcie siebie, ale nie atakujcie, inaczej biblioteka...

Jego słowa utonęły w huku przewalającej się nad nimi masy. Podmuch, który uderzył w Laszla, miał siłę tuzina niewidzialnych pięści: rozwiana peleryna nadała mu wygląd spadochroniarza, a chmura pyłu i brudu poderwanego z pobliskich pól wypełniła

powietrze ostrym fetorem. Ledwie zdążył wsunąć rapier do pochwy, gdy walnął o posadzkę. Podmuch rzucił czerwone lampy o kamienną balustradę nad jego głową i roztrzaskał je w drobny mak.

Wśród zawodzenia wichru dał się słyszeć zgrzyt, jakby ktoś ostrzem noża ciągnął po kamieniach. Spod zmrużonych powiek Laszlo widział, jak Lekki traci równowagę i osuwa się na grzbiet. Zdał sobie sprawę, że tors jaszczura, znacznie szerszy od ludzkiego, zadziałał jak żagiel, choć Lekki usiłował – na próżno – wbić pazury w płyty podłogi.

Laszlo rzucił się mu na plecy i kilka sekund desperacko zmagił się z przytłaczającą masą jaszczura stawiającą opór powietrzu. Już, już wydawało mu się, że zwali go z nóg, kiedy z wirującej zawieruchy wyłonił się Kazimierz i dodał do jego ciężaru własny. Pchającym z całej siły dwóm aspirantom rasy ludzkiej udało się w końcu przycisnąć wielkiego jaszczura do ziemi. Sami padli na jego grzbiet.

Migotało aktywnicze światło. Pochyleni Molnar i Astriza wspólnie opierali się straszliwej wichurze. Z dłońmi na lasce Molnara przywoływali jakiś czar. Okrutny szary cyklon rozstał się przed nimi jak fala, która ustępuje przed dziobem dzielnego żaglowca, co stojących za nimi oszołomionych aspirantów uchroniło przed zassaniem przez duszącą burzę papieru. W ostatniej chwili, jak się okazało, gdyż zdążyła się ona uzbroić w ostre pazury z odłamków miedzi i szkła z potrzaskanych lamp, ostrzejsze niż te, z którymi się urodziła. Okrążyła ich raz, drugi i trzeci, grzechocząc swą luźną bronią o niewidzialną zaporę, ale czar rzucony przez bibliotekarzy trzymał. Laszlowi zdało się, że w rozlegającym się dokoła wyciu usłyszał nutę zawodu.

Napięcie opadło. Kartki papieru wciąż wirowały i szeleściły wokół nich, a wicher zawodził obłąkańczo, ale po krótkiej chwili

najgwałtowniejsze podmuchy ucichły. Okruchy szkła i metalu opadały na ziemię jak porzucone zabawki, a skrzeczący rozgardiasz poleciał przejściem dalej, zostawiając za sobą bardzo wolno rzednącą kurzową zamieć wznieconą na początku. Kaszląc i kichając, młodzi wędrowcy niepewnie podnieśli się na nogi. Rumor bibliotecznego cyklonu oddalał się szybko w gęstniejący mrok.

– Dziękuję wam, ludzie – odezwał się ochryple Lekki. – Zaczynam myśleć, że polerowanie pancerzy, zajęcie, którym para się mój klan od niepamiętnych czasów, ma swoje dobre strony.

– Nie ma o czym mówić – odparł wciąż kaszlący Laszlo. – Co to, u diaska, było?

– Wierzcie albo nie, ale to była książka – rzekła Astriza.

– Bezprawnie uwolniony grymuar – dodał Molnar, strzepując kurz z pancerza. – Czasami tutejsze stworzenia i moce niszczą przypadkiem książki. A czasami, kiedy bardzo stary grymuar związany szczególnie potężnymi zaklęciami zostanie pozbawiony oprawy, wcale nie chce przestać być księgą. Na nim skupia się nieświadomy gniew biblioteki. Księga bez oprawy jest jak niespokojny duch, jak istota bez śmiertelnej powłoki. To, co z niej pozostaje, trzyma się nadal blisko siebie siłą samej złości, włócząc się bez celu i rzucając się na wszystko, co stanie mu na drodze.

– Na przykład moja twarz – rzekł Laszlo, który dopiero teraz poczuł na policzkach i czole pieczenie i kłucie. – O, bogowie!

– Papier tnie. – Kazimierz wyszczerzył zęby. – Coś mi się wydaje, że na żadnej pięknej kobiecie takie blizny nie zrobią wrażenia.

– A ja jestem pod wrażeniem – wymruczała Yvette, delikatnie dotykając własnej twarzy opuszkami palców. – Pozwoli pan tym papierom latać gdzie chcą, profesorze Molnar?

– Nigdy nie atakują innych ksiąg. Za to usuwają albo zabijają wiele drobnych szkodników bibliotecznych. Można je porównać do pożaru lasu w naturze: jest zły, ale w ostatecznym rozrachunku ma przypuszczalnie dobroczynny wpływ na cykl biologiczny.

– Szkoda lamp – westchnęła Yvette.

– A właśnie. – Molnar klepnął rączkę laski i zaiskrzyła na niej kula czerwonego światła, słabszego od światła zniszczonych lamp, ale wystarczającego, żeby rozproszyć ponury mrok. – Aspiranci, znajdźcie wszystkie kawałki rozbitych lamp i włóżcie do pustego tornistra. W bibliotece panuje wystarczający bałagan, nie musimy go powiększać.

Kiedy studenci przemywali skałczenia i przeczesywali najbliższe otoczenie w poszukiwaniu resztek lamp, Astriza rozejrzała się wokół, sprawdziła jeden z amuletów wiszących na łańcuszku, który oplatał jej przegub, i gwizdnęła zadowolona.

– To się nazywa łut szczęścia. – Podeszła do półki przytulonej do zewnętrznej ściany biblioteki, wsunęła grymuar Lekkiego w puste miejsce i ostrożnie się cofnęła. – Dwie oddane. Wasza czwórka ma pół drogi na szósty rok za sobą.

– Aspirancie Vrano – dodał Molnar – jestem pewny, że miejsce przeznaczenia twojej książki znajduje się o rzut kamieniem od zewnętrznego muru biblioteki, na sześćdziesiątym pierwszym stopniu w Północno–Zachodniej Sekcji Mantykozy. A potem będziemy mieli jeszcze tylko jedną do oddania, zanim was popędzimy z powrotem do świata beztroskiego składania rewersów w zaciszu czytelnia.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie ma pośpiechu. – Kazimierz przeciągnął się leniwie. Płaszcz i zbroję znowu miał w niemalże idealnym ładzie. – Dobrze się tu bawię. I jestem pewien, że najlepsze dopiero przed nami.

\* \* \*

Trochę dalej niż rzut kamieniem, pomyślał Laszlo, tyle że wystrzelonym z katapulty. Sunęli wzdłuż regałów od działu do działu, a książki, jak zapowiedział Molnar, stały na półkach nienaruszone. Szalejący luzem grymuar ich nie tknął. Opary mgielne skradały się za nimi, dlatego bibliotekarze cały czas wydziwiali i mamrotali nad czarami przewodnimi. W końcu wędrowcy dotarli do miejsca, które według Molnara leżało przy sześćdziesiątym pierwszym stopniu w Północno-Zachodniej Sekcji Mantykory. Było to skupisko regałów pod wyjątkowo ciężkim kamiennym balkonem.

– Ta-daaaaa! – wykrzyknęła Astriza, gdy już wycofała się spod półki, na której bez przeszkód postawiła księgę Kazimierza. – Widzicie, dzieci, niekiedy oddawanie książki jest nudne. A nuda tutaj jest piękna.

– Pomocy! – rozległ się nagle omdlewający głos. Dobięgl gdzieś z prawej, z ciemnej ścieżki w kniei regałów prowadzącej ku niewidocznemu sercu biblioteki.

– Nie wspomnę, jak cholernie rzadka. – Astriza ruszyła naprzód, a z nią Molnar, przebiegając wzrokiem regały i usiłując wypatrzeć coś w mroku. – Kto tam jest?

– Pomocy! – Głos był cichy i chrypiący. Nie sposób było wyczuć, czy wychodzi z gardła istoty myślącej.

– Ktoś z egzaminów? – spytała Yvette.

– Zaraz się dowiem – rzekł Molnar. – Wygląda raczej na jakiś podstęp. Sprawdźmy, ale bardzo, bardzo ostrożnie.

Jakby w odpowiedzi na słowa profesora z ciemnych regałów spłynął jakiś kodeks. Astriza i Molnar schylili się, a książka, odbiwszy się raz od podłogi, upadła u stóp Yvette. Dziewczyna trąciła ją czubkiem botka i stwierdziwszy, że jest prawdziwa, podniosła i przyjrzała się okładce.

– Co to jest? – spytał Molnar.

– *Komentarze do tajemnic czerwca z przypisami* – przeczytała Yvette. – Nie wiem, czy to coś znaczy...

– *Przy-pi-sami* – wysyczało coś w ciemności z dziwnym parsknięciem. W głosie tego czegoś pobrzmiwał ton zadowolenia. – Nowe!

– *Komentarze* – syknął inny. – Nowe, nowe!

– Niech to piekło! – Molnar odwrócił się do aspirantów i zniżył głos do szeptu. – A więc jednak podstęp! To znowu słowożercy. Mówcie cicho, używajcie prostych słów. Już je nakarmiliśmy. To może być równie duża grupa jak poprzednio.

– Tajemnice – zajęczało jedno ze stworzeń. – Nowe!

Dała się słyszeć seria kłapnięć i odgłosy bulgotania. Laszlo wzdrygnął się na wspomnienie stworzenia, które gwałtownie urosło i chciało na niego skoczyć, i w jego dłoni natychmiast pojawił się rapier.

– Nowe słowa – coraz głośniejsz skandował chór. – Nowe słowa, nowe słowa!

Brzmiało to tak, jakby czało się gdzieś w pobliżu co najmniej tuzin stworzeń, a poza ich głosami słychać było jeszcze trzaskanie i bulgotanie, jakby oleju gotującego się w kotle... w niejednym kotle.

– Wy tam, chcemy nowych słów – z chóru wyróżniał się jeden głos, ostrzejszy i bardziej władczy. – Wszyscy, oprócz chłopaka. Tego, który zabija zaklęciem! Tego my zabijemy! Reszta ma dać słowa!

– Tego my zabijemy! – podchwycił chór. – Reszta ma dać słowa!

– Nie ma mowy – wyszeptała Astriza. – Za żadne skarby, do diaska!

– To ta sama banda. – Molnar też szeptał. – Szli za nami. Miłościwi bogowie, uczą się działać wbrew instynktowi. Musimy ich zniszczyć!

– Żeby nie nauczyli innych tych cholernych zachowań. – Astriza ponuro skinęła głową. – Jak powiedział profesor Molnar, trzymać

język za zębami. Niech przemówią wasze miecze i zaklęcia. Jeśli...

Laszlo nigdy się nie dowiedział, co chciała powiedzieć. Słowożercy wychynęli z ciemności, zza regałów i z głębi przejść, i zakotłowali się w kręgu mizernego światła rzucanego przez laskę Molnara, wyjąc, dysząc, bełkocząc i skrzecząc. Nie przypominali wymoczkowatych stworzeń z pierwszego spotkania: większość dorównywała rozmiarami wilkom. Wydłużyły się im ciała, kończyny wypełniły grube, węzłaste, śliskie mięśnie, a szpony zamieniły w narzędzia rzeźnicze. Niektórym wyrosły pancerze z chitynowych pokryw, innym zaś obwisłe skórzaste worki przypominające guzy w kształcie dzwonu. Nadciągali stadami, zachodząc Laszla i jego towarzyszy z flanki, biorąc ich w kleszcze.

Na pierwszy ogień poszedł Kazimierz, który wypowiedział sylabę tak brutalną, że Laszlo aż się zachwiał. W uszach mu zadzwoniło, w ustach poczuł cierpki smak metalu. Śmiercionośny, straszny czar tego rodzaju, że Laszlo nawet nie śmiał pomyśleć, by miał się go nauczyć, a co dopiero użyć. Cała jego siła uderzyła w najbliższego słowożercę. Dostało mu się za gorliwość. Skóra dosłownie odpadła od kości i mięśni, jakby otworzył się i rozkwitł mokry, skórzasty kwiat, który potem skurczył się jak szmata. Za skórą poszły mięśnie, kości i połyskujące organy wewnętrzne – stworzenie rozpadało się warstwa po warstwie. Za nim nacierały jednak kolejne, a kiedy walka rozgorzała na dobre, Laszlo zaczął mimowiednie modlić się w duchu, żeby słowa komendy, dla nieznanających czarów brzmiące jak paplanina, nie stały się pożywieniem owych kreatur.

Szła na nich warcząca horda stworów z pustymi oczami, gębami ziejącymi jak dziury w ziemi. W jednej chwili dla Laszla cała ta bitwa ograniczyła się do unikania tych wszystkich szponów, które chciały rozorać mu pancerz, i jadowitych kłów, które szukały miejsca, żeby



wbić się mu w ciało. Kłując i robiąc uniki, toczył najbardziej zajadły pojedynek w swym życiu, starożytną klingą przebijał dygocące korpusy słowożerców. Zabijał ich tuzinami, ale na miejsce zabitych ciągnęli następni, jeden kłębiący się szereg za drugim, pchali się jeden przez drugiego, by dopaść go i rozerwać na strzępy.

– Nowe słowa – krakały potwory, gdy ciał gulgoczące gardła i walił ciężką rękojeścią w ohydne czaszki. Bryzgały cuchnącą posoką, w przedśmiertnych drgawkach plamiąc mu płaszcz i bryczesy, ale nie zważał na to, zmuszony krok po kroku ustępować pod ich naporem, cofać przed trupami spychanymi na niego przez tych, którzy gramolili się po nich bez wytchnienia.

Mimo że nie ustawał w walce, kątem oka widział, co dzieje się wokół. Molnar i Astriza walczyli ramię w ramię. Laska profesora kreśliła potężne łuki, szable Astrizy, szersze i cięższe od Laszlowego rapiera, także nie próżnowały i tańczyły zwawo. Gdziekolwiek się obróciła, ręce i nogi słowożerców leciały w powietrze, z rozplątanych korpusów wylewały się flaki. Podziwiał jej siłę i ten podziw niemal przyplącił życiem.

– Nowe słowo! – wrzasnęła jedna z kreatur, łapiąc go za poję płaszcza i zwalając na kolana. Zaślinionym pyskiem wczepiła się w skórzany obojczyk chroniący jego kark. Jej oddech był nie do opisania, coś jakby padlina mocząca się w rynsztoku i maceracie czosnkowej. Czy ten smród pochodzi z układu trawiennego słów? – Nowe słowo!

– Zdychaj – wymamrotał Laszlo, strącając łapę stwora, i wraził sztych rapiera w pusty lewy oczodół napastnika. Kreatura natychmiast zrozumiała usłyszane słowo, gdyż ześlizgnęła się z jego pancerza, wyciągając ku niemu pazury w ostatnim bezskutecznym odruchu. Laszlo podniósł się z ziemi, kopniakiem odrzucił truchło i pchnął

rapierem w pysk następnej... i następnej...

O kilka stóp od niego, po lewej, w podobnym stylu bił się Lekki Bronzoszpon. Obywając się bez sztuki magicznej, którą opanował w miernym stopniu, podskakiwał w miejscu, żeby zrobić najlepszy użytek ze swej naturalnej broni. Napastników miażdżył ciosami ciężkiego ogona albo mocno ścisnął przednimi łapami i błyskawicznym kopniakiem wbijał w nich szpony. Oślepiiony furją, bezlitosny, siekł słowożerców i wyciskał z nich parujące wnętrzości, jakby byli owocami, które wpadły do jakiejś piekielnej sokowirówki.

Tymczasem Kazimierz i Yvette, oparci plecami o regały, ręka w rękę rzucali czary na młócących na oślep wrogów. Yvette wywołała jeszcze jedną niewidzialną zaporę i manewrowała nią w różne strony niczym tarczą, ściągając na nią ataki słowożerców, a potem ich z hukiem odpychając. Kazimierz, z obłąkańczym uśmiechem na twarzy, raz za razem wypuszczał śmiercionośne zaklęcia na tych, których Yvette przewracała, i spalał ich w słupach błękitnego ognia. Wszędzie było pełno tłustego czarnego dymu, który dławił Laszła.

Mimo wszystko – słowożerców było trochę za dużo – zdobywali przewagę i Laszlo poczuł dziwne podniecenie, gdy szeregi okrutnych wrogów zaczęły się przeredzać. Jeszcze tylko kilku uśmierci on, kilku bibliotekarze, paru Lekki i bitwa...

– Zabić chłopaka! – zaryczał niskim głosem przywódca słowożerców, który parę minut temu wezwał do natarcia. Wyskoczył z regału i w końcu sam włączył się do walki. Był dwa razy większy od swych pobratymców, najbardziej przypominał bezwłosego szarego niedźwiedzia. – Zabić chłopaka, który czaruje! Zabić dziewczynę!

Słyszając rozkaz, słowożercy, którzy uszli z życiem, porzucili dotychczasowych przeciwników i pognali w stronę Kazimierza i Yvette.

Dwoje aspirantów pod zaciekle naporem nowych sił dało się przyprzeć do półek. Laszlo i Lekki, zaskoczeni nagłą rejteradą wroga, wpadli na siebie.

Olbrzymiego słowożercę, który szarżował przejściem, wzięli na siebie Astriza i Molnar. Laszlo patrzył z niedowierzaniem, jak zmiata ich ciężkie uderzenie wielkich przednich odnóży stwora. Wyrwał on też Astrizie jedną z szabel, którą bibliotekarka zdążyła wbić w wypchany chrząstkami worek zwisający mu z prawego boku, niestety bez widocznego skutku. Runął między regały za plecami Kazimierza i Yvette, którzy wciąż się bronili, i natychmiast zniknął z pola widzenia.

Mniejsi słowożercy przyparli Yvette do półek jej własną tarczą, za którą miotała się jak owad nakryty szklanką; wyglądało na to, że zmiążdży ją magiczna osłona. Zneutralizowawszy osłonę, w końcu chwycili Laszla za ramiona i uniemożliwili mu rzucenie czarów. Zdawało się, że przedarłszy się na oślep przez stosy tłących się odwłoków swoich kamratów, porzucili wszelkie nadzieje na zdobycie nowych słów i zamiast tego chcą tylko dokonać zemsty na Kazimierzu.

Zostało ich jednak ledwie kilkunastu, a Laszlo i Lekki odzyskali spokój. Poruszając się jednym rytmem, przedzierali się przez dym i krew na tyły gromady słowożerców. Siekli ich bez przeszkód i gdyby tylko mogli zabijać szybciej... Szpony i rapier śpiewały chórem – zostało dziesięciu. Jeszcze raz, ośmiu, i jeszcze – sześciu.

Tarcza Yvette w końcu pękła, a ona i Kazimierz pierzchli przed sięgającymi im do gardeł pazurami słowożerców, ale wtedy było ich już tylko pół tuzina. Po chwili zaś czterech i wreszcie dwóch. Aż nadeszło zwycięstwo i Laszlo, z trudem łapiąc oddech, chwycił ostatniego za skórzasty odwłok i odciągnął od towarzyszy. Wbił rapier w jego grzbiet, przekuwając miejsce, w którym domyślał się trafić na serce, i cisnął

ścierwo na ziemię obok truchel jego pobratymców.

– Dzięki – wycharczał Kazimierz, pomagając usiąść Yvette. Wyglądało na to, że chociaż do nitki przemoczyła ich mdląca jucha trupów, uniknęli najgorszego.

– Olbrzym... – Yvette chwytała oddech. – Znajdź olbrzyma, zabij go szybko...

W tym momencie olbrzym, wspiąwszy się na sam szczyt regału nad ich głowami, zatrząsł nim potężnie. Nagle spadł na nich grad książek, a w ślad za nim ciężka, ciemna masa, która pogrzebała Kazimierza i Yvette. Laszlo aż się zachwiał, gdy olbrzymi słowożerca wszedł na przewrócony regał, stawiając kroki jak drapieźnik podchodzący do ofiary.

– Kazimierz! – zawołał Laszlo. – Yvette!

– Nie! – krzyknął na niego Molnar, chwiejnie stając na nogach. – Nie! Imiona własne mają największą moc ze wszystkich słów!

Niestety, wypowiedzianego słowa nie można cofnąć. Korpus ostatniego słowożercy zaczął się wzdymać, jakby kłębiły się w nim setki stworzeń gotowe wybuchnąć niczym gejzer, a na jego złowrogiej paszczy malowała się ekstaza. Rozpychały go nowe masy ciała, z niczego mnożyły się nowe mięśnie i ścięgna, nowe rzędy połyskujących rekinich zębów wyrastały w czarnej jamie gębowej. W jednej chwili monstrum osiągnęło kilkanaście stóp wysokości i szerokości, a czubek głowy niemal dotknął kamiennej galerii.

Ciężką stopą, cięższą niż przed chwilą, kreatura znów nastąpiła na powalony regał i rozłupała stare drewno w drzazgi. Lekki bez wahania rzucił się na nią całym swym potężnym cielskim zakutym w szkarłatny łuskowy pancerz, ale jego siła okazała się niewystarczająca. Potwór chwycił go w locie, obrócił i cisnął zwiniętego w kłębek w

Molnara i Astrizę. Ci, wciąż ogłuszeni poprzednim ciosem, nie zdążyli się na czas uchylić i czterysta funtów koziółkującego jaszczura przygniotło ich do ziemi.

Laszlo stanął sam na sam z potworem, z rapierem śliskim od krwi w drżącej dłoni i umiejętnościami czarownika wystarczającymi, w najlepszym razie, do zagotowania wody na herbatę.

– O, cholera – wymruczał.

– Znane – parsknęła kreatura dudniącym basem, jakby z daleka dobiegł grzmot. – Teraz zabić chłopaka. Teraz to łatwe.

– Uff – sapnął Laszlo, przebiegając wzrokiem zasnute dymem przejścia w poszukiwaniu czegoś niespodziewanego, jakiejś pomocy, czegokolwiek, co mógłby wykorzystać jako broń. Schlebiała mu myśl, że mógłby ruszyć na potwora z rapierem i zabić go, ale to, jak potraktował on Lekkiego, nie pozostawiało złudzeń w tym względzie. Zerkał po półkach i sklepieniu, gdy nagle coś go tknęło: wrażenie, jakie znał każdy aspirant z Wszechnicy Hazarskiej. Wrodzony talent wszystkich studentów – znajdowania zaklęcia ostatniej szansy. Chwywania się każdego rozwiązania, niezależnie od tego, jak jest szalone czy straceńcze.

– Nie! – wrzasnął. – Nie! Oszczędź go!

– Zabić chłopaka! – ryknął potwór, z powodu przemiany fizycznej już nie taki błyskotliwy rozmówca.

– Nie! – Laszlo odrzucił rapier i skinął na słowożercę. – Oszczędź go. Dam ci nowe słowa!

– Zabiję chłopaka, wtedy dasz nowe słowa!

– Nie. Oszczędź go. Dam ci dużo nowych słów. Dam ci wszystkie moje słowa.

– Nie! – zawył Lekki – Nie wolno...!

– Zaufaj mi – rzekł Laszlo. Podniósł jakąś książkę ze stosu na podłodze i pomachał nią w stronę stwora. – Chodź tu. Poczytam ci!

– Książka ze słowami – syknęła kreatura i zrobiła krok naprzód.

– Tak. Dużo książek, dużo nowych słów. Podejdź do mnie, a będą twoje.

– Nowe słowa! – Kolejny krok. Słowożerca oderwał się od półek i stanął nad Laszlem jak góra. Z gęby ciekły mu potoki gorącej śliny... O bogowie, pomyślał Laszlo, naprawdę narobiłem mu apetytu.

– Okultacja! – powiedział na próbę.

Potwór zamruczał z rozkoszy, zadrżał i w groteskowym cielsku zakipiała nowa masa. Zmiana nie była tak poważna jak ta, którą wywołały imiona własne, mimo to znacząca. Głowa słowożercy o cal zbliżyła się do sklepienia. Laszlo wziął głęboki oddech i zaczął wykrzykiwać najszybciej, jak potrafił:

– Fumigacja! Okluzja! O, kantyczka! Kontaminacja! Imbryk! – Łamał sobie głowę nad kolejnymi wyrazami. Potrzebne mu były słowa niejasne, złożone, niepodobne do tych, jakich używali ostrożni bibliotekarze krążący wśród regałów. – Nieokreślony! Zakłamany! Westybul! Cycki, jajca, aluminium, heliotrop, narkolepsja!

Słowożerca ziajał, obżerając się świeżymi słowami. Brzuch spęczniał mu dwukrotnie albo trzykrotnie, zamieniając się w worek sadła, którego starczyłoby na dziesięć tysięcy świec. Cal za całem rozrastał się wzwyż i wszerek. Głowę walnął w kamienny sufit i spojrzał w górę, jakby właśnie zdał sobie sprawę z ciasnoty swego siedliska.

– Kategorieczny! – krzyczał Laszlo, odsuwając się na bezpieczną odległość od jego grubych jak pień kończyn. – Nieugięty, nieustępliwy, niezachwiany, zuchwały, nieodpowiedzialny, brawurowy!

– Neeeeee! – zawyła kreatura, widząc swoje kłopotliwe położenie i

usiłując powściągnąć spazmy rozkoszy, którą sprawiała mu niespodziewana uczta. Rozrastające się cielsko zaklinowywało się coraz mocniej między posadzką a ciężką kamienną galerią, która dzięki czarom stała nienaruszona już ponad tysiąc lat. – Przestań, przestań!

– Przejedzenie! – wołał Laszlo, niemal unosząc się w powietrze z podniecenia – Zachłanność! Obżarstwo! Otyłość! Nadmiar! Zadośćuczynienie!

– Wrrrrrgggg! – wycharczał ogłuszająco wielki jak słoń słowożerca. Próbował łapami rozepchnąć kamienie nad głową, ale bezskutecznie. Głowa opadła mu pod nienaturalnym kątem, aż ciągle rosnący kręgosłup wreszcie pękł pod straszliwym naciskiem sklepienia. Potężne ramiona walnęły z łomotem o posadzkę, aż Laszlowi zazgrzytały zęby, a z kącika zwiotczałego pyska bestii popłynął istny wodospad czarnej krwi.

Nie zatrzymując się ani na chwilę nad tą ciągle jeszcze drgającą górą mięsa, Laszlo ominął ją biegiem i jednocześnie z Lekkim dopadł powalonego regału. Wspólnymi siłami udało im się go podnieść, przy czym wszystkie książki spadły im do stóp. Laszlo mimowolnie się roześmiał, kiedy Kazimierz i Yvette wygramolili się na czworakach z rumowiska. Lekki podniósł Yvette, a ona ze śmiechem runęła mu w ramiona, Laszlo zaś pomógł podźwignąć się Kazimierzowi.

– Bardzo przepraszam – odezwał się Kazik – za każde słowo, które krytykowałem w którejkolwiek z twoich dysertacji.

– Dzisiaj się upijemy! – wrzasnął Lekki. Jego przyjacielskie klepnięcie po plecach prawie powaliło Laszla na ziemię w tym samym miejscu, które przed chwilą zajmowała Yvette. – W waszym stylu, ludzie, bez chwili namysłu, w jakiejś dziwnej okolicy, i zostaną po nas zawstydzające opowieści...

– Profesorze Molnar! – zawołała Yvette.

Czworo aspirantów natychmiast odwróciło głowy i stanęło na baczność niczym rekruci.

Molnar i Astriza z troską podpierali się nawzajem, używając laski Molnara jako piątej nogi. Obojgu z nosa leciała krew, a lewe oko Molnara było niewidoczne pod opuchlizną i siniakami.

– Błagam o wybaczenie – wysyczał Lekki. – Obawiam się, że to moja wina...

– Bynajmniej, aspirancie Bronzoszponie – odrzekł Molnar. – Posłużyłeś tylko niechcący za pocisk.

Laszlo poczuł, jak euforia walki mija, a jej miejsce zajmuje dobrze znane uczucie zmęczenia i ból od ran. Każdy jakoś stał o własnych siłach, ale wszyscy przedstawiali obraz nędzy i rozpacz. Podarte płaszcze, pocięte pancerze, połamane rękojeści, milion cięć i skaleczeń, a na wierzchu gruba warstwa czarnej posoki słowożerców, jeszcze cieplej i ciągle się sączącej. Nawet Kazimierz... No nie, pomyślał Laszlo, ten drań to potrafi. Kazik wyglądał obmierzle jak wszyscy, ale natychmiast znowu przybrał pozę zadowolonego cwaniaczka.

– Dobra robota, Laszlo – pochwaliła chłopaka Astriza. – Jeśli o mnie chodzi, cieszę się, że Lekki mnie przewrócił. Gdybym była na nogach, kiedy postanowiłeś nakarmić to paskudztwo nowymi słowami, dzieliłabym cię między oczy. Gratuluję refleksu.

– To prawda – rzekł Molnar. – Był to najosobliwszy przypadek wśród rozlicznych przeciwności, jakie widziałem przez te wszystkie lata pilnowania studentów oddających książki. Spisaliście się na medal, udało wam się zażegnać prawdziwe niebezpieczeństwo.

– I wprowadzić sporo dodatkowego bałaganu – rzekła Yvette, omiatając pobojowisko spojrzeniem.



Laszlo również się rozejrzył. Pod stosami trupów słowożerców, strumieniami posoki, w dymie pozostałym po taumatycznych działaniach przywalony zrujnowanymi półkami sześćdziesiąty pierwszy stopień Północno-Zachodniej Sekcji Mantykozy wyglądał gorzej niż oni wszyscy razem wzięci.

– Napiszę w sprawozdaniu, że masakry „ku naszemu ubolewaniu nie sposób było uniknąć” – powiedział z uśmiechem Molnar. – Poza tym za pierwszym razem posprzątaaliśmy. Do wieczora i tu wszystko wróci na miejsce.

Laszlo już to widział oczyma wyobraźni i od razu zrzędała mu mina. Spędzić tu cały dzień na sprzątaniu? Nawet za pomocą czarów zajmie to długie godziny, a tylko bogowie wiedzą, czy coś jeszcze nie wyskoczy na nich w tym czasie. Najwyraźniej wyraz jego twarzy zdradzał jego myśli, bo Molnar i Astriza roześmieli się jednocześnie.

– Wy jednak nie musicie się tym trudzić – uspokoił go Molnar. – Doprowadzenie każdego działu do użytku po każdym większym zamieszaniu należy do bibliotekarzy. Dla waszej czwórki egzamin na tym się kończy. Jestem przekonany, że pojęliście istotę sprawy i daję wam zaliczenie.

– Ale moja książka... – zaczął Laszlo. – Przecież...

– Jutro przyjdą kolejni aspiranci, pojutrze następni i tak dzień po dniu. Wy swoje zrobiliście. Propozycja aspiranta Bronzoszpona brzmi sensownie, zgódźcie się na nią jak najszybciej, bo zasłużyliście sobie na świętowanie. Odbierzcie rzeczy osobiste i wracajcie do swego życia.

\* \* \*

Jeśli w odzianym w błękit personelu Katalogu Mantykozy widok sześciorga członków wyprawy spływających posoką wzbudził niepokój,

to nikt nie dał nic po sobie poznać. Aspiranci złożyli na stole tornistry i resztki lamp, po czym zaczęli zdejmować rękawice, napierśniki, płaszcze i amulety. Laszlo poluzował sprzączki zbroi i westchnął z ulgą.

– Spotkamy się za godzinę? – spytał Lekki. – We wschodniej stołówce, jak już się dokładnie, że tak powiem, wykąpiemy.

– Raczej za dwie – powiedziała Yvette. – Wy nie musicie dbać o włosy.

– Będziemy tam za cztery godziny. – Kazimierz spojrzął na zegar ścienny. – Jakoś mu nie wierzę.

– No cóż, czas spowalnia, kiedy wszystko dokoła sprzysięgnie się, by cię zabić – rzekła Astriza. – Profesorze Molnar, czy mam zebrać ludzi do posprzątania Północno–Zachodniej Sekcji Mantykozy?

– Tak, zawiadom całą nocną zmianę. Kiedy wrócę, poprowadzę ich osobiście. Potrzebuję tylko paru godzin – wskazał swe lewe oko, całkiem niewidoczne pod opuchlizną. – Będę w izbie przyjęć.

– Oczywiście. A czy...?

– No tak – westchnął Molnar. – Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby się zająć tym, jeśli...?

– Tak, jeśli – odparła Astriza. – Zajmę się wszystkim. Niech panu opatrzą oko.

– Wracamy razem? – zapytała Yvette.

– Muszę zabrać moje małe urządzenie. – Kazimierz wskazał szklaną wnękę, gdzie znajdowało się repozytorium zaklęć. – I zajrzeć do niego, na chwilę. Nie musicie tu na mnie czekać. Dołączę do was.

– A więc do zobaczenia – rzekł Lekki i wyszedł z Yvette z Katalogu Mantykozy.

– Panowie, dzielnie się spisaliście przed chwilą – powiedział Molnar, wpatrując się w Laszla i Kazimierza zdrowym okiem. Nagle

wydał się Laszłowi dużo starszy i zmęczony. – Mam nadzieję... że zawsze odwaga i mądrość będą tak nierozdzielnie jak dzisiaj towarzyszyć wam obu.

– Dziękuję, profesorze Molnar – odparł Kazimierz. – Jest pan dla mnie bardzo uprzejmy.

Wydawało się, że Molnar odczekał niezwykle długą chwilę, zanim skinął im głową, ale wreszcie skinął i wyszedł z komnaty za Lekkim i Yvette.

– Lazik, ty też zostajesz? – Kazimierz ściągnął zakrwawione rękawice i zaczął wycierać dłonie. – Wcale nie musisz.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Laszlo, znowu zaciekawiony pozaprogramowym projektem Kazimierza. – Wytrzymam jeszcze kilka minut w oparach smrodu i brudu.

– Jak chcesz.

Kiedy Kazimierz zaczął się bawić białym kryształem, Astriza z liter, które unosiły przed nią w powietrzu, wyczarowała kilka dokumentów.

– Możecie tu zostać, jak długo chcecie – powiedziała w roztargnieniu. – Mam mnóstwo zarządzeń do wydania.

Kazimierz sięgnął do sakiewki przy pasie, wyciągnął z niej mały pojemniczek z tłustą białą farbą i zaczął w pośpiechu kreślić jakieś znaki na podłodze przed pulsującą światłem szklaną kolumną. Laszlo zmarszczył brwi, gdy je czytał. Niektóre rozpoznał, na przykład różne odmiany zaklęć na pieczęcie ochronne czy ogniskujące, których każdy pierwszoroczniak potrafił użyć do zatrzymania albo przekierowania magicznej energii. Były też jednak wśród nich znacznie bardziej złożone, jak choćby kombinacje symboli, których znaczenie mógł odgadnąć byle student, ale tylko wirtuoz potrafiłby się nimi posłużyć. W porównaniu z nim Kazimierz był wirtuozem.

- Kazik – odezwał się Laszlo – co ty właściwie robisz?
- Kończę studia przed czasem.

Kazimierz wreszcie skończył pisać. Koronkowy wzór utkany z arkanów był tak trudny i gęsty od znaczeń, że Laszlo dostał oczopląsu, próbując go zrozumieć. Dla ukoronowania dzieła Kazimierz narysował wokół siebie zwykły biały okrąg – podstawową formę wszystkich czarów ochronnych.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

– Przykro mi, Laszlo. Jesteś dobrym kumplem. Życzę ci, byś zdobył dyplom razem z innymi. – Kazimierz uśmiechnął się ze smutkiem, a w jego postawie pojawiło się coś nowego i obcego: protekcjonalizm. Dystans. Zawsze był nadęty i zadufany w sobie, ale bogowie, nigdy nie patrzył na Laszla takim wzrokiem. Z litością. Jak na ulubione zwierzątko, które ma zaraz wyrzucić z domu.

- Kazik, to nie jest zabawne.

– Myślę, że gdybyś był choć trochę bardziej wrażliwy, już byś zrozumiał, ale wiem, że nie czujesz tego tak jak ja. Yvette czuła, ale ona jest jak wy wszyscy, zrosnięta z tymi gównianymi zasadami, które sobie stwarzacie, żeby przedstawiać tchórzostwo jako cnotę.

- Cóż takiego czuła...?

– Magię. Prądy. Do diabła, ocean mocy fermentującej od tysięcy lat, atakującej na chybił trafił jak bezgłowe zwierzę. A wszystko, co potrafią z nią zrobić, to trzymać ją w zakorkowanej butelce i mieć nadzieję, że ich za mocno nie pogryzie. Ona wymaga woli, Laszlo! Potrzebuje umysłu, który by nią pokierował, który by ją ujarzmił, zaprzął do czegoś konstruktywnego.

– Kazik, ty sobie żartujesz. – Laszlowi nagle zaschło w ustach. – To taki dowcip na koniec egzaminów. Żartujesz.

– Nie. – Kazimierz wskazał szklane repozytorium. – Tu już wszystko jest gotowe, wszystko, czego potrzeba. Gdybyś miał choć trochę ambicji, zauważyłbyś wskazówki w materiałach wstępnych. Zaklęcia w katalogu są jak układ nerwowy, kontaktują się ze wszystkim, dlatego można ich użyć do skomunikowania się z każdym elementem. Podporządkuję sobie to miejsce, Laziu. Owinę je sobie wokół palca i stworzę coś zupełnie nowego.

– Zabije cię!

– Być może wygra. – Kazimierz błysnął zębami w uśmiechu równie drapieżnym jak u słowożerców, którzy niecałą godzinę temu próbowali go pożreć. – I co z tego? Skończę uniwersytet z wyróżnieniem, wrócę do swoich i co dalej? Zwalczenie demonów, pisanie książek, doradzanie ministrom? Do diabła. Na dłuższą metę ciągle jestem przypisem. Jeśli jednak uda mi się opanować to, rządzić tym, zdobędę większą moc, niżbym zyskał po dziesięciu tysiącach żywotów spędzonych na pokornej harówie.

– Aspirancie Vrano – odezwała się Astriza. Podeszła do Laszla od tyłu tak cicho, że jej nie zauważył. – Kazimierzu. Jakiś problem?

– Wręcz przeciwnie, pani Mezaros. Wszystko się dobrze układa.

– Kazimierzu – powtórzyła – przysłuchiwałam się temu, co mówiłeś. Stanowczo namawiam cię, abyś raz jeszcze rozważył powzięty zamiar, zanim...

– Zanim co? Zanim zrobię to, co wy powinniście zrobić tysiąc lat temu, kiedy to miejsce urwało się z uwięzi? Cofnij się albo ściągnę na ciebie śmierć, nim twoje zaklęcie dosięgnie mnie. Spójrz na jaśniejszą stronę życia... wszystko jest możliwe, gdy to się już dokona. Uniwersytet i ja musimy osiągnąć... kompromis.

– A co ze mną, Kazik? – Laszlo odrzucił swój porwany płaszcz i

położył dłoń na rękojeści rapiera. – Mnie też zgładzisz?

– Dobrze pytanie, Laszlo. Naprawdę wymierzysz tę klingę we mnie?

– Pięć lat! Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi! – Rapier opuścił pochwę ze srebrzystym błyskiem, a Laszlo zatrząsł się ze wściekłości.

– Będziesz mógł dalej nad tym myśleć, kiedy na chwilę zostawisz mnie w spokoju. Powiedziałem już, że mi przykro.

– Wyjdź z koła, Kazimierzu. Wyjdź albo zdecyduj, które z nas zdążysz zabić, zanim my dopadniemy ciebie.

– Laszlo, rozczarowujesz mnie. Nawet jak na kogoś, kto ma tak mierne czarnoksiężskie umiejętności. Czy nie powiedziałem rano, że sam sprawdziłem twój rapier?

Kazimierz strzelił palcami i broń wyrwała się z ręki Laszla tak szybko, że aż zdarła mu skórę z kłykcia. Ożywiona siłą magiczną obróciła się w powietrzu i bez wahania skierowała ku gardłu właściciela. Laszlo zrobił wdech – klinga, która cięła słowożerców jak mokry pergamin, naciskała na tchawicę i przy byle poruszeniu mogła ją przebić.

– Dość tego! – wrzasnął Kazimierz. – Indeksatorzy, precz! Jeśli ktoś tu wejdzie, jeśli coś mi przeszkodzi albo zostanę ogłuszony czy jakimś innym sposobem sprowokowany, zakłęcie nałożone na ten rapier zetnie aspirantowi głowę.

Odziani w błękit indeksatorzy pośpiesznie wyszli z sali i ciężkie drzwi zamknęły się za nimi ze szcękaniem.

– Astrizo – rzekł Kazimierz – gdzieś w tym pomieszczeniu jest główny skorowidz, ten uaktualniony zaklęciami. Przynieś mi go.

– Kazimierzu – zaczęła bibliotekarka – wciąż jeszcze nie jest za późno, byś...

– Jak w swoim sprawozdaniu opiszesz śmierć Laszla? Że nie dało

się jej „ku naszemu ubolewaniu uniknąć”? Przynieś mi tę cholerną książkę.

– Jak sobie życzysz – odparła zimno. Podeszła do najbliższego stołu i wróciła z grubym tomem na dwie stopy wysokim i niemal tak samo szerokim.

– Po prostu mi ją podaj – powiedział Kazimierz. – Nie nadepnij na ochronny krąg.

Astriza zastosowała się do polecenia, a Kazimierz prawym ramieniem objął nieporęczny tom i przytulił go do piersi.

– Cóż, Laszlo, popatrz – rzekł. – Wszystkie informacje zebrane według skorowidza zaklęć są uporządkowane w księgach takich jak ta. Wprowadzę kilka poprawek, które odwrócą proces, skupiając się na tym, żeby przerobić cały ten chaos wedle własnego gustu.

– Kazimierzu – powiedział Laszlo – proszę...

– Łyknij kilka głębszych za mnie wieczorem, jeśli przeżyjesz to, co się wydarzy. Już mnie to nie rusza.

Otworzył księgę i przerzucił kilka stron, z których uniosła się bladłosrebrna poświata. Wziął głęboki oddech, podniósł prawą dłoń i zaintonował zaklęcie.

Wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Astriza zrobiła krok do przodu, ale nie w stronę Kazimierza. Niespodziewanie uderzyła Laszla łokciem w pierś, a gdy upadł na plecy, nagłym ruchem zasłoniła mu twarz prawym ramieniem, chronionym skórzaną zbroją, tak że zaczarowany rapier nie zdążył zmienić położenia i trafić chłopaka. Broń wściekle atakowała, ale Astriza lewą ręką złapała ją za rękojeść i z całej siły wepchnęła na półkę pomiędzy encyklopedie, gdzie utknęła, trzęsąc się ze wściekłości.

W tej samej chwili Kazimierz zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Laszlo usiadł i począł rozcierać pierś, nie mogąc uwierzyć, że gardło ma całe, i właśnie wtedy zobaczył, że coś wyprysło z księgi. Dopiero jednak po dobrej chwili dotarły doń szczegóły tego, co się stało. Srebrzysta poświata wydobywająca się ze stronic jarzyła się i migotała jak otwierające się magiczne wrota, gdyż tym właśnie była: magicznymi wrotami, chociaż przypominającymi raczej właz w ziemi niż drzwi w ścianie.

Niewiarygodnie szybko wypełził z nich migoczący czarny stwór niemal tak gruby jak księga, przypominający stonogę wielkości człowieka. Natychmiast zatopił pół tuzina haczykowatych pazurów w szyi i twarzy Kazimierza, a wtedy rozległ się najstraszliwszy krzyk, jaki Laszlo słyszał w swym życiu. Kazimierz puścił księgę, ale to nie miało już znaczenia: ogromny tom unosił się w powietrzu o własnych siłach, a przybysz dokonywał swego makabrycznego dzieła.

Kleszczami przytrzymał mocno głowę Kazimierza, a spod spodu wysunął setki wąskich różowych wyrostków, jakby dywan wijących się mięsistych igieł. Zatopił je w oczach, ustach i policzkach Kazimierza i z dziurek w ciele spływały tylko cienkie strużki krwi, ponieważ stwór zaczął rytmicznie pulsować i brzęczeć, wysysając soki i miękkie tkanki z przystojnego onegdaj aspiranta. Krzyk urwał się zdławiony, bo Kazimierz nie miał już czym krzyczeć.

Laszlo odwrócił się, żeby na to nie patrzeć, i zwymiotował resztki dawno zjedzonego śniadania. Zanim zdążył wytrzeć usta i wstać, było po wszystkim. Książkowa kreatura puściła zeschnięty korpus Kazimierza, z którego prawie nic nie zostało, i obwisły, pusty worek grzechoczących kości runął na ziemię. Potwór się schował, a księga zamknęła z hukiem, jakby uderzył piorun.

– Kaziu – wyszeptał Laszlo, zdziwiony, że ma łzy w oczach. –



Bogowie, Kazik, dlaczego?

– Profesor Molnar miał nadzieję, że nie będzie próbował – rzekła Astriza. Czubkiem buta starła białe koło i wyciągnęła rękę, żeby pochwycić unoszącą się w powietrzu księgę. – Powiedziałam mu, że ma wszystkie typowe objawy. Nie zawsze miło jest mieć rację.

– Księga była pułapką – powiedział Laszlo.

– No cóż, wszystko było pułapką, Laszlo. Doskonale wiemy, jakie aluzje porozrzucaliśmy po materiałach propedeutycznych i co potężny czarownik może teoretycznie zrobić ze skorowidzem zaklęć.

– Nigdy go nawet nie widziałem – wymruczał Laszlo.

– I pewnie myślisz, że to jakieś twoje zaniedbanie? Bądź poważny, Laszlo. Świadczy to raczej o twoim zrównoważeniu. Na pewno nie o chęci ślęczenia tygodniami nad sposobem zdobycia takiej władzy, jakiej żaden śmiertelnik nie umiałby rozumnie używać. Widzisz, takie miejsce jak ta wszechnica jest zobowiązane przyjąć od czasu do czasu studenta o wybitnych uzdolnieniach, lecz bez skrupułów, prawda?

– Myślę, że tak – odparł Laszlo. – Po prostu... Nigdy bym nie uwierzył, że mój współlokator...

– Taki typ jest najbardziej niebezpieczny. Z tymi, którzy są przewidywalni, łatwiej się układa. Ci zaś, którzy umieją ukryć swą prawdziwą naturę, dobrze sobie radzą w społeczeństwie, udają przyjaźń... ci są o wiele gorsi. Jedyne skuteczny sposób, by ich przyłapać, to zostawić im pod ręką sznur i czekać, aż sami zawiążą sobie pętlę.

– Bogowie litościwi. – Laszlo wziął swój rapier i wsunął go do pochwy, mając nadzieję, że robi to dzisiaj po raz ostatni. – A co z ciałem?

– Należy do biblioteki. Niektóre grymuary są oprawione w ludzką

skórę i niekiedy potrzebują naprawy.

– Żartujesz?

– Kto nie marnuje, temu nie brakuje.

– Ale jego rodzina...

– Nie dowie się. Ponieważ zaginął w magicznym nieszczęśliwym wypadku zaraz po waszym rozstaniu, nieprawdaż?

– Ja... cholera. Nie wiem, czy potrafię...

– W przeciwnym razie spadnie hańba na niego i na jego rodzinę, a wszyscy, którzy go znali, będą mieli potwornego kaca, zwłaszcza jego współlokator od pięciu lat.

– Indeksatorzy się na to zgodzą?

– Indeksatorzy widzą to, co im się każe widzieć. Podpisuję im wypłaty.

– To po prostu niewiarygodne – rzekł Laszlo. – Tak stać tutaj i zacierać ślady tego, co go naprawdę spotkało, jakby od niechcenia odkładać książkę na półkę.

– A któż to tutaj odkłada książki na półkę od niechcenia?

– Rzeczywiście. – Laszlo westchnął i wyciągnął rękę do Astrizy. – Domyślam się więc, że Kazimierz przepadł w magicznym wypadku zaraz po naszym rozstaniu.

– Możesz na nas polegać, jeśli chodzi o szczegóły, Laszlo. Zajmiemy się nimi. – Ucisnęła mu dłoń mocno, po przyjacielsku. – Bo czy jest lepsze miejsce od biblioteki na ukrycie jakiejś sprawy?

*Tanith Lee* zaczęła pisać w końcu lat sześćdziesiątych jako wolny strzelec i od tamtej pory zajmuje się wyłącznie pisarstwem. Pierwszymi książkami, które opublikowała, były powieści fantasy dla dzieci *The Dragon Hoard* i *Animal Castle*. Natomiast jej pierwsza powieść fantasy dla dorosłych, *The Birthgrave*, zapoczątkowała długoletnią współpracę z wydawnictwem DAW, które w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku opublikowało ponad dwadzieścia jej książek fantasy, SF i horrorów. Za powieść *Demon śmierci* (1980) otrzymała Nagrodę Augusta Derletha przyznaną przez *British Fantasy Society*. Jest także dwukrotną laureatką *World Fantasy Award* w kategorii opowiadania za *The Gorgon* (1983) i *Elle est Trois (La Mort)* z 1984. Spośród jej licznych utworów ostatnio ukazała się skierowana do młodzieży trylogia o piratach (*Piratica* i jej kontynuacje), powieść science fiction dla dorosłych (*Mortal Suns*), trylogia fantasy dla młodzieży (*Claidi* i jej kontynuacje) oraz pierwsza z dwóch antologii jej opowiadań (*Tempting the Gods*). *Tanith Lee* mieszka z mężem, *Johnem Kaiinem*, pisarzem i artystą plastykiem, na południowym wybrzeżu Anglii.

## **Tanith Lee**

### **DWA LWY, WIEDZMA I ZWYCIĘSKA OPOŃCZA**

Trafić do na pozór niestrzeżonego miasta Cashlorii można było

często zupełnie niespodzianie, gdyż leżało ono głęboko w prastarych lasach Trospu, na setki mil ciągnących się we wszystkie strony. Rosły w nich olbrzymie sosny, cedry, buki, dęby, topole i wiele innych gatunków drzew. Jeden szeroki trakt, miejscami dość zarośnięty, dzielił puszcę na dwie nierówne części. Gdy zapadała noc, miasto wyglądało zjawiskowo. Między drzewami zaczynało migotać tysiące rozświetlonych okien, z których niemała część miała witraże. Wyłaniały się z mroku ogromne kamienne rezydencje, urzędy i wszelkiego rodzaju fortalicje, jednak wszystkie te budowle zagłuszał las – drzewa rosły wszędzie, niekiedy nie tylko przy murach, ale i na nich. W wąskiej dolinie, do której schodziła droga i gdzie znajdowało się serce miasta, toczyła wzburzone wody rzeka Ca. Tylko najodważniejsi podejmowali się prowadzić na jej brzegach handel, a i to wyłącznie w spokojnej porze letniej.

Teraz była jesień. Las oblókł się w szkarłat, odcienie miedzi, karmazyn, ugry i złoto. O dzień drogi konno słyhać było gniewny ryk Ca, która niosła przedzimowy śnieg z dalekich gór. Zachodzące słońce rzuciło oślepiająco czerwony blask na horyzont i zniknęło. Rozpostarła skrzydła absolutna ciemność.

Zire Erudyta już długo był w drodze. Był zmęczony i przygnębiony. Wczoraj zasadzili się na niego leśni rozbójnicy i ukradli mu konia. Naturalnie wytropił ich potem i podstępem odzyskał wierzchowca, ale zdążył on zgubić podkowę, tak więc teraz obaj wlekli się na własnych nogach.

Kiedy nadciągnęła noc i Zire ujrzał światła Cashlorii, aż stęknął, taką poczuł ulgę. Ponad rok temu czytał o tym mieście i wyruszył, żeby je zobaczyć, tak jak wielu przed nim, ale w ostatnich godzinach zwątpił, że w ogóle do niego trafi. Mówiło się, że miasto razem z

najbliższym otoczeniem wzięli pod opiekę dobrotliwi, wszak nieziemscy, strażnicy, chroniąc je raczej za pomocą czarów niż murów. Zire już zaczął myśleć, że uczynili je także niewidzialnym. Światła jednak migotały. Oto i jest.

Zire był młody, wysoki i dobrze zbudowany. Jego włosy w pełnym świetle miały kolor głębokiej, ciemnej czerwieni bukowych liści, szare źrenice zaś chłodny odcień nieba przed zimą. A charakter Zire'a jakby od tych barw się nie różnił: zapalczywość szła w zawody z melancholią, wylewność z introwersją.

Młodzieniec doszedł właśnie do gęsto porośniętego drzewami wzniesienia zabudowanego podcieniowymi domami. U jego stóp ciemniejący gobelin listowia przetykany wysepkami dachów i rubinowymi bądź szafirowymi iskrami okien rozpościerał się aż do zakola rwącej rzeki. Nieliczne światła znaczyły też jej bieg, ale w ciemności można było go poznać głównie po huku wody. W Cashlorii mówią – jak czytał Zire – że Ca jest ordynarna i ciągle się wydziera.

Niemniej jednak była tam gospoda o nazwie Oskubany Smok.

Latarnie się paliły, więc Zire, spętawszy konia i przedarłszy się przez szpaler wierzb, pchnął prowadzące do przybytku drzwi.

I usłyszał głośny wrzask, po czym zadymione, oświetlone żółtym światłem wnętrze wypełniła kompletna cisza. I nie była to reakcja kilkunastu zaskoczonych klientów na widok przybysza: w Cashlorii ludzie byli raczej przyzwyczajeni do przyjezdnych. Po prostu w tej samej chwili, kiedy Zire wkraczał do gospody, stojący przy długim kontuarze mężczyzna odwinął się i wraził nóż między żebra komuś, kto stał obok. Wszyscy, nie wyłączając Zire'a, patrzyli ze zgrozą, jak nieszczęśnik osuwa się martwy na ziemię.

Tymczasem zabójca wytarł ostrze w cudzy rękaw, schował broń i

odwróciwszy się, spojrzeniem przywołał karczmarza.

– Daj mi jeszcze jeden dzban, świniarzu. I sprzątnij to. – Kciukiem wskazał za siebie, na trupa.

Zabójca był zwalistym chłopiskiem o ciemnych lokach opadających na niskie, płaskie czoło. Nosił skórzany, nabijany ćwiekami mundur strażnika z rzucającą się w oczy odznaką: dwa skrzyżowane miecze zwieńczone diademem. Nikt z pewnością nie chciał z nim zadzierać. Od razu pojawił się chłopak z napełnionym po brzegi dzbanem, a drugi z karczmarzem we własnej osobie chwycili trupa i wywlekli na tyły. Nawet mężczyzna, o którego rękaw zabójca wytarł nóż – przypuszczalnie nie chcąc brudzić własnego – nie zaprotestował.

– Na zdrowie i sto lat! – krzyknął morderca i jednym haustem wypił pół dzbana.

Z wyjątkiem Zire’a wszyscy obecni powtórzyli toast jak echo, skwapliwie korzystając z okazji przyłączenia się do towarzystwa. A niektórzy na dokładkę wyszli z własnymi życzeniami:

– Sto lat tobie, Razibondzie!

– Tak, sto lat. Ten cymbał sobie zasłużył.

Zadowolony Razibond beknął. I zaraz małymi oczkami spojrzał prosto na Zire’a, który wciąż stał na progu. Mógłby równie dobrze używać ich jako dodatkowej pary noży. Gdyby spojrzenie zabijało, Zire leżałby trupem.

– A ty? – spytał Razibond. – Co ty powiesz, Rudy Łbie?

– Ja? – Zire uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – O czym?

– Aha, jesteś zatem równie ślepy, jak w marchewce płukany. Dalej, podziel się z nami swoją opinią. Widziałeś, że go zadźgałem.

– A, tak! Prawda, widziałem.

– Wyglądasz na oburzonego – rzekł Razibond, a jego nieprzyjemny

głos przeszedł w paskudny warkot. – Chcesz coś z tym zrobić, he?

Gdyby Zire miał jakiegokolwiek wątpliwości co do znaczenia słów Razibonda, natychmiast rozwiałyby je zachowanie pijaków, którzy rozpierzchli się w panice i albo przykleili się do ścian, albo wpełzli pod długie stoły. Nawet ogień w szerokim piecu z nagłą przygasł, a dziewczyna, która przy nim pilnowała pieczeni, pognęła schodami na górę, świecąc gołymi piętami.

– No i?! – ryknął Razibond, najwyraźniej rozwścieczony niemotą Zire'a.

– Doprawdy – odparł Zire – to, co robisz, to wyłącznie twoja sprawa. Człowiek, którego pchnąłeś nożem, musiał ci zrobić coś strasznego.

– Zrobił – oświadczył Razibond. – Odmówił mi swojej żony i córki.

– A może – ciągnął niezrażony Zire – tak jak podejrzewałem, jest z ciebie pijany łotr, jakich wielu, który myśli, że ma plecy, a to być może tylko kałdun, bo zdążył obrosnąć w tłuszcz i zabija kogo popadnie. Pewnego dnia staniesz w zaświatach na wezwanie rozgniewanych duchów. Nie myśl, że żartuję, przyjacielu. Tamten świat istnieje tak jak ten, a kiedy tam trafimy, spełnimy swą powinność. Wyobrażam sobie, że sąd nad tobą będzie ciągnął się długo i przyniesie ci nie tylko znużenie, ale i ból.

Twarz Razibonda mogłaby się teraz stać fenomenalnym przedmiotem badań nad ludzkimi emocjami. Szok wystąpił na niej bladym różem, który przeszedł w karmazynowy gniew, na sekundę mignęła na niej przykra żółć zabobonnego lęku, po czym przybrała niespotykany odcień purpury – kolor, który każdemu farbiarzowi przysporzyłby fortuny, gdyby tylko umiał wytworzyć taki barwnik. Do tego Razibond nadał się jak ropucha. Walnął kubkiem wina o ziemię,

na której ten się roztrzaskał, jako że nieopatrznie zrobiony był z gliny, i wżgardziwszy nożem, wyciągnął rzeźnicki tasak o ostrzu długim na jakieś cztery stopy.

Zire wzniósł oczy do nieba, czyli ku sufitowi. I natychmiast także wyciągnął broń – miecz cienki niczym różdżka, noszący miano Skryby. Gdy Razibond zamachnął się, żeby go rąbnąć, Zire miękko niczym dym odsunął się na bok, ale wystawił obutą w wysoką cizmę stopę. Tym nagłym ruchem sprawił, że strażnik zabójca runął na ziemię, a Zire całym ciężarem skoczył mu na plecy, pozbawiając tchu. A następnie ze straszliwą obojętnością przebił błyszczącym mieczem mundur, skórę, mięśnie i serce Razibonda. Krew trysnęła jak źródło i ozdobiła poczerwiałe ze starości belki stropu.

W karczmie znowu zapanowała kompletna cisza. Zire nie wytarł miecza, trzymał go w pogotowiu. Spojrzał żałośnie po zastygłych twarzach.

– Przepraszam – rzekł – ale nie zgadzam się umierać o tak późnej godzinie. Wolę zjeść kolację. Aha, mój koń potrzebuje podkowy. Ale jeśli chcecie, możemy pozostać przy przemocy.

Nikt nie odpowiedział. Nikt się nie ruszył. Karczmarz, który schował się za kontuar, skąd wystawił głowę, żeby obejrzeć koniec walki, gapił się teraz z rozdziawionymi ustami.

Dał się też słyszeć tupot bosych stóp i ze schodów zbiegła dziewczyna. Jakby tylko ona była zdolna się poruszać, a do tego również mówić, choć nie tyle mówiła, ile wydawała z siebie drżący pisk.

– Panie junaku, wiesz pan, coś zrobił? – zapytała przybysza.

– Ależ wiem – rzekł Zire. – Zabiłem zabójcę. Może wszyscy go tu kochali, a teraz się na mnie rzucają. Skoro tak, niech nie zwlekają. Jako rzekłem, głodny jestem.



– Kochali go? – jęknęła dziewczyna. – Razibonda? Był nikczemnikiem.

Puściły okowy letargu, w który zapadła sala. Ze wszystkich stron zaczęły podnosić się krzyki i szepty:

– Potwór...

– Zbir... Żadnej kobiecie nie przepuścił, każdego szanowanego mężczyznę upokorzył...

– Niech zgnije w trzewiach najwymyślniejszego z piekieł...

– Tylko że – krzyczała dziewczyna na schodach – on był jednym ze strażników Księcia Samozwańca! Nikomu nie wolno ich tknąć, choćby nie wiem jakie zbrodnie popełniali. Bo inaczej Samozwaniec będzie szukał plugawej zemsty. A do tego sprzymierzył się z siłami czarnoksięskimi i dowie się od razu, że wystąpiłeś przeciwko jego żołnierzom.

– Karczmę – zaczął zawodzić właściciel, zaciskając palce na kontuarze, aż zbieleły – puszcza z dymem, nas wszystkich wychłoszcza. A ciebie, panie, powieszają za nogi nad jamą pełną węży, których jad zabija najwolniej, wywołuje najpotworniejsze konwulsje...

– Albo... – dołączył się inny – albo napuści na ciebie rój szerszeni, z których każdy jest wielkości szczura...

– Albo zakopie w ziemi wśród rozwścieczonych skorpionów...

– Albo...

– Tak, tak, już dobrze – przerwał zmęczony tą wyliczanką Zire. – Zyskałem już pojęcie o ciernistym losie, jaki sobie zgotowałem.

– Uciekaj! – przenikliwie krzyknęła blada dziewczyna na schodach.  
– To twoja jedyna szansa! Nie ośmielimy się dać ci schronienia.

Zire się skrzywił. Usiadł na ławie.

– Najpierw dajcie mi coś do jedzenia – rzekł. – Mój biedny

wychudzony koń też musi dostać owsa. Ani ja, ani on nie będziemy uciekać na głodnego.

I znowu cisza zaległa w karczmie. Wyparł ją jednak szum rzeki, która po wschodzie księżyca zawsze bardziej się burzyła.

\* \* \*

W gospodzie zwanej Spokojna Noc, która stała jakieś pół mili niżej tuż nad grzmiącymi wodami Ca, Bretilf Rękodziej siedział nad resztkami kolacji, skrupulatnie zeskrobując z kości drobiny pieczonego mięsa. Przed nim w dzbanie czekało ciemne cashloriańskie piwo. I pełen kufel. Jego uwagę przykuwał jednak bardziej kształt kości, w którym dostrzegł zarys postaci. Miał zamiar, gdy już do cna ją oskrobie, wydobyć z niej tę ujrzaną figurę, tymczasem ktoś mu przeszkodził.

Dwóch pijanych siepaczy, należących, sądząc po zwieńczonych diademem skrzyżowanych mieczach i nabijanych ćwiekami mundurach, do jakiejś gwardii miejskiej, wszczęło awanturę.

Bretilf przyglądał im się spod zmrużonych powiek oczami barwy ciemnego bursztynu. Włosy też miał bursztynowe, choć w jasnym odcieniu, co od razu rzucało się w oczy jak pozłota mieniąca się w świetle lampy. Był młody, wysoki i dobrze zbudowany, a poza tym, czego nie wiedział, do złudzenia przypominał innego mężczyznę, który zaledwie parę minut temu, niedaleko stąd, tylko pół mili w górę, wbił miecz w serce zajmującego tylko miejsce na świecie Razibonda.

– Do diabła, Kange – perorował wyższy klótnik – mówię, że to zrobimy.

– Nie przeczę, że absolutnie mamy do tego prawo, ale mur jest wysoki i bronią jej wierni słudzy oraz strzegą psy, które potrafią

człowiekowi odgryźć nogę równie szybko, jak na nią naszczać – odciął się niższy, ale nie mniej odrażający Kange.

Bretilf słyszał wszystko wyraźnie, choć dokoła panował gwar. Podejrzywał, że inni też słyszeli rozmowę, ale udawali głuchych.

– Paf! – ciągnął pierwszy strażnik. – Nie ma potrzeby. Zapukamy do bram i przypomnimy panience, że Samozwaniec pozwolił nam brać każdą dziewczuchę, na którą mamy chęć. No i czy mogłaby nam nie ulec, kiedy ujrzy naszą urodę? Jeśli to nic nie da, otrujemy sługi i psy, a potem spalimy dom na znak, że byliśmy.

– Racja, Ovrisd, cwany jesteś – ustąpił Kange. – Ale zanim wyruszymy z naszą misją, zobaczmy, ile grosza da się wycisnąć z tego tam cudzoziemca, co ma grzywę w kolorze dyni.

Bretilf odłożył kość.

Strażnicy szli w jego stronę z ujmującym uśmiechem na twarzy, a obecni w karczmie przezornie nie zwracali na nich uwagi.

– Czołem, cudzoziemcze – odezwał się niezbyt przystojny Kange.

– Witam, cudzoziemcze – dodał obrzydliwy Ovrisd.

– Czołem – odparł Bretilf, wstając. – Zdaje się, że czegoś ode mnie chcecie – zauważył.

– W rzeczy samej! Patrzcie, jaki domyślny. Chcemy wszystkiego!

– I to od razu.

– Dam wam może nie wszystko, ale z pewnością dużo. Wszystko, na co zasługujecie – rzekł Bretilf. I dokończył łagodnie: – Wszelako raz, a dobrze. Nie przypadłoby wam do gustu, gdybyście musieli przyjść powtórnie.

I pochyliwszy się, chwycił ich za szpetne karki i jednym eleganckim ruchem trzasnął jedną głową o drugą. Padli bez czucia na podłogę jak rozbita na pół gruszka strącona z gałęzi.

W jednej chwili wszyscy uciekli z karczmy, łącznie z karczmarzem, jego chudą żoną i tłustym kotem.

Bretifl szczerze odliczył monety i położył je na kontuarze, po czym wziął dzban oraz kość, w której zamierzał rzeźbić, i wyszedł w nadrzeczną noc.

Złoty księżyc rzucał blask, jakby szalonym smykiem ciał po niebie. Odpowiadała mu obłąkana rzeka. Bretifl usiadł na brzegu i zaczął rzeźbić w kości. Sam czuł jednak w kościach, że nie zostawił jeszcze kłopotów za sobą.

I rzeczywiście, jakąś godzinę później chwiejnym krokiem nadciągnęli na brzeg dwaj strażnicy. Na głowach wyskoczyły im guzy i patrzyli mętym wzrokiem, ale w rękach dzierżyli nagie miecze, najwyraźniej z pobudek antyspołecznych.

– Powiedziałem, że nie powinniście prosić o więcej – grzecznie przypomniał im Bretifl, kiedy już podniósł się na nogi.

Kange i Ovrisd ruszyli na niego niezdarnie, potykając się i bełkocząc. Bretifl odrzucił do tyłu połę płaszcza. Światło księżyca zalało niczym lawa wydobyty z nagła pałasz nazywany Powtórną Myślą. Ciach, ciach i dwie odcięte głowy, Kange'a i Ovrisda, stoczyły się z brzegu w nurt zachłannej rzeki. Ich ciała, pozbawione przywództwa, klapnęły na ziemię, tym razem definitywnie.

Bretifl ruszył ku zaułkom Cashlorii. Jego dewizą było nie zabijać, o ile to w ogóle możliwe, przy pierwszym spotkaniu, jednakże wielu ludzi uparcie wystawiało na próbę jego cierpliwość. Zawsze współistniały w nim powściągliwość i gwałtowność. Wkrótce znalazł znacznie czystsza i bardziej zaciszna karczmę, gdzie mógł spędzić noc. Położyć się spokojnie spać albo rzeźbić w kości ruszającego do ataku jelenia.

Bretlilf obudził się i skonsternowany stwierdził, że patrzy w lustro. Zire obudził się i stwierdził to samo.

Żaden nie przypominał sobie, żeby w gospodzie, w której się zatrzymał poprzedniego wieczora, było jakieś lustro. Prawda, że Zire zasnął przy stole w Oskubanym Smoku, ledwie dopiwszy szklanę wina, a Bretlilfowi przydarzyło się to samo w karczmie Tkliwa Pchła. Poza tym lustro nie było rzetelne. Bretlilf od razu zauważył, że jego odbicie przeciera oczy, czego on sam nie zrobił i nie robił. Natomiast uwagi Zire'a nie uszło, że chociaż przecierał oczy, jego odbicie nie zamierzało go naśladować. W obu wypadkach rzeczony odbicia miały oczy nie tego koloru, co powinny.

– Och – rzekł znudzonym głosem Zire – czyś ty zaczarowany sobowtór, który ma mi napędzić stracha?

– Nie – odparł Bretlilf. – Myślę, że raczej twój, albo ewentualnie mój, ojciec grał na fujarze po różnych weselach, czyli wychodzi na to, że jesteśmy przyrodnimi braćmi.

– Hmm. – Zire się zamyślił. – Może masz rację. Wyglądamy niemal identycznie.

Obaj wstali i uświadomili sobie jeszcze trzy sprawy. Po pierwsze, że wzrost i budowę ciała też mają bliźniaczo podobne. Po drugie – że pod czaszką kołacze im się słaby szum, niczym brzęczenie pszczoł, i że w ustach mają smak suchej wełny, świadczący o tym, że prawdopodobnie podano im jakiś narkotyk. A po trzecie – że wcale nie znajdują się w żadnej gospodzie, mniej czy bardziej obskurnej, tylko w ciasnym kamiennym pomieszczeniu z żelaznymi kratami w oknach.

Spojrzawszy po sobie, jednym głosem stwierdzili:

– Zabici strażnicy. Królewska niełaska. Samozwaniec.

Po chwili otworzyły się drzwi i do środka wpadli strażnicy, których

ani Zire, ani Bretlilf wcześniej nie widzieli. Chwycili ich i zaciągnęli schodami na górę do następnej celi, pustej, ale nie kojarzącej się tak bardzo z więzieniem, urozmaicając im drogę kuksańcami i kopniakami.

– Leżeć tu, męty – poinstruowali ich. – I przygotujcie się na najgorsze. Zaraz przyjdzie Książę i was osądzi.

Wyszli, trzaskając drzwiami.

– Masz nóż albo miecz? – spytał Bretlilf.

– Tak, mam nóż. I Skrybę.

– A ja Powtórna Myśl – rzekł Bretlilf. – I nóż, a nawet figurkę, którą nim rzeźbiłem.

– A zatem nie jesteśmy bezbronni.

– Ani spętani.

– Wygląda tedy – powiedział Zire – że Książę ma wystarczającą moc, aby nas powstrzymać, choćbyśmy nie wiem co robili. Wielka szkoda – dodał. – Miałem nadzieję, że dotrę do Traze nad rzeką. A potem na Czerwoną Pustynię.

– A ja, że skończę rzeźbić figurkę.

Jedna ze ścian zaczęła falować. Mężczyźni patrzyli uważnie, jak czernieje, elektryzuje się, a na koniec rozstępuje na boki, ukazując przestronną komnatę wyłożoną białym marmurem ze sklepieniem na wysokości dorodnego dębu. Łatwo to było ocenić, ponieważ wzdłuż ścian rosły właśnie takie dęby, tworząc żywą kolumnadę. Z tym że ich pnie i konary przypominały skręcone gałęzie hebanu, a błękitne liście drżały w powietrzu zdane wyłącznie na siebie, szeleszcząc jak pełznący po ziemi wąż.

Naprzeciwko pod ścianą stało wysokie czarne siedzisko wyściełane fioletowym aksamitem. Po obu jego stronach przysiadły straszliwe

bestie, coś jakby skrzyżowanie wilka z szopem. Na tronie zaś siedział zgarbiony, chudy człowiek. Był młody, ale miał twarz starca, a jasnożółte włosy przetykały pasma siwizny. Oczy przypominały skorupy wycięte z jakiegoś niebieskiego, od dawna martwego stwora. Nosił za to piękny strój, a na głowie srebrny diadem. Wyciągnął w ich stronę długi, kościsty palec.

– Musicie zostać ukarani. Zabiliście moich ludzi, moich doborowych strażników. Za taki czyn przewiduje się tylko najokropniejszą śmierć. Co macie do powiedzenia?

– O rany – rzekł Zire.

Bretlilf dodał:

– Wasza wysokość już zdecydował, po co mielibyśmy się odzywać?

– Zmuszę was do mówienia.

Zire wyjaśnił:

– Próby zjednania sobie waszej wysokości, błagania o łaskę czy zapewnienia, że posłusznie wykonamy rozkaz waszej wysokości, byłyby daremne. Jesteśmy martwi. No to możemy być nieuprzejmi, jeśli chcemy.

– Właśnie – potwierdził Bretlilf. – Dlaczegoż jednak zwać cię Samozwańcem? Czy tylko dlatego, że wszyscy cashlorianie cię nienawidzą? Tak jak nienawidzą twoich strażników, których uważają powszechnie za bandę tchórzy, gwałcicieli, złodziei i rzezimieszków?

Postarzały młody człowiek zaklął. Zerwał z głowy srebrny diadem i rzucił go na podłogę. Toczył się jak kula, aż do krawędzi dywanu, gdzie się zatrzymał. Dwa potwory przy tronie zawarczały.

– Cicho – zwrócił się do nich Książę. – Mówią o mnie Samozwaniec, bo chociaż tu rządę prawem bezpośredniego dziedziczenia, nie otrzymałem z prawem do tronu jednej rzeczy, która

ugruntowałyby moją władzę. Skradziono ją w czasie ostatnich lat panowania mojego ojca, Starego Księcia, z powodu jego głupoty. Wtedy natychmiast opuścili nas Dobrotliwi Strażnicy, którzy mieli chronić miasto. Próby odzyskania świętości się nie powiodły. Zawsze kończą się niepowodzeniem, choć wielu wystąpiło o jej zwrot. Wszyscy wiedzą, gdzie jest pogrzebana, ale to nie ma znaczenia. Nikt nie potrafi pokonać czarów, które trzymają ją w swej mocy. A wszyscy, którzy próbowali, zginęli, niczego nie osiągnąwszy. Zginęli w straszny sposób, o czym najpierw mi mówiono, a co potem zobaczyłem na własne oczy.

Na przykład – ciągnął Książę, przyjmując rzewną manierę gawędziarzy pewnego pokroju – był sobie sławny heros Drod Laphel. Wszyscy wiedzą, że dwa czy trzy razy w pojedynkę pokonał w walce na miecze pięciu czy sześciu przeciwników za jednym razem...

– Tylko pięciu czy sześciu? – upewnił się Bretilf ściszym głosem.

– Moja czcigodna babcia – syknął Zire – potrafiła roznieść w puch co najmniej ośmiu za jednym zamachem. Aczkolwiek miała specjalną zaponę i nie...

– Lepiej byś zrobił, gdybyś słuchał, a nie gadał – zimno przerwał mu Książę. – Mogę wam zapewnić dodatkowe atrakcje przed śmiercią: trochę tortur. Chcecie czy nie?

Zire i Bretilf potulnie zamilkli.

– Drod Laphel – podjął Książę – potrafił także zręcznie władać włócznią i rzucać toporem, ponadto wyuczył się pewnych czarów, którymi zaklinał węże. Zatrzymał się w tym mieście i od razu zadarł z moimi strażnikami. Zasadziło się na niego dziesięciu, a on zabił ich sam jeden, co prawda po pięciu naraz. W następstwie tego incydentu wysłałem go po ów ważny dla mnie przedmiot. Miał go wykraść. I choć wiedziałem, że jeszcze nikomu się to nie udało, uwierzyłem, jak ostatni



tuman, że ze wszystkich ludzi on jeden ma szansę tego dokonać. Tak się jednak nie stało. Drod Laphel, zaklinacz węży, atleta i czarodziej miecza, wrócił z pustymi rękami. Gorzej nawet, bo w ogóle bez rąk. I bardziej martwy niż gwóźdź do trumny, a przy tym nabrał okropnej barwy gnijących śliwek.

Zire chrząknął. Bretlilf oglądał swe buty, jakby od policzenia spękań skóry zależało jego życie.

– Mamy przeto wnosić – rzekł Zire – że karą za przetrzebiecie twojej zwyrodniałej gwardii będzie zmuszenie nas do podjęcia tych samych poszukiwań?

– Jesteście dzielni – ponuro powiedział zazdrosny Samozwaniec – odważni niczym lwy i jak one nie baczyście na niebezpieczeństwa. Tak, zrobicie to, chcąc czy nie chcąc. Takie zakłęcie jeszcze dam radę sprokurować. Zrozumcie, gdybym mógł odzyskać ów przedmiot, a z nim prawowitą władzę, nie potrzebowałbym żadnego strażnika. Wywaliłbym zwyrodniałców, a oni nie śmieliby wrócić. Poza tym... choć nie warto o tym wspominać, bo i tak nie sprostacie temu wyzwaniu... ten, kto tego dokona, otrzyma stosowną nagrodę. Nie tylko nie spotka go śmierć, ale dostanie bogactwa, o jakich mu się nie śniło – podsumował cierpko. – Po co jednak pogrążyć się w jałowych marzeniach? Nie mam dla was litości. Dlaczego miałbym współczuć innym, kiedy przypadł mi w udziale tak okrutny los? Siły nadprzyrodzone, które winny strzec Cashlorii, przepadły albo się ukryły. W samym mieście nie uznają mojej władzy, a wręcz knują przeciwko mnie. Jedynie moje straże i te dwa stworzenia tutaj chronią mnie przed zemstą burzącego się pospólstwa. Gdyby lud dowiedział się o moich słabościach, nie przeżyłbym ani minuty. Choć moje dni i tak są policzone. Zła energia Cashlorii od lat mnie zabija. Widzicie? Jak

myślicie, ile mam lat?

Ani Bretlilf, ani Zire nie odpowiedzieli.

– Piętnaście – rzekł Samozwaniec, spuszcżając martwe niebieskie oczy. – Mam piętnaście lat. Jeśli opuszczę Cashlorię, jej kamienne drobiny rozerwą mnie na strzepy. A jeśli zostanę, w rok zamęcżą mnie na śmierć. Tak, pójdziecie i zdobędziecie dla mnie ów święty przedmiot, Zwycięską Opończę, jak ją nazywają. Dlaczego miałbym was oszczędzić? Czy ktoś, na miłość boga tego czy innego, oszczędził mnie?

\* \* \*

– Opowiedz mi o swym ojcu – poprosił Zire, gdy jechali długim kamiennym mostem na rzece Ca.

– Był drobnym szlachcicem, zginął zamordowany, nim się urodziłem. Wychowywałem się pod opieką matki i dziadka, a nad moim dzieciństwem wisiało dręcżące wspomnienie jego śmierci. Gdy miałem jedenaście lat, wyrwałem się z domu.

– Zatem twój ojciec nie zdążyłby mnie spłodzić.

– A kim był twój?

– Sprzedawał kredę. W dzieciństwie miałem włosy białe jak owcze runo, aż w wieku siedemnastu lat nieznany mi wróg wrzucił mnie do studni. Nikt mnie nie poznał, kiedy się z niej wygramoliłem. Byłem jakimś rudowłosym młodzikim, który ukradł konia miejscowemu wielmoży i pognał ku wolności. Wątpię, aby mój ojciec był też twoim. Był tyleż niewinny co nieokrzesany i brzydki. Żadna wymuskana dama, żona czy wdowa po szlachcicu, nie pozwoliłaby mu tknąć swej służącej, a co dopiero siebie.

Przez chwilę jechali w milczeniu. W dole rzeka chlustała zielenią, a

na drugim brzegu las za dnia wyglądał jak nadciągająca brunatna chmura burzowa.

Nie mieli wyboru: musieli się podjąć morderczego zadania, co jasno dali im do zrozumienia zwłaszcza czarnoksiężnicy Samozwańca, których przedstawicielem był mężczyzna w zaawansowanym wieku średnim.

– Znajdujecie się już w zasięgu klątwy Cashlorii – poinformował ich. – Na nic się nie zda snucie planów ucieczki. Musicie dotrzeć do budzącego grozę miejsca, dostać się do środka i zrobić wszystko co w waszej mocy, by odzyskać Księżęcą Szatę zwaną inaczej Zwycięską Opończą.

Na to dictum Zire spazmatycznie ziewnął, a pusty żołądek Bretilfa wydał pomruk niezadowolenia. Od samego początku zdawali sobie sprawę, że wisi nad nimi jakaś bezwzględna klątwa. Że zostaną jej więźniami do czasu, aż zdobędą łup albo zginą „w straszny sposób”, próbując tego dokonać.

Podczas śniadania, które im w końcu podano, wielce zresztą smacznego, jako że składało się ze świeżo smażonych krewetek, małży i langust, wybornej szynki i jaj duszonych w białym winie, niezmordowany czarnoksiężnik wyliczył wszystkie okoliczności dotyczące niechcianej, aczkolwiek nieuchronnie czekającej ich misji.

Złodziejem, który ukradł Zwycięską Opończę z pałacu, był podobno złośliwy leśny gnom. Żeby ukryć Opończę, zbudował osobliwy zamek i przezornie otoczył go labiryntem, wystawił posterunki nigdy nie widzianej, lecz budzącej przerażenie straży, a także wszystko nasycił czarami tak mocnymi, że nikt jak dotąd nie przeżył zetknięcia z nimi. Zamek próbowało zdobyć już ponad pięćdziesięciu mężczyzn, a każdy był inteligentny, chytry i dzielny, umiejący się ukrywać i świetnie

władający bronią. Wszyscy wrócili, ale znacząco niekompletni: bez głowy, bez stóp, bez serca; bladzi od okropnej trucizny, zeszywniali od dziwnych ukąszeń, odarci ze skóry, oskalpowani albo wypatroszeni. Wielość sposobów, na jakie pozbawiono ich życia, sprawiła, że zbrodnie natychmiast przypisano Księżciu, ażeby mieszkańcy się go bali i łatwiej było utrzymać ich w ryzach.

– Stąd te opowieści o skorpionach i węzach? – mruknął Zire.

– Wygląda mi na to, że potrzebny jest tu prawdziwy geniusz – dodał Bretlilf – skoro nie wystarcza zwykła mądrość, przebiegłość i wszelkie inne umiejętności.

– Cóż, skoro jest nas dwóch, wszystko, co można poczytać nam na plus, liczy się podwójnie – wysunął śmiało przypuszczenie Zire.

Przyprowadzono im dwa konie: Bretlilfowi gniadego wałacha, a Zire’owi jego własnego, pięknie podkutego siwka. Oba dobrze nakarmiono, wyszczotkowano i osiodłano.

Teraz, na moście na rzece Ca, gdy byli już bliżej drugiego brzegu, Zire nagle ściągnął cugle. Bretlilf również.

– Co jest?

– Pomyślmy – rzekł Zire – czy mimo wszystko nie moglibyśmy zawrócić i uciec. – Bretlilf rzucił okiem za siebie. – Obaj wiemy, że nie. Klątwa by nam przeszkodziła. W przeciwnym razie dostalibyśmy eskortę. Możemy tylko jechać dalej do celu, do zamku. Powiedziano nam, że nawet nie potrzebujemy mapy. Wewnętrzny przymus będzie tak silny, że będziemy iść jedynie w wymaganym kierunku.

– Możliwe jednak – Zire’a naszła inna myśl – że konie mogą nas ponieść w przeciwną stronę, wbrew wszelkim czarom, które nas wiążą.

Zawrócili konie. Z ponurym wyrazem twarzy spojrzeli na miasto, które niedawno opuścili, ścisnęli wodze i lekko spięli ostrogami

wierzchowce.

Konie natychmiast się cofnęły, jakby poczuły buchające płomienie albo obślinione demony. Ze zgrzytem podków zakręciły się w miejscu tak gwałtownie, że omal nie zrzuciły jeźdźców. Po czym wyrwały do przodu i pogalopowały przez most tam, dokąd nie miały, aż wpadły do lasu na drugim brzegu.

Trzeba było dużej zręczności i cierpliwie powtarzanych komend, żeby wreszcie się uspokoiły i zatrzymały. Znajdowali się w środku lasu: most, rzeka i miasto zniknęły im z oczu. Bretilf i Zire skrzywili się na widok mrocznej czerwonolistnej gęstwiny, do której tak dobrze pasowali.

– A więc to byłoby na tyle.

Przez miedziane sklepienie lasu przesączało się coraz silniejsze światło wznoszącego się ku południowi porannego słońca. Zire i Bretilf przygnębieni jechali szlakiem, który wytyczyła im kłątwa. Śpiewały ptaki, raz przebiegł im drogę jelen. Dwie wiewiórki przedrzeźniały ich ze szczytu wysokiej czarnej sosny.

Po niedługim czasie dostrzegli coś w oddali przy ścieżce. W pierwszej chwili wzięli to coś za znak przydrożny, stało bowiem w całkowitym bezruchu. Wkrótce jednak Zire wykrzyknął:

– Patrz! Młoda kobieta. Ależ to ta dziewczyna z Oskubanego Smoka, która tak mnie ostrzegała.

Bretilf dodał:

– Też mi się wydaje, że ją znam. Podawała mi do stołu w jednej albo w drugiej gospodzie.

Odziana na szaro dziewczyna w białej złachmanionej chustce zakrywającej włosy brudne od wiecznie pryskającego tłuszczu pieczonego mięsa uniosła dłoń – nie w geście pozdrowienia, lecz

przywołania.

– Może straciła przez nas pracę – powiedział Zire.

– Może rzucę jej trochę grosza – odrzekł Bretilf.

Podjechali do niej i zatrzymali konie. Wpatrywała się w nich tępym wzrokiem. W końcu się odezwała:

– Niestety! Samozwaniec najpierw was zaczarował, a potem wysłał na śmierć. Och, skończycie jak wszyscy. Zwycięska Opończa jest nieuchwytna. Biedne dusze, biedne dusze zatracone!

– Właśnie – zgodził się Zire.

Bretilf zauważył:

– To miło, że tak czarująco życzysz nam szczęścia.

Dziewczyna nie zwróciła uwagi ani na pragmatykę jednego, ani na sarkazm drugiego. Wykrzyknęła z powagą wysokim, zarozumiałym tonem:

– Jestem Loë, ale ja się nie liczę! Szukajcie domu Gwiazdy Ysmarel, który stoi na tym szlaku. Tylko tam znajdziecie pomoc.

– Kim jest Gwiazda Ysmarel?

– Znajdźcie dom, to się dowiecie! – melodramatycznie oznajmiła irytująca Loë. – Nie da się go przeoczyć. Po murach pną się białe róże, dokoła cichym lotem śmigają białe sowy, a nad nim wisi nisko ogromna diamentowa gwiazda.

– Skromność przede wszystkim, tak jak w twoim wypadku – rzekł Zire.

– Jestem niczym. Jestem tylko Loë.

Dziewczyna nagle ruszyła biegiem, wtapiając się w złoto–miedzianą makatę lasu. Patrzyli za nią w zadumie.

– Wydaje mi się... – wymruczał po chwili Bretilf.

– Mnie też – zgodził się Zire.

- ...że tam, gdzie pada cień tego cedru...
- ...dziewczyna przestała być dziewczyną...
- ...i stała się...
- ...łasicą – dokończył Zire. – Może z głodu mamy halucynacje – dodał. – Odpocznijmy chwilę i posilmy się tym, co wieziemy w jukach.

\* \* \*

Po południu jesienny las zmienił kolor z barw metalicznych na odcienie czerwonego wina, a następnie bzu. Tego wieczora trakt, w miarę jak się posuwali do przodu coraz mocniej pozarastany i porozrywany grubymi korzeniami rosnących najbliższej drzew, wił się kolejnymi przesiekami. Zmierzch sączył się tu powoli, niesiony na skrzydłach małych nietoperzy.

Po prawej teren się wznosił, drzewa rosły rzadko. Nagle ich oczom ukazało się wzgórze, wyraźnie rysujące się na tle fioletowego nieboskłonu. Nad nim wisiała wyjątkowej wielkości i jasności samotna gwiazda, a pod nią stało ciemne rozłożyste domostwo, tu i ówdzie podziurawione światłem.

- Rezydencja Ysmarel?
- Tak się wydaje – potwierdził Zire.
- Wstąpimy?
- Dlaczego nie? Trakt biegnie w pobliżu, a klątwa pozwala na przerwy w podróży.
- A poza tym dla Skazańców każda zwłoka jest dobra – dorzucił Bretilf.

Siwek i gniadosz zaczęły się piąć pod górę.

Wysokie kamienne barykady pokrywał szczelnie dywan księżycowobladych kwiatów, których woń zdawała się wzmocniona

przez ciemność. Nad nimi krążyło sześć czy siedem olbrzymich nietoperzy. Kiedy nisko wisząca gwiazda oświetliła ich skrzydła, okazały się białe. Nie były to nietoperze, lecz sowy.

Szyby w oknach miały barwę purpury albo szafranu. W bramie wisiał dzwon.

Mężczyźni go dostrzegli, ale nim zdążyli zadzwonić, sam zadźwiewał. Sowy jak na komendę zbiły się w stado i przysiadły na murze, przyglądając się Zire'owi i Bretilfowi różnobarwnymi oczami.

Po dłuższej chwili brama otworzyła się na oścież i odsłoniła wypielegnowany ciemny ogród. Rosły w nim wyłącznie róże o białych płatkach odbijających blask gwiazdy i emanujących widmową poświatą. Dwadzieścia kroków dalej otworzyły się szerokie drzwi i w tej samej chwili, gdy na nie spojrzeli, rozkwitło w nich ciepłe światło lamp. Wszystko było bardzo kuszące. Tak bardzo, że ani drgnęli. Siedzieli na koniach, sowy siedziały na murze i nie rozległ się żaden dźwięk, jakby czas też wzmógł czujność i zastygł.

Po chwili Bretilf się poruszył.

– Wchodzimy? – zapytał. – Czy uciekamy?

– Wygląda na to, że cokolwiek zrobimy, i tak wszystko stracone.

Zsiedli z koni, uwiązali je przy różach i ruszyli prosto ku tonącym w ciepłym świetle podwojom.

\* \* \*

Zaraz za progiem znaleźli się w komnacie o przyjemnym, domowym wystroju, oświetlonej wiszącymi u sklepienia misternie zdobionymi żyrandolami z brązu i szkła w barwie lawendy. Kosztowne dywany pokrywały mieniącą się tęczowo terakotową posadzkę.

Długi stół zastawiono smukłymi złożonymi karafkami, w których



czekał czarny porter, czerwone wino, błękitnawa gorzałka i miodowe piwo. Na wysadzanych perłami i cyrkoniami złotych i srebrnych półmiskach pyszności się rozmaite pasztety, wędzonki i pieczone, sery, rosiste sałaty, wszelkiego rodzaju owoce i słodycze.

- Wierzysz w tę ucztę? – spytał Zire.
- Nie bardziej niż złodziejowi, który wskoczył przez okno.
- Jakbym słyszał siebie samego. Zjemy?
- Dobrze.

Zdążyli odsunąć poślacane krzesła, żeby zasiąść do stołu, gdy wisząca przy ścianie kotara rozsunała się na boki i ukazała zjawisko, które ponownie wprowadziło ich w osłupienie.

Znów była to młoda kobieta, ale tym razem o niezaprzeczalnym wdzięku. Niezrównanej urody dodawały jej wielkie aksamitnie czarne oczy. Miała kształtną głowę i ciemne lśniące włosy, które opadały luźno, a na każdym loku migotał kasztanowo promień światła. Jej szczupła sylwetka emanowała zmysłowością. Odziana była w przejrzystą suknię z jedwabiu w kolorze ametystu przepasaną łańcuszkiem z białego złota.

– Doceniam, że mnie wezwaliście – odezwało się zjawisko melodyjnym głosem, którego barwa przywołała na myśl przydymioną brzoskwinę z platynowym połyskiem. – Spocznijcie, proszę.

Bretlil Rękodziej i Zire Erudyta usiedli.

Natychmiast pojawiły się dwa białe króliki, które przyniosły miski z pachnącą wodą. Mężczyźni bez słowa omyli dłonie, a dwa czarne króliki podały im płócienne ręczniki. Wszystkie cztery zwierzęta wyszły spod stołu, a obsłużwszy gości, schowały się pod nim, ale gdy Zire i Bretlil bezceremonialnie zadarli udrapowany obrus, okazało się, że nie ma tam śladu królików, misek, ręczników ani jakiegokolwiek otworu,

którym zwierzęta mogłyby wejść lub wyjść.

Gdy wysunęli głowy spod stołu, ujrzeli, że ich piękna gospodyni siedzi przy stole na honorowym miejscu. Roztaczała wokół aureę wytwornego spokoju.

– Dzielni panowie, na co macie ochotę? – spytała. – Munch i Janthon będą na wasze usługi.

Bretlilf i Zire spodziewali się następnych królików, zaskoczyło ich więc pojawienie się pięknego białego kota o długiej sierści, który wyszedł na dwóch łapach z bukietu bladych kwiatów stojącego w wazonie na południowym końcu stołu. W tej samej chwili po stronie północnej ukazał się większy od niego, lecz równie piękny, krótkowłose czarny pies. Stał za krzesłem Zire'a, a ponieważ także poruszał się na dwóch łapach, jego głowa znajdowała się na wysokości głowy Zire'a. Stworzenie było doprawdy dużym przedstawicielem swego gatunku.

Zire nie bez wysiłku zebrał się w sobie.

– Dobry wieczór, Janthonie – rzekł. – Gdybyś był uprzejmy podać mi...

– Służę, panie – odparł pies z nienaganną dykcją. – Czytam w twoich myślach. – Wziąwszy z kredensu odpowiednie przybory, zaczął zręcznie kroić dobrze przypieczoną pularde, na którą Zire miał ochotę. Po czym sztywnym krokiem podszedł do Bretlilfa i niepytany zwinnie ukroił dlań kawałek pasztetu i zapiekanki. Kot Munch natychmiast napełnił kryształowy kieliszek Bretlilfa gorzałką, a Zire'owi do srebrnego kufła nalał piwa.

Tymczasem przez wysokie okno wleciały niezauważone trzy białe sowy. Przysiadłszy na złożonych żerdkach, zaczęły cicho nucić jakąś melodię przy akompaniamencie trzech czarnych krukopodobnych ptaków, które dostały się tu chyba drzwiami. Jeden walił w bęben,

drugi grał na harfie, przebijając po strunach skrzydłem, trzeci zaś po prostu gwizdał.

Zire i Bretilf przez dłuższą chwilę jedli i pili bez słowa.

W końcu Bretilf spokojnie odezwał się do Zire'a:

– Popadliśmy w obłąd?

– Tak myślę – szybko odparł Zire. – Pewnie to jakiś skutek uboczny klątwy albo zbyt zadziałał narkotyk, którym nas odurzono.

– Chyba że to sen. – Bretilf zwrócił się ku ich zachwycającej towarzyszce, która siedziała w milczeniu, popijając z kielicha sorbet z odrobiną wina. – Co byś rzekła, pani?

– Całe życie jest snem – odparła z uśmiechem. – A przynajmniej tak mówią.

– Jesteś zatem filozofem, pani – rzekł Zire.

– Nie. Jestem wiedźmą. Której imię brzmi Gwiazda Ysmarel.

Zire i Bretilf odłożyli srebrne noże i odstawili naczynia. Wstali.

– Wiedźma. Co jeszcze? Obawiam się – westchnął Zire – że jesteśmy na dobrej drodze.

– Pilna sprawa związana z zamkiem – wyjaśnił Bretilf – pociąga za sobą zgubę i śmierć w męczarniach.

Gwiazda Ysmarel skinęła głową.

– Jakże wielu tędy przechodziło, zdążając ku swemu przeznaczeniu. A jakże niewielu usłuchało mojej posłanniczki, Loë.

– Może dlatego, że w przeciwieństwie do nas wiedzieli o twoim prawdziwym powołaniu... o czarnej magii, i czuli... zbyt wielki szacunek, by do ciebie zajrzeć. Po mieście i w lesie grasuje wystarczająco dużo czarów. Nawet w ludziach doprowadzonych do ostateczności, do których my się zaliczamy, wywołują one niechęć – dodał Zire.

– Nie chcieliśmy tą szczerością nikogo urazić – dokończył Bretilf.

Ysmarel nie słuchała. Mówiła dalej, jakby żaden z jej gości nie wyrzekł słowa:

– Z tych nielicznych, którzy przychyłili ucha Loë, żaden nie ośmielił się wejść do mojego domu, podejrzewając, że czyhają tu na niego pułapki. A byli i tacy, którzy ujrawszy Loë, przegapili moją bramę, przegapili wszystko. Trzeba bowiem, szlachetni panowie, szczególnej błyskotliwości i przenikliwości umysłu, żeby dostrzec takie rzeczy. Choćby takiego królika, kota czy psa czekających na nich przy stole. Choćby tego, że śpiewają sowy. Nie mówiąc już o mojej skromnej osobie.

– Mężczyzna, który nie dostrzeże ciebie, piękna pani – odezwał się Zire – musiałby być ślepy lub, nieszczęsny, mieć dolne partie złożone niemocą.

Bretilf rzekł:

– Mężczyzna, który by cię nie dostrzegł, Ysmarel, musiałby być martwy.

– Tak czy inaczej – powiedział Zire – musimy iść.

– Bo spóźnić się na spotkanie z przeznaczeniem jest w najgorszym guście – dorzucił Bretilf.

Ysmarel wciąż nie zwracała na nich uwagi.

– Od wielu miesięcy wiedziałam o zadaniu – ciągnęła – które Samozwaniec z Cashlorii przymusem narzuca każdemu, kto złamie prawo: wykraść Zwycięską Opończę. To beznadziejne przedsięwzięcie. Los, o którym mówicie, spotkał mężów o wielkiej odwadze i geniuszu. A także trzynaście niewiast niepospolitych rozumem i zręcznością wojownika. Wszyscy skończyli marnie, na równi mężczyźni, jak i kobiety. I wszystkim przypadł w udziale straszny koniec.

Na przykład – mówiła Gwiazda Ysmarel, przybierając pozę niektórych gawędziarek – olśniewająca, uzdolniona mistrzyni miecza Shaiy z Czerwonej Pustyni. Zabiła dwóch strażników, którzy narzucali jej się z amatorami, za co skazano ją na poszukiwanie Opończy.

Shaiy słynęła z licznych talentów wojowniczkich, ale też wykształcenia i dowcipu. Mówiono, że potrafi w dwadzieścia minut ułożyć odę godną największych poetów. Albo w trzy uderzenia serca – sprośną piosenkę. Na zagadki odpowiadała, nie budząc się ze snu. Była bezczelnym złodziejem, jej właśnie przypisywano kradzież Wielkiego Szmaragdu z Gullo. Później dała go z dobroci serca żyjącemu w nędzy kochankowi. Jednakże i ona z diabelskiego zamku wróciła martwa, zmielona na proch, w maleńkiej skrzyneczce, do której wsypano ją całą poza filigranowymi białymi uszami przyszpilonymi na wieku i ułożonymi w kształt motyla.

Zire oglądał swe buty, Bretlilf chrząknął.

Ysmarel zwyczajnie klasnęła w smukłe dłonie. Na ten znak wszystkie światła w pałacu pogasły, wszystkie wonie pachnideł, zapachy smacznych potraw czy dźwięki muzyki – pierzchły. Pies raz warknął, królik pisnął, a kot parsknął. Dał się słyszeć trzepot skrzydeł i brzęk porzuconych instrumentów, kiedy kruki i sowy pędem uleciały przez okna i drzwi. W komnacie zaległa smolista ciemność. Tylko gwiazda migotała nad ogrodem.

Rozległy się męskie głosy:

– Możesz się w ogóle poruszyć, Bretlilf?

– Nie. A ty, Zire?

– Też nie.

– Spokojnie, przyjaciele – uwodzicielsko wyszeptała wiedźma. – Ze względu na waszą inteligencję i niespokojnego ducha zgotowałam wam

inny los niż ten, którego się spodziewacie.

– Wiedźma i co jeszcze? Jedzenie – powiedział Bretlilf, ale tym razem niewyraźnie i bezosobowo.

– Albo to cholerne wiedźmińskie piwo – burknął Zire. – Do czarta najczarniejszego, znowu nas...

– ...odurzono i zaczarowano – dokończył Bretlilf.

W ciemności rozległo się beładne łomotanie, jakby dwóch potężnych młodzieńców rzucono na posadzkę na stos ich własnych butów, zbroi, nie do końca wyrzeźbionego jelenia, mieczy i innych akcesoriów.

Po chwili prowokacyjnie roześmiała się jakaś kobieta. A noc zasnuła scenerię, tę w środku i tę na zewnątrz, kiedy wiszący nisko nad horyzontem diament nietypowej gwiazdy wywrócił się do góry nogami.

\* \* \*

Sen nie przyniósł im wytchnienia. Obaj śnili o przygodach nieszczęsnych herosów – i heroin – którzy trafili do zamku o złej sławie.

Bretlilf ujrzał, jak złotowłosy Drod Laphel, wysoki i potężnie zbudowany, błądzi po czarnej jak otchłań budowli z mieczem w garści, a ku niemu pełźnie olbrzymi śliski wąż. Gad miał łuski jak aligator, ale czarno-sinej barwy nieba o północy. Otworzył szkarłatną paszczę i wydał syk przypominający odgłos pary wydobywającej się z gorącego źródła. Drod na to zaintonował jakieś zaklęcie, które działało tak hipnotyzująco, że już i tak zaczarowany oraz odurzony, a poza tym wcale nie będący węzem Bretlilf poczuł się obezwładniony. Natomiast ku jego zaskoczeniu na węża zaklęcie nie podziało. Łuskowata fala nocnego oceanu zakipiała w przypływie i złocistego wojownika

pochłonęły jej odměty.

Zire także śnił, ale w jego nadrzeczywistości królowała piękna Shaiy. Była młodą kobietą o dość mocnej posturze, białej cerze i oczach jak zielone ogniki. Stała na środku ogromnej sklepionej sali, naprzeciwko zwierzęcia o ciele pantery z głową jastrzębia i jastrzębimi skrzydłami. Wyglądało na to, że chimera ta zadała jej jakąś zagadkę, na którą Shaiy miała odpowiedzieć w formie pieśni. Właśnie do tego przystępowała, ledwie jednak wypełniła przestrzeń wspaniałym mezzosopranem, echo jej głosu zamieniło się w żywą istotę, która wydała z siebie łoskot i zawodzenie przeraźliwe niczym grzmot. Zaczęły pękać ściany i posypały się kamienie. I zarówno Shaiy, jak i kotoptakosfinks zniknęły pod gruzami.

Potem szedł jeden sen za drugim. Przed Bretilfem i Zirem przedfilowało chyba z pięćdziesięciu albo i więcej skazanych na poszukiwanie Opończy. Wszyscy pokonani. Za każdym razem pojawiał się jakiś wątek, który wyraźnie wskazywał powód takiego, a nie innego haniebnego zakończenia ich żywota.

W końcu Bretilf, a także Zire wyśnili siebie wchodzących do tego samego kamiennego budynku. Każdy śnił osobno i tylko o sobie. Z jakiegoś powodu mieli przekręcone imiona. Zire był Izerem, Bretilf – Ibfreltem. Wiedza o tym potrzebna im była jak dziura w moście.

Z zakamarków mrocznej architektury rzuciły się na Zire'a furkoczące w powietrzu istoty przypominające olbrzymie księgi, a on, dzierżąc w jednej dłoni Skrybę, a w drugiej nóż, robił zwroty i uniki, odpierał ich ataki, ciął i siekał, lecz wszystko na próżno. Zamknęły się na nim, zatrzasnęły między okładkami.

Bretilf uświadomił sobie, że próbuje rysować albo rzeźbić na ścianie talizmany miłosiernych bogów. A one wykypiały jak przypalone mleko,

stwardniały i wytrąciły mu broń z ręki. Potem z podłogi wyrósł olbrzymi jeleni i z pochyloną głową ruszył do ataku, aż wbił mu poroże w pierś i stratował.

Zabijani bez końca w snach Izer–Zire i Ibfrelt–Bretilf czekali niecierpliwie, aż nadejdzie świt i będą się mogli wreszcie obudzić, niechby w piekle czy niebie, a najlepiej – na ziemi.

Świt, jak to świt, nadszedł w swoim czasie.

Zdawało się, że minęło bez mała sto lat, tyle to trwało, aż wreszcie las o metalicznym listowiu zalał się jasnym rumieńcem. Wzeszło słońce. Rzeczy należące do ciemności... pierzchły?

Pałac wiedźmy o poranku sprawiał wrażenie posepnego i opuszczonego. Żadnych sów, ani śladu ptaków. Kwiaty białych róż zwinęły się w ciasne pączki, jakby rozwijały się tylko po zachodzie.

A jednak podwoje rezydencji stały otworem. Tak samo brama na dziedziniec.

Po chwili coś mignęło w ogrodzie.

Gdyby słońce czekało na Zire'a i Bretilfa, rozczarowałyby się, ponieważ to, co właśnie przekroczyło bramę od strony wzgórza, okazało się parą młodych lwów. Zanim weszły na dziedziniec, zatrzymały się i obwąchały ją, złowiły w nozdrza idące powietrzem zapachy. Jeden wydał pomruk, drugi machnął ogonem. Były z grubsza w tym samym wieku, miały takie same zapadnięte boki i charakterystyczną samczą wytrzymałość, były płowe i gibkie, miały białe kły i ogony z kępką sierści na końcu – jeden ciemnoczerwona, drugi bardziej mandarynkowa – jak bracia z jednego stada.

W typowy dla zwierząt sposób szybko ukryły lekki niepokój widoczny w ich zachowaniu. Obróciły się i zaczęły baraszkować, a po chwili tarzały się po ziemi, udając, że ze sobą walczą, aż nagle



wytoczyły się na środek gościńca. Stały na cztery łapy, otrząsnęły się, potarły nosy i rozejrzały dokoła. Jeden miał oczy jak topaz, drugi – jak polerowane srebro.

Do wiadomości tych, którzy wiedzą, że nie wszystko należy przypisywać czarom: można by ich było wziąć za Bretilfa Rękodzieja i Zire'a Erudyte zamienionych jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w kocie bestie.

W każdym razie lwy pobiegły gościńcem w kierunku jakby przypadkiem zbieżnym z tym, który wyznaczyła klątwa.

\* \* \*

Lew wie, że jest lwem, nawet jeśli nie ma okazji sobie tego powiedzieć. Gdyby miał okazję, powiedziałby to w lwim języku. Oczywiście wszystkie zwierzęta posługują się językiem. Ludzka niewiedza w tym zakresie bierze się z tego, że większość ludzi nie rozumie języka zwierząt. Nie rozumieją z powodów oczywistych oraz dlatego, że język ten jest tak ukształtowany, żeby wyrażać stany, idee i zasady rządzące zachowaniem całkowicie odmiennym od tego, które może pojąć człowiek. Niektóre szkoły filozoficzne utrzymują nawet, że to, co człowiek dostrzega w sobie jako „zachowanie zwierzęce”, jest nie tyle oznaką zwyrodnienia, ile niestety nieudolną próbą ludzkości naśladowania zwierzęcej postawy filozoficznej, intelektualnej i praktycznej wobec życia, miłości i śmierci.

Zire zatem dowiedział się, że jest lwem. A i Bretilf dowiedział się tego o sobie. Że są braćmi, było czymś niezaprzeczalnym, fundamentalnym i w zasadzie nieistotnym. Jak ledwie przez nich zauważony dziwny zamęt w głowie, tak i przypisane im imiona, w dodatku zniekształcone, żadnemu nie przeszkadzały.

W każdym razie oba lwy nie do końca uświadamiały sobie, że po grzywiastych, szlachetnych głowach błakają im się dziwaczne pomysły. Samym głowom też nie poświęcały wiele uwagi. Wiedziały tylko tyle: dzień jest ciepły, ziemia i drzewa miło pachną, a zewsząd dolatują intrygujące wonie czegoś, co można by albo poznać, albo zjeść. Coś je zaciekało i popchnęło w konkretnym kierunku. Ponieważ uległy impulsowi bez zastanowienia, kierunek musiał być pociągający i wiele obiecujący. Żeby się oprzeć pokusie, nawet nie myślały.

Przez wiele godzin lwy biegały po lesie. Zarośla zgęstniały, a trakt zmienił się w ścieżynkę wijącą się między wystającymi korzeniami drzew i pióropuszcami paproci. Raz po raz się zatrzymywały, żeby sprawdzić jakiś interesujący zapach, widok lub odgłos, odpocząć w cieniu wysokiego sklepienia lasu prześwietlonego słońcem, napić się ze strumyka ciemnego jak malachit. Wszystko było tak, jak być powinno.

Na niebie i w lesie zapanowało południe. Z bezpiecznej odległości z szacunkiem przyglądały się lwom wiewiórki, oposy, leśne gołębie.

Człowiek, który ujrzałby to miejsce, uznałby je za ogromną porębę. Na przestrzeni prawie mili cała roślinność została wycięta albo wyrwana, a na jej miejsce położono kostkę brukową dziwnego trójkątnego kształtu, wyglądającą jak szlifowany bazalt. W jej powierzchni przeglądało się czyste niebo, robiąc wrażenie czarnego jeziora. Na środku stała jakaś budowla. Dla człowieka, ale tylko dla niego, byłoby od razu jasne, że wzniesiono ją z pni i gęstych koron niezliczonych drzew w pełni letniego rozkwitu. Chociaż żywe, były jednak zniekształcone. Jedne stały krzywo, inne były wygięte przez straszliwe obręcze, a korony jeszcze innych zostały zebrane razem, by konary, gałęzie i listowie utworzyły dach. Potem przeniknęły je czary. Skamieniały. Nie obróciły się jednak w gładki bazalt posadzki, ale w

czarny, twardy, ziemisty węgiel kamienny.

Ponieważ na polanie oczywiście nie było ludzi, tylko lwy, nikt takiej analizy nie przeprowadził. Lwy ujrzały masyw przypominający im jaskinię, w skwarze dnia obiecujący chłód i wydzielający ostry, drażniący nozdrza zapach ludzkiego mięsa i krwi. Innymi słowy, zwiastujący świeże trupy.

Zatrzymawszy się tylko po to, by ostrożnie zanurzyć łapy w otaczającym jaskinię jeziorze, które okazało się twardą powierzchnią, skoczyły naprzód i zniknęły za drzwiami.

\* \* \*

Izer, lew, który był Zirem, popędził przez ciąg kolejno otwierających się przed nim pochyłych, ziejących pustką, ciemnych korytarzy. Jedna przestrzeń przechodziła w drugą, niektóre węższe, inne szersze albo bardziej kręte. Izer beztrąsko przebiegł przez wszystkie. Nie niepokoiła go ich wielkość ani powyginana, drzewiasta architektura. W przeciwieństwie do człowieka, który znalazłby się na jego miejscu, nie czuł się mały czy bezbronny. Kiedy wspinał się po zdeformowanych skamieniałych pniach i wtykał nos we wszystkie dziury i szczeliny, kierował się ciekawością kociaka. Podniósł łapę i podrapał pazurem twardy materiał. Poleciały błękitne iskry, od których się odwrócił.

Z głębi owego nieruchomego, a mimo to niemile przypominającego trzewia labiryntu dobiegało na pozór niewinne pulsujące dudnienie. Był to dźwięk całkowitej bezdźwięczności, zakłócany jedynie w uchu słuchającego biciem jego serca. Izer nie zwrócił na niego uwagi. Jego słuch był dostrojony do odgłosów niosących ważniejsze informacje. Które się pojawiły.

Wtem, bez żadnej zapowiedzi, coś gwałtownie przemknęło w

powietrzu, gdzieś na wysokości trzykrotnie większej od długości lwiego ciała. Izer uniósł głowę.

To był ptak. Takiego ptaka jednak Izer nigdy nie widział. Nie miał dzioba, nie miał nawet głowy. Jego trzepoczące na wszystkie strony skrzydła, z wierzchu czarno upierzone, z jaśniejszymi smugami pod spodem, niczego się nie trzymały. Ptak nie miał również korpusu.

Izer nie rozpoznał w latającym przedmiocie książki, co dla człowieka byłoby łatwe. On mógł przyjąć tylko jedno logiczne wyjaśnienie, a mianowicie uznać, że to ptak. A ponieważ ogólnie rzecz biorąc, lwy są godnymi przeciwnikami ptaków, wyjąwszy gatunki nadnaturalnej wielkości, jak choćby roka, Izer skoczył prosto na niego, ściągnął na ziemię i rozgniół. Grzbiet książki pękł. Lew wyrywał jej nastroszone kartki, gryzł i wypluwał. Ten ptak nie był dobrym pożywieniem, do niczego się nie nadawał, no, może do poćwiczenia szybkich zwrotów. Kiedy nadfrunęła następna, Izer nabrał już sportowego ducha, rzucił się na nią i zanim rozniósł na strzępy, chwilę ją potarł. Następne książki nadleciały w spiralnym szyku, choć nie było ich wiele. Izer skakał wokół nich z rozbawieniem. Kiedy ostatnia padła powalona na ziemię, zauważył, że ze ścierwa rozłazą się błyskawicznie jakieś drobne stwory. Przykrył je łapą, nacisnął i zmiażdżył. Były to zapisane słowa, ale Izer tego nie wiedział. Nic dla niego nie znaczyły, dostarczyły tylko chwilowej rozrywki. Poza atramentem nie miały przecież smaku. Wypluł więc ich strzępiaste odwłoki, przewrócił się na grzbiet, potrząsnął grzywą w kolorze henny i potruczał w głąb skamieniałego labiryntu.

Gdzie indziej Ibrelt, lew, który był Bretlfem, obwąchiwał jakieś grudki, jakby wysuszone jadalne grzybki. Jego także nie interesowało uporczywe jodłowanie ciszy. Teraz jednak usłyszał osobliwe skrobanie

i rozejrzał się dokoła. Ze ściany wydobywały się jakieś ostre narzędzia. Gdy tylko się z niej wydostały, zaczęły pełznąć po posadzce, nieprzyjemnie zgrzytając. Ibfrelt podszedł, żeby się im przyjrzeć i poudierać w nie łapą, tak jak Izer uderzał książki. Ich stalowe krawędzie nie zostawiały śladu na stwardniałych poduszczykach lwich łap. W końcu znudził się nimi i oddalił wielkimi susami. Nie zdawał sobie sprawy, że ścigają go z wielce złowrogimi zamiarami. Dla Ibfrelda nic złowrogiego w nich nie było. Nie widział też, jak w pewnej odległości za nim wytraciły impet, pokryły się rdzą, zaczęły łuszczyć i rozpadły na kawałki.

Zbłądziwszy do innej komnaty, Ibfrelt zatrzymał się w niej tylko dlatego, że nagle jakaś postać wyrosła przed nim z podłogi. Człowiek natychmiast rozpoznałby w niej drugiego człowieka – niebezpiecznego wojownika. Był wysoki i wyjątkowo umięśniony, zakuty w żelazo i uzbrojony w pałasz sporych rozmiarów oraz wyjątkowo długi pugińał. Patrzył na Ibfrelda szalonym wzrokiem. Oczy rzucały iskry, a w parze z szyderczym grymasem gęby szło pogardliwe wyzwanie: „Spróbuj się ze mną, nikczemna nieistoto!”.

Ibfrelt najwidoczniej ludzi znał jedynie – o ile w ogóle ich znał – jako pozycję w jadłospisie drapieżnika. Pokaz broni, demonstracja agresji, uzbrojenie ochronne – to lwu nic nie mówiło. Ibfrelt wyczuł żywe mięso i wydał pomruk oznaczający żądę krwi, po czym wystrzelił jak ogromny imbirowy fajerwerk w groźnego kolosa.

Kolos runął pośród zgielku i hałasu, pałasz poleciał w jedną stronę, pugińał – w drugą, nie czyniąc innych szkód, jak tylko ścinając cztery z imponujących wąsów lwa. I już równie imponująco użębione szczęki zacisnęły się na jego gardle.

Ibfrelt zaczął łapczywie rozrywać ofiarę, gdy ku jego rozgoryczeniu

rozwiąła się ona jak mgła.

Tak jak rozchodzą się niektóre odnogi labiryntu, tak Izer doznał podobnego złudzenia. Jego przeciwnikiem był wymachujący rapierem fechmistrz uzbrojony też w topór. Izer po prostu skoczył mu na piersi, resztę roboty zostawiając kłom. Kiedy smaczny kąsek ciepłego mięsa zniknął, Izer poskarżył się tak głośno, że nawet Ibfrelt zwrócił na to uwagę i także zaryczał.

Podniósłszy się z irytująco nieobecnej padliny, Izer potruchtał dalej przez labirynt i zgodnie z lwim instynktem, kierując się węchem, wzrokiem, słuchem i podświadomą myślą, w dwie minuty odnalazł Ibfrelda.

Lwy okazały sobie współczucie. To miejsce było okropne. Już lepiej będzie natychmiast stąd odejść.

W sąsiedniej grocie czy komnacie błysnęło światło. Były lwami, toteż wzięły je za zagubione wyjście prowadzące do popołudniowego lasu. Ramię w ramię skoczyły w jego kierunku...

Zamiast w lesie, znalazły się w gargantuicznym wnętrzu budowli. Większości ludzi przestrzeń ta nasunęłaby myśl o kolosalnej świątynnej nawie. Lwom wydawała się szczególnie olbrzymią jaskinią. Pochodzące z niewidocznego źródła światło rozjaśniało ją do ostatniego zakamarka.

Na samym środku stało samotne żywe drzewo, a przynajmniej żywe się zdawało. Przypominało klon, ale rozrośnięty do nierzeczywistych rozmiarów, z koroną w jesiennej szacie. Liście mieniły się barwami malin, pomarańczy i dojrzałych śliwek. Z konarów zwisał zaniedbany sztandar, a może część garderoby? Wydawało się, że to coś znalazło się na drzewie przez pomyłkę: tandetne i zniszczone, w brudnym odcieniu przypalonej owsianki.

Żaden z lwów się nim nie zainteresował. Rozpoczęło się bardziej fascynujące widowisko. Pień drzewa powoli się rozszczepiał, jakby cięty nieuchwytnym ciepłym promieniem. Kiedy szczelina dostatecznie się rozszerzyła, coś z niej wyskoczyło. Wbiegło na środek jaskini – na jego widok każdemu wojownikowi ze strachu ścierpłaby skóra.

Przed lwami sterczał jakby żywcem przeniesiony z mitów nadnaturalnej wielkości jelen. Był nieskazitelnie biały, miał poroże grube jak konary i płonące oczy. Parsknął, a z nozdrzy buchnęła mu czarna para.

Lwy nie ściskają sobie rąk, nie klepią się też łapami po grzbiecie, żeby zademonstrować braterstwo. Gdyby tak było, te dwa tak właśnie by zrobiły.

Bez żadnych wstępów oba skoczyły ku jeleniowi. Wzięły go w dwa ognie, każdy dopadł jednego boku. Powietrze wypełnił straszliwy łomot i trzeszczenie, odgłosy pękania i darcia. Jeleń, który wyglądał jak wyrzeźbiony z ogromnej kości rozmiarów domu, rozpadł się na tysiąc kawałków. Olbrzymi klon zatrzęsł się od wybuchu. Liście posypały się jak... deszcz. Od gałęzi oderwał się jeszcze jeden przedmiot i śmiesznie poleciał w dół jak brudna ścierka. Izer i Ibfrelt, Ibfrelt i Izer, nie zwróciły na niego uwagi. Były zajęte. Kość, z której wyrzeźbiono olbrzymiego jelenia, pochodziła z jakiejś niewiarygodnie wielkiej pieczeni. Lwy próbowały wydobyć szpik, znaleźć najmniejszy strzęp mięsa, smakowały ślady pieczystego, szukały najdrobniejszych odłamków kości na ziemi.

Przegapiły przez to zgłuszony, upiorny jęk czegoś, co zawodziło w kamiennych murach. Zważywszy na wszystkie inne sztuczki, nawet te nie wypróbowane, ta akurat nie powinna się była udać. Przegapiły też przemieszczenie się budowli i to, że jej ściany i komnaty, przejścia i

ogrodzenia rozpadły się i szczyły. Przegapiły nawet lecącą w dół nieapetyczną szmatę w kolorze owsianki. Zauważyły ją, dopiero gdy spadła im na głowy.

\* \* \*

– I co o tym sądzisz?

Wlekli się znów przez las, nadzy, w jesiennej aurze, która już zdążyła powiać chłodem. Pytanie to postawił Zire’owi Bretilf.

Zire odparł:

– Teraz wydaje się to całkiem oczywiste.

– Mnie też. Może jednak wyciągnęliśmy odmienne wnioski.

Bretilf niósł przedmiot zabrany z jaskini–labiryntu, owinięty w trawę i mocno związany.

Z wierzchołków drzew, które w nocy zrzuciły prawie wszystkie liście, zostawiając po sobie wielki pokos zimnego nagiego nieba i wiejącego wiatru, ptaki i wiewiórki ciskały w nich skorupami orzechów. Lisy i dziki mijały ich w oddali z prychnieniem, jakby śmiały się pogardliwie. Węże zdawały się zawstydzone głupotą ludzi i wślizgiwały się do nor.

Pomimo swej przemiany Bretilf i Zire nie uzgodnili, co mają zrobić. A gdy kilka godzin później dotarli do włości wiedźmy Ysmarel i zastali tam jedynie wzgórze – wciąż tego nie wiedzieli. W pobliżu jednak znaleźli siwka i gniadosza, a obok spętanych koni starannie złożone ubrania, broń i całą resztę. Bretilf obejrzał niedokończoną rzeźbę jelenia.

– Tak jak myślałem – powiedział.

– O, tak – zgodził się Zire.

Po czym wymienili kilka zdań na temat tego, co jest gorsze: jedzenie



ludzi czy słów, nie wspominając kości. Jednomyślnie stwierdzili, że przypuszczalnie nic z tego nie było do końca prawdziwe, pierwotne czy potencjalnie zabójcze, dlatego kwestie moralne się nie liczą.

Resztę drogi do Cashlorii przebyli wierzchem. Teraz Zire niósł zwiniętą nędzną szmatę spadłą z klonu. Żaden z nich nie miał ochoty jej na siebie narzucić, nawet gdy szli nadzy przez las. Już pierwsze jej dotknięcie, kiedy spadła im na głowę, z powrotem zamieniło ich w ludzi. Wystarczyło.

Usiadłszy jeszcze raz nad szaloną Ca, puścili konie na popas i patrzyli przed siebie.

– Wydaje mi się – zaczął Bretilf – że wiedźma Ysmarel...

– Tak?

– Zamieniła nas w zwierzęta nie po to, żeby przysporzyć nam kłopotów w stylu starożytnych legend...

– ...tylko żebyśmy zdołali przejść labirynt i odzyskać Opończę – ciągnął Zire. – Każdego rozumnego czy utalentowanego człowieka – mężczyznę czy kobietę – który tam wkroczył, najwyraźniej niszczyły demony zrodzone z ich własnych umiejętności.

– Pieśniarka musiała zmierzyć się z własną pieśnią, która się przeciw niej obróciła, i to tak straszliwie, że rozdarła jej uszy... oddarła je od pięknej głowy.

– Zaklinacz węży trafił na węża, którego nie potrafił zaczarować i który go śmiertelnie ukąsił.

Konie skubały trawę. Mężczyźni zastanawiali się nad skutkami klątwy pięknej wiedźmy. W zwierzęcej postaci nie musieli ciągle toczyć walki z ludzkimi przyzwyczajeniami. Choć cienie ich życiowego doświadczenia unosiły się wciąż w powietrzu i czary w labiryncie przywoływały je w formie koszmarów, jako lwy ich nie rozumieli i nie

ulegali im. A jeśli przykuły ich uwagę, to tylko dlatego, że przypominały pożywienie.

W tamtym miejscu zniknęły ich ludzkie wartości, jako lwy mieli inne cele, co innego miało dla nich znaczenie. Dlatego właśnie odzyskali Zwycięską Opończę. Nic dla nich nie znaczyła, po prostu uciekli, rycząc, z jakąś szmatą zaplątaną w grzywy.

Zire i Bretilf wjechali do miasta po cichu, niemal chyłkiem, ale ludzie wylegli na ulice, gapili się i wiwatowali. Samozwaniec kazał im czekać tylko godzinę, zanim przyjął ich w swojej willi.

Książę leżał na łożu, jakby nie żył. Patrzył w sufit ze znużeniem i niechęcią.

– Kim są ci awanturnicy? – zapytał.

– Wasza wysokość nie słyszy radosnej wrzawy na ulicy? – odparł urażony sługa – Ci... awanturnicy... odzyskali Opończę. Opończę, która Sama Wygrywa Wojny.

– Bzdury – warknął Książę i odwrócił się na brzuch.

Dopiero po godzinie, kiedy dał się wreszcie przekonać dworzanom, choć nie do końca, Zire i Bretilf mieli wątpliwą przyjemność obejrzenia jego przemiany. Z lekką odrazą patrzyli, jak Zwycięska Opończa zmienia się na ramionach Księcia z klęski krawiectwa w mieniącą się barwami, iskrzącą od klejnotów bogatą szatę. Książę także się zmienił. W kilka sekund stał się młody i silny, urodziwy i mądry, uduchowiony, niewinny i po królewsku wielki. A potem z ujmującą szczodrością kazał z miejskiego skarbcza wydobyć zdumiewające bogactwa i załadować na muły – dla Bretilfa i Zire’a.

Oni byli już wtedy pijani w sztok. Kosztowali wina w większości piwnic książęcych, ale też wałęsali się po mieście, gdzie każdy chciał im postawić kielicha. Od czasu do czasu zaszywali się gdzieś w kącie, żeby

pogadać szeptem o takich dziwnych ludziach jak Książę, który łaknął okrucieństwa i zbrodni, a teraz przemienił się w uosobienie cnót wszelakich, godne jedynie czci i chwały. Nasłuchali się też plotek o podkuchennej imieniem Loë, która właśnie tego dnia odjechała w diamentowej karecie, zabierając wszystkie swoje zwierzęta: sowy i kruki z opuszczonych świątyń, króliki hodowane na mięso, koty i psy, które za miskę strawy służyły w różnych gospodach. O Loë lub Łasicy, jak ją czasem zwano, czyli Erminie, mówiono teraz, że była jednym z Dobrotliwych Strażników Cashlorii i że w przebraniu ukrywała się w mieście, póki nie miną jego kłopoty. Wydawało się, że odzyskanie Opończy przyniosło jej wolność i mogła wrócić do swego tajemniczego życia na dalekiej gwiazdzie.

– Mógłbym przespać milion lat – powiedział Zire. – Niestety, musimy się pożegnać.

– A może jeszcze nie – odparł Bretilf. – Słyszałem inną plotkę. Podobno ci nikczemni strażnicy, których Książę chce wygnać z miasta, wypisali na swoich mieczach nasze imiona. Dyszą żądzą zemsty. To co? Ruszamy w drogę w pojedynkę czy razem?

– Gdzie są konie i muły? – spytał Zire z godną szacunku trzeźwością umysłu.

– Na dole – równie trzeźwo odparł Bretilf.

Gdy wyskakiwali oknem wprost na grzbiety gniadosza i siwka, ich uszu dobiegł z sąsiedztwa groźny ryk, w którym pobrzmiwała radość zabawy, wściekłość i huk rzeki. Wkrótce jednak wszystko stłumiło beztroskie postukiwanie podków, rozkoszne pobrzękiwanie monet i klejnotów oraz dudnienie wozów. Baczcie więc, ludzie. Im głośniejsze i groźniejsze rwą i ryczą strumienie, tym głośniejsze śpiewajcie swą pieśń.

**Caitlín R. Kiernan** urodziła się w Skerries w Irlandii, ale dorastała w Leeds w stanie Alabama. Jako nastolatka pracowała ochotniczo w muzeum Red Mountain w Birmingham w Alabamie, a później studiowała geologię i paleontologię kręgowców na University of Alabama w Birmingham i University of Colorado w Boulder. Od 1988 roku napisała wraz z innymi badaczami kilkanaście publikacji naukowych, z których ostatnia ukazała się w 2002 roku w „Journal of Vertebrate Paleontology”. Pierwszą powieść, Silk, opublikowała w 1998 roku i do dziś wydała ich w sumie osiem, łącznie z ostatnią, The Red Tree. Jest laureatką nagrody literackiej przyznawanej przez International Horror Guild, była także nominowana do: World Fantasy Award, the British Fantasy Award, The Bram Stoker Award oraz Gay & Lesbian Alliance Against Defamation Award. Kiernan pisze także komiksy dla DC Comics. Mieszka z partnerką w Providence w stanie Rhode Island.

## **Caitlín R. Kiernan**

# **CÓRKA MORSKIEGO**

# **TROLLA**

Trzy dni upłynęły, odkąd obca wróciła do Invergó – miasta leżącego na bagnistych brzegach mleczno–zielono–niebieskiej zatoki, gdzie lodowiec spotyka się z morzem. Posiniaczona i zakrwawiona wyłoniła się z lodowatej wody. Miała niekompletną zbroję i porwane ubranie,

ale nie wypuszczała z rąk włóczni i puginału i twierdziła, że zabiła diabelskiego trolla, który od lat nękał mieszkańców miasteczka.

Poza własnymi słowami i ranami nie miała żadnego dowodu na to, iż naprawdę dokonała owego wspaniałego czynu. Niektórzy od razu stwierdzili, że słowa mogą być kłamstwem, a rany odniosła z innego powodu, niekoniecznie w walce z trollem – ani w ogóle w walce, jeśli już o to chodzi. Na przykład lekkomyślnie weszła na szeroki nawis lodowca i nieszczęśliwie spadła na lód. Tak to mogło wyglądać. Albo po prostu pomyliła się i zamiast demona zabiła niedźwiedzia, dzika, tura lub morsa. Mówiono nawet, że można jej wybaczyć pomyłkę, bo rozjuszony niedźwiedź, mors, a nawet dzik lub tur potrafi być naprawdę przerażający, a gdy niespodziewanie wyjdzie na człowieka nocą, łatwo go pomylić z trollem.

Reszta mieszkańców miasta okazywała mniej wyrozumiałości, jak na przykład kowal i jego jednooka żona, którzy twierdzili, że obca sama się okaleczyła. Zrobiła to, żeby dostać nagrodę, tłumaczyli, i ucieknie z miasteczka, zanim stwór pojawi się ponownie i jej oszustwo wyjdzie na jaw. Ci obcy z południa, mówili, mają nas za głupców. Weźmie od nas złoto, a my będziemy biedniejsi, niż byliśmy z trollem na karku.

Rada starszych rozmawiała z obcą i przekazała jej wątpliwości mieszkańców, którzy mimo to odziali ją i opatrzyli jej rany. W końcu wymyślili rozwiązanie, które miało załatwić sprawę. W każdym razie dla nich.

– Pokaż nam jego ciało – oświadczyli obcej. – Dasz tym niezbity dowód swego czynu, a wtedy z radością dopilnujemy, żebyś dostała nagrodę obiecaną temu, kto zabije trolla. Pieniądze, konie i skóry mamutów, gdyż nie składamy czczych obietnic. Nie chcemy, by świat miał nas za kłamców, ale i nie dopuścimy, żeby myślał, iż można nas

omamić udawanym bohaterstwem.

Obca odparła jednak, że ciało trolla uniósł zdradliwy prąd morski. Przeszukała mętną wodę, ale bez skutku, i musiała wrócić do miasta z pustymi rękami, unosząc jedynie rozległe rany na dowód swej ciężkiej walki i zwycięstwa nad potworem.

Jej wyjaśnienia nie przekonały rady starszych, która powtórzyła żądanie i zostawiła obcą z dylematem, jak ma postąpić.

Tak więc bez grosza, w bandażach, mając do wyboru być uznaną albo za głupią, albo za oszustkę, usiadła w rozlatującej się budzie, która uchodziła za jedyną gospodę w Invergó, i żałośnie patrzyła na dymiące torfowe ognisko. Piła miód i jęczmienne wino, które stawiali jej zaciekawieni mieszkańcy mający nadzieję, że po alkoholu rozwiąże jej się język i powtórzy opowieść o tym, jak to rzekomo pokonała demona. Przychodzili, słuchali i stawiali jej kolejkę za kolejką, jakby prawie jej uwierzyli, choć tak naprawdę nikt nie dawał wiary jej słowom.

– Nie było go łatwo znaleźć – mamrotała obca całkiem zniechęcona, spoglądając to na ogień, to na swój pusty do połowy kubek, to na pełne zwątpienia twarze słuchaczy. – Na samym dnie zatoki jest coś w rodzaju rafy. Troll urządził tam sobie dom z kości olbrzymich wielorybów i innych lewiatanów. Skąd o tym wiem? – zapytała, a że nikt nie próbował zgadnąć, ciągnęła swą opowieść jeszcze bardziej zniechęcona:

– Pewnego razu, późno w nocy, przyczałam się na brzegu i zobaczyłam, jak wasz potwór ucieka z owcą i jagnięciem pod pachą. Wskoczyłam za nim do wody. Był pewny siebie i nie zauważył mnie, toteż mogłam płynąć za nim na głębiny, wśród płataniny wodorostów, resztek zatopionych pni drzew i masztów statków, które zatoneły...

– Chwileczkę, a jak ci się udało tak długo wstrzymać oddech? –

zapytał jeden z mężczyzn, wznosząc niedowierzająco brwi.

– I jak to się stało, że nie zamarzałaś? – dołączyła się kobieta trzymająca na kolanach tłustą gęś. – Woda jest bardzo zimna, zwłaszcza...

– Może ktoś tutaj zna tę historię lepiej ode mnie? – warknęła obca, a gdy nikt się nie zgłosił, podjęła opowieść: – A więc, jak rzekłam, troll gnieździł się na dnie zatoki, w domu zrobionym z kości, i tam właśnie popłynął z owcą i jagnięciem, które zabił i zawlókł pod wodę. Wyciągnęłam broń – powiedziała, dla efektu wysuwając z pochwy puginał, którego klinga zabłysła w płomieniach ogniska. Przestraszona gęś zaczęła gęgać i trzepotać skrzydłami.

– A ja wciąż nie wiem, jak ci się udało tak długo wstrzymać oddech – stwierdził mężczyzna, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć hałas, jaki robiła gęś. – No i jak mogłaś coś zobaczyć w ciemnościach, które panują na tej głębokości, zwłaszcza że było to w nocy, a woda w zatoce jest bardzo zamulona?

Obca pokręciła głową i westchnęła z niesmakiem. Połowę jej twarzy zakrywały długie czarne loki, które sięgały brudnej podłogi gospody. Schowała puginał do pochwy i oświadczyła zebranemu towarzystwu, że jeśli co chwila będą jej przerywać, to nie usłyszą od niej ani słowa więcej. Uniosła też swój kubek, a kobieta z gęsią skinęła na szynkarę, że zamawia dla niej następną kolejkę.

– Znalazłam trolla w jego legowisku – ciągnęła obca – pożerającego wnętrzności owcy. Dodam, że ściany jego legowiska świeciły, i to dość jasno, rzucając upiorny blask na całe dno zatoki.

– Bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności. – Kobieta z gęsią na kolanach zmarszczyła brwi, gdy szynkarka napełniła kubek obcej.

– Czasem Losy się do nas uśmiechają – stwierdziła obca i

pociągnęła wyjątkowo długi łyk jęczmiennego wina. Beknąwszy, wróciła do opowieści: – Obserwowałam trolla przez kilka chwil, szukając jakichś słabych miejsc na jego pokrytej łuską, guzowatej skórze. Ale wtedy mnie zobaczył i zostawiwszy jadło, natychmiast rzucił się na mnie. Otworzył usta, szczerząc kły dłuższe nawet od kłów morsa.

– Aż tak długie? – powątpiewała kobieta z gęsią, gładząc ptaka po głowie.

– Może nawet dłuższe – odpowiedziała jej obca. – Błyskawicznie znalazł się przy mnie, machając płetwami i wyciągając pazury. Stało się to tak szybko, że nie zdążyłam zapamiętać wszystkich szczegółów. Jak powiedziałam, rzucił się na mnie i całym ciężarem ściągnął na zamulone dno swojej przeklętej nory. Myślałam, że chce mnie zmiażdżyć. Że zgniecie mi czaszkę i klatkę piersiową i moje kości dołączą do innych zbieleiałych szkieletów grubą warstwą zaścielających dno jamy. Wśród nich było dużo kości ludzkich, to pamiętam. Pazurami zerwał ze mnie zbroję i poszarpał mi ciało, tak że wkrótce moja krew przemieszała się z juchą skradzionej owcy. Omal nie wpadłam w rozpacz. Mówię to otwarcie i bez wstydu.

– Mimo to – upierała się kobieta z gęsią – bardzo to wszystko wygodne. Te światła i inne rzeczy.

Obca westchnęła i ponuro wpatrzyła się w płomienie.

Następne trzy dni i trzy noce mieszkańcom Invergó i obcej, która twierdziła, że oddała im tak wielką przysługę, upłynęły podobnie. Ciekawscy przychodzili do gospody posłuchać opowieści wojowniczk i wychodzili tak samo nie przekonani jak wcześniej. Obca spała tylko wtedy, gdy zmorzył ją alkohol, i kładła się na brudnej macie obok paleniska. Przynajmniej nikt nie wypominał jej tego drobnego luksusu.



Jednakże czwartego dnia późnym rankiem niedaleko miasta fala wyrzuciła na brzeg zmasakrowane zwłoki trolla. Szczątki odkrył zbieracz małży i jego trzech synowie, którzy kopali na przybrzeżnych bagnach w pobliżu miejsca, gdzie wąska akwamarynowa zatoka łączy się z otwartym morzem. Przed południem na miejsce dotarł oddział konstabli, którzy mieli przewieźć zwłoki przez moczary i dostarczyć je do Invergó, gdzie każdy mógłby je obejrzeć i samemu wyrobić sobie zdanie. Siedmiu silnych mężczyzn wciągnęło ciało stwora na wózek (używany zazwyczaj do przewożenia wielorybiego mięsa i tym podobnych), do którego zaprzężono sześć wołów. Na przejechanie trzech mil wśród moczarów i kęp tataraku wóz potrzebował całego popołudnia. Po grząskim błocie jechało się bardzo wolno i ciężko – zmęczonym zwierzętom uprząż wbijała się w ciało, a z nozdrzy buchała para. Zaraz po minięciu bram miasta i zrzuceniu gnijącego ładunku na bruk centralnego placu jeden z wołów padł z wyczerpania.

Przedtem nikt nie widział morskiego diabła, chyba że przelotnie. Teraz zaś każdy, kto usłyszał o odkryciu jego zwłok, mężczyzna, kobieta czy dziecko, chciał pogapić się na szczątki i cieszył się, że może je poszturchać. Ludzie wznosili okrzyki podziwu, strachu, makabrycznego zaciekawienia i niedowierzania. Ku uciesze tłumu podniesiono do góry olbrzymi łeb, pod strzaskaną szczękę wsunięto kowadło, a między ociekające wodą zęby wciśnięto osęk, żeby wszyscy mogli zobaczyć sterczące kły, zaiste większe niż kły większości morsów.

Dopiero o zmroku komuś się przypomniało, że trzeba by obudzić obcą, która zamoczona wciąż leżała na macie w gospodzie, odsypiając kolejki wypite podczas wczorajszych wieczornych opowieści. Śniła o swoich ojczystych stronach, które leżały na południu, daleko od nagich czarnych wzgórz, lodowców, fiordów i śniegu. We śnie siedziała na

brzegu szerokiego zielonego stawu w cieniu wierzby chroniącej ją od skwaru południowego słońca i patrzyła na piękne kobiety, które przyszły się wykąpać. Dopiero pół wiadra spienionej ciepłej wody morskiej zdołało wyrwać ją z tych marzeń. Obca splunęła, prychnęła i obrzuciła przekleństwami mężczyznę, która ją polewał (nieszczęśnik wyciągnął najkrótszą słomkę). Już miała sięgnąć po swoją włócznię, kiedy ktoś pośpiesznie jej wyjaśnił, że zbieracz małży znalazł na moczarach szczątki trolla i że teraz mieszkańcy Invergó są bardziej skłonni uwierzyć w jej opowieść.

– Czy to znaczy, że dostanę nagrodę i będę mogła wynieść się z tej żalostnej, kurewskiej, zasranej dziury? – zapytała.

Szynkarka wyjaśniła jej, że decyzja należy do starszyny, ale wygląda na to, że szala przechyliła się na jej korzyść.

I tak z pomocą szynkarki i kucharza wciąż na wpół pijana obca wyszła z gospody na ponure ulice Invergó. Wkrótce przeciskała się przez rozgadaną ludzką ciżbę, która szczelnie otoczyła truchło morskiego trolla. Kiedy ujrzała swoje trofeum, które mogli zobaczyć także inni, uśmiechnęła się szeroko i splunęła potworowi prosto w pysk.

– Wciąż wątpicie w moje słowa?! – zawołała i wdrapała się na grzbiet stwora. Tylko raz się ześlizgnęła, nim pewnie stanęła na jego ramionach. – Nadal będziecie mnie nazywać kłamczynią, mając dowód przed oczami?

– Przecież mógł zginąć z innego powodu – zauważył sprzedawca torfu, nie patrząc obcej w oczy.

– A może – podpowiedział bednarz – podpłynął zbyt blisko cielącego się lodowca i przygniotła go bryła lodu.

Obca spojrzała na nich z furią i odwróciła się w stronę starszyny,

która zgromadziła się w pobliżu błoniastych stóp trolla.

– Naprawdę chcecie mnie oszustwem pozbawić nagrody? – zapytała ostro. – Dlaczego, ty niewdzięczna, dwulicowa bando gwałcicieli owiec?! – zakrzyknęła, znów niemal ześlizgując się z trupa.

– Spokojnie – rzekł jeden ze starszych, unosząc dłoń w uspokajającym geście. – Ma się rozumieć będzie dochodzenie, oczywiście, ale możesz być pewna, dobra kobieto, że to jedynie formalność. Rozumiesz? Jestem pewny, że nikt z tu obecnych nawet przez chwilę nie wątpił, iż to twoje ostrze na powrót strąciło tego nikczemnego, godnego pogardy ducha do otchłani piekielnych, które go zrodziły.

Przez kilka pełnych napięcia chwil obca nieufnie wpatrywała się w starca, gdyż nie lubiła mężczyzn, a zwłaszcza niemężczyzn, którzy używali wielu słów tam, gdzie wystarczyłoby kilka. Następnie w milczeniu spojrzała wyzywająco na niespokojny tłum, czekając, czy ktoś odważy się zaprzeczyć. Kiedy nikt się nie odważył, ponownie przeniosła wzrok na szczątki leżące u jej stóp.

– Poderznęłam mu gardło od ucha do ucha – powiedziała, choć nie do końca była pewna, czy troll rzeczywiście miał uszy. – Wyłupiłam mu lewe oko i jestem pewna, że jeśli pogrzebiecie w tych szczątkach, znajdziecie w nich czubek mojego puginału. Jestem Malmury, córka lorda Gwrtheyrna Niezwyciężonego, i klnę się na bogów, że to moja zdobycz, bo wiem, że oni nie zakwestionują mojego prawego oświadczenia.

Powiedziawszy to, obca, która wreszcie się przedstawiła, ześlizgnęła się z grzbietu potwora i w poplamionych krwią butach i spodniach wróciła do gospody, bo od słonego wieczornego powietrza zaschło jej w gardle. Po jej odejściu mieszkańcy Invergó wrócili do oglądania zwłok,

ale rozmawiali tylko szeptem, gdyż udzielił im się nastrój niepokoju i powagi. Nad ich głowami krążyły zgłodniałe stada mew i kruków chciwie obserwujących pokiereszowanego trupa.

– Malmury – szepnął bednarz do zbieracza małży, który znalazł zwłoki (i przez to sam poczuł się trochę sławny). – Ładne imię. A do tego córka lorda. Ja nigdy nie wątpiłem w jej opowieść. Może ktoś inny, ale na pewno nie ja.

– Ja też nie – odezwał się szeptem sprzedawca torfu, nachylając się nad zwłokami, żeby się przyjrzeć brodawkowej skórze stwora. – Nie wiem, skąd jej przyszło do głowy, że jej nie wierzymy.

Zapadły ciemności, wokół cielska trolla zapalono pochodnie i tłum z ociąganiem zaczął się rozchodzić do domów. Część mieszkańców poszła jednak do gospody, by po raz trzeci lub czwarty posłuchać, jak Malmury snuje swoją opowieść, która wydawała im się teraz jeszcze bardziej interesująca, bo prawdziwa. Ich miejsce przy zwłokach zajął miejscowy alchemik i astrolog, rzadko widywany przez mieszkańców Invergó, któremu pozwolono pobrać do badania próbki śliny i tkanek potwora. To on odnalazł ułamany czubek puginału obcej, mocno wbity w mostek trolla, i przekazał go konstablom. Chłopiec, który asystował alchemikowi, sporządził bardzo dokładne szkice cielska z różnych stron i opisał jego cechy anatomiczne tak, jak go mistrz nauczył. O północy przy stworze postawiono strażnika, aby rybacy i ulicznicy nie rozdrapali go na pamiątkę. Gdy pół godziny później zatrzymano żonę rybaka z odciętym rogiem trolla ukrytym w turniurze, przy zwłokach postawiono drugiego strażnika.

W gospodzie Malmury, córka lorda Gwrtheyrna, raczyła słuchaczy kolejnymi, coraz bardziej fantastycznymi wersjami opowieści o walce z demonem. Nikt jednak nie zwracał uwagi na upiększenia historii ani

na to, że w dziesiątej jej odsłonie troll wezwał na pomoc ogromnego, ziejącego ogniem czerwia żyjącego w mulistym dnie zatoki, z którym Malmury rzecz jasna także niezwłocznie się rozprawiła.

– Zapewniam was – powiedziała, ocierając usta rąbkiem sukni szynkarki – że prędzej czy później zbieracze małży jeszcze niejedno odkryją.

O świcie smród padliny unoszący się nad placem stał się nie do zniesienia i zwabił groźne watahy psów i kotów obietnicą uczyty. Krzyki mew i kruków zlewały się w ogłuszającą kakofonię. Było tak głośno, jakby wszystkie stworzenia żyjące w okolicy dostały skrzydeł i ostrych dziobów i nadleciały nad miasteczko. Komendant portu, dwaj lekarze i paru urzędników niższego szczebla zaczęli się martwić szkodliwymi płynami ciekącymi z szybko rozkładającej się padliny. Trująca mieszanka sączyła się na bruk i spływała rynsztokami oraz drenami w dół wzgórza w kierunku nabrzeża i studni. Choć pojawiły się głosy, żeby usunąć źródło miazmatów z miasteczka, postanowiono jedynie ustawić dookoła zwłok wał lub tamę z wysuszonego torfu.

Na pewien czas rozwiązało to problem przecieków, gdyż torf służył zarówno jako tama, jak i pochłaniacz produktów rozkładu. Torfowy wał w żaden jednak sposób nie odstraszał kotów i psów kręcących się po placu ani hałaśliwych chmar ptaków, które raz po raz nurkowały po zdobycz i zanim dwaj strażnicy zdążyli odpędzić je wymachiwaniemmiotłami i długimi kijami, odlatywały z wyszarpanymi kawałkami mięsa.

Wewnątrz zadymionej gospody – która notabene nazywała się Pod Zdechłym Dorszem, choć nigdy nie wisiał na niej taki szylid – Malmury nic nie wiedziała o kłopotach, jakie sprawiało jej trofeum gnijące na placu, ani o pomyśle zaciągnięcia go z powrotem na moczary. Nie

znaczy to, że była zupełnie wolna od trosk, choć zamroczona alkoholem. Kiedy słońce wstawało nad miastem, a dookoła zwłok trolla ustawiano torfowy wał, do gospody Pod Zdechłym Dorszem weszła zgarbiona bezzębna starucha. Wszyscy, którzy z rozbawieniem słuchali nowego wątku opowieści o ziejącym ogniem czerwiu, odwrócili głowę w jej kierunku. Niejeden się przeżegnał i ścisnął amulet, który nosił dla odegnania złych duchów, uroków i innych czarów. Starucha stanęła przy wejściu i wyciągnęła w kierunku Malmury długi, zakrzywiony palec.

– Czy to ona? – zapytała złowieszczym głosem, który zabrzmiał trochę jak fala przyływu przesączająca się między skałami i miękkimi kupkami wodorostów. – Czy to jest ta obca? Ta morderczyni trolla, który od lat mieszkał w tej zatoce?

Zapadła cisza. Wszyscy przenosili spojrzenie od staruchy do Malmury, która mrugała, starając się przebić wzrokiem opary dymu i alkoholu i lepiej zobaczyć chudą, zgarbioną kobietę.

– To ja – rzekła w końcu Malmury, zaskoczona przybyciem staruchy i strachem, jaki ta zdawała się wzbudzać w mieszkańcach Invergó. Spróbowała wstać, ale po namyśle postanowiła dalej siedzieć przy palenisku, gdzie trudniej ją było zaatakować.

– A więc do niej tu przyszedłem – oświadczyła starucha, która bardziej wyglądała na strzępki skóry byle jak powiązane nicią, sznurkiem i ścięgnami niż na żywą istotę z krwi i kości. Opierała się na sękatej lasce, ale trudno było powiedzieć, czy drewnianej, czy kościanej, czy też zręcznie zmajstrowanej z jednego i drugiego materiału. – Ona jest intruzem, który skazał na zgubę to miasto i tych, którzy w nim mieszkają.

Malmury, coraz bardziej zaskoczona i wściekła, przetarła oczy i

pomyślała, że to chyba zły sen spowodowany nadmiarem alkoholu i gotowaną baraniną z kapustą, którą zjadła na obiad.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić? – warknęła na staruchę, z całych sił starając się, żeby jej głos nie brzmiał bełkotliwie. – Czyż to nie ja ledwie pięć dni temu wybawiłam to miasto od grabieży tego demona? Czyż to nie ja ryzykowałam własne życie w lodowatych słonych wodach tej zatoki, żeby zapewnić bezpieczeństwo tym ludziom?

– Och, patrzcie ją, jaka zarozumiała – zarechotała starucha, powoli kołysząc głową, jakby do jakiejś muzyki, której nikt inny nie słyszał. – Ma się za mężną, odważną i cieszącą się przychylnością swoich bogów. Kto wie? Może tak jest. Ale powinna wiedzieć, że to nie jej kraj, a my mamy własnych bogów. Ten zaś, którego zabiła, był jednym z ich dzieci.

Malmury starała się siedzieć prosto, ale słabo jej to wychodziło. Zachlupotał trunek, gdy gwałtownie wyciągnęła dłoń z kubkiem w kierunku staruchy. Jęczmienne wino ochlapało buty Malmury i brudną podłogę gospody.

– Ty wiedzmo – warknęła. – Jak śmiesz mówić tak, jakby mnie tu w ogóle nie było? Jeśli masz do mnie jakieś pretensje, to ich posłuchajmy. A jeśli nie, to zmykaj stąd i nie rób więcej zamieszania w tym porządnym domu.

– Tym porządnym domu? – zapytała starucha, udając zdziwienie i wpatrując się w mrok sali. Jej przygarbiona sylwetka rysowała się na tle porannych promieni słońca wpadających przez otwarte drzwi. – Przepraszam, myślałam, że zajdę do nieco bardziej luksusowego wychodka, ale ta świnia weszła tam wcześniej.

Malmury opuściła kubek i wyciągnęła wyszczerbiony puginał, którym groźnie machnęła w stronę staruchy.

– Wyjdiesz teraz stąd i jeśli usłyszę z tych zwiędłych ust jeszcze jedną obelgę, rzucimy cię świniom do koryta.

W tym momencie szynkarka, ładna blondynka, nachyliła się nad Malmury i szepnęła jej do ucha:

– Ona jest gorsza niż ten zabity troll. Proszę uważać, moja pani.

Malmury odwróciła się od staruchy i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w szynkarkę. Miała wyraźne przeczucie, że nie wie czegoś ważnego, co wyjaśniałoby wtargnięcie tej wstrętnej wiedźmy i reakcję mieszkańców miasta na jej pojawienie. Nie odwracając się od szynkarki, Malmury zmarszczyła brwi i ponownie wycelowała pugnał w staruchę.

– Ta stara jędza? – zapytała, niemal wybuchając śmiechem. – Ten pokurcz, na który nie połakomiłaby się nawet najżałośniejsza z harpii? Ja mam się jej bać?

– Nie – odparła starucha, podchodząc bliżej. Tłum rozstał się, robiąc jej przejście. Ten czy ów potknął się, spiesząc, by zejść jej z drogi. – Mnie nie musisz się obawiać, Malmury Zgubo Trolli. Nie dzisiaj. Ale dobrze ci radzę, byś choć trochę otrzeźwiała i zastanowiła się nad konsekwencjami swojego czynu.

– Ta stara jest szalona – zadrwiła Malmury i splunęła na podłogę. – Niech ktoś okaże tej wiedźmie miłosierdzie i znajdzie jej jakąś piwnicę, żeby mogła sobie w niej postraszyć.

Starucha zatrzymała się i popatrzyła na krople śliny, następnie podniosła głowę, zmarszczyła nos i utkwiała wzrok w Malmury.

– Mieliliśmy tutaj równowagę, Zgubo Trolli, słuszne prawo powstałe w czasach, kiedy moje prababki leżały jeszcze w kołysce. Dług do spłacenia za straszną niesprawiedliwość zrodzoną z arogancji mężczyzn. Dziesięcinę, jeśli wolisz. I nawet jeśli od czasu do czasu



kosztowała ona tych ludzi utratę kilku dusz lub przetrzebieenie ich beczących stad, to chroniła ich od dużo straszniejszego gniewu, który czeka nas ze strony Morza na Szczycie Świata. Ale tyś zniszczyła tę równowagę, a oni za ten czyn głupio okrzyknęli cię bohaterką. I skazali się na zgubę i zagładę.

Malmury zaklęła, raz jeszcze splunęła i spróbowała wstać z krzesła, ale nie pozwolił jej na to szumiący w głowie alkohol i dłonie szynkarki mocno przyciskające jej ramiona.

Starucha odchrząknęła i także ozdobiła swoją zażółconą śliną podłogę gospody.

– Ta banda niewydarzonych tchórzy i kretynów to potwierdzi, Zgubo Trolli, choć połowy z tych opowieści nie pamięta. Spytaj ich, a powiedzą ci coś, o czym dotąd nie było mowy, o czym nikt nie śmiał wspominać z obawy, że nie znajdzie się bohater, który przyjmie ich krwawe pieniądze. Nie myśl o mnie jak o łotrzyku w tej balladzie, którą snują dookoła ciebie.

– Lepiej zrobisz, jak odejdziesz, czarownico – odparła Malmury. Głos miała niski i chrapliwy niczym fale zwiastujące sztorm lub warczenie uwiązane psa. – Oni mogą się ciebie bać, ale ja nie, i nie mam nastroju do wysłuchiwanie twoich gróźb i twojego szantażu.

– W porządku – odparła starucha i skłoniła głowę przed Malmury, choć było jasne, że w tym geście nie ma ani krzty szacunku. – Niech tak będzie. Ale spytaj ich, Zgubo Trolli. Spytaj o powód przyjscia trolla, a także o jego córkę.

Powiedziawszy to, podniosła laskę i zadymione powietrze dookoła niej zamigotało i jakby się zwinęło. Zapachniało siarką i paloną szalwią. Rozległ się także dziwny hałas i Malmury nie mogła sobie później przypomnieć, czy bardziej brzmiał on jak odległy grzmot czy

trzask płonących drew. A starucha zniknęła i tylko jej ślina głośno skwierczała na podłodze.

– Czyli jest czarownicą – rzekła Malmury, chowając puginał do pochwy.

– Poniekąd – odpowiedziała szynkarka, powoli puszczając jej ramiona. – Jest ostatnią kapłanką Dawnej Wiary i wciąż składa hołdy istotom, które panowały przed naszymi bogami. Słyszałam, jak nazywają ją Grímhildr lub Gunną, ale nikt z nas nie pamięta jej prawdziwego imienia. Ma wielką moc i potrafi być zdradziecką suką, ale wiedz, że zrobiła także wiele dobrego dla Invergó i wszystkich ludzi na wybrzeżu. Kiedy wybuchła zaraza, rozproszyła chorobę...

– O co jej chodziło, kiedy kazała mi was zapytać o powód przyjścia trolla i o jego córkę?

– Nie odpowiem na te pytania – rzekła szynkarka i gwałtownie się odwróciła. – Musisz zadać je starszyźnie. Tylko starsi mogą ci o tym opowiedzieć.

Malmury skinęła głową i pociągnęła łyk wina z kubka. Rozejrzała się po gospodarze i stwierdziła, że powoli pustoszeje – kolejni goście wychodzili na skąpaną w porannym słońcu ulicę. Przestrogi staruchy sprawiły, że przeszedł im nastrój na opowieści o potworach i wysłuchiwanie niekończących się przechwałek obcej. Nic nie szkodzi, pomyślała Malmury. Wrócą po zmroku, a teraz i tak czuła się zmęczona i potrzebowała snu. W pokoiku nad kuchnią czekało na nią prawdziwe łóżko z materacem i poduszkami wypchanymi gęsim pierzem, a nawet niedźwiedzia skóra do ochrony przed chłodnym powietrzem wpadającym przez dziury w ścianie. Postanowiła, że gdy się prześpi i po alkoholu zostanie jej tylko kac, uda się do rady starszych i zażąda od niej odpowiedzi na pytania staruchy. Zaczęła ją

jednak boleć głowa i tylko chwilę nad tym myślała. Pojawienie się staruchy i jej słowa wydawały się teraz Malmury czymś nierzeczywistym i uznała, że może ma kłopoty z rozróżnieniem, gdzie kończy się prawda, a zaczynają rzeczy, które zmyśliła, aby ją podkoloryzować. Być może staruchę też zmyśliła, czując, że jej opowieść potrzebuje odpowiedniego zakończenia, a potem zamroczona alkoholem o tym zapomniała.

Wkrótce jednak, gdy szynkarka – która miała na imię Dóta – zaprowadziła ją na górę po wąskich skrzypiących schodach do pokoiku z łóżkiem, Malmury wywietrzały z głowy myśli o morskich trollach, czarownicach, a nawet czekającym na nią złocie. Dóta była bowiem urodziwą dziewczyną, która szczerze rozdawała swoje wdzięki, i seks z obcą nie miał dla niej zbyt wielkiego znaczenia.

\* \* \*

Córka morskiego trolla mieszkała w postrzępionych, targanych wiatrami górach, które groźnie wznosiły się nad mleczno–zielono–niebieską zatoką i miasteczkiem Invergó. Żyła tu od trzech pokoleń, według ludzkiej rachuby czasu, i wyobrażała sobie, że będzie tu mieszkać aż po kres swego długiego żywota.

Jaskinia, która służyła jej za schronienie, leżała głęboko pod ziemią, gdzie kiedyś był tylko lity bazalt. Po niezliczonych eonach lodowiec, który spływając z gór, wyrzeźbił między wysokimi wulkanicznymi klifami szeroką ścieżkę, stopniowo wgryzł się w kamienne trzewia ziemi. Nieustannie sącząca się strużka wody w odwiecznym cyklu zamarzania i topnienia rozłupała magmową skałę i ziarnko po ziarnku zaniosiła ją w dół do zatoki. Z czasem (świat zawsze ma czas) niewielkie rysy zmieniły się w szczeliny, a szczeliny w pęknięcia, aż w końcu

labirynt krzyżujących się spękań zapadł się, tworząc jaskinię. Tak oto z walki między skałą a lodowcem wyłonił się jej dom. Żyła w nim samotnie od zamierzchłych czasów, do których nie sięgała pamięć większości mieszkańców miasteczka. Córka trolla pogardzała nimi, trochę się ich bała i gdy tylko mogła, starała się ich unikać.

Nie zawsze jednak mieszkała sama w jaskini, bez opieki. Jej matka, córka człowieka, umarła przy porodzie i zaopiekowała się nią owdowiała czarownica, która wiele lat później rzuciła wyzwanie przybyłej z południowych królestw obcej imieniem Malmury. Kiedy mieszkańcy Invergó zobaczyli niemowlę, od razu się zorientowali, kim byli jego rodzice, i gdyby jej matka jeszcze żyła, natychmiast skazaliby ją na śmierć za obcowanie płciowe z demonem. Rzecz jasna zabiliby także niemowlę, gdyby nie interwencja czarownicy. Mieszkańcy wioski od dawna bali się wiedźmy, ale szukali jej pomocy w czasach klęsk i katastrof. Kiedy więc starucha oświadczyła, że niemowlę jest pod jej opieką, opamiętali się i na jakiś czas dali mu spokój.

Dziewczynka wychowywała się w ruinach kamiennej chatki na skraju moczarów, a gdy dorosła, wyniosła się od staruchy i usamodzielniała. W tym czasie strach przed klątwą wiedźmy lub utratą jej względów nie chronił już córki trolla przed mieszkańcami miasta. Choć w jej żyłach płynęła krew potwora, miała więcej z człowieka, a to w oczach części mieszkańców Invergó czyniło ją bardziej odrażającą niż ojciec.

W końcu zaczęły krążyć plotki, że dziewczynka stanowi dla wszystkich zagrożenie i po którejś wyjątkowo ciężkiej zimie wielu uwierzyło, iż córka trolla potrafi zamieniać się w morską mgiełkę i z łatwością przenikać przez szyby. Dzięki temu, twierdzili, zaczęła się karmić krwią mężczyzn i kobiet, którą wysysa im, gdy śpią. Niedługo

później ktoś okaleczył wymiona mlecznej krowy medalistki i chłopci musieli ją zabić, żeby skrócić jej cierpienia. Następnego dnia rada starszych Invergó wysłała do staruchy ostrzeżenie, że ich cierpliwość się wyczerpała, i odtąd mieszaniec ma być pod stałym nadzorem konstabli.

Starucha jednak już dawno przygotowała się na ten dzień. Wysoko w górach znalazła jaskinię i nauczyła córkę trolla zbierać grzyby, wybierać alkom jajka z gniazd i polować na kozice oraz inne dzikie stworzenia zamieszkujące szczyty i wąwozy na skraju lodowca. Dziewczynka była bardzo pojętna i nauczyła się wyrabiać buty i ubranie ze skór upolowanych zwierząt. Starucha przekazała jej także swoją wiedzę o ziołach i inne umiejętności niezbędne do przeżycia w tym posępny i niegościnnym miejscu.

Jednej nocy, gdy skończyła czternaście lat, wymknęła się z Invergó i zamieszkała w jaskini. Przez te lata tylko jeden mężczyzna okazał się tak nierozsądny, by jej poszukać. Znalaziono go przybitego własnym mieczem do kry lodowej, która wpłynęła do zatoki. Od tej pory mieszkańcy Invergó zostawili córkę trolla w spokoju i wkrótce stała się niemalże mityczną istotą, którą straszono niegrzeczne dzieci. Ona zaś zaczęła wierzyć i mieć nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała zejść do miasta.

Pewnego dnia jednak, kiedy obca imieniem Malmury zasnęła zamroczone trunkiem w ramionach szynkarki, starucha, jak wiele razy wcześniej, odwiedziła córkę trolla we śnie.

– Zabito twego ojca – powiedziała prosto z mostu. – Jego zbezczeszczone ciało rozkłada się na placu w środku miasta, gdzie wszyscy mogą się napawać tym widokiem i chwalić tego, kto go zabił.

Córka trolla, którą starucha nazwała Sæhildr na cześć oceanu, śniła

właśnie o podchodzeniu na łące losia i stada włochatych mamutów, ale głos wiedźmy spłoszył zwierzęta, które uciekły w tundrę.

Córka trolla obróciła się na plecy i spojrzała w bladą twarz staruchy.

– Czy powinnam się smucić z tego powodu? Czy powinnam wybuchnąć płaczem na wieść o jego śmierci? Jeśli tak, to muszę się przyznać, że ani nie odczuwam smutku, ani nie chce mi się płakać. Nigdy nie widziałam twarzy ojca, nawet na jawie. Nigdy nie powiedział do mnie ani jednego słowa, nigdy też mnie nie szukał. Byłam dla niego jedynie osobliwą konsekwencją jego braku rozwagi.

– Żyliście w innych światach – stwierdziła starucha, ale dziewczyna zwana Sæhildr znowu obróciła się na brzuch i żałośnie popatrzyła na miejsce, gdzie nie tak dawno temu pasły się łoś i mamut.

– To nie moja sprawa – westchnęła córka trolla i pomyślała, że czas się obudzić, bo wtedy starucha nie będzie mogła dłużej nawiedzać jej we śnie. Poza tym była głodna, bo już nic jej nie zostało z upolowanego poprzedniego dnia niedźwiedzia.

– Sæhildr – odezwała się znowu starucha. – Nie przyszłam wywołać u ciebie żalu, dobrze bowiem znam twój charakter. Przyszłam cię ostrzec, bo ten, kto zabił twojego ojca, może poszukać i ciebie.

Córka trolla zaśmiała się, odsłaniając zęby, którymi z łatwością miażdżyła kość, aby wyssać szpik. Zakrzywionymi szponami kciuka i palca wskazującego zerwała żółty kwiatek arktycznego maku i przytknęła go do nosa.

– Mateczko, znając mój charakter, powinnaś wiedzieć, że nie boję się żadnego mężczyzny – szepnęła i upuściła kwiatek na ziemię.

– Ten, kto zabił twego ojca, nie jest mężczyzną, ale kobietą, i to taką, jakiej nigdy nie widziałam – odparła starucha. – Jest wojowniczką ze szlchetnego rodu. Pochodzi z południa, z kraju za

górami. Przyszła odebrać nagrodę za głowę trolla. Sæhildr, ona jest silna i boję się o ciebie.

We śnie nad głową córki trolla płynęły niskie chmury koloru stali, napęczniałe od śniegu, a ona leżała na ukwieconej łące i myślała o ojcu, którego nigdy nie spotkała. Jej krótki ogon poruszał się z boku na bok jak u rozleniwionego, sytego kota. Zerwała następny kwiatek.

– Myślisz, że ta wojowniczką zacznie teraz polować na mnie? – zapytała staruchę.

– Myślę, Sæhildr, że ludzie z Invergó nie mają zamiaru dotrzymać umowy i wypłacić nagrody tej kobiecie. Myślę, że zamiast tego będą jej obiecywać jeszcze większe bogactwa, jeśli zapoluje na bękartą trolla i wyśle ich wroga na tamten świat. To chciwa, dumna kobieta i owszem, myślę, że zgodzi się na ciebie zapolować.

– To pozwól jej przyjść do mnie, mateczko – rzekła córka trolla. – Tu, w tych górach, mam niewiele rozrywek. Niech tu przyjdzie i stawi mi czoło.

Starucha westchnęła i jej postać zaczęła się rozwiewać na wietrze niczym piana rozpryskująca się przed falą.

– Ona nie jest głupia – rzekła starucha. – Samochwała, tak, kłamczyni, owszem, ale dzięki sile i sprytowi pokonała twego ojca. Nie chciałabym, żeby spotkał cię ten sam los, Sæhildr. Zastawi pułapkę...

– Och, znam się trochę na pułapkach – odparła córka trolla i sen się skończył. Otworzyła oczy i obudziła się w swojej lodowatej norze w środku góry. Niedaleko od jej wymoszczonego skórą posłania w lampie z kości morsa paliło się wielorybie sadło, rzucając drżące wysokie cienie na bazaltowe ściany. Córka trolla leżała nieruchomo wpatrzona w płomień i modliła się do wszystkich istot, które poprzedzały ludzkich bogów, żeby walka z zabójczynią ojca nie

skończyła się zbyt szybko.

\* \* \*

Jak się jednak okazało, starszyzna z Invergó miała zbyt dużo innych spraw na głowie, aby snuć plany pozbawienia Malmury należnej jej nagrody. Z każdą godziną makabryczne znalezisko zbieracza małży coraz szybciej gniło i decyzja, żeby pozostawić je na miejskim placu, uruchomiła ciąg wydarzeń, których skutki miały się okazać o wiele bardziej katastrofalne niż wszystko, co zrobił żywy troll. Malmury zaś, całkowicie pochłonięta libacjami i rozkoszami, których dostarczała jej szynkarka Dóta, w ogóle zapomniała o swojej nagrodzie. Tak więc choć wiedźma mieszkająca na skraju moczarów niewątpliwie była mądra i przewidująca, na razie nie miała powodów, żeby się obawiać o życie Sæhildir.

Ubity troll, z takim triumfem przywleczony z moczarów, na słońcu zaczął puchnąć, gdy rozkładające się wnętrzności wypełniły jego brzuch gazem. Tymczasem do stad mew i kruków dołączyły wrony rybożerne oraz gawie trójpalczaste i cała ta krążąca, nurkująca i skrzecząca chmara przepłoszyła w końcu dwóch strażników, którzy mieli chronić trupa przed padlinożercami. Także koty i psy, które przez całą noc czaiły się na obrzeżach placu, skorzystały na tym, że nikt już nie odpędza ich kijami, i ośmielone przyłączyły się do uczyty (choć koty wydawały się bardziej zainteresowane polowaniem na nieostrożne ptaki niż gnijącymi zwłokami). Niedługo potem nadciągnęły roje kęsających much, stada mrówek i żarłoczne chrząszcze wielkości kciuka dorosłego człowieka. Od plaży przypełzły kraby i inne mniej apetyczne stworzenia. Władze nakazały mieszkańcom Invergó, żeby schowali się w domach, zamknęli szczelnie drzwi i okna i nie



wychodzili do czasu opanowania tego pandemonium.

Rozważano, czy nie zaciągnąć zwłok trolla z powrotem na słone moczary, ale szybko odrzucono ten pomysł, uznawszy go za nierealny i niebezpieczny. Nawet gdyby jakaś grupa mężczyzn uzbrojona w liny, haki, bloki i wyciągi zgodziła się ponieść nosze lub pociągnąć wóz i udałoby się jej przedrzeć przez kłębiące się zgłodniałe stada ptaków, psów, kotów, owadów i skorupiaków, nie było gwarancji, że przegniły trup nie rozpadnie się w drodze. W końcu propozycja, żeby pociąć go na części, uwalniając przy okazji całe paskudztwo, jakie się w nim nagromadziło, skłoniła radę starszych do zastanowienia się nad innymi sposobami pozbycia się z wioski gnijącego truchła i związanego z tym chaosu. Na domiar złego torfowa tama pospiesznie wzniesiona wokół ciała nagle pękła w środku dnia i cała ta oleista ciecz, która się za nią zebrała, wypłynęła na zewnątrz. Pojawiła się groźba zarazy i władze dodatkowo zaleciły mieszkańcom, żeby nie pili wody ze studni, która zapewne została skażona. Podobnie mogło się stać z wodą w zatoce, dlatego zamknięto rynek rybny i zabroniono wyładować z łodzi i kutrów ostatni połów.

I kiedy starszyzna myślała, że gorzej już być nie może, przybył pomocnik alchemika z plikiem kartek zapisanych równaniami i wnioskami z analizy próbek pobranych z ciała zabitego trolla. Starsi obejrzeliby notatki alchemika, ale przez dłuższą chwilę milczeli, żaden z nich nie chciał się bowiem pierwszy przyznać, że nic z tego nie rozumie. W końcu pomocnik alchemika odchrząknął, skupiając na sobie ich wzrok.

– To naprawdę proste – powiedział chłopiec. – Jest tu pokazane, że osobliwe ciecze występujące w ciele trolla przechodzą określoną przemianę w procesie rozkładu.

Starsi zdawali się nie mniej skonfundowani jego słowami niż pajęczymi zapiskami, które trzymali przed sobą.

– Mówiąc prościej – ciągnął chłopiec – krew stwora robi się niestabilna, łatwopalna, co zważywszy na duże stężenie, w jakim obecnie się znajduje, może doprowadzić do jej wybuchu.

Wszyscy członkowie rady starszych z Invergó równocześnie zbledli. Jeden z nich wstał i rozkazał chłopcu natychmiast sprowadzić swojego mistrza, ale pomocnik usłużnie poinformował go, że alchemik już zdążył opuścić wioskę. Zapakował rzeczy na muła i krętą wąską ścieżką prowadzącą przez moczary pojechał na pustkowie rozciągające się na zachodzie. Mistrz ma nadzieję, powiedział im pomocnik, zaobserwować i opisać dla potomności wielki pożar, jaki niechybnie się rozpęta, ale woli to zrobić z bezpiecznej odległości.

Rada starszych natychmiast poleciła zgasić w całym Invergó wszystkie ogniska, paleniska, piece, świece i lampy. Nawet tłące się hubki lub fajki uznała za ogromne zagrożenie dla życia i dobytku ludzi. Niestety, konstable, którzy mieli dopilnować wykonania polecenia, w większości uciekli na moczary, w góry lub na drugi brzeg mleczno-niebiesko-zielonej zatoki, gdzie spodziewali się znaleźć schronienie przed ogniem. Miejscy obwoływacze wcale nie krzyczeli: „Wygaście ogień!” czy: „Zasypcie gorący popiół!”, ale: „Ratuj się, kto może, zwłoki trolla zaraz wybuchną!”.

W małym pokoiku nad gospodą Pod Zdechłym Dorszem Malmury i Dóta drzemały razem w łóżku, ale obudził je hałas, który czynili ucztujący padlinożercy i spanikowani mieszkańcy miasta. Malmury zakląła i zaczęła macać po podłodze w poszukiwaniu dzbana z jabłkową brandy, który Dóta podkrađła ze spiżarni. Szynkarka leżała, nasłuchując wrzawy dobiegającej z dworu, a ponieważ była trzeźwa,

domyśliła się, że stało się coś strasznego i może im grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Malmury pociągnęła długi łyk brandy z dzbana, który podała jej Dóta, i zezując, spojrzała na szynkarkę.

– Oni nie mają zamiaru ci zapłacić – stwierdziła Dóta, zapinając bluzkę. – Od początku to wiedzieliśmy. Każdy, kto mieszka w Invergó, o tym wiedział.

Malmury zamrugła i przetarła oczy, nie do końca rozumiejąc, co się do niej mówi. Pociągnęła z dzbana jeszcze jeden łyk brandy w nadziei, że mocny trunek poprawi jej słuch.

– Zrobiliśmy coś strasznego – przyznała Dóta. – Teraz to wiem. Jesteś taka odważna i tyle ryzykowałeś, a...

– Wyrwę im te pieniądze z gardła – wymamrotała Malmury.

– To mogłoby się nawet udać – powiedziała miękko Dóta, kiwając głową – tylko że oni ich nie mają. To znaczy starszyzna. Wszystkie kufry w Invergó nie zawierają nawet ćwierci tego, co obiecali.

Na zewnątrz rozległ się straszny huk i zaraz po nim kobiecy krzyk.

– Malmury, posłuchaj mnie. Zostań tu i dopij brandy. Niebawem wrócę.

– Wyrwę im te pieniądze z gardła – powtórzyła Malmury, ale z nieco mniejszym przekonaniem.

– Tak – zgodziła się Dóta. – Jestem pewna, że to zrobisz. Ale teraz poczekaj tutaj. Wrócę najszybciej, jak zdołam.

– Sukinsyny. – Malmury uśmiechnęła się szyderczo. – Sukinsyny i niewdzięcznicy.

– Dokończ brandy – rzekła Dóta, wskazując na dzban, który Malmury trzymała w dłoniach. – To doskonały trunek i bardzo drogi. Wprawdzie nie jest to złoto, ale... – Urwała, widząc, że Malmury

znowu straciła przytomność.

Dóta ubrała się i zbiegła na dół, zostawiwszy pochrapującą obcą, która już nie była taka obca, nagą i samą w łóżku.

Na ulicy przed gospodą szynkarka trafiła w sam środek pandemonium. Smród gnijącego trolla, ledwie wyczuwalny w gospodzie, na zewnątrz był nie do wytrzymania i szynkarka musiała zatkać nos, żeby nie zwymiotować. Mężczyźni, kobiety i dzieci biegali wte i wewte objuczeni workami z kosztownościami lub żywnością, niektórzy jechali konno, a inni próbowali przepędzić stada świń lub owiec przez tłum. Całą tę wrzawę zagłuszały jednak krzyki ptaków, szczekanie psów i miauczenie kotów walczących o kąski z trupa. Od strony doków dochodziło bicie wielkiego dzwonu, którego używano tylko w razie najgorszych katastrof. Dóta, przypomniawszy sobie ostrzeżenia staruchy, cofnęła się pod ścianę gospody, spodziewając się lada moment ujrzeć nad dachami jedną z tych tytanicznych istot, które poprzedzały obecnych bogów, kroczącą w jej stronę przez miasto.

Wtedy właśnie druciarz, który często spędzał wieczory w gospodzie i przepijał w niej oszczędności, zatrzymał się przed nią i złapał ją za ramiona, zaglądając jej w oczy.

– Musisz uciekać! – krzyknął błagalnie. – Musisz natychmiast stąd się wynosić!

– Ale dlaczego? – odparła Dóta, starając się opanować strach i zachować tak, jak jej zdaniem zachowałyby się Malmury. – Co się stało?

– On płonie! – zawołał druciarz i nim zdążyła zapytać, kto płonie, mężczyzna puścił ją i pobiegł dalej, znikając w tłumie. Wtedy jednak, jakby w odpowiedzi na jej pytanie, rozległ się stłumiony trzask, a potem grzmot, który wstrząsnął ulicą. W okolicach stajni w górę

wystrzelił słup czarnego dymu i pomarańczowo–czerwonego popiołu. Na ten widok Dóta czmychnęła z powrotem do gospody.

Nastąpił kolejny wybuch, potem jeszcze jeden i kiedy szynkarka dotarła wreszcie do pokoiku na piętrze, z sufitu sypał się pył i niepokojąco trzeszczały krokwie. Malmury wciąż spała nieświadoma kataklizmu, jaki nawiedził Invergó. Szynkarka złapała służącą za narzutę skórę niedźwiedzią i okryła nią ramiona Malmury, a następnie tak długo biła ją po twarzy, aż pijana otworzyła oczy.

– Przestań – warknęła, patrząc na nią spode łba. Wyglądała przy tym bardziej jak obrażona dziewczynka niż wojowniczką, która zanurkowała na dno zatoki i zabiła morskiego trolla.

– Musimy iść! – zawołała Dóta, starając się przekrzyczeć ogłuszający hałas. – Tu już nie jest bezpiecznie, Malmury! Musimy się wydostać z Invergó!

– Przecież zabiłam tego nieszczęśnika – wybełkotała Malmury, opatulając się szczelniej niedźwiedzią skórą. – Czyżbyście znaleźli jeszcze jednego?

– Tak naprawdę – odrzekła Dóta – to nie wiem, co to za nowe diabelstwo, ale na pewno nie możemy tu zostać. Wybuchł pożar i słychać wybuchy, jak podczas morskiej kanonady.

– Obudziłaś mnie – poskarżyła się Malmury. – A śnił mi się...

Szynkarka znów uderzyła ją w twarz, mocniej niż poprzednio, i tym razem Malmury złapała ją za nadgarstki, piorunując wzrokiem.

– Mówiłam, żebyś tego nie robiła.

– A ja ci mówiłam, żebyś ruszyła swoje tłuste dupsko.

Rozległ się następny wybuch, tym razem bardzo blisko, i obie kobiety poczuły, że pod nimi przesuwają się i wykrzywają podłoga.

Malmury skinęła głową. Wreszcie do jej zamroczonego brandy i

winem umysłu dotarło, że coś się dzieje.

– Mój koń jest w stajni – powiedziała. – Muszę po niego pójść. To prezent od ojca.

Dóta pokręciła głową, pomagając Malmury wstać na nogi.

– Przykro mi – odparła. – Za późno. Stajnie już płoną.

Żadna nie powiedziała już ani słowa. Szynkarka pomogła obcej zejść po chwiejących się schodach, a potem wyprowadziła z gospody i płonącego miasta.

\* \* \*

Ze skalnej grani wysoko nad Invergó córka morskiego trolla przyglądała się płonącemu miastu. Nawet z tej odległości i wysokości czuło się drzenie ziemi przy każdym wybuchu. Z osypiska odrywały się głązy skalne i staczały po stromym zboczu. Niebo było czarne od sadzy, a poniżej podstawy chmur wszystko jarzyło się w świetle piekielnych płomieni.

Córka trolla obserwowała również tych, którym udało się uciec z pożaru. Większość umykała na zachód, przez moczary, ale niektórzy weszli na pokłady kutrów, do łodzi i szalup i wypłynęli na zatokę. Widziała, jak jedna z łodzi przechyliła się na sterburtę i wywróciła do góry kilem. Zdziwiło ją, że aż tylu rozbitkom, którzy wpadli do lodowatej wody, udało się dopłynąć do drugiego brzegu. Ze wszystkich uciekinierów tylko dwóch skierowało się na południe, w stronę wzgórz, wybierając drogę przez zdradziecką przełęcz prowadzącą na lodowiec i otaczające go bazaltowe skały. Córka trolla oglądała ich ucieczkę ze szczególną fascynacją. Jeden z uciekinierów wyglądał na nieprzytomnego i zwisał bezwładnie z grzbietu muła. Drugim uciekinierem była kobieta o włosach koloru słońca, która poganiała

muła, mocno ciągnąc go za uzdę. Przy każdym wybuchu zwierzę cofało się, ryczało i próbowało wyrwać. Raz czy dwa o mało nie spadło w przepaść, pociągając wszystkich za sobą. Gdy dotarli do szerokiej półki, na której przycupnęła Sæhildr, słońce chyliło się ku zachodowi, a w Invergó ogień trawił ostatnie domostwa.

Słonecznowłosa dziewczyna przywiązała muła do głazu i przysiadła na rumowisku. Cała drżała – widać było, że nie miała czasu ubrać się odpowiednio do chłodu górskiego powietrza. Ściągnięta była ciężkim paskiem, do którego przypięła pochwę z puginałem. Córka morskiego trolla przyjrzała się bronni, po czym przeniosła wzrok na muła i jego brzemię. Dopiero teraz zauważyła, że człowiek zwisający z grzbietu zwierzęcia także jest kobietą – nieprzytomną i okrytą zżartą przez mole niedźwiedzią skórą. Jej długie włosy zwiślały niemal do ziemi.

Nie wychodząc ze swojej kryjówki na piargu, Sæhildr zapytała:

– Czy twoja towarzyszka nie żyje?

Słonecznowłosa dziewczyna odpowiedziała, nie podnosząc głowy:

– A po co miałabym targać taki szmat drogi pod górę martwą kobietę?

– Może dlatego, że jest ci droga – odparła córka trolla. – Może nie chciałaś patrzeć, jak jej zwłoki zamieniają się w popiół jak inne.

– No cóż, to nie są zwłoki – stwierdziła dziewczyna. – W każdym razie jeszcze nie.

Jakby na potwierdzenie jej słów ciało zwisające z muła głośno pierdnęło i wybełkotało coś niezrozumiale.

– To twoja siostra? – spytała córka trolla, a kiedy słonecznowłosa dziewczyna zaprzeczyła, dodała: – Wygląda o wiele za młodo, żeby być twoją matką.

– Ona nie jest moją matką. To moja... przyjaciółka. Więcej, to

bohaterka.

Córka morskiego trolla oblizła usta i ponownie spojrzała na gorejące piekło nad zatoką.

– Bohaterka – szepnęła tak cicho, że niemal niedosłyszalnie.

– Od tego wszystko się zaczęło – powiedziała słonecznowłosa dziewczyna, tak mocno szczękając zębami, że miała kłopot z mówieniem. – Przyszła z krainy leżącej za górami i w pojedynkę zabiła demona, który prześladował miasto. Ale...

– ...potem wybuchł pożar – dokończyła Sæhildr i wstała, pokazując się dziewczynie. – Pożar mojego ojca. Gniew Dawnych Bogów, rozpętany przez broń, którą nosisz u boku.

Dziewczyna spanikowana popatrzyła na córkę trolla, w jej oczach zdziwienie mieszało się ze strachem i zakłopotaniem. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć lub krzyknąć, ale nie wydała żadnego dźwięku. Jej dłoń powędrowała do rękojeści puginału.

– To, moja damo, byłby bardzo zły pomysł – ostrzegła ją cicho Sæhildr. Wyższa o głowę od najwyższego z mężczyzn, córka trolla popatrzyła z góry na drżącą dziewczynę, a jej skóra osobliwie jaśniała w półmroku. – Dlaczego myślisz, że chcę cię skrzywdzić?

– Przecież jesteś – wyjąkała dziewczyna – szczeniakiem trolla. Słyszałam opowieści. Stara czarownica to twoja matka.

Sæhildr wydała okropny dźwięk, który po części miał być śmiechem.

– Tak opowiada się dziś tę historię? Że Gunna to niby moja matka?

Słonecznowłosa dziewczyna kiwnęła głową i popatrzyła na skały.

– Moja matka nie żyje – powiedziała córka trolla, przysuwając się bliżej, co spowodowało, że muł zaczął ryczeć i szarpać lejce. – A teraz zdaje się dołączył do niej mój ojciec.



– Nie pozwolę ci jej skrzywdzić – oświadczyła dziewczyna, ryzykując przelotne spojrzenie na Sæhildr. Córka trolla znowu się roześmiała i schyliła głowę, co niemal wyglądało, jakby się kłaniała. Odległy błysk ognia odbił się od niewielkich zakrzywionych rogów po obu stronach jej głowy, właściwie guzków w większości zakrytych przez gęste włosy, i oświetlił łuski, którymi upstrzone były jej policzki i czoło.

– Chciałaś powiedzieć, że spróbujesz mi w tym przeszkodzić.

– Tak – odparła słonecznowłosa i spojrzała nerwowo na muła i jego nieprzytomny bagaż.

– A skąd wiesz, że chcę ją skrzywdzić?

– A nie chcesz? – zdziwiła się dziewczyna. – Nie chcesz się zemścić za śmierć ojca?

Sæhildr ponownie oblizwała usta, a następnie ominęła siedzącą kobietę i stanęła obok muła. Zwierzę przewróciło oczami, przeraźliwie zarżało i wierzgnęło, niemal zrzucając swój ładunek. Gdy jednak córka trolla położyła mu dłoń na zadzie, natychmiast się uspokoiło. Sæhildr, pochyliwszy się, złapała nieprzytomną kobietę za podbródek i podniosła jej głowę, aby spojrzeć w twarz zabójczyni brutala, który zgwałcił jej matkę i uczynił z jej córki samotne, nieszczęśliwe stworzenie.

– Ona jest pijana – zauważyła Sæhildr, pociągając nosem.

– Bardzo – odparła słonecznowłosa dziewczyna.

– Pijaczka zabiła trolla?

– Wtedy była trzeźwa, jak sędzę.

Sæhildr prychnęła i rzekła:

– Wiedz, że z moim ojcem nie łączyło mnie nic oprócz więzów krwi. Po co więc miałabym się mścić na jego zabójcy? Choć przyznam, że miałam nadzieję, iż przyniesie mi to jakąś rozrywkę. Ale w jej stanie

nawet to wydaje się wątpliwe. – Puściła podbródek dziewczyny i bezwładna głowa uderzyła mocno o zebra muła. Ponownie się wyprostowała. – Nie, nie musisz się obawiać o życie swojej kochanki. Nie dziś. Poza tym czy kompletna zagłada twojego miasta nie jest dostatecznym odwetem?

Słonecznowłosa dziewczyna zamrugła i odrzekła:

– Czemu sądzisz, że jest moją kochanką?

– Cuchnie od niej nie tylko alkoholem – odparła córka morskiego trolla. – Jeśli powiesz, że to nieprawda, moja damo, to mogę się jeszcze rozgniewać.

Dziewczyna z przekłętego Invergó nic nie powiedziała, jedynie westchnęła wciąż wpatrzona w żwir pod nogami.

– Ta kobieta jest właściwie naga – rzekła Sæhildir – a ty nie jesteś dużo cieplej od niej ubrana. Do rana obie zamarzniecie na śmierć.

– Nie było czasu włożyć czegoś odpowiedniego – tłumaczyła się dziewczyna. Wiatr zmienił kierunek i dobiegł je smród płonącego miasta.

– Niedaleko stąd przy tej drodze znajdziecie małą jaskinię – powiedziała córka trolla. – Przyniosę wam trochę futer i jedzenia ze swoich zapasów. To da wam cień szansy na przejście przez góry.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Dóta, zmęczona i bliska łez, a kiedy nie usłyszała odpowiedzi, podniosła wzrok i stwierdziła, że oprócz muła i Malmury na półce skalnej nie ma nikogo. Nie usłyszała, żeby córka trolla odchodziła, a więc może to prawda, co o niej opowiadają, że potrafi się zamienić w mgłę i odpłynąć, jeśli ma ochotę. Dóta siedziała jeszcze przez chwilę, patrząc na szalejący w dole ogień. Potem wstała, złapała muła za uzdę i ruszyła na poszukiwanie schronienia, o którym wspomniała córka trolla. Ani przez chwilę nie pomyślała o

mieszkańcach Invergó, o swojej rodzinie czy o miłym staruszką, właścicielu gospody Pod Zdechłym Dorszem, który zabrał ją z ulicy, kiedy była jeszcze dzieckiem. Wszyscy należeli do przeszłości, a przeszłość nie pomoże przeżyć ani jej, ani Malmury.

Dwa razy zgubiła drogę między głazami i gdy znalazła wreszcie jaskinię, zaczął sypać gęsty śnieg. Wielkie mokre płatki, wirując, wypadały z ciemności. Wewnątrz jaskini, z dala od wyjącego wiatru, było nawet ciepło i, co więcej, Dóta znalazła tu zawiniątko zawierające wilcze, niedźwiedzie, focze i mamucie skóry. Niektóre były zszyte razem w solidne ubrania. Było tam jeszcze solone mięso i kilka ziemniaków, a na niewielkim ogniu piekł się i skwierczał świeży królik. Nigdy więcej Dóta nie zobaczyła córki morskiego trolla, ale w następnych długich dniach, kiedy wraz z obcą imieniem Malmury przedzierały się wśród śnieżyc i zamieci przez lodowe pola, często czuła obok siebie czyjąś obecność. Ktoś jakby ich pilnował. A może tylko obserwował.

**Bill Willingham** urodził się w Fort Belvoir w Wirginii. Kariere zawodową rozpoczął od pracy grafika dla wydawnictwa TSR, Inc. Współilustrował wiele gier fabularnych, między innymi Advanced Dungeons & Dragons i Gamma World. W latach osiemdziesiątych zwrócił na siebie uwagę jako autor i rysownik komiksów z serii Elementals (wydanych przez Comico) oraz autor komiksu Green Lantern. W 2002 roku Willingham związał się z wydawnictwem Vertigo, dla którego stworzył bardzo popularny cykl komiksowy Baśnie – o postaciach z ludowych podań żyjących na współczesnym Manhattanie. Do dziś Baśnie czternastokrotnie zdobyły prestiżową Nagrodę Eisnera. Komiks Jack of Fables, stworzony wspólnie z Matthew Sturgesem, zajął piąte miejsce na liście dziesięciu najlepszych powieści rysunkowych 2007 roku sporządzonej przez „Time”. W 2009 roku kolejną ze swoich Baśni – Peter & Max – pierwszy raz wydał w formie powieści. W tym samym roku jego komiks z tego cyklu, Fables: War and Pieces, został nominowany do nagrody Hugo po raz pierwszy przyznawanej w kategorii najlepsze opowiadanie rysunkowe. Ten jeden z najpopularniejszych twórców komiksów naszych czasów mieszka obecnie w Mantorville w lasach Minnesoty.

**Bill Willingham**

**ZUCHWALI ZŁODZIEJE**

*Septavian zostało jeszcze 24 lub 25 i wciąż szukają przygód w kompanii Braci Frogbardingów. Przeważnie zarabiają jako najemnicy w rozdrobnionych północnych królestwach, a od czasu do czasu ruszają na południe, aby wydać żold i zbyć łupy w wielkich i bogatych miastach na wybrzeżu. Choć w tej historii nazwa miasta nie pada, przypuszcza się, że chodzi o Vess, które w innych opowieściach jest opisywane jako ośrodek czarnej magii i miejsce, gdzie znajduje się zimowy pałac czarnoksiężnika Ulmore'a.*

Walter Marsh *Życie i przygody Septavian. Przybliżony zarys*

Jonar Frogbarding, rudobrody olbrzym z północy, leżał martwy z odciętą głową na górnym podejściu. Zabił go jeden z lotnych strażników Ulmore'a, czyli jego niesławnych Golemowych Gilotyniarzy. Obok mnie spoczywał jego jasnowłosy brat Tywar i wykrwawiał się na moich oczach. Nic nie mogłem zrobić, żeby mu pomóc. Odniósł zbyt wiele ran, a wszystkie były śmiertelne. Patrzyłem na szybko powiększającą się czerwoną kałużę krwi ciekącej z pokiereszowanych szczątków, która pokrywała budzącą grozę farbą kunsztowną mozaikę z ręcznie ciętych różnokolorowych płytek marmurowych przedstawiającą fantastycznego morskiego potwora atakującego statek. Może nie takiego fantastycznego, poprawiłem się, biorąc pod uwagę wszystkie niemożliwości, które nas dzisiaj spotkały. Miecz, który zabił Tywara, leżał na podłodze obok ciała, wreszcie pozbawiony siły żywotnej, dzięki której zyskał pewną niezależność.

Odkąd przed godziną we czterech zrobiliśmy wyłom w murze otaczającym posiadłość, nigdzie nie widziałem Roego Zelazara, czarnowłosego i czarnookiego Lemuryjczyka. Czterech odważnych

złodziejasków, którzy po pijanemu postanowili dla żartu obrabować pusty zimowy pałac Ulmore'a, legendarnego Ostatniego Czarnoksiężnika z Atlanteanu, i zyskać dzięki temu sławę, w każdym razie w niektórych podziemnych kręgach. Kiedy doszliśmy do pierwszego wewnętrznego dziedzińca, Roe w podnieceniu mruknął coś niezrozumiale i pobiegł w przeciwnym kierunku, zostawiając nas samych.

– Chyba coś usłyszał – szepnął Jonar – i poszedł sprawdzić.

– Nie mam zamiaru stać tutaj na otwartej przestrzeni i czekać na niego – odparłem.

– Ja też nie – rzekł Tywar.

Postanowiliśmy kontynuować bez niego, we trzech. Minęliśmy budynki gospodarcze i przez trawnik naszpikowany wilczymi dołami i innymi podobnymi atrakcjami przeszliśmy do głównego budynku, który w istocie okazał się fortecą udającą pałac. W środku trafiliśmy na prawdziwe zabezpieczenia, wytwory czarnych mocy, które ruszyły w ślad za nami, niepokoiły i nękały nas w każdej komnacie, aż stopniowo pokonały nasz opór, każąc nam drogo zapłacić za każdy krok. I tak zostałem sam i patrzyłem na braci, moich przyjaciół i kompanów, zamienionych w kupę kości.

Wtedy zapomniałem o kradzieży. Myślałem tylko o tym, żeby znaleźć Roego i wydostać się z tego morderczego domu. Tak naprawdę to niezbyt dobrze znałem Lemuryjczyka, który dołączył do nas po długiej nocnej popijawie. Nie był wypróbowanym przyjacielem, ale zdecydował się ruszyć z nami na tę wariacką wyprawę, a ja nie zostawiam towarzyszy na pastwę losu, jeśli mogę im pomóc.

Powrót na górny podest, z którego tu weszliśmy, był wykluczony. Tę potencjalną drogę ucieczki odcięły uzbrojone w miecze golemy, które

zdażyły nadciągnąć w dużej sile i zablokować obie klatki schodowe. Golemy były szybkie, niezmordowane i praktycznie niezniszczalne. Wystarczył jeden, by poradzić sobie z Jonarem. I choć byłem od niego szybszy i stanowiłem o wiele mniejszy cel, nie miałem złudzeń, że zdołam przemknąć obok kilkudziesięciu takich przeciwników, którzy teraz czaili się na górze. Przynajmniej nie ruszali się stamtąd. Pewnie mieli przydzielony obszar działania.

W dużej komnacie, w której się znajdowałem, było sześcioro drzwi i kręcone schody prowadzące na dół. Dochodził stamtąd dudniący warkot i kaszel, jakby czaił się tam jakiś wielki nieziemski stwór.

Czekanie też jednak nie wyglądało na dobry pomysł. W komnacie stały metalowe posągi przedstawiające uzbrojonych po zęby wojowników. Wszystkie oprócz jednego miały miecze, włócznie, topory i inną broń. Miecz, którego brakowało jednemu z posągów, ożył na wystarczająco długą chwilę, żeby rozplatać Tywerowi brzuch. Trudno było zakładać, że reszta broni pozostanie nieożywiona.

Które drzwi wybrać? Komnata, w której byłem, znajdowała się przypuszczalnie w centralnej części budynku. Każde drzwi mogły równie dobrze prowadzić na zewnątrz, jak i kończyć się ślepo.

Kiedy wciąż rozważałem możliwości, szukając jakiegokolwiek wskazówki, która pomogłaby mi dokonać wyboru, jedne z drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł Roe Zelazar. Pewnie nie powinienem był, ale się zdziwiłem.

– Możesz odejść, Septavianinie – powiedział. – Nie chcę cię skrzywdzić ani przysporzyć ci kolejnych uderzeń. Chodziło mi tylko o tych dwóch bandytów. – Gestem objął większość pomieszczenia i oba ciała. Zamiast zgrzebnej brązowej tuniki i rajtuzów, w których wyruszył na nocną akcję, miał na sobie czarno-szare szaty z

delikatnego płótna. Najwyraźniej znalazł też czas, żeby się wykapać i wyperfumować, podczas gdy nas ścigano i zabijano.

– Jesteś czarnoksiężnikiem Ulmore'em? – zapytałem.

– Skądże znowu. Tylko jednym z jego uczniów, co prawda jednym z najlepszych, do którego obowiązków należy pilnowanie zimowej rezydencji Ulmore'a pod jego nieobecność. – Roe zbliżył się do mnie, ale wciąż był poza zasięgiem mojego miecza. Tak pewnie sądził. Błąd.

– O ile pamiętam, to był twój pomysł, żeby obrabować pałac Ulmore'a – zauważyłem. Kiedy dołączył do nas Lemuryjczyk, byliśmy już nieźle pijani i hałaśliwie się przechwalaliśmy, kto z nas dokona bardziej zuchwałej kradzieży.

– Przecież już postanowiliście, że gdzieś się włamiecie, ja tylko podsunąłem wam obiekt. W końcu to mój przybrany dom, a ja mam silne poczucie obywatelskiego obowiązku.

– Polegające na zwabianiu nieostrożnych ludzi do tej śmiertelnej pułapki, czy tak?

– Nie, na rozpoznawaniu bydlaków i pasożytów, którzy wkradają się do naszej społeczności, i likwidowaniu ich, zanim wyrządzą prawdziwe szkody.

– Dobry czarodziej, co? Sługa swojego miasta i kraju? – Wcale się z niego nie natrząsałem, no, może trochę.

– Właśnie. Czary są fundamentem, na którym opiera się cywilizacja. Tworzymy dobra i wygodę, których nie można uzyskać zwykłymi środkami. Lepsze jedzenie. Dłuższe życie. Nie wszyscy zadowolają się skromną egzystencją, jaką wieciecie w swoich dzikich krajach, nie wszyscy chcą być łupem dla każdego, kto jest lepiej uzbrojony lub bardziej bestialsko narzuca swoją wolę. Sztuka jest najwyższym osiągnięciem życia spędzonego na studiach i nauce. Udaje



się to tylko ludziom wytwornym i wykształconym. Porównaj to z brutalną egzystencją tych twoich kumpli z północy i zadaj sobie pytanie, które życie jest lepsze.

– Nie wszyscy z nas są niewykształceni.

– To jeden z powodów, że w odróżnieniu od pozostałych okazałem ci łaskę. Postąpiłem tak również z czysto praktycznych względów. Jeśli nazwa Septavianie nie jest bardziej powszechna, niż mi się wydaje, to musisz być Septavianinem z Wodnego Zamku. Jeśli to prawda, a sądząc z twojego wyglądu i dziwnej broni, wszystko na to wskazuje, to nie chcę się narażać na gniew twojego tajnego żołnierskiego bractwa. Ma ono paskudną reputację, ściga bowiem i uśmierca każdego, kto zabił jego członka, nawet czarnoksiężników jak my biegłych w czarnej sztuce.

– Już nie jestem członkiem tego stowarzyszenia. Musiałem je opuścić w niezbyt chwalebnych okolicznościach. Sądzę, że jeśli mnie zabijesz, to jeśli w ogóle zaczną cię szukać, to tylko po to, żeby ci podziękować. – Zawsze wyprowadzałem z błędu tych, którzy myśleli, że wciąż należę do Bractwa Wodnego Zamku. Zawsze. Bractwo zacieklej ściga tych, którzy udają, że do niego należą, niż zabójców swoich członków.

– Dziwny moment sobie wybrałeś na szczerość – powiedział Roe. Zaczął krążyć po komnacie, trzymając się poza zasięgiem mojego miecza i uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę krwi, która stawała się coraz bardziej lepka. Jego pantofle szeleściły na mozaice. Starał się nie spuszczać ze mnie czujnego wzroku. Może zależało mu na tym, żebyśmy zostali przyjaciółmi, na razie jednak się na to nie zanosilo.

– To bez znaczenia – odezwałem się. – I tak nie mogę przyjąć twojej oferty. Tywar i Jonar byli moimi przyjaciółmi i moim obowiązkiem jest

ich pomścić.

– To były bandziory. Wykwintni ludzie nie mają zobowiązań wobec takich zwierząt.

– A jednak.

– Nie masz szans. Nie ujdiesz stąd cało. Skonstruowałem wiele wspaniałych pułapek – subtelnych i zabójczych. Moich Golemowych Gilotyniarzy już miałeś okazję spotkać. Oni są tu po to, żeby nawet mysz się nie wymknęła.

– Myślałem, że stworzył ich Ulmore.

– Nic podobnego. Mój pan ma wielką moc, ale brak mu wyrafinowania. Posługuje się swoją mocą w tradycyjny sposób, jak nie nastrojonym instrumentem. Jednym z jego stworzeń jest ta bestia wyjąca na dole, którą wezwał z piekieł, dokąd strącono dawnych bogów. Reszta zabezpieczeń jest moim dziełem. Stale je poprawiam i udoskonalam. To kolejny powód, dla którego podsunąłem twoim kumplom pomysł, żeby tu się włamali. Moje dzieła muszą być stale w użyciu.

– Czyli to nie była tylko bezinteresowna chęć przysłużenia się swojemu przybranemu miastu.

– Możesz spróbować wyjść przez dowolne drzwi. Każde z nich w końcu wyprowadzi cię na wolność. Wpierw jednak musisz przedrzeć się przez moją rękawicę, przeżyć atak moich metalowych psów, stawić czoło Niebezpiecznemu Cieniowi, a potem jeszcze wonnej komnacie, czarnej łamigłównicy i... cóż, napisałem wiele eleganckich morderczych opowieści, z których każda jest wariacją wokół głównego tematu.

– Powiesz mi, które drzwi prowadzą do których pułapek?

– Każde do wszystkich. Wybór drzwi zmienia jedynie kolejność, w jakiej się z nimi zetkniesz.

– To jak chcesz mnie stąd wyprowadzić żywego?

– Towarzysząc ci. W mojej obecności się nie uaktywnią.

– Zatem muszę cię zabrać ze sobą, prawda? – W naszym świecie w walce na miecze chodzi zazwyczaj o to, żeby się zbliżyć do przeciwnika i ciąć go krawędzią ciężkiej klingi. Roe wciąż trzymał się na odległość zabezpieczającą go przed takim starciem. Ale w Wodnym Zamku nauczyliśmy się innej walki na miecze, udoskonaloną bronią. Jednym ruchem wyciągnąłem z pochwy długą, cienką i elastyczną wodną klingę i w gwałtownym wypadzie, który niemal podwoił skuteczną długość miecza, wykonałem pchnięcie. Roe zupełnie się tego nie spodziewał. Miecz wbił się w ciało tak głęboko, że kilka cali ostrza wyszło po drugiej stronie.

Przez sekundę Roe stał i z lekko zdziwionym wyrazem twarzy patrzył w dół na miecz wbity w swoje ciało. Po czym osunął się na posadzkę.

Oparłem stopę na jego brzuchu i wyciągnąłem klingę. Przed schowaniem do pochwy wytarłem ją w jego szatę. Gdy obie ręce znów miałem wolne, podniosłem jego ciało i zarzuciłem je sobie na ramię.

– Mam nadzieję, że nawet twoje martwe towarzystwo nadal będzie mnie chroniło.

Wybrałem na chybił trafił jedne drzwi i skierowałem się ku nim. Zdołałem jednak zrobić tylko kilka kroków, kiedy poczułem, że ciało Roego wyslizguje się z mojego uścisku. Stawało się coraz lżejsze i rozsypywało. Zrzuciłem je na posadzkę i patrzyłem, jak na moich oczach zamienia się w proch. Potem proch zamienił się w lekko świecące igielki, które po chwili całkowicie zniknęły. W komnacie rozległ się śmiech.

– Wycofuję ofertę. Nie wypuszczę cię. – Głos dobiegał znikąd i

zawszad. Bez watpienia gos Roego. – Sam musisz sie stad wydostac. Watpie, bys tego dokona. Nikomu dotad sie to nie udao. ycze ci jednak powodzenia. O dziwo polubiem cie, mimo e znalesmy sie tak krotko, i cieszylbym sie, gdybysmy kiedys mogli powrocic do tej rozmowy.

Nie odezwaem sie. Wygladao na to, e wszystko juz zostao powiedziane. Skoro wybraem drzwi, postanowiem isc dalej ta droga. Otworzyem je i ujrzaem ciemny korytarz, ktory po kilku krokach skrecao ostro w prawo. Poczulem mda won pizma, zarazem przyjemna i odpychajaca, won gnijacego ciaa. Jednoczesnie uslyszalem dochodzacy z oddali zgrzyt ostrzenia wielu noy, dziwne stapanie i dzwieki tysiecy odlamkow szka ocierajacych sie o siebie. Przyjemny skladnik woni sta sie intensywniejszy, wciagajacy, jakby chcia mnie zmusic do wejscia.

Zatrzasnalem drzwi i sie cofnalem.

Wtedy golemy, jakby uwolnione od niewidzialnej sily, ktora utrzymywaa je na gornym podescie, ruszyy w dol obiema klatkami schodowymi, przyspieszajac z kadym krokiem. Miecze, noe i wlocznie trzymane przez metalowe posagi zaczyy ze zgrzytem poruszc sie w ich dloniach, starajac sie uwolnic z ich ucisku. A zwierzcy warkot dobiegajacy z dou stawa sie coraz gosniejszy i bliszy. Cokolwiek siedziao tam na dole, wchodzio teraz na gore.

No dobra, chyba czekaja mnie kopoty.

**Joe Abercrombie** uczęszczał do Lancaster Royal Grammar School i studiował psychologię na Uniwersytecie w Manchesterze. Zaczął pracować przy produkcjach telewizyjnych, po czym rozpoczął karierę niezależnego montażysty filmowego. Jego pierwsza powieść, *Samo ostrze*, wyszła w 2004 roku. Po niej ukazały się jeszcze dwie kolejne części trylogii *Pierwsze Prawo*: *Nim zawisną na szubienicy* i *Last Argument of Kings*. Niedawno opublikował samodzielną powieść *Best Server Cold*, której akcja rozgrywa się w tym samym świecie co w *Pierwszym Prawie*, a ostatnio – książkę *The Heroes*. Joe Abercrombie mieszka w Bath z żoną Lou i córkami Grace i Eve. Od czasu do czasu montuje dla telewizji filmy z koncertów i festiwali muzycznych, ale przede wszystkim pisze emocjonujące i pełne humoru powieści fantasy.

## **Joe Abercrombie**

### **PARSZYWA ROBOTA**

Craw jak zwykle obgryzł skórę przy paznokciu. Jak zwykle go zabolalo. Jak zwykle pomyślał też sobie, że powinien z tym skończyć.

– Dlaczego – mruknął do siebie trochę gorzko – zawsze mi się trafia parszywa robota?

Wioska – kępa mokrych dachów pokrytych strzechą rozczochraną jak kudły głupka – przycupnęła w rozwidleniu rzeki. Otaczał ją płot wysokości człowieka wykonany z grubo ciosanych bali. Okrągłe

wyplatane chatki i trzy długie domy tonęły w gnoju. Największy miał krzywe drewniane szczyty zakończone niezdarnie wyciętymi głowami smoka, wilka czy czegoś, co miało ludzi przerażać, ale u Crawa wzbudzało jedynie tęsknotę za porządną ciesiołką. Z kominów szły czarne kłęby dymu. Na wpół nagie drzewa wciąż jeszcze pozbywały się pożółkłych liści. W oddali, niczym tysiące luster ciągnących się aż po horyzont, połyskiwały w słońcu gnijące moczary. Nie było w tym widoku ani krzty romantyzmu.

Cudna na chwilę przestała drapać długą bliznę na ogolonej głowie, by stwierdzić:

– Co za dziura.

– Jesteśmy przecież na wschód od Crinny, co nie? – Crawl rozgryzł strzępek naskórka i wypluł jego resztki na ziemię. Skrzywił się na widok różowej ranki na palcu, która bolała dużo bardziej, niż powinna.

– Kilkaset mil kompletnego zadupia w każdą stronę. Jesteś pewien, że trafiliśmy we właściwe miejsce, Raubin?

– Jasne. Opisała je bardzo szczegółowo.

Crawl uniósł brew. Zdecydowanie nie lubił tego faceta. Może dlatego, że to on organizował im robotę, zwykle wyjątkowo parszywą, a może przez tę jego łasicowatą twarz. Pewnie po trosze z jednego i drugiego powodu.

– Mówi się „szczegółowo”, półgłówku.

– Co miałem nie zrozumieć? Powiedziała: wioska, w rozwidleniu rzeki, na południe od moczarów, trzy długie domy, największy ma szczyty cięte w kształt lisiej głowy.

– Aha. – Crawl strzelił palcami. – A więc to mają być lisy.

– To Klan Lisów, ci ludzie.

– Naprawdę?

– Tak powiedziała.

– A ta rzecz, którą mamy jej przynieść? Co to właściwie jest?

– No, rzecz – bąknął Raubin.

– To już wiemy.

– Coś jakby... coś mniej więcej... ot, tak dużego. Nie opisała dokładnie.

– Znaczy się szczegółowo? – Cudna wyszczerzyła zęby.

– Powiedziała, że będzie jakby świeciła.

– Świeciła? Co to ma być? Jakaś cholerna magiczna świeca?

Raubin wzruszył ramionami, co niewiele wyjaśniało.

– Nie wiem. Powiedziała, że jak ją zobaczycie, to będziecie wiedzieć, że to ona.

– No pięknie. – Caw nie przypuszczał, że może wpaść w jeszcze gorszy nastrój. Teraz już wiedział, że może. – Naprawdę cudnie. Dowiem się, jak ją zobaczę. I ty chcesz, żebym na tej podstawie zaryzykował życie swoje i całej drużyny?

Odczołgał się znad krawędzi skarpy poza zasięg wzroku mieszkańców wioski, wstał i otrzepał płaszcz, klnąc pod nosem. Nowy płaszcz i starał się go utrzymać w czystości. Mógł się spodziewać, że to będzie strata czasu, wiedząc, jaka gówniana robota zwykle mu się trafia. Zaczął schodzić w dół ku pozostałym, klucząc między drzewami i kręcąc głową. Szedł jednak pewnym krokiem. Krokiem przywódcy. Uznał, że to ważne, aby szef szedł tak, jakby wiedział, dokąd idzie.

Zwłaszcza że nie wiedział.

Raubin pospieszył za nim, marudząc mu w plecy:

– Nie powiedziała dokładnie. No wiesz, o tej rzeczy. Chodzi o to, że nigdy nie mówi. Patrzy tylko na ciebie tymi ślepiami... – Wzdrygnął się. – I mówi, żeby przynieść jej tę rzecz i gdzie jej szukać. A ta jej cera,

ten głos i cholerny strach, który czujesz, gdy na ciebie spojrzysz... – Znowu się wzdrygnął, tym razem tak mocno, że aż zadzwonił zepsutymi zębami. – Mówię ci, o nic jej nie pytam. Chcę tylko jak najszybciej zwiać, żeby się na miejscu nie zeszczuć w gacie. I przynieść jej to coś, na czym jej zależy...

– To bardzo miło z twojej strony – rzekł Craw. – Trzeba tylko znaleźć tę rzecz.

– Chyba że mówiła od rzeczy – zażartowała Cudna. Gdy spojrzała w górę na korony drzew, po jej kościstej twarzy przepłynęły pasma światła i cieni. – Brak szczegółów stwarza poważne trudności. Każda rzecz w wiosce, takiej a takiej wielkości. Ale która? O jaką rzecz chodzi? Oto jest pytanie. – Wyglądało na to, że Cudna jest w filozoficznym nastroju. – Można by powiedzieć, że ten jej makijaż, głos i aura strachu, którą roztacza, okazały się tym razem... nieskuteczne.

– O, nie – zaprzeczył Craw. – Byłyby nieskuteczne, gdyby to jej gdzieś z dala od Crinny poderżnięto gardło, bo nie znała szczegółów cholernego zadania, które w rzeczywistości mamy wykonać my. – Gdy wychodzili z lasu na polanę, posłał Raubinowi piorunujące spojrzenie.

Nutka siedział po turecku i ostrzył noże. Przed nim leżało ich osiem, równo poukładanych na kępiastej trawie, od kozika nie dłuższego niż kciuk Crawa po kosę wielkości krótkiego miecza. Dziewiąty nóż Nutka trzymał w dłoni i ostrzył. Piski i zgrzyty stali na oślece wyznaczały rytm i podkreślały jego łagodny wysoki głos. Nutka Tiptoe miał naprawdę piękny głos. Nic dziwnego, że w lepszych czasach zarabiał jako bard, ale obecnie pewniejszy zarobek dawało wbijanie ludziom noża pod żebro. Smutne, pomyślał Craw, ale prawdziwe. Takie czasy.

Obok Nutki siedział Brack-i-Dayn. Miał wywinięte wargi i żuł obgryzioną króliczą kość, tak jak owca żuje trawę. Wielka i



niebezpieczna owca. W jego ogromnej, tatuowanej siną farbą dłoni kość wyglądała jak wykałaczką. Wesoły Yon patrzył na niego ze zmarszczonym czołem jak na kupę gówna, co mogłoby rozżłościć Bracka, gdyby nie wiedział, że Yon patrzy tak na każdego. W ogóle wyglądał w tym momencie na najmniej wesołego człowieka na całej Północy. Stąd zresztą wzięło się jego przezwisko.

Whirrun z Bligh klęczał samotnie po drugiej stronie polany naprzeciw swojego wielkiego miecza, który troskliwie oparł o drzewo. Dłonie splótł na wysokości podbródka, a na głowę zarzucił kaptur, tak że wystawał spod niego tylko spiczasty koniec nosa. Sądząc po zachowaniu, modlił się. Craw nie przepadał za ludźmi, którzy modlą się do bogów, nie mówiąc już o mieczach. Ale takie czasy, uznał. Dziś więcej warte są miecze niż bogowie. A już na pewno jest ich więcej. Poza tym Whirrun był człowiekiem z doliny, pochodził z północnego zachodu, z dalekiego kraju za górami w pobliżu Białego Morza, gdzie śnieg pada nawet latem i gdzie nikt o zdrowych zmysłach z własnej woli by nie zamieszkał. Kto wie, co sobie myślą tacy ludzie?

– Nie mówiłem ci, że to zaszczana dziura? – Nigdy właśnie naciągał łuk. Na twarzy miał uśmiezek, jakby sobie z kogoś zażartował, ale nikt poza nim nie zrozumiał jego żartu. Gdyby Craw wiedział, o co mu chodzi, też by się może roześmiał. Wyglądało jednak na to, że Nigdy zażartował sobie z nich wszystkich.

– Nieźle to ująłeś – rzuciła Cudna, idąc przez polanę. – Zaszczana dziura.

– No cóż, nie przyjechaliśmy się tu osiedlić, ale coś stąd zabrać – stwierdził Craw.

Wesołemu Yonowi udało się dokonać czegoś, co wielu uznałoby za niemożliwe: jeszcze bardziej zmarszczył czoło i rzucając grobowe

spojrzenie, grubymi palcami zaczął czesać gęstą brodę.

– A dokładnie co? – zapytał.

Craw ponownie zerknął na Raubina.

– Chcesz to rozgrzebać jeszcze raz? – rzucił.

Pośrednik bezradnie rozłożył ręce.

– Słyszałem, że zorientujemy się, gdy to zobaczymy.

– Zorientujemy się, gdy to zobaczymy? Co to za...?

– Poskarż się drzewom, Yon. Robota to robota.

– Przecież już tu jesteśmy, co nie? – zauważył Raubin.

Craw aż cmoknął.

– Kurewsko inteligenta uwaga – stwierdził. – Jak wszystko, co mówisz. Tak, już tu jesteśmy.

– Już tu jesteśmy – zaintonował, fałszując, Brack-i-Dayn. Wyssał z kości resztki szpiku i rzucił ją w krzaki. – Na wschód od Crinny, gdzie nie świeci księżyc, setki mil od czystego wychodka i z bandą dzikich sukinsynów na karku, którzy przekłuwają sobie twarze kościanymi szpikulcami. – Było to trochę zabawne, zważywszy że mówił to ktoś z tyłoma tatużami na skórze, iż wydawała się bardziej niebieska niż biała. Przygadywał kocioł garnkowi.

– Nie przeczę, że na wschód od Crinny ludzie mają czasem dziwne pomysły – Raubin wzruszył ramionami – ale skoro ta pierdolona rzecz jest tutaj i my jesteśmy tutaj, to czemu mamy jej nie zabrać i nie zwiać, kurwa, do domu?

– Czemu sam sobie nie weźmiesz tej pierdolonej rzeczy, Raubin? – warknął Wesoły Yon.

– Bo to, kurwa, moje zadanie, żeby ci, kurwa, powiedzieć, żebyś, kurwa, wziął tę rzecz, ty pojebańcu.

Zapadła wstrętna cisza. Wstrętniejsza niż dziecko człowieka i owcy,

jakie rodzą się góralom. A potem Yon przemówił cichym głosem, od którego Crawlowi wciąż ciarki przechodziły po plecach, mimo że znali się tyle lat:

– Mam nadzieję, że się mylę. Niech skonam, ale mam nadzieję, że się mylę. Odnoszę jednak wrażenie... – poruszył się i nagle wszyscy zobaczyli, ile nosi przy sobie toporów – że ktoś mnie obraża.

– Nie, nie. Wcale nie. Nie chciałem...

– Szacunek, Raubin. To gówno nic nie kosztuje, ale może oszczędzić człowiekowi powrotu do domu z mózgiem w garści. Jasne?

– Oczywiście, że tak, Yon. Oczywiście. Poniosło mnie. Zachowałem się niedopuszczalnie i bardzo tego żałuję. Nie chciałem cię obrazić. Za dużo nerwów, to wszystko, każdy się denerwuje. Nadstawiam karku, jak wy. Może nie tam w dole, ale po powrocie do domu, możecie być tego pewni. Jak ona nie postawi na swoim... – Raubin znowu się wzdrygnął. Jeszcze mocniej niż przedtem.

– Trochę szacunku, chyba nie za wiele żądam...

– Dobrze, już dobrze. – Crawl machnął na nich ręką. – Wszyscy płyniemy w tej samej cholerniej dziurawej łajbie i kłótnie nic nam nie dadzą. Przyda się każda para rąk na pokładzie. Kobiecych też.

– Służę, w każdej chwili – rzuciła niewinnie Cudna.

– Gdybyż to wystarczyło. – Crawl przykucnął na ziemi, wyciągnął nóż i zaczął rysować nim na piasku plan wioski. Podobnie jak dawno, dawno temu robił to Trójdrzewiec. – Nie mamy pojęcia, czym jest ta rzecz, ale przynajmniej wiemy, gdzie jej szukać. – Ostrze szurało po piasku, a reszta usiadła, kucnęła lub przyklękła dookoła i patrzyła na wyłaniającą się mapę. – Wielki długi dom w środku wioski, ze szczytami w kształcie lisich głów. Mnie one bardziej przypominają smoki, ale to, jak wiecie, inna historia. Dookoła biegnie ogrodzenie z

dwoma bramami, od północy i południa. Tu są domy i chaty, a to chyba jest chlewik. A może kuźnia.

– Ilu ich tam może być? – zapytał Yon.

Cudna podrapała się po bliźnie na głowie. Krzywiąc się, spojrzała na szare niebo.

– Mężczyzn zdolnych do noszenia broni? Z pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu. Kilku starców, do tego kilkadziesiąt kobiet i dzieci. Niektóre kobiety też mogą walczyć.

– Walczące kobiety? – Nigdy wyszczerzył zęby. – Co za wstyd.

Cudna odwzajemniła uśmiech.

– Trza zapędzić dziwki do kuchni, co?

– Och, kuchnia... – Brack zapatrzył się na pochmurne niebo, jakby dojrzał na nim szczęśliwe wspomnienia.

– Sześćdziesięciu zbrojnych? A nas jest siedmiu z bagażem. – Wesoły Yon pięknym łukiem strzyknął śliną nad butami Raubina. – Do dupy z taką robotą. Potrzebujemy więcej ludzi.

– Nie wystarczy dla nich jedzenia. – Brack-i-Dayn poklepał się smutno po brzuchu. – Tego, co mamy, ledwie...

– Może lepiej trzymajmy się planu i rozegramy to własnymi siłami, co? – przerwał mu Crawl. – Ale sprawa jest jasna, sześćdziesięciu to za wiele na uczciwą walkę. – Oczywiście żaden z nich nie przyłączył się do drużyny Crawa, żeby walczyć uczciwie. – Musimy część z nich odciągnąć.

Nigdy skrzywił się.

– Warto pytać, czemu patrzysz na mnie?

– Ponieważ brzydki faceci nienawidzą przystojnych, piękny chłopczyku.

– Temu nie mogę zaprzeczyć – westchnął Nigdy, odrzucając włosy

do tyłu. – Piękna twarz to moje przekleństwo.

– Dla ciebie przekleństwo, a dla mnie błogosławieństwo. – Crawl dziabnął nożem w północną część narysowanej na piasku mapy. – Weźmiesz swoją niezrównaną urodę i pójdziesz do tego mostka. Na pewno trzymają tam straż. Zorganizujesz małą dywersję.

– Mam któregoś zastrzelić?

– Raczej strzel obok. Lepiej nie zabijać nikogo bez potrzeby, co? W innych okolicznościach mogliby się okazać całkiem miłymi ludźmi.

Nigdy okazał wątpliwości, unosząc brwi.

– Tak myślisz? – zapytał.

Crawl niespecjalnie tak myślał, ale nie miał ochoty jeszcze bardziej obciążać sumienia. Już i tak ledwie zipsało.

– Po prostu zatańcz sobie z nimi, to wszystko.

Cudna klepnęła się w piersi.

– Szkoda, że tego nie zobaczę. Nikt nie tańczy tak pięknie jak Nigdy, gdy gra muzyka.

Nigdy posłał jej promienny uśmiech.

– Nie martw się, skarbie. Później z tobą zatańczę.

– Obiecanki cacanki.

– Dobrze, dobrze. – Crawl zamknął im gęby kolejnym machnięciem ręki. – Będziecie nas zabawiać, kiedy uporamy się z tą parszywą robotą. O ile jeszcze będziemy dychać.

– Może ciebie też rozbawimy, co, Whirrun?

Człowiek z doliny, który siedział po turecku z mieczem na kolanach, tylko wzruszył ramionami.

– Może.

– Jesteśmy małym zgranym zespołem. Lubimy, kiedy jest miło.

Whirrun prześlizgnął się wzrokiem po ponurej twarzy Wesolego

Yona.

– Właśnie widzę.

– Jesteśmy jak bracia – rzekł Brack, śmiejąc się całą swoją wytatuowaną twarzą. – Dzielimy się ryzykiem, jedzeniem i nagrodami, a od czasu do czasu nawet uśmiechem.

– Nigdy nie mogłem się dogadać z braćmi – mruknął Whirrun.

– No to masz szczęście, chłopie – prychnęła Cudna. – Los podarował ci drugą kochającą rodzinę. Nauczysz się, jak ona funkcjonuje, jeśli przeżyjesz.

Whirrun powoli kiwnął głową, a cień rzucany przez jego kaptur przesunął się w górę i dół po jego twarzy.

– Każdy dzień powinien przynosić nową lekcję.

– Celna uwaga – zgodził się Craw. – A teraz słuchać mnie uważnie, wszyscy co do jednego. Kiedy Nigdy odciągnie kilku z nich, my podejmiemy pod południową bramę. – Zrobił krzyżyk w odpowiadającym jej miejscu na piasku. – Rozdzielamy się na dwie grupy, każda zajmuje stanowisko po jednej stronie głównego długiego domu, gdzie jest to coś. Ponoć. Ja, Yon i Whirrun po lewej. – Yon ponownie splunął, a Whirrun lekko skinął głową. – Cudna bierze Bracka i Nutkę i idzie na prawo.

– Tak jest, szefie – potwierdziła Cudna.

– Prawa nasza – zaśpiewał Brack.

– Aha – rzekł Nutka, co Craw uznał za „tak”.

Dźgnął każdego z nich obgryzionym obolałym palcem.

– I zachowywać mi się odpowiednio, rozumiano? Cicho jak wiosenna bryza. Nie potykać się tym razem o garnki, słyszysz Brack?

– Będę patrzył pod nogi, szefie.

– W porządku.

– Mamy jakiś plan awaryjny? – zapytała Cudna. – Gdyby stało się coś nieprzewidzianego i sprawy potoczyły się niezgodnie z przewidywaniami?

– Taki jak zwykle. Bierzemy to coś, jeśli się da, i spierdalamy. Ty...

– Craw spojrzał na Raubina.

Oczy wywołanego zrobiły się wielkie jak spodki.

– Co ja?

– Zostaniesz tu i będziesz uważał na nasze kłamoty. – Raubin głośno odetchnął z ulgą, a Craw nieznacznie się skrzywił. Nie miał do niego pretensji, że jest śmierdzącym tchórzem. Wszyscy są tchórzami. Łącznie z nim samym. Ale miał do Raubina pretensje, że to okazuje. – Nie ciesz się za bardzo. Jeśli coś się posypie, te lisie skurwysyny wytropią cię, nim zaschnie nasza krew, i najpewniej urzną ci klejnoty.

Raubin natychmiast zamknął usta.

– Obetną ci łeb – szepnęła Nigdy z przerażeniem w oczach.

– Wyrwą flaki i ugotują – mruknął Wesoły Yon.

– Zedrą skórę z twarzy i zrobią z niej maskę – zahuczał Brack.

– Zrobią łyżeczkę z twojego kutasa – rzekła Cudna.

Wszyscy przez chwilę zastanawiali się nad tym, co powiedziała.

– No dobrze – odezwał się Craw. – Musimy się dostać do tego długiego domu i zabrać to coś tak, żeby nikt nie zauważył. Przede wszystkim... – Obrzucił ich wszystkich surowym spojrzeniem: półkole usmarowanych, pokrytych bliznami, bystrookich, zarośniętych twarzy. Jego drużyna. Jego rodzina. – Niech nikt nie waży się zginać, zrozumiano? Sprawdzić broń.

Drużyna Crawa wreszcie miała robotę do wykonania, szybko więc i bez zbędnych słów zaczęła się szykować. Wszyscy znali swoją robotę jak prządka kołowrót, byli w łachmanach, ale z wyczyszczoną na błysk

bronią, brudni na twarzy, ale o bystrym spojrzeniu. Skrzypiały mocno zaciągane pasy, rzemienie i sznurówki, niosły się odgłosy szorowania, grzechot i brzęk metalu, a nad wszystkim unosił się wysoki, delikatny głos śpiewającego Nutki.

Ręce Crawa poruszały się same, wykonując rutynowe czynności, a on myślami wrócił do czasów, kiedy prowadził inne akcje, w innych miejscach, z innymi ludźmi, z których wielu gryzło już ziemię. Kilku pochował własnymi rękami. Miał nadzieję, że nikt z jego obecnych towarzyszy dziś nie zginie. Że nie staną się prochem i zatartym wspomnieniem. Sprawdził tarczę: mocowanie skórzanego uchwytu, zaciągnięcie rzemieni. Sprawdził ulubiony nóż oraz dwa inne, zapasowe. Wszystkie mocno tkwiły w pochwach. Ktoś powiedział mu kiedyś, że noży nigdy za wiele, i to była dobra rada, pod warunkiem że dobrze się je przypnie, żeby, jak się przewrócisz, nie obciąć sobie jaj.

Każdy miał coś do zrobienia, poza Whirrunem, który skłonił głowę i delikatnie wziął do ręki miecz oparty o pień drzewa, trzymając go pod rękojęścią przez poplamioną skórzaną pochwę. Razem z pochwą broń sięgała mu prawie do pasa. Następnie odrzucił kaptur, zmierzwił przyklepane włosy i z przekrzywioną głową przyglądał się pozostałym.

– To twoja jedyna broń? – zapytał Craw, przypinając do pasa własny miecz. Chciał jakoś dotrzeć do tego wielkoluda i obudzić wzajemne zaufanie. W takiej małej drużynie zaufanie to podstawa. Może ocalić życie. Może ocalić ich wszystkich.

Whirrun obrócił się ku niemu.

– To ojciec wszystkich mieczy. Ma setki imion. Poranna Brzytwa. Kopacz Grobów. Żniwo Krwi. Najwyższy i Najniższy. Scal–ang–Gaioc w języku ludzi z doliny, co znaczy Pęknięcie Świata. Chodzi o bitwę, którą stoczono na początku czasu i która zakończy jego istnienie. –



Craw już się bał, że Whirrun wyliczy mu wszystkie kilkaset imion, ale na szczęście na tym poprzestał, wpatrując się w rękojeść owiniętą szarym drutem. – To moja nagroda i kara zarazem. Jedyna klinga, jakiej potrzebuję.

– Trochę duża jak na nóż do krojenia pieczeni, co? – zapytała Cudna, podchodząc z drugiej strony.

Whirrun wyszczerzył zęby.

– One mi do tego służą.

– Nigdy go nie ostrzysz? – zapytał Craw.

– To on ostrzy mnie.

– Tak. No tak. – Takiej bezsensownej odpowiedzi Craw spodziewałby się raczej po Świrniętym Leefie czy innym głupiomądrym. Miał tylko nadzieję, że Whirrun naprawdę tak dobrze włada tym swoim mieczem, jak wszyscy zakładają, bo rozmówca przy stole to z niego żaden.

– Poza tym, żeby go naostrzyć, musiałbyś go wyjąć – zauważyła Cudna, mrugając do Crawa, ale tak, żeby Whirrun nie widział.

– To prawda. – Whirrun przeniósł na nią wzrok. – Ale kiedy Ojciec Mieczy zostanie dobytey, nie może być schowany, jeśli nie zostanie...

– ...naznaczony krwią? – dokończyła za niego. Nie trzeba było umieć czytać run, żeby się domyślić, jakie słowa za chwilę padną. Whirrun powtarzał je wiele razy, odkąd opuścili Carleon. Wystarczająco wiele, żeby wszystkich znudzić.

– Naznaczony krwią – powtórzył za nią Whirrun złowieszczym tonem.

Cudna popatrzyła na Crawa.

– Nie myślałeś nigdy, Whirrunie z Bligh, że może traktujesz siebie ciut za poważnie? – zapytała.

Whirrun zadarł głowę i spojrział w niebo.

– Roześmieję się, jak usłyszę coś zabawnego.

Craw poczuł rękę Yona na ramieniu.

– Można na słówko, szefie?

– Jasne – odparł Craw z wymuszonym uśmiechem.

Yon odprowadził go kilka kroków na bok i miękkim głosem zaczął mówić to, co zawsze powtarzał przed walką:

– Jeśli dziś zginę...

– Nikt dziś nie zginie – przerwał mu Craw, odpowiadając mu jak zawsze.

– To samo mówiłeś ostatnim razem, kiedy pochowaliśmy Jutlana. – Wspomnienia wywołały u Crawa jeszcze posepniejszy nastrój. – Niczyja wina. Wykonujemy niebezpieczną pracę i wszyscy to wiemy. Pewnie przeżyję, ale chcę tylko powiedzieć, że gdybym jednak nie...

– Pojadę do twoich dzieci, dam im twoją część łupu i powiem im, kim byłeś.

– Właśnie. I...?

– I nie będę niczego upiększał.

– W porządku. – Wesoły Yon oczywiście się nie uśmiechnął. Craw znał go od lat i widział go śmiejącego się może kilkanaście razy, i to w najmniej oczekiwanych chwilach. Skinął jednak głową z zadowoleniem. – W porządku. Nikomu innemu nie powierzyłbym tego zadania.

Craw kiwnął głową w odpowiedzi.

– Dobrze. Wspaniale. – Ale było to zadanie, na które zupełnie nie miał ochoty. Kiedy Yon odszedł, mruknął do siebie: – Jeszcze jedna parszywa robota.

\* \* \*

Wszystko szło zgodnie z planem. Nie, żeby zdarzyło się to po raz pierwszy, ale na pewno było miłą niespodzianką. Leżeli nieruchomo na skarpie, bez słowa obserwując lekkie poruszenia liści i gałęzi znaczących drogę Nigdy, który czołgał się ku zasranej wiosce. Z bliska wcale nie wyglądała dużo lepiej. Craw wiedział z doświadczenia, że tak zwykle bywa. Obgryzając paznokcie, patrzył, jak Nigdy przykłęka w krzakach naprzeciwko bramy po drugiej stronie strumienia i wyciąga strzałę. Trudno to było dostrzec z tej odległości, ale Craw mógłby się założyć, że nawet teraz Nigdy ma na twarzy ten swój wszystkowiedzący uśmiezek.

Strzała wbiła się w bramę. Z oddali doleciały stłumione krzyki. W odpowiedzi poszybowało kilka strzał z wioski, ale Nigdy zdążył odbiec i zniknąć w krzakach. Craw usłyszał bicie w bęben, następne okrzyki i z bramy zaczęli wypadać ludzie. Przebiegli przez mostek na drugi brzeg, ściskając w dłoniach żelazne pręty. Niektórzy spieszenie wkładali futra lub buty. Było ich w sumie ponad trzydziestu. Dobra robota, oczywiście pod warunkiem, że Nigdy uciekł.

Yon pokręcił głową, widząc, jak spora część Klanu Lisów przebiega przez mostek i wchodzi między drzewa.

– Zadziwiające, prawda? Nie mogę uwierzyć, że ludzie są tak, kurwa, głupi.

– Nie warto przeceniać tych sukinkotów. To błąd – szepnął Craw. – W końcu jesteśmy najbystrzejszą drużyną w Kręgu Świata, co? Tylko nie wpakujcie się w coś, dobra?

– Jeśli ty się nie wpakujesz, szefie, to ja też nie – mruknęła Cudna.

– Ehę. – Oby udało mu się dotrzymać obietnicy. Craw klepnął Nutkę w ramię i wskazał palcem na wioskę. Ten mrugnął okiem w odpowiedzi i zwinnie jak kijanka w stawie ześlizgnął się na brzuchu po

trawie porastającej wzniesienie.

Crawowi zaschło w ustach. Zawsze się tak działo przed akcją i mimo upływu lat nic się w tym względzie nie zmieniało. Kątem oka zerknął na pozostałych. Żadne z nich nie okazywało śladu zdenerwowania. Ciekaw był, czy też zamartwiają się tak jak on, a tylko przybierają surowy wyraz twarzy, aby nie pokazać, że w środku są kłębkami nerwów. A może tylko on jeden się boi. Koniec końców nie ma to żadnego znaczenia. Najlepszy sposób na zwalczenie strachu to zachowywać się tak, jakby się go nie odczuwało.

Podniósł do góry pięść, zadowolony, że ręka mu nie drży, a następnie wskazał na Nutkę. Wszyscy zerwali się i pobiegli w dół ku południowej bramie, jeśli można tak nazwać dziurę w przegniłym płocie zwieńczoną łukiem z krzywych gałęzi. Na jego środku przybito czaszkę jakiegoś zwierzęcia, które na swoje nieszczęście miało parę rozłożystych rogów. Czyżby setki cholernych mil od tej wiochy nie było prostego kawałka drewna? – pomyślał Craw.

Pod czaszką, opierając się na włóczni, stał odziany w futra wartownik ze skołtunionymi włosami i gapił się przed siebie. Podłubał w nosie, sprawdził rezultat swoich wysiłków i strząsnął smark z palca. Przeciągnął się i wykręcił do tyłu, żeby podrapać się po tyłku. Nóż Nutki trafił go w szyję i gładko jak ostrze rybaka patroszącego tuńczyka przeciął mu gardło. Craw skrzywił się na moment, ale wiedział, że nie można tego było uniknąć. Będą mieli szczęście, jeśli tylko on zginie, aby mogli wykonać tę parszywą robotę. Pomimo tryskającej krwi Nutka przytrzymał go przez chwilę, nie pozwalając upaść na ziemię, po czym nie robiąc hałasu, ułożył wierzgające ciało pod płotem tak, żeby było niewidoczne dla ciekawskich oczu za ogrodzeniem.

Cichutko jak muśnięcie wiatru Craw i reszta jego ludzi, zgięci wpool,

z wyciągniętą bronią, pobiegli po skarpie do bramy, gdzie czekał na nich Nutka. Zdążył już wytrzeć nóż i zaglądał teraz zza słupka bramy do środka, dając im znak uniesioną ręką, żeby zaczekali. Craw popatrzył ze zmarszczonym czołem na zakrwawioną twarz trupa, który leżał z otwartymi ustami, jakby chciał o coś zapytać. Garncarz lepi garnki. Piekarz piecze chleb. A on, Craw, zabija ludzi. Zajmował się tym przez większość życia.

Choć widok ten nie stanowił specjalnego powodu do dumy, zadanie zostało wykonane elegancko. Człowiek jednak poniósł śmierć tylko dlatego, że stał na straży swojej wioski. Co z tego, że brudni i mieszkający daleko od Crinny, w końcu to też byli ludzie, tak samo odczuwali radość i smutek. Ale czy jeden człowiek może to zmienić? Craw wciągnął powietrze i powoli je wypuścił. Musi po prostu tak wykonać swoją robotę, żeby żaden z jego ludzi nie zginął. W trudnych czasach pobłażliwość zabija szybciej niż zaraza.

Spojrzał na Cudną i wskazał głową wioskę. Kobieta wślizgnęła się obok słupka do środka i rozglądając się na boki, ruszyła drogą biegnącą po prawej. Za nią skradali się Nutka i Brack, który mimo swojej postury poruszał się bezszelestnie.

Craw wziął głęboki oddech i powoli ruszył ścieżką po lewej. Krzywił się, macając stopą błoto w poszukiwaniu skrawka twardego gruntu, na którym mógłby stanąć. Za sobą słyszał świszczący oddech Yona. Wiedział, że Whirrun też idzie za nimi, choć skradał się cicho jak kot. Nagle usłyszał jakiś stukot. Pewnie kołowrotka. Wydawało mu się, że ktoś się śmieje, ale mógł się przesłyszeć. Na każdy szelest gwałtownie obracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby w nosie miał haczyk, za który ktoś ciągnie. W świetle dnia byli widoczni jak na talerzu, Craw jednak nie lubił pracować w nocy. W każdym razie od

czasu kurewskiej katastrofy w Gurndrift, kiedy w przypadkowym starciu chłopców Śnieznobiałego i Chrzątki zginęło ponad pięćdziesięciu ludzi. Nieprzyjaciel tymczasem znajdował się dziesięć mil od nich. Nocą zbyt wiele rzeczy może pójść nie tak, jak powinno.

Musiał jednak przyznać, że od tamtego tragicznego wydarzenia wielu jego ludzi zginęło także za dnia.

Szedł wzdłuż ściany ze splecionych gałęzi i nagle ogarnął go strach. Kłujący strach, który dopada człowieka, gdy czuje oddech śmierci za plecami. Wszystko zdawało się ostrzejsze i wyraźniejsze. Każda gałązka w ścianie, każdy kamyk na ziemi. Sposób, w jaki rzemienie oplatające rękojeść miecza wbijały mu się w dłoń, kiedy przesuwał po nich palce. Lekki świst towarzyszący nabieraniu powietrza do obolałych płuc przy każdym oddechu. Plaskanie, gdy przy każdym ostrożnym kroku jego stopa przyklejała się do podeszwy przez dziurę w skarpecie. Przyklejała i odrywała.

Powinien sobie sprawić nowe skarpety. Najpierw jednak musi przeżyć ten dzień. Skarpety kupi sobie później. Może te czerwone, które widział w Uffrith, kiedy był tam ostatnim razem. Wszyscy śmiali się z tego szalonego pomysłu. I on, i Yon, i Cudna, i biedny Jutlan, który już nie żyje. Potem jednak pomyślał w duchu, że kolorowe skarpety to drobny luksus, na który człowiek powinien móc sobie pozwolić, i tęsknie spojrział przez ramię na ten elegancki element garderoby. Może, jak skończą tę parszywą robotę, wróci tam i kupi sobie parę czerwonych skarpet. Albo dwie pary. Wywinie je sobie na buty – niech wszyscy widzą, jaki z niego waźniak. Może zaczną go nazywać Curnden Czerwone Skarpety. Poczul, że mimowolnie się uśmiecha. Czerwone skarpety to pierwszy krok na drodze do ruiny, jeśli...

Nagle po lewej otworzyły się drzwi do chałupy i wyszło z niej trzech roześmianych mężczyzn. Ten, który szedł na czele, odwrócił włochaty łeb. Na twarzy miał wciąż szeroki uśmiech. Szczęrzył żółte zęby. Popatrzył wprost na Crawa, Yona i Whirruna, którzy zastygli pod ścianą długiego domu z otwartymi ustami niczym troje dzieci przyłapanych na podkradaniu ciasteczek. Przez moment jedni i drudzy wpatrywali się w siebie.

Craw poczuł, jakby czas absurdalnie zwolnił bieg. Zwykle działo się tak przed rozlewem krwi. Miał nagle dość czasu, by zauważyć różne śmieszne rzeczy. By się zastanowić, czy to, czym cała trójka ma przebite uszy, to kurza kość. By policzyć gwoździe sterczące z maczugi, którą jeden z nich trzymał w ręku. Osiem i pół. Dość czasu, by pomyśleć, że to śmieszne, iż nie myśli o niczym pożyteczniejszym. Czuł się tak, jakby stanął obok siebie i zastanawiał się, co by zrobił na swoim miejscu, choć miał wrażenie, jakby to nie zależało od niego. Najdziwniejsze było jednak to, że ostatnio tak często zdarzało mu się popadać w taki stan, iż potrafił go rozpoznać, gdy nadchodził. Tę zastygłą, nierzeczywistą chwilę, po której świat rozpadał się na kawałki.

Cholera. Znowu znalazłem się...

Poczuł chłodny powiew na twarzy, kiedy Whirrun pięknym kolistym ruchem machnął mieczem tuż obok jego policzka. Mężczyzna stojący z przodu nie miał nawet czasu się uchylić. Klinga w pochwie uderzyła go w skroń, zwalając z nóg. Wywinął koziółka w powietrzu, wpadł na ścianę chałupy i głową w dół osunął się po niej na ziemię. Dłoń Crawa sama uniosła miecz. Whirrun tymczasem skoczył do przodu z wyciągniętym ramieniem i głowicą miecza trzasnął drugiego mężczyznę w usta, wybijając mu zęby.

Kiedy pechowiec przewracał się na plecy z rozłożonymi rękami niczym ścięte drzewo, trzeci mężczyzna próbował unieść maczugę. Crawl ciął go mieczem w bok i poczuł, jak stal z głośnym młaśnięciem kroi futrzaną katanę i ciało. Trysnęła fontanna krwi. Mężczyzna otworzył usta, głośno pisnął i zgięty w pół zatoczył się do przodu, wybałuszając oczy. Crawl rozplatał mu czaszkę i krzyk mężczyzny przeszedł w jęk zaskoczenia. Ciało zważyło się na ziemię, opryskując buty Crawa krwią tryskającą z rozciętej głowy. Miał w końcu te swoje czerwone skarpety. No i to byłoby na tyle, jeśli chodzi o koniec zabijania i zachowanie ciszy, pomyślał.

– Kurwa – zaklął głośno.

Od tego momentu wszystko potoczyło się nieprzyjemnie błyskawicznie. Świat trząsał się i kołysał, kiedy biegł, wzniesając tumany kurzu. Krzyki, szcęk metalu, oddech, bicie własnego serca dzwoniły i dudniły mu w uszach. Zerknął przez ramię i zobaczył, jak Yon odbija tarczą cios maczugą i z okropnym wyciem powala napastnika na ziemię. Kiedy się odwrócił, bóg wie skąd nadleciała strzała i wbiła się w glinianą ścianę tuż przed jego nosem. Zaskoczony stanął jak wryty, o mało nie tracąc równowagi, a wtedy wpadł na niego Whirrun i przewrócił. Wylądował z twarzą w ziemi i poczuł w ustach smak błota. Kiedy gramolił się z powrotem na nogi, zauważył mężczyznę, który biegł wprost na niego. Przed oczami mignęła mu rozmazana twarz i dziko rozwiane włosy. Zasłonił się tarczą, kiedy nie wiadomo skąd nadbiegł Nutka i wbił biegnącemu sukinsynowi nóż pod żebra. Napastnik wrzasnął i tracąc równowagę, przewrócił się na bok. Crawl odchylił mu głowę i przejechał mieczem po odsłoniętej szyi. Ostrze lekko zazgrzytało, przecinając kość, a uwolniona głowa walnęła o ziemię, niemal wypadając mu z obtartej dłoni.



– Puść! – wrzasnął nie wiadomo do kogo, starając się wyszarpnąć miecz z ziemi. Obok niego przebiegł, szczerząc zęby, Wesoły Yon ze skrwawionym toporem. Craw i Whirrun ruszyli za nim. Ten ostatni biegł spokojnie, rzucając spojrzenia na chałupy. Nie wyciągnął nawet miecza z pochwy. Okrążyli chatę i wpadli na grząski plac zasłany słomą. Po jednej stronie stała zagroda, w której kwiczały świnie, a po drugiej długi dom z rzeźbionymi słupami na dachu. Do ciemnego wejścia prowadziło kilka schodków.

Naprzeciw wybiegł im rudowłosa mężczyzna z toporem w dłoni. Cudna z sześciu kroków trafiła go strzałą w policzek, ale to go nie powstrzymało. Przyciskając dłoń do twarzy i zataczając się, wciąż zmierzał w jej kierunku. Cudna z bojowym okrzykiem pobiegła mężczyźnie na spotkanie. Wyszarpnęła miecz z pochwy i jednym machnięciem odcięła mu głowę, która wirując, wzniosła się w powietrze i wylądowała w zagrodzie dla świń. Craw zastanowił się, czy biedny sukinkot w ogóle wiedział, co się z nim stało.

Wtedy zobaczył, że ciężkie drzwi długiego domu zaczynają się zamykać.

– Drzwi! – krzyknął i pobiegł ku nim. Błoto chlupotało mu pod nogami. Zagrzechotały stopnie, kiedy po nich wbiegał. W ostatniej chwili zdążył włożyć zakrwawiony, obłocony but w szparę między zatraskującymi się drzwiami i ryknął, poczuwszy przeszywający ból.

– Moja stopa! Kurwa mać! – wrzasnął, wybałuszając oczy.

Po przeciwnej stronie placu tłoczyło się kilkunastu ludzi z Klanu Lisów. Warczeli i chrzákali gorzej niż świnie. Machali wyszczerbionymi mieczami, toporami i maczugami. Kilku trzymało tarcze. Jeden stojący z przodu nosił zardzewiałą kolczugę wystrzępioną na brzegach. W sterczących na wszystkie strony włosach miał wpięte kiepsko

obrobione srebrne pierścienie.

– Cofnijcie się. – Whirrun stanął przed nimi, trzymając przed sobą miecz rękojeścią do góry, jakby to był jakiś magiczny amulet odpędzający złe moce. – Cofnijcie się. Nikt więcej nie musi dziś zginąć.

Mężczyzna w kolczudze splunął, a potem warknął do niego łamaną północzyną:

– Pokaż nam swoje żelazo, złodzieju!

– Tak zrobię. Patrzcie na Ojca Mieczy, bo patrzycie po raz ostatni w życiu. – Whirrun wyjął miecz z pochwy.

Być może ludzie nadali mu setki imion – Poranna Brzytwa, Kopacz Grobów, Żniwo Krwi, Najwyższy i Najniższy, Scal–ang–Gaioc, co w języku ludzi z doliny znaczy Pęknięcie Świata – ale Craw musiał przyznać, że wygląd klingi nieco go rozczarował. Nie bił od niej płomień, nie otaczała jej złota poświata, nie dawała lustrzanego odbłasku, nie grały surmy, gdy Whirrun dobywał ją z poplamionej skórzanej pochwy. Lekko tylko przy tym zadźwięczała. Ot, szary kawałek stali bez żadnych ozdób, poza jakimś błyszczącym symbolem wygrawerowanym w pobliżu prostego jelca.

Ale Craw miał inne kłopoty niż to, czy miecz Whirruna wart jest pieśni.

– Drzwi! – wrzasnął do Yona, jedną ręką uczepony ich krawędzi, drugą bez skutku kłując mieczem w szparę między nimi. – Kurwa, moja stopa!

Yon wbiegł po schodach i wrzeszcząc z całych sił, uderzył ramieniem w drzwi. Wyleciały z zawiasów i przygniotły jakiegoś głupca, który stał za nimi. Craw i Yon wpadli do pogrążonego w półmroku, zasnutego gryzącym dymem pomieszczenia. W ciemności zamajaczył przed nimi jakiś kształt i Craw instynktownie uderzył go

tarczą. Usłyszał głuchy łomot i przysypał go deszcz odłamków. Straciwszy równowagę, wpadł na coś innego. Brzęk metalu i trzask rozpryskującej się ceramiki. W ciemnościach zamajaczyła upiorna twarz z błyszczącym naszyjnikiem dzwoniących zębów. Craw ciął ją mieczem. Jeden raz, drugi, trzeci i zjawa padła na ziemię. Błada twarz zalała się czerwienią.

Craw zakrztusił się i zrobiło mu się niedobrze. Odkaszlnął, wpatrując się w zadymiony mrok z mieczem wzniesionym do ciosu. Usłyszał wrzask Yona, głuche uderzenie topora wbijającego się w ciało i czyjś pisk. Dym się nieco przerzedził, w każdym razie na tyle, że Crawl mógł się przyjrzeć pomieszczeniu. Rozżarzone węgle w palenisku oświetlały przydymionym czerwono-pomarańczowym światłem pajęczą sieć rzeźbionych krokwi rzucających ruchome cienie mamiące wzrok. W środku było gorąco jak w piekle i śmierdziało jak w piekle. Na ścianach wisiały stare draperie, wystrzępione płótna maźnięte farbą. W głębi stał czarny kamienny postument, a na nim byle jak wyrzeźbiony posąg. U jego stóp zabłysło coś złotego. Czara, pomyślał Crawl. Kielich. Zrobił krok do przodu, machając tarczą, jakby próbował rozgonić mrok przed sobą.

– Yon! – krzyknął.

– Crawl, gdzie jesteś?

Skądś dochodziła dziwna pieśń. Crawl nie rozumiał słów, ale melodia mu się nie spodobała. Ani trochę.

– Yon!

Nagle zza czarnego postumentu wyskoczyła jakaś postać. Crawl cofnął się w panice i o mało nie wpadł do paleniska.

Postać ta miała na sobie wystrzępioną czerwoną szatę. Szła z szeroko rozłożonymi muskularnymi ramionami pomazanymi farbą i

pokrytymi kropelkami potu, z twarzą ukrytą za rysunkiem czaszki jakiegoś zwierzęcia, z której sterczały czarne zakręcone rogi. W migotliwym świetle wyglądała jak diabeł, który wyskoczył prosto z piekła. Craw wiedział, że to maska, ale kiedy tak wypadła na niego z ciemności przy wtórze dziwnej pieśni, znieruchomiał ze strachu. Nie mógł nawet unieść miecza. Stał, cały się trzęsąc, z mięśniami jak galareta. Nie był bohaterem, ale też nigdy wcześniej nie czuł tak obezwładniającego lęku. Nawet w Inewardzie, kiedy zobaczył, że biegnie ku niemu Krwawa Dziewiątka, wrzeszcząc jak wariat, z twarzą całą ochlapaną ludzką krwią. Po prostu stał jak wryty.

– Uf... Uf... Uf...

Kapłan podszedł bliżej, wznosząc dłoń. Coś trzymał w pomalowanych palcach. Powyginany kawałek drewna roztaczający bladą poświatę.

To było to. Rzecz, po którą przyszli.

Światło, które od niej biło, stawało się coraz jaśniejsze – tak jasne, że wypaliło mu w oczach jej powyginany kształt. Pieśń wypełniła mu uszy, tak że nic innego nie słyszał, o niczym innym nie mógł myśleć, nic innego nie widział poza tą rzeczą, świecącą jasno jak słońce, zapierającą dech, łamiącą wolę, powstrzymującą...

Trzask. Topór Yona rozciął na pół zwierzęcą czaszkę i wbił się w twarz pod nią. Trysnęła krew i z sykiem ochlapała rozżarzone węgle w palenisku. Craw poczuł jej kropelki na twarzy, zamrugął i pokręcił głową, nagle uwolniony z lodowatego uścisku strachu. Kapłan się zatoczył, pieśń przeszła w bulgoczący charkot, a spod pękniętej maski tryskała krew. Craw warknął i machnął mieczem. Klinga otworzyła pierś czarownika i rzuciła jego ciało na plecy. Przedmiot, który trzymał w dłoni, potoczył się po drewnianej podłodze, a otaczający go blask

przygasł i ledwie się tlił.

– Pierdoleni czarownicy – warknął Yon i strzyknął śliną na zwłoki.  
– Po co w ogóle to robią? Już dawno powinni byli się nauczyć, że te ich czary–mary nie umywają się do porządnego noża... – Zmarszczył brwi.  
– A niech to.

Kapłan upadł na palenisko, rozrzucając po całej podłodze rozżarzone węgle. Kilka z nich potoczyło się pod ścianę w pobliże wystrzępionych brzegów draperii.

– Kurwa. – Crawl ruszył ku nim na chwiejnych nogach, ale nie zdążył i płomienie liznęły starą tkaninę. – Kurwa. – Próbował je zdeptać, ale wciąż mu się kręciło w głowie i osiągnął tylko tyle, że rozżarzony popiół osiadł na nogawkach jego spodni. Zaczął podskakiwać i klepać się po nogach, żeby go strzepnąć. Ogień rozprzestrzeniał się szybciej niż zaraza. Płomienie zbyt się rozrosły, żeby je zagasić, strzelały już na wysokość człowieka. – Kurwa! – Crawl cofnął się, czując żar na twarzy. Między krokwiemi tańczyły czerwone cienie. – Bierz to i spadamy!

Yon już gmerał przy zapięciach plecaka.

– Racja, szefie! Racja! Plan awaryjny!

Crawl zostawił go samego i pobiegł do wyjścia, nie wiedząc, ilu swoich ludzi znajdzie żywych. Gdy wychodził z mroku na światło dnia, zakłuło go w oczach.

Przy wejściu stała Cudna z szeroko otwartymi ustami. Założyła strzałę na cięciwę, ale naciągnięty do połowy łuk, który trzymała w bezwładnych rękach, był wycelowany w ziemię. Crawl nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem widział zdziwienie na jej twarzy.

– Co się stało?! – krzyknął i z dzikim wrzaskiem uwolnił miecz, który zakleszczył się we framudze. – Jesteś ranna?! – Zerknął na

niebo, zasłaniając tarczą oczy przed słońcem. – Co to...? – Stał jak wryty na stopniach, porażony widokiem, który zobaczył. – Niech skonam.

Whirrun stał prawie zupełnie nieruchomo, wciąż ściskając w dłoni Ojca Mieczy. Długie, tępe ostrze było skierowane do ziemi. Tylko że teraz Whirrun był od stóp do głów cały we krwi, a dookoła niego w półkolu piętrzyły się poskręcane i porąbane ciała kilkunastu członków Klanu Lisów, którzy stanęli z nim do walki. Odrąbane części ciał leżały porozrzucane trochę dalej.

– Zabił wszystkich – wyjąkał Brack. Jego twarz przecinały głębokie bruzdy zdumienia. – Ot tak. Nie zdążyłem nawet podnieść młota.

– Niech to diabli – mruzczała Cudna. – Niech to diabli. – Zmarszczyła nos. – Czuję dym.

Yon wybiegł z długiego domu i wpadł na Crawa. Omal nie spadli razem ze schodów.

– Masz to? – warknął Craw.

– Chyba... – Yon zamrugał, zobaczywszy Whirruna stojącego w kręgu rzezi. – Niech skonam.

Whirrun ruszył w ich stronę, uchylając się przed strzałą, która przeleciała obok niego i wbiła się w ścianę domu, kołysząc się na boki. Machnął do nich wolną ręką. – Może lepiej...

– Biegiem! – wrzasnął Craw. Dobry przywódca czeka, aż wszyscy uciekną. Pierwszy staje do walki, wycofuje się ostatni. Tak robił Trójdrzewiec. Craw jednak nie był Trójdrzewcem, o czym nie trzeba chyba mówić, i ruszył jak królik, któremu pali się ogon. Powiedziałyby, że daje przykład. Za sobą usłyszał chrzęst naciąganych łuków. Tuż obok ramienia przeleciała mu strzała i zakołysała się, utkwivszy w jednej z chat. Potem następna. Zgnieciona stopa bolała jak diabli,

mimo to kuśtykał, machając ręką, w której trzymał tarczę. Biegli do rozklekotanej bramy ze zwierzęcą czaszką. – Szybciej! Szybciej!

Cudna przedarła się do przodu, ochlapując mu twarz błotem. Przed sobą Craw zobaczył Nutkę, który przemknął między dwoma chatami, niczym jaszczurka prześlizgnął się obok słupka bramy i wybiegł z wioski. Craw pognął za nim, przebiegł pod łukiem z gałęzi i zeskoczył z wału. Poczł przeszywający ból w stopie i przygryzł sobie język. Zrobił niezdarny krok do przodu i skoczywszy, wylądował w bagiennych paprociach. Przeturlał się po tarczy, uważając, by nie odciąć sobie mieczem nosa. Wstał i zaczął się gramolić po zboczu. Rwała go noga, paliło w płucach, spodnie miał przemoczone do kolan bagienną wodą. Obok słyszał sapiącego z wysiłku Bracka, a za sobą jęczącego Yona:

– Cholera... kurwa... biegnij... cholera... kurwa...

Minął drzewa, przedarł się przez zarośla i zataczając się, wpadł na polanę, na której układali plan. Plan, który nie poszedł tak gładko, jak się spodziewali. Przy ich rzeczach stał Raubin, a obok niego Cudna z rękami na biodrach. Nigdy klęczał na drugim końcu polany. Trzymał łuk ze strzałą na cięciwie. Na widok Crawa wyszczerzył zęby.

– Udało się, szefie, co?

– Kurwa. – Craw stał zgięty w pół. Kręciło mu się w głowie, łapczywie chwycił powietrze. – Kurwa. – Wyprostował się i zerknął na niebo, purpurowy na twarzy. Nie miał nawet siły wymyślić innego słowa, a gdyby nawet wymyślił, zabrakłoby mu tchu, żeby je wypowiedzieć.

Brack wyglądał na jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, wykończonego niż Crawl. Pochylił się i oparł ręce na kolanach. Trzęsły mu się nogi, pierś ciężko falowała, a twarz między tatuażami miał czerwoną jak obity tyłek. Yon zatoczył się i oparł o drzewo. Wydymał policzki, skóra

błyszczała mu od potu.

Cudna miała tylko lekko przyspieszony oddech.

– Niech skonam, wy tłuste staruchy. – Klepnęła Nigdy w ramię. – Piękną robótkę wykonałeś tam w wiosce. Myślałam, że na pewno cię złapią i obedrą ze skóry.

– Płonna nadzieja – odrzekł. – Powinnaś wiedzieć, że jestem najlepszym biegaczem na Północy.

– Fakt.

– Gdzie Nutka? – zapytał Craw.

Nigdy wskazał kciukiem za siebie.

– Krąży dokoła, żeby sprawdzić, czy nikt za nami nie pobiegł.

Na polanę spokojnym krokiem wszedł Whirrun. Kaptur znowu miał naciągnięty na czoło. Schowanego w pochwie Ojca Mieczy niósł na ramionach niczym jarzmo, jedną ręką trzymając rękojeść, a drugą klingę.

– Nie ścigają nas, jak się domyślam? – zapytała Cudna, wznosząc brew.

Whirrun pokręcił głową.

– Nie.

– Nie dziwię się tym biednym sukinsynom. Cofam to, co powiedziałam o tobie. Że bierzesz siebie zbyt poważnie. Jesteś cholernie poważny z tym swoim mieczem.

– Macie to? – zapytał Raubin, poblady ze zdenerwowania.

– Mamy. Ocaliliśmy ci skórę, Raubin. – Craw pociągnął po ustach kantem dłoni, ścierając krew ciekącą z rozciętego języka. Udało im się. Zaczął mu wracać dawny humor. – Ha. Ciekawe, co by się stało, gdybyśmy nie zabrali tego cholerstwa?

– Nie ma strachu – rzekł Yon, otwierając plecak. – Wesoły Yon



Cumber po raz kolejny dokonał bohaterskiego czynu. – Wsadził rękę do plecaka i wyjął z niego to cholerstwo.

Craw zamrugał, zmarszczył brwi i wlepił w nie wzrok. W świetle zachodzącego słońca zabłysło złoto i Craw wpadł w grobowy nastrój.

– Kurwa, to nie to, Yon!

– Nie to?

– To jest kielich! Mieliliśmy wziąć tę drugą rzecz! – Wbił miecz w ziemię i zamachał rękami. – To cholerstwo z cholernym światłem dookoła.

Yon popatrzył na niego.

– Nikt mi nie powiedział, że to ma, cholera, świecić!

Zapadła cisza. Wszyscy trawili to, co się stało. Słysząc było tylko szum liści i trzask gałęzi kołysanych przez wiatr. Nagle Whirrun odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Dwa przestraszone kruki poderwały się z gałęzi i machając skrzydłami, leniwie wzniosły się ku szaremu niebu.

– Z czego się, u diabła, cieszysz? – warknęła Cudna.

Po schowanej pod kapturem pomarszczonej twarzy Whirruna płynęły łzy wesołości.

– Mówiłem wam, że roześmieję się, kiedy usłyszę coś zabawnego! – I znowu zatrzęsł się od śmiechu, zgięty wpół niczym naciągnięty łuk.

– Będziecie musieli po nią wrócić – rzekł Raubin.

– Wrócić? – warknęła Cudna, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– Wrócić, ty walnięty skurwielu?

– Czy wiesz, że długi dom spłonął? – warknął Brack, wielką, trzęsącą się ręką wskazując w dół na słup gęstego dymu unoszący się nad wioską.

– Co takiego? – zapytał Raubin, a Whirrun znów zadarł głowę i

wybuchnął śmiechem. Kaszłał, charczał i bulgotał, że o mało się nie przewrócił.

– Spłonął, a ta rzecz prawdopodobnie spaliła się razem z nim.

– No to... nie wiem... musicie przeszukać popioły!

– A może byśmy przeszukali twoje popioły? – burknął Yon, rzucając kielich na ziemię.

Craw westchnął głęboko, przetarł oczy i zerknął w dół na zasraną wioskę. Za plecami słyszał ochrypły śmiech Whirruna.

– Wciąż to samo – mruknął do siebie. – Czemu zawsze trafia mi się parszywa robota?

## O redaktorach

**Lou Anders** jest dyrektorem do spraw redakcyjnych w wydawnictwie Pyr Books. Trzy razy był nominowany do nagrody Hugo dla najlepszego redaktora, dwa razy do Nagrody Chesleya dla najlepszego dyrektora do spraw artystycznych (raz ją zdobył) i raz do nagrody World Fantasy. Był redaktorem dziewięciu entuzjastycznie przyjętych przez krytykę antologii, z których jedna, *Fast Forward 2*, uzyskała nominację do Nagrody Philipa K. Dicka. Jest autorem książki *The Making of Star Trek: First Contact* (Titan Books, 1996) oraz ponad pięciuset artykułów opublikowanych między innymi w magazynach „The Believer”, „Publishers Weekly”, „Dreamwatch”, „Death Ray”, „Free Inquiry”, „Star Trek Monthly”, „Babylon 5 Magazine”, „Sci Fi Universe”, „Doctor Who Magazine” i „Manga Max”. Jego artykuły i opowiadania zostały przetłumaczone na duński, grecki, niemiecki, włoski i francuski. Mieszka z rodziną w Alabamie.

**Jonathan Strahan** był dwukrotnie nominowany do nagrody Hugo. Redagował między innymi uhonorowaną nagrodą miesięcznika „Locus” antologię *A New Space Opera*, wyróżniony nagrodą Aurealis zbiór opowiadań *The Starry Rift* oraz wielokrotnie nagradzaną serię antologii pod wspólnym tytułem *Eclipse*. Pracuje jako recenzent w redakcji magazynu „Locus”. Mieszka w Perth w Australii.

## 17 NOWYCH OPowieści MISTRZÓW FANTASY

Elyk... Czarna Kompania... Majipoor – te słowa elektryzowały kilka pokoleń entuzjastów literatury magii i miecza. Antologia ta przynosi kilkanaście kapitalnych, zupełnie nowych opowieści autorstwa najpoczytniejszych autorów tego gatunku. Historii naładowanych akcją, obfitujących w sarkastyczny humor, przerażające potwory oraz bajeczne skarby i – oczywiście – walki na miecze.

Przeżyj przygodę dziesięciolecia!

JOE ABERCROMBIE

C. J. CHERRYH

GLEN COOK

(z nowym opowiadaniem o Czarnej Kompanii)

JAMES ENGE

STEVEN ERIKSON

GREG KEYES

CAITLÍN R. KIERNAN

TIM LEBBON

TANITH LEE

SCOTT LYNCH

MICHAEL MOORCOCK

(z zupełnie nową opowieścią o Elyku)

GARTH NIX

K. J. PARKER

MICHAEL SHEA

ROBERT SILVERBERG

(z nową historią o Majipoorze)

BILL WILLINGHAM

GENE WOLFE



REBIS

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)